

R I C H A R D M O R G A N



M O D Y F I K O W ▲ N Y
W Ę G I E L

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Prolog

CZĘŚĆ 1. Przybycie (Transfer strunowy)

CZĘŚĆ 2. Reakcja (Reakcja odpornościowa)

CZĘŚĆ 3. Sojusz (Aktualizacja oprogramowania)

CZĘŚĆ 4. Perswazja (Uszkodzenie wirusowe)

CZĘŚĆ 5. Nemezis (Awaria systemu)

Epilog

RICHARD MORGAN

MODYFIKOWANY WĘGIEL

Przełożył Marek Pawelec

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2018

Tytuł oryginału: *Altered Carbon*

Copyright © 2002 by Richard Morgan

Copyright for the Polish translation © 2017 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Iwona Sośnicka

Korekta: Elwira Wyszyńska

Ilustracja na okładce: Dark Crayon

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Cieśliński

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

Wydanie II

ISBN 978-83-7480-942-9

Wydawca: Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax 228 134 743

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor: Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 227 213 000

www.olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej:

pan@drewnianyrower.com

Prolog

Dwie godziny przed świtem siedziałem w obskurnej kuchni, paląc podebranego Sarze papierosa. Czekałem, wsłuchując się w wycie sztormu. Millsport od dawna już spało, ale prądy morskie nawet w nocy szarpały przybrzeżne płycizny. Szum oceanu wypełniał opustoszałe ulice, a delikatne jak muślin opary unoszące się znad wiru opadały na miasto, zasnuwając mgłą kuchenne okno.

Pobudzony chemikaliami, po raz piętnasty tej nocy przeliczyłem sprzęt leżący na pooranym bliznami drewnianym stole. Należący do Sary igłowiec połyskiwał mrocznie w słabym świetle, otwór w rękojeści był gotowy na przyjęcie magazynka. Doskonała broń zabójcy, mała i bezgłówna. Magazynki leżały tuż obok. Każdy oklejony taśmą izolacyjną, żeby móc odróżnić rodzaj pocisków – zielone: nasenne, czarne: z pajęczym jadem. Większość magazynków była owinięta na czarno. Sara zużyła dużo zielonych poprzedniej nocy, na strażników w Gemini Biosys.

Mój sprzęt był mniej subtelny. Duży srebrny smith&wesson i ostatnie cztery granaty halucynogenne. Cienkie karmazynowe linie wokół każdego z cylindrów zdawały się iskrzyć, jakby miały oderwać się od metalu i unieść w powietrze, dołączając do smużek dymu snujących się z papierosa. Przesunięcie i rozmycie rzeczywistości, efekt uboczny tetrametu, zaliczonego dzisiaj po południu na nabrzeżu. Normalnie, gdy jestem na prochach, nie palę, ale z jakichś przyczyn tet zawsze wyzwala głód.

Usłyszałem to na tle odległego ryku sztormu. Drapieżny szum wirników rozcinających tkaninę nocy.

Lekko zde gustowany sobą zdusiłem papierosa i przeszedłem

do sypialni. Sara spała – zbiór okrytych prześcieradłem sinusoidalnych krzywych o niskiej częstotliwości. Jej twarz zakrywały kruczoczarne włosy, a jedna z rąk o długich palcach wystawała nad krawędź łóżka. Kiedy stałem, przyglądając się jej, noc na zewnątrz pękła. Jeden z orbitalnych strażników Świata Harlana oddał strzał testowy w morze. Grzmot zranionego nieba przetoczył się, uderzając w okna. Kobieta w łóżku poruszyła się i odgarnęła włosy z twarzy. Spojrzenie ciekłych kryształów znalazło mnie i natychmiast się skupiło.

– Co się tak gapisz? – Głos miała ochryply od snu.

Uśmiechnąłem się.

– Nie wciskaj mi kitu. Powiedz, na co się gapisz.

– Tylko patrzę. Czas ruszać.

Uniosła głowę i wyłowiła dźwięk helikoptera. Z jej twarzy zniknęły ostatnie oznaki snu. Usiadła wyprostowana.

– Gdzie towar?

Dowcip korpusu. Uśmiechnąłem się jak przy spotkaniu starego przyjaciela i skinąłem w stronę walizki w kącie pokoju.

– Podaj mi gnata.

– Tak, proszę pani. Czarne czy zielone?

– Czarne. Ufam tym wszarzom mniej więcej tak, jak kondomowi z folii.

W kuchni załadowałem pistolet igłowy, zerknąłem na własną broń i zostawiłem ją na miejscu. Zamiast niej zgarnąłem drugą ręką jeden z granatów H. Zatrzymałem się w przejściu do sypialni i zważyłem sprzęt w dłoniach, jakbym próbował zdecydować, który jest cięższy.

– Namiaszka penisa? – zakpiłem.

Sara spojrzała na mnie spod grzywy opadających na czoło czarnych włosów. Wciągała właśnie na nogi długie, wełniane skarpety.

– To twój ma długą lufę, Takeshi.

– Rozmiar nie...

Oboje usłyszeliśmy to równocześnie. Podwójne, metaliczne *klak* dochodzące z zewnętrznego korytarza. Nasze spojrzenia się

spotkały i przez ułamek sekundy widziałem odbite w jej oczach własne zdziwienie. Rzuciłem w jej stronę nabity pistolet. Wyciągnęła rękę i złapała go w powietrzu dokładnie w chwili, gdy cała ściana sypialni zawałała się z hukiem. Wybuch rzucił mnie w kąt i powalił na podłogę.

Musieli zlokalizować nas w mieszkaniu kamerami termowizyjnymi, a potem zaminować całą ścianę rzepami. Tym razem nie ryzykowali. Komandos, który przeszedł przez zdemolowaną ścianę, był krępy i błyszczał owadzimi oczami bojowej maski gazowej. W osłoniętych rękawicami dłoniach dźwigał krótkolufowy karabinek Kałasznikowa.

Ogłuszony brzęcącymi w uszach dzwonkami, wciąż na podłodze, rzuciłem w niego granatem. Był nieodbezpieczony, zresztą i tak bezużyteczny w konfrontacji z maską gazową, ale tamten nie miał czasu tego zauważyć. Odbił granat korpusem kałasznikowa i zatoczył się do tyłu, szeroko otwierając osłoniętą maską oczy.

– Granat, padnij!

Sara leżała na podłodze za łóżkiem, chroniąc głowę ramionami, osłonięta przed podmuchem wcześniejszej eksplozji. Usłyszała krzyk i w ciągu kilku sekund, które kupił nam blef, podniosła się, unosząc igłowiec. Za ścianą dostrzegłem postacie kulące się w oczekiwaniu na spodziewany wybuch granatu. Usłyszałem przypominający bzyczenie komara świst monomolekularnych igieł z trzech wystrzałów wycelowanych w pierwszego komandosa. Niewidoczne, przebiły się przez kombinezon bojowy i zatopiły w ciele pod spodem. Gdy trucizna wbiła swoje szpony w system nerwowy, komandos stęknął jak ktoś usiłujący dźwignąć wielki ciężar. Wyszczrzyłem zęby i zacząłem się podnosić.

Sara kierowała właśnie celownik na postacie za ścianą, kiedy w drzwiach kuchennych pojawił się drugi komandos i rozwalił ją z karabinka szturmowego.

Wciąż na kolanach, z percepcją wyostrzoną działaniem narkotyku, przyglądałem się, jak ginie. Wszystko działało się jak

na filmie w zwolnionym tempie. Komandos celował nisko, blokując kałasznikowa przed odrzutem superszybkiego ognia, z którego słychać ten model. Najpierw poszło po łóżku, wzbijając w powietrze tuman pierza i strzępów materiału, potem przez Sarę, złapaną w półobrocie. Gdy przelatowała przez ścianę ognia zobaczyłem, jak jedn z jej nóg zmienia się w miazgę tuż pod kolanem, a potem zobaczyłem tors, z którego pociski wyrwały krwawe strzępy tkanki wielkości pięści.

Poderwałem się na równe nogi, gdy tylko zamilkł automat. Sara padła na twarz, jakby próbując ukryć rany od pocisków, ale i tak widziałem wszystko przez krwawą zasłonę. Bez chwili namysłu wypadłem zza rogu, komandos nie zdążył jeszcze obrócić kałasznikowa. Uderzyłem w niego na wysokości talii, zablokowałem karabin i wypchnąłem z powrotem do kuchni. Lufa automatu zaczepiła o framugę, więc broń wypadła mu z ręki. Usłyszałem, jak metalicznie wali o posadzkę tuż za mną. Z siłą i szybkością tetrametu usiadłem okrakiem na przeciwniku, zablokowałem cios ręką i chwyciłem dłońmi jego głowę. Rozbiłem ją o podłogę jak łupinę kokosa.

Oczy pod maską nagle straciły ostrość. Ponownie uniosłem jego głowę i jeszcze raz trzasnąłem nią o podłogę, czując, jak od uderzenia pęka czaszka. Pomimo chrupnięcia, dźwignąłem ją znowu i trzasnąłem po raz kolejny. Uszy wypełniał mi grzmot jak w środku burzy, a gdzieś na obrzeżach świadomości słyszałem własny głos wrzeszczący przekleństwa. Uderzałem czwarty czy piąty raz, gdy poczułem kopnięcie między łopatkami, a z nogi stołowej przede mną jakimś magicznym sposobem wyskoczyły drzazgi. Poczułem ukłucie, gdy dwie z nich wbiły mi się w twarz.

Nagle wyparowała ze mnie cała wściekłość. Niemal łagodnie opuściłem głowę komandosa i sięgnąłem w zdumieniu dłonią do skaleczonego drzazgami policzka, gdy uświadomiłem sobie, że strzelono do mnie i że pocisk musiał przebić się przez moją klatkę piersiową, wbijając się w nogę stołu. Oszołomiony spojrzałem w dół i dostrzegłem rozlewającą się po koszuli ciemnoczerwoną plamę. Żadnych wątpliwości. Dziura wylotowa

wielkości piłki golfowej.

Wraz ze świadomością nadszedł ból. Czułem się tak, jakby ktoś szybko przeciągnął mi przez pierś stalową szczotkę do czyszczenia rur. Powoli podniosłem rękę do klatki piersiowej, odnalazłem otwór po kuli i wsadziłem w niego dwa palce. Ich czubki przesunęły się po nierównościach rozerwanych kości i poczułem, jak o jeden z nich uderza coś elastycznego. Pocisk ominął serce. Stęknąłem i spróbowałem się podnieść, ale odgłos przeszedł w kaszel i poczułem na języku krew.

– Nie ruszaj się, skurwielu!

Krzyk wydobył się z młodego, zaciśniętego w szoku gardła. Pochyliłem się nad swoją raną i obejrzałem przez ramię. Za mną, w drzwiach, stał młody mężczyzna w policyjnym mundurze, kurczowo zaciskając dłonie na pistolecie, z którego przed chwilą strzelił. Trząśł się. Znowu kaszlnąłem i obróciłem się w stronę stołu.

Błyszczący, srebrny smith&wesson leżał na wysokości moich oczu, dokładnie tam, gdzie zostawiłem go przed dwiema minutami. Możliwe, że pokierowało mną właśnie to, co planowałem, gdy Sara jeszcze żyła i gdy wszystko było dobrze. Niecałe dwie minuty temu mogłem podnieść pistolet, nawet o tym myślałem, więc czemu nie teraz. Zacisnąłem zęby, mocniej przycisnąłem palce do rany w piersiach i wyprostowałem się. O podniebienie uderzyła ciepła struga krwi. Wolną ręką oparłem się o krawędź stołu i obejrzałem się na gliniarza. Czułem, jak moje wargi odsuwają się od zaciśniętych zębów w upiornym uśmiechu.

– Nie zmuszaj mnie do tego, Kovacs.

Z oddechem świszczącym przez zęby i bulgoczącym w gardle przysunąłem się o krok do stołu i oparłem o niego biodrami. Na pooranym rysami i pokrytym pyłem blacie smith&wesson błyszczał jak skarb. Z orbity trysnął strumień energii, sięgając gdzieś w otchłań, rozjaśniając kuchnię na niebiesko. Słyszałem zew sztormu.

– Powiedziałem nie...

Zamknąłem oczy i sięgnąłem po pistolet.

CZĘŚĆ 1

Przybycie (Transfer strunowy)

Rozdział pierwszy

Zmartwychwstanie może być brutalne.

W Korpusie Emisariuszy uczą, żeby przed przechowalnią odpuścić. Przetawić się na zero i dryfować. To pierwsza lekcja, a nauczyciele wbijają to do głowy od początku. W sali wykładowej przechadzała się przed nami hardooka Virginia Vidaura, z ciałem tancerki ukrytym w bezkształtnym kombinezonie Korpusu.

– Niczym się nie przejmujcie – powiedziała – a będziecie gotowi.

Spotkałem ją znowu dekadę później w areszcie sądowym w New Kanagawa. Kładli ją na sto osiemdziesiąt lat: napad z bronią w rękę i uszkodzenia organiczne. Ostatnie, co mi powiedziała, gdy wyprowadzali ją z celi, to: *Nie martw się, chłopcze, przechowają to*. Potem pochyliła głowę, by zapalić papierosa, wciągnęła dym głęboko w płuca, które nic ją już nie obchodziły, i ruszyła korytarzem jakby szła na nudny wykład.

W wąskim polu widzenia ograniczonym drzwiami celi patrzyłem, jak idzie z dumą i niczym mantrę szeptałem do siebie słowa: *Nie martw się, przechowają to*. Bardzo obosieczna mądrość ludowa. Ślepa wiara w skuteczność systemu karnego i klucz do ulotnego stanu umysłu, bez którego nie dało się uniknąć raf psychozy. Bez względu na to, co czujesz, myślisz, kimkolwiek jesteś teraz, gdy wrzucają cię do przechowalni, tym samym będziesz, wychodząc z niej. Wrócą nawet te same stany lękowe, co może stanowić pewien problem. Więc odpuszczasz sobie. Przełączasz się na zero. Odrywasz się i dryfujesz.

O ile masz czas.

Wyskoczyłem ze zbiornika, jedną ręką macając się po piersiach w poszukiwaniu rany, drugą sięgając

po nieistniejącą broń. Grawitacja uderzyła mnie niczym młot i opadłem z powrotem w żel pływowy. Na ślepo machałem rękami, aż łokciem wałnąłem boleśnie w bok zbiornika i jęknąłem. Żel wlał mi się przez usta i popłynął w dół gardła. Natychmiast zacisnąłem wargi i złapałem się listwy uszczelniającej zbiornik, ale to było już wszędzie. Zalewało oczy, paliło mnie w nosie i gardle, ślizgało się po palcach. Masa zmuszała mnie do zwolnienia uchwytu na listwie, przygniatając moją klatkę jak podczas manewru w wysokim g, wciskając mnie w żel. Żel pływowy? *Tonąłem*.

Nagle ktoś mocno chwycił mnie za ramię i krztuszącego się wyciągnął do pozycji siedzącej. Kiedy właśnie docierało do mnie, że nie mam żadnej rany na piersiach, ktoś przetarł mi twarz ręcznikiem i mogłem wreszcie coś zobaczyć. Postanowiłem zachować tę przyjemność na później i skupiłem się na tym, by oczyścić gardło i nos z zawartości zbiornika. Przez jakieś pół minuty siedziałem z opuszczoną głową, wykrztuszając z siebie żel i próbując zrozumieć, czemu wszystko tyle waży.

– I to tyle, jeśli chodzi o trening. – Usłyszałem twardy, męski głos, w rodzaju tych, jakie zazwyczaj słyszy się w instytucjach związanych z prawem. – Czego cię nauczili w tych Emisariuszach, co, Kovacs?

Wtedy to do mnie dotarło. Na Świecie Harlana Kovacs to dość powszechne nazwisko. Wszyscy wiedzą, jak je wymawiać. Ten facet tego nie wiedział. Mówił w zniekształconej odmianie amangielskiego używanego na Świecie, ale mocno zniekształcał nazwisko, a końcówkę wymawiał z twardym „k”, zamiast słowiańskiego „cz”.

W ogóle wszystko było tu za ciężkie.

Świadomość sytuacji przebiła się przez moją otumanioną percepcję jak cegła przez taflę matowanego szkła.

Inna planeta.

Gdzieś po drodze wzięli Takeshiego Kovacsa (CC[1]) i go przesłali. A skoro Świat Harlana stanowił jedyną zamieszkałą biosferę w układzie Glimmera, oznaczało to równocześnie

międzygwiazdną transmisję strunową do...

Dokąd?

Rozejrzałem się. Zgrzebne rury neonów osadzone pod betonowym sufitem. Siedziałem w otwartym włączniku matowego, metalowego cylindra, wyglądałem pewnie jak antyczny lotnik, który zapomniał ubrać się przed wejściem na pokład swojego dwupłatowca. Cylinder był jednym z rzędu około dwudziestu innych ustawionych pod ścianą, stojących naprzeciw zamkniętych, ciężkich metalowych drzwi. Powietrze było chłodne, a ściany niepomalowane. Na Świecie Harlana sale upowłokowania maluje się na pastelowo, a obsługa jest schludna. W końcu skoro spłaciło się dług wobec społeczeństwa, mogą ci przynajmniej zapewnić słoneczny start w nowe życie.

Określenie „słoneczny” zdecydowanie nie pasowało do stojącej przede mną postaci. Facet miał jakieś dwa metry wzrostu i wyglądał jakby – zanim załapał się na obecne stanowisko – utrzymywał się z zapasów z bagiennymi panterami. Muskulatura wypychała jego klatkę piersiową i ręce jak zbroja, włosy ostrzygł tuż przy skórze, odsłaniając schodzącą do lewego ucha długą bliznę w kształcie błyskawicy. Ubrany był w luźny czarny strój, z naramiennikami i logo w kształcie dyskietki na piersi. Oczy pasowały do ubrania, patrzyły na mnie z twardym spokojem. Po tym, jak pomógł mi się już podnieść, cofnął się na wyciągnięcie ręki, dokładnie według zasad z podręcznika. Widać było, że robił to już od dawna.

Zablokowałem jeden z otworów w nosie i wydmuchałem z drugiego żel.

– Powiesz mi, gdzie jestem? Przedstawisz mi moje prawa czy coś w tym stylu?

– W tej chwili nie masz żadnych praw, Kovacs.

Spojrzałem w górę i zauważyłem, że na jego twarzy wciąż malował się ten sam ponury uśmiech. Wzruszyłem ramionami i wysmarkałem nos do końca.

– Powiesz mi, gdzie jestem?

Zawahał się przez chwilę, zerknął na oświetlony neonami

sufit, jakby chcąc się upewnić co do informacji, zanim mi ją przekaże, a potem powtórzył mój gest.

– Jasne. Czemu nie? Jesteś w Bay City, stary. Bay City, Ziemia. – Na jego twarz wrócił grymas udający uśmiech. – Kolebka rasy ludzkiej. Życzymy miłego pobytu na tym najstarszym z cywilizowanych światów. Ta-dada-DAAM.

– Nie rezygnuj z pracy – powiedziałem ponuro.

* * *

Lekarka poprowadziła mnie długim białym korytarzem, którego podłoga nosiła liczne ślady gumy z łóżek na kółkach. Poruszała się dość szybko i z trudem za nią nadążałem, zwłaszcza że miałem na sobie wyłącznie owinięty wokół bioder szary ręcznik i wciąż jeszcze ociekałem żelem ze zbiornika. Zachowywała się z wymuszoną uprzejmością, ale wyczuwałem coś więcej. Pod ramię wcisnęła sobie zwinięty w rulon arkusz dokumentacji. Zastanawiałem się, przez ile upowłokowień dziennie przechodziła.

– Przez następny dzień czy dwa powinien pan jak najwięcej odpoczywać – wyrecytowała. – Mogą się pojawić drobne dolegliwości i bóle, ale to normalne. Sen załatwi sprawę. Jeśli będzie pan miał jakieś nawracające komp...

– Wiem. Już przez to przechodziłem.

Kiepski początek znajomości, ale właśnie przypomniałem sobie Sarę.

Zatrzymaliśmy się przed drzwiami z matową szybą i napisem: prysznic. Lekarka skierowała mnie do środka i przez chwilę stała, przyglądając mi się.

– Z pryszniców też już korzystałem – zapewniłem.

Kiwnęła głową.

– Kiedy pan skończy, na końcu korytarza jest winda. Wsiądzie pan piętro niżej. Aha, czeka na pana policja, chcą z panem porozmawiać.

Instrukcja mówi, że nowo upowłokowionym powinno się

oszczędzać silnych wrażeń i adrenaliny, ale prawdopodobnie czytała moją kartotekę i nie uznała spotkania z policją za szczególnie wydarzenie w moim życiu. Spróbowałem właśnie tak do tego podejść.

– Czego chcą?

– Nie byli uprzejmi mnie o tym poinformować. – Słowa zdradzały frustrację, której nie powinna była po sobie pokazać. – Może wyprzedza pana reputacja.

– Być może. – Kierowany impulsem, wykrzywiłem nową twarz w uśmiechu. – Pani doktor, nigdy tu jeszcze nie byłem. To znaczy na Ziemi. Nie miałem jeszcze do czynienia z waszą policją. Powinienem się bać?

Popatrzyła na mnie i zobaczyłem, jak w jej oczach pojawia się: strach, zdumienie i pogarda zawiedzionego reformatora ludzkości.

– Człowieka takiego jak pan – powiedziała w końcu – to chyba oni powinni się bać.

– No tak, racja – zgodziłem się cicho.

Zawahała się, potem machnęła ręką.

– W przebieralni jest lustro – rzuciła i wyszła.

Zerknąłem w stronę wskazanego pokoju, niepewny, czy jestem już na nie gotów.

Pod prysznicem bez żadnej konkretnej melodii wygwizdałem swój niepokój i namydlilem się, obmacując równocześnie nowe ciało. Powłoka miała niewiele ponad czterdzieści standardowych lat Protektoratu, budowę pływaka i chyba jakieś wojskowe uwarunkowanie w układzie nerwowym. Najprawdopodobniej podrasowanie neurochemiczne. Miałem już kiedyś coś takiego. Ucisk w płucach sugerował uzależnienie od nikotyny. Na ramieniu miałem też potężną bliznę, ale poza tym nie znalazłem nic, do czego mógłbym się przyczepić. Drobne wady i problemy same później wyjdą, ale jeśli ma się choć odrobinę rozsądku, po prostu się do nich przywyka. Każda powłoka ma swoją historię. Jeśli przejmujesz się czymś takim, prędzej czy później stajesz w kolejce do Synthety albo Fabrikonu. Nosilem

już całkiem sporo syntetycznych powłok, bo dość często używają ich podczas przesłuchań. Są tanie, ale za bardzo przypomina to samotne mieszkanie w domu pełnym przeciągów. I nigdy nie potrafią dobrze podpiąć zmysłu smaku; wszystko, co jesz, smakuje jak gotowane trociny.

W przebieralni na półce znalazłem elegancko poskładany letni garnitur. Na szczycie stosiku z ubraniem leżała biała koperta z moim nazwiskiem, przyciśnięta prostym, stalowym zegarkiem. Wzięłem głęboki wdech i podeszedłem do lustra na ścianie.

Ta chwila zawsze była najtrudniejsza. W ciągu ostatnich dwudziestu lat często mi się to zdarzało, ale wciąż doznaję wstrząsu, gdy zaglądając w lustro, widzę w nim nieznaną twarz. Jakby obraz wydobywał się z głębin stereogramu. Przez pierwszych kilka chwil widzisz tylko kogoś obcego, kto przypatruje ci się przez okno. Potem, jak przy zmianie ostrości, czujesz, że unosisz się za tą maską i przywierasz do niej od środka z niemal namacalnym wstrząsem. Jakby ktoś przeciął pępowinę, tylko zamiast rozdzielenia dwóch osób dokonuje się odrzucenie obcości. I oto patrzysz w lustrze na własne odbicie.

Stałem tam i wycierałem się do sucha, przyzwyczajając się do nowej twarzy. Miała kaukaskie rysy, co było dla mnie pewną odmianą, i sprawiała wrażenie, że nawet jeśli istniało w życiu coś takiego jak linia najmniejszego oporu, jej właściciel nigdy się taką zasadą nie kierował. Nawet przez charakterystyczną bladość wynikającą z długiego pobytu w zbiorniku przebijały twarde rysy, jakby wysmagane przez wiatr. Twarz przecinały liczne bruzdy. Gęste, czarne włosy tu i ówdzie zaczynały siwieć. Niebieskie oczy sprawiały wrażenie zamyślonych. Pod lewym biegła niewielka, postrzępiona blizna. Uniosłem lewe przedramię i przyjrzałem się wypisanej tam historii, zastanawiając się, czy te dwie sprawy miały ze sobą jakiś związek.

Koperta pod zegarkiem zawierała pojedynczą kartkę zadrukowanego papieru. Wydruk, ręczny podpis. Bardzo staromodne.

Cóż, jesteś teraz na Ziemi. W najstarszym z cywilizowanych

światów. Wzruszyłem ramionami i przeczytałem list, potem ubrałem się i wsadziłem go do kieszeni marynarki. Zerkając po raz ostatni do lustra, założyłem zegarek i ruszyłem na spotkanie z policją.

Była szesnasta piętnaście czasu lokalnego.

* * *

Lekarka czekała na mnie, siedziała za długim blatem recepcji i wypełniała na monitorze jakieś formularze. Obok niej stał chudy, poważnie wyglądający, ubrany na czarno mężczyzna. W pokoju nie było nikogo więcej.

Rozejrzałem się, po czym skupiłem wzrok na gościu.

– Policja?

– Na zewnątrz. – Machnął w stronę drzwi. – To nie ich teren. Potrzebują specjalnego nakazu, żeby móc tu wejść. Mamy własną ochronę.

– A pan to...?

Przyjrzał mi się z tą samą mieszanką emocji, która uderzyła mnie wcześniej w spojrzeniu lekarki.

– Naczelnik Sullivan, kierownik Centrali Bay City, instytucji, którą właśnie pan opuszcza.

– Nie wygląda pan na zachwyconego faktem, że stąd wychodzę.

– Jesteś recydywistą, Kovacs. – Sullivan przygwoździł mnie wzrokiem. – Nigdy nie widziałem sensu w tym, żeby tracić dobre ciało i krew na ludzi takich jak ty.

Dotknąłem listu schowanego w kieszeni.

– Na szczęście dla mnie, pan Bancroft ma na ten temat inne zdanie. Miał wysłać po mnie limuzynę. Ona również czeka na zewnątrz?

– Nie sprawdzałem.

Na blacie zabrzmiał pojedynczy dzwonek. Lekarka skończyła wprowadzać dane. Oderwała wystający kawałek wydruku, podpisała go w kilku miejscach i podała Sullivanowi. Naczelnik

nachylił się nad arkuszem i przejrzał go, mrużąc oczy, po czym umieścił na nim podpis i podał mi kopię.

– Takeshi Lev Kovacs – oświadczył, tak samo źle wymawiając moje nazwisko jak jego pracownik w pokoju ze zbiornikiem. – Na mocy władzy powierzanej mi przez Wydział Sprawiedliwości ONZ, wypuszczam pana, wynajmując Laurensowi Bancroftowi na okres nieprzekraczający sześciu tygodni. Po tym czasie pańskie zwolnienie warunkowe zostanie ponownie rozpatrzone. Proszę tu podpisać.

Wziąłem pióro i w miejscu wskazanym przez naczelnika napisałem swoje nazwisko cudzym charakterem pisma. Sullivan rozdzielił górną i dolną kopię, po czym podał mi tę różową. Lekarka przytrzymała drugi arkusz, przejęty po chwili przez Sullivana.

– To oświadczenie lekarskie potwierdzające, że Takeshi Kovacs (CC) został przejęty w nienaruszonym stanie od Administracji Sądowej Świata Harlana, po czym upowłokowano go w tym ciele. Poświadczony przeze mnie i zamknięty obwód monitorujący. W załączeniu dysk z kopią szczegółów transmisji i danymi zbiornika. Proszę podpisać deklarację.

Spojrzałem w górę w poszukiwaniu kamer. Bezskutecznie. Nie warto się rzucać. Po raz drugi przećwiczyłem swój nowy podpis.

– Oto kopia obowiązującej pana umowy wynajmu. Proszę ją uważnie przeczytać. Naruszenie któregośkolwiek z punktów może spowodować natychmiastowe przeniesienie pana na powrót do przechowalni i wykonanie kary w pełnym wymiarze albo tu, albo w innej instytucji wyznaczonej przez Administrację. Czy rozumie pan te warunki i zgadza się je realizować?

Wziąłem dokument i szybko go przeskanowałem. Standardowa papka. Zmodyfikowana wersja zwolnienia warunkowego, jakie podpisywałem już kilka razy na Świecie Harlana. Napisana nieco bardziej formalnym językiem, ale treść była ta sama. Zwyczajne pieprzenie. Podpisałem bez mrugnięcia okiem.

– No cóż. – Sullivan jakby stracił część swojej sztywności. –

Masz szczęście, Kovacs. Nie zmarnuj tej szansy.

Nigdy im się nie znudzi powtarzanie tego?

W milczeniu złożyłem moje kopie dokumentów i wcisnąłem je do kieszeni obok listu. Odwracałem się, by wyjść, gdy lekarka wstała z miejsca i wysunęła w moją stronę małą, białą karteczkę.

– Panie Kovacs.

Zatrzymałem się.

– Nie powinien pan mieć żadnych poważnych problemów z aklimatyzacją – stwierdziła. – To zdrowe ciało i jest pan do tego przyzwyczajony. Gdyby *jednak* działo się coś poważnego, proszę zadzwonić pod ten numer.

Wyciągnąłem rękę i chwyciłem kartkę z mechaniczną precyzją, której wcześniej nie zauważyłem. Neurochemia zaczynała zaskakiwać. Wsunąłem karteczkę do tej samej kieszeni co resztę papierów i wyszedłem, bez słowa przemierzając recepcję. Może byłem niewdzięcznikiem, ale nie sądziłem, żeby ktokolwiek w tym budynku zapracował już na moją wdzięczność.

Masz szczęście, Kovacs. Jasne. Ponad sto osiemdziesiąt lat świetlnych od domu, w ciele innego człowieka w ramach sześciotygodniowego wynajmu. Przetransportowany, by wykonać pracę, której lokalna policja nie tknęłaby nawet pałką. Zawiodę, a czeka mnie powrót do przechowalni. Czułem się tak szczęśliwy, że mijając drzwi, mógłbym zacząć śpiewać.

¹ CC – skrót od: Cyfrowy Człowiek (zamiennie z FCC – Format Cyfrowy Człowieka).

Rozdział drugi

Wszedłem do olbrzymiej, prawie pustej hali. Bardzo przypominała stację kolejową w domu, w Millsport. W popołudniowym słońcu świecącym przez przezroczysty, pochyły dach podłoga z hartowanego szkła błyszczała bursztynowym blaskiem. Kilkoro dzieci bawiło się automatycznymi drzwiami w wejściu, a w cieniu pod ścianą snuł się samotny robot porządkowy. Nic więcej się nie działo. Na starych, drewnianych ławkach siedzieli ludzie, czekając w ciszy na przyjaciół lub członków rodziny powracających z wygnania w zmodyfikowany węgiel.

Ośrodek Transferu.

Ludzie ci nie będą w stanie rozpoznać bliskich w ich nowych powłokach. To nowo przybyli musieli dokonywać identyfikacji, a w czekających niecierpliwość ponownego zjednoczenia była tłumiona przez zimny strach przed nieznanym ciałem i twarzą, którą trzeba będzie nauczyć się kochać. A może byli po prostu przedstawicielami kolejnych pokoleń i czekali na krewnych będących dla nich niczym więcej, jak tylko odległym wspomnieniem z dzieciństwa lub rodzinną legendą. Znałem jednego faceta w Korpusie, Murakamiego, który czekał na wypuszczenie pradziadka odstawionego ponad wiek wcześniej. Przyjechał do Newpest z litrem whisky i akcesoriami do bilardu. Wychował się na opowieściach o wyczynach pradziadka w salach bilardowych Kanagawy. Facet został odstawiony, zanim jeszcze Murakami się urodził.

Schodząc po schodach do sali, zauważyłem mój komitet powitalny. Wokół jednej z ławek kręciły się trzy potężne sylwetki, przechadzając się leniwie w ukośnych promieniach słońca. Przy każdym ich kroku w powietrze wzbijały się kłęby

kurzu. Na ławce siedziała czwarta postać, z założonymi rękami i wyciągniętymi nogami. Cała czwórka miała na nosach lustrzane okulary słoneczne, które z tej odległości zmieniały ich twarze w identyczne maski.

Kierując się w stronę drzwi, bynajmniej nie skręciłem w ich stronę, co musieli uświadomić sobie dopiero, gdy byłem już w połowie drogi przez halę. Dwóch z nich zmieniło kurs, by przejąć mnie ze spokojem niedawno karmionych, wielkich kotów. Potężni i groźnie wyglądający, z zadbanymi, czerwonymi irokezami na głowach, stanęli na mojej trasie kilka metrów przede mną, zmuszając mnie albo do zatrzymania się, albo do obejścia ich ostrym łukiem. Stałem. Świeżo po przybyciu i ledwie upowłokowiony – kiepskie warunki na wkurzanie lokalnej policji. Spróbowałem drugiego tego dnia uśmiechu.

– Mogę w czymś pomóc?

Starszy nonszalancko machnął w moją stronę odznaką, po czym zaraz ją schował, jakby mogła się zbrukać na powietrzu.

– Policja Bay City. Porucznik chce z tobą porozmawiać. – Zabrzmiało to tak, jakby planował dodać na końcu jakiś epitet.

Przybrałem postawę kogoś, kto mocno się zastanawia, czy pójść z nimi, ale mieli mnie i dobrze o tym wiedzieli. Godzinę po wyjściu ze zbiornika nie zna się swojego ciała na tyle, by pakować się nim w bójki. Zablockowałem obrazy śmierci Sary i pozwoliłem zaprowadzić się do siedzącego policjanta.

Porucznik okazała się kobietą po trzydziestce. Pod złotymi dyskami lustrzanek widać było kości policzkowe zdradzające amerindiańskie korzenie i szerokie usta chwilowo wykrzywione w cynicznym uśmiechu. Okulary wciśnięto na nos, którym można by otwierać konserwy. Całą twarz okalały krótkie, zmierzwiłe włosy, podpięte z przodu spinkami. Owinęła się w za dużą kurtkę wojskową, ale wystające spod okrycia długie nogi w czarnych spodniach zdradzały szczupłe ciało. Prawie przez minutę patrzyła na mnie w górę z rękami złożonymi na piersiach, zanim w końcu się odezwała.

– Kovacs, tak?

– Tak.

– Takeshi Kovacs? – Wymawiała to idealnie. – Ze Świata Harlana? Millsport via przechowalnia w Kanagawie?

– Po prostu przerwę, kiedy się pani pomyli.

Zapadła długa cisza, odbijająca się w lustrzanych soczewkach. Porucznik rozluźniła ramiona i zaczęła oglądać krawędź jednej ze swoich dłoni.

– Masz pozwolenie na to poczucie humoru, Kovacs?

– Przykro mi, zostało w domu.

– A co cię sprowadza na Ziemię?

Niecierpliwie machnąłem ręką.

– Przecież wiecie, inaczej by was tu nie było. Macie mi coś do powiedzenia czy po prostu przyprowadziła ich tu pani na pokazówkę?

Poczułem, jak na moim ramieniu zaciska się dłoń. Porucznik wykonała ledwie dostrzegalny gest głową i stojący za mną gliniarz rozluźnił uchwyt.

– Wyluzuj, Kovacs. Zagajam rozmowę. Tak, wiem, że wyciągnął cię Laurens Bancroft. Prawdę mówiąc, jestem tu, żeby zaproponować ci podwiezienie do jego rezydencji. – Nagle wyprostowała się na ławce i wstała. Była prawie równie wysoka jak moja nowa powłoka. – Kristin Ortega, wydział uszkodzeń organicznych. Zajmowałam się sprawą Bancrofta.

– Zajmowała się pani?

Kiwnęła głową.

– Sprawa jest zamknięta, Kovacs.

– Czy to ostrzeżenie?

– Nie, to po prostu fakty. Zwyczajne samobójstwo.

– Bancroft chyba w to wątpi. Twierdzi, że został zamordowany.

– Jasne, słyszałam. – Ortega wzruszyła ramionami. – Cóż, jego prawo. Pewnie trudno takiemu człowiekowi uwierzyć, że sam odstrzelił sobie głowę.

– Takemu człowiekowi?

– Och, daj spokój... – przerwała i uśmiechnęła się do mnie lekko. – Przepraszam, ciągle zapominam.

– O czym?

Kolejna przerwa, ale tym razem Kristin Ortega po raz pierwszy w trakcie naszej krótkiej znajomości wyglądała na wytrąconą z równowagi. Kiedy znów się odezwała, jej głos zdradzał wahanie.

– Nie jesteś stąd.

– Więc?

– Więc każdy tutejszy wiedziałby, jakim rodzajem człowieka jest Laurens Bancroft. To wszystko.

Zafascynowany powodem, dla którego ktoś mógłby tak nieudolnie kłamać całkowicie obcej osobie, spróbowałem ją uspokoić.

– Bogatym – zaryzykowałem – i potężnym.

– Widzisz. – Uśmiechnęła się słabo. – To jak, podwieźć cię?

Według listu, który miałem w kieszeni, przed terminalem powinien czekać na mnie szofer. Bancroft nic nie wspominał o policji. Wzruszyłem ramionami.

– Jeszcze nigdy nie odrzuciłem darmowej przejażdżki.

– Dobrze. Chodźmy.

Otoczyli mnie w drodze do drzwi i wyszli przede mną na zewnątrz jak ochroniarze, rozglądając się dookoła. Razem z Ortegą minęliśmy próg. Uderzył mnie w twarz ciepły blask słońca. Zmrużyłem oczy i udało mi się dostrzec zarysy budynków za prawdziwym płótem z siatki po drugiej stronie kiepsko utrzymanego lądowiska. Sterylne, brudnobiałe struktury, prawdopodobnie pochodzące jeszcze z ubiegłego tysiąclecia. Między dziwnie monochromatycznymi ścianami widać było fragmenty szarego, stalowego mostu, schodzącego na ląd gdzieś poza polem widzenia. Na płycie stała ustawiona w równych rzędach kolekcja szarych pojazdów lądowych i powietrznych. Nagły podmuch wiatru przyniósł ze sobą delikatną woń jakiegoś kwitnącego zielska, wyrastającego ze szczelin płyty lądowiska. Z dala dobiegał znajomy szum ludzkiej aktywności, a wszystko wyglądało jak scena z filmu.

– ...i powiadam, że jest tylko jeden sędzia! Nie wiercie

naukowcom, gdy mówią wam...

Skrzek kiepsko nastawionego wzmacniacza uderzył w nas, gdy schodziliśmy po schodach prowadzących od drzwi. Spojrzałem przez lądowisko i dostrzegłem tłumek zebrany wokół ubranego na czarno mężczyzny, stojącego na jakiejś skrzynce. Nad głowami słuchaczy w niekontrolowany sposób przesuwwały się holoplakaty. „NIE” DLA REZOLUCJI 653!! TYLKO BÓG MOŻE WSKRZESZAĆ!! FCC = Ś.M.I.E.R.Ć. Aplauz zagłuszył mówcę.

– Co to?

– Katolicy – wyjaśniła Ortega, zaciskając usta. – Stara sekta religijna.

– Tak? Nigdy o nich nie słyszałem.

– Nie miałeś szansy. Nie wierzą, że można zdigitalizować człowieka bez utraty duszy.

– Czyli niezbyt powszechne wyznanie.

– Tylko na Ziemi – skwitowała kwaśno. – Wydaje mi się, że Watykan, ich główny kościół, sfinansował kilka statków kriogenicznych do Starfall i Latimery.

– Byłem na Latimerze, ale nie zetknąłem się tam z czymś takim.

– Statki wyleciały dopiero na przełomie stuleci, Kovacs. Nie dolecą tam jeszcze przez kilkadziesiąt lat.

Gdy mijaliśmy zgromadzenie, młoda dziewczyna z włosami ściągniętymi do tyłu wyciągnęła w moją stronę rękę z ulotką. Gest był tak gwałtowny, że wyzwolił nieoswojone jeszcze odruchy mojej powłoki i zanim udało mi się nad tym zapanować, wykonałem blok. Zaskoczona dziewczyna znieruchomiała z wyciągniętą przed siebie ręką. Wziąłem od niej ulotkę z przepaszającym uśmiechem.

– Nie mają prawa – powiedziała dziewczyna.

– Och, zgadzam się.

– Tylko Pan Bóg może uratować twoją duszę.

– Ja... – Kristin Ortega odciągnęła mnie, łapiąc za ramię w sposób sugerujący dużą wprawę, ale uwolniłem się, uprzejmie, acz stanowczo. – Śpieszysz się?

– Tak, myślę, że oboje mamy lepsze rzeczy do roboty – wycodziła przez ściśnięte zęby, oglądając się na swoich kolegów, którzy także odganiaли się od osób rozdających ulotki.

– Mogłem chcieć z nią porozmawiać.

– Serio? Wyglądało raczej, jakbyś miał ją poszatkować.

– To powłoka. Wydaje mi się, że miała jakieś uwarunkowanie neurochemiczne, a ta kobieta to wyzwoliła. Wiesz, większość ludzi po transferze spędza kilka godzin na leżaco. Jestem trochę spięty.

Zapatrzyłem się na trzymaną w dłoni ulotkę. CZY MASZYNA MOŻE URATOWAĆ TWOJĄ DUSZĘ? Wyraz „maszyna” został wydrukowany literami nawiązującymi do czcionki archaicznego monitora komputerowego. „Dusza” napisano płynnymi, tańczącymi po całej stronie literami stereograficznymi. Odwróciłem papier w poszukiwaniu odpowiedzi.

NIE!!!!

– A więc zamrażanie jest w porządku, ale przesyłanie ludzi w formie cyfrowej już nie. Ciekawe. – W zamyśleniu spojrzałem na pobłyskujące plakaty. – Co to za Rezolucja 653?

– To precedensowa sprawa przechodząca przez sąd ONZ – wyjaśniła krótko Ortega. – Biuro prokuratora Bay City chce powołać na świadka katoliczkę z przechowalni. Świadek koronny. Watykan twierdzi, że ona już nie żyje i jest w rękach Boga. Według nich to bluźnierstwo.

– Rozumiem. A więc raczej nie masz tu problemów moralnych. Zatrzymała się i obróciła w moją stronę.

– Kovacs, nienawidzę tych cholernych palantów. Ciągnęli nas w dół przez prawie dwa i pół tysiąca lat. Są odpowiedzialni za więcej nieszczęść niż jakakolwiek inna organizacja w dziejach. Chryste, oni nie pozwalają nawet na *kontrolę urodzin* i przez pięć ostatnich stuleci przeciwstawiali się każdemu znaczącemu postępowi w medycynie. Praktycznie jedyna dobra rzecz, jaką można o nich powiedzieć, to fakt, że ta sprawa z FCC powstrzymała ich przed rozprzestrzenieniem się razem z resztą ludzkości!

Pojazd, którym miałem jechać, okazał się być sponiewieranym, ale bez wątplenia smukłym transportowcem Lockheeda-Mitomy, pomalowanym w, jak przypuszczam, typowe barwy policyjne. Latałem lock-mitami na Sharyi, ale tamte były całkowicie pokryte matową czernią, pochłaniającą promieniowanie radarowe. Ten pojazd, z wymalowanymi na nim białymi i czerwonymi pasami, wyglądały dość jarmarcznie. W kokpicie siedział nieruchomo pilot w okularach pasujących do reszty gangu Ortegi. Właz prowadzący do wnętrza pojazdu był już uniesiony. Wspinając się do środka, Ortega postukała w pancerz pojazdu, a turbiny zareagowały, budząc się z szumem.

Pomogłem jednemu z irokezów zamknąć właz, przy starcie oparłem się o ścianę, a potem przysunąłem się do okna. Gdy spirala lecieliśmy w górę, odwróciłem się, by utrzymać w polu widzenia tłumek pod nami. Pojazd wyprostował się mniej więcej sto metrów wyżej i lekko opuścił nos. Opadłem z powrotem w objęcia fotela i zauważyłem, że Ortega mi się przygląda.

– Nadal ciekaw, co? – zapytała.

– Czuję się jak turysta. Odpowiesz mi na pytanie?

– Jeśli będę mogła.

– Jeśli ci ludzie nie stosują kontroli urodzin, powinno ich tu być cholernie dużo. A Ziemia nie wygląda w tej chwili na strasznie aktywną, więc... Czemu to nie oni tu wszystkim rządzą?

Ortega wymieniła ze swoimi ludźmi złośliwe uśmiechy.

– Przechowalnia – rzucił irokez po lewej.

Klepnąłem się w tył czaszki, a potem zacząłem się zastanawiać, czy też używają tu tego gestu. To standardowe miejsce na stos korowy, ale gesty kulturowe nie zawsze działają w ten sposób.

– Przechowalnia. Oczywiście. – Przyjrzałem się twarzom moich rozmówców. – Nie ma dla nich wyjątku?

– Nie.

Z jakiegoś powodu ta wymiana zdań bardzo nas do siebie zbliżyła. Odprężyli się. Ten sam irokez uzupełnił:

– Dziesięć lat, trzy miesiące... Dla nich to to samo. Za każdym razem wyrok śmierci. Nigdy nie wychodzą z przechowalni. To urocze, nie?

– Eleganckie. – Kiwnąłem głową. – Co się dzieje z ich ciałami?

Facet naprzeciw mnie machnął ręką.

– Sprzedają, rozbierają na części. Zależy od rodziny.

Odwróciłem się i popatrzyłem w okno.

– Jakiś problem, Kovacs?

Popatrzyłem na Ortegę z nowym uśmiechem na twarzy. Chyba nabierałem w tym wprawę.

– Nie, nie. Po prostu myślę. Czuję się jak na innej planecie.

Wyszczерzyli zęby w uśmiechu.

* * *

Suntouch House

23 października

Takeshi-san.

Kiedy otrzyma pan ten list, niewątpliwie będzie pan nieco dezorientowany. Proszę przyjąć moje przeprosiny, ale zapewniono mnie, że trening, który przeszedł pan w Korpusie Emisariuszy, powinien umożliwić panu poradzenie sobie z tą sytuacją. Zapewniam pana także, że nie doprowadziłbym do tego, gdybym nie znajdował się w rozpaczliwej sytuacji.

Nazywam się Laurens Bancroft. Ponieważ pochodzi pan z kolonii, nic to dla pana nie znaczy. Niech wystarczy fakt, że jestem tu, na Ziemi, człowiekiem bogatym i potężnym, a w rezultacie mam wielu wrogów. Sześć tygodni temu zostałem zamordowany, co policja, z sobie tylko znanych powodów, postanowiła uznać za samobójstwo. Ponieważ morderca zasadniczo zawiódł, podejrzewam, że spróbuje ponownie, a biorąc pod uwagę nastawienie policji, tym razem może mu się udać.

Oczywiście, będzie się pan zastanawiał, co to ma wspólnego z panem i czemu ściągnięto pana sto osiemdziesiąt sześć lat świetlnych z przechowalni, by zajął się pan tak lokalną sprawą.

Moi prawnicy doradzili mi wynajęcie prywatnego detektywa, ale biorąc pod uwagę moje znaczenie w społeczności światowej, nie jestem w stanie zaufać nikomu, kogo mógłbym zaangażować na miejscu. Pańskie nazwisko podała mi Reileen Kawahara, dla której, jak rozumiem, wykonał pan osiem lat temu jakieś zadanie na Nowym Pekinie. Korpus Emisariuszy zlokalizował pana w Kanagawie kilka dni po moim zapytaniu, choć biorąc pod uwagę pańskie działania w ostatnim czasie, nie byli w stanie zaoferować żadnych gwarancji czy zobowiązań. Jak rozumiem, pracuje pan na własny rachunek.

Zwolniono pana na następujących warunkach:

Podejmie pan pracę dla mnie na sześć tygodni, z opcją odnowienia kontraktu, o ile konieczne będą dalsze działania. W tym czasie zobowiązuję się pokryć wszelkie rozsądne wydatki, jakich będzie wymagać śledztwo. Dodatkowo pokryję koszty wynajęcia powłoki.

W przypadku, gdy uda się panu zakończyć śledztwo sukcesem, reszta pańskiego wyroku w Kanagawie – sto siedemnaście lat i cztery miesiące – zostanie anulowana i trafi pan z powrotem na Świat Harlana, a tam natychmiast zostanie pan zwolniony do wybranej powłoki. Jeśli pan woli, zobowiązuję się do spłacenia hipoteki na obecną powłokę tu, na Ziemi, gdzie może pan zostać naturalizowanym obywatelem ONZ. W obu wypadkach zostanie panu wypłacona suma stu tysięcy dolarów ONZ lub jej ekwiwalent.

Uważam, że to hojna oferta, ale powinienem dodać, że nie jestem człowiekiem, którego można lekceważyć. W przypadku gdyby śledztwo zawiodło, zostałbym zabity lub próbowałby pan w jakiś sposób uciec albo naruszyć warunki kontraktu, powłoka, którą pan nosi, zostanie uśmiercona, a pan powróci do przechowalni i dokończy odbywanie kary tu, na Ziemi. Do wyroku mogą zostać doliczone wszelkie inne kary wynikłe z pańskich działań. Jeśli woli pan odrzucić moją ofertę, zostanie pan natychmiast przeniesiony z powrotem do przechowalni, choć w takim przypadku nie mogę panu zagwarantować transportu na Świat Harlana.

Mam nadzieję, że uzna pan tę sytuację za okazję i zgodzi się dla mnie pracować. W nadziei na to, wysyłam kierowcę, który odbierze pana z przechowalni. Nazywa się Curtis i należy do moich najbardziej zaufanych pracowników. Będzie czekał na pana w hali wyjściowej.

Oczekuję na spotkanie z panem w Suntouch House.

Z poważaniem,

Laurens J. Bancroft

Rozdział trzeci

Suntouch House zasłużył na swoją nazwę[2]. Z Bay City skierowaliśmy się na południe, lecąc jakieś pół godziny wzdłuż wybrzeża, aż zmiana w brzmieniu silników dała znać, że zbliżamy się do celu. Do tego czasu, w miarę jak słońce opadało ku oceanowi, światło wpadające przez okna po prawej nabrało barwy ciepłego złota. Kiedy zaczęliśmy schodzić w dół, wyjrzałem na zewnątrz, ogarniając wzrokiem fale koloru płynnej miedzi i niebo w kolorze czystego bursztynu. Przypominało to lądowanie w dzbanku miodu.

Pojazd przechylił się, dzięki czemu miałem możliwość dokładnego przyjrzenia się z góry posiadłości Bancrofta. Schodziła do oceanu w doskonale dobranych odcieniach zieleni i skał, wokół obszernej willi z ukośnym dachem, wystarczająco dużej, by pomieścić małą armię. Ściany były białe, dach koralowy, a armia – jeśli istniała – dobrze ukryta. Systemy bezpieczeństwa zainstalowane przez Bancrofta nie rzucały się w oczy. Kiedy zeszliśmy niżej, udało mi się dostrzec delikatne rozmycie płotu siłowego wzdłuż jednej z granic terenu. Dostatecznie słabe, by nie zniekształcać widoku z domu. Miłe.

Jakieś dziesięć metrów nad nieskazitelnie przyciętym trawnikiem pilot zaskakująco agresywnie wdepnął hamulec lądowania. Radiowóz zadygotał na całej długości i opadł na trawnik.

Spojrzałem na Ortegę z wyrzutem, ale mnie zignorowała. Otworzyła włącznik i wyszła na zewnątrz. Po chwili dołączyłem do niej, zeskakując na zniszczony w tym miejscu trawnik. Szturchając czubkiem buta rozerwaną darń, zawołałem do niej, starając się przekrzyczeć turbiny.

– O co tu chodzi? Wściekacie się na Bancrofta tylko dlatego, że

nie chce kupić historii o własnym samobójstwie?

– Nie. – Ortega uważnie zlustrowała dom, jakby zastanawiała się, czy warto do niego wejść. – Nie, nie dlatego wściekam się na pana Bancrofta.

– Powiesz mi, o co chodzi?

– Jesteś detektywem, kombinuj.

Zza domu wyszła młoda kobieta z rakietą tenisową w dłoni i ruszyła w naszą stronę. Zatrzymała się jakieś dziesięć metrów przed nami, wepchnęła raketę pod pachę i przykładając dłonie do ust, krzyknęła:

– Pan Kovacs?

Była piękna, miała w sobie letni urok słońca, wody i piasku, co doskonale podkreślały sportowe szorty i trykot. Gdy szła, złote włosy przesuwaly się po jej ramionach, całości dopełniał mlecznobiały uśmiech. Na czole i nadgarstkach nosiła opaski przeciwpotne, a sądząc po rosie na jej czole, nie znalazły się tam po to, by poprawić jej wygląd. Miała zgrabnie umięśnione nogi, i wyraźne bicepsy. Materiał trykotu opinał jej bujne piersi. Zastanawiałem się, czy ciało należało do niej.

– Tak! – krzyknąłem w odpowiedzi. – Takeshi Kovacs. Wypuszczono mnie dzisiaj po południu.

– Miał pan zostać odebrany z przechowalni... – Zabrzmiało to jak oskarżenie.

Rozłożyłem ręce.

– Cóż. I zostałem.

– ...ale nie przez *policję*. – Podeszła bliżej ze wzrokiem utkwionym w Ortegę. – Pani... Znam panią.

– Porucznik Ortega – przedstawiła się policjantka, jakby brała udział w przyjęciu. – Bay City, Wydział Uszkodzeń Organicznych.

– Tak, przypominam sobie. – Ton głosu zdradzał wrogość. – Przypuszczam, że to pani zaaranżowała aresztowanie naszego szofera na podstawie jakichś sfabrykowanych wykroczeń.

– Nie, proszę pani, to Wydział Ruchu – odpowiedziała uprzejmie Ortega. – Nie mam władzy w tamtym wydziale.

Kobieta uśmiechnęła się szyderczo.

– Och, z pewnością, pani porucznik. I jestem pewna, że nie zna pani nikogo, kto tam pracuje. – Przybrała pouczający ton. – Zdaje pani sobie sprawę, że wyjdzie stamtąd przed zachodem słońca.

Zerknąłem w bok, by zobaczyć reakcję Ortegi, ale niczego nie dostrzegłem, orli profil pozostał niewzruszony. Jednak większość uwagi skupiłem na uśmiechu drugiej kobiety. Był to paskudny grymas, na dodatek należący do znacznie starszej twarzy.

Pod ścianą domu stało dwóch potężnych mężczyzn z przewieszoną przez ramiona bronią automatyczną. Stali pod okapem i przyglądali się nam od chwili przybycia, ale teraz wysunęli się z cienia i zaczęli iść w naszą stronę. Obserwując lekko rozszerzone oczy kobiety, domyśliłem się, że wezwwała ich wewnętrznym mikrofonem. Sprytne. Na Świecie Harlana ludzie wciąż mają awersję do wmontowywania sobie sprzętu, ale wyglądało na to, że na Ziemi jest trochę inaczej.

– Nie jest tu pani mile widziana, pani porucznik – oświadczyła kobieta lodowatym tonem.

– Właśnie wychodzę – odpowiedziała Ortega.

Nieoczekiwanie przyjacielskim gestem klepnęła mnie w ramię i spacerkiem skierowała się z powrotem do transportowca. Nagle zatrzymała się jednak i odwróciła w moją stronę.

– Kovacs, prawie zapomniałam. Będziesz tego potrzebował. – Sięgnęła do kieszeni na piersi i rzuciła w moją stronę małe opakowanie.

Odruchowo złapałem i spojrzałem na pudełko. Papierosy.

– Do zobaczenia! – Wskoczyła na pokład pojazdu i zatrzasnęła właz.

Przez szybę dostrzegłem, że patrzy na mnie. Transportowiec wystartował na pełnym ciągu, ścierając na miazgę ziemię pod spodem i wyrywając brzdęk wzdłuż trawnika. Patrzyliśmy, jak znika z pola widzenia.

– Urocze – odezwała się stojąca przy mnie kobieta.

– Pani Bancroft?

Odwróciła się. Sądząc po wyrazie jej twarzy, nie byłem tu oczekiwany o wiele bardziej niż Ortega. Widziała przecież

przyjazny gest pani porucznik i, co nie uszło mojej uwadze, wykrzywiła usta z dezaprobatą.

– Mąż wysłał po pana samochód, panie Kovacs. Cemu pan na niego nie zaczekał?

Wyciągnąłem list Bancrofta.

– Tu jest napisane, że samochód będzie na miejscu. Nie było go.

Sięgnęła, by odebrać mi list, ale odsunąłem go poza jej zasięg. Stała naprzeciw mnie, z rumieńcem na twarzy i piersiami unoszącymi się i opadającymi w bardzo rozpraszający sposób. Ciało wsadzone do zbiornika produkuje hormony mniej więcej jak w trakcie snu. Gwałtownie uświadomiłem sobie, że sztywnieje mi jak wąż strażacki pod ciśnieniem.

– Powinien pan poczekać.

Przypomniałem sobie nagle usłyszaną kiedyś informację, że grawitacja na Świecie Harlana wynosi 0,8 g. Znow poczułem się nieproporcjonalnie ciężki. Wpuściłem wstrzymywany oddech.

– Pani Bancroft, gdybym czekał, wciąż by mnie tu nie było. Możemy wejść do środka?

Jej oczy rozszerzyły się trochę i nagle dostrzegłem w nich, ile naprawdę miała lat. Potem opuściła wzrok i przywołała samokontrolę. Kiedy znow się odezwała, jej głos złagodniał.

– Przepraszam, panie Kovacs. Zapomniałam się. Jak pan widzi, policja nie była zbyt życzliwa. To denerwujące i dlatego czasem tracimy cierpliwość. Myślę, że może nas pan zrozumieć.

– Nie musi się pani tłumaczyć.

– Ale naprawdę jest mi przykro. Zazwyczaj taka nie jestem. Nikt z nas nie jest. – Wykonała gest wokół siebie, jakby sugerując, że stojący za nią uzbrojeni strażnicy normalnie zamiast broni noszą naręcza kwiatów. – Proszę przyjąć przeprosiny.

– Oczywiście.

– Mąż czeka na pana w sali klubowej od strony wybrzeża. Zaprowadzę pana do niego.

Wnętrze domu było jasne i przestronne. Przy drzwiach werandy czekała na nas służąca, bez słowa odebrała od pani Bancroft jej rakietę tenisową. Poszliśmy marmurowym holem

obwieszonym dziełami sztuki, które dla mojego niewykształconego oka wyglądały na stare. Rysunki Gagarina i Armstronga, empatystyczne wizualizacje Konrada Harlana i Angin Chandry. Na końcu galerii, na postumencie, umieszczono coś, co wyglądało jak wąskie drzewo zrobione z kruchego, czerwonego kamienia. Stałem przed nim, a pani Bancroft musiała cofnąć się od zakrętu, za którym prawie zdążyła zniknąć.

– Podoba się panu? – zapytała.

– Bardzo. To z Marsa, prawda?

Kątem oka zauważyłem zmianę wyrazu jej twarzy. Zmieniała zdanie na mój temat. Obróciłem się, by uważniej się jej przyjrzeć.

– Jestem pod wrażeniem – stwierdziła.

– Ludziom często się to zdarza.

Spojrzała na mnie taksująco.

– Naprawdę wie pan, co to jest?

– Szczerze mówiąc, nie. Kiedyś interesowałem się sztuką strukturalną. Poznaję kamień ze zdjęć, ale...

– To śpiewodrzew. – Sięgnęła za mnie i przejechała palcami po jednej z gałęzi.

Z obiektu dobiegł delikatny śpiew, a powietrze wypełnił aromat wiśni i musztardy.

– To żyje?

– Tego nikt nie wie. – W jej głosie obudził się nagły entuzjazm, za który od razu bardziej ją polubiłem. – Na Marsie rosną do stu metrów, czasem sięgając u podstawy szerokość domu. Ich śpiew niesie się na wiele kilometrów, podobnie jak woń. Na podstawie śladów erozji oceniamy, że mają przynajmniej po dziesięć tysięcy lat. Ten może być na świecie zaledwie od czasów powstania Imperium Rzymskiego.

– Musiało być drogie. Mam na myśli sprowadzenie go na Ziemię.

– To nie pieniądze stanowiły problem, panie Kovacs. – Maskę wróciła na swoje miejsce. – Czas ruszać.

Kiedy skręciliśmy w lewo, znacznie przyśpieszyliśmy, być

może, by nadrobić czas stracony na nieprzewidziany postój. Z każdym krokiem piersi pani Bancroft podskakiwały pod materiałem trykotu, więc starałem się poświęcić całą uwagę sztuce po drugiej stronie korytarza. Więcej dzieł empatystów, Angin Chandra z wąską dłonią spoczywającą na sterczącej, fallicznej rakiemie. Nie pomagało.

Nadmorską salę klubową zbudowano na końcu zachodniego skrzydła domu. Pani Bancroft wprowadziła mnie do niej przez niepozorne drewniane drzwi, a gdy tylko weszliśmy, oślepił nas blask słońca.

– Laurens, to pan Kovacs.

Uniosłem dłoń, by osłonić oczy. Zauważyłem, że w sali znajdował się wyższy poziom z rozsuwanymi, szklanymi drzwiami wychodzącymi na taras. Stał tam mężczyzna, opierając się o barierkę. Musiał słyszeć, jak wchodzimy. Prawdę mówiąc, musiał słyszeć także przyłot pojazdu policji, ale mimo to został na miejscu, wpatrując się w ocean. Zmartwychwstanie wywołuje czasem takie reakcje. A może po prostu była to arogancja. Pani Bancroft kiwnęła głową w stronę galerii i weszła po schodach wykonanych z takiego samego drewna jak drzwi. Dopiero teraz zauważyłem, że od podłogi do sufitu ściany pokoju były zastawione półkami pełnymi książek. Słońce pokrywało ich grzbiety równomiernym, pomarańczowym blaskiem.

Kiedy weszliśmy na balkon, Bancroft odwrócił się ku nam. W ręce trzymał złożoną książkę, palcem zaznaczając jakąś stronę.

– Pan Kovacs. – Przełożył książkę, by wyciągnąć do mnie dłoń na powitanie. – Miło wreszcie pana spotkać. Jak się panu podoba nowa powłoka?

– W porządku. Wygodna.

– Tak. Nie angażowałem się zbyt w szczegóły, ale poleciłem swoim prawnikom znalezienie czegoś... odpowiedniego. – Zerknął do tyłu, jakby szukając na horyzoncie radiowozu Ortegi.

– Mam nadzieję, że policja nie była zbyt nadgorliwa.

– Jak dotąd nie.

Bancroft wyglądał jak Człowiek, Który Czyta. Na Świecie Harlana bardzo popularny jest gwiazdor sensorii, Alain Marriott, najbardziej znany ze swojej roli młodego filozofa quelistycznego, rozbijającego mroki brutalnej tyranii wczesnych lat Osiedlenia. Wiarygodność quelisty jest wątpliwa, ale to niezły kawałek. Widziałem go dwukrotnie. Bancroft bardzo przypominał starszą wersję Marriotta w tej roli. Był szczupły i elegancki, z rudoszarymi włosami ściągniętymi w koński ogon i czarnymi oczami o twardym spojrzeniu. Książka w jego dłoni i te na półkach zdawały się całkowicie naturalnym przedłużeniem kryjącego się za ich czernią prężnego umysłu.

Gospodarz dotknął ramienia żony ze swobodą, która w moim obecnym stanie sprawiła, że zachciało mi się płakać.

– To znów ta kobieta – odezwała się pani Bancroft. – Porucznik. Bancroft skinął głową.

– Nie przejmuj się tym, Miriam. Po prostu tu węszą. Ostrzegłem ich, że zamierzam to zrobić, ale mnie zignorowali. Cóż, teraz pan Kovacs jest z nami i wreszcie traktują mnie poważnie.

Odwrócił się do mnie.

– Policja nie była w tej sprawie zbyt pomocna.

– No tak. Najwyraźniej dlatego tu jestem.

Mierzyliśmy się wzrokiem, a ja usiłowałem zdecydować, czy jestem zły na tego człowieka, czy nie. Ciągnął mnie przez pół zamieszkałego kosmosu, wrzucił w nowe ciało i zaoferował interes o takiej wadze, że nie mogłem odmówić. Bogacze robią takie rzeczy. Mają władzę i nie widzą powodu, żeby z niej nie korzystać. Mężczyźni i kobiety stanowią dla nich po prostu towar, jak wszystko inne. Zapisać, przesłać, przelać. Proszę podpisać na dole.

Z drugiej strony, nikt w Suntouch House jeszcze nie zniekształcił mojego nazwiska, i tak naprawdę nie miałem wyboru. No i pieniądze. Sto tysięcy dolarów ONZ to mniej więcej sześć razy tyle, ile spodziewaliśmy się zarobić z Sarą na kradzieży części organicznych w Millsport. Dolary Narodów

Zjednoczonych, najtwardsza istniejąca waluta, wymienialna na każdej planecie w Protektoracie.

Warto było trzymać nerwy na wodzy.

Bancroft jeszcze raz dotknął żony, tym razem w talii, odpychając ją lekko.

– Miriam, czy mogłabyś nas zostawić samych? Jestem pewien, że pan Kovacs będzie miał mnóstwo nudnych dla ciebie pytań.

– Właściwie będę miał również trochę pytań do pani Bancroft.

Już wychodziła, ale moje słowa zatrzymały ją w pół kroku. Obróciła głowę i spojrzała najpierw na mnie, potem na Bancrofta i znów na mnie. Jej mąż wykonał jakiś gest. Nie tego chciał.

– Może mógłbym porozmawiać z panią później – poprawilem się. – Na osobności.

– Tak, oczywiście. – Jej spojrzenie skupiło się na moich oczach, potem odpłynęło. – Laurens, będę w sali map. Wyślij do mnie pana Kovacsa, kiedy skończycie.

Obaj przyglądaliśmy się, jak wychodzi, a kiedy zamknęły się za nią drzwi, Bancroft zaprosił mnie gestem do jednego z krzeseł na balkonie. Za nimi, zbierając kurz, stał antyczny teleskop astronomiczny, skierowany na horyzont. Patrząc w dół na panele pod stopami, zauważyłem, że były mocno zużyte. Uświadomiłem sobie wtedy upływ lat... Usiadłem powoli, czekając na kolejny ruch Bancrofta.

– Proszę nie uważać mnie za szowinistę, panie Kovacs. Po prawie dwustu pięćdziesięciu latach małżeństwa mój związek z Miriam opiera się bardziej na uprzejmości niż czymkolwiek innym. Naprawdę będzie lepiej, jeśli porozmawia pan z nią na osobności.

– Rozumiem. – Nieco naciągałem prawdę, ale to musiało wystarczyć.

– Ma pan ochotę na coś do picia? Jakiś alkohol?

– Nie, dziękuję. Tylko sok, jeśli można.

Z minuty na minutę wzrastało we mnie roztrzęsienie związane z transferem, a na dodatek odczuwałem nieprzyjemne swędzenie w stopach i palcach, które – jak przypuszczałem – wiązało się

z uzależnieniem od nikotyny. Jeśli pominąć dziwne papierosy rzucone mi przez Ortegę, skończyłem z paleniem dwie powłoki temu i nie miałem ochoty wracać do nałogu. Dodać do tego alkohol i byłoby po mnie.

– Oczywiście. – Bancroft złożył dłonie na podółku. – Zaraz coś przyniosą. No dobrze, od czego chciałby pan zacząć?

– Może powinniśmy zacząć od pańskich oczekiwań. Nie wiem, co powiedziała panu Reileen Kawahara albo jakie opinie o Korpusie Emisariuszy krążą na Ziemi, ale proszę nie oczekiwać ode mnie cudów. Nie jestem czarodziejem.

– Jestem tego świadom. Uważnie przestudiowałem literaturę na temat Korpusu. A Reileen Kawahara powiedziała mi jedynie, że można na panu polegać, pomimo że jest pan odrobinę wybredny.

Pamiętałem metody Kawahary i swoją reakcję na nie. Wybredny! Jasne...

I tak sprzedałem mu standardową gadkę. Bawiło mnie, że przekonuję do siebie klienta, z którym i tak już ubiłem interes, wyliczając mu, co mogę zrobić. Światek przestępczy nie ceni skromności, jeśli chcesz być poważnie traktowany, musisz maksymalnie wyolbrzymić swoją reputację. Przypominało to trochę powrót do Korpusu. Długi, błyszczący stół konferencyjny i Virginia Vidaura wyliczająca umiejętności jej zespołu.

– Szkolenie Emisariuszy stworzono dla jednostek komandosów ONZ. Co nie oznacza, że...

Nie oznacza, że każdy Emisariusz jest komandosem. Nie, niezupełnie, ale właściwie, kim jest żołnierz? Ile ze szkolenia sił specjalnych odciska się na ciele, a ile w umyśle? I co się stanie, jeśli się je rozdzieli?

To banał, co powiem, ale... kosmos jest wielki. Najbliższy z Zamieszkałych Światów znajduje się pięćdziesiąt lat świetlnych od Ziemi. Najdalszy – cztery razy dalej, a niektóre z transportowców kolonizacyjnych wciąż tam jeszcze lecą. Jeśli jakiś maniak zacznie potrząsać ładunkami taktycznymi albo

innymi zabawkami zagrażającymi biosferze, to co wtedy? Informację można przesyłać za pomocą strunowej transmisji nadprzestrzennej niemal natychmiastowo, a naukowcy wciąż spierają się o użycie tego „niemal”, ale cytując Quellcristę Falconer, w ten sposób nie prześle się żadnych cholernych dywizji. Nawet gdyby wystrzelić transportowiec z wojskiem, gdy tylko zaczniesz się bałagan, oddziały ekspedycyjne doleciałyby na miejsce akurat na czas, by pobawić się z wnukami zwyczajców.

To nie jest metoda na rządzenie Protektorem.

Dobra, można zdigitalizować i przesłać umysły solidnej grupy bojowej. Dawno już minęły czasy, gdy w wojnie decydowała liczebność – większość zwycięstw ostatniej połowy tysiąclecia została osiągnięta przez małe, ruchliwe siły partyzanckie. Można nawet przelać FCC żołnierzy wprost w powłoki z uwarunkowaniem bojowym, podrasowanym systemem nerwowym i ciałami napakowanymi hormonami. I co dalej?

Znajdą się w ciałach, których nie znają, w nieznanym świecie, walcząc przeciwko innym obcym za sprawę, o której prawdopodobnie nigdy nawet nie słyszeli, a już z pewnością jej nie rozumieją. Klimat jest inny, tak samo jak język, kultura, zwierzęta, roślinność i atmosfera. Szlag, różni się nawet *grawitacja*! O niczym nie mają pojęcia, a nawet jeśli przetransferuje się ich z wszczepioną wiedzą o lokalnych warunkach, dostaną potężną dawkę informacji, której nie będą mieli szansy zasymilować, bo najprawdopodobniej już kilka godzin po upowłokowaniu będą musieli walczyć na śmierć i życie.

I tu właśnie wkracza Korpus Emisariuszy.

Wspomaganie neurochemiczne, interfejsy elektroniczne, mechanika – to wszystko dotyczy fizycznych możliwości działania człowieka. Większość z tego nie ma nic wspólnego z umysłem, a tymczasem to właśnie umysł zostaje przetransferowany. Stąd wziął się Korpus. Zaczęli od technik psychoduchowych, od tysiącleci rozwijanych na Ziemi przez

kultury orientalne, i wydestylowali je w system szkoleniowy tak złożony, że jego absolwenci na większości planet mają prawny zakaz sprawowania jakichkolwiek stanowisk wojskowych lub politycznych.

To nie są żołnierze.

W każdym razie, niezupełnie.

– Pracuję przez asymilację – zakończyłem. – Bez względu na to, z czym się zetknę, wchłaniam to i wykorzystuję, by iść dalej.

Bancroft poprawił się na krześle. Nie był przyzwyczajony do wysłuchiwania wykładów. Najwyższa pora zaczynać.

– Kto znalazł pańskie ciało?

– Moja córka, Naomi.

Przerwał na dźwięk otwieranych drzwi. Po chwili schodami na galerijkę weszła ta sama służąca, która wcześniej odebrała od Miriam Bancroft raketę, tym razem niosła tacę z dzbankiem wyraźnie schłodzonego soku i dwie wysokie szklanki. Wyglądało na to, że podobnie jak wszyscy w Suntouch House, Bancroft miał wbudowany mikrofon.

Służąca odstawiła tacę, w ciszy nalała sok do szklanek i wycofała się po krótkim skinieciu ze strony Bancrofta. Przez chwilę patrzył, jak wychodzi.

Zmartwychwstanie. To nie żart.

– Naomi – przypomniałem mu delikatnie.

– Och... – Zamrugął. – Tak. Weszła tu, bo czegoś ode mnie chciała. Prawdopodobnie kluczyki do jednej z limuzyn. Obawiam się, że jestem zbyt pobłażliwym ojcem, a Naomi jest moim najmłodszym dzieckiem.

– Ile ma lat?

– Dwadzieścia trzy.

– Ma pan więcej dzieci?

– Tak... – Bancroft uśmiechnął się nieznacznie. – Kiedy ma się czas i pieniądze, wychowywanie dzieci to czysta przyjemność. Mam dwudziestu siedmiu synów i trzydzieści cztery córki.

– Mieszkają z panem?

– Naomi – przez większość czasu. Inne dzieci odwiedzają nas

tylko i wracają do siebie. Większość ma już własne rodziny.

– Jak się ma Naomi? – Złagodziłem trochę ton. – Znalezienie własnego ojca bez głowy to nie jest najlepszy początek dnia.

– Jest na psychochirurgii – odpowiedział lakonicznie Bancroft.
– Ale przejdzie przez to. Chce pan z nią rozmawiać?

– W tej chwili nie. – Wstałem z krzesła i podszedłem do drzwi balkonowych. – Powiedział pan, że to się stało w tym pokoju.

– Tak. – Bancroft dołączył do mnie przy drzwiach. – Ktoś dostał się do środka i wypalił mi głowę blasterem cząsteczkowym. Może pan zobaczyć ślad po strzale na dole ściany, przy biurku.

Wszedłem do środka. Potężne biurko wykonano z drzewa lustrzanego – musieli przesłać kod genetyczny ze Świata Harlana i wyhodować je tutaj. Było równie ekstrawaganckie jak śpiewodrzew w korytarzu, choć w dużo gorszym guście. Na Świecie drzewo lustrzane rośnie w lasach na trzech kontynentach i praktycznie każda mordownia w Millsport ma blat barowy z czegoś takiego. Ominąłem je, by przyjrzeć się ścianie ze sztukaterią. Biała powierzchnia była rozdarta i osmalona charakterystycznym śladem po broni energetycznej. Wypalona blizna zaczynała się na wysokości głowy i opadała krótkim łukiem.

Bancroft został na balkonie. Spojrzałem w górę, na zarys jego twarzy.

– To jedyny ślad strzałów w pokoju?

– Tak.

– Nic innego nie zostało uszkodzone, zniszczone czy choćby przesunięte?

– Nie, nic. – Widać było, że ma ochotę powiedzieć coś więcej, ale powstrzymywał się do czasu, aż skończę.

– A policja znalazła broń obok pana?

– Tak.

– Posiada pan broń, z której można by to zrobić?

– Tak. Jest moja. Trzymam ją w otwieranym odciskiem dłoni sejfie pod biurkiem. Znaleźli otwarty sejf, nic innego nie zginęło. Chce pan zajrzeć do środka?

– Nie w tej chwili. – Z doświadczenia wiedziałem, jak trudno jest przesunąć meble z drzewa lustrzanego. Uniosłem róg tkanego wełnianego dywanu na podłozie pod biurkiem. Pod spodem dostrzegłem ledwie widoczną szparę. – Czyje odciski to otwierają?

– Miriam i moje.

Zapadła znacząca cisza. Bancroft westchnął dostatecznie głośno, bym go usłyszał.

– No dalej, Kovacs, powiedz to. Wszyscy inni już to zrobili. Albo popełniłem samobójstwo, albo zamordowała mnie żona. Nie ma innego rozsądnego wytłumaczenia. Słyszę to, od kiedy wyciągnęli mnie ze zbiornika w Alcatraz.

Zanim spojrzałem mu w oczy, wolno rozejrzałem się po pokoju.

– Cóż, przyzna pan, że takie rozwiązanie nasuwa się samo i ułatwia pracę policji – stwierdziłem.

Prychnął drwiąco. Stwierdziłem, że wbrew sobie zaczynam lubić tego człowieka. Wszedłem z powrotem na balkon i przechyliłem się nad barierką. Na zewnątrz po trawniku przechadzała się ubrana na czarno postać z bronią w ręku. W oddali migotał płot energetyczny. Przez chwilę patrzyłem w tamtym kierunku.

– Trzeba sporo dobrej woli, by uwierzyć, że ktoś dostał się tu, omijając ochronę, włamał się do sejfu, do którego dostęp miał tylko pan i pańska żona, i zamordował pana, nie niszcząc niczego innego. Jest pan inteligentnym człowiekiem, musi pan mieć jakieś powody, żeby w to wierzyć.

– Och, mam. Kilka.

– Ale policja postanowiła je zignorować.

– Tak.

Odwróciłem się do niego.

– A więc proszę je przedstawić.

– Patrzy pan na nie, panie Kovacs. – Stał przede mną. – Jestem tu. Wróciłem. Nie można mnie zabić, tak po prostu niszcząc mój stos korowy.

– Oczywiście, ma pan zdalną kopię, bo inaczej by tu pana nie było. Jak często jest aktualizowana?

Bancroft uśmiechnął się.

– Co czterdzieści osiem godzin. – Poklepał się po karku. – Bezpośredni przekaz strunowy stąd do ekranowanej przechowalni w instalacjach Psychasecu w Alcatraz. Nawet nie muszę o tym myśleć.

– I trzymają tam też w lodzie pańskie klony.

– Tak. Kilka kopii.

Gwarantowana nieśmiertelność. Siedziałem, zastanawiając się przez chwilę, zadumany, czy by mi się to podobało.

– To musi być drogie – stwierdziłem w końcu.

– Nie bardzo. Jestem właścicielem Psychasecu.

– Ooo...

– Rozumie pan, Kovacs, że ani ja, ani moja żona nie mogliśmy pociągnąć za spust. Oboje wiemy, że to nie wystarczy, by mnie zabić. Niezależnie od tego, jak mało prawdopodobne się to wydaje, *musiał* to być ktoś obcy. Ktoś, kto nie wiedział o kopii.

– W porządku. – Kiwnąłem głową. – A kto jeszcze o tym wiedział? Ograniczmy krąg podejrzanych.

– Poza moją rodziną? – Bancroft wzruszył ramionami. – Moja prawniczka, Oumou Prescott. Kilku jej pomocników. Dyrektor Psychasecu. I już.

– Oczywiście – rzuciłem – samobójstwo rzadko stanowi akt racjonalny.

– Tak, to właśnie powiedziała policja. I tak wyjaśniła wszystkie drobne niespójności swojej teorii.

– To znaczy?

To właśnie Bancroft miał ochotę powiedzieć już wcześniej. Mówił bardzo szybko.

– To znaczy, że postanowiłem przejść ostatnie dwa kilometry do domu pieszo, a potem przed zabiciem się najwyraźniej ustawiałem zegar wewnętrzny.

– Słucham? – Zamrugąłem.

– Policja znalazła ślady lądowania pojazdu dwa kilometry

od Suntouch House, co oznacza, że odbyło się akurat poza zasięgiem monitorów systemu bezpieczeństwa domu. Równie szczęśliwym zbiegiem okoliczności właśnie o tej porze nie było w górze żadnego satelity monitorującego.

– Sprawdzili rejestry taksówek?

Bancroft skinął głową.

– Na ile to coś warte, tak. Prawo Zachodniego Wybrzeża nie zmusza firm przewozowych do przechowywania rejestrów tras ich pojazdów. Część z bardziej znaczących oczywiście i tak to robi, ale inne nie. Niektóre robią z tego nawet swój atut i opierają na tym reklamy. Poufność danych klienta, te sprawy...

– Przez twarz Bancrofta przemknął dziwnie drapieżny uśmiezek. – Dla części klientów w niektórych sytuacjach to duży plus.

– Czy korzystał pan w przeszłości z usług takich firm?

– Czasami.

W powietrzu zawisło kolejne logiczne pytanie. Nie zadałem go, czekałem. Jeśli Bancroft nie zamierzał podzielić się ze mną informacją, dlaczego korzystał z poufnych środków transportu, nie zamierzałem go naciskać do czasu, aż wykluczę kilka innych opcji.

Bancroft odchrząknął.

– Istnieją pewne dowody sugerujące, że wzmiankowany pojazd mógł nie być taksówką. Policja twierdzi, że chodzi o rozkład pola. Wzór odpowiada większemu pojazdowi.

– To zależy od tego, jak ostro wylądował.

– Wiem. W każdym razie moje ślady prowadzą od miejsca lądowania i najwyraźniej stan moich butów odpowiadał dwukilometrowemu marszowi przez pole. I jest jeszcze telefon, jaki stąd wykonałem krótko po trzeciej nad ranem, kiedy mnie zabito. Kontrola czasu. Na linii nie słyszać głosu, tylko oddech.

– Policja wie również o tym?

– Oczywiście, że tak.

– Jak to tłumaczą?

– W ogóle nie tłumaczą. – Uśmiechnął się blado. – Według nich

samotny spacer w deszczu pasuje do samobójstwa i najwyraźniej nie widzą żadnej niekonsekwencji w tym, że człowiek chce sprawdzić wewnętrzny chronochip, zanim odstrzeli sobie głowę. Jak sam pan powiedział, samobójstwo nie stanowi aktu racjonalnego. Mają tego typu historie w aktach. Najwyraźniej świat pełen jest nieudaczników, którzy się zabijają, by następnego dnia obudzić się w nowej powłoce. Już mi to wyjaśniano. Zapominają, że mają stos, albo nie wydaje im się to istotne w chwili, kiedy podejmują decyzję. Nasz ukochany system opieki zdrowotnej sprowadza ich z powrotem, pomimo ich samobójstwa, nic sobie nie robiąc z ich życzeń. Interesujące naruszenie praw, nie sądzi pan? Czy na Świecie Harlana obowiązuje ten sam system?

– Mniej więcej. – Wzruszyłem ramionami. – Jeśli żądanie jest poświadczane prawnie, muszą dać spokój. W innym przypadku nieożywienie stanowi naruszenie prawa.

– To chyba rozsądny środek ostrożności.

– Tak. Nie pozwala mordercom pozorować samobójstw.

Bancroft oparł się o barierkę i spojrzał mi w oczy.

– Panie Kovacs, mam trzysta pięćdziesiąt siedem lat. Przeżyłem wojny korporacyjne, upadek mojego imperium przemysłowego i handlowego, prawdziwe śmierci dwojga moich dzieci, przynajmniej trzy poważne kryzysy ekonomiczne i wciąż tu jestem. Nie należę do ludzi, którzy targają się na własne życie, *a nawet gdyby*, nie spartaczyłbym tego w taki sposób. Gdybym chciał się zabić, nie rozmawiałby pan teraz ze mną. Czy to jasne?

– Tak, całkowicie. – Patrzyłem prosto w jego ciemne oczy.

– To dobrze. – Odwrócił wzrok. – Możemy kontynuować?

– Oczywiście. Policja... Niezbyt pana lubią, prawda?

Bancroft uśmiechnął się smutno.

– Mamy z policją problem perspektywy.

– Perspektywy?

– Właśnie. – Przesunął się wzdłuż balkonu. – Proszę podejść, pokażę panu, co mam na myśli.

Ruszyłem wzdłuż barierki, zahaczając po drodze łokciem

o rurę teleskopu, przez co lekko się przesunął. Zaczynały się transferowe dreszcze. Silniczek pozycyjny urządzenia zaszumiał cicho i przywrócił mu pierwotne nachylenie. Na antycznym wyświetlaczu pamięci pojawiły się parametry ustawień kąta i ostrości. Zatrzymałem się, by obejrzeć pozycjonowanie. W kurzu pokrywającym klawiaturę widać było odciski palców.

Bancroft albo nie zauważył mojej niezręczności, albo był zbyt uprzejmy, by ją skomentować.

– Pański? – zapytałem, wskazując na teleskop.

Zerknął na niego nieobecny wzrokiem.

– Kiedyś. Pasjonował mnie w czasach, gdy jeszcze warto było wpatrywać się w gwiazdy. Nie może pan pamiętać tego uczucia – powiedział to bez świadomej arogancji, prawie od niechcienia. Jego głos stracił część mocy, jak gasnąca transmisja. – Ostatni raz patrzyłem przez te soczewki prawie dwa wieki temu. Wiele ze statków kolonizacyjnych wciąż jeszcze kontynuowało swoją podróż. Czekaliśmy, by się przekonać, czy im się uda. Czekaliśmy na wiązki superstrunowe, które do nas wrócą. Jak światła latarni.

Zapominał o mnie. Sprowadziłem go z powrotem do rzeczywistości.

– Perspektywa...? – przypomniałem łagodnie.

– Perspektywa. – Kiwnął głową i przesunął ręką, wskazując na swoją posiadłość. – Widzi pan to drzewo? Zaraz za kortem tenisowym.

Trudno było go nie zauważyć. Powykrzywiany, stary potwór wyższy od domu, ocieniający obszar wielkości kortu. Kiwnąłem głową.

– To drzewo ma ponad siedemset lat. Kiedy kupiłem tę posiadłość, wynająłem projektanta, a on chciał je ściąć. Planował wybudować dom wyżej, na zboczu i drzewo psuło widok na ocean. Zwolniłem go.

Odwrócił się, żeby sprawdzić, czy dociera do mnie to, co chce przekazać.

– Widzi pan, panie Kovacs, ten architekt miał trochę ponad trzydzieści lat i drzewo po prostu utrudniało mu pracę.

Przeszkadzało mu. Nie robił na nim wrażenia fakt, że było częścią świata ponad dwadzieścia razy dłużej niż trwało jego życie. Nie miał szacunku dla takich spraw.

– A więc jest pan drzewem.

– Właśnie. – Bancroft zgodził się łagodnie. – Jestem drzewem. Policja chciałaby mnie wyciąć, tak jak ten projektant chciał wyciąć drzewo. Jestem dla nich niewygodny i nie żywią wobec mnie szacunku.

Chwilę analizowałem jego słowa. Zaczynałem wreszcie przynajmniej częściowo rozumieć podejście Kristin Ortegi. Jeśli Bancroft uważał, że stoi poza normami obowiązującymi przeciętnego obywatela, mało prawdopodobne, by miał wielu przyjaciół w mundurach. Nie miało sensu tłumaczyć mu, że dla Ortegi istniało jeszcze jedno drzewo – Prawo – i że według niej profanował je, wbijając w nie gwoździe. Znałem oba te poglądy. Nie było na nie innego sposobu niż ten, który wybrali moi przodkowie. Jeśli nie podoba ci się jakieś prawo, szukaj miejsca, gdzie ono nie obowiązuje.

I ustanawiaj własne.

Bancroft został przy poręczy. Może łączył się z drzewem. Zdecydowałem się na jakiś czas odłożyć na półkę ten wątek śledztwa.

– Jaką ostatnią rzecz pan pamięta?

– Wtorek, czternastego sierpnia – odpowiedział natychmiast. – Poszedłem do łóżka około północy.

– Ostatnia aktualizacja kopii.

– Tak, przekaz strunowy powinien był odbyć się około czwartej nad ranem, ale najwyraźniej wtedy spałem.

– Czyli prawie pełne czterdzieści osiem godzin przed śmiercią.

– Obawiam się, że tak.

Fatalnie. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin może się wydarzyć prawie wszystko. Przez ten czas Bancroft zdołałby polecieć na Księżyc i wrócić. Znów potarłem bliznę pod okiem, zastanawiając się przy okazji, skąd się tam wzięła.

– A wcześniej nie wydarzyło się nic, co mogłoby sugerować,

czemu ktoś chciał pana zabić.

Bancroft wciąż wychylał się za barierkę, ale dostrzegłem, że się uśmiecha.

– Powiedziałem coś zabawnego?

Usiadł na krześle.

– Nie, panie Kovacs. W tej sytuacji nie ma nic zabawnego. Ktoś chce mnie zabić i nie jest to zbyt komfortowe uczucie. Ale musi pan zrozumieć, że dla kogoś z moją pozycją wrogość, a nawet groźby śmierci są częścią codziennego życia. Ludzie mi zazdroszczą i przez to mnie nienawidzą. Taka jest cena sukcesu.

To była dla mnie nowość. Proszę, byłem znienawidzony na co najmniej tuzinie różnych planet, a nigdy nie uważałem się za człowieka sukcesu.

– Pojawiły się ostatnio jakieś nowe pogrożki?

– Być może. – Wzruszył ramionami. – Zwykle ich nie oglądam, tym zajmuje się pani Prescott.

– Nie uważa pan gróźb śmierci za wartę uwagi?

– Panie Kovacs, jestem przedsiębiorcą. Pojawiają się nowe możliwości, narasta kryzys, a ja sobie z nim radzę. Życie toczy się dalej. Zatrudniam pracowników, którzy się tym zajmują.

– Bardzo wygodne. Ale biorąc pod uwagę okoliczności, trudno mi uwierzyć, że ani pan, ani policja nie sprawdziliście plików archiwizowanych przez panią Prescott.

Bancroft machnął ręką.

– Oczywiście, policja przeprowadziła swoje rutynowe śledztwo. Oumou Prescott powiedziała im dokładnie to, co sam od niej usłyszałem, a mianowicie, że w ciągu ostatnich sześciu miesięcy nie pojawiło się nic niezwykłego. Ufam jej wystarczająco, by nie drążyć dalej tego tematu. Choć pan pewnie będzie chciał sam rzucić okiem na te pliki.

Myśl o przedzieraniu się przez setki metrów niespójnych zjadliwości od przegranych tego antycznego świata wystarczyła, by na nowo przywołać moje zmęczenie. Poczułem totalny brak zainteresowania problemami Bancrofta. Opanowałem go z

wysiłkiem godnym pochwały Virginii Vidaury.

– Cóż, w każdym razie będę musiał porozmawiać z Oumou Prescott.

– Natychmiast to zorganizuję. – Oczy Bancrofta przybrały nieobecny wyraz kogoś porozumiewającego się przez wbudowany sprzęt. – Która godzina będzie panu odpowiadać?

Uniosłem dłoń.

– Może lepiej będzie, jeśli sam się tym zajmę. Proszę jej po prostu przekazać, że będę się z nią kontaktował. I będę chciał zobaczyć instalację do upowłokowania w PsychaSecu.

– Oczywiście. Właściwie to poproszę Prescott, żeby tam pana zabrała. Zna dyrektora. Coś jeszcze?

– Linia kredytowa.

– Oczywiście. Mój bank założył już panu konto kodowane DNA. O ile wiem, na Świecie Harlana mają ten sam system.

Liznąłem kciuk i wystawiłem go w górę. Bancroft skinął głową.

– Tak samo tutaj. Jednak przekona się pan, że istnieją rejony Bay City, gdzie akceptuje się wyłącznie gotówkę. Mam nadzieję, że nie będzie pan musiał zbyt wiele wydawać w tych okolicach, ale jeśli tak, może pan wyciągnąć pieniądze z każdego bankomatu. Będzie pan potrzebował broni?

– Nie, w tej chwili nie. – Jedna z podstawowych zasad Virginii Vidaury brzmiała: *Zanim wybierzesz narzędzia, przekonaj się, co cię czeka*. Pojedyncza smuga od miotacza na sztukaterii wyglądała zbyt elegancko jak na festiwal strzelecki.

– Cóż... – Bancroft wyglądał na rozczarowanego. Zaczął już sięgać do kieszeni i teraz niezręcznie dokończył gest. Wyciągnął w moim kierunku zapisaną kartkę. – To moi rusznikarze. Uprzedziłem, żeby się pana spodziewali.

Wziąłem kartkę i spojrzałem na nią. Wyszukanymi literami napisano na niej: Larkin i Green – Zbrojmistrze od 2203. Oryginalne. Poniżej umieszczono pojedynczy ciąg cyfr. Schowałem kartkę do kieszeni.

– Może się to przydać trochę później – przyznałem. – Ale w tej chwili chciałbym miękko wylądować. Przysiąść i odczekać, aż

opadnie kurz. Myślę, że zrozumie pan potrzebę takiego zachowania.

– Tak, oczywiście. Cokolwiek uzna pan za stosowne. Ufam pańskiej ocenie. – Bancroft utkwiał we mnie wzrok. – Jednak proszę pamiętać o warunkach naszego porozumienia. Płacę za usługę. Nie najlepiej znoszę nadużycie zaufania, panie Kovacs.

– Nie spodziewałem się, że jest inaczej – powiedziałem zmęczonym głosem. Przypomniałem sobie, jak Reileen Kawahara postąpiła z dwójką niewiernych najemników. Bardzo długo wracały do mnie we śnie zwierzęce dźwięki, jakie z siebie wydobywali. Reileen wyjaśniła swobodnie, obierając przy akompaniamencie wrzasków jabłko, że skoro nikt już naprawdę nie umiera, karać można wyłącznie cierpieniem. Poczułem, jak na to wspomnienie moje nowe ciało chwyta skurcz. – Wszystko, co powiedział panu na mój temat Korpus, to stek bzdur. Moje słowo ma taką samą wartość jak zawsze.

Wstałem.

– Może mi pan zasugerować jakieś miejsce w mieście, gdzie mógłbym się zatrzymać? Coś spokojnego, średniej klasy.

– Tak, najlepiej na Mission Street. Ktoś tam pana zawiezie, pewnie Curtis, jeśli wyjdzie do tego czasu z aresztu. – Bancroft również podniósł się z miejsca. – Przypuszczam, że teraz będzie pan chciał porozmawiać z Miriam. Ona naprawdę wie o tych ostatnich czterdziestu ośmiu godzinach więcej niż ja, więc proszę ją szczegółowo wypytać.

Przypomniałem sobie zmęczone oczy staruszki i wystrzałowe ciało nastolatki. Nagle wizja rozmowy z Miriam Bancroft stała się odpychająca. Równocześnie zimna dłoń zacisnęła się na moim żołądku, a żołądz penisa gwałtownie wypełniła krew. Pięknie.

– O tak – stwierdziłem bez entuzjazmu. – Zdecydowanie.

Rozdział czwarty

– Wygląda pan na zdenerwowanego, panie Kovacs.

Obejrzałem się przez ramię na służącą, która mnie tu przyprowadziła, a potem przeniosłem wzrok z powrotem na Miriam Bancroft. Ich ciała były w tym samym wieku.

– Nie – rzuciłem ostrzej niż zamierzałem.

Na chwilę opuściła kąciki ust, po czym zajęła się zwijaniem mapy, którą studiowała, gdy wszedłem. Za moimi plecami służąca zamknęła drzwi pokoju z głośnym stuknięciem.

Bancroft nie wyglądał, jakby miał ochotę odprowadzić mnie do gabinetu żony. Możliwe, że nie pozwalali sobie na więcej niż jedno spotkanie dziennie. Zamiast tego, pod koniec naszej rozmowy, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pojawiła się służąca. Bancroft zwrócił na nią mniej więcej tyle samo uwagi, co poprzednio. Kiedy wychodziłem, stał przy biurku z drzewa lustrzanego, wpatrując się w ślad strzału na ścianie.

Pani Bancroft zdecydowanym ruchem zaczęła wsuwać trzymany w dłoniach rulon mapy do długiej tuby.

– Cóż – odezwała się, nie patrząc na mnie. – Proszę więc zadawać swoje pytania.

– Gdzie pani była, kiedy to się stało?

– W łóżku. – Tym razem na mnie spojrzała. – Proszę mnie nie pytać o alibi. Byłam sama.

Pokój map był długi i przestronny, z łukowatym dachem wyłożonym płytkami iluminium. Stojaki na mapy, ustawione w rzędach jak eksponaty w muzeum, sięgały do talii, każdy zakończony był zatopionym w szkłe wyświetlaczem. Opuściłem pustą przestrzeń w środku sali, odgradzając się od pani Bancroft jednym ze stojaków.

– Pani Bancroft, zdaje się, że zaszło nieporozumienie. Nie

jestem policjantem. Interesują mnie informacje, nie winą.

Wsunęła zwiniętą mapę na swoje miejsce i nachyliła się nad stojakiem, opierając się o niego rękami. Podczas gdy rozmawiałem z jej mężem, w jakiejś zapewne eleganckiej łazience pozbyła się świeżego, młodzieńczego potu i stroju tenisowego. Teraz miała na sobie nieskazitelnie czarne spodnie i jakieś dziwne połączenie marynarki wieczorowej i gorsetu. Rękawy swobodnie podciągnęła prawie do łokci, nadgarstków nie zdobiła żadna biżuteria.

– Czy sprawiam wrażenie winnej, panie Kovacs? – zapytała.

– Bardzo gorliwie zapewnia pani obcego człowieka o swojej wierności.

Roześmiała się. Był to przyjemny, gardłowy dźwięk, w rytm tego śmiechu jej ramiona unosiły się i opadały. Mógłbym go polubić.

– Jakiż z pana dyplomata.

Spojrzałem na mapę zawieszoną na stojaku obok mnie. W lewym górnym rogu nieznanymi mi znakami wypisano datę, cztery stulecia przed rokiem moich urodzin.

– Tam, skąd pochodzę, bezpośredniość nie jest uważana za cnotę, pani Bancroft.

– Nie? A co jest?

– Uprzejmość. – Wzruszyłem ramionami. – Samokontrola. Unikanie sytuacji niezręcznych dla wszystkich stron.

– Brzmi nudno. Myślę, że czeka tu pana kilka wstrząsów, panie Kovacs.

– Nie powiedziałem przecież, że byłem dobrym obywatelem, pani Bancroft.

– Och. – Odepchnęła się od stojaka i podeszła w moją stronę. – Tak, Laurens trochę mi o panu opowiedział. Wygląda na to, że na Świecie Harlana uważają pana za niebezpiecznego typu.

Znów wzruszyłem ramionami.

– To rosyjski.

– Słucham?

– Litery. – Obeszła stojak i stanęła obok mnie, patrząc na mapę.

– To rosyjska, stworzona komputerowo mapa lądowań na Księżycu. Bardzo rzadka, zdobyłam ją na aukcji. Podoba się panu?

– Bardzo ładna. O której poszła pani spać w nocy, gdy zastrzelono pani męża?

– Wcześniej. – Wbiła we mnie wzrok. – Powiedziałam panu: byłam sama. – Z trudem opanowała głos i znów mówiła prawie lekkim tonem. – Ach, panie Kovacs, jeśli myśli pan, że mam poczucie winy, to się pan myli. To rezygnacja z nutką goryczy.

– Odczuwa pani gorycz wobec swojego męża?

Uśmiechnęła się.

– Wydawało mi się, że mówiłam o rezygnacji.

– I o goryczy.

– Czy chce pan powiedzieć, że uważa mnie za morderczynię własnego męża?

– Jeszcze nie wiem. Ale istnieje taka możliwość.

– Naprawdę?

– Ma pani dostęp do sejfu. Kiedy to się stało, była pani wewnątrz systemów ochrony domu. A teraz wygląda na to, że mogła pani mieć jakiś emocjonalny motyw.

Wciąż się uśmiechając, powiedziała:

– Budujemy sobie teoryjkę, panie Kovacs?

– Z każdym oddechem.

– Policja przez chwilę miała podobną teorię. Zdecydowali, że serce nie bije. Wolałabym, żeby pan tu nie palił.

Spojrzałem na swoje dłonie i stwierdziłem, że podświadomie wyciągnąłem otrzymane od Kristin Ortegi papierosy. Właśnie wytrząsałem jednego z paczki. Nerwy. Czując się dziwnie zdradzony przez nową powłokę, włożyłem paczkę z powrotem do kieszeni.

– Przepraszam.

– W porządku. Nie mógł pan o tym wiedzieć. Chodzi o kontrolę klimatu. Te mapy są bardzo wrażliwe na zanieczyszczenia.

W jakiś sposób udało jej się to powiedzieć tak, że zabrzmiało, jakby tylko kompletny kretyń nie zdawał sobie z tego sprawy.

Czułem, jak tracę kontrolę nad rozmową.

– Na jakiej podstawie policja...

– Proszę ich zapytać – przerwała zdecydowanie i odwróciła się.

– Ile pan ma lat, Kovacs?

– Subiektywnie? Czterdzieści jeden. Lata na Świecie Harlana są trochę dłuższe niż tutaj, ale to niewielka różnica.

– A obiektywnie? – zapytała, udając mój ton.

– Spędziłem około setki w zbiorniku. Człowiek traci rachubę. – Co było kłamstwem. Z dokładnością co do dnia wiedziałem, ile czasu za każdym razem spędziłem w przechowalni. Doliczyłem się tego którejs nocy i cyfry zostały ze mną na zawsze. Za każdym razem, gdy odkładali mnie znowu, dodawałem kolejne lata.

– Jakże musi się pan czuć samotny.

Westchnąłem i obróciłem się, by zbadać najbliższy stojak z mapami. Każdy zwinięty arkusz był oznaczony na jednym z końców notacją archeologiczną. Syrtis Minor, trzecie wykopaliska, wschodnia kwatera. Bradbury, tubylcze ruiny. Zacząłem wyciągać jeden z rulonów.

– Pani Bancroft, nie rozmawiamy teraz o moich uczuciach. Czy mogłaby mi pani podać jakiś powód, dla którego mąż mógłby chcieć się zabić?

Naskoczyła na mnie, jeszcze zanim skończyłem mówić.

– Mój mąż się nie zabił – oświadczyła lodowato.

– Wydaje się pani bardzo tego pewna. – Uniosłem wzrok znad mapy i uśmiechnąłem się do niej. – Jak na kogoś, kto spał.

– Proszę to odłożyć! – krzyknęła, ruszając w moją stronę. – Nie ma pan pojęcia, jak cenne...

Przerwała i stanęła w miejscu, widząc, że wsuwam mapę do stojaka. Przełknęła ślinę i zapanowała nad wypełzającym jej na policzki rumieńcem.

– Próbuje mnie pan zdenerwować, Kovacs?

– Usiłuję tylko skupić na sobie odrobinę uwagi.

Przez kilka sekund mierzyliśmy się wzrokiem. W końcu pani Bancroft spuściła wzrok.

– Powiedziałałam panu: spałam, kiedy się to wydarzyło.

Co jeszcze mogę dodać?

– Gdzie pani mąż był tego wieczora?

– Nie jestem pewna. – Zagryzła wargi. – Udał się na spotkanie do Osaki.

– A gdzie jest Osaka?

Spojrzała na mnie zaskoczona.

– Nie jestem stąd – przypomniałem cierpliwie.

– Osaka jest w Japonii. Myślałam...

– Tak, Świat Harlana został zasiedlony przez japońskich *keiretsu* przy pomocy siły roboczej z Europy Wschodniej. Dawno temu, kiedy jeszcze nie było mnie na świecie.

– Przepraszam.

– Nie ma za co. Pani prawdopodobnie wie tyle samo o tym, co robili pani przodkowie trzysta lat temu.

Pani Bancroft popatrzyła na mnie dziwnym wzrokiem. Dopiero po chwili dotarło do mnie, co powiedziałem. Otepienie po transferze. Będę musiał szybko pójść spać, zanim powiem albo zrobię coś naprawdę głupiego.

– Mam ponad trzysta lat, panie Kovacs. – Kiedy to mówiła, na jej wargach pojawił się delikatny uśmiezek. Natychmiast wykorzystała przewagę. – Wygląd może być mylący. To moje jedenaste ciało.

Powiedziała to w sposób sugerujący, że powinienem się jej przyjrzeć. Przesunąłem spojrzeniem po słowiańskich kościach policzkowych, dekolcie, krzywiźnie bioder i na wpół zakrytych udach, cały czas odczuwając dystans, do którego ani ja, ani moja świeżo pobudzona powłoka nie miały żadnego prawa.

– Bardzo ładna. Trochę za młoda jak na mój gust, ale jak już wspominałem, nie jestem stąd. Czy moglibyśmy wrócić do pani męża? Był tego dnia w Osace, ale wrócił. Zakładam, że nie udał się tam fizycznie.

– Nie, oczywiście, że nie. Trzyma tam w lodzie przejściowego klona. Miał wrócić koło szóstej po południu, ale...

– Tak?

Zmieniła lekko pozycję i obróciła w moją stronę otwartą dłoń.

Odniosłem wrażenie, że robi to świadomie, licząc na jakiś efekt.

– Cóż, wrócił później. Laurens często wraca później po sfinalizowaniu umowy.

– I nikt nie ma żadnego pojęcia, gdzie był tym razem? Na przykład Curtis?

Na jej twarzy nadal widać było napięcie, przebijające jak skały spod cienkiej pokrywy śniegu.

– Nie posłał po Curtisa. Przypuszczam, że z punktu upowłokowania wziął taksówkę. Nie jestem jego strażniczką, panie Kovacs.

– To spotkanie w Osace było bardzo ważne?

– Och... Nie, nie wydaje mi się. Rozmawialiśmy o tym. Oczywiście, nie pamięta, ale omawialiśmy kontrakty, a ten planował już od dłuższego czasu. Firma rozwoju morskiego, Pacificon, z bazą w Japonii. Odnowienie leasingu, coś w tym stylu. Zazwyczaj zajmujemy się tym tu, w Bay City, ale tym razem konieczne było nadzwyczajne zebranie rzeczoznawców, a tego rodzaju sprawami zawsze lepiej zająć się jak najbliżej źródła.

Mądrze pokiwałem głową, nie mając pojęcia, czym zajmował się rzeczoznawca rozwoju morskiego. Zauważyłem, że napięcie pani Bancroft zaczyna ustępować.

– Zwyczajna rutyna, tak?

– Tak mi się wydaje. – Posłała mi znużony uśmiech. – Panie Kovacs, jestem pewna, że policja dysponuje zapisem tego rodzaju informacji.

– Ja również jestem o tym przekonany, pani Bancroft. Ale nie widzę powodu, dla którego mieliby się nią ze mną podzielić. Nie mam tam nic do powiedzenia.

– Kiedy pan przyleciał, odniosłam wrażenie, że są dość przyjacielscy. – W jej głosie pojawiła się nutka złośliwości. Patrzyłem na nią twardo, aż opuściła wzrok. – W każdym razie jestem przekonana, że Laurens może zdobyć dla pana wszystko, czego będzie pan potrzebował.

Do niczego nas to nie prowadziło. Wycofałem się.

– Może lepiej będzie, jeśli to z nim porozmawiam na ten temat.

– Rozejrzałem się po pokoju. – Te wszystkie mapy... Od jak dawna je pani zbiera?

Pani Bancroft musiała wyczuć, że rozmowa zbliża się do końca, bo napięcie odpłynęło z niej jak olej z pękniętej miski.

– Większą część życia. Podczas gdy Laurens wbijał wzrok w gwiazdy, niektórzy z nas patrzyli pod nogi.

Pomyślałem o teleskopie zapomnianym na tarasie Bancrofta. Miałem przed oczami jego kanciastą sylwetkę na tle wieczornego nieba, nieme świadectwo minionych czasów i obsesji. Przypomnił mi się sposób, w jaki Bancroft poprawił teleskop po tym, jak go potraściłem – bezwiednie przywrócił ustawienie, tak by było wierne programowi mającemu może całe stulecia. Obudził się na krótko jak śpiewodrzew dotknięty przez Miriam Bancroft.

Stary.

Nagle opadło to na mnie ze wszystkich stron, dusząc mnie i przygniatając, ten zaduch unoszący się z kamieni Suntouch House jak wilgoć... Wiek. Dostrzegłem go nawet w młodej i pięknej stojącej przede mną kobiecie, a moje gardło zacisnęło się z niemal słyszalnym kliknięciem. Coś we mnie chciało uciekać, wydostać się stąd i odetchnąć świeżym, nowym powietrzem, oddalić się od tych stworzeń sięgających pamięcią poza historię, której uczono mnie w szkole.

– Dobrze się pan czuje, panie Kovacs?

Otępienie po transferze. Skupiłem się z wysiłkiem.

– Tak, wszystko w porządku. – Odchrząknąłem i spojrzałem jej w oczy. – Cóż, pani Bancroft, nie będę już pani zatrzymywał. Dziękuję za czas, jaki mi pani poświęciła.

– Chciałby pan... – Zbliżyła się do mnie.

– Nie, wszystko w porządku. Sam trafię do wyjścia.

Zdawało mi się, że zanim wyszedłem z pokoju map, minęła wieczność. Każdy krok odbijał mi się głośnym echem wewnątrz czaszki. Cały czas czułem na sobie wzrok tych starych oczu.

Cholernie potrzebowałem papierosa.

Rozdział piąty

Zanim szofer Bancrofta odwiózł mnie wreszcie z powrotem do miasta, niebo zdążyło nabrać koloru starego srebra, a w Bay City włączano już pierwsze światła. Opadliśmy spiralą od strony oceanu nad starym wiszącym mostem koloru rdzy, między stłoczone budynki półwyspu, z prędkością zdecydowanie większą niż zalecana. Szofer Curtis wciąż jeszcze cierpiał z powodu aresztowania przez policję. Wyszedł z aresztu ledwie godzinę czy dwie przed tym, jak Bancroft nakazał mu odwiedzić mnie z powrotem, całą drogę siedział ponuro, nie odzywając się. Był muskularnym młodzieńcem, a jego chłopięcy wygląd bardzo pasował do naburmuszonej miny. Przypuszczałem, że pracownicy Laurensa Bancrofta nie byli przyzwyczajeni, by stróże prawa przeszkadzali im wypełniać obowiązki.

Nie narzekałem. Mój nastrój nie odbiegał zbytnio od tego, w jakim pogrążył się szofer. Wciąż dręczyły mnie obrazy śmierci Sary. Jakby to było wczoraj.

Dość ostro wyhamowaliśmy w powietrzu nad szeroką aleją, więc ktoś nad nami wyemitował wściekły sygnał alarmu zbliżeniowego w systemy łączności naszej limuzyny. Curtis uciszył sygnał machnięciem dłoni po konsoli i wykrzywił twarz, rzucając groźne spojrzenie przez okno. Opadliśmy w strumień ruchu naziemnego z delikatnym podskokiem i natychmiast skrociliśmy w lewo, w węższą ulicę. Zacząłem interesować się tym, co dzieje się na zewnątrz.

Życie uliczne wszędzie jest takie samo. Na każdym ze światów, jakie odwiedziłem, obowiązują te same wzory, reklama głosem i obrazem, kupno i sprzedaż, jak jakaś przedestylowana esencja wyciekająca u dołu niezależnie od tego, jaka machina polityczna zarządza tym, co dzieje się na górze. Bay City na Ziemi,

w najstarszym z cywilizowanych światów, nie stanowiło wyjątku. Od potężnych, niematerialnych holowystaw wzdłuż antycznych budynków, po sprzedawców ulicznych z zestawami emitującymi katalogi, umocowanymi na ramionach przypominających niezgrabne mechaniczne sokoły albo przerośnięte raki – wszyscy coś sprzedawali. Samochody podjeżdżały do i od krawężnika, gdzie natychmiast nachylały się nad nimi giętkie ciała gotowe negocjować, robiły to prawdopodobnie od czasów, gdy tylko powstały samochody, na których można się opierać. Z wózków z jedzeniem unosiły się kłęby pary i dymu. Limuzyna była dźwięko- i emisjoszczelna, ale i tak przez szyby przenikały odgłosy – wysokie zaśpiewy sprzedawców i modulowana muzyka, kryjąca przekazy podprogowe.

W Korpusie Emisariuszy odwracają człowieczeństwo. Najpierw widzisz podobieństwa, czujesz podskórny rezonans pozwalający ci się zorientować, gdzie jesteś, a potem w szczegółach odnajdujesz różnice.

Na mieszanke etniczną Świata Harlana składają się głównie Słowianie i Japończycy, choć za odpowiednie pieniądze można dostać dowolny wariant ze zbiornika. Tutaj każda twarz miała inne rysy i inną barwę – widziałem wysokich, kościstych Afrykanów, Mongołów, białych Nordyków, a raz nawet dziewczynę wyglądającą prawie jak Virginia Vidaura, ale zgubiłem ją w tłumie. Wszyscy mieszały się jak tubylcy na brzegach rzeki.

Pokraczne.

Jakieś nieuchwytnie wrażenie przeskakiwało i tańczyło w moich myślach jak dziewczyna w tłumie. Zmarszczyłem się i udało mi się je pochwycić.

Na Świecie Harlana życie uliczne ma w sobie jakąś elegancję, ergonomię ruchu i gestu, która, jeśli nie jest się do niej przyzwyczajonym, sprawia wrażenie niemal choreografii. Dorastałem tam, więc nie zauważałem tego efektu, dopóki go nie zabrakło.

Tu tego nie widziałem. Ruch wywołany ulicznym handlem za szybami limuzyny miał w sobie jakoś wzburzonej wody między dwiema łodziami. Ludzie przepychali się na siłę, uskakując gwałtownie, by ominąć gęstsze skupiska przechodniów na drodze, najwyraźniej nie zauważali ich, dopóki nie było zbyt późno na manewry. Wybuchwały więc spięcia, widać było przygięte karki i napięte mięśnie. Dwukrotnie dostrzegłem rodzące się bójki, jednak walczących natychmiast rozdzieliły przewalające się tłumy. Wyglądało to tak, jakby całe to miejsce zostało spryskane jakimś podrażniającym feromonem.

– Curtis. – Zerknąłem w bok na bierny profil. – Mógłbyś na chwilę wyłączyć blokadę emisji?

Spojrzał na mnie, lekko wydymając wargi.

– Jasne.

Ponownie wygodnie rozparłem się w fotelu, kierując wzrok na ulicę.

– Nie jestem turystą, Curtis. Tak zarabiam na życie.

Katalogi ulicznych sprzedawców wdarły się do wnętrza jak rój delirycznych halucynacji, lekko rozmytych z powodu braku przekazu kierunkowego, przechodząc w siebie nawzajem, w miarę jak przez nie jechaliśmy. Stanowiły ewidentne przeładowanie według wszelkich harlanickich standardów. Najbardziej oczywiste były reklamy alfonsów: sekwencja aktów oralnych i analnych, poprawionych cyfrowo, by dodać połysku nadmuchanym piersiom i muskulaturze. Imię każdej dziwki podawano mruczącym, gardłowym szeptem, razem z nałożonym portretem; nieśmiałe dziewczynki, typy dominujące, szczeciniaste klacze i kilka z zupełnie obcych mi kultur. Między nimi przewijały się subtelniejsze listy chemikaliów i nierealnych scenariuszy handlarzy prochami i implantami. Po drodze złapałem też kilka przekazów religijnych, obrazy spokoju duchowego, jaki można osiągnąć pośród gór, ale były jak tonący w morzu towaru.

Zaczynałem pojmować panującą tu agresję.

– Co znaczy z *Domów*? – zapytałem Curtisa, po raz trzeci

wyłapując tę frazę w transmisjach.

– Znak jakości. – Curtis uśmiechnął się szyderczo. – Domy tworzą kartel wysokiej klasy drogich burdeli wzdłuż wybrzeża. Mówią, że można tam dostać wszystko, na co ma się ochotę. Jeśli dziewczyna jest z Domów, nauczono ją rzeczy, o których większość mężczyzn może tylko marzyć. – Kiwnął głową w stronę ulicy. – Niech się pan nie czaruje, nikt tam nigdy nie pracował dla Domów.

– A sztywniak?

– Potoczna nazwa. – Wzruszył ramionami. – Betatanatyna. Dzieciaki używają tego do zabawy ze śmiercią kliniczną. Tańsze od samobójstwa.

– Pewnie tak.

– Nie macie tanatyny na Świecie Harlana?

– Nie. – Używałem tego parę razy w Korpusie na innych planetach, ale na Świecie było to zdecydowanie niemodne. – Choć mamy samobójstwa. Możesz włączyć ekranowanie.

Zalew obrazów urwał się gwałtownie, pozostawiając mnie z uczuciem, jakby wnętrze mojej głowy stanowiło surowy, nieumeblowany pokój. Odczekałem, aż wrażenie minie. Jak większość czasowych efektów, zanikło po chwili.

– To Mission Street – oświadczył Curtis. – Przez następnych kilka przecznic ciągną się same hotele. Mam tu pana wysadzić?

– Polecisz mi coś?

– Zależy, czego pan chce.

Wzruszyłem ramionami.

– Światło. Przestrzeń. Obsługa hotelowa.

Zmarszczył się w namyśle.

– Niech pan spróbuje Hendriksa. Mają wieżę, a ich dziwki są czyste.

Limuzyna przyśpieszyła i w ciszy przejechaliśmy kilka przecznic. Nie chciało mi się wyjaśniać, że nie taki rodzaj obsługi hotelowej miałem na myśli. Niech Curtis wyciąga wnioski, na jakie ma ochotę.

Przez głowę przemknął mi nieproszony obraz zroszonej potem

Miriam Bancroft.

Pojazd zatrzymał się przed jasno oświetloną fasadą w nieznanym mi stylu. Wyszedłem na zewnątrz i zagapiłem się na olbrzymi holoobraz czarnego mężczyzny z twarzą wykrzywioną w grymasie zapewne mającym przedstawiać ekstazę wywołaną muzyką, jaką wygrywał lewą ręką na białej gitarze. Widać było odrobinę sztuczne krawędzie przetworzonego obrazu dwuwymiarowego, co znaczyło, że hologram musiał być bardzo stary. Podziękowałem Curtisowi z nadzieją, że reklama oznacza tradycję, a nie staroświeckość. Zatrzasnąłem drzwiczki i odczekałem, aż limuzyna odjedzie. Niemal natychmiast zaczęła się wznosić i już po chwili zgubiłem ją w gęstym ruchu powietrznym. Odwróciłem się do lustrzanych drzwi, które otwały się odrobinę nierówno, wpuszczając mnie do środka.

Jeśli sądzić po westybulu, Hendrix z pewnością mógł zaspokoić drugie z moich wymagań. Curtis mógłby tu zaparkować trzy albo cztery limuzyny Bancrofta jedna obok drugiej, a wciąż zostałyby między nimi dość dużo miejsca na robota sprzątającego. Nie byłem tak przekonany co do pierwszego. Ściany i sufit wyłożono w nieregularnych odstępach płytkami iluminium, które zdecydowanie przekroczyło już okres półtrwania, a ich mizerny blask pogłębiał jedynie mrok w środku pomieszczenia. Z ulicy, z której tu wszedłem, padało znacznie więcej światła.

Westybul był opuszczony, ale nad kontuarem przy dalszej ścianie widać było delikatny błękitny poblask. Ruszyłem w tamtą stronę, omijając niskie fotele i drapieżnie zaczajone na golenie stoliki o metalowych krawędziach. Na miejscu odkryłem wnękę ze śnieżącym monitorem. W jednym z rogów pulsował napis po angielsku, hiszpańsku i w kanji:

mów.

Rozejrzałem się wokół, potem znów popatrzyłem na ekran.

Nikogo.

Odchrząknąłem.

Litery rozmyły się i przekształciły w napis: wybierz język.

– Szukam pokoju – spróbowałem z ciekawości po japońsku.

Ekran ożył tak gwałtownie, że aż się cofnąłem. Z wirujących, wielokolorowych kawałków błyskawicznie wyłoniła się opalona azjatycka twarz. Twarz uśmiechnęła się i przekształciła w odrobinę starszą Azjatkę, a już po chwili stałem przed trzydziestoletnią blondynką w eleganckim kostiumie. Wygenerowawszy mój ideał w zakresie komunikacji międzyludzkiej, hotel zdecydował również, że wcale jednak nie umiem mówić po japońsku.

– Dzień dobry panu. Witam w hotelu Hendrix, oddanym do użytku w roku 2087 i wciąż aktywnym w branży. Czym mogę służyć?

Powtórzyłem swoje zapytanie, wzorem obsługi przechodząc na amangielski.

– Dziękuję panu. Mamy wiele pokoi, wszystkie w pełni podłączone do sieci informacyjnych i rozrywkowych. Proszę podać preferencje dotyczące piętra i rozmiaru pokoju.

– Chciałbym pokój w wieży, z widokiem na zachód. Największy, jaki macie.

Twarz wycofała się do rogu, a jej miejsce zajął trójwymiarowy schemat struktury pokoi hotelowych. Przesunął się przez nie migający wskaźnik, zatrzymując się w jednym z rogów, po czym wskazany apartament został powiększony na prawie cały ekran. Na dole został tylko wąski pasek, na którym wyświetlono dane pomieszczeń.

– Apartament w strażnicy, trzy pokoje, sypialnia trzynaście przecinek osiem metra na...

– To wystarczy, biorę go.

Trójwymiarowa mapa znikła błyskawicznie, a na jej miejsce wróciła kobieta.

– Jak długo pan z nami zostanie?

– Nie wiem.

– Wymagany jest depozyt – uświadomiła mi nieśmiało. – Jeśli pobyt będzie trwał ponad czternaście dni, należy w tej chwili zdeponować kwotę sześciuset dolarów Narodów Zjednoczonych.

W przypadku opuszczenia hotelu przed upływem wymienionego czasu, stosowna część tej kwoty zostanie zwrócona.

– Doskonale.

– Dziękuję panu. – Sądząc z tonu jej głosu, wypłacalni klienci stanowili w Hendriksie zupełną nowość. – W jaki sposób dokona pan płatności?

– Ślad DNA. Pierwszy Kolonialny Bank Kalifornijski.

Na ekranie przewijały się szczegóły płatności, kiedy u podstawy czaszki poczułem dotyk zimnego kręgu metalu.

– To dokładnie to, co myślisz – usłyszałem tuż nad uchem spokojny głos. – Zrobisz jeden zbędny ruch, a gliniarze przez dwa tygodnie będą wyciągać ze ściany kawałki twojego stosu korowego. Mówię o prawdziwej śmierci, przyjacielu. Teraz odsuń dłonie od ciała.

Wypełniłem polecenie, czując nieprzyjemny chłód rozchodzący się od miejsca, którego dotykała lufa broni. Minęło już trochę czasu, od kiedy ostatnio grożono mi prawdziwą śmiercią.

– Bardzo dobrze – usłyszałem ten sam spokojny głos. – Teraz moja koleżanka cię sprawdzi. Nie rób żadnych gwałtownych ruchów.

– Proszę wprowadzić próbkę DNA do czujnika obok ekranu. – Hotel podłączył się do bazy danych Pierwszego Kolonialnego Banku Kalifornijskiego.

Stałem w bezruchu, gdy szczupła, ubrana na czarno kobieta w masce narciarskiej podeszła do mnie i od głowy do stóp przesunęła po mnie szarym, buczącym skanerem. Broń przy karku nawet nie drgnęła. Już nie czułem zimna. Moje ciało rozgrzało lufę do nieco bardziej przyjaznej temperatury.

– Jest czysty. – Rzeczowy, profesjonalny głos. – Podstawowa neurochemia, ale nieaktywna. Żadnego sprzętu.

– Serio? Podróżujemy bez bagażu, Kovacs?

Serce wypadło mi z klatki piersiowej i ciężko wylądowało na żołądku. Miałem nadzieję, że to lokalne przestępstwo.

– Nie znam cię – powiedziałem ostrożnie, obracając głowę

o kilka milimetrów.

Lufa mocniej wbiła się w moją skórę, więc zamarłem.

– To prawda, nie znasz mnie. A teraz wyjdziemy sobie na zewnątrz.

– Dostęp do kredytu zostanie zamknięty za trzydzieści sekund – poinformował cierpliwie hotel. – Proszę wprowadzić kod DNA.

– Pan Kovacs nie będzie potrzebował swojej rezerwacji – oświadczył mężczyzna za moimi plecami, kładąc mi rękę na ramieniu. – Chodź, Kovacs, przejedziemy się.

– Bez pobrania opłaty nie mogę podjąć obowiązków gospodarza – oświadczyła kobieta na ekranie.

Coś w tonie jej głosu zatrzymało mnie w pół obrotu. Kierowany nagłym impulsem zmusiłem się, by gwałtownie zakaszleć.

– Co...

Zginając się do przodu pod wpływem kaszlu, uniosłem dłoń do ust i liznąłem kciuk.

– Kovacs, w co ty się, do cholery, bawisz?

Ponownie się wyprostowałem i błyskawicznie przyłożyłem dłoń do klawiatury przy ekranie. Po matowym czujniku rozmazały się ślady świeżej śliny. Ułamek sekundy później twarda krawędź dłoni uderzyła w lewy bok mojej czaszki i padłem na podłogę, lądując na kolanach i łokciach. W twarz wbił mi się but i pokonałem resztę drogi w dół.

– Dziękuję panu. – Przez łomot w mojej czaszce dotarł do mnie głos hotelu. – Pańskie dane podlegają przetwarzaniu.

Spróbowałem się podnieść i dostałem drugiego kopniaka w żebra. Z nosa na dywan zaczęła cieknać krew. Na moim karku znów wylądowała lufa broni.

– To nie było mądre, Kovacs – usłyszałem lekko poirytowany głos za plecami. – Jeśli sądzisz, że gliny wyśledzą nas tam, gdzie się wybierasz, to przechowalnia musiała ci namieszać w głowie. *Wstawaj!*

Podciągał mnie do góry, kiedy rozległ się huk.

Nie byłem w stanie pojąć, dlaczego ktoś uznał za stosowne

wyposażyć systemy bezpieczeństwa Hendriksa w dwudziestomilimetrowe działka automatyczne, ale wykonały swoją pracę z przerażającą skutecznością. Kątem oka dostrzegłem wyjeżdżającą z sufitu wieżyczkę z podwójnym działkiem tuż przed tym, jak wypuściła z siebie trzysekundową serię pocisków wprost w mojego prześladowcę. Siła ognia dostateczna, by zestrzelić mały samolot. Hałas był ogłuszający.

Zamaskowana kobieta rzuciła się w stronę drzwi. Wciąż mając w głowie echo wystrzałów, zobaczyłem, jak wieżyczka obraca się jej śladem. Udało jej się przebiec kilkanaście kroków, gdy na jej plecach pojawiła się czerwona plamka lasera celowniczego i w westybulu rozbrzmiała kolejna seria wystrzałów. Wciąż na kolanach osłoniłem uszy rękami w chwili, gdy pociski przecinały kobietę na pół. Padła na podłogę niczym szmaciana lalka.

Strzały umilkły.

Chwilę później zapadła głucha, śmierzcząca kordytem cisza. Wieżyczka znieruchomiała z lufami opuszczonymi w dół, z każdej z nich wydobywały się smużki dymu. Wstałem, obmacując się po nosie i twarzy, próbując ocenić rozmiar szkód. Wyglądało na to, że krwawienie słabnie i chociaż miałem rozciętą wargę, żaden ząb się nie ruszał. Od kopnięcia bolały mnie żebra, ale chyba nie były złamane. Spojrzałem na ciało leżące obok i zaraz tego pożałowałem. Ktoś tu będzie musiał posprzątać.

Po lewej stronie z cichym brzękiem otwarły się drzwi windy.

– Pański pokój jest gotów, sir – oznajmiła głos z monitora.

Rozdział szósty

Kristin Ortega była zdumiewająco spokojna.

Weszła przez drzwi hotelowe szybkim krokiem, przy którym jej mocno obciążone kieszenie kurtki obijały się o uda. Zatrzymała się w środku westybulu i obejrzała efekt krwawej jatki z językiem wypychającym jeden z policzków.

– Często robisz takie rzeczy, Kovacs?

– Chwilę czekałem – odpowiedziałem spokojnie. – Nie jestem w najlepszym nastroju.

Hotel zadzwonił na policję mniej więcej w chwili, gdy padły pierwsze strzały, ale zanim z nieba zaczęły opadać radiowozy, minęło dobre pół godziny. Nie poszedłem do swojego pokoju, bo wiedziałem, że i tak wyciągną mnie z łóżka, a kiedy tylko przyjechali, nie było mowy o tym, żebym mógł się oddalić, póki nie zjawi się Ortega. Lekarz policyjny obejrzał mnie pobieżnie, upewnił się, że nie doznałem wstrząśnienia mózgu i zostawił ze sprayem mającym powstrzymać krwawienie z nosa. Usiadłem więc w fotelu i pozwoliłem powłóce wypalić kilka papierosów od pani porucznik. Wciąż tam siedziałem, kiedy wreszcie pojawiła się godzinę później.

– Trudno. – Machnęła ręką. – Pracowita noc.

Podsunałem jej paczkę. Popatrzyła, jakbym postawił przed nią poważny problem filozoficzny, potem wzięła ją i wydłubała papierosa. Ignorując łatę zapalającą na opakowaniu, przeszukała kieszenie, wyciągnęła ciężką zapalniczkę benzynową i otworzyła ją. Wydawała się działać na autopilocie. Nieświadomie odsunęła się z drogi ekipy dochodzeniowej wnoszącej nowy sprzęt. Schowała zapalniczkę do kieszeni. Wokół nas westybul zapełnił się nagle ludźmi pochłoniętymi swoją pracą.

– No dobra. – Wydmuchwała dym w powietrze nad głową. –

Znasz tych ludzi?

– Poważnie?

– To znaczy?

– To znaczy, że ledwie sześć godzin temu, a może nawet i nie, wyszedłem z przechowalni. – Słyszałem, jak rośnie natężenie mojego głosu. – To znaczy, że od czasu, kiedy ostatni raz się widzieliśmy, rozmawiałem dokładnie z trzema osobami. To znaczy, że nigdy w życiu nie byłem na Ziemi. A ty *doskonale o tym wiesz*. Więc albo zaczniesz mi zadawać jakieś inteligentne pytania, albo idę do łóżka.

– Dobra, uspokój się. – Nagle Ortega zaczęła wyglądać na zmęczoną. Opadła na fotel naprzeciw mnie. – Powiedziałeś mojemu sierżantowi, że to profesjonaliści.

– Bo to prawda. – Zdecydowałem, że tą informacją mogę spokojnie podzielić się z policją, bo prawdopodobnie i tak do tego dojdą, jak tylko sprawdzą ich w swoich kartotekach.

– Odezwali się do ciebie po nazwisku?

W zamyśleniu potarłem czoło.

– Po nazwisku?

– Owszem. – Niecierpliwie machnęła ręką. – Czy nazwali cię Kovacs?

– Nie wydaje mi się.

– Jakieś inne nazwiska?

– Na przykład? – uniosłem brwi.

Zmęczenie malujące się na jej twarzy nagle znikło. Popatrzyła na mnie ostro.

– Zapomnij. Sprawdzimy pamięć hotelu i sami się przekonamy.

Ups.

– Na Świecie Harlana trzeba do tego nakazu sądowego. – Udało mi się to powiedzieć od niechcenia.

– Tu też. – Ortega strąciła na dywan popiół z papierosa. – Ale to nie będzie problem. Tak się składa, że Hendrix nie pierwszy raz został oskarżony o uszkodzenia organiczne. Trochę czasu upłynęło, ale w archiwach nic nie ginie.

– Czemu nie został wyłączony?

– Powiedziałałam oskarżony, nie skazany. Sąd odrzucił sprawę. Uzasadniona samoobrona. Oczywiście – kiwnęła głową w stronę wieżyczki z działkami, którą badało właśnie dwóch członków ekipy dochodzeniowej – wtedy doszło do porażenia prądem. Nie do czegoś takiego.

– Właśnie, miałem o to zapytać. Kto montuje taki sprzęt w hotelu?

– A co ja jestem, wyszukiwarka? – Ortega zaczęła mi się przyglądać z wrogością, która wcale mi się nie podobała. Potem nagle wzruszyła ramionami. – Według wyciągu z archiwum, który przejrzałam po drodze tutaj, zamontowali to kilka stuleci temu, kiedy wojny korporacyjne stały się bardziej brutalne. Co ma sens. Przy gównie, jakie się wtedy rozpętało, wiele budynków wyposażono w taki sprzęt. Oczywiście, większość firm padła krótko potem, wraz z kryzysem gospodarczym, więc nigdy nie wymuszono rozbrojenia. Hendrix zyskał status Sztucznej Inteligencji i sam się wykupił.

– Sprytne.

– Taaa. Z tego, co słyszałam, tylko SI miały wtedy jakieś rzeczywiste pojęcie o tym, co działo się z rynkiem. Całkiem sporo ich się wtedy uniezależniło. Wiele hoteli tutaj to SI. – Wyszczrzyła do mnie zęby przez dym. – Dlatego właśnie nikt w nich nie mieszka. W sumie szkoda. Gdzieś czytałam, że wbudowano im pragnienie klientów w stopniu, w jakim ludzie pragną seksu. To musi być frustrujące, nie?

– Owszem.

Zbliżył się do nas jeden z irokezów. Ortega dała mu spojrzeniem do zrozumienia, że nie chce, żeby jej przeszkadzano.

– Musimy sprawdzić próbki DNA – odezwał się niewzruszony irokez i podał jej płytkę z videofaksem.

Ortega rzuciła na nią okiem i zareagowała wyraźnym zaskoczeniem.

– Proszę, proszę! Byłeś w wyśmienitym towarzystwie, Kovacs.

– Machnęła ręką w stronę ciała mężczyzny. – Powłoka zarejestrowana ostatnio na Dimitrija Kadmina, znanego również jako Dimi Bliźniak. Profesjonalny morderca wprost z Władystoku.

– A kobieta?

– Rejestr w Ulan Bator? – Ortega wymieniła spojrzenia z irokezem.

– Dokładnie, szefowo.

– Mamy skurwiela. – Ortega zerwała się na równe nogi z nową energią. – Wyciągnijcie ich stosy i wyślijcie na Fell Street. Niech zrzucą Dimiego do aresztu przed północą. – Obejrzała się na mnie. – Kovacs, właśnie okazałeś się przydatny.

Irokez sięgnął pod swój dwurzędowy garnitur i ze swobodą człowieka wyciągającego papierosa wydobyl ciężki nóż bojowy. Razem podeszli do ciała i uklękli obok niego. Wokół zebrała się grupka gapiów w mundurach. Rozległ się mokry dźwięk pękającej chrząstki. Po chwili wstałem i dołączyłem do widzów. Nikt nie zwracał na mnie uwagi.

Trudno byłoby to nazwać wyrafinowaną operacją biotechniczną. By dostać się do podstawy czaszki, irokez odciął część kręgosłupa, a teraz grzebał w niej czubkiem noża, próbując zlokalizować stos korowy. Kristin Ortega przytrzymała głowę.

– Wsadzają je znacznie głębiej niż kiedyś – powiedziała. – Zobacz, czy uda ci się wyciągnąć resztę kręgów, tam to powinno być.

– Próbuję – stęknął irokez. – Chyba ma tu jeszcze jakieś implanty. Jedna z tych podkładek przeciwwstrząsowych, o których ostatnio wspominał Noduchi, kiedy... Cholera!! Już prawie to miałem.

– Nie, robisz to pod złym kątem. Daj, ja spróbuję. – Ortega przejęła nóż i żeby unieruchomić czaszkę, przycisnęła ją kolanem.

– Cholera, prawie to miałem, szefowo.

– Tak, tak. Nie zamierzam spędzić całej nocy, przyglądając się, jak się z tym grzebiez. – Zerknęła w górę i zobaczyła, że się jej

przyglądam. Potem ostrym uderzeniem w rękojeść coś odrąbała. Spojrzała na irokeza z uśmiechem. – Słyszałeś?

Sięgnęła w głąb miazgi i dwoma palcami wyciągnęła stos. Nie wyglądał zbyt imponująco; umazana krwią, wstrząsoodporna obudowa wielkości filtra do papierosa, ze sterczącymi z jednego końca cieniutkimi kabelkami. Byłem w stanie zrozumieć, czemu katolicy nie chcieli wierzyć, że to coś może być naczyniem ludzkiej duszy.

– Mam cię, Dimi. – Ortega uniosła stos do światła, potem podała go razem z nożem irokezowi. Wytarła palce o ubranie denata. – Dobra, wyciągnijcie teraz stos z kobiety.

Kiedy przyglądaliśmy się, jak irokez powtarza procedurę na drugim ciele, schyliłem się w stronę Ortegi i szepnąłem:

– Czyli wiesz też, kto jest w tym drugim?

Gwałtownie obróciła głowę w moją stronę, nie byłem pewien, zaskoczona czy niezadowolona z mojej bliskości.

– Jasne, to też jest Dimi Bliźniak. Ha, kalambur. Ta powłoka została zarejestrowana w Ułan Bator, które, gdybyś nie wiedział, stanowi stolicę czarnorynkowych transferów w Azji. Widzisz, Dimi nie szasta zaufaniem na prawo i lewo. Lubi, żeby wspierał go ktoś, kogo może być pewien. A biorąc pod uwagę kręgi, w jakich się obraca, jedyna osoba, której może zaufać, to on sam.

– Brzmi znajomo. Łatwo się skopiować na Ziemi?

– Z każdym rokiem coraz łatwiej. – Skrzywiła się z niesmakiem. – Przy obecnym stanie techniki najwyższej klasy urządzenie do upowłokowania mieści się w łazience. Niedługo będzie to winda. Potem walizka. – Wzruszyła ramionami. – Cena postępu.

– Na Świecie Harlana też można to zrobić. Tylko trzeba najpierw zgłosić się do międzygwiazdowego transferu strunowego, zrobić kopię bezpieczeństwa przechowywaną na czas podróży, a potem, w ostatniej chwili, zrezygnować z transmisji. Sfałszować certyfikat przekazu i zażądać tymczasowego transferu z kopii (niby że facet jest na innej planecie, a jego firma się sypie, coś w tym stylu), przetransferować w pierwotnej stacji transmisyjnej

i jeszcze raz przez firmę ubezpieczeniową, ale już gdzie indziej. Kopia Jeden wychodzi ze stacji legalnie. Po prostu zmienia zdanie na temat wyjazdu. Wielu ludzi tak robi. Kopia Dwa nigdy nie zgłasza się z powrotem do firmy ubezpieczeniowej na kasację. Choć drogo to kosztuje. Musisz przekupić mnóstwo ludzi i ukraść sporo czasu maszynowego.

Irokezowi ześlizgnął się nóż, rozcinając mu kciuk. Ortega przewróciła oczami i westchnęła. Odwróciła się z powrotem w moją stronę.

– Tutaj to łatwiejsze – stwierdziła lakonicznie.

– Tak? Jak to działa?

– To... – Zawahała się, jakby zastanawiając się, czemu w ogóle ze mną rozmawia. – Po co ci to?

Wyszczrzyłem do niej zęby w uśmiechu.

– Po prostu wrodzona ciekawość.

* * *

– OK, Kovacs. – Objęła dłońmi kubek z kawą. – Działa to tak. Któregoś pięknego dnia mister Dimitrij Kadmin wchodzi do jednej z dużych firm ubezpieczeniowych zajmujących się odzyskiwaniem stosów i ponownym upowłokowaniem. Mam na myśli jakąś naprawdę solidną firmę, jak Lloyds czy Cartwright Solar.

– To tutaj? – Wskazałem ręką w stronę morza światła widocznych z okna mojego pokoju. – W Bay City?

Irokez dziwnie popatrzył na Ortegę, kiedy postanowiła zostać, gdy reszta ekipy policyjnej opuszczała Hendriksa. Spławiła go, po raz kolejny żądając, by jak najszybciej zrzucił Kadmina, a potem udaliśmy się na górę. Nawet nie spojrzała na odjeżdżające radiowozy.

– Bay City, Wschodnie Wybrzeże, może nawet w Europie. – Ortega napiła się kawy, krzywiąc się od solidnej porcji whisky, którą na jej życzenie Hendrix dolał do napoju. – To nie ma znaczenia. Liczy się firma, która musi mieć tradycje

i renomę. Najlepiej taka, która działała, jeszcze zanim zaczęły się zapisy. Pan Kadmin chce wykupić polisę na życie i po długich dyskusjach na temat warunków – robi to. Widzisz, wszystko musi dobrze wyglądać. To duży przekręt, z tą tylko różnicą, że chodzi o coś więcej niż pieniądze.

Oparłem się o ramę okna. Apartament w strażnicy zasługiwał na swoją nazwę. Wszystkie trzy pokoje miały widok na miasto i ocean, na północ i zachód, a wyłożony poduszkami w psychodelicznych kolorach parapet okienny w salonie zajmował prawie jedną piątą całej dostępnej przestrzeni. Siedzieliśmy z Ortegą naprzeciw siebie w odległości przynajmniej metra.

– OK, to jedna kopia. Co dalej?

– Śmiertelny wypadek. – Ortega wzruszyła ramionami.

– W Ułan Bator?

– Dokładnie tak. Dimi trafia z dużą prędkością w słup energetyczny, wypada z okna w hotelu, coś w tym stylu. Agent w Ułan Bator wydobywa stos i, hojnie przekupiony, wykonuje kopię. Wchodzi Cartwright Solar czy inny Lloyds ze swoim nakazem odzysku, przesyłają Dimiego (CC) z powrotem do ich banku klonów i zrzucają go w czekającą powłokę. Dziękujemy szanownemu panu, miło robić z panem interesy.

– A tymczasem...

– A tymczasem wzmiankowany agent kupuje na czarnym rynku powłokę, prawdopodobnie jakiś przypadek katatonii z lokalnego szpitala albo niezbyt uszkodzonego ćpuna. Policja z Ułan Bator ma sporo do czynienia z agencjami antynarkotykowymi. Agent czyści umysł powłoki, transferuje do niej Dimiego i powłoka spokojnie sobie stamtąd wychodzi. Przerzucają ją suborbitalnie na drugą stronę planety do pracy w Bay City – i oto jest.

– Niezbyt często łapiecie takich gości.

– Prawie nigdy. Rzecz w tym, że musisz złapać obie kopie i to albo sztywne, jak tutaj, albo pod zarzutem najcięższych zbrodni. Bez zgody ONZ nie mamy prawa wyciągnąć go z żywego ciała.

A w sytuacji bez wyjścia bliźniak po prostu wysadza swój stos korowy, zanim możemy się do niego dostać. Widziałam już coś takiego.

– Dość paskudne. Jaka jest za to kara?

– Kasacja.

– *Kasacja?* Robicie to tutaj?

Ortega skinęła głową. Wydawało mi się, że przez jej usta przemknął uśmiešek.

– Tak, robimy. Wstrząśnięty?

Zastanowiłem się. Niektóre przestępstwa w Korpusie zagrożone były karą kasacji, głównie dezercja i odmowa wypełnienia rozkazu w warunkach bojowych, ale nigdy nie widziałem, żeby to stosowano. A na Świecie Harlana kasacja została zakazana dekadę przed moim urodzeniem.

– Trochę staromodne, nie sądzisz?

– Nie podoba ci się to, co stanie się z Dimim?

Przesunąłem czubkiem języka po rozciętej wardze. Pomyślałem o zimnym kręgu metalu u podstawy czaszki i potrząsnąłem głową.

– Nie. Ale czy ogranicza się to do ludzi takich jak on?

– Można zarobić kasację za kilka innych zbrodni, ale w większości przypadków kończy się na kilku stuleciach w przechowalni. – Wyraz twarzy Ortegi zdradzał, że nie uważa tego za dobry pomysł.

Odstawiłem swoją kawę i sięgnąłem po papierosa. Wszystko robiłem automatycznie, a byłem zbyt zmęczony, by z tym walczyć. Ortega gestem odmówiła przyłączenia się do mnie. Popatrzyłem na nią zmrużonymi oczami znad papierosa, który zapalałem o łatkę na boku opakowania.

– Ile masz lat, Ortega?

– Trzydzieści cztery. – Spojrzała na mnie taksująco. – A co?

– Nigdy nie byłaś emcowana, co?

– Kilka lat temu miałam psychochirurgię, ale położyli mnie tylko na kilka dni. Poza tym, nie. Nie jestem przestępcą i nie mam dość pieniędzy na tego rodzaju podróże.

Wypuściłem pierwszy kłęb dymu.

– Trochę przewrażliwiona na tym punkcie, co?

– Jak już mówiłam, nie jestem przestępcą.

– Nie. – Sięgnąłem pamięcią do ostatniego spotkania z Virginią Vidaurą. – Gdybyś była, nie myślałabyś, że dwieście lat dyslokacji to bułka z masłem.

– Nic takiego nie powiedziałam.

– Nie musiałaś.

Nie wiem, co sprawiło, że zapomniałem, iż Ortega reprezentuje prawo, ale tak się stało. W oddzielającej nas przestrzeni coś narastało, jakiś ładunek elektryczny, coś, co mógłbym rozgryźć, gdyby mojej intuicji Emisariusza nie tłumila nowa powłoka. Bez względu na to, co to było, właśnie prysło. Ściągnąłem ramiona i mocniej zaciągnąłem się papierosem. Potrzebowałem snu.

– Kadmin jest drogi, prawda? Wobec takiego ryzyka – musi trochę kosztować.

– Jakies dwadzieścia kawałków za strzał.

– A więc Bancroft nie popełnił samobójstwa.

– Jak na kogoś, kto dopiero trafił na Ziemię, szybko doszedłeś do takiego wniosku. – Ortega uniosła brwi.

– Oj, daj spokój. – Wydmuchnąłem w jej stronę kłęby dymu. – Jeśli nie było to samobójstwo, kto, do cholery, zapłacił za mnie dwadzieścia kawałków?

– Jesteś powszechnie lubiany, prawda?

Nachyliłem się w jej stronę.

– Fakt, nie lubi mnie wielu ludzi, ale nikt z takimi powiązaniami czy pieniędzmi. Nie mam dość klasy, by robić sobie wrogów na tym poziomie. Ktokolwiek wysłał Kadmina, wie, że pracuję dla Bancrofta.

– Z tego, co pamiętam, twierdziłeś, że nie wymienił twojego nazwiska? – Wyszczrzyła zęby w uśmiechu.

Jesteś zmęczony, Takeshi. Prawie widziałem Virginię Vidaurę grożącą mi palcem. Emisariusze Korpusu nie dają się podejść lokalnym stróżom prawa.

Brnąłem dalej najlepiej jak mogłem.

– Wiedzieli, kim jestem. Ludzie pokroju Kadmina nie kręcą się wokół hoteli, czekając na okazję obrobienia turystów. Ortega, daj spokój.

Zanim odpowiedziała, zaczęła, aż moja złość przycichnie.

– Więc Bancroft też został zastrzelony? Może. I co z tego?

– Musisz na nowo otworzyć śledztwo.

– Nie słuchasz mnie, Kovacs. – Posłała mi uśmiech, którym można by zatrzymać szarżującego mastodonta. – Sprawa jest zamknięta.

Oparłem się plecami o ścianę i przez chwilę przyglądałem się jej przez dym. W końcu się odezwałem.

– Wiesz, kiedy przyjechała tu w końcu twoja ekipa, żeby posprzątać, jeden z nich pokazał mi swoją odznakę dostatecznie wyraźnie, bym mógł się jej dobrze przyjrzeć. Z bliska jest zabawna. Orzeł na tarczy. I napis dookoła.

Wyciągnęła znacząco rękę, więc podałem jej papierosy i oparłem się z powrotem.

– *Chronić i służyć?* – ciągnąłem. – Obawiam się, że do czasu awansu na porucznika przestaje się w to wierzyć.

Trafiłem. Pod jednym z oczu zadrgał jej mięsień, a policzki zapadły się, jakby przełknęła coś gorzkiego. Popatrzyła na mnie w taki sposób, że przez chwilę wydawało mi się, iż posunąłem się za daleko. Potem opuściła ramiona i westchnęła.

– Tak, proszę bardzo. Zresztą, co ty, do cholery, wiesz na ten temat? Bancroft nie jest człowiekiem jak ty czy ja. To pieprzony Mat.

– Mat?

– Tak, Mat. Wiesz, *a wszystkich dni Matuzalema było dziewięćset sześćdziesiąt dziewięć lat*. Jest stary. Naprawdę bardzo stary.

– Czy to przestępstwo, pani porucznik?

– Powinno nim być – stwierdziła ponuro Ortega. – Kiedy człowiek żyje tak długo, przedstawia mu się w głowie. Wpada w samouwielbienie. W końcu zaczyna uważać się za Boga. Nagle

wszystkie ludziki, które mają po trzydzieści czy czterdzieści lat, tracą jakiegokolwiek znaczenie. Ktoś, kto wdział, jak powstają i rozpadają się całe społeczeństwa, uważa, że stoi ponad tym, i nikt nie ma już dla niego żadnego znaczenia. I może dla rozrywki zaczyna zabijać tych maluczkich, tak samo jak zrywałby stokrotki, gdyby znalazły się na jego drodze.

– Masz coś takiego na Bancrofta? – Popatrzyłem na nią poważnie. – Robił takie rzeczy?

– Nie mówię tu o Bancrofcie. – Niecierpliwie machnęła ręką. – Mówię o całym jego rodzaju. Są jak SI. Rozmnażają się między sobą. Nie są ludźmi. Traktują ludzkość tak jak ty czy ja traktujemy insekty. Cóż, kiedy ma się do czynienia z policją Bay City, tego rodzaju nastawienie może się zemścić.

Przypomniałem sobie wyczyny Reileen Kawahary i zacząłem się zastanawiać, jak bardzo Ortega zbliżyła się do prawdy. Na Świecie Harlana większość ludzi mogła sobie pozwolić na przynajmniej jednokrotne upowłokowanie po śmierci, ale problem w tym, że o ile nie miało się dość pieniędzy, trzeba było za każdym razem przeżyć całe życie, a starość, nawet przy obecnym postępie medycyny, była bardzo męcząca. Za drugim razem było gorzej, bo wiedziało się, czego się spodziewać. Niewielu wystarczało energii, by przeżyć coś takiego więcej niż dwa razy. Później większość ludzi dobrowolnie szła do przechowalni, decydując się na tymczasowe, okazjonalne upowłokowania z okazji jakichś uroczystości rodzinnych, przy czym oczywiście w miarę jak dorastało kolejne pokolenie, następowało to coraz rzadziej.

Dłuższe życie wymagało specyficznej osobowości, żeby *chcieć* żyć dalej, życie po życiu, powłoka po powłoce. Już na początku taki człowiek różnił się od innych, a na to nakładał się wpływ stuleci.

– Więc Bancroft został posłany na drzewo, bo jest Matem. Przykro nam, Laurens, jesteś aroganckim, długowiecznym draniem. Policja Bay City ma ważniejsze zajęcia niż traktowanie cię poważnie. Tak?

Ale Ortega nie chciała już połknąć przynęty. Upiła łyk kawy i wzruszyła ramionami.

– Zrozum, Kovacs. Bancroft żyje i niezależnie od wszystkiego ma dość solidną ochronę, by tak pozostało. Nikt nie cierpi na skutek pomyłki sądowej. Departament policji jest niedoinwestowany, przepracowany i ma za mało ludzi. Nie mamy dość środków, by bez końca ścigać urojenia Bancrofta.

– A jeśli to nie urojenia?

Westchnęła.

– Kovacs, osobiście trzy razy przeszłam przez ten dom z ekipą śledczą. Nie ma tam żadnych śladów walki, nie naruszono zewnętrznej linii obrony, nawet cienia intruza w żadnej z sieci bezpieczeństwa. Miriam Bancroft z własnej woli zgodziła się na najwyższej klasy testy poligraficzne i przeszła je bez jednego drgnięcia. Nie zabiła swojego męża, nikt też nie włamał się tam, by ją wyręczyć. Laurens Bancroft popełnił samobójstwo z powodów, które sam zna najlepiej, i to wszystko. – Spojrzała mi w oczy. – Przykro mi, że masz dowieść czegoś przeciwnego, ale pobożne życzenia niczego tu, do cholery, nie zmieniają. Ta sprawa jest już zamknięta.

– A ten telefon? Fakt, że Bancroft raczej nie mógł zapomnieć o kopii zapasowej i to, że ktoś uważa mnie za dostatecznie ważnego, żeby wysłać do mnie Kadmina?

– Nie zamierzam się z tobą spierać na ten temat, Kovacs. Przesłuchamy Kadmina i zobaczymy, co wie, ale co do reszty – już przez to przechodziłam i zaczyna mnie to nudzić. Są ludzie, którzy potrzebują nas znacznie bardziej niż Bancroft. Ofiary prawdziwej śmierci, które nie miały tyle szczęścia z kopią zapasową, kiedy rozwalano im stopy. Katolicy, których morduje się bezkarnie, ponieważ zabójcy wiedzą, że ich ofiary nigdy nie wyjdą z przechowalni, by ich oskarżyć. – W miarę jak wyliczała na palcach, w jej oczach narastało zmęczenie. – Przypadki uszkodzeń organicznych, kiedy ludzie nie mają dość pieniędzy na ponowne upowłokowanie (chyba że stan zdoła obciążyć kosztami winnego). Babram się w tym wszystkim ponad dziesięć

godzin dziennie i przykro mi, po prostu nie mam już na zbyciu współczucia dla pana Laurensa Bancrofta, z jego klonami w lodzie i prawie nieograniczonymi strefami wpływów w różnych miejscach, oraz dla jego eleganckich prawników rzucających się na nas, gdy tylko ktoś z jego rodziny albo pracowników wejdzie w konflikt z prawem.

– A to zdarza się dość często, prawda?

– Wystarczająco, ale nie dziw się. – Uśmiechnęła się ponuro. – To pieprzony Mat. Wszyscy są tacy sami.

Nie chciałem poznać jej od tej strony, nie chciałem tej sprzeczki i nie chciałem poznać Bancrofta od takiej strony. A poza tym wszystkim moja powłoka krzyczała o sen.

Zdusiłem papierosa.

– Myślę, że lepiej będzie, jak pani już pójdzie, pani porucznik. Te wszystkie uprzedzenia przyprawiają mnie o ból głowy.

W jej oczach coś błysnęło; coś, czego nie byłem w stanie odczytać. Znikło niemal tak szybko, jak się pojawiło. Wzruszyła ramionami, odstawiła kubek po kawie i przerzuciła nogi z parapetu na ziemię. Przeciągnęła się, wygięła kręgosłup, aż strzelił, i nie oglądając się, podeszła do drzwi. Zostałem na miejscu, obserwując jej odbicie w szybie mieniące się światłami miasta.

Przy drzwiach zatrzymała się i odwróciła głowę.

– Hej, Kovacs.

Spojrzałem na nią.

– Zapomniałaś o czymś?

Potrząsnęła głową z ustami zaciśniętymi w nierówną linię, jakby uznając punkt w jakiejś rozgrywanej między nami grze.

– Chcesz podpowiedź? – rzuciła. – Jakiś punkt zaczepienia? Dałeś mi Kadmina, więc chyba jestem ci coś winna.

– Nic mi nie jesteś winna, Ortega. Hendrix to zrobił, nie ja.

– Leila Begin – powiedziała. – Rzuć tym nazwiskiem w eleganckich prawników Bancrofta.

Drzwi zasunęły się i w odbitym w szybie pokoju nie było widać już nic oprócz świateł miasta na zewnątrz. Przyglądałem się

im przez chwilę, potem zapaliłem papierosa.

Bancroft nie popełnił samobójstwa, to było pewne. Zajmowałem się tą sprawą ledwie pół dnia, a już napadły na mnie dwie grupy nacisku. Najpierw uprzejmi bandyci Kristin Ortegi przy wyjściu z przechowalni, potem płatny morderca z Władywostoku i jego dodatkowa powłoka. Nie wspominając o dziwnym zachowaniu Miriam Bancroft. Wszystko to było zbyt mętne, by uwierzyć w to, co sugerowały pozory. Ortega czegoś chciała, podobnie jak zleceniodawca Dimitrija Kadmina, kimkolwiek był, a ja odnosiłem wrażenie, że zależy im, by sprawa Bancrofta pozostała zamknięta.

Tego nie mogłem brać pod uwagę.

– Pański gość opuścił budynek – oznajmił Hendrix, gwałtownie wyrывая mnie z zamyślenia.

– Dzięki – odpowiedziałem nieobecny głosem i rozgniotłem papierosa w popielniczkę. – Czy możesz zamknąć drzwi i zablokować windy na to piętro?

– Oczywiście. Czy życzy pan sobie informację o każdym wejściu do hotelu?

– Nie. – Ziewnąłem jak wąż próbujący połknąć jajo. – Po prostu nie wpuszczaj ich tutaj. I żadnych telefonów przez następne siedem i pół godziny.

Nagle wszystko, co byłem w stanie zrobić, to zdjąć z siebie ubranie, zanim pokonała mnie senność. Powiesiłem otrzymany od Bancrofta letni garnitur i wczółgałem się na potężne łóżko z karmazynową pościelą. Jego powierzchnia falowała przez chwilę, dostosowując się do rozmiarów i masy mojego ciała, potem otoczyła mnie niczym woda. Z pościeli unosił się delikatny aromat kadzidła.

Bez przekonania spróbowałem masturbacji, wydobywając z pamięci wilgotne obrazy zmysłowych kształtów Miriam Bancroft, ale zamiast tego przed oczami wciąż miałem blade ciało Sary rozrywane ogniem z kałasznikowa.

Zapadłem w sen.

Rozdział siódmy

Skryte w cieniu ruiny i krwistoczerwone słońce zachodzące za odległe wzgórza. W górze kłębiaste chmury pędzą w stronę horyzontu jak wieloryby umykające przed harpunem, a szaleńczy wiatr szarpie koronami drzew ocieniających ulicę.

Innenininennininennin...

Znam to miejsce.

Wyszukuję drogę między zniszczonymi ścianami ruin, próbując nie ocierać się o nie, bo za każdym razem, kiedy to robię, wydobywają z siebie przygłuszone odgłosy wystrzałów i krzyki, jakby kamienie nasiąkły konfliktem, który zrujnował miasto. Równocześnie staram się poruszać jak najszybciej, ponieważ coś za mną podąża, coś, co nie ma skrupułów i bezlitośnie dotyka ruin. Mogę dość dokładnie śledzić jego postępy na podstawie rozbrzmiewającej za moimi plecami fali wystrzałów i cierpienia. Zbliża się. Próbuję przyśpieszać, ale w tchawicy i płucach czuję ucisk, który raczej mi nie pomaga.

Zza strzaskanej podstawy wieży wychodzi Jimmy de Soto. Właściwie nie zaskakuje mnie ten widok, ale i tak przeżywam wstrząs z powodu jego zmasakrowanej twarzy. Uśmiecha się do mnie tym, co pozostało mu z rysów, i kładzie mi rękę na ramieniu. Usiłuję się nie wzdrygnąć.

– Leila Begin – mówi, wskazując głową kierunek, z którego przybiegłem. – Przepuść to przez eleganckich prawników Bancrofta.

– Zrobię to – odpowiadam, przeciskając się obok.

Ale jego ręka pozostaje na moim ramieniu, co musi znaczyć, że jego ramię wydłuża się niczym gorący воск. Zatrzymuję się, odczuwając winę z powodu bólu, jaki musiałem mu sprawić, ale on wciąż jest obok. Znów ruszam.

– Nie odwrócisz się, by walczyć? – pyta, dryfując obok mnie bez poruszania nogami.

– Czym? – pytam, pokazując puste dłonie.

– Powinieneś był się uzbroić, stary. Solidnie.

– Virginia mówiła nam, by nie popaść w słabość do broni.

Jimmy de Soto parsknął drwiąco.

– Jasne, sam wiesz, gdzie skończyła ta głupia dziwka. Sto osiemdziesiąt, bez ułaskawienia.

– Nie możesz tego wiedzieć – stwierdzam, skupiając się na odgłosach pościgu. – Zginąłeś kilka lat wcześniej.

– Och, kto naprawdę ginie w tych czasach?

– Spróbuj to powiedzieć katolikom. Zresztą, ty naprawdę zginąłeś, Jimmy. Z tego, co pamiętam, nieodwracalnie.

– Co to jest „katolik”?

– Później ci powiem. Masz jakieś papierosy?

– Papierosy? Co ci się stało w ramię?

Przerywam spiralę bezsensownej dyskusji i spoglądam na swoje ramię. Jimmy ma rację. Blizny na przedramieniu zmieniły się w świeżą ranę, pulsującą krwią ściekającą wzdłuż ręki. Więc oczywiście...

Sięgam pod lewe oko i wyczuwam tam wilgoć. Palce mam czerwone od krwi.

– Szczęściarz – stwierdza stanowczo Jimmy de Soto. – Nie trafili w oko.

Wie, co mówi. Jego lewy oczodół stanowi jedną wielką ranę, pozostałość po Innenin, gdzie wydłubał sobie gałkę oczną własnymi palcami. Nikt nigdy nie dowiedział się, co Jimmy zobaczył w halucynacjach. Do czasu gdy wydostali CC Jimmy’ego i resztę z przyczółka na Innenin do psychochirurgii, wirus obrońców nieodwracalnie pomieszał ich umysły. Program był tak złośliwy, że klinika nie odważyła się wtedy nawet zatrzymać szczątków w przechowalni do badań. Resztki Jimmy’ego de Soto leżą teraz gdzieś w podziemiach kwatery głównej Korpusu Emisariuszy na zabezpieczonym dysku z czerwoną etykietą SKAŻENIE DANYCH.

– Muszę coś z tym zrobić – stwierdzam zdesperowany.

Dźwięki wzbudzone przez pogoń ze ścian niebezpiecznie się zbliżają. Ostatni kawałek tarczy słonecznej chowa się za wzgórzami. Ramię i twarz zalewa mi krew.

– Czujesz ten zapach? – pyta Jimmy, unosząc twarz w otaczające nas chłodne powietrze. – Zmieniają to.

– Co? – Ale ja też to czuję. Świeży, pobudzający aromat, trochę zbliżony do kadzidła w Hendriksie, ale nieco inny, uderzający do głowy zapach, przy którym usnąłem zaledwie...

– Trzeba ruszać – mówi Jimmy i już mam go zapytać, gdzie idzie, kiedy uświadamiam sobie, że mówi o mnie i...

Obudziłem się.

Otworzyłem szeroko oczy, wzrok padł na jeden z psychodelicznych obrazów na ścianie pokoju. Szczupłe, eteryczne postacie rozsypane po zielonej łące pełnej białych i żółtych kwiatów. Zmarszczyłem czoło i pomacałem po stwardniałej tkance blizny na przedramieniu. Żadnej krwi. Wreszcie dotarło do mnie, że to był tylko sen, obudziłem się do końca i usiadłem w dużym, karmazynowym łóżku. Zmieniony zapach kadzideł, który przeciągnął mnie na tę stronę świadomości, okazał się aromatem kawy i świeżego chleba. Olfaktoryczna pobudka Hendriksa. Przez wyłączony fragment okna polaryzacyjnego do mrocznego pokoju wpadało światło.

– Ma pan gościa – rozległ się rześki głos Hendriksa.

– Która godzina? – wychrypiałem. Odniosłem wrażenie, jakby tył mojego gardła ktoś obficie pomazał superzimnym klejem.

– Dziesiąta szesnaście czasu lokalnego. Spał pan siedem godzin i czterdzieści dwie minuty.

– Kim jest mój gość?

– Oumou Prescott – wyjaśnił hotel. – Życzy pan sobie śniadanie?

– Tak. – Wstałem z łóżka i skierowałem się do łazienki. – Kawa z mlekiem, dobrze upieczony drób i jakiś sok owocowy. Możesz przysłać tu Prescott.

Do chwili, gdy rozbrzmiał dzwonek u drzwi, wyszedłem spod

prysznic i człapałem po apartamencie boso, ubrany w tęczowo-niebieski szlafrok ze złotymi zdobieniami. Wydobyłem swoje śniadanie z windy kuchennej i trzymając tacę w jednej ręce, drugą otworzyłem drzwi.

Oumou Prescott okazała się świetnie wyglądającą, wysoką Afrykanką, przewyższającą wzrostem moją powłokę o dobrych kilka centymetrów. Miała włosy zaplecione w dziesiątki warkoczyków zakończonych szklanymi koralikami w siedmiu czy ośmiu moich ulubionych kolorach. Niesamowite kości policzkowe były podkreślone jakimś abstrakcyjnym tatuażem. Stała na progu w jasnoszarym kostiumie i długim czarnym płaszczu z postawionym kołnierzem. Spojrzała na mnie z powątpiewaniem.

– Pan Kovacs.

– Tak, proszę wejść. Ma pani ochotę na śniadanie? – Położyłem tacę na rozrzuconej pościeli.

– Nie, dziękuję. Jestem główną reprezentantką prawną Laurensa Bancrofta, z ramienia firmy Prescott, Forbes i Hernandez. Pan Bancroft poinformował mnie...

– Tak, wiem. – Wybrałem z tacy kawałek grillowanego kurczaka.

– Rzecz w tym, panie Kovacs, że mamy spotkanie z Dennisem Nymanem w Psychasecu za... – jej oczy błysnęły białkami, gdy sprawdzała zegar na siatkówce – trzydzieści minut.

– Rozumiem – powiedziałem, starannie przeżuając. – Nie wiedziałem.

– Dzwoniłam dzisiaj od ósmej rano, ale hotel odmówił połączenia. Nie miałam pojęcia, że będzie pan tak długo spał.

Wyszczrzyłem do niej zęby w uśmiechu.

– A więc kiepski wywiad. Upowłokowiono mnie dopiero wczoraj.

Zesztywniała trochę na tę informację, ale zaraz górę wzięło profesjonalne opanowanie. Przeszła przez pokój i zajęła miejsce na parapecie pod oknem.

– W takim razie się spóźnimy – stwierdziła. – Obawiam się, że

potrzebuje pan tego śniadania.

* * *

Na środku zatoki było zimno.

Wysiadając z taksówki, na twarzy poczułem jednocześnie słońce i porywisty wiatr. W nocy padał deszcz i nad lądem wciąż snuło się kilka łąt szarych cumulusów, z uporem opierając się silnej, próbującej je odegnać bryzie. Postawiłem kołnierz garnituru i zanotowałem w pamięci, by kupić płaszcz. Nic wyszukanego, coś do pół uda, z kołnierzem i dość dużymi kieszeniami, by móc wepchnąć w nie dłonie.

Nie mogłem znieść widoku Prescott, wręcz nieprzyzwoicie odpowiednio ubranej. Wysiadła za mną z autotaksówki, zapłaciła machnięciem kciuka i oboje odsunęliśmy się, gdy maszyna startowała. Na twarzy i dłoniach poczułem podmuch przyjemnie ciepłego powietrza z turbin. Przymknąłem oczy, chroniąc je przed małą burzą porwanego odrzutem pyłu oraz piasku, i zauważyłem, że Prescott z tego samego powodu unosi do twarzy zgrabne ramię. Po chwili taksówka oddaliła się, by dołączyć do owadziej aktywności nad miastem. Prescott odwróciła się w stronę budynku za nami i wskazała drogę.

– Tędy.

Wcisnąłem ręce w nieprzewidziane do tego kieszenie marynarki i poszedłem za nią. Pochylając się lekko z powodu wiatru, przeszliśmy po długich schodach do Psychasec Alcatraz.

Spodziewałem się instalacji o wysokim poziomie zabezpieczeń i nie rozczarowałem się. Na kompleks Psychasec składała się seria długich, dwupiętrowych budynków o głęboko wpuszczonych oknach, przypominających wojskowe bunkry dowodzenia. Jedyne odstępstwo od tego wzoru stanowiła pojedyncza kopuła na zachodnim krańcu, mieszcząca, jak przypuszczałem, sprzęt łączności satelitarnej. Cały kompleks miał barwę szarego granitu, a okna pobłyskiwały lekko na różowo. Nie było żadnych holoreklam ani emisji dla

publiczności, prawdę mówiąc, praktycznie nic nie zdradzało, że dotarliśmy we właściwe miejsce, oprócz skromnej tabliczki wyciętej laserem w ukośnej ścianie bloku wejściowego:

PsychaSec S.A.

FCC Odzysk i bezpieczne przechowanie

Klonowanie powłok

Nad tabliczką umieszczono małe, czarne oko kamery, obok znajdował się zabezpieczony solidną kratką głośnik. Oumou Prescott uniosła dłoń i machnęła w stronę kamery.

– Witamy w PsychaSec Alcatraz – rozbrzmiał natychmiast dźwięk z głośnika. – Masz piętnaście sekund na identyfikację.

– Oumou Prescott i Takeshi Kovacs na spotkanie z dyrektorem Nymanem. Jesteśmy umówieni.

Przez nasze ciała przesunęła się cienka, zielona wiązka laserowego skanera, a po chwili część ściany gładko cofnęła się w głąb, a potem w dół, otwierając przejście. Ucieszyłem się z możliwości ucieczki przed wiatrem, więc szybko wszedłem do niszy i podążyłem za pomarańczowymi znakami świetlnymi wzdłuż krótkiego korytarza prowadzącego do recepcji. Prescott została w tyle. Gdy tylko oboje wyszliśmy z korytarza do sali, masywne drzwi wróciły na swoje miejsce. Solidne zabezpieczenia.

Recepcja mieściła się w okrągłym, ciepło oświetlonym pomieszczeniu. Fotele i stoliki ustawiono na osiach czterech głównych kierunków kompasu. Na północy i wschodzie siedziało kilka osób, rozmawiając przyciszonymi głosami. Na środku umieszczono okrągły stół, za którym siedział recepcjonista otoczony baterią sprzętu biurowego. Żadnych konstruktów; prawdziwy człowiek, szczupły chłopak po dwudziestce. Kiedy podeszliśmy, podniósł na nas wzrok.

– Może pani od razu iść, pani Prescott. Do biura dyrektora – prosto po schodach, trzecie drzwi po prawej.

– Dziękuję. – Prescott wysunęła się na prowadzenie, odzywając

się do mnie cicho, gdy tylko wyszliśmy poza zasięg słuchu recepcjonisty. – Od kiedy zbudowano to miejsce, Nyman wykazuje pewne objawy megalomanii, ale w zasadzie to porządny człowiek. Proszę spróbować nie ulec jego prowokacjom.

Poszliśmy zgodnie z instrukcjami recepcjonisty, pod drzwiami musiałem zatrzymać się na chwilę i zdusić śmiech. Drzwi Nymana, bez wątpienia szczyt ziemskiego wyrafinowania, od góry do dołu w całości były zrobione z drzewa lustrzanego. Po najwyższej klasy systemach bezpieczeństwa i żywym recepcjoniście – wydawało się to równie subtelne jak waginalne spluwaczki w karlim burdelu Madame Mi. Moje rozbawienie musiało rzucać się w oczy, bo Prescott najpierw się skrzywiła, a potem mocno zastukała do drzwi.

– Wejść!

Sen przywrócił równowagę między moim umysłem a nową powłoką. Przybierając poważny wyraz wynajętej twarzy, wszedłem do pokoju w ślad za Prescott.

Nyman siedział za biurkiem, ostentacyjnie nie przerywając pracy na szarozielonym holoeckranie. Był chudym, poważnie wyglądającym mężczyzną, nosił zewnętrzne soczewki w stalowej oprawie, pasujące do drogiego, czarnego garnituru i schludnej fryzury. Zza okularów patrzyły na nas lekko urażone oczy. Nie był zbyt szczęśliwy, kiedy Prescott zadzwoniła do niego z taksówki, żeby poinformować, że się spóźnimy, ale najwyraźniej był w kontakcie z Bancroftem, bo zaakceptował przesunięcie godziny spotkania ze sztywną grzecznością zdyscyplinowanego dziecka.

– Skoro chce pan zobaczyć nasze instalacje, panie Kovacs, czy moglibyśmy już zaczynać? Wyczyściłem swój terminarz na najbliższych kilka godzin, ale czekają na mnie klienci.

Coś w zachowaniu Nymana przypominało naczelnika Sullivana, ale był to znacznie gładszy, mniej rozgoryczony Sullivan. Przesunąłem wzrokiem po jego twarzy i garniturze. Może gdyby naczelnik swoją karierę zawodową rozwijał

w przechowalni dla superbogaczy, a nie kryminalistów, wyglądałby właśnie tak.

– Doskonale.

Potem zrobiło się dość nudno. Kompleks Psychasec, jak większość placówek FCC, nie różnił się od gigantycznych, klimatyzowanych magazynów z półkami. Przeszliśmy przez znajdujące się w podziemiach pokoje schłodzone do 7–11 stopni Celsjusza, temperatury rekomendowanej przez producenta zmodyfikowanego węgla. Oglądaliśmy stojaki pełne dużych, trzydziestocentymetrowych dysków i podziwialiśmy roboty obsługujące przechowalnię, poruszające się po szerokich torach wzdłuż ścian.

– To system dubeltowy – wyjaśnił z dumą Nyman. – Każdy klient jest przechowywany na dwóch osobnych dyskach w różnych częściach budynku. Obowiązuje losowa dystrybucja kodu, tylko centralny komputer może znaleźć oba, a w systemie zainstalowana jest blokada, która uniemożliwia dostęp do obu kopii równocześnie. Aby poczynić jakieś realne szkody, musiałby pan włamać się tu dwukrotnie i dwukrotnie pokonać wszystkie systemy bezpieczeństwa.

Wydobywałem z siebie dźwięki mające świadczyć, że jestem pod wrażeniem.

– Nasze łącze satelitarne działa za pośrednictwem sieci nie mniej niż osiemnastu bezpiecznych bramek satelitarnych, wynajmowanych w losowej kolejności. – Nyman dawał się ponieść własnej gadce reklamowej. Jakby zapomniał, że ani ja, ani Prescott nie stanowimy potencjalnych klientów na usługi oferowane przez Psychasec. – Żadnego z satelitów nie wynajmujemy jednorazowo na dłużej niż dwadzieścia minut. Uaktualnienia kopii zapasowych przychodzą przez transmisję strunową i nie można przewidzieć drogi transmisji.

Nie była to do końca prawda. Używając sztucznej inteligencji o odpowiednich rozmiarach i inklinacjach, dałoby się to w końcu rozgryźć, ale nie miało sensu o tym wspominać. Gracze, którzy używali SI, raczej nie musieli wykańczać przeciwników strzałem

w głowę z blastera. Szukałem w złym miejscu.

– Czy mogę zobaczyć klony Bancrofta? – zapytałem Prescott.

– Od strony prawnej? – Prescott wzruszyła ramionami. – Z tego, co wiem, pan Bancroft dał panu *carte blanche*.

Carte blanche? Prescott wyskakiwała z tym na mnie cały poranek. W słowach prawie czuło się wagę starego pergaminu. Coś takiego mógłby powiedzieć Alain Marriott w kawałku z czasów Osiedlenia.

Cóż, jesteś teraz na Ziemi. Obróciłem się do Nymana, który niechętnie kiwnął głową.

– Obowiązują pewne procedury – zastrzegł.

Wyszliśmy z powrotem na poziom ziemi, przechodząc korytarzami, przypomniałem sobie o instalacji upowłokowienia w Centrali Bay City. W przeciwieństwie do Bay City tutaj nie było żadnych śladów po gumowych kółkach na podłodze – transportery powłok poruszały się na poduszkach powietrznych, a ściany korytarza pomalowano na pastelowe kolory. Okna, z zewnątrz wyglądające na szczeliny strzeleckie w bunkrach, od wewnątrz były otoczone falami w stylu Gaudiego. W pewnym momencie minęliśmy kobietę zajmującą się ręcznym czyszczeniem tych zdobień. Uniosłem brwi. Nieustająca ekstrawagancja.

Nyman zauważył mój gest.

– Pewnych rzeczy maszyny nigdy nie będą w stanie zrobić właściwie – rzucił.

– Na pewno.

Magazyny klonów ciągnęły się po lewej stronie. Prowadziły do nich ciężkie drzwi z wyrytymi wzorami pasującymi do wyszukanych okien. Zatrzymaliśmy się przed nimi, a Nyman przysunął oko do umieszczonego w ścianie skanera siatkówki. Drzwi gładko otworzyły się na zewnątrz; pełny metr stali wolframowej. Za nimi znajdowała się czterometrowej długości komora z podobnymi drzwiami na drugim końcu pomieszczenia. Weszliśmy tam, a drzwi zamknęły się za nami z przytłumionym stuknięciem, które wepchnęło mi powietrze do uszu.

– To śluza – wyjaśnił niepotrzebnie Nyman. – Zostaniemy oczyszczeni ultradźwiękowo, aby upewnić się, że nie wniesiemy ze sobą żadnych zanieczyszczeń. Nie ma powodów do niepokoju.

Światło w suficie zapulsowało na niebiesko, informując o postępującym czyszczeniu, a potem bezgłośnie otworzyły się przed nami drugie drzwi. Weszliśmy do rodzinnego skarbca Bancroftów.

Widziałem już takie rzeczy. Na Nowym Pekinie Reileen Kawahara utrzymywała niewielką instalację dla swoich przejściowych klonów i, oczywiście, istniały magazyny Korpusu. A jednak nie byłem przygotowany na to, co zobaczę tutaj.

Pomieszczenie zbudowano na planie owalu zwieńczonego kopułą, musiało wznosić się przez oba piętra budynku. Było olbrzymie jak świątynia na Świecie Harlana. Oświetlono je niezbyt intensywnym, pomarańczowym światłem, temperatura wewnątrz pomieszczenia była utrzymywana na poziomie ciepłoty ciała ludzkiego. Wszędzie pełno było kokonów z klonami, żyłkowanych, przejrzystych strąków w tym samym odcieniu co światło, zwisających spod sufitu na przewodach i rurach z odżywkami. Wewnątrz dało się dostrzec zarysy klonów, podobne do płodów kłębki ramion i nóg, tyle że w pełni rozwiniętych. A przynajmniej tak wyglądała większość z nich. W górze, pod kopułą dostrzegłem mniejsze kokony, rozwijające się uzupełnienia zapasu. Pojemniki były w całości organiczne, ze wzmocnionego analogu okładziny łożyska, mogły rosnać wraz z płodem do półtorametrowej łzy w dolnej połowie pomieszczenia. Wisiały w górze jak plony czekające na bryzę, która zacznie nimi kołysać.

Nyman odchrząknął, wybijając nas z pełnego zdumienia bezruchu, który trzymał nas na progu.

– Może się to wydawać przypadkowe – powiedział – ale wzór rozmieszczenia został wygenerowany komputerowo.

– Wiem. – Kiwnąłem głową i podszedłem bliżej do jednego z pojemników. – To jakiś wzór fraktalny, prawda?

– Tak, oczywiście. – Nyman wydawał się urażony moją wiedzą.

Przyjrzałem się klonowi. W odległości kilku centymetrów od moich oczu, w płynie odżywczym wypełniającym kokon zobaczyłem twarz śpiącej Miriam Bancroft. Ramiona miała złożone obronnym gestem wokół piersi, a lekko zaciśnięte w pięści dłonie trzymała przy policzkach. Włosy zwinięto jej w gruby sznur na szczycie głowy i zakryto jakąś siatką.

– Jest tu cała rodzina. – Usłyszałem cichy głos Prescott dobiegający zza mojego ramienia. – Mąż, żona i wszystkie dzieci. Większość dostała tylko jeden klon, ewentualnie dwa klony, ale Bancroft i jego żona mają ich po sześć. Robi wrażenie, prawda?

– Owszem.

Niemal wbrew sobie musiałem wyciągnąć dłoń i dotknąć błony nad twarzą Miriam Bancroft. Była ciepła i lekko ugiwała się pod dotykiem. Wokół otworów rur z odżywkami i rur na odchody błona była poznaczona lekkimi bliznami i niewielkimi pryszczami, przez które wsuwano do środka igły do pobierania próbek tkanki i dostarczania środków farmakologicznych. Membrana ustępowała pod nakłuciem, po czym goiła otwór.

Odwróciłem się od śpiącej kobiety do Nymana.

– Wszystko to bardzo ładne, ale przypuszczam, że nie przebijacie jednego z nich, kiedy przybywa tu Bancroft. Musicie mieć tu też zbiorniki.

– Tędy. – Nyman gestem nakazał nam, aby pójść za nim, i ruszył na tyły komory, gdzie w ścianie zamontowano kolejne drzwi ciśnieniowe.

Najniższe z kokonów poruszyły się lekko w podmuchu powietrza poruszonym naszym przejściem i musiałem pochylić się, by nie zahaczyć o jeden z nich. Nyman przebiegł palcami po klawiaturze numerycznej zamka przy drzwiach i przeszliśmy przez długi, niski pokój, którego kliniczne oświetlenie po macicznych warunkach głównej komory prawie nas oślepiało. Wzdłuż jednej ze ścian ustawiono rząd ośmiu metalicznych cylindrów, nieróżniących się zbytnio od tego, w którym obudziłem się wczoraj, tyle tylko, że mój niepomalowany,

stalowy zbiornik nosił ślady tysięcy drobnych wgnieceń od długoletniego użytkowania, a te tutaj wyglądały na całkowicie nowe. Każdy był pomalowany na kremowo (z żółtym paskiem wokół przejrzystego okienka obserwacyjnego) i miał różne funkcjonalne wypukłości.

– Komory podtrzymywania życia – wyjaśnił Nyman. – Zasadniczo to samo środowisko co w kokonach. Tutaj odbywa się upowłokowanie. Świeże klony sprowadzane są w kokonach i ładowane do urządzeń. Płyn w zbiorniku zawiera enzym rozpuszczający powłokę, więc przeniesienie odbywa się bez wstrząsów. Aby zapobiec ryzyku skażenia, wszelkie prace kliniczne są przeprowadzane przez pracowników w syntetycznych powłokach.

Kątem oka dostrzegłem pełen rozpaczy wyraz oczu Prescott i nie mogłem się powstrzymać, żeby się nie uśmiechnąć.

– Kto ma dostęp do tego pomieszczenia?

– Ja i upoważniony personel, który ma jednodniowy kod dostępu. Oraz, oczywiście, właściciele.

Przespacerowałem się wzdłuż rzędu cylindrów, nachylając się, by odczytać dane na wyświetlaczach przy każdym z nich. W szóstym znajdował się klon Miriam, a w siódmym i ósmym dwa klony Naomi.

– Trzymacie córkę w dwóch egzemplarzach?

– Tak. – Nyman przez chwilę wyglądał na zmieszanego, potem spojrzał z lekką wyższością. Wreszcie miał szansę odzyskać inicjatywę utraconą przy wzorze fraktalnym. – Nie został pan poinformowany o jej obecnym stanie?

– Tak, jest na psychochirurgii – burknąłem. – To nie wyjaśnia, czemu macie ją tu podwójnie.

– Cóż... – Nyman rzucił okiem na Prescott, jakby udzielenie mi dalszych informacji wymagało jakichś machinacji prawnych.

Kobieta odchrząknęła.

– Pan Bancroft poinstruował Psychasec, by zawsze trzymano dodatkowy, gotowy do przelania klon dla niego i jego najbliższej rodziny. Na czas transferu panienci Bancroft do przechowalni

psychiatrycznej w Vancouver obie powłoki przechowuje się tutaj.

– Bancroftowie lubią zmieniać swoje powłoki – wyjaśnił Nyman. – Wielu z naszych klientów tak robi, zmniejsza to zużycie. Odpowiednio przechowywane ciało ludzkie zdolne jest do zdumiewającej regeneracji, ale oczywiście oferujemy również kompletny pakiet napraw klinicznych w przypadku większych uszkodzeń. Po bardzo rozsądnej cenie.

– Z pewnością – zgodziłem się. Odwróciłem się od ostatniego cylindra i uśmiechnąłem się do niego. – Mimo wszystko wciąż niewiele możecie zrobić z wypaloną głową, co?

Zapadła krótka cisza, podczas której Prescott wbiła spojrzenie w róg sufitu, a Nyman ściągnął usta do prawie analnych proporcji.

– Uważam, że ta uwaga była bardzo w złym guście – stwierdził w końcu dyrektor. – Czy ma pan jeszcze jakieś *merytoryczne* pytania, panie Kovacs?

Zatrzymałem się przy cylindrze Miriam Bancroft i zajrzałem do środka. Nawet rozmyta przez płytkę i żel, skryta wewnątrz postać roztaczała aurę zmysłowości.

– Tylko jedno. Kto decyduje, kiedy zmienić powłokę?

Nyman ponownie zerknął na Prescott tym czekającym na przyzwolenie wzrokiem.

– Zostałem upoważniony przez pana Bancrofta do wymiany powłoki za każdym razem, kiedy przechodzi digitalizację, o ile nie zażyczy sobie inaczej. Tym razem nic takiego nie zastrzegł.

Coś tu było nie tak, coś uwierało moje antenki Emisariusza. Coś do czegoś *pasowało*. Jednak jeszcze za wcześnie, by nadać temu konkretną formę. Rozejrzałem się po pokoju.

– Wejścia tutaj są rejestrowane, prawda?

– Oczywiście – odpowiedział chłodno Nyman.

– Dużo się tu działo w dniu, kiedy Bancroft udał się do Osaki?

– Nie więcej niż zwykle. Panie Kovacs, policja już przeglądała zapisy. Naprawdę nie rozumiem, jaki sens...

– Taka zachcianka – przerwałem mu, a ton Emisariusza w moim głosie natychmiast go uciszył.

* * *

Dwie godziny później wyglądałem przez okno kolejnej autotaksówki, startującej z płyty lądowiska na Alcatraz i wspinającej się nad zatokę.

– Znalazł pan to, czego pan szukał?

Zerknąłem na Oumou Prescott, zastanawiając się, czy czuła przepełniającą mnie frustrację. Byłem przekonany, że zablokowałem większość sposobów, na jakie powłoka może zdradzać uczucia, ale słyszałem o prawnikach przechodzących szkolenie empatyczne, aby odbierać więcej podświadomych sygnałów przesłuchiwanym świadków. A tu, na Ziemi, nie zaskoczyłoby mnie wcale, gdyby Oumou Prescott miała wmontowany w swoje piękne, hebanowe ciało pełen pakiet skanerów głosowych i podczerwieni.

Dane dotyczące wejść do skarbcza Bancrofta w czwartek, szesnastego sierpnia, były równie wolne od podejrzanych wejść i wyjść, jak supermarket w Mishimie we wtorkowe popołudnie. O ósmej rano Bancroft zjawił się w towarzystwie dwóch asystentów, rozebrał się i wszedł do przygotowanego zbiornika. Pomocnicy wyszli z jego ubraniem. Czternaście godzin później z sąsiedniego zbiornika wyszedł ociekający żelazem zapasowy klon, odebrał ręcznik od innego asystenta i udał się pod prysznic. Poza podstawowymi uprzejmościami nie padły żadne słowa. Nic.

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Tak naprawdę sam nie wiem jeszcze, czego szukam.

Prescott ziewnęła.

– Totalna absorpcja, co?

– Właśnie. – Przyjrzałem się jej uważniej. – Dużo pani wie o Korpusie?

– Odrobinę. Prowadziłam kilka spraw dla ONZ. Chwyta się terminologię. Więc co pan dotąd zaabsorbował?

– Tylko tyle, że sporo dymu zbiera się wokół czegoś, co według władz wcale się nie pali. Spotkała pani tę porucznik, która prowadziła sprawę Bancrofta?

– Kristin Orteę. Oczywiście. Raczej jej nie zapomnę. Krzyczałyśmy na siebie przez biurko przez większą część tygodnia.

– Wrażenia?

– Na temat Ortegi? – Prescott wyglądała na zaskoczoną. – Na ile mogę stwierdzić, dobra policjantka. Ma reputację bardzo twardej. Wydział Uszkodzeń Organicznych to najtwardsi ludzie w policji, więc uzyskanie tego rodzaju reputacji nie mogło być łatwe. Dość sprawnie prowadziła sprawę.

– Nie według Bancrofta.

Pauza. Prescott przyjrzała mi się nieufnie.

– Powiedziałaś sprawnie, nie gorliwie. Ortega zrobiła, co do niej należy, ale...

– Ale nie lubi Matów, co?

Kolejna przerwa.

– Ma pan niezłe ucho do slangu, panie Kovacs.

– Chwyta się terminologię – odpowiedziałem skromnie. – Myśli pani, że Ortega zostawiłaby sprawę otwartą, gdyby Bancroft nie był Matem?

Prescott zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– To dość powszechne uprzedzenie – rzekła z namysłem. – Ale nie odniosłam wrażenia, żeby Ortega zamknęła sprawę z tego powodu. Wydaje mi się, że widziała, iż ta inwestycja jej się nie opłaci. Wydział policji opiera system promocji przynajmniej częściowo na liczbie rozwiązanych spraw. Nikt nie łudził się, że tę da się szybko rozwiązać, a pan Bancroft żyje, więc...

– Są ciekawsze zajęcia, co?

– Tak, coś w tym stylu.

Przez kilka chwil znów wyglądałem przez okno. Taksówka przesuwiała się nad smukłymi, wielopiętrowymi budynkami i oddzielającymi je wypełnionymi ruchem kanionami. Czułem, jak narasta we mnie stara furia bez żadnego związku z obecnymi problemami. Coś, co nagromadziło się przez lata w Korpusie, i emocjonalne śmieci, które przywykło się oglądać, jak brud osiadający na duszy. *Virginia Vidaura, Jimmy de Soto umierający*

w moich ramionach na Innenin, Sara... Jak by na to nie patrzeć, parada przegranych.

Odegnąłem od siebie te wspomnienia.

Swędziała mnie blizna pod okiem, a głód nikotynowy zginał mi czubki palców. Pomasowałem bliznę, ale papierosy zostawiłem w kieszeni. W którymś bliżej nieokreślonym momencie tego ranka postanowiłem z tym skończyć. Przyszła mi do głowy pewna myśl.

– Prescott, to pani wybrała dla mnie tę powłokę, prawda?

– Przepraszam. – Czytała coś na projektorze siatkówkowym i dopiero po chwili skupiła na mnie wzrok. – O co pan pytał?

– Ta powłoka. To pani ją wybrała, prawda?

– Nie. – Zmarszczyła brwi. – Z tego, co wiem, wyboru dokonał pan Bancroft. My tylko dostarczyliśmy listę powłok spełniających jego wymagania.

– Powiedział mi, że zajęli się tym jego prawnicy. Bez cienia wątpliwości.

– Och... – Wygładziła zmarszczki i uśmiechnęła się lekko. – Pan Bancroft zatrudnia bardzo wielu prawników. Prawdopodobnie przesłał to po prostu do innego biura. A o co chodzi?

– Nic takiego. Osoba, do której należało wcześniej to ciało, była palaczem, a ja nim nie jestem. To naprawdę upierdliwe.

– Zamierza pan rzucić palenie? – Uśmiechnęła się szerzej.

– Jeśli znajdę na to czas. Umowa z Bancroftem przewiduje, że kiedy rozwiążę sprawę, mogę dostać inną powłokę na koszt firmy, więc na dłuższą metę nie ma to tak naprawdę znaczenia. Po prostu nienawidzę budzić się co rano z gardłem pełnym gówna.

– Myśli pan, że się uda?

– Zrezygnować z palenia?

– Nie, rozwiązać tę sprawę.

Spojrzałem na nią śmiertelnie poważnie.

– Tak naprawdę nie mam innej możliwości. Czytała pani warunki mojego zatrudnienia?

– Tak. Sama je ułożyłam. – Prescott odpowiedziała mi równie

poważnie, ale dostrzegłem ślady zakłopotania, które powstrzymały mnie przed sięgnięciem przez kabinę i wbiciem jej nosa do mózgu.

– Proszę, proszę – powiedziałem i wróciłem do podziwiania widoków.

* * *

a pięść wsadzę w cipę twojej żony i będziesz patrzył, pierdolony macie nie możesz...

Ściągnąłem hełm i zamrugalem. W tekście umieszczono trochę niezgrabnych, ale skutecznych wirtualnych grafik i przekazy subsoniczne, od których szumiało mi w głowie. Prescott ze współczuciem spojrzała na mnie zza biurka.

– Wszystko tak wygląda? – zapytałem.

– Cóż, później robi się mniej spójne. – Wskazała na wyświetlacz holograficzny unoszący się nad biurkiem, w chłodnych odcieniach błękitu i zieleni przesuwały się na nim fragmenty plików. – Nazywamy to CW. Chaotyczna Wścieklizna. Prawdę mówiąc, większość z tych ludzi zaszła już zbyt daleko, żeby stanowić realne zagrożenie, ale sama świadomość ich istnienia potrafi zepsuć trawienie.

– Ortega sprawdziła któregoś z nich?

– To nie jej wydział. Wydział Przestępstw Transmisji łapie paru co jakiś czas, jeśli zaczniemy dostatecznie głośno narzekać, ale biorąc pod uwagę obecne techniki przesyłu informacji, przypomina to łapanie dymu siecią. Nawet jeśli się ich złapie, najgorsze, co im grozi, to kilka miesięcy w przechowalni. Strata czasu. Zazwyczaj po prostu trzymamy to do chwili, aż Bancroft poleci nam skasować wszystkie takie pliki.

– I nic nowego nie pojawiło się w ciągu ostatnich sześciu miesięcy?

– Może fanatycy religijni. – Prescott wzruszyła ramionami. – Zwiększona aktywność katolików w sprawie Rezolucji 653. Pan Bancroft posiada niesprecyzowane wpływy w sądzie ONZ,

co stanowi publiczną tajemnicę. Och, i jakaś marsjańska sekta archeologiczna wrzeszczała na temat śpiewodrzewu, który Bancroft trzyma w domu. Najwyraźniej w zeszłym miesiącu przypadała rocznica męczeńskiej śmierci ich założyciela, który zginął z powodu przeciekającego kombinezonu ciśnieniowego. Ale nikt z tych ludzi nie ma środków na złamanie systemu obrony Suntouch House.

Odchyliłem się na krześle i, przeciągając się, spojrzałem na sufit. W górze unosiło się stadko świergoczących szarych ptaków. Biuro Prescott było sformatowane proekologicznie, co oznaczało, że każda z sześciu wewnętrznych powierzchni emitowała wirtualne obrazy. W tej chwili jej szare, metaliczne biurko tkwiło w połowie porośniętego łąką zbocza, na którym z wolna zachodziło słońce, rzucając cienie na pasące się stadko bydła. Obraz miał jedną z najlepszych rozdzielczości, jakie zdarzyło mi się widzieć.

– Prescott, co może mi pani powiedzieć o Leili Begin?

Cisza, która zapadła, sprowadziła mój wzrok z powrotem na poziom ziemi. Oumou Prescott wpatrywała się w skraj pola.

– Przypuszczam, że to Kristin Ortega podała panu to nazwisko – powiedziała wolno.

– Owszem. – Wyprostowałem się na krześle. – Powiedziała, że da mi to pewien wgląd w sprawy Bancrofta. Prawdę mówiąc, poradziła również, żebym rzucił w panią tym nazwiskiem i zobaczył, czy to panią wstrząśnie.

Prescott obróciła się na fotelu w moją stronę.

– Nie widzę żadnego związku ze sprawą, którą się zajmujemy.

– Przekonajmy się.

– No dobrze. – W jej głosie pojawił się ostry ton, zmieniła wyraz twarzy. – Leila Begin była prostytutką. Może nadal nią jest. Pięćdziesiąt lat temu Bancroft został jednym z jej klientów. Na skutek całego łańcucha niedyskrecji dowiedziała się o tym Miriam Bancroft. Obie kobiety spotkały się przy okazji jakiejś uroczystości w San Diego i poszły razem do ubikacji, gdzie Miriam Bancroft dała Leili Begin niezły wycisk.

– I to wszystko? – Zdziwiony studiowałem twarz Prescott po drugiej stronie biurka.

– Nie, nie wszystko – powiedziała z rezygnacją. – Begin była wtedy w szóstym miesiącu ciąży. Na skutek pobicia poroniła. Fizycznie niemożliwe jest umieszczenie stosu w płodzie, więc efektem była prawdziwa śmierć dziecka. Potencjalnie wyrok na trzydzieści do pięćdziesięciu lat.

– To było dziecko Bancrofta?

– Raczej mało prawdopodobne. – Prescott wzruszyła ramionami. – Begin nie pozwoliła na testy genetyczne płodu. Powiedziała, że nie ma znaczenia, kto był ojcem. Prawdopodobnie doszła do wniosku, że w prasie lepiej sprzeda się historia z nierozwiązanym zakończeniem niż urzędowe potwierdzenie, że Bancroft nie miał z tą ciążą nic wspólnego.

– Albo była zbyt przejęta tym, co zaszło?

– Och, panie Kovacs. – Prescott machnęła ręką. – Rozmawiamy o dziwce z Oakland.

– Czy Miriam Bancroft trafiła do przechowalni?

– Nie, i do tego właśnie pije Ortega. Bancroft przekupił wszystkich. Świadków, prasę, nawet Begin skusiła się w końcu na pieniądze. Strony doszły do porozumienia. Dostała dość, by wykupić polisę klonową Lloyda i wyprowadzić się stąd. Kiedy ostatnio o niej słyszałam, nosiła drugą powłokę gdzieś w Brazylii. Ale to wszystko działo się pół wieku temu.

– Pani się tym zajmowała?

– Nie. – Prescott nachyliła się ku mnie nad biurkiem. – Zresztą Kristin Ortega też nie, więc niedobrze mi się robi, kiedy słyszę, że wypowiada się na ten temat. Och, też się nasłuchałam, kiedy wyciągnęli to w śledztwie miesiąc temu. Tak naprawdę to nawet nigdy nie spotkała Begin.

– Myślę, że może to być kwestia zasad – powiedziałem spokojnie. – Czy Bancroft nadal regularnie odwiedza prostytutki?

– To nie moja sprawa.

Wsunąłem palec w wyświetlacz holograficzny i przyglądałem się, jak kolorowe pliki zniekształcają się wokół zaburzenia.

– Powinna się pani tym zainteresować. W końcu zazdrość seksualna to dość typowy motyw morderstwa.

– Przypominam, że Miriam Bancroft została oczyszczona z ewentualnych zarzutów, zeznając pod polarografem – odpowiedziała ostro Prescott.

– Nie mówię o pani Bancroft. – Przestałem bawić się wyświetlaczem i wbiłem wzrok w siedzącą po drugiej stronie biurka kobietę. – Mówię o milionach kręcących się po świecie lasek i jeszcze większej liczbie partnerów i krewnych, którym może się nie podobać, że pieprzy je jakiś Mat. Między nimi może znaleźć się jakiś ekspert od potajemnej penetracji, gra słów niezamierzona, i może jakiś psychopata lub dwóch. Mówiąc krótko, ktoś, kto potrafiłby dostać się do domu Bancrofta i wypalić mu głowę.

W oddali żałośnie zaryczała krowa.

– Co powie pani na to, pani Prescott. – Machnąłem ręką przez holowyświetlacz. – Wszystko, co zaczyna się od: za to, co zrobiłeś mojej dziewczynie, córce, żonie, matce, niepotrzebne skreślić.

Nie musiała odpowiadać. Widziałem to w jej twarzy.

Oumou Prescott nachyliła się do klawiatury i, wydając polecenia bazie danych, przywołała na wyświetlacz prostokąt purpurowego światła. Przyglądałem się, jak rozkwita i otwiera się niczym jakaś kubistyczna wersja orchidei. Gdzieś zza pleców dobiegł mnie ryk kolejnej krowy.

Włożyłem hełm z powrotem na głowę.

Rozdział ósmy

Miasteczko nazywało się Ember. Znalazłem je na mapie jakieś dwieście kilometrów na północ od Bay City, przy nadbrzeżnej drodze. Na oceanie obok umieszczono asymetryczny, żółty symbol.

– Free Trade Enforcer? – odezwała się Prescott, zaglądając mi przez ramię. – Lotniskowiec. Ostatni z naprawdę dużych okrętów. Kiedyś, na początku okresu kolonizacji, jakiś idiota wpakował go na mieliznę, a wokół tego miejsca wyrosło miasto obsługujące turystów.

– Turystów?

– To naprawdę duży statek – wyjaśniła z przekonaniem.

W jakiejś szemranej firmie o dwie przecznice od biura Prescott wynająłem antyczny samochód naziemny i pojechałem na północ przez rdzawy most wiszący. Potrzebowałem czasu do namysłu. Autostrada nadbrzeżna była w dość kiepskim stanie, ale za to prawie całkiem opuszczona, więc ustawiłem się przy żółtej linii na środku drogi i popędziłem przed siebie równo sto pięćdziesiąt na godzinę. Radio oferowało całą gamę stacji, których odniesienia kulturalne zdecydowanie przekraczały moje możliwości percepcji, ale w końcu znalazłem jakiś propagandowy program neomaoistowski, emitowany z satelity, o którym zapewne nikt już nie pamiętał. Nie potrafiłem oprzeć się mieszance haseł politycznych i straszliwie przesłodzonych kawałków karaoke. Dzięki wdzierającemu się przez otwarte okno zapachowi oceanu i monotonnej trasie na chwilę zupełnie się wyłączyłem, zapomniałem o Korpusie, Innenin i wszystkim, co zaszło od tamtej pory.

Zanim dojechałem do zjazdu na Ember, słońce zaczynało się już chować za kanciaste kształty przekrzywionego pokładu

startowego Free Trade Enforcer, a ostatnie promienie rysowały ledwie widoczne, różowe pasy po obu stronach cienia wraku. Prescott miała rację. To był bardzo duży statek.

Zwolniłem, wjeżdżając między wyrastające wokół mnie budynki. Zastanawiałem się, jak ktokolwiek mógł być aż tak głupi, żeby coś tak wielkiego doprowadzić tak blisko brzegu. Może Bancroft wiedział. Prawdopodobnie kręcił się już wtedy po okolicy.

Główna ulica Ember ciągnęła się przez całą długość miasta wzdłuż wybrzeża, była oddzielona od plaży rzędem majestatycznych palm i neowiktoriańską barierką z kutego żelaza. Do pni palm zamocowano projektory holograficzne, wszystkie emitowały ten sam obraz kobiecej twarzy zwieńczonej napisem: przedstawienie – anchana salomao & totalny teatr ciała z rio. Deptakiem wzdłuż plaży przechadzały się małe grupki ludzi, przyglądając się projekcjom.

Jechałem na niskim biegu, przeglądając fasady wzdłuż ulicy. Dopiero kiedy minąłem mniej więcej dwie trzecie miasteczka, znalazłem to, czego szukałem. Cicho zaparkowałem samochód jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, chwilę odczekałem w środku, ale kiedy nic się nie wydarzyło, wysiadłem i poszedłem z powrotem ulicą.

Punkt handlu danymi Elliotta mieścił się za wąską fasadą wciśniętą między sklep z chemikaliami a pusty lokal, w którym przekrzykiwały się mewy walczące między półkami o porzucone resztki. Drzwi do pomieszczenia stały otworem, podparte uszkodzonym, płaskim monitorem. Prowadziły wprost do pokoju operacyjnego. Wszedłem do środka i rozejrzałem się. Za długim, modularnym blatem recepcyjnym z plastiku ustawiono cztery konsole. Za nimi znajdowały się drzwi prowadzące do przeszklonego biura, w którym wisiało siedem monitorów wyświetlających jakieś nieczytelne z tej odległości dane. Pusta przestrzeń między nimi odpowiadała wielkością urządzeniu, które teraz podpierało drzwi. W miejscach, skąd nieudolnie usunięto haki, widać było świeżą farbę. Na jednym z ekranów

pojawiły się jakieś zakłócenia, jakby coś, co doprowadziło do śmierci usuniętego monitora, było zaraźliwe.

– Słucham pana.

Zza rogu jednej z konsol wyłoniła się szczupła twarz mężczyzny w nieokreślonym wieku. W ustach trzymał niezapalonego papierosa, a z wtyczki za uchem wystawał kabel, którego końcówka ginęła gdzieś za plecami. Miał niezdrowo bladą skórę.

– Szukam Victora Elliotta.

– Przed budynkiem. – Zrobił niekreślony ruch w kierunku wejścia. – Widzi pan tego starszego faceta przy barierce? To on.

Powędrowałem wzrokiem we wskazanym kierunku i dostrzegłem samotną postać.

– Jest właścicielem tego miejsca, prawda?

– Owszem. Kara za grzechy. – Infoszczur wyszczerzył zęby i zrobił gest zachęcający do rozejrzenia się dookoła. – Biorąc pod uwagę, jak idzie interes, nie ciągnie go do siedzenia w biurze.

Podziękowałem mu i wróciłem na ulicę. Zaczynało się już robić ciemno, a w zapadającym mroku coraz wyraźniej rzuciła się w oczy holograficzna twarz Anchany Salomao. Przechodząc przez jeden z obrazów, podszedłem do barierki i oparłem się o nią tuż obok mężczyzny. Obejrzał się i skinął na powitanie, po czym wrócił do wpatrywania się w horyzont, jakby szukał pęknięć na spawie łączącym niebo i ocean.

– Dość ponury przykład parkowania – odezwałem się, wskazując na wrak.

Przyjrzał mi się taksująco, zanim odpowiedział.

– Mówią, że to terroryści. – Głos brzmiał pusto, bez emocji, jakby kiedyś włożył zbyt wiele wysiłku w mówienie i coś nawaliło. – Albo awaria sonaru podczas sztormu. A może i jedno, i drugie.

– Może zrobili to dla ubezpieczenia – rzuciłem.

Elliott znów mi się przyjrzał, tym razem uważniej.

– Pan nie stąd? – zapytał, zdradzając głosem odrobinę większe zainteresowanie.

– Nie. Przejazdem.

– Z Rio? – mówiąc to, wskazał na Anchanę Salomao. – Jest pan artystą?

– Nie.

– Och. – Wyglądało, jakby przez chwilę się nad tym zastanawiał. Jeśli miała to być rozmowa, wyraźnie zapomniał, jak się ją prowadzi. – Porusza się pan jak artysta.

– Blisko. To wojskowa neurochemia.

Załapał, ale szok zdawał się być bardzo powierzchowny. Przyjrzał mi się jeszcze raz, tym razem dokładniej, i odwrócił się z powrotem w stronę oceanu.

– Przyjechał pan po mnie? Od Bancrofta?

– Można tak powiedzieć.

– Chce mnie pan zabić? – Obliznął wargi.

Wyciągnąłem z kieszeni wydruk i podałem mu.

– Przyjechałem zadać kilka pytań. Pan to wysłał?

Przeczytał to, bezdźwięcznie poruszając ustami. W głowie prawie słyszałem słowa, gdy znów je smakował: *za to, że odebrałeś mi córkę... wypalę ciało z twojej głowy... nie będziesz znał dnia ani godziny... nigdzie nie będziesz bezpieczny...* Nic oryginalnego, ale za to było szczere i dość wiernie odpowiadało faktom, a przez to wydawało się bardziej podejrzane niż cała reszta obelg i gróźb, jakie Prescott pokazała mi z pliku Chaotycznej Wścieklizny. Opisywało również dokładnie taką śmierć, jaka przydarzyła się Bancroftowi. Blaster cząsteczkowy zwęglił skórę na czaszce, zanim jej zawartość eksplodowała na cały pokój.

– Tak, to moje – przyznał cicho Elliott.

– Wie pan, że w zeszłym miesiącu ktoś zamordował Laurensa Bancrofta?

– Naprawdę? – Oddał mi papier. – Z tego, co słyszałem, drań sam sobie odstrzelił łeb.

– Cóż, istnieje taka możliwość – przyznałem, zgniatając kartkę i rzucając ją do przepełnionego kosza na plaży pod nami. – Ale nie płacą mi za branie jej pod uwagę. Na nieszczęście dla pana,

przyczyna śmierci niebezpiecznie odpowiada stylowi pańskiej prozy.

– Nie zrobiłem tego – oświadczył bezbarwnie Elliott.

– Spodziewałem się, że pan to powie. Mógłbym nawet panu uwierzyć, tylko że osoba, która zabiła Bancrofta, przedostała się przez wysokiej klasy systemy zabezpieczeń, a pan był kiedyś sierżantem w taktycznej piechocie morskiej. Tak się składa, że znałem kilku Taktów na Świecie Harlana, a paru z nich miało wmontowane wspomaganie do mokrej roboty.

– Pasikonik? – Elliott przyjrzał mi się z ciekawością.

– Co?

– Pasikonik. Z innej planety.

– Owszem. – Jeśli Elliott w ogóle się mnie bał, szybko mu to przeszło. Rozważyłem zagranie kartą Korpusu, ale uznałem, że nie warto. Facet wciąż mówił.

– Bancroft nie musi sprowadzać mięśniaków z innych planet. Co pan tu robi?

– Prywatny kontrakt – wyjaśniłem. – Mam znaleźć mordercę.

– I myślał pan, że to ja? – Elliott parsknął.

Wcale tak nie uważałem, ale pozwoliłem mu w to wierzyć, bo dzięki temu zyskiwał poczucie wyższości, skłaniające go do mówienia. Coś pojawiło się w jego oczach.

– Myśli pan, że potrafiłbym się dostać do domu Bancrofta? Wiem, że nie, bo zrobiłem rozeznanie. Gdyby dało się tam jakoś wejść, zrobiłbym to rok temu i znalazłby pan drania na trawniku, w małych kawałkach.

– Z powodu pańskiej córki?

– Tak, z powodu mojej córki. – Gniew podsycił ożywienie. – Mojej córki i wszystkich podobnych do niej. Była jeszcze dzieckiem.

Zaciął się i znów wbił wzrok w ocean. Po chwili machnął ręką w stronę Free Trade Enforcera, gdzie pojawiły się światła wokół czegoś, co musiało być sceną ustawioną na pochyłym pasie startowym.

– Tego właśnie chciała. Tylko tego. Totalny Teatr Ciała. Chciała

być jak Anchana Salomao i Rhinan Li. Pojechała do Bay City, bo usłyszała, że jest tam ktoś, kto mógłby...

Przerwał nagle i spojrzał na mnie. Infoszczur nazwał go starym i teraz zrozumiałem wreszcie, dlaczego. Pomimo solidnej muskulatury sierżanta i wyraźnie zarysowanej talii, twarz miał starą, pobrużdżoną głębokimi liniami długotrwałego bólu. Był na granicy łez.

– Mogła to zrobić. Była piękna.

Zaczął grzebać w kieszeni. Wyciągnąłem swoje papierosy i podałem mu jednego. Przyjął go automatycznie, ale dalej grzebał, aż wyciągnął mały kodakryształ. Naprawdę nie chciałem tego oglądać, ale włączył go, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć. W powietrzu między nami pojawił się drobny przestrzenny obraz.

Miał rację. Elizabeth Elliott była śliczną dziewczyną, atletyczną blondynką zaledwie kilka lat młodszą od Miriam Bancroft. Obraz nie pokazywał, czy miała dość determinacji i końską wytrzymałość, jakiej potrzeba w totalnym teatrze ciała, ale prawdopodobnie mogła spróbować.

Holozdjęcie przedstawiało ją wciśniętą między Elliotta i inną kobietę, starszą kopię Elizabeth. Cała trójka została sfotografowana w słoneczny dzień gdzieś na trawie, a zdjęcie psuła smuga cienia z jakiegoś drzewa, padająca od strony aparatu na twarz starszej z kobiet. Marszczyła brwi, jakby zauważyła niedoskonałość kompozycji. Tego typu detale nie miały jednak znaczenia w obliczu emanującego z obrazka szczęścia.

– Odeszła – stwierdził Elliott, jakby zgadł, kto przyciągnął moją uwagę. – Cztery lata temu. Wie pan, co to dipping?

Pokręciłem głową. *Lokalny koloryt*, wyszeptała mi do ucha Virginia Vidaura. *Wchłaniaj go*.

Elliott spojrzał w górę i przez chwilę wydawało mi się, że patrzy na holo Anchany Salomao, ale potem zauważyłem, że wpatruje się w niebo.

– Tam w górze – odezwał się i umilkł tak samo jak wcześniej,

gdy wspomniał o wieku swojej córki.

Czekałem.

– Tam w górze latają satelity. Deszcz danych. Widać to na wirtualnych mapach. Wygląda, jakby ktoś robił na drutach szalik dla planety. – Skierował spojrzenie błyszczących oczu na mnie. – Irene tak powiedziała. Szalik dla świata. Część z nici to ludzie. Zdigitalizowani bogacze w drodze między ciałami. Kłębki pamięci, uczuć i myśli spakowane w liczbach.

Wydawało mi się, że już wiem, co usłyszę, ale milczałem.

– Jeśli jest się tak dobrym jak moja żona i ma się odpowiedni sprzęt, można próbkować te sygnały. Tych, którzy to robią, nazywają pamięciarzami. Zapewnią ci chwile w głowie księżniczki mody, idee teoretyka cząsteczkowego, wspomnienia z dzieciństwa króla. Jest rynek na takie rzeczy. Oczywiście, magazyny towarzyskie puszczają wyedytowane kawałki wspomnień tego rodzaju ludzi, ale to wszystko jest autoryzowane, wygładzone, przycięte na użytek mas. Żadnych prywatnych chwil, nic, co mogłoby kogokolwiek wprawić w zakłopotanie albo zaszkodzić wizerunkowi, po prostu wielkie plastikowe uśmiechy do wszystkiego. Tymczasem ludzie chcą czegoś innego.

Miałem co do tego pewne wątpliwości. Magazyny ze spacerami po głowach były popularne również na Świecie Harlana, a jedyny przypadek, kiedy ich odbiorcy zaprotestowali, miał miejsce wtedy, gdy jeden z portretowanych notabli został przyłapany w chwili ludzkiej słabości. Niewierność i ostry język stanowiły zazwyczaj największe źródło publicznego niezadowolenia. Miało to sens. Osoby na tyle żalosne, by chcieć spędzać tyle czasu poza własnymi głowami, raczej nie chciały odnajdywać w błyszczących czaszkach odwiedzanych osób tych samych ludzkich słabości, które rządziły nimi.

– Z pamięciarstwem dostajesz wszystko – stwierdził Elliott z dziwnym entuzjazmem, stanowiącym moim zdaniem odbicie opinii jego żony. – Wątpliwości, brud, człowieczeństwo. Ludzie płacą za to fortunę.

– Ale to nielegalne?

Elliott wskazał na witrynę ze swoim nazwiskiem.

– Rynek danych upadał. Zbyt wielu dostawców. Przesyt. A my mieliśmy do opłacenia polisę klonową na upowłokowanie dla całej trójki. Pensja by nie wystarczyła. Co mieliśmy zrobić?

– Ile dostała? – zapytałem cicho.

– Trzydzieści lat. – Wbił wzrok w ocean. – Przez pół roku było w porządku, ale potem włączyłem ekran i zobaczyłem w ciele Irene jakąś korporacyjną negocjatorkę. – Częściowo obrócił się w moją stronę i wykaszał coś, co mogło być śmiechem. – Korporacja kupiła ją wprost z przechowalni Bay City. Zapłacili pięć razy tyle, ile ja byłem w stanie. Mówią, że dziwka nosi je tylko co drugi miesiąc.

– Elizabeth o tym wiedziała?

Kiwnął głową, jakby spuszczał topór.

– Wydostała to ze mnie którejś nocy. Byłem wściekły. Przez cały dzień krążyłem po sieci, szukając pracy. Żadnych możliwości, nigdzie nic nie znalazłem. Chce pan wiedzieć, co mi powiedziała?

– Nie – odparłem.

Nie słyszał mnie. Kurczowo zacisnął dłonie na żelaznej barierce.

– Powiedziała: *Nie martw się tato, odkupię mamusię, kiedy będę bogata.*

To wszystko wymykało się spod kontroli.

– Słuchaj, Elliott, przykro mi z powodu twojej córki, ale z tego, co słyszę, nie pracowała w miejscach odwiedzanych przez Bancrofta. Dyskretne Pokoje u Jerry’ego to niezupełnie Domy, prawda?

Były taktyczny skoczył na mnie, rzucając mi mordercze spojrzenie. Nie miałem do niego pretensji. Widział we mnie tylko człowieka Bancrofta. Ale *nie da się* zaskoczyć Emisariusza – uwarunkowanie do tego nie dopuści. Dostrzegłem nadchodzący atak, jeszcze zanim Elliott sam wiedział, że to robi, i ułamek sekundy później uaktywniłem w pożyczonym ciele neurochem.

Elliott uderzył nisko, prowadząc cios poniżej spodziewanej zasłony, wyprowadzając ciosy mające połamać mi żebra. Zasłony nie było, mnie też. Zamiast tego wykonałem krok ku niemu, między jego wyciągnięte ręce, i wytrąciłem go z równowagi swoją masą, wysuwając równocześnie nogę. Upadł na barierkę, a ja wymierzyłem mu jeszcze silne uderzenie wprost w splot słoneczny. Poszarżał. Przycisnąłem go do barierki i objąłem dłonią jego szyję.

– To wystarczy – wyrzuciłem z siebie gardłowym głosem. Neurochemia powłoki była trochę mniej subtelna niż systemy Korpusu, których używałem w przeszłości, i na wspomaganie odnosiłem wrażenie, jakby rzucało mną w skórnym worze pełnym drutów.

Spojrzałem w dół na Elliotta.

Jego oczy znajdowały się zaledwie kilka centymetrów od moich i wciąż płonęły wściekłością. Próbował zebrać siły, uwolnić się z uchwytu i zrobić mi coś złego, ale był na to za słaby.

Wyprostowałem go i odepchnąłem.

– Słuchaj, nikogo nie próbuję osądzać. Po prostu chcę wiedzieć. Dlaczego uważasz, że coś łączyło ją z Bancroftem?

– Bo mi to *powiedziała*, sukinsynu – wysyczał wręcz to zdanie.

– Powiedziała mi, co zrobił.

– Co takiego?

Zamrugnął gwałtownie, zmieniając nierozładowaną wściekłość we łzy.

– Świństwa. Powiedziała, że on ich *potrzebował*. Dość, żeby wrócić i żeby płacić.

Utrzymanka. *Nie martw się tato, jak będę bogata, kupimy mamę z powrotem*. Łatwo popełnić taki błąd, kiedy jest się młodym. Ale nic nie przychodzi tak łatwo.

– Myślisz, że dlatego zginęła?

Obrócił głowę i popatrzył na mnie, jakbym był szczególnie jadowitym pajakiem na podłodze w kuchni.

– Ona nie zginęła. Ktoś ją zabił. Ktoś wziął brzytwę i ją rozciął.

– Z materiałów procesowych wynika, że zrobił to klient. Nie

Bancroft.

– Skąd mogą wiedzieć? – powiedział tępo. – Nazywają ciało, ale kto wie, kto siedzi w środku. Kto za to wszystko płaci.

– Znaleźli go już?

– Mordercę dziwki z kabiny? Jak pan myśli? Przecież nie pracowała dla Domów, prawda?

– Nie to miałem na myśli, Elliott. Mówisz, że spotkała Bancrofta u Jerry'ego. Wierzę ci. Ale musisz przyznać, że nie wygląda to na styl Bancrofta. Rozmawiałem z nim i... coś takiego?

– Pokręciłem głową. – Nie pasuje mi to do niego.

Elliott odwrócił się ode mnie.

– Ciało – powiedział. – Co wyczytasz w ciele Mata?

Było już prawie całkiem ciemno. Na oceanie, na pochyłym pokładzie okrętu, zaczęło się przedstawienie. Przez chwilę obaj patrzyliśmy na światła, słuchając niosącej się po wodzie muzyki, jak transmisji ze świata, na który nigdy nie będziemy mieć wstępu.

– Elizabeth wciąż jest w przechowalni? – zapytałem cicho.

– Tak, i co? Polisa na upowłokowanie wygasła cztery lata temu, kiedy utopiliśmy wszystkie pieniądze w jakimś prawniku, który twierdził, że może wygrać sprawę Irene. – Machnął ręką w stronę słabo oświetlonego biura. – Czy wyglądam na człowieka, który spodziewałby się grubszej kasy?

Zostawiłem go przypatrującego się światłom i wróciłem do samochodu. Wciąż tam stał, kiedy przejeżdżałem obok, opuszczając miasteczko. Nie obejrzał się.

CZĘŚĆ 2

Reakcja (Reakcja odpornościowa)

Rozdział dziewiąty

Zadzwoiłem do Prescott z samochodu. Jej twarz, która pojawiła się na nieco zakurzonej, małym ekranie umieszczonym na tablicy rozdzielczej, zdradzała lekką irytację.

– Kovacs. Znalazłeś to, czego szukałeś?

– Wciąż nie do końca wiem, czego szukam – odpowiedziałem przyjacielsko. – Myślisz, że Bancroft kiedykolwiek odwiedzał biokabiny?

– Och, proszę... – Skrzywiła się.

– Dobra, to inaczej. Czy Leila Begin pracowała kiedyś z łączami biokabin?

– Naprawdę nie mam pojęcia, Kovacs.

– W takim razie poszukaj. Poczekam – oświadczyłem lodowato. Zdegustowanie Prescott niezbyt dobrze komponowało mi się z cierpieniem Victora Elliotta.

Kiedy prawniczka zniknęła z ekranu, zacząłem wystukiwać palcami rytm na kierownicy i zauważyłem, że nucę sobie rybacki rap z Millsport. Obok mnie przesuwiał się ocean, ale nagle wszystkie dźwięki i zapachy przestały do siebie pasować. Zbyt przytłumione i żadnego aromatu wodorostów unoszącego się w powietrzu.

– No to mamy. – Prescott z powrotem usadowiła się w polu widzenia skanera telefonu. Nadal wyglądała na zdegustowaną. – W kartotece Begin z Oakland znalazłam, że dwa razy pracowała w biokabinach, zanim zatrudniono ją w jednym z Domów w San Diego. Albo wypatrzył ją jakiś łowca talentów, albo ktoś ją tam wprowadził.

Bancroft mógł wprowadzić ją wszędzie. Oparłem się pokusie powiedzenia tego na głos.

– Masz tam jakieś zdjęcie?

– Begin? – Prescott wzruszyła ramionami. – Tylko dwuwymiarowe. Mam ci przesłać?

– Proszę.

Antyczny telefon zatrzeszczał, dostosowując się do zmiany sygnału, po czym z szarości wyłoniły się rysy Leili Begin. Nachyliłem się do ekranu, przyglądając się jej uważnie. Zajęło mi to chwilę, ale znalazłem.

– No tak. Możesz mi jeszcze podać adres tego miejsca, gdzie pracowała Elizabeth Elliott? Dyskretne Pokoje u Jerry’ego na ulicy Mariposa.

– Mariposa i San Bruno – dobiegł mnie głos Prescott zza zdjęcia Leili Begin. – Jezu, to zaraz pod starą autostradą. Musieli naruszyć przepisy budowlane.

– Możesz mi przesłać mapę z zaznaczoną trasą? Od mostu.

– Jedziesz tam? Teraz?

– Prescott, takie miejsca w dzień są zazwyczaj zamknięte – odpowiedziałem cierpliwie. – Oczywiście, że pojadę teraz.

Na drugim końcu połączenia dało się wyczuć lekkie wahanie.

– To nie jest rekomendowany rejon. Musisz być ostrożny.

Tym razem nie potrafiłem stłumić rozbawionego parsknięcia. Brzmiało to jak ostrzeganie chirurga, żeby był ostrożny i nie poplamiał sobie rąk krwią. Musiała mnie usłyszeć.

– Wysłałam mapę – oznajmiła sztywno.

Twarz Leili Begin rozplynęła się, a jej miejsce zajęła siatka ulic z zaznaczoną trasą. Już nie potrzebowałem zdjęcia. Dziewczyna miała opalizująco czerwone włosy, stalową obręcz wokół szyi i oczy ze zdumiewającym wzorem, ale w pamięci utkwiły mi rysy jej twarzy. Bardzo zbliżone do kodakryształowego zdjęcia córki Victora Elliotta. Podobieństwo niezaprzeczalne, chociaż nierzucające się od razu w oczy.

Miriam Bancroft.

* * *

Kiedy wróciłem do miasta, powietrze wypełniała spadająca

z ciemnego nieba delikatna mżawka. Zaparkowałem po drugiej stronie ulicy naprzeciw lokalu U Jerry'ego i przyglądałem się mrugającemu neonowi przez strumyczki ściekającej po szybie samochodu wody. Gdzieś w mroku, pod betonowymi słupami autostrady, świecił hologram kobiety tańczącej w kieliszku koktajlowym, ale projektor miał jakąś usterkę i obraz ciągle się rozmywał.

Martwiłem się, że naziemny samochód może przyciągać uwagę, ale wyglądało na to, że trafiłem z nim do właściwej części miasta. Większość pojazdów poruszających się w okolicach była wyłącznie naziemna. Jedyne wyjątki od tej reguły stanowiły autotaksówki, okazjonalnie opadające po spirali, by wypuścić lub zabrać pasażerów, a potem włączające się z powrotem w ruch powietrzny z nadludzką prędkością i precyzją. Z niebieskimi, czerwonymi i białymi światłami pozycyjnymi przypominały przystrojonych w klejnoty posłańców z innego świata, którzy dotykali popękanego i zaśmieconego chodnika wyłącznie na czas potrzebny na pozbycie się lub zabranie pasażerów.

Stałem tu już od godziny. Klub prowadził ożywioną działalność dla różnorodnej klienteli, w większości mężczyzn. Przy drzwiach sprawdzał ich ochroniarz robot, który wyglądał jak zawieszona nad głównym wejściem harmonijkowa ośmiornica. Niektórzy musieli pozbyć się niedozwolonych przedmiotów, prawdopodobnie broni, a jeden czy dwóch zostało odesłanych. Obyło się bez protestów – nie można kłócić się z robotem. Na zewnątrz ludzie parkowali, wchodzili i wychodzili z samochodów i handlowali towarami zbyt małymi, bym widział je z tej odległości. W pewnej chwili w cieniach pod słupami autostrady dwóch mężczyzn zaczęło walkę na noże, ale skończyło się niezbyt groźnie. Jeden z walczących uciekł, trzymając się za zranione ramię, podczas gdy drugi wrócił do klubu, jak gdyby nigdy nic.

Wysiadłem z samochodu, upewniłem się, że alarm działa i przeniosłem się na drugą stronę ulicy. Nieopodal dwóch dealerów usadowiło się ze skrzyżowanymi nogami na masce

samochodu, osłaniając się przed deszczem za pomocą statycznego pola ochronnego wysyłanego z generatora umieszczonego między kolanami. Spojrzeli na mnie, gdy się zbliżyłem.

– Chcesz kupić dysk? Gorące prządki z Ułan Bator, jakość Domów.

Obejrzałem ich z góry na dół i nieśpiesznie zaprzeczyłem ruchem głowy.

– Sztywniak?

Kolejne zaprzeczenie. Doszedłem do robota, znieruchomiałem, gdy jego kończyny opadły, by mnie przeskanować, a potem spróbowałem przekroczyć próg, gdy tani, syntetyczny głos oznajmił „czysty”. Jedno z ramion łagodnie odepchnęło mnie do tyłu.

– Chce pan kabiny czy bar?

Zawahałem, się udając, że się namyślałem.

– Co jest w barze?

– Cha, cha, cha – rozległ się mechaniczny śmiech. Brzmiał jak tłuszcioch tonący w syropie. Umilkł po chwili. – W barze można patrzeć, ale nie dotykać. Żadnych pieniędzy, żadnych rąk. Taka zasada. Dotyczy to również innych klientów.

– Kabiny – odpowiedziałem, chcąc się już uwolnić od programu mechanicznego bramkarza. W porównaniu z nim uliczni dealerzy wręcz emanowali ciepłem.

– Schodami w dół, po lewej. Proszę wziąć ręcznik ze stojaka.

Zszedłem w dół krótkimi, metalowymi schodkami i skręciłem w lewo, gdzie zaczynał się korytarz oświetlony przez umieszczone pod sufitem czerwone, obrotowe światła, takie same jak w autotaksówkach na zewnątrz. Powietrze wypełniała rytmiczna muzyka, czułem się tak, jakbym marszerował wspomagany tetramentem przez olbrzymie serce. Tak jak zapowiedział bramkarz, w niszy umieszczono stojak pełen świeżych, białych ręczników, a dalej zaczynały się drzwi do kabin. Przeszedłem obok pierwszych czterech, z których dwie były zajęte, i wszedłem do piątej.

Kabina miała mniej więcej dwa na trzy metry, podłoga była wyłożona błyszczącą, satynową wykładziną. Jeśli była poplamiona, nie było tego widać, ponieważ jedyne światło pochodziło z wirującej pod sufitem wisienki, podobnej do tych na korytarzu. Powietrze było zatęchłe i ciepłe. W cieniach rzucanych przez oświetlenie dostrzegłem w rogu nieco zużytą konsolę kredytową, pomalowaną na matową czerń, z czerwonym wyświetlaczem diodowym u góry.

Miała szczeliny na karty kredytowe i gotówkę. Żadnego czujnika na kredyt DNA. Przeciwległą ścianę stanowiła tafla matowego szkła.

Spodziewałem się tego, po drodze wyjąłem z bankomatu trochę gotówki. Wybrałem jeden z plastikowych banknotów o wysokim nominale i wsunąłem w szczelinę. Wcisnąłem przycisk aktywacji. Wyświetlacz rozbłysnął czerwienią kredytu. Drzwi przesunęły się gładko, zamykając się za mną i tłumiąc muzykę, a w zmatowioną szybę po drugiej stronie pokoju uderzyło ciało, z gwałtownością, na którą nie byłem przygotowany. Cyfry na wyświetlaczu ożyły. Jak na razie nie kosztowało to wiele. Obejrzałem przyciśnięte do szyby ciało. Ciężkie piersi dociśnięte na płasko, kobiecy profil i nieostre linie bioder i ud. Przez ukryte głośniki dobiegł mnie cichy jęk. Potem zabrzmiał głos.

– Chcesz mnie zobaczyć, zobaczyć, zobaczyć...?

Tani procesor dźwięku z modułem echa.

Ponownie nacisnąłem klawisz. Szkło stało się przejrzyste, wyraźnie ukazując kobietę po drugiej stronie. Przesunęła się z boku na bok jak na prezentacji: dopracowane ciało, sztuczne piersi. Nachyliła się do przodu i czubkiem języka przejechała po szybie, ponownie zaparowując ją oddechem. Utkwiła we mnie spojrzenie.

– Chcesz mnie dotknąć, dotknąć, dotknąć...?

Nie wiem, czy kabiny stosowały subsonikę, ale zaczynałem na to wszystko reagować. Mój penis poruszył się i pogrubiał, więc zwolniłem bicie serca i wypchnąłem krew z powrotem do mięśni,

jak podczas przygotowania do walki. W tej scenie nie mógł być sztywny. Znów sięgnąłem do przycisku zatwierdzającego opłatę. Szklany ekran odsunął się i kobieta wyszła do mnie jak ktoś wychodzący spod prysznica. Wysunęła rękę i przejechała nią po moim ciele.

– Powiedz mi, czego chcesz, skarbie – powiedziała głosem wydobywającym się gdzieś z głębin przepony. Bez obróbki procesorem dźwięku głos zdawał się brzmieć szorstko.

Odchrząknąłem.

– Jak masz na imię?

– Anenome. Chcesz wiedzieć, czemu tak na mnie mówią?

Cały czas poruszała dłonią. Z tyłu, za nią, cicho klikał licznik.

– Pamiętasz dziewczynę, która tu pracowała? – zapytałem.

Zajęła się teraz moim paskiem.

– Skarbie, żadna dziewczyna, która *kiedyś* tu pracowała, nie robi dla ciebie tego, co ja. Co powiesz, żebyśmy...

– Miała na imię Elizabeth. Prawdziwe imię. Elizabeth Elliott.

Jej dłonie odpadły nagle, a maska podniecenia zsunęła się z jej twarzy, jakby dobrze natłuszczono ją od spodu.

– Co jest, do cholery? Pies?

– Co takiego?

– Pies. Glina – mówiła coraz głośniejsze i odsunęła się ode mnie. – Już przez to przechodziliśmy, gościu.

– Nie. – Zrobiłem krok w jej stronę, na co zareagowała, przyjmując pozycję obronną. Cofnąłem się i przyciszyłem głos. – Nie, jestem jej matką.

Głucha cisza. Zagapiła się na mnie.

– Gówno prawda. Matka Lizzie siedzi w magazynie.

– Nie. – Pociągnąłem jej dłoń do swojego krocza. – Czujesz? Nic tu nie ma. Wsadzili mnie w tę powłokę, ale jestem kobietą. Ja nie, nie mogłabym...

Rozluźniła się nieco, niemal wbrew sobie opuszczając ręce.

– Wygląda mi to na pierwszej klasy ciało ze zbiornika – powiedziała nieufnie. – Jeśli dopiero wyszłaś z przechowalni, jak to się stało, że nie siedzisz w jakimś kościstym śmieciu?

– To nie jest zwolnienie warunkowe. – Instrukcje ze szkolenia Korpusu w zakresie maskowania się przeleciały przez mój umysł jak para sunących tuż nad ziemią myśliwców, zostawiając po sobie smugę kłamstw na granicy wiarygodności i częściowo znanych faktów. Coś wewnątrz mnie skakało z radości. – Wiesz, za co mnie uwalili?

– Lizzie mówiła, że za pamięciarstwo czy coś takiego.

– Owszem. Dipping. Wiesz, *kogo* złapałam?

– Nie, Lizzie nigdy o tym za wiele nie mówiła...

– Elizabeth nie wiedziała. I to nigdy nie wyszło na przesłuchaniach.

Piersiasta dziewczyna oparła dłonie na biodrach.

– Więc kogo...

– Lepiej, żebyś nie wiedziała. – Uśmiechnąłem się. – Kogoś potężnego. Kogoś, kto ma dostateczną władzę, żeby mnie wyciągnęli i dali mi to ciało.

– A jednak nie dość mocnego, żeby wsadzili cię w coś z cipką. – Głos Anenome wciąż zdradzał wątpliwości, ale czułem, że coraz bardziej mi ufa. *Chciała* wierzyć w bajkowy powrót matki szukającej upadłej córki. – Dlaczego upowłokowali cię jako faceta?

– Taka umowa – stwierdziłem, prześlizgując się tuż obok prawdziwych elementów historii. – Ta... osoba... wydostała mnie, a ja mam coś dla niej zrobić. Coś, do czego potrzeba męskiego ciała. Jeśli to zrobię, dostanę nową powłokę dla siebie i Elizabeth.

– Serio? To czemu tu przyszedłeś? – W jej głosie pojawiła się gorycz zdradzająca, że jej rodzice nigdy nie przyszliby do takiego miejsca, żeby jej szukać. I że mi wierzyła.

Podąłem jej ostatni kawałek kłamstwa.

– Mamy problem z ponownym upowłokowaniem Elizabeth. Ktoś blokuje procedurę. Chcę wiedzieć, kto i dlaczego. Wiesz, kto ją pocałował?

Potrząsnęła głową, spuszczając oczy.

– Wielu dziewczynom się to zdarza – powiedziała cicho. – Ale Jerry ma ubezpieczenie, które to pokrywa. Naprawdę jest w tym

dobry, nawet umieszcza nas w przechowalni, jeśli leczenie ma trwać dłużej. Bez względu na to, kto pociął Lizzie, nie był stałym klientem.

– Czy Elizabeth miała jakichś stałych klientów? Kogoś ważnego? Dziwnego?

Uniosła na mnie wzrok. W jej oczach czał się żal. Perfekcyjnie zagrałem Irene Elliott.

– Pani Elliott, wszyscy, którzy tu przychodzą, są dziwni. Inaczej by ich tu nie było.

– Ktokolwiek. – Skrzywiłem się. – Jakiś ważniak?

– Nie wiem. Lubiłam *Lizzie*, była dla mnie naprawdę miła kilka razy, kiedy byłam w dołku, ale nigdy się do siebie nie zbliżyłyśmy. Była blisko z Chloe i... – Przerwała i dodała szybko: – Nic z tych rzeczy, wie pani, ale ona, Chloe i Mac często się sobie zwierzały.

– Mogę z nimi porozmawiać?

Przebiegła oczami po rogach kabiny, jakby usłyszała właśnie niespodziewany dźwięk. Wyglądała na zaszczutą.

– Lepiej nie. Wie pani, Jerry nie lubi, jak rozmawiamy z klientami. Jeśli nas złapie...

Włożyłem w swój głos całą emisariuszowską zdolność przekonywania.

– Może gdybyś mogła zapytać w moim imieniu...

Była coraz bardziej nerwowa, ale udało jej się jakoś uspokoić głos.

– Jasne. Popytam. Ale nie. Nie teraz. Musi pani iść. Proszę wrócić jutro o tej samej porze, do tej samej kabiny. O tej porze będę wolna. Powiem, że się pani umówiła.

Ująłem jej dłoń.

– Dziękuję, Anenome.

– Nie nazywam się Anenome – powiedziała ostro. – Mam na imię Louise. Proszę mi mówić Louise.

– Dziękuję ci, Louise. – Wciąż trzymałem jej dłoń. – Dziękuję, że to robisz.

– Proszę pamiętać, niczego nie obiecuję – powiedziała, starając

się, by zabrzmiało to szorstko. – Jak powiedziałam, popytam. To wszystko. Teraz niech pani już idzie. Proszę.

Pokazała mi, jak wycofać resztę mojej płatności z konsoli kredytowej i drzwi natychmiast się otworzyły. Żadnej reszty. Nie powiedziałem nic więcej. Nie próbowałem jej już dotykać. Wyszedłem przez otwarte drzwi i zostawiłem ją stojącą tam z ramionami złożonymi na piersiach i opuszczoną głową. Wpatrywała się w satynową, oświetloną na czerwono podłogę kabiny, jakby widziała ją pierwszy raz w życiu.

* * *

Na zewnątrz, na ulicy, nic się nie zmieniło. Dwaj dealerzy wciąż siedzieli na swoim miejscu, pogrążeni w negocjacjach z olbrzymim typem o mongoloidalnych rysach, który nachylał się nad dachem samochodu i oglądał coś, co trzymał w dłoniach. Ośmiornica uniosła ramiona, umożliwiając mi przejście. Wyszedłem w mżawkę. Mongoł obejrzał się, kiedy przechodziłem. Spojrzał na mnie tak, jakby mnie rozpoznawał.

Zatrzymałem się odruchowo, ale wtedy on szybko odwrócił wzrok, mamrocząc coś do dealerów. Neurochemia zaskoczyła jak wewnętrzny zimny prysznic. Gdy dochodziłem do samochodu, mężczyźni natychmiast ucichli. Wsunąłem ręce do kieszeni. Coś pchało mnie w kierunku tych trzech drabów, coś, co nie wynikało ze spojrzenia, jakim obrzucił mnie Azjata. To coś zrodziło się w kabinie i nie dawało się opanować. Oberwałbym za to od Virginii Vidaury. Słyszałem Jimmy'ego de Soto szepczącego mi do ucha.

– Czekasz na mnie? – zapytałem wielkoluda, mówiąc do jego pleców. Zauważyłem, że napina mięśnie.

Jeden z dealerów chyba wyczuł, co się święci. Uniósł otwartą dłoń w polubownym geście.

– Słuchaj, człowieku... – zaczął.

Rzuciłem mu groźne spojrzenie i natychmiast się zamknął.

– Powiedziałem...

Wtedy wszystko potoczyło się w błyskawicznym tempie. Azjata z rykiem odepchnął się od samochodu i zamachnął się na mnie ramieniem wielkości szynki. Cios nie dotarł do celu, ale blokując go, musiałem się trochę cofnąć. Dealerzy wyciągnęli broń, mordercze sztabki szarocznego metalu, plujące i szczekające w deszczu. Jednym ruchem przyciągnąłem do siebie Azjatę, robiąc z niego osłonę przed pociskami. Potem pozbyłem się go jednym ciosem w twarz. Usłyszałem tylko głuchoe chrupnięcie kości. Mijając go, wylądowałem na samochodzie, podczas gdy dealerzy wciąż jeszcze próbowali dojść, gdzie jestem. Neurochemia spowolniła ich ruchy. Jeden z dealerów skierował broń w moją stronę, więc bocznym kopnięciem zmiażdżyłem mu owinięte wokół metalu palce. Mężczyzna zawył, a krawędź mojej dłoni trafiła w skroń drugiego. Obaj upadli obok samochodu – jeden jęknął, drugi był albo martwy, albo nieprzytomny. Wylądowałem w przysiadzie.

Azjata zaczął uciekać.

Przeskoczyłem dach samochodu i ruszyłem za nim bez chwili namysłu. Beton przypiekł mi stopy, a impet lądowania wysłał wzdłuż goleni kaskady bólu, na szczęście neurochemia natychmiast go wytłumiła. Od uciekającego dzieliło mnie tylko kilka metrów. Wypiąłem pierś w sprincie.

Azjata skakał w moim polu widzenia jak myśliwiec bojowy unikający ognia pościgu. Jak na człowieka jego rozmiarów był zdumiewająco szybki i zwinnie manewrował między słupami podtrzymującymi autostradę. Skrył się w cieniu i zaczął się oddalać. Przyśpieszyłem, walcząc z ostrymi igłami bólu w płucach. Deszcz ściekał mi po twarzy.

Pieprzone papierosy.

Wybiegliśmy spod estakady i przecięliśmy w poprzek opuszczone skrzyżowanie, na którym słupy ze światłami stały powykrzywiane pod dziwnymi kątami. Jeden z nich ożył, zmieniając światła w chwili, kiedy przebiegł pod nim Azjata. Zaskrzeczał do mnie zniedołężniały głos robota. *Można przechodzić, można przechodzić, można przechodzić.* Już

przeszedłem. Echo goniło mnie po ulicy.

Przebiegłem obok wraków pojazdów, które od wieków nie opuściły swoich miejsc parkingowych przy krawężniku. Minąłem zakratowane i pozamykane wystawy, które równie dobrze mogły należeć do sklepów działających w dzień, jak i opuszczonych od lat. Z kratki na brzegu ulicy unosiła się para, chodnik pod stopami był śliski od deszczu i mułu wydestylowanego z rozpadających się śmieci. Buty, które dostałem od Bancrofta razem z garniturem, miały cienką podeszwę i absolutnie nie zapewniały przyczepności. W pionie utrzymywała mnie wyłącznie doskonała równowaga neurochemii.

Kiedy Azjata zrównał się z dwoma zaparkowanymi wrakami, zerknął przez ramię do tyłu, żeby sprawdzić, czy wciąż tam jestem, i skręcił na drugą stronę ulicy, gdy tylko minął drugi pojazd. Spróbowałem dostosować trajektorię i ściąć trasę, przebiegając ulicę pod ostrym kątem, zanim Azjata dotrze do wraków, ale zbyt dobrze wybrał moment na pułapkę. Już byłem przy pierwszym z samochodów i poślizgnąłem się, próbując wyhamować. Odbiłem się od kadłuba rdzewiejącego pojazdu, uderzając w opuszczone stalowe żaluzje wystawy. Metal zadzwonił i zaskwierczał; w dłonie ukłuł mnie prąd o niskim natężeniu, mający zniechęcić ewentualnych włamywaczy. Po drugiej stronie ulicy Azjata zwiększył dzielącą nas odległość o kolejne dziesięć metrów.

Po niebie przemknęło kilka zbłąkanych pojazdów.

Namierzyłem uciekającą postać i odbiłem się od krawężnika, przeklinając impuls, pod wpływem którego odrzuciłem zaoferowaną przez Bancrofta broń. Przy dystansie, jaki nas dzielił, broń energetyczna mogłaby z łatwością odciąć Azjacie nogi. Pognałem za nim, próbując znaleźć w płucach jeszcze trochę pojemności. Może uda mi się sprowokować go do biegu zakosami.

Tymczasem wydarzyło się coś, co zadziało na moją korzyść. Po lewej skończyły się budynki, ustępując miejsca placowi otoczonemu obwisłym płotem. Azjata znów się obejrzał

i popełnił pierwszy błąd. Zatrzymał się, skoczył na płot, który natychmiast się zwałił, i rzucił się w mrok po drugiej stronie. Uśmiechnąłem się i ruszyłem jego śladem. Wreszcie miałem przewagę.

Może miał nadzieję, że zgubi mnie w mroku albo że skręcę kostkę na nierównym gruncie. Jednak uwarunkowanie Emisariusza natychmiast maksymalnie rozszerzyło moje źrenice, dostosowując wzrok do słabego światła dochodzącego z okolicy i błyskawicznie wybierało miejsca, gdzie mogę postawić stopy, podczas gdy neurochem przerzucał je z adekwatną szybkością. Ziemia przesuwała się pod moimi stopami niczym pod Jimmym de Soto w moim śnie. Gdyby pościg odbywał się wyłącznie po takiej powierzchni, dopadłbym Azjatę po stu metrach.

Nierówny grunt skończył się wcześniej, ale do chwili, gdy dotarliśmy do płotu po drugiej stronie, odległość między nami nie przekraczała pierwotnych kilkunastu metrów. Wspiął się na siatkę, opadł na ziemię i wystartował wzdłuż ulicy, kiedy ja wciąż się jeszcze wspinałem, ale nagle się zatrzymał. Dotarłem do szczytu ogrodzenia i lekko zeskoczyłem po drugiej stronie. Musiał usłyszeć, jak ląduję, bo wyprostował się i obrócił. Gorączkowo składał jakiś przedmiot – zauważyłem lufę i rzuciłem się na ulicę.

Uderzyłem twardo, zdzierając skórę na dłoniach. Szybko się przetoczyłem. W miejscu, gdzie byłem przed chwilą, mrok rozcięła błyskawica. W uszy uderzył mnie skrzek powietrza, a przez nozdrza przetoczyła się fala ozonu. Turlałem się dalej, a blaster znów wypalił, tym razem tuż obok mojego ramienia. Pod wpływem wiązki ognia wilgotna ulica zasyczała parą. Szamotałem się w poszukiwaniu nieistniejącego schronienia.

– RZUĆ BRON!

Z góry opadło pionowo zgrupowanie pulsujących świateł, a głośniki zagrzmiały jak głos mechanicznego boga. Rozbłysnął punktowy reflektor, zalewając nas białym światłem. Z miejsca, gdzie leżałem, byłem w stanie dostrzec jedynie zarys unoszącego się jakieś pięć metrów nad ulicą, błyskającego kogutami

radiowozu. Wicher z jego turbin rozdmuchiwał po ulicy kawałki papieru i plastiku, rzucając nimi o ściany okolicznych budynków i dociskając je tam jak umierające ćmy.

– NIE RUSZAJ SIĘ! – znów zagrzmiały głośniki. – RZUĆ BRONĖ!

Azjata obrócił łukiem swój blaster i radiowozem szarpnęło, gdy pilot próbował uniknąć wiązki. Z turbiny, w którą trafiła broń, strzeliły iskry i pojazd ostro przechylił się na bok. Z wieżyczki pod nosem maszyny odpowiedział karabin maszynowy, ale do tego czasu Mongoł zdążył już przebiec ulicę, wypalić drzwi i zniknąć w dymiącej dziurze.

Z wnętrza budynku słychać było krzyki.

Wolno podniosłem się z ulicy i spokojnie patrzyłem, jak radiowóz osiada jakiś metr nad ziemią. Gaśnica zalewała właśnie korpus silnika i część ulicy białą pianą. Tuż za kokpitem otworzył się właz, w którym pojawiła się Kristin Ortega.

Rozdział dziesiąty

Radiowóz stanowił nieco uboższą wersję tego, który zawiózł mnie do Suntouch House. W kabinie było bardzo głośno. Ortega musiała krzyczeć, żeby głos przedarł się do mnie przez ryk silników.

– Przyślemy ekipę niuchaczy, ale jeśli ten typ ma tu dobre kontakty, dostanie towar, który jeszcze przed świtem zmieni sygnaturę chemiczną jego ciała. Potem przyjdzie nam już tylko szukać świadków. Metody z epoki kamienia łupanego. A w tej części miasta...

Radiowóz przechylił się, a ona machnięciem wskazała labirynt ulic w dole.

– Spójrz. Mówią na to Lodownia. Kiedyś nazywało się Potrero i podobno było miłą okolicą.

– To co się stało?

Siadając na metalowym krześle, Ortega wzruszyła ramionami.

– Kryzys. Wiesz, jak jest. Jednego dnia masz dom i zapłaconą polisę powłokową, następnego lądujesz na ulicy z perspektywą samotnego życia.

– Przykre.

– To prawda – zgodziła się niezobowiązująco. – Kovacs, coś ty, do cholery, robił U Jerry’ego?

– Załatwiałem potrzebę – warknąłem. – Zabraniają tego jakieś przepisy?

– Nie zabawiałeś się długo. – Spojrzała na mnie uważnie. – Byłeś tam niecałe dziesięć minut.

Wtuliłem głowę w ramiona i przybrałem skruszoną minę.

– Gdyby cię kiedyś przetransferowali do męskiego ciała prosto ze zbiornika, wiedziałabyś, jak to jest. Hormony. Zaczyna się palić. W takich miejscach jak U Jerry’ego artyzm raczej się nie

liczy.

Usta Ortegi wykrzywiły się w coś na kształt uśmiechu. Nachyliła się do mnie i rzuciła przez dzielącą nas przestrzeń.

– Bzdury, Kovacs. Gówno. Sprawdziłam, co mają na ciebie w Millsport. Przejrzałam twój profil psychologiczny. Nazywają to gradientem Kemmericha, a twój jest tak stromy, że potrzebujesz haków i lin, żeby go podnieść. We wszystkim, co robisz, artyzm będzie się liczył.

– Cóż. – Wyciągnąłem papierosa i zapaliłem go. – Wiesz, niektórym kobietom wystarczy dziesięć minut.

Ortega wywróciła oczami i machnęła ręką, jakby odganiała komentarz niczym muchę bzyczącą przy twarzy.

– Jasne... I mówisz mi, że mimo kredytu od Bancrofta, stać cię tylko na taką budę?

– Nie chodzi o koszt – odpowiedziałem i zacząłem się zastanawiać, czy właśnie to sprowadza do Lodowni ludzi pokroju Bancrofta.

Ortega nachyliła głowę do okna i wyjrzała w deszcz. Nie patrzyła na mnie.

– Złapałeś trop, Kovacs. Poszedłeś tam śladem czegoś, co zrobił Bancroft. Z czasem mogę się dowiedzieć, o co chodziło, ale prościej będzie, jeśli po prostu mi powiesz.

– Dlaczego? Powiedziałaś, że sprawa Bancrofta jest zamknięta. Jaki masz w tym interes?

– Chcę utrzymać spokój. – Znów na mnie spojrzała, a jej oczy rozświetlił dziwny blask. – Może nie zauważyłeś, ale za każdym razem, gdy się spotykamy, odbywa się to przy akompaniamencie ognia ciężkiego kalibru.

– Jestem nieuzbrojony. – Rozłożyłem ręce. – Ja tylko zadaję pytania. A skoro o tym mowa... Jak to się stało, że byłaś tuż za mną, gdy tylko zaczęła się zabawa?

– Zdaje się, że po prostu miałam szczęście.

Nie skomentowałem tego. Ortega mnie śledziła, to pewne. To zaś oznaczało, że w sprawie Bancrofta musiało się kryć coś więcej, niż chciała przyznać.

– Co się stanie z moim samochodem? – zapytałem.

– Zgarniemy go. Damy znać firmie. Ktoś od nich może się zgłosić i odebrać go od nas. Chyba że go chcesz.

Pokręciłem głową.

– Powiedz mi jedno, Kovacs. Dlaczego wynająłeś samochód naziemny? Za to, co ci płaci Bancroft, mógłbyś mieć jeden z tych.
– Klepnęła kadłub pojazdu.

– Lubię podróżować po ziemi – wyjaśniłem. – W ten sposób lepiej czuje się odległość. Poza tym na Świecie Harlana nie latamy zbyt wiele.

– Serio?

– Serio. Słuchaj, ten facet, który was prawie zestrzelił...

– Słucham? – Uniosła brwi w grymasie, który zaczynałem uznawać za jej znak rozpoznawczy. – Popraw mnie, jeśli się mylę, ale wydaje mi się, że ocaliliśmy tam twoją dupę. To ty patrzyłeś na niewłaściwy koniec sprzętu.

Machnąłem ręką.

– Wszystko jedno. Czekał na mnie.

– Czekał na ciebie? – Bez względu na to, co Ortega naprawdę myślała, na jej twarzy malowało się niedowierzanie. – Według handlarzy prochami, których przyskrzyniliśmy, kupował towar. Mówią, że to stały klient.

Pokręciłem głową.

– Czekał na mnie. Podeszedłem z nim porozmawiać, a on zaczął uciekać.

– Może nie spodobała mu się twoja gęba. Jeden z dealerów, ten, któremu uszkodziłeś czaszkę, powiedział, że wyglądałeś, jakbyś chciał kogoś zabić. – Znów wzruszyła ramionami. – Mówią, że ty to zacząłeś i tak to właśnie wygląda.

– W takim razie, czemu mnie nie oskarżasz?

– Niby o co? – Dmuchnęła, jakby wypuszczała kłęb dymu. – Uszkodzenia organiczne, podlegające naprawie chirurgicznej, wobec dwóch handlarzy prochami? Zagrożenie własności policyjnej? Zakłócanie spokoju w Lodowni? Daj spokój, Kovacs. Przed lokalem Jerry'ego noc w noc dzieją się takie rzeczy. Jestem

zbyt zmęczona na robotę papierkową.

Pojazd przechylił się i przez okno dostrzegłem niewyraźny zarys wieży Hendriksa. Przyjąłem ofertę Ortegi, że mnie podwiezie, mniej więcej w tym samym duchu, co wcześniejszy transport do Suntouch House – żeby się przekonać, dokąd mnie to zaprowadzi. Mądrość Emisariusza. Iść z prądem i zobaczyć, co z tego wyniknie. Nie miałem powodów zakładać, że Ortega będzie kłamać co do tego, dokąd lecimy, ale i tak byłem trochę zaskoczony, widząc wieżę. Emisariusze nie szafują zaufaniem.

Po drobnej sprzeczce z Hendriksem, który nie chciał pozwolić na lądowanie, pilot posadził nas na ponurym lądowisku na szczycie wieży. Czułem wiatr napierający na cienki pancierz radiowozu, a gdy otworzył się właz, do środka wtargnęło zimno. Wstałem, by wyjść. Ortega została na miejscu, patrząc na mnie w szczególny sposób, którego jeszcze nie udało mi się rozgryźć. Wróciło to samo napięcie co wczorajszej nocy. Czułem rozpaczliwą potrzebę powiedzenia czegoś.

– Jak wam poszło z uwaleniem Kadmina?

Przesunęła się na siedzeniu i rozprostowała jedną z długich nóg, opierając ją na zwolnionym przeze mnie fotelu. Uśmiechnęła się blado.

– Miele się w maszynie – stwierdziła. – Dostaniemy, co trzeba.

– Dobrze. – Wyszedłem w deszcz i wiatr, rzucając na odchodne: – Dzięki za podwiezienie.

Skinęła głową i przechyliła się, by powiedzieć coś do siedzącego za jej plecami pilota. Szum turbin nasilił się, więc szybko odskoczyłem od zamykającego się włazu. Kiedy się cofnąłem, radiowóz oderwał się od lądowiska i odleciał, błyskając światłami. Przez zmoczoną deszczem szybę kabiny dostrzegłem jeszcze twarz Ortegi, potem wiatr poniosł niewielki radiowóz jak jesienny liść, porywając go w stronę ulicy w dole. Po paru sekundach wcale się już nie różnił od tysięcy innych pojazdów znaczących nocne niebo. Odwróciłem się i ruszyłem w kierunku schodów. Garnitur miałem przemoczony. Nie potrafiłem zrozumieć, co naszło Bancrofta, że wyposażył mnie

w letni garnitur przy tak rozregulowanym systemie kontroli pogody, jaki wykazywało Bay City. Na Świecie Harlana, kiedy zima przychodzi, zostaje dostatecznie długo, żeby można było podjąć decyzję co do garderoby.

Wyższe poziomy Hendriksa były pogrążone w mroku, rozjaśnionym tu i ówdzie blaskiem umierających płytek iluminium, ale po chwili hotel rozjaśnił moją trasę świetłówkami, które gasły, kiedy je mijałem. Dawało to dziwny efekt i sprawiało, że czułem się, jakbym niósł świecę czy pochodnię.

– Ma pan gościa – oznajmił hotel, kiedy zamknęły się za mną drzwi windy.

Trzasnąłem pięścią w przycisk awaryjnego stopu, czując piekący ból w miejscu, gdzie zdarłem sobie skórę dłoni.

– Co?

– Ma pan goś...

– Tak, słyszałem. – Przez głowę przemknęło mi pytanie, czy SI mogła się obrazić z powodu mojego tonu. – Kto to i gdzie jest?

– Przedstawiła się jako Miriam Bancroft. Przeszukanie archiwów miejskich potwierdziło tożsamość powłoki. Ponieważ jest nieuzbrojona i rano nie zostawił pan w pokoju nic ważnego, pozwoliłem jej tam czekać. Nie dotknęła niczego, z wyjątkiem drinka.

Czując narastającą wściekłość, skupiłem się na małym wgnieceniu w metalowych drzwiach windy i spróbowałem się uspokoić.

– To ciekawe. Czy podejmujesz tego rodzaju arbitralne decyzje w przypadku wszystkich swoich gości?

– Miriam Bancroft jest żoną Laurensa Bancrofta – odpowiedział hotel przepaszajaco – który z kolei opłaca pański pokój. Biorąc pod uwagę okoliczności, pomyślałem, że lepiej będzie nie wywoływać niepotrzebnych napięć.

Spojrzałem w górę, na sufit windy.

– Sprawdzaleś mnie?

– Zgromadzenie podstawowych informacji odbywa się w ramach kontraktu. Wszelkie pozyskane dane pozostają

całkowicie tajne, chyba że dostanę nakaz ich ujawnienia w ramach dyrektywy ONZ 231.4.

– Tak? To co jeszcze wiesz?

– Porucznik Takeshi Lev Kovacs – oświadczył hotel. – Znany również jako Mamba Lev, Jednoręki Rozpruwacz i Kolec, urodzony 35 maja 187 roku czasu kolonialnego w Newpest na Świecie Harlana. 11 sierpnia 204 roku przyjęty do wojsk Protektoratu ONZ, 31 czerwca 211 roku wybrany do szkolenia Korpusu Emisariuszy w ramach rutynowego przeglądu...

– Wystarczy! – Szczerze mówiąc, byłem trochę zaskoczony, jak głęboko dotarła SI. Kartoteki większości ludzi urywają się, gdy tylko wydostaną się z planety. Międzygwiezdna transmisja strunowa jest kosztowna. Chyba że Hendrix włamał się do danych naczelnika Sullivana, co było nielegalne. Przypomniałem sobie uwagę Ortegi o wcześniejszych zarzutach, jakie mu postawiono. Swoją drogą, jakiego rodzaju przestępstwa popełniają SI?

– Pomyślałem również, że pani Bancroft mogła przyjść tu w związku ze sprawą śmierci jej męża, którą się pan zajmuje. Uznałem, że pewnie zechce pan z nią porozmawiać, a ona nie miała ochoty czekać w westybulu.

Westchnąłem i oderwałem dłoń od przycisku zatrzymania windy.

– Tak, założę się, że nie.

Siedziała na oknie, trzymając w dłoniach wysoką szklanę wypełnioną jakimś drinkiem z lodem, przyglądała się światłom ulicznym w dole. Pokój był pogrążony w ciemności rozświetlonej jedynie słabym blaskiem blatu serwisowego i trójkolorowym obramowaniem neonówek barku. Dość, by zobaczyć, że miała na sobie jakiś szal owinięty wokół prostych spodni i podkreślającą kształty bluzkę. Nie odwróciła głowy. Przeszedłem więc przez pokój, wkraczając w jej pole widzenia.

– Hotel powiedział mi, że pani tu jest – rzuciłem. – Na wypadek gdyby zastanawiała się pani, czemu nie odcieleśniłem się z wrażenia.

Spojrzała w górę i odrzuciła włosy z twarzy.

– Bardzo śmieszne, panie Kovacs. Powinnam bić brawo?

Wzruszyłem ramionami.

– Mogłaby pani podziękować za drinka.

Przez chwilę przyglądała się uważnie swojej szklance.

– Dziękuję za drinka.

– Nie ma za co. – Podszedłem do barku i przejrzałem butelki.

W oczy wpadła mi flasza piętnastoletniego single malta. Odkorkowałem ją, powąchałem i wybrałem szklaneczkę. Nalewając sobie, zapytałem: – Długo pani czeka?

– Około godziny. Oumou Prescott poinformowała mnie, że wybiera się pan do Lodowni, więc spodziewałam się, że wróci pan późno. Miał pan jakieś kłopoty?

Pociągnąłem pierwszy łyk whisky, poczułem pieczenie w miejscach rozciętych przez kopnięcie, które zafundował mi Kadmin, i czym prędzej przełknąłem. Skrzywiłem się.

– Czemu pani tak myśli, pani Bancroft?

Jedną ręką wykonała elegancki gest.

– Bez powodu. Nie chce pan o tym porozmawiać?

– Nieszczególnie. – Opadłem w potężny fotel ustawiony przy karmazynowym łóżku i siedziałem, przypatrując się jej przez pokój. Zapadła cisza. Oświecił ją blask sączący się z okna, twarz miała schowaną w cieniu. Utkwiłem wzrok w miejscu, w którym zapewne znajdowało się jej oko. Po chwili przesunęła się, stukając lodem w szklance.

– Cóż... – Odchrząknęła. – O czym chciałby pan rozmawiać?

Ostrożnie machnąłem w jej stronę szklaneczką.

– Zacznijmy od tego, po co pani tu przyszła.

– Chciałam poznać postępy pańskiego śledztwa.

– Jutro rano może pani dostać raport. Wyślę go Oumou Prescott, zanim wyjdę z pokoju. Niech pani da spokój, pani Bancroft. Jest późno. Może się pani bardziej postarać.

Drgnęła, więc przez chwilę myślałem, że może chce wyjść. Ale nachyliła się jedynie nad szklanką, jakby w poszukiwaniu inspiracji, i po dłuższej chwili znów spojrzała na mnie.

– Chcę, żeby pan przestał – powiedziała.
Pozwoliłem słowom utonąć w ciemności pokoju.
– Dlaczego?
Zauważyłem, że się uśmiecha,
– Czemu nie? – spytała zaczepnie.
– Cóż. – Pociągnąłem whisky, zalewając alkoholem pokaleczone usta i wargi i starając się zdusić hormony. –
Zacznijmy od pani męża. Dość jasno dał mi do zrozumienia, że ucieczka mogłaby poważnie zaszkodzić mojemu zdrowiu. Dalej mamy sto tysięcy dolarów. A jeszcze dalej, cóż, wkraczamy w ulotne rejony takich rzeczy, jak obietnice i moje słowo. Poza tym, szczerze mówiąc, *zaciekała* mnie ta sprawa.
– Sto tysięcy to nie tak dużo – powiedziała ostrożnie. –
A Protektorat jest wielki. Mogłabym dać panu pieniądze. Znaleźć miejsce, gdzie Laurens nigdy by pana nie szukał.
– Tak. Zostaje jeszcze moje słowo i ciekawość.
Znów nachyliła się nad drinkiem.
– Bądźmy szczerzy, panie Kovacs. Laurens nie wynajął pana na kontrakt, ściągnął tu pana. Wrobił w umowę, której nie mógł pan odrzucić. Nikt nie powie, że wiązał pana honor.
– Wciąż jestem ciekaw.
– Może mogłabym zaspokoić pańską ciekawość – powiedziała cicho.
– Tak? – Przełknąłem więcej whisky. – Zabiła pani swojego męża, pani Bancroft?
Niecierpliwie machnęła ręką.
– Nie mówię o pańskiej zabawie w detektywa. Jest pan... ciekaw innych rzeczy, prawda?
– Słucham? – Popatrzyłem na nią znad krawędzi szklaneczki.
Miriam Bancroft zsunęła się z parapetu i oparła o niego biodrami. Z przesadną ostrożnością odstawiła szklanekę i oparła się na dłoniach, odchylając się równocześnie do tyłu i unosząc ramiona. Zmieniło to kształt jej piersi, które przesunęły się pod gładkim materiałem bluzki.
– Wiesz co to merge dziewięć? – zapytała lekko drżącym

głosem, przechodząc ze mną na „ty”.

– Empatyna? – Skądś wygrzebałem tę nazwę. Jakaś uzbrojona banda ze Świata Harlana, znajomi Virginii VIDAURY. Małe Niebieskie Robaczki. Wszystkie akcje robili na merge dziewięć. Mówili, że to konsoliduje ich zespół. Banda cholernych psycholi.

– Tak, empatyna. Właściwie pochodna empatyny, zaprawiona dodatkiem satyronu i ghedyny. Ta powłoka... – wskazała na siebie, przesuwając rozsuniętymi palcami po krągłościach ciała – to biochemiczne dzieło sztuki, prosto z laboratoriów Nakamury. Kiedy jestem... podniecona, wydzielam merge dziewięć. W pocie, w ślinie i wydzielinie pochwy.

Wstała, a jej szal wolno zsunął się z ramion na podłogę i owinał cicho wokół stóp. Przekroczyła go, ruszając w moją stronę.

Cóż, istnieje wprawdzie Alain Marriott, honorowy i silny we wszystkich swoich niezliczonych kreacjach, ale rzeczywistość... W rzeczywistości są rzeczy, od których się nie odwraca, bez względu na koszty.

Spotkaliśmy się w połowie pokoju. Merge dziewięć już unosiła się w powietrzu, w zapachu jej ciała i wilgoci wydychanego powietrza. Wziąłem głęboki oddech i poczułem, jak chemiczne wyzwalacze zaczynają pociągać za sznurki w moich trzewiach. Obejmowałem zachłannie jedną ze sterczących piersi Miriam Bancroft. Ujęła moją głowę rękami i ściągnęła ją w dół. I znów znalazłem merge dziewięć w jej pocie ściekającym wąską strużką wzdłuż szyi i po dekolcie. Szarpnąłem za skraj materiału, uwalniając przyciśnięte nim piersi, i odnalazłem ustami sutek.

Usłyszałem, jak otwiera usta w cichym westchnieniu. Poczułem, że empatyna przedziera się do mózgu mojej powłoki, pobudzając uśpione zdolności telepatyczne i retransmitując intensywną aurę kobiecego pobudzenia. Wiedziałem też, że Miriam równocześnie zaczynała czuć smak swoich piersi w moich ustach. Raz wyzwolony przypływ empatyny działał jak piłka tenisowa, zwiększając intensywność z każdym odbiciem od jednego rozpalonego umysłu do drugiego, aż połączenie

osiągało szczyt na granicy bólu.

Miriam Bancroft zaczęła jęczeć, gdy opadliśmy na podłogę. Przesunąłem się między jej piersiami, głaszcząc twarzą sprężyste sutki. Jej dłonie zgłodniały, gdy chwyciła i lekko drażniła paznokciami nabrzmiałą męskość między moimi nogami. Zdzieraliśmy z siebie ubrania, nie przestając napierać na siebie drżącymi, głodnymi siebie ustami. Dywan pod nami zdawał się palić gołą skórę każdym włókienkiem. Opadłem na nią i lekko potarłem zarostem po wyprężonej gładkości brzucha, znacząc językiem wilgotną ścieżkę w dół. Potem poczułem słony smak, mój język dotarł do zagłębienia w jej kroczu, wchłaniając merge dziewczęć razem z jej sokami, i wrócił, by naciskać i smagać drobny pączek jej łechtaczki. Gdzieś na drugim końcu świata mój penis pulsował w jej dłoni. Potem jej usta zamknęły się wokół żołądki i zaczęły łagodnie ssać.

Stapiając się, nasze orgazmy wybuchły z niezawodną równoczesnością, a wymieszane sygnały zjednoczenia merge dziewczęć rozmywały się, tak że nie byłem w stanie dostrzec różnicy między straszliwą twardością penisa w jej palcach, a naciskiem mojego języka gdzieś w jej nieokreślonych głębinach. Zacisnęła uda wokół mojej głowy. Rozległ się jęk, ale nie byłem w stanie określić – czyj. Odrębność rozplynęła się we wspólne przeładowanie sensoryczne, z napięciem rosnącym warstwa po warstwie, szczyt po szczycie, a potem nagle Miriam roześmiała się, czując ciepłą, słonawą ciecz na twarzy i palcach. Równocześnie zablokowała mnie, skręcając ściśnięte uda, gdy poniósł ją własny szczyt.

Przez chwilę ogarnęło nas drżące zawieszenie, w którym nawet najlżejszy ruch, każde dotknięcie ciała o ciało wyzwalały w nas łkanie rozkoszy. Wtedy – dar długiego czasu, jaki moja powłoka spędziła w zbiorniku, i obrazu Anenome przyciśniętej do szklanej tafli biokabiny – mój penis drgnął i znów zaczął twardnieć. Miriam Bancroft trąciła go nosem, przesunęła wzdłuż i dookoła niego czubkiem języka, zlizując lepkość, aż znów gładki i naprężony opierał się o jej policzek. Wtedy dosiadła mnie.

Sięgając w tył w poszukiwaniu równowagi, opadła, nadziewając się na prącie, mrucząc długo i rozkosznie. Nachyliła się nade mną, falując piersiami, a ja wygiąłem się i łapczywie przyssałem do wymykających się pólku. Rękami docisnąłem jej biodra rozłożone po bokach mojego ciała.

A potem zrównaliśmy się w ruchu.

Drugi raz trwał dłużej, a empatyna nadała mu aurę bardziej estetyczną niż seksualną. Kierując się sygnałami wyciekającymi z moich zmysłów, Miriam Bancroft powoli poruszała biodrami z góry na dół, podczas gdy ja przyglądałem się jej naprężonemu brzuchowi i sterczącym piersiom. Bez żadnego widocznego powodu Hendrix włączył dochodzącą z rogów pokoju muzykę w powolnym, dźwięcznym rytmie reggae, a sufit rozjaśniły wiry czerwonych i fioletowych plam. Kiedy oświetlenie przesunęło się i wirujące gwiazdy opadły na nasze ciała, poczułem, że mój umysł synchronizuje się z nimi i percepcja odjechała, tracąc na ostrości. Istniały już tylko rytmiczne ruchy bioder Miriam Bancroft i skrawki jej ciała i twarzy chwywane w kolorowym świetle. Kiedy doszedłem, przypominało to odległy wybuch, który zdawał się mieć więcej wspólnego z siedzącą na mnie okrakiem i wyhamowującą powoli kobietą niż z moją powłoką.

Później, kiedy leżeliśmy obok siebie, przesuwając po sobie dłońmi, odezwała się wreszcie.

– Co o mnie myślisz? – zapytała.

Spojrzałem wzdłuż swojego ciała na to, co robiła jej dłoń, i odchrząknąłem.

– Czy to podchwytliwe pytanie?

Roześmiała się w ten sam gardłowy sposób, jakim zmiękczyła mnie w Suntouch House.

– Chcę wiedzieć.

– A co cię to obchodzi? – Nie chciałem, by zabrzmiało to ostro, merge dziewięć udało się nieco złagodzić brzmienie słów.

– Myślisz, że to właśnie znaczy być Matem? – W jej ustach to słowo zabrzmiało dziwnie, jakby nie mówiła o sobie. – Myślisz, że nie obchodzi nas nic młodego, niedoświadczonego?

– Nie wiem – odpowiedziałem w zamyśleniu. – Przedstawiono mi taki punkt widzenia. Życie przez trzysta lat musi zmienić perspektywę.

– Tak, zmienia. – Na chwilę wstrzymała oddech, gdy wsunąłem w nią palce. – Tak, dokładnie. Ale świat nie przestaje cię obchodzić. Widzisz, jak wszystko ci ucieka. A ty chcesz to tylko złapać, przytrzymać się czegoś stałego. Chcesz zatrzymać czas.

– Tak dobrze?

– Tak. To co o mnie myślisz?

Uniosłem się i spojrzałem na młode kobiece ciało, w którym zamieszkiwała, subtelne rysy twarzy i stare, bardzo stare oczy. Wciąż byłem pod wpływem merge dziewięć i nie mogłem znaleźć w niej żadnej wady. Nigdy nie widziałem nic równie pięknego. Przestałem silić się na obiektywizm i schyliłem głowę, by ucałować jedną z jej piersi.

– Miriam Bancroft, jesteś estetycznym cudem i oddałbym duszę, aby cię posiąść.

Stłumiła chichot.

– Pytam serio. Podobam ci się?

– Cóż to za pytanie.

– Jestem poważna. – Słowa wypływały z poziomu głębszego niż empatyna.

Zdobyłem się na odrobinę kontroli i spojrzałem jej w oczy.

– Tak – odpowiedziałem krótko. – Podobasz mi się.

Tembr jej głosu opadł jeszcze bardziej.

– Podobało ci się to, co robiliśmy?

– Podobało mi się.

– Chcesz więcej?

– Chcę.

Usiadła. Posuwiste ruchy jej dłoni nabrały siły i tempa, a głos stwardniał.

– Powiedz to jeszcze raz.

– Chcę więcej. Ciebie.

Pchnęła mnie na podłogę, płasko przyłożywszy dłoń do mostka, i nachyliła się nade mną. Znów prawie osiągnąłem

pełną erekcją. Teraz poruszała dłonią rytmicznie, na przemian wolno i szybko.

– Na zachodzie – wymruczała – jakieś pięć godzin lotu stąd, jest wyspa. Należy do mnie. Nikt tam nie lata, ale jest piękna. Otacza ją pięćdziesięciokilometrowa strefa ochronna, kontrolowana satelitarnie. Zbudowałam tam kompleks z bankiem klonów i instalacją do upowłokowania. – Jej głos znów zabrzmiał ostrzej. – Czasem przelewam tam klony. Kopie mojej powłoki. Do zabawy. Rozumiesz, co ci oferuję?

Jęknąłem. Wizja, którą właśnie przede mną roztoczyła... Myśl o tym, że mógłbym być obiektem zainteresowania grupy takich ciał jak to, wszystkich sterowanych przez ten sam umysł, wypełniła krwią ostatnie rezerwy miejsca w moim członku, po którym nieprzerwanie przesuwiała się jej dłoń.

– Cóż to było? – Nachyliła się nade mną, muskając sutkami moją klatkę piersiową.

– Jak długo – zdołałem zapytać, z trudem opanowując wywołane przez merge dziewięć skurcze mięśni żołądka i ciała – ważne jest to zaproszenie do parku rozrywki?

Uśmiechnęła się lubieżnie.

– Nielimitowana jazda – odpowiedziała.

– Ale tylko przez określony czas, prawda?

Pokręciła głową.

– Nie, nie rozumiesz. To miejsce jest moje. Wyspa, otaczający ją ocean, wszystko. Jest moje. Mogę cię tam trzymać tak długo, jak będziesz chciał. Aż będziesz miał dość.

– To mogłoby potrwać naprawdę długo.

– Nie. – W jej głosie i sposobie, w jaki potrząsnęła głową, pojawił się cień smutku. Opuściła wzrok. – Nie, nie potrwa.

Uchwyt na moim penisie zelżał nieco. Jęknąłem i chwyciłem jej dłoń, zmuszając ją z powrotem do tego, by się poruszała. To chyba rozpało ją na nowo i z pełnym zapalem zabrała się znów do pracy, przyśpieszając i zwalniając, nachylając się piersiami do moich ust lub uzupełniając ruchy dłoni ssaniem i lizaniem. Moja percepcja czasu odpłynęła, zastąpiona

niekończącym się gradientem odczucia niezdolnie wolno wspinającego się w górę, w kierunku szczytu, o który mój głos błagał już od dłuższego czasu.

Kiedy przetoczył się orgazm, dzięki więzi, jaką stworzyła między nami merge dziewczęć, wiedziałem, że zatopiła w sobie palce z niekontrolowaną żądzą stanowiącą całkowite przeciwieństwo wyrachowania, z którym mną manipulowała. Dostrojona przez empatynę doprowadziła się do szczytu kilka sekund przede mną i kiedy zacząłem dochodzić, rozmazała swoje soki na mojej twarzy i prężącym się ciele.

Pustka.

Kiedy znacznie później oprzytomniałem, z głową ciężką jak ołów od kaca po merge dziewczęć, zniknęła jak majak wywołany wysoką gorączką.

Rozdział jedenasty

Kiedy nie masz przyjaciół, a kobieta, z którą spałeś, zostawiła cię bez słowa, za to z potwornym bólem głowy, masz ograniczoną liczbę możliwości. Kiedy byłem młodszy, zazwyczaj wychodziłem na ulice Newpest w poszukiwaniu karczemnych burd. Kilku ludzi oberwało nożem, ale to doprowadziło mnie do terminowania w jednym z gangów Świata Harlana (oddział Newpest). Później rozwinąłem ten rodzaj ucieczki, wstępując do armii; burdy w szczytnym celu i z użyciem cięższej broni, ale jak się okazało, równie karczemne. Chyba nie powinno mnie to wtedy tak zaskoczyć – jedyną informacją, jaką naprawdę zainteresował się przyjmujący mnie oficer korpusu piechoty morskiej, była liczba wygranych przeze mnie walk.

Teraz znalazłem trochę mniej destrukcyjny sposób radzenia sobie z chemiczną niemocą. Kiedy czterdzieści pięć minut pływania w podziemnym basenie Hendriksa nie pomogło odegnąć ani pragnienia gorącego towarzystwa Miriam Bancroft, ani kaca po merge dziewięć, zrobiłem jedyną rzecz, na jaką mogłem się zdobyć. Zażądałem od obsługi hotelowej środków przeciwbólowych i poszedłem na zakupy.

Był środek dnia, więc centrum handlowe pękało w szwach. Przez kilka minut stałem przed głównymi drzwiami, potem zanurkowałem w tłum i zacząłem przyglądać się wystawom.

Sierżant piechoty morskiej o blond włosach i niezbyt odpowiednim dla niej imieniu Spokój Carlyle nauczyła mnie kiedyś, jeszcze na Świecie Harlana, robić zakupy. Wcześniej zawsze stosowałem technikę, którą można by określić mianem precyzyjnego zakupu. Identyfikujesz cel, wchodzisz, bierzesz i wychodzisz. Nie możesz dostać tego, co chcesz – porzucasz obiekt i wychodzisz równie szybko. Przez czas, który spędziliśmy

razem, Spokój wybiła mi z głowy to podejście i sprzedała mi własną filozofię zachowań konsumenckich.

– Słuchaj – powiedziała któregoś dnia w jednej z kawiarni Millsport. – Zakupy, takie prawdziwe, fizyczne, można było wyeliminować już wiele stuleci temu, gdyby oni naprawdę tego chcieli.

– Jacy oni?

– Ludzie. Społeczeństwo. – Niecierpliwie machnęła dłonią. – Wszystko jedno.

Już wtedy mogli to zrobić. Zamówienia pocztowe, wirtualne supermarkety, zautomatyzowane systemy płatności. Można to było zrobić, a jednak do tego nie doszło. A co to oznacza?

Byłem dwudziestoletnim szeregowcem piechoty morskiej po terminie w gangach ulicznych Newpest i nie miałem pojęcia, o czym ona mówi. Carlyle z westchnięciem przyjęła moje tępe spojrzenie.

– Oznacza to, że ludzie *lubią* zakupy. Zaspokaja to genetycznie zakodowaną potrzebę posiadania. Coś, co odziedziczyliśmy po naszych przodkach prowadzących łowiecko-zbieracki tryb życia. Oczywiście, mamy zautomatyzowane sklepy dostarczające podstawowe produkty i mechaniczne systemy dystrybucji żywności dla garstki biedaków. Ale mamy również olbrzymią różnorodność centrów handlowych i wyspecjalizowanych targów żywności i rzemiosła, gdzie ludzie muszą udać się osobiście. Dlaczego mieliby to robić, gdyby nie sprawiało im to przyjemności?

Wzruszyłem ramionami, zachowując młodzieńczy luz.

– Zakupy to interakcje międzyludzkie, ćwiczenia w umiejętności podejmowania decyzji, zaspokajanie pragnienia posiadania, impuls dalszego nabycia, ciekawość świata. Jeśli się nad tym zastanowić, to wszystko jest tak cholernie ludzkie. Musisz się nauczyć to kochać, Tak. Rozumiesz, możesz przebyć na poduszkowcu cały archipelag i nie zmoczyć nawet palca. Ale to nie oznacza, że pływanie nie sprawia ci już przyjemności, prawda? Naucz się *dobrze* robić zakupy, Tak. Bądź elastyczny.

Ciesz się z niepewności, jaką ze sobą niosą.

W tej chwili radość nie była najbliższym mi uczuciem, ale dałem sobie z nią spokój i zgodnie z credo Spokój Carlyle zadowolilem się niepewnością. Rozpocząłem od swobodnych poszukiwań wytrzymałej kurtki wodoodpornej, ale do sklepu przyciągnęła mnie w końcu para porządnych, trekkingowych butów.

Po butach przyszła kolej na luźne, czarne spodnie i wytrzymałą bluzę z enzymatycznymi zapięciami biegnącymi przez całą długość, od talii do ciasnego kołnierza. Widziałem już setki wariacji na temat czegoś takiego na ulicach Bay City. Powierzchniowa asymilacja. Będzie pasować. Po krótkim namyśle dodałem do tego jeszcze buntowniczą, czerwoną bandanę z jedwabiu, w stylu gangów Newpest. Niezbyt w duchu asymilacji, ale pasowała do wzbierającej we mnie od wczoraj irytacji. Wyrzuciłem letni garnitur Bancrofta do kosza przed sklepem, buty postawiłem obok.

Wcześniej przeszukałem jeszcze kieszenie i znalazłem dwie wizytówki: lekarki w Centrali Bay City i zbrojmistrzów Bancrofta.

Okazało się, że Larkin i Green to nie nazwiska dwóch rusznikarzy, ale nazwy ulic przecinających się na porośniętej drzewami wypukłości terenu nazywanej Rosyjskim Wzgórzem. Autotaksówka wygłosiła jakąś turystyczną pogadankę na ten temat, ale nie słuchałem. Siedziba Larkin i Green – Zbrojmistrze od 2203, kryła się za dyskretną fasadą na rogu, rozciągającą się na jakieś pięć metrów wzdłuż każdej z ulic. Przeszedłem przez zadbane, drewniane drzwi do chłodnego, pachnącego olejem wnętrza.

W środku pomieszczenie przypominało pokój map w Suntouch House. Dużo przestrzeni i światło wpadające przez dwa rzędy wysokich okien. Pierwsze piętro usunięto, umieszczając na jego wysokości szeroką galerię, otaczającą pomieszczenie ze wszystkich czterech stron. Ściany obwieszono płaskimi szafkami ekspozycyjnymi, a przestrzeń pod galerią zajmowały ciężkie, przeszkłone szafki na kółkach. W powietrzu unosił się

delikatny aromat środka zapachowego; mieszanka przywołująca zapach starych drzew i oleju maszynowego.

Na podłodze leżały dywany. Nad barierką galerii pojawiła się czarna, stalowa twarz. W miejscu oczu świeciły zielone fotoreceptory.

– Czym mogę służyć, sir?

– Takeshi Kovacs, skierował mnie tu Laurens Bancroft – wyjaśniłem, przechylając głowę w stronę humanoida. – Szukam sprzętu.

– Oczywiście, sir. – Głos był gładki, męski i pozbawiony zauważalnych subsoników handlowych. – Pan Bancroft uprzedził nas, że może pan się tu zjawić. Przyjmuję w tej chwili klienta, ale za chwilę zejść na dół. Proszę się rozgościć. Po lewej stronie znajdzie pan fotele i barek z napojami. Proszę się częstować.

Głowa zniknęła i na nowo rozbrzmiała cicha rozmowa, którą niewyraźnie usłyszałem po wejściu do sklepu. Znalazłem barek, ale gdy przekonałem się, że wypełniony jest alkoholem i papierosami, czym prędzej go zamknąłem. Przeciwbólówki wygrywały z kacem po merge dziewięć, ale brakowało mi sił na dalsze ekscesy. Nieco zaskoczony uświadomiłem sobie, że miałem już za sobą sporą część dnia bez choćby jednego papierosa. Podeszedłem do najbliższej szafki wystawowej i przyjrzałem się kolekcji mieczy samurajskich. Do pochew przyczepiono etykiety z datami. Niektóre z nich były starsze ode mnie.

W sąsiedniej szafce wystawiono egzemplarze szarobrazowej broni miotającej, sprawiały wrażenie, jakby zostały wyhodowane, a nie wyprodukowane maszynowo. Lufy wyrastały z organicznie wyglądających krzywizn, rozszerzających się łagodnie w stronę łożyska. One również pochodziły z poprzedniego stulecia. Usiłowałem odcyfrować zawijasy wygrawerowane na lufie, gdy usłyszałem stukot metalowych stóp na schodach za plecami.

– Czy znalazł pan coś odpowiedniego?

Odwróciłem się do zbliżającego się androida. Całe jego ciało wykonano z oksydowanego metalu uformowanego na kształt muskulatury archetypicznego mężczyzny. Brakowało tylko genitaliów. Twarz była długa i szczupła, eleganckie rysy przykuwały uwagę pomimo ich nieruchomości. Głowę pokrywały żłobienia mające imitować gęste loki. Na klatce piersiowej miał odcisnięty mocno już zatarty napis: *MARS EXPO 2076*.

– Tylko się przyglądam – odpowiedziałem i wskazałem na karabiny znajdujące się w gablocie za mną. – Zrobiono je z drewna?

Zielone fotoreceptory patrzyły na mnie poważnie.

– Tak jest, sir. Łożysko wykonano z hybrydy bukowej. Wszystko ręczna robota. Kałasznikow, Purdey i Beretta. Mamy na składzie wszystkie europejskie domy. Co pana interesuje?

Obejrzałem się. W ich formach kryła się szczególna poezja, coś między kanciastą funkcjonalnością i organicznym wdziękiem, coś, co wołało, by wziąć je do rąk. I używać.

– Jak dla mnie są trochę zbyt wyszukane. Miałem na myśli coś praktyczniejszego.

– Oczywiście, sir. Czy możemy założyć, że nie jest pan amatorem?

Uśmiechnąłem się do maszyny.

– Możemy przyjąć takie założenie.

– W takim razie może zechciałby pan poinformować mnie o swoich dotychczasowych preferencjach.

– Smith&Wesson 11 mm Magnum. Pistolet strzałkowy Ingram 40. Miotacz cząsteczkowy Sunjet. Ale to nie w tej powłoce.

Zielone receptory rozbłysły odrobinę jaśniej. Bez komentarza. Prawdopodobnie nie został zaprogramowany na luźne pogawędki z Emisariuszami.

– A czego szuka pan dla tej powłoki?

Wzruszyłem ramionami.

– Czegoś subtelного. I brutalnego zarazem. Broni miotającej. Może czegoś w stylu smitha. I ostrzy.

Android znieruchomiał. Prawie słyszałem szum ściąganych danych. Przez chwilę zacząłem się zastanawiać, jak taka maszyna tu trafiła. Najwyraźniej nie została zaprojektowana z myślą o tej pracy. Na Świecie Harlana nie widuje się wielu androidów. Ich konstrukcja jest zbyt kosztowna w porównaniu z syntetykiem czy nawet klonem, a większość prac wymagających ludzkiej postaci lepiej wykonują wersje organiczne. Prawda jest taka, że humanoidalny robot stanowi bezsensowne zderzenie dwóch rozbieżnych funkcji: sztucznej inteligencji, zdecydowanie lepiej pracującej w stacji roboczej, i wytrzymałej, odpornej na uszkodzenia powłoki, którą większość firm cybernetycznych projektuje w zależności od pełnionych funkcji. Ostatni robot, jakiego widziałem na Świecie Harlana, był krabem ogrodniczym.

Fotoreceptory błysnęły lekko i robot ożył.

– Sir, gdyby był pan uprzejmy udać się tędy. Wierzę, że znalazłem odpowiednią kombinację.

Poszedłem za maszyną przez drzwi tak dobrze stapiające się z wystrojem tylnej ściany, że wcześniej w ogóle ich nie zauważyłem. Minęliśmy krótki korytarz. Za nim znajdował się długi, niski pokój, którego niepomalowane, surowe ściany zastawiono skrzynkami z włókna szklanego. W różnych miejscach pomieszczenia cicho pracowali ludzie. Powietrze wypełniały ciche trzaski broni składanej przez wprawne ręce. Android doprowadził mnie do niskiego, siwego mężczyzny ubranego w poplamiony smarem kombinezon. Facet rozbierał na części miotacz energetyczny, jakby miał do czynienia z pieczonym kurczakiem. Kiedy podeszliśmy, podniósł wzrok.

– Chip? – Kiwnął głową maszynie, ignorując mnie.

– Clive, to Takeshi Kovacs. Znajomy pana Bancrofta, szuka sprzętu. Chciałbym, żebyś pokazał mu nemexa i pistolet Philipsa, a potem przekazał go Sheili po broń białą.

Clive skinął głową i odłożył miotacz.

– Tędy – powiedział.

Android lekko dotknął mojego ramienia.

– Gdyby potrzebował pan jeszcze czegoś, będę w pokoju wystawowym.

Kiwnął mi lekko głową i wyszedł. Poszedłem za Clivem wzdłuż rzędów skrzynek do miejsca, gdzie na stosie plastikowego confetti rozłożono cały zestaw pistoletów. Podniósł jeden z nich i trzymając go, odwrócił się w moją stronę.

– Nemezis X, druga seria – oświadczył. – Nemex. Produkowany na licencji Mannlichera-Schoenauera. Strzela pociskami płaszczykowymi z ładunkiem pędnym w postaci środka o nazwie Druck 31. Bardzo potężne, bardzo celne. Osiemnaście naboí w dwurzędowym magazynku. Trochę masywny, ale może się to przydać podczas wymiany ognia. Proszę go wziąć do ręki.

Wziąłem od niego broń. Był to duży pistolet z masywną lufą, troszkę dłuższy niż smith&wesson, ale dobrze wyważony. Przerzuciłem go kilka razy z ręki do ręki, starając się wyczuć masę i chwyt, spojrzałem przez celownik. Clive czekał cierpliwie.

– Dobra. – Oddałem broń. – A coś subtelnego?

– Pestkowiec Philipsa. – Clive sięgnął w głąb otwartej skrzyni i grzebał w confetti, aż wyciągnął zgrabny, szary pistolet, prawie o połowę mniejszy od nemexa. – Pociski z litej stali. Używa akceleratora elektromagnetycznego. Całkowicie cichy, celny z odległości nawet dwudziestu metrów. Żadnego odrzutu, a na generatorze ma pan opcję odwrócenia polaryzacji pola, co znaczy, że można wyciągnąć pociski z celu. Mieści dziesięć pocisków.

– Baterie?

– Wytrzymują czterdzieści do pięćdziesięciu strzałów. Później z każdym kolejnym strzałem traci pan na prędkości wylotowej. W cenie dostaje pan dwie wymienne baterie i ładowarkę pasującą do typowych, domowych gniazdek elektrycznych.

– Macie tu strzelnicę? Jakieś miejsce, gdzie mógłbym to wypróbować?

– Na tyłach. Ale do obu tych zabawek dołączamy dyski z wirtualnym treningiem bojowym, doskonale zrównoważonym między wirtualną i faktyczną akcją. Dostaje pan na to gwarancję.

– Dobra, wystarczy. – Dochodzenie skargi z tytułu gwarancji mogłoby się okazać dość kłopotliwe, gdyby jakiś kowboj wykorzystał mój wynikły z kiepskiego programu brak wprawy i umieścił mi pocisk w czaszce. Trudno powiedzieć, kiedy dostałbym nową powłokę, jeśli w ogóle.

Ból głowy zaczynał przebijać się przez warstwę środków przeciwbólowych. Może ćwiczenia na strzelnicy nie były w tej chwili najlepszym pomysłem. Nie zwracałem sobie głowy pytaniem o cenę broni. Wydawałem cudze pieniądze.

– Amunicja?

– W pudełkach po pięć magazynków plus darmowy magazynek do nemexa. Coś w rodzaju promocji nowego modelu. To wystarczy?

– Raczej nie. Niech mi pan da po dwie paczki do każdego modelu.

– Po dziesięć magazynków? – W głosie Clive’a zabrzmiał wątpliwy szacunek. Dziesięć magazynków to dużo amunicji jak na pistolet, ale przekonałem się już, że zdarzały się sytuacje, gdzie bardziej liczyła się liczba strzałów niż ich jakość. – Chciał pan jeszcze ostrza, prawda?

– Zgadza się.

– Sheila! – Clive odwrócił się i zawołał w stronę wysokiej kobiety z blond włosami ściętymi na jeża.

Siedziała ze skrzyżowanymi nogami na skrzynce, twarz miała zasłoniętą matowoszarym zestawem wirtualnym. Słyszając swoje imię, obróciła głowę, przypomniała sobie o masce i ściągnęła ją, mrugając. Clive pomachał do niej, a ona podniosła się ze skrzyni, zataczając się lekko; zbyt gwałtownie powróciła do rzeczywistości.

– Sheila, ten pan szuka stali. Możesz mu pomóc?

– Jasne. – Kobieta wyciągnęła patykowatą rękę. – Sheila Sorenson. Jakiego rodzaju ostrza pan szuka?

Uścisnąłem jej dłoń.

– Takeshi Kovacs. Potrzebuję czegoś, co nadaje się do rzucania, ale musi być niewielkie. Coś, co można przymocować

do przedramienia.

– W porządku – odpowiedziała uprzejmie. – Zechce pan pójść ze mną? Skończył pan tutaj?

Clive skinął głową w moją stronę.

– Zaniosę to Chipowi, a on to dla pana zapakuje. Życzy pan sobie przesyłkę czy weźmie pan ze sobą?

– Wezmę.

– Tak myślałem.

Miejsce, w którym interesy prowadziła Sheila, okazało się małym, prostokątnym pokojem z kilkoma korkowymi tarczami w kształcie ludzkiej sylwetki na jednej ze ścian i całą galerią broni białej, od sztyletów po maczety, zawieszonych na przeciwległej ścianie. Zdjęła z wystawy płaski, matowo czarny nóż z szarą klingą, długości około piętnastu centymetrów.

– Nóż Tebbita – wyjaśniła swobodnie. – Bardzo wredny.

Po czym niedbale obróciła się i rzuciła broń w tarczę po lewej. Nóż przemknął przez pokój jak coś żywego i zatopił się w korkowej głowie tarczy.

– Klinga ze stali tantalowej, rękojeść z sieciowanego węgla. W głowicy umieszczony jest krzemień dla wyważenia i oczywiście może pan nim wałnąć przeciwnika w głowę, jeśli nie uda się go dosięgnąć ostrym końcem.

Podszedłem do tarczy i wyciągnąłem z niej nóż. Ostrze było wąskie i z obu stron ostre jak brzytwa. Przez środek biegła płytka bruzda, podkreślona wąską, czerwoną linią z odcisniętymi w niej małymi literkami. Przechyliłem broń, usiłując odczytać wygrawerowany napis, ale był to jakiś nieznany mi kod. Światło matowo lśniło na szarym metalu.

– Co to?

– Co? – Sheila podeszła, stając obok mnie. – Ach, tak. Kod broni biologicznej. Zbrocze pokryto C-381. W kontakcie z hemoglobina uwalnia cyjanek. Dość daleko od krawędzi, więc nie ma problemu, jeśli się pan przypadkiem zatnie, ale jeśli zatopi go pan we krwi...

– Urocze.

– Mówiłam, że jest wredny, prawda? – W jej głosie zabrzmiała duma.

– Wezmę go.

Kiedy wróciłem na ulicę obładowany zakupami, uświadomiłem sobie, że jednak będę potrzebował kurtki, choćby po to, by móc ukryć świeżo nabyty arsenał. Zerknąłem w górę w poszukiwaniu autotaksówki, ale stwierdziłem, że dzień był wystarczająco słoneczny, żeby zafundować sobie spacer. Przynajmniej kac zaczynał wreszcie ustępować.

Przeszedłem jakieś trzy przecznice w dół wzgórza, kiedy uświadomiłem sobie, że mam ogon.

Powiedziało mi o tym uwarunkowanie Emisariusza, budzące się niechętnie do życia po merge dziewięć. Wyczulony zmysł bliskości, najłżejszy dreszcz i postać, którą często dostrzega się kątem oka. Ten był jednak dobry. Nie zauważyłbym go w bardziej zatłoczonej części miasta, ale tutaj było zbyt mało przechodniów, między którymi mógłby się zgubić.

Nóż Tebbita miałem przymocowany do lewego przedramienia w miękkiej, skórzanej pochwie z neutralnym wyrzutnikiem, ale po żaden z pistoletów nie mogłem sięgnąć, nie zdradzając tym samym, że zauważyłem towarzystwo. Rozważyłem możliwość zgubienia go, ale niemal od razu porzuciłem ten pomysł. Nie znałem miasta, wciąż byłem ociążały od chemikaliów i miałem zbyt ciężki bagaż. Jeśli ten ktoś chce mnie śledzić, pójdziemy razem na zakupy. Przyśpieszyłem nieco i poszedłem spokojnie w stronę centrum handlowego, gdzie znalazłem drogą, czerwono-niebieską, wełnianą kurtkę do połowy ud, z wzorem inspirowanym totemami Inuitów i postaciami ścigającymi się wzajemnie po całym obwodzie. Niezupełnie coś takiego miałem na myśli, ale była ciepła i miała wiele pojemnych kieszeni. Płacąc za nią przy przeszklonym frontonie sklepu, zdołałem dostrzec twarz mojego ogona. Młody, kaukaskie rysy, ciemne włosy. Nie znałem go.

Obaj przecięliśmy Union Square, zatrzymując się, by przepuścić kolejną demonstrację przeciw Rezolucji 653. Tłum

zatrzymał się w rogu i zaczynał się już przerzedzać. Śpiewy milkły, ludzie odchodzili, a metaliczny dźwięk systemu nagłaśniającego zaczynał brzmieć żałośnie. Wcześniej istniałaby spora szansa, że uda mi się zgubić go w tłumie, ale teraz nie miało to już sensu. Gdyby mój ogon zamierzał zrobić coś więcej niż tylko mnie śledzić, miał ku temu okazję na porośniętych drzewami wzgórzach. Tutaj kręciło się zbyt wielu ludzi. Przecisnąłem się przez resztki demonstracji, nie przyjmując oferowanej mi ulotki, i skierowałem się na południe, w stronę Mission Street i Hendriksa.

Na Mission Street przez nieuwagę wszedłem w zasięg emitera ulicznego sprzedawcy. Moją głowę natychmiast wypełniły obrazy. Szedłem wzdłuż alei pełnej kobiet ubranych w stroje zaprojektowane, by odsłaniać więcej, niż pokazałyby nago. Buty, które nad kolanem stapiały się niemal z ciałem, biodra z paskami w kształcie strzałek kierujących na cel, konstrukcje podnoszące i wystawiające na widok piersi, ciężkie, krągłe wisiory osadzone niczym żołędzie w zroszonych potem dekoltach. Wysunięte języki, przesuwające się po wargach pomalowanych na krwistą czerwień lub grobową czerń, zęby wyszczerzone w prowokującym uśmiechu.

Zalała mnie fala zimnego potu, zmieniając upozowane ciała w abstrakcyjne obrazy kobiecości. Odkryłem, że śledzę krzywizny i wypukłości niczym maszyna, opisując geometrię ciała i kości, jakby kobiety stanowiły gatunki roślin.

Betatanatyna. Kostucha.

Ostateczny produkt szerokiej rodziny chemikaliów, stworzonych do badań stanu śmierci klinicznej na początku tysiąclecia. Betatanatyna wprowadzała ciało ludzkie w stan tak bliski śmierci, jak tylko było to możliwe bez trwałych uszkodzeń. Równocześnie stymulanty kontrolne w cząsteczce kostuchy zmieniały działanie umysłu w stanie śmierci klinicznej, co umożliwiało badaczom przechodzenie przez sztucznie wywołaną śmierć bez przytłaczających doznań emocjonalnych, mogących zniekształcić odbiór danych. Używana w małych

dawkach kostucha powodowała całkowitą niewrażliwość na uczucia takie jak ból, podniecenie, radość i smutek. Całkowita obojętność, przez stulecia udawana przez mężczyzn wobec nagiego kobiecego ciała, dostępna w tabletkach. Niemal idealny produkt dla nastoletnich samców.

Był to również idealny narkotyk bojowy. Pod wpływem kostuchy wędrowny mnich Snu Godwyna mógłby spalić wioskę pełną kobiet i dzieci, nie czując nic oprócz fascynacji sposobem, w jaki ogień oddziela ciało od kości.

Ostatni raz używałem betatanatyny podczas bitew ulicznych na Sharyi. Pełna dawka, obliczona na sprowadzenie temperatury ciała do pokojowej i zwolnienia serca do ułamka szybkości. Sztuczka umożliwiająca oszukanie detektorów na sharykańskich czołgach pająkowych. Niezauważalny w podczerwieni, mogłeś podejść, wspiąć się na nogę i rozbić właz granatem termitowym. Ogłuszona eksplozją załoga zazwyczaj dawała się zarżnąć jak bezbronne kocięta.

– Mam sztywniaka – powiedział ochrypły głos, powtarzając informację z reklamy.

Mrugając, pozbyłem się z głowy przekazu i stwierdziłem, że mam przed sobą bladą, kaukaską twarz pod szarym kapturem. Projektor, z małymi czerwonymi światełkami aktywności mrugającymi do mnie jak oczy nietoperza, umocował na ramieniu. Na Świecie obowiązują dość restrykcyjne przepisy dotyczące użycia bezpośredniego rozpowszechniania i nawet przypadkowa emisja może wywołać wybuch tego samego rodzaju przemocy, co rozlanie komuś drinka w taniej spelunie. Zamachnąłem się i mocno pchnąłem dealera w pierś. Zatoczył się na wystawę sklepową.

– Hej...

– Nie pchaj mi się do głowy, nie lubię tego.

Dostrzegłem, jak sięga ręką do jednostki sterującej przy pasie i domyśliłem się, co nadchodzi. Zmieniając cel, uniosłem palec do jego gałek ocznych...

I znalazłem się twarzą w twarz z syczącym kłębem wilgotnego,

błoniastego ciała niemal dwumetrowej wysokości. Wokół wściekle wiły się macki, a moja ręka sięgała w głąb ociekającego flegmą otworu otoczonego grubą, czarną szczecina. Żołądek zaczął się buntować i zacisnęło mi się gardło. Utrzymując się na granicy wymiotów, mocniej nacisnąłem na ciało pod palcami i poczułem, jak ustępuje.

– Jeśli chcesz jeszcze widzieć, wyłącz to gównu – powiedziałem przez zaciśnięte zęby.

Cielsko zniknęło i znów miałem przed sobą dealera.

Nadal wciskałem mu palce do oczu.

– Dobra, człowieku, dobra. – Uniósł ręce spodem dłoni do mnie. – Nie chcesz towaru, to nie kupuj. Ja tu tylko próbuję zarobić na życie.

Cofnąłem się i zrobiłem mu miejsce, by mógł oderwać się od wystawy, do której go przycisnąłem.

– Tam, skąd pochodzę, nie wchodzi się do głów ludziom na ulicy – rzuciłem w charakterze wyjaśnienia.

Ale on wyczuł już, że rezygnuję z konfrontacji, i wykonał kciukiem gest, który, jak przypuszczałem, miał być obsceniczny.

– Gównu mnie obchodzi, skąd jesteś. Pieprzony pasikonik. Odwal się ode mnie.

Zostawiłem go tam, zastanawiając się, czy istniała jakaś moralna różnica między nim a projektantami genetycznymi, którzy wbudowali merge dziewięć w powłokę Miriam Bancroft.

Zatrzymałem się na rogu i schyliłem głowę, by zapalić papierosa.

Popołudnie. Pierwszy papieros tego dnia.

Rozdział dwunasty

Ubierając się tego wieczora przed lustrem, nie mogłem opędzić się od myśli, że moją powłoką kieruje ktoś inny, a ja zostałem zredukowany jedynie do roli pasażera w kabinie obserwacyjnej.

Nazywają to odrzuceniem psychojaźni. Albo po prostu fragmentacją. Wstrząsy zdarzają się nawet tym, którzy doświadczyli częstych zmian powłok, ale to był mój najgorszy tego rodzaju przypadek od lat. Przez dłuższy czas dosłownie bałem się o czymś myśleć, by człowiek w lustrze nie zauważył mojej obecności. Z zapartym tchem przyglądałem się, jak poprawia nóż Tebbita w pochwie z neurowyrzutnikiem, podnosi po kolei nemexa i pistolet Philipsa i sprawdza w nich magazynki. Oba pistolety dostarczono z tanimi kaburami z fibrorzepu, enzymatycznie przyczepiającego się do ubrania. Mężczyzna w lustrze umieścił nemexa pod lewą pachą, gdzie ukryje go kurtka, a philipsa schował za paskiem, w okolicach krzyża. Kilka razy przećwiczył wyjmowanie broni z kabur, celując nią w swoje odbicie, ale tak naprawdę nie było to konieczne. Dyski z wirtualnym treningiem spełniły oczekiwania. Ten mężczyzna był gotów zabijać.

Przesunąłem się poza zasięg jego wzroku.

Z ociąganiem odczepił pistolety i nóż, po czym odłożył je na łóżko. Stał jeszcze chwilę w bezruchu, aż minęło to bezpodstawne uczucie nagości.

Virginia Vidaura nazywała to słabością broni i już od pierwszego dnia treningu Emisariuszy za ciężki grzech uznawała uleganie jej.

– *Broń, każda broń, jest tylko narzędziem stworzonym w konkretnym celu* – oświadczyła. W rękach trzymała miotacz cząsteczkowy typu Sunjet. – *I jak każde narzędzie, jest użyteczne*

tylko w tym zakresie. Uznalibyście za głupca człowieka noszącego wszędzie ze sobą młot pneumatyczny tylko dlatego, że jest robotnikiem. A skoro dotyczy to robotnika, dotyczy także Emisariuszy.

Gdzieś za naszymi plecami parsknął rozbawiony Jimmy de Soto. W tamtych czasach był naszym rzecznikiem. Dziewięćdziesiąt procent rekrutów Korpusu przychodziło z konwencjonalnych wojsk Protektoratu, gdzie broń traktowano równocześnie jak zabawki i jak osobiste fetysze. Piechota morska ONZ wszędzie szła uzbrojona, nawet na urlop.

Virginia Vidaura usłyszała parsknięcie i dostrzegła wyraz oczu Jimmy'ego.

– Pan de Soto. Pan się nie zgadza.

Jimmy zmienił pozycję, speszony nieco łatwością, z jaką został odkryty.

– Cóż, proszę pani. Z mojego doświadczenia wynika, że im więcej żelastwa się niesie, tym większe ma się poważanie.

Przez nasze szeregi przetoczyła się fala pełnych aprobaty pomruków. Virginia Vidaura odczekała, aż ucichnie.

– Rzeczywiście – stwierdziła, i wyciągnęła przed siebie trzymany obiema rękami miotacz. – To... urządzenie ma swoją wagę. Proszę tu przyjść i wziąć je ode mnie.

Jimmy zawahał się chwilę, ale potem przepchnął się do przodu i przejął broń. Virginia Vidaura odsunęła się tak, że znalazł się na środku sceny przed zgromadzonymi rekrutami. Potem zdjęła swoją kurtkę Korpusu, w kombinezonie bez rękawów i pokładowych tenisówkach wyglądała na drobną i bezbronną.

– Może pan sprawdzić, że ładunek ustawiono na „test”. Jeśli mnie pan trafi, spowoduje małe oparzenie pierwszego stopnia, nic więcej. Znajduję się w odległości około pięciu metrów. Jestem nieuzbrojona. Panie de Soto, zechciałby pan spróbować mnie naznaczyć? Na pański sygnał.

Jimmy wyglądał na zaskoczonego, ale posłusznie sprawdził nastawienie sunjeta, uniósł go i spojrzał na stojącą przed nim kobietę.

– Na pański sygnał – powtórzyła.

– *Już!* – wrzasnął.

Wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Jimmy równocześnie z krzykiem opuścił miotacz i w standardowy sposób uwolnił ładunek, zanim jeszcze lufa opadła do poziomu. Powietrze wypełnił charakterystyczny, gniewny trzask miotacza i błysk wiązki. Virginii Vidaury już tam nie było. Perfekcyjne oceniła kąt wiązki i uskoczyła przed nią. Równocześnie zmniejszyła dystans o połowę, wprawiając w ruch trzymaną w ręce kurtkę. Owinęła ją wokół lufy sunjeta i odchyliła broń na bok, skacząc na Jimmy’ego, zanim zdał sobie sprawę, co się dzieje. Miotacz poleciał przez pokój, a Vidaura rzuciła Jimmy’ego na ziemię, po czym łagodnie umieściła podstawę dłoni pod jego nosem.

Chwila rozciągnęła się, a potem pękła, gdy mężczyzna stojący obok mnie wydał wargi i cicho zagwizdał. Virginia Vidaura lekko skłoniła się w jego stronę, potem wstała i pomogła podnieść się Jimmy’emu.

– Broń jest narzędziem – powtórzyła, lekko zdyszana. – Narzędziem do zabijania i niszczenia. Na pewno zdarzą się wam sytuacje, w których jako Emisariusze będziecie musieli zabijać i niszczyć. Wtedy dokonacie wyboru i uzbroicie się w odpowiednie narzędzia. Ale pamiętajcie o słabości broni. Jest tylko przedłużeniem waszych dłoni. Zabójcami i niszczycielami jesteście wy. Jesteście całością, z nią czy bez niej.

Wciskając się w kurtkę, jeszcze raz przyjrzałem się swemu odbiciu w lustrze. Twarz, którą tam zobaczyłem, nie miała w sobie więcej wyrazu niż android u zbrojmistrzów. Mężczyzna, któremu się teraz przyglądałem, patrzył na mnie przez chwilę biernie, potem uniósł rękę i pomasował bliznę pod lewym okiem. Ostatnie spojrzenie w górę i w dół, i opuściłem pokój, odzyskując nagle kontrolę nad ciałem. Zjeżdżając windą w dół, wyszczerzyłem zęby w uśmiechu do swojego odbicia w lustrze.

– *Jestem w strzepach, Virginio.*

– *Oddech* – odpowiedziała. – *Ruch. Kontrola.*

Wyszedłem na ulicę. Kiedy mijałem główne drzwi, Hendrix

pożegnał mnie uprzejmymi życzeniami miłego wieczoru, a po drugiej stronie ulicy z herbaciarni wyłonił się mój ogon, dryfując równolegle do mnie. Przeszedłem kilka przecznic, wczuwając się w atmosferę wieczoru i rozważając, czy go zgubić. Przez większą część dnia świeciło słońce, a niebo pozostawało bezchmurne, ale wciąż nie było ciepło. Według mapy, której zażądałem od Hendriksa, Lodownia zaczynała się jakieś dwadzieścia przecznic na południe. Skręciłem za róg i wezwałem z góry taksówkę. Wsiadając do środka, zauważyłem, że mój ogon robi to samo.

Zaczynał mnie irytować.

Taksówka wzniosła się po spirali i skierowała na południe. Nachyliłem się i machnąłem ręką nad panelem informacji turystycznej.

– Witamy w Urblin Services – usłyszałem żeński głos. – Jest pan podłączony do głównej bazy danych Urblin. Proszę pytać.

– Czy w Lodowni są jakieś niebezpieczne rejony?

– Obszar określany jako Lodownia w całości uważa się za niebezpieczny – odpowiedział bezbarwnie automat. – Jednak Urblin Services gwarantuje transport pod dowolny adres w granicach Bay City i...

– Jasne. Możesz podać mi nazwę ulicy, na której odnotowano największą liczbę aktów przemocy w obszarze Lodowni?

Na chwilę zapadła cisza, gdy program przeszukiwał rzadko sprawdzane obszary archiwów.

– Dziewiętnasta ulica, rejon między Missouri i Wisconsin. W ciągu ostatniego roku odnotowano dziewięćdziesiąt trzy przypadki uszkodzeń organicznych. Sto siedemdziesiąt siedem konfiskat niedozwolonych substancji, sto dwadzieścia dwa incydenty drobnych uszkodzeń organicznych, dwieście...

– Wystarczy. Jak to daleko od Dyskretnych Pokoi u Jerry’ego, Mariposa i San Bruno?

– W prostej linii około kilometra.

– Masz mapę?

Konsola rozjarzyła się siatką planu z zaznaczoną krzyżykiem

lokalizacją U Jerry'ego i wypisanymi na zielono nazwami ulic. Studiowałem ją przez kilka chwil.

– Dobra. Wysadź mnie tutaj. Dziewiętnasta i Missouri.

– W ramach troski o klienta muszę pana ostrzec, że tego rejonu zdecydowanie nie poleca się turystom.

Wygodnie rozparłem się na fotelu, czując, jak z wolna moja twarz zaczyna szczerzyć zęby w uśmiechu.

– Dzięki.

Taksówka bez dalszych protestów wylądowała na skrzyżowaniu Dziewiętnastej i Missouri. Wysiadając, rozejrzałem się i znów się uśmiechnąłem. *Nie zaleca się...* Typowy maszynowy eufemizm.

O ile ulice, którymi wczoraj ścigałem Mongoła, były całkiem opuszczone, ta część Lodowni tętniła życiem, a przy jej mieszkańcach klientela Jerry'ego sprawiała wrażenie wręcz nobliwej. Kiedy płaciłem za taksówkę, w moją stronę obróciło się kilkanaście głów, z których żadna nie była w pełni ludzka. Prawie czułem, jak mechaniczne oczy ze wzmacniaczami optycznymi ustawiają na mnie ostrość, obserwując gotówkę, którą płaciłem za przejazd. Wilcze nozdrza swędzące od zapachu hotelowego mydła wyczuły tłum wyłapujący na sonarach sygnał bogactwa, jak echo mielizny na ekranie szypra z Millsport.

Za mną na ziemię opuszczała się druga taksówka. Mroczna aleja kuśiła zaledwie kilkanaście metrów dalej. Ledwie ku niej ruszyłem, gdy zagrywkę rozpoczął pierwszy z grupy tubylców reprezentujących komitet powitalny.

– Szukasz czegoś, turysto?

Było ich trzech, przewodził im goły do pasa, dwuipółmetrowy gigant. Wyglądał, jakby wokół pleców i ramion oblepił się całoroczną produkcję mięśni z Nakamury. Pod skórą na piersiach miał tatuaże z czerwonego iluminium, więc jego klatka piersiowa wyglądała jak żarzące się węgle, na brzuchu szczerzyła zęby wytatuowana kobra. Z palców rąk wyrastały stalowe pazury. Twarz znaczyły blizny po walkach, a w jedno z oczu miał wmontowany tani układ soczewek powiększających.

Jego głos brzmiał zdumiewająco łagodnie i dźwięcznie.

– Pewnie przyjechał na panienki – stwierdził zjadliwie chłopak stojący po prawej stronie olbrzyma. Był młody, szczupły i blady, długie włosy opadały mu na twarz, a jego niezgrabne, nerwowe ruchy zdradzały tani neurochem. Będzie najszybszy.

Trzeci członek komitetu powitalnego nie odezwał się, za to odsunął wargi z psiego pyska, szczerząc wszczepione kły drapieżcy i wysuwając nieprzyjemnie długi język. Pod zmienioną chirurgicznie głową miał normalne ludzkie ciało ubrane w ciasną skórę.

Czas uciekał. Mój ogon płacił już za taksówkę, widocznie zdecydował się podjąć ryzyko. Odchrząknąłem.

– Tylko tędy przechodzę. Jeśli macie trochę rozumu, przepuście mnie. Za mną wylądował obywatel, który będzie znacznie łatwiejszym celem.

Zapadła krótka, pełna napięcia cisza. Potem olbrzym sięgnął w moją stronę. Odepchnąłem jego rękę, cofnąłem się o krok i wyrysowałem w powietrzu gwałtowny wzór śmiertelnych uderzeń. Zamarli, psowaty zawarczał. Wzięłem głęboki oddech.

– Jak już mówiłem, jeśli macie rozum, przepuście mnie.

Olbrzym był gotów zrezygnować. Widziałem to w jego zniszczonej twarzy. Walczył dostatecznie wiele razy, by zauważyć szkolenie bojowe, a instynkt życia spędzonego na ringu podpowiedział mu, że wcale nie mieli przewagi. Jednak jego kompani byli młodszy i mniej wiedzieli o życiu i przegrywaniu. Zanim wielkolud zdążył coś powiedzieć, blady dzieciak z neurochemem wyskoczył z jakimś nożem, a psowaty zaatakował moje prawe ramię. Mój neurochem, już na chodzie i prawdopodobnie znacznie droższy niż ich wersja, był szybszy. Złapałem ramię dzieciaka i złamałem je w łokciu, a potem wykręciłem mu rękę i pchnąłem go na towarzyszy. Psowaty uskoczył, więc kopnąłem go, twardo uderzając w twarz i w nos. Krzyknął i padł. Wylądował na kolanach, klnąc i trzymając się za strzaskany łokieć. Olbrzym zebrał się w sobie, ale zamarł, gdy moje usztywnione palce znalazły się o centymetr od jego oczu.

– Nie – powiedziałem cicho.

Dzieciak jęczał, leżąc na ziemi. Za nim psowaty, dygocząc, leżał w miejscu, w które rzucił go kopniak. Gigant kucnął między nimi, wyciągając ręce, jakby chciał ich pocieszyć. Spojrzał na mnie z niemym oskarżeniem na twarzy.

Wycofałem się aleją jakieś dziesięć metrów, potem odwróciłem się i zacząłem biec. Niech mój ogon poradzi sobie z nimi sam, a potem do mnie dołączy.

Alejką skręcała pod kątem prostym, wychodząc po chwili na kolejną zatłoczoną ulicę. Skręciłem na rogu i zwolniłem, tak że na ulicę trafiłem szybkim marszem. Potem wszedłem w uliczkę po lewej stronie i zacząłem się przeciskać przez tłum i rozglądać za tabliczkami z nazwami ulic.

* * *

Przed lokalem U Jerry’ego wciąż tańczyła uwieczniona w kieliszku dziewczyna. Neon był włączony, a klub wyglądał, jakby od zeszłej nocy znacznie się ożywił. Małe grupki ludzi przechodziły pod elastycznymi ramionami robota w drzwiach, a dealerów, których raniłem wczoraj podczas pogoni za Mongołem, zastąpiło kilku nowych.

Przeszedłem przez ulicę i stanąłem przed robotem, pozwalając mu się obszukać. Syntetyczny głos oznajmił:

– Czysty. Chce pan kabiny czy bar?

– Co jest w barze?

– Cha, cha, cha – rozległ się mechaniczny śmiech. – W barze można *patrzeć*, ale nie *dotykać*. Żadnych pieniędzy, żadnych rąk. Taka zasada. Dotyczy to również innych klientów.

– Kabiny.

– Schodami w dół, po lewej. Proszę wziąć ręcznik ze stojaka.

Pokonałem trasę schodami w dół, korytarzem oświetlonym wirującą czerwienią, obok niszy z ręcznikami i pierwszych czterech drzwi do kabin. Powietrze wypełniał ten sam co poprzednio rytmiczny łoskot muzyki. Zamknąłem za sobą

piąte drzwi, dla zmyłki wsunąłem kilka banknotów do konsoli kredytowej i podszedłem do szyby z matowanego szkła.

– Louise?

Wypukłości jej ciała uderzyły o szkło, do którego przycisnęła piersi. Wiśniowe światło kabiny przesuwalo się po niej pasami czerwieni.

– Louise, to ja, Irene. Matka Lizzie.

Na szybie między piersiami pojawiła się ciemna smuga. Mój neurochem natychmiast ożył. Szklane drzwi odsunęły się i ciało dziewczyny opadło wprost w moje ramiona, a obok jej szyi pojawiła się szeroka lufa, wycelowana wprost w moją głowę.

– Nie ruszaj się, gnido – rozległ się ostry głos. – To przypiekacz. Jeden gest i wypalę ci głowę równo z szyją, elegancko stapiając stos.

Znieruchomiałem.

– Tak jest. – Drzwi za mną otworzyły się, wpuszczając pulsującą w korytarzu muzykę, a w plecy wbito mi lufę drugiego pistoletu. – Teraz połóż ją powolutku i stań prosto.

Łagodnie opuściłem trzymane w ramionach ciało na satynową podłogę i wyprostowałem się.

Kabinę zalało jasne, białe światło, a wirująca wisienka dwukrotnie błysnęła na pomarańczowo i zgasła. Drzwi z tyłu zamknęły się, odcinając muzykę, a przede mną do pokoiku wszedł wysoki blondyn z kostkami bielejącymi na spuście blastera. Usta miał zaciśnięte w wąską linię, a wokół rozdętych stymulantem źrenic błyskały białka oczu.

Bronią wbitą w plecy pchnięto mnie do przodu, a blondyn podchodził, aż lufą blastera zmiażdżył mi wargę na zębach.

– Kim ty, *do cholery*, jesteś? – wysyczał.

Obróciłem głowę w bok na tyle, by móc otworzyć usta.

– Irene Elliott. Pracowała tu moja córka.

Blondyn zrobił kolejny krok do przodu, przesuwając końcem lufy wzdłuż mojego policzka do krtani.

– Kłamiesz – powiedział miękko. – Mam przyjaciela w sądzie Bay City. Widzisz, sprawdziliśmy kupę gówna, którą sprzedałeś

tej cipie.

Kopnął bezwładne ciało na podłodze, a ja zerknąłem na nią kątem oka. W ostrym białym świetle wyraźnie widać było na jej ciele ślady po torturach.

– A teraz, kimkolwiek jesteś, dobrze się zastanów nad następną odpowiedzią. Czemu rozpytasz o Lizzie Elliott?

Przesunąłem oczy z powrotem przez lufę blastera do spiętej twarzy trzymającego go blondyna. Nie wyglądał na kogoś dopuszczonego do sprawy. Był zbyt wystraszony.

– Lizzie Elliott jest moją córką, gnojku, a gdyby twój kumpel w miejskiej przechowalni miał jakieś porządne układy, wiedziałbyś, czemu według rejestrów wciąż jestem na składzie.

Pistolet wcisnął się w moje plecy trochę mocniej, za to blondyn nieoczekiwanie jakby się rozluźnił. Wykrzywił usta w grymasie rezygnacji i opuścił blaster.

– No dobra – rzucił. – Deck, idź i przyprowadź Oктаia.

Za moimi plecami ktoś wyszedł z kabiny. Blondyn machnął na mnie bronią.

– Ty siadaj w kącie – powiedział to bez zaangażowania, prawie swobodnie.

Poczułem, że znika nacisk broni na moich plecach i wykonałem polecenie. Siadając na satynowej podłodze, rozważałem swoje szanse. Nawet bez Decka wciąż było ich troje. Blondyn, kobieta wyglądająca mi na syntetyczną powłokę o rysach Azjatki z drugim blasterem, którego ślad wciąż czułem na kręgosłupie, i potężny, czarnoskóry mężczyzna, na oko uzbrojony wyłącznie w stalową rurkę. Żadnych szans. To nie były uliczne szczury, jakie spotkałem na Dziewiętnastej ulicy. Biło z nich zimne wyrachowanie, rodzaj tańszej wersji tego, co w Hendriksie zaprezentował Kadmin.

Przez chwilę z namysłem przyglądałem się syntetycznej kobiecie, ale uznałem, że to niemożliwe. Nawet gdyby Kadmin w jakiś sposób zdołał wywinąć się z zarzutów, o których mówiła Kristin Ortega, i na nowo się upowłokować, raczej do nich nie przystał. Wiedział, kto mnie wynajął i kim byłem. Twarze

patrzących na mnie w biokabinie osób zdradzały, że o niczym nie mają pojęcia.

I niech tak zostanie.

Mój wzrok spoczął na udręczonym ciele Louise. Wyglądała, jakby rozcięli jej skórę na udach, a potem rozciągali rany, aż popękała. Proste, ordynarne i bardzo skuteczne. Z pewnością zmuszali ją, by patrzyła, jak to robią, mieszając ból z przerażeniem. Widzieć, jak coś takiego dzieje się z własnym ciałem, to pewnie przeżycie skręcające flaki. Do takich praktyk często uciekała się policja religijna na Sharyi. Louise prawdopodobnie będzie potrzebować psychochirurgii, by przezwyciężyć uraz.

Blondyn zauważył mój wzrok i ponuro skinął do mnie głową, jakbym był współnikiem tego aktu.

– Chcesz wiedzieć, czemu wciąż ma głowę na karku, co?

Spojrzałem na niego posępnie.

– Nie. Wyglądasz na zapracowanego, ale podejrzewam, że w swoim czasie rozprawisz się i z jej głową.

– Nie ma potrzeby – odpowiedział swobodnie, napawając się swoją wyższością. – Stara Anenome jest katoliczką. Uwierzytelnione świadectwo na dysku, pełna Przysięga Wstrzymania potwierdzona w Watykanie. Bierzymy ich na pęczki. Czasem bywa to cholernie wygodne.

– Za dużo mówisz, Jerry – rzuciła kobieta.

Oczy blondyna błysnęły w jej stronę białkami, ale nawet jeśli miał ochotę coś odpowiedzieć, zamknął się. W tej samej chwili do pokoju w rytm kolejnej fali muzyki z korytarza weszło dwóch mężczyzn, prawdopodobnie Deck i Oktai. Przebiegłem wzrokiem po Decku i zaliczyłem go do tej samej kategorii, co faceta z rurką – mięśniaki. Potem przeniosłem uwagę na jego towarzysza, który uważnie mi się przyglądał. Serce mi zamarło. Oktai był Azjata.

Jerry machnął głową w moim kierunku.

– To on? – zapytał.

Oktai wolno skinął głową, na jego twarzy rysował się drapieżny grymas triumfu. Masywne dłonie rytmicznie ścisnął

w pięści i rozluźniał. Próbował zapanować nad tak silną nienawiścią, że niemal go dławiła. Widziałem nierówność w miejscu, gdzie ktoś nieporadnie naprawił mu złamany nos, wstawiając tkanę, ale to nie w pełni tłumaczyło przepełniającą go furję.

– Dobra, Ryker. – Blondyn nachylił się lekko w moją stronę. – Chcesz zmienić swoją historyjkę? Możesz mi powiedzieć, czemu nadepnąłeś mi na odcisk?

Mówił do mnie.

Deck splunął w kąt pokoju.

– Nie mam pojęcia – powiedziałem wyraźnie – o czym ty, do cholery, mówisz. Zrobiłeś z mojej córki prostytutkę, a potem ją zabiłeś. I za to ja zabiję ciebie.

– Wątpię, żebyś miała na to szansę – stwierdził Jerry, kucając naprzeciw mnie i patrząc na podłogę. – Twoja córka była małą, głupią cipką, której wydawało się, że będzie mogła mnie szantażować i...

Umilkł i z niedowierzaniem potrząsnął głową.

– Do kogo ja, kurwa, mówię? Patrzę na ciebie, a i tak kupuję te bzdury. Dobry jesteś, Ryker, to ci trzeba przyznać. – Pociągnął nosem. – Teraz zamierzam jeszcze raz uprzejmie cię zapytać. Może będziemy mogli się dogadać. Potem wyślę cię do moich bardzo wyrafinowanych znajomych. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Powoli skinąłem głową, raz.

– Dobrze. A więc proszę bardzo, Ryker. Co robisz w Lodowni?

Spojrzałem mu w twarz. Drobnny cwaniaczek, któremu wydaje się, że ma koneksje. Niczego się tu nie dowiem.

– Kim jest Ryker?

Blondyn schylił głowę i zapatrzył się na podłogę między moimi nogami. Wydawał się nieszczęśliwy z powodu tego, co miało się teraz wydarzyć. W końcu oblizał usta, kiwnął lekko głową i wstał, otrzepując kolana.

– Dobra, twardzielu. Ale pamiętaj, że dałem ci wybór. – Odwrócił się do syntetycznej kobiety. – Zabierz go stąd. Żadnych

śladów. I powiedz im, że jest po same uszy nafaszerowany sprzętem, w tej powłoce niczego z niego nie wyciągną.

Kobieta kiwnęła głową i machnęła blasterem, zmuszając mnie do wstania. Czubkiem buta szturchnęła ciało Louise.

– A to?

– Pozbądź się jej. Milo, Deck, idźcie z nią.

Osilek z rurką wcisnął swoją broń za pas i zarzucił sobie ciało dziewczyny na ramię jak worek ziemniaków. Stojący tuż za nim Deck lubieżnie klepnął trupa po wypiętym pośladku.

Z gardła Azjaty wydobył się jakiś dźwięk. Jerry spojrzał na niego z lekkim niesmakiem.

– Nie, ty nie. Pojadą w miejsce, którego nie powinienesz widzieć. Nie martw się, zrobią nagranie.

– Jasne, stary – rzucił przez ramię Deck. – Zaraz je przywieziemy z powrotem.

– W porządku, to wystarczy – zarządziła szorstko kobieta, podchodząc do mnie. – Oszczędźmy sobie nieporozumień, Ryker. Masz neurochem, ja też. A to maszyna najwyższej klasy. Parametry pilota oblatywacza Lockheeda-Mitomy. Nie zdołasz mnie poważnie uszkodzić. A ja z radością wypalę ci flaki, jeśli choćby krzywo na mnie spojrzysz. Oni nie dbają o to, w jakim stanie dowiozę cię na miejsce. Czy to jasne, Ryker?

– Nie nazywam się Ryker – rzuciłem poirytowanym tonem.

– Jasne.

Przez drzwi z matowego szkła przeszliśmy do maleńkiego pokoiku mieszczącego toaletkę oraz kabinę prysznicową i dalej, korytarzem równoległym do tego dla klientów. Tutaj oświetlenie było całkiem zwyczajne, nie dochodziły tu także dźwięki muzyki. Korytarz skończył się większą, częściowo przeciętą zasłonami przebieralnią, gdzie młode kobiety i mężczyźni odpoczywali, paląc papierosy albo po prostu patrząc przed siebie nieobecny wzrokiem jak nieobsadzone syntetyki. Jeśli ktoś z nich zauważył naszą małą procesję, nie dał tego po sobie poznać. Milo szedł pierwszy, niosąc ciało. Deck szedł za mną, a pochod zamykała syntetyczna kobieta, od niechcenia trzymając przy boku blaster.

Udało mi się jeszcze kątem oka dostrzec Jerry'ego, jak stał w korytarzu, rękami podpierając się pod boki. Potem Deck uderzeniem w głowę przypomniał mi, że mam patrzeć przed siebie. Zwisające luźno okaleczone nogi Louise zawiodły mnie na zewnątrz, na mroczny parking, gdzie czekał już na nas czarny pojazd latający.

Syntetyczna otworzyła drzwi ładunkowe i machnęła w moją stronę blasterem.

– Pełno miejsca. Rozgość się.

Wspiąłem się do komory ładunkowej i stwierdziłem, że miała rację. Potem Milo wrzucił do mnie ciało Louise i zatrzasnął drzwi, zostawiając nas razem w ciemności. Usłyszałem przytłumione szcęknięcia otwieranych i zamykanych metalowych drzwi, a później szum silników i lekki podrzut, gdy oderwaliśmy się od ziemi.

Podróż była krótka i znacznie spokojniejsza niż analogiczna jazda po powierzchni. Przyjaciele Jerry'ego jechali ostrożnie – z takimi pasażerami na pace nikt nie miałby ochoty na spotkanie ze znudzonym policjantem z powodu zmiany pasa ruchu bez sygnalizacji. W mroku byłoby nawet miło i przytulnie, gdyby nie dochodzący od trupa delikatny smród odchodów. W trakcie tortur Louise puściły zwieracze.

Większość drogi spędziłem, użalając się nad dziewczyną i gryząc się z powodu jej katolickiego szaleństwa, które zamykało jej na dobre szansę powrotu do żywych. Stos tej kobiety był całkowicie w porządku. Pomijając kwestie finansowe, można było ją ożywić w czasie, jaki potrzeba na rozkręcenie dysku. Na Świecie Harlana zostałaaby tymczasowo upowłokowiona na przesłuchania sądowe, choć prawdopodobnie w syntetyku, a po ogłoszeniu wyroku otrzymałaby środki z Funduszu Wspierania Ofiar jako dodatek do polisy rodzinnej. W dziewięciu przypadkach na dziesięć wystarczało to na jakieś upowłokowanie. Śmierci, gdzież twe żądło?

Nie wiedziałem, czy na Ziemi mają FWO. Z gniewnego monologu Kristin Ortegi dwie noce temu wynikało, że nie, ale

przynajmniej istniała potencjalna możliwość ożywienia dziewczyny. Tymczasem gdzieś na tej popieprzonej planecie jakiś guru zarządził inaczej, a Louise, alias Anenome, razem z wieloma innymi ustawiła się w kolejce, by ratyfikować szaleństwo.

Ludzie. Nigdy ich nie zrozumieć.

Pojazd przechylił się, zlatując po spirali w dół, a ciało przetoczyło się na mnie. Przez nogawkę spodni przesączyło się coś wilgotnego. Czułem, że zaczynam się pocić ze strachu. Zamierzali przelać mnie do jakiegoś ciała, które nie miało odporności na ból mojej aktualnej powłoki. Podczas gdy będę uwięziony gdzie indziej, z tą powłoką mogli zrobić wszystko, nawet fizycznie ją zabić.

A potem zacząć znów od nowa, z moim kolejnym nowym ciałem.

Albo, jeśli byli naprawdę wyrafinowani, mogą podpiąć moją świadomość do rzeczywistości wirtualnej w rodzaju tych stosowanych w psychochirurgii i zrobić to wszystko elektronicznie.

Subiektywnie nie byłoby dla mnie żadnej różnicy, tyle że to, co w realnym świecie zajęłoby dni, tutaj przeliczałoby się na minuty.

Przełknąłem z wysiłkiem, używając neurochemu do walki ze strachem. Łagodnie odepchnąłem zimne zwłoki Louise od swojej twarzy i próbowałem nie myśleć o powodach, dla których zginęła.

Pojazd dotknął ziemi i potoczył się po niej, zanim stanął. Kiedy znów otworzyły się drzwi do komory, wszystko, co udało mi się zobaczyć, to dach kolejnego krytego garażu, wyłożony prętami z aluminium.

Wyciągnęli mnie z profesjonalną ostrożnością. Kobieta stała w sporej odległości, a Deck i Milo podeszli z boków, dając jej wolne pole do strzału. Niezdarnie wygramoliłem się na podłogę z czarnego betonu. Rozglądając się ukradkiem po mrocznym pomieszczeniu, dostrzegłem kilkanaście innych, nierzucających

się w oczy pojazdów, z nieczytelnymi z tej odległości tablicami rejestracyjnymi. W przeciwnym końcu znajdowała się krótka rampa prowadząca zapewne na lądowisko niczym nieróżniące się od milionów podobnych miejsc. Westchnąłem, a prostując się, znów poczułem wilgoć na nodze. Zerknąłem w dół, na ubranie. Na udzie widniała ciemna plama niewiadomego pochodzenia.

– To gdzie jesteśmy? – zapytałem.

– Na końcowej stacji, palancie – odpowiedział mi uprzejmie Milo, wyciągając Louise. Spojrzał na kobietę. – To idzie tam, gdzie zwykle?

Skinęła głową, a on ruszył przez garaż w stronę podwójnych drzwi. Zaczynałem ruszać w tym samym kierunku, kiedy zatrzymało mnie dźgnięcie blasterem.

– Nie ty. Zsyp na razie nie jest dla ciebie. Zanim tam trafisz, spotkasz się z ludźmi, którzy chcieliby z tobą porozmawiać. Ty idziesz tędy.

Deck wyszczerzył zęby w uśmiechu i z tylnej kieszeni wyciągnął mały pistolet.

– Tak jest, panie zły glino. Ty idziesz tędy.

Przeprowadzili mnie przez kolejne drzwi do windy towarowej, która według wyświetlacza diodowego na ścianie opadła ponad dwadzieście pięter, zanim się wreszcie zatrzymała. Przez całą drogę Deck i kobieta stali w przeciwnych rogach kabiny, celując we mnie bronią. Ignorowałem ich, przyglądając się cyfrom na wyświetlaczu.

Kiedy otworzyły się drzwi, czekała na nas ekipa medyczna z wyposażonym w taśmy łóżkiem na kółkach. Instynkt samozachowawczy zaczął we mnie krzyczeć, pchał mnie do ataku, ale zmusiłem się, by pozostać w bezruchu, gdy dwóch ubranych w jasny błękit mężczyzn przytrzymało mnie za ramiona, a lekarka zaaplikowała mi w szyję spray hipodermiczny. Poczułem lodowate ukłucie, krótkotrwałe zimno, a potem skraj pola widzenia zaczął mi się rozmywać. Ostatnią wyraźną rzeczą, jaką dostrzegłem, była bezbarwna, wyzuta z emocji twarz lekarki przyglądającej się, jak tracę świadomość.

Rozdział trzynasty

Obudził mnie dźwięk obwoływanego gdzieś w pobliżu ezanu, a jego poetyckość zniekształcało metaliczne brzmienie głośników zamontowanych na minarecie. Ostatni raz słyszałem te dźwięki pod niebem nad Zihicce, na Sharyi. Zagłuszył je wtedy jękliwy świst spadających bomb kasetowych. Nad moją głową przez wyszukane kraty okienne wpadały ostre promienie słońca. W podbrzuszu czułem szczególne tępe wzdęcie zdradzające, że zbliżał mi się okres.

Usiadłem na drewnianej podłodze i spojrzałem na siebie. Wsadzili mnie w kobiece ciało, młode, nie więcej niż dwudziestoletnie, o miedzianej skórze i ciężkich, czarnych włosach, które, gdy przesunąłem po nich dłonią, sprawiały wrażenie brudnych. Skórę miałem lekko tłustawą i skądś wiedziałem, że nie kąpałem się już od dłuższego czasu. Ubrany byłem jedynie w za dużą o kilka numerów, szorstką bluzę koloru khaki. Moje piersi pod bluzą pulsowały, nabrzmiałe i nadwrażliwe. Byłem boso.

Wstałem i podszedłem do okna. Nie miało szyby, ale znajdowało się trochę wyżej niż mój aktualny wzrost, więc podciągnąłem się na rękach za kraty i wyjrzałem na zewnątrz. Jak wzrokiem sięgnąć, rozciągała się zalana słońcem panorama pokrytych nędznymi płytkami dachów, upstrzonych tu i ówdzie antenami odbiorczymi i antycznymi talerzami łączności satelitarnej. Po lewej horyzont rozcinała grupa minaretów, a gdzieś za nimi niebo znaczyła biała smuga kondensacyjna lądującego samolotu. Wpadające do wnętrza powietrze było gorące i wilgotne.

Zaczynały mnie boleć ręce, więc opuściłem się z powrotem na podłogę i przeczłapałem przez pokój do drzwi. Zgodnie

z oczekiwaniami, były zamknięte.

Ezan zamilkł.

Wirtual. Podpięli się do moich wspomnień i wygrzebali to. Na Sharyi widziałem jedno z najnieprzyjemniejszych rzeczy w długiej historii ludzkiego cierpienia. A sharyańska policja religijna była równie popularna w zakresie oprogramowania do przesłuchań, jak Angin Chandra w porno pilotów. A teraz, w tym surowym wirtualu na Sharyi, wsadzili mnie w kobietę.

Którejś nocy, po pijaku, Sara powiedziała: *To kobiety stanowią rasę. Tak. Bez dwóch zdań. Samce to tylko mutacja z większą ilością mięśni i połową charakteru.*

Walczące maszyny do pieprzenia. Potwierdzały to moje własne upowłokowienia ze zmianą płci. Bycie kobietą stanowiło doświadczenie zmysłowe przekraczające pojmowanie mężczyzny. Dotyk i fakturę odczuwało się głębiej; ten rodzaj połączenia z otoczeniem jest niedostępny dla mężczyzny, instynktownie przez niego blokowany. Dla mężczyzny skóra stanowi barierę, osłonę. Dla kobiety jest organem kontaktu.

Miało to swoje wady.

Ogólnie, być może z tego powodu, kobiety miały wyższy próg bólu, ale raz na miesiąc ściągał go w dół cykl menstruacyjny.

Żadnego neurochemu. Sprawdziłem.

Żadnego uwarunkowania bojowego, odruchów agresji.

Nic.

Nawet milimetr stwardniałego naskórka na młodym ciele.

Otwierane drzwi trzasnęły, aż podskoczyłem. Świeży pot zrosił mi skórę. Do pokoju weszło dwóch brodatych mężczyzn z ogniem w oczach. Obaj byli ubrani w luźne, płócienne stroje. Jeden trzymał w dłoniach rolkę taśmy samoprzylepnej, drugi – mały palnik. Rzuciłem się na nich, po prostu żeby jakoś ukierunkować narastającą panikę i choć częściowo opanować wbudowaną bezradność.

Ten z taśmą odepchnął moje szczupłe ramiona i uderzył mnie w twarz otwartą dłonią. Upadłem na podłogę. Leżałem tam z odrętwiałą twarzą, smakując własną krew. Jeden z nich

dźwignął mnie z powrotem na nogi, szarpiąc za ramię. Niewyraźnie zobaczyłem twarz drugiego, tego, który mnie uderzył, i spróbowałem się na niej skupić.

– No dobra – odezwał się – zaczynamy.

Paznokciami wolnej ręki sięgnąłem w stronę jego oczu. Trening Emisariusza zapewnił mi dostateczną szybkość, by do nich sięgnąć, ale zabrakło mi kontroli i nie trafiłem. Dwoma paznokciami rozorałem mu skórę na policzku. Wzdrygnął się i odskoczył.

– Cipa – rzucił, unosząc dłoń do rany na policzku i oglądając krew na palcach.

– Och, proszę – zdołałem powiedzieć niezdretniałą częścią ust.

– Czy musimy przechodzić przez cały ten scenariusz? Tylko dlatego, że wsadzono mnie w to...

Zamilkłem. Wyglądał na zadowolonego.

– A więc *nie* Irene Elliott – stwierdził. – Robimy postępy.

Tym razem uderzył mnie tuż poniżej żeber, wyciskając ze mnie całe powietrze i paraliżując płuca. Owinąłem się wokół jego ramienia jak peleryna i zsunąłem się na podłogę, próbując złapać oddech. Jedyne, co mi się udało, to wydobyć cichy, trzeszczący dźwięk. Przez chwilę zwijałem się na podłodze, podczas gdy wysoko nad moją głową oprawca wziął taśmę od drugiego z mężczyzn i oderwał kawałek, wydając przy tym dźwięk przypominający obdzieranie ze skóry. Odrywając ją od rolki zębami, przyklęknął obok mnie i przykleił mój prawy nadgarstek do podłogi nad głową. Zwinąłem się jak porażony prądem, więc chwilę zajęło mu unieruchomienie mojej drugiej ręki. Wezbrała we mnie obca potrzeba krzyku, ale zwalczyłem ją. Bezcelowe. Zachowuj siły.

Dla miękkiej i wrażliwej skóry moich łokci podłoga była twarda i niewygodna. Usłyszałem szuranie i odwróciłem głowę. Drugi z mężczyzn przyciągał na środek pokoju parę stołków. Kiedy ten, który mnie bił, rozsuwał mi uda, drugi usiadł sobie na przysuniętym stołku, wyciągnął paczkę papierosów i wytrząsnął z niej jednego. Szczercząc do mnie zębami w uśmiechu,

umieścił go w zębach i sięgnął po palnik. Potem poczęstował papierosem mojego oprawcę, który właśnie podziwiał swoje dzieło, ale ten odmówił. Palacz wzruszył ramionami, uruchomił palnik i przechylił głowę, zapalając od niego papierosa.

– Powiesz nam – machnął papierosem i wypuścił dym w powietrze nade mną – wszystko, co wiesz o Dyskretnych Pokojach u Jerry’ego i Elizabeth Elliott.

Palnik syczał i trzaskał w cichym pokoju. Przez wysoko umieszczone okno do środka wpadały promienie słońca, niosąc ze sobą delikatne i odległe dźwięki zatłoczonego miasta.

Zaczęli od moich stóp.

* * *

Krzyk trwa i trwa, wyższy i głośniejszy niż – jak sądziłem – może z siebie wydobyć ludzkie gardło. Rozdziera mi uszy. Pole widzenia znaczą ślady czerwieni.

Innenininennininennin...

Dostrzegam Jimmy’ego de Soto, bez sunjeta, z zakrwawionymi dłońmi przyklejonymi do twarzy. Wrzask dobiega od jego zataczającej się postaci i przez chwilę prawie wierzę, że to dźwięk jego alarmu kontaminacyjnego. Odruchowo sprawdzam swój miernik na ramieniu, potem przez agonię przebijają się na wpół ukształtowane słowa i zdaję sobie sprawę, że to on.

Stoi prawie wyprostowany, nawet w chaosie bombardowania idealny cel dla snajpera. Rzucam się przez pustą przestrzeń i spycham go pod zrujnowaną ścianę. Kiedy przetaczam go na plecy, żeby zobaczyć, co stało się z jego twarzą, on wciąż krzyczy. Z całej siły odciągam mu ręce od twarzy i widzę, że w mroku kieruje na mnie zakrwawioną dziurę lewego oczodołu. Do palców wciąż ma przyklejone strzępki gałki ocznej.

– Jimmy, co do cholery...

Jimmy bezustannie krzyczy. Potrzebuję całej siły, by powstrzymać go przed wbiciem palców w ocalałą, szalejącą w oczodole gałkę oczną. Czuję, jak mrozi mi kręgosłup, gdy

uświadamiam sobie, co się dzieje.

Atak wirusowy.

Przestaję krzyczeć na Jimmy'ego i wołam wzdłuż szeregu.

– Medyk! Medyk! Uszkodzenie stosu! Atak wirusowy!

Słyszę własny krzyk na przyczółku Innenin w nieskończoność powtarzany przez echo.

* * *

Po jakimś czasie zostawiają cię samego, zwiniętego wokół ran. Zawsze to robią. Dają ci czas na myślenie o tym, co z tobą zrobili, a co gorsza, czego jeszcze nie zrobili. Twoja pracująca na najwyższych obrotach wyobraźnia jest w ich rękach prawie równie potężnym narzędziem, jak rozpalone żelazo i ostrza.

Kiedy słyszysz, że wracają, echo ich kroków wywołuje taki strach, że wymiotujesz tę odrobinę, która jeszcze została w żołądku.

* * *

Wyobraź sobie satelitarne zdjęcie miejskiej mozaiki w skali 1:10 000. Zajmie większość ściany w sporym pomieszczeniu, więc się odsuń. Patrząc na nią, od razu zauważysz pewne oczywiste elementy. Czy miasto zostało zbudowane według planu, czy rozwinęło się samo, reagując na stulecia zmieniających się potrzeb. Czy jest, albo kiedykolwiek było, ufortyfikowane. Czy ma dostęp do oceanu. Przyjrzyj się uważniej, a dowiesz się więcej. Gdzie mogą przechodzić główne arterie, czy jest tam port promów międzyplanetarnych, czy miasto ma parki. Jeśli jesteś wyszkolonym kartografem, być może odczytasz informacje dotyczące jego mieszkańców. Które rejony miasta są najatrakcyjniejsze, jakie mogą być problemy komunikacyjne i czy w mieście zdarzały się ostatnio jakieś wybuchy bombowe albo zamieszki.

Pewnych rzeczy jednak ze zdjęcia nigdy się nie dowiesz.

Niezależnie od tego, jak bardzo powiększałbyś obraz i wyciągał szczegóły, nie określisz, czy przestępczość narasta albo o której godzinie mieszkańcy kładą się do łóżek. Zdjęcie nie powie ci, czy burmistrz zamierza wyburzyć starą dzielnicę, czy policja jest skorumpowana albo co dziwnego dzieje się pod numerem pięćdziesiątym pierwszym na Anielskim Nadbrzeżu. I niczego nie zmieni fakt, że możesz porozcinać mozaikę na kawałki, poprzesuwać je i ułożyć w inny wzór. Pewne informacje możesz zdobyć wyłącznie, idąc do miasta i rozmawiając z mieszkańcami.

Cyfrowy zapis ludzkiej świadomości nie wyeliminował przesłuchań, po prostu sprowadził je z powrotem do podstaw. Zdigitalizowany umysł to tylko zamrożony obraz, zdjęcie. Nie odczytasz z niego indywidualnych myśli, tak samo jak zdjęcie satelitarne nie przedstawi życia jednostki. Psychochirurg może wyłapać większe urazy na modelu Ellisa i domyślić się, co trzeba zrobić, ale prędzej czy później i tak będzie musiał w końcu stworzyć wirtualne otoczenie, umożliwiające mu rozmowę z pacjentem, i podpiąć się, żeby to zrobić. Przesłuchujący o znacznie bardziej specyficznych potrzebach stoją przed jeszcze trudniejszym zadaniem.

Technika przechowywania CC umożliwiła torturowanie człowieka aż do śmierci, a potem od nowa. Wobec takiej możliwości przesłuchania hipnotyczne i oparte na środkach farmakologicznych już dawno trafiły do kosza. Zbyt łatwo było przygotować odpowiednie chemiczne czy mentalne uwarunkowanie blokujące dla osób narażonych na ryzyko takich przesłuchań.

W znanym wszechświecie nie istnieje uwarunkowanie mogące przygotować cię na spalenie stóp. Albo wyrwanie paznokci. Gaszenie papierosów na piersiach. Wsuwanie do pochwy rozżarzonego żelaza. Ból. Upokorzenie. Uszkodzenia.

* * *

Trening psychodynamiki/spójności.

Wprowadzenie.

W warunkach ekstremalnego stresu umysł robi interesujące rzeczy. Halucynacje, przeniesienia, ucieczka. Tu, w Korpusie, nauczycie się używać ich wszystkich, ale nie jako ślełą reakcję na przeciwności, lecz jako posunięcie w grze.

Rozgrzany do czerwoności metal zatapia się w ciele, tnąc skórę jak polietylen. Ból jest niewyobrażalny, ale jeszcze gorsze jest to, że można się temu przyglądać. W uszach wibruje krzyk, początkowo krzyk niedowierzania, teraz już makabrycznie świadomy. Wiesz, że ich to nie powstrzyma, ale i tak krzyczysz, błagając...

* * *

– To jakaś pieprzona gra, stary?

Szczerzy się do mnie trup Jimmy’ego. Wciąż otacza nas Innenin, choć to niemożliwe. Wciąż krzyczał, kiedy go zabierali. W rzeczywistości...

Jego twarz zmienia się nagle, nabierając posępnego wyglądu.

– Nie mieszaj do tego rzeczywistości, nie ma tu na nią miejsca. Oderwij się. Zrobili jej jakieś uszkodzenia strukturalne?

Mrugam.

– Jej stopy. Nie może chodzić.

– Skurwysyny – komentuje rzeczowo. – Czemu po prostu nie powiemy im tego, co chcą wiedzieć?

– Nie wiemy, co chcą wiedzieć. Chcą dorwać tego gościa, Rykera.

– Kim do cholery jest ten Ryker?

– Nie wiem.

Wzrusza ramionami.

– Więc puść farbę o Bancrofcie. A może dalej czujesz się związany honorem czy coś w tym stylu?

– Chyba już puściłem. Nie kupują tego. Nie to chcą usłyszeć. To pierdoleni amatorzy, stary. Mięśniaki.

– Powtarzaj to, prędzej czy później będą musieli uwierzyć.

– Nie w tym rzecz, Jimmy. Kiedy to się skończy, nie będzie miało

znaczenia, kim jestem, po prostu przestrzelą mi stos, a ciało sprzedadzą na części zamienne.

– Tak. – Jimmy wsadza palec do pustego oczodołu i drapie się z namysłem po rozerwanej tkance. – Rozumiem, o co ci chodzi. Cóż, w sytuacji konstruktu, tak naprawdę musisz po prostu jakoś dostać się do następnej planszy, nie?

* * *

W jednym z etapów historii Świata Harlana, który jak na ironię nazywa się Niepokojami, partyzanci z quellistowskich Czarnych Brygad chirurgicznie implantowali sobie ćwierć kilo wyzwalanego enzymatycznie środka wybuchowego, który na życzenie mógł zamienić w popiół wszystko, co znalazło się w promieniu mniej więcej pięciu metrów. Taktyka ta przynosiła wątpliwe sukcesy. Wspomniany enzym był wyzwalany przez furję, a uwarunkowanie wymagane do odpalenia ładunku miało dziury. Nastąpiła więc pewna liczba nieplanowanych eksplozji.

Mimo wszystko nikt nigdy nie zgłosił się na ochotnika do przesłuchiwania członka Czarnych Brygad. W każdym razie nie po pierwszej z eksplozji. Nazywała się...

Myślałeś, że nie mogą już zrobić nic gorszego, ale teraz wsadzili w ciebie żelazo i wolno je ogrzewają, dając ci czas, żeby się nad tym zastanowić. Skamlenie staje się coraz bardziej bełkotliwe.

Jak już mówiłem...

Nazywała się Iphigenia Deme, Iffy – dla przyjaciół niewymordowanych jeszcze przez siły Protektoratu. Podobno jej ostatnie słowa, gdy przesłuchiowano ją przymocowaną pasami do stołu pod numerem osiemnastym, bulwar Shimatsu, brzmiały: *Już, kurwa, dość!*

Wybuch zrównał z ziemią cały budynek.

* * *

Już, kurwa, dość!

* * *

Błyskawicznie oprzytomniałem, wciąż dygocząc od ostatniego wrzasku. Sięgnąłem dłońmi ku zapamiętanym ranom. Zamiast nich pod świeżym, lnianym ubraniem namacałem młode, nieuszkodzone ciało, poczułem słabe kołysanie i usłyszałem dochodzący gdzieś z bliska dźwięk fal. Nad głową miałem ukośny drewniany sufit i luk, przez który pod niskim kątem wpadały promienie słońca. Usiadłem na wąskiej pryczy, a z moich piersi opadło prześcieradło. Ich miedziane krzywizny były gładkie i pozbawione blizn, a sutki nienaruszone.

Wracamy do początku.

Obok łóżka stało proste, drewniane krzesło z przerzuconym przez nie białym T-shirtem i zgrabnie złożonymi, płóciennymi spodniami. Na podłodze czekały sznurkowe sandały. W maleńkiej kabinie nie było poza tym nic ciekawego, oprócz drzwi oraz drugiej koi, identycznej jak moja, z beztrzesko rozrzuconym okryciem. Trochę mało subtelne, ale przekaz był jasny. Wciągnąłem na siebie ubranie i wyszedłem na zalany słońcem pokład małej łodzi rybackiej.

– Aha, śpioch. – Siedząca na rufie skifu kobieta klasnęła dłońmi na mój widok. Wyglądała na jakieś dziesięć lat więcej niż powłoka, którą miałem na sobie. Była ładna. Strój z tego samego materiału, co moje spodnie, podkreślał jej ciemną skórę. Na stopach miała espadryle, a na twarzy duże okulary słoneczne.

Na podołku trzymała szkicownik z czymś, co wyglądało jak panorama miasta. Kiedy się zatrzymałem, odłożyła go na bok i wstała, by mnie powitać. Poruszała się elegancko, z dużą pewnością siebie. Przez porównanie czułem się ciężki i pozbawiony gracji.

Spojrzałem w bok, na błękitną wodę.

– Co tym razem? – zapytałem z wymuszoną swobodą. – Nakarmisz mną rekiny?

Roześmiała się, błyskając idealnie białymi, równymi zębami.

– Nie, na tym etapie to nie będzie konieczne. W tej chwili chcę tylko porozmawiać.

Stałem w miejscu, luźno zwiesiwszy ręce.

– To zaczynaj.

– No dobrze. – Kobieta z wdziękiem opadła z powrotem na siedzenie przy rufie. – Najwyraźniej wplątałeś się w sprawy, które cię nie dotyczą, i w efekcie cierpisz. Wydaje mi się, że interesuje nas ta sama sprawa. Chciałabym uniknąć dalszych nieprzyjemności.

– Mnie interesuje zabicie cię.

Lekki uśmiech.

– Tak, jestem pewna, że tak. Prawdopodobnie satysfakcjonowałyby cię nawet wirtualna śmierć. Na wszelki wypadek pozwolę sobie zaznaczyć, że szczegółowe specyfikacje tego konstruktu obejmują piąty dan w szotokan.

Wyciągnęła dłoń, prezentując stwardniałą skórę na kostkach. Wzruszyłem ramionami.

– Co więcej, zawsze możemy wrócić do wcześniejszych warunków. – Machnęła ręką nad wodą, a kierując wzrok za jej ramieniem, dostrzegłem na horyzoncie miasto, które rysowała.

Mrużąc oczy w odbitym od wody blasku słońca, zdołałem zobaczyć minarety. Prawie udało mi się uśmiechnąć z powodu zawartej w tym taniej psychologii. Łódź. Morze. Ucieczka. Chłopcy wzięli program prosto z półki.

– Nie chcę tam wracać – powiedziałem zgodnie z prawdą.

– Dobrze. Więc powiedz nam, kim jesteś.

Spróbowałem nie okazać zaskoczenia. Obudziły się zasady wpojone mi podczas treningu tajnego agenta.

– Myślałem, że już to zrobiłem.

– To, co powiedziałeś, jest trochę zagmatwane, a przerwałeś przesłuchanie, zatrzymując bicie własnego serca. Nie jesteś Irene Elliott, to nie ulega wątpliwości. Nie wydajesz się również Eliasem Rykerem, chyba że przeszedł gruntowny trening. Twierdzisz, że masz powiązania z Laurenssem Bancroftem,

a także, że pochodzisz z innej planety i jesteś członkiem Korpusu Emisariuszy. Nie tego się spodziewaliśmy.

– Założę się, że nie – mruknąłem pod nosem.

– Nie chcemy angażować się w sprawy, które nas nie dotyczą.

– Już się zaangażowaliście. Porwaliście i poddaliście torturom Emisariusza. Macie pojęcie, co wam za to robi Korpus? Wyłapią was i powsadzają wasze stosy w elektromagnes. Wszystkich. Potem wasze rodziny, współników, potem ich rodziny, a potem jeszcze wszystkich, którzy się trafią po drodze. Kiedy skończą, nie zostanie po was nawet wspomnienie. Jeśli trafisz na Korpus, nie będziesz miała okazji opowiadać o tym wnukom. *Wyeliminują cię.*

To wszystko było totalnym blefem. Korpus i ja nie rozmawialiśmy ze sobą przynajmniej od dekady mojego subiektywnego czasu, co obiektywnie stanowiło solidny kawałek stulecia. Ale w całym Protektoracie Emisariusze stanowili grupę, z którą liczył się każdy, łącznie z prezydentem planety. Groźba, którą się posłużyłem, była tak samo skuteczna, jak straszenie małych dzieci w Newpest łątołakiem.

– O ile mi wiadomo – powiedziała cicho kobieta – Korpus Emisariuszy ma zakaz działania na Ziemi, chyba że z polecenia ONZ. Może masz do stracenia tyle samo, co cała reszta?

Pan Bancroft posiada niesprecyzowane wpływy w sądzie ONZ, co stanowi publiczną tajemnicę. Z pamięci wyłowilem słowa Oumou Prescott, toteż wyskoczyłem z ripostą.

– Może ty chciałabyś wystąpić z tym przed sądem ONZ i Laurenssem Bancroftem – zasugerowałem, składając ręce.

Kobieta przyglądała mi się przez chwilę. Wiatr mierzwił mi włosy, przynosząc ze sobą przytłumione odgłosy miasta.

– Wiesz, że moglibyśmy wymazać twój stos i rozebrać powłokę na kawałki tak małe, że nie zostałyby żaden ślad? Praktycznie rzecz biorąc, nie byłoby czego szukać.

– Znajdą cię – oświadczyłem z przekonaniem, które uwierzytelnia każde kłamstwo. – Nikt nie ukryje się przed Korpusem. Znajdą cię niezależnie od tego, co zrobisz. Chyba

jedyną rzeczą, na jaką możesz teraz mieć nadzieję, jest opcja, że pójde na układ.

– Jaki układ? – zapytała drewnianym głosem.

W ułamku sekundy, zanim otworzyłem usta, mój umysł wszedł w stan nadaktywności, ważąc równowagę sił i każdą niewymówioną jeszcze sylabę. To była moja szansa ucieczki. Drugiej okazji już nie będzie.

– Ktoś prowadzi działalność biopiracką, przerzucając skradziony sprzęt wojskowy przez Zachodnie Wybrzeże – powiedziałem ostrożnie. – Przykrywką dla nich są miejsca takie jak U Jerry’ego.

– I wezwali do tego Emisariuszy? – Głos kobiety brzmiał powątpiewająco. – Na biopiratów? Daj spokój, Ryker. To najlepsze, na co cię stać?

– Nie jestem Ryker – warknąłem. – Ta powłoka to przykrywka. Słuchaj, masz rację. W dziewięciu przypadkach na dziesięć takie rzeczy nas nie obchodzą. Korpusu nie powołano do zwalczania przestępczości na tym poziomie. Ale ci ludzie położyli łapy na towarach, których nigdy nie powinni byli tknąć. Aktywny biosprzęt dyplomatyczny. Towar, na który nawet nie powinni spojrzeć. Ktoś się z tego powodu poważnie wkurzył, ktoś na poziomie prezydenckim ONZ, więc wezwali nas.

Kobieta zmarszczyła brwi.

– A układ?

– Po pierwsze, uwolnisz mnie i nikt nie puści na ten temat pary z gęby. Nazwijmy to profesjonalnym nieporozumieniem. Potem otworzysz dla mnie swoje kanały. Podasz parę nazwisk. W czarnorynkowych klinikach takich jak ta krążą różne informacje. Mogą mieć dla mnie pewną wartość.

– Jak już mówiłam, nie chcemy angażować się...

Odsunąłem się od relingu, pozwalając, by w moim głosie zabrzmiała odpowiednia dawka gniewu.

– Nie pieprz. *Już* się zaangażowałaś. Czy ci się to podoba, czy nie, wpadłaś po uszy w coś, co nie miało z tobą żadnego związku – i teraz albo z tego wyjdiesz, albo utoniesz. Co wybierasz?

Cisza. Tylko lekka morska bryza i delikatne kołysanie łodzi.

– Zastanowimy się nad tym – powiedziała kobieta.

Coś stało się ze światłem odbitym w wodzie. Przesunąłem wzrok za ramię kobiety i zobaczyłem, że światło odrywa się od fal i unosi w górę, zwiększając napięcie. Miasto znikło w białym błysku, jak od bomby atomowej, a krawędzie łodzi rozmyły się w morskiej pianie. Kobieta zniknęła razem z nimi. Zrobiło się bardzo cicho.

Uniosłem rękę, by dotknąć mgły w miejscu, gdzie kończyły się zdefiniowane parametry świata. Moja dłoń zdawała się poruszać w zwolnionym tempie. W ciszy zaczęło narastać równomierne syczenie. Końce moich palców zrobiły się przezroczyste, potem białe jak minarety w mieście przed błyskiem. Straciłem zdolność ruchu, a biel wpłynęła na moje ramię. W gardle zamarł mi oddech, a serce znieruchomiało w pół ruchu. Byłem.

Nie.

Rozdział czternasty

Znów się obudziłem, tym razem czując silne drętwienie całej skóry, podobne do tego, jakie pozostaje na dłoniach tuż po oczyszczeniu ich z detergentu albo spirytusu. Z tą różnicą, że odczuwałem je na całym ciele. Ponownie trafiłem do męskiej powłoki. Uczucie to szybko zanikło, w miarę jak mój umysł dostosowywał się do nowego systemu nerwowego. Poczułem lekki chłód klimatyzacji na odsłoniętym ciele. Byłem nagi. Sięgnąłem lewą ręką i dotknąłem blizny pod okiem.

Wsadzili mnie z powrotem.

Sufit nade mną był biały i pełen silnych reflektorów. Uniosłem się na łokciu i rozejrzałem. Poczułem kolejny dreszcz, tym razem wewnętrzny, gdy uświadomiłem sobie, że leżę w sali operacyjnej. Po drugiej stronie pomieszczenia stała platforma chirurgiczna z polerowanej stali, kompletna, z rowkami na krew i złożonymi ramionami autochirurga podwieszonymi w górze na podobieństwo pająka. Żaden z systemów nie był aktywny, ale na ścianie znajdowała się cała seria monitorów błyskających napisem: GOTOWOŚĆ, podobnie jak na wyświetlaczu jednostki monitorującej obok mnie. Nachyliłem się bliżej ekranu i zobaczyłem przemykającą przez niego non stop listę procedur testowych. Programowali autochirurga do rozebrania mnie na kawałki.

Podnosiłem się z leżanki, kiedy otworzyły się drzwi i do środka weszła syntetyczna kobieta w towarzystwie dwóch lekarzy. Blaster cząsteczkowy zwisał w kaburze na jej biodrze, w rękach niosła znajomo wyglądający kłębek.

– Ubranie. – Rzuciła nim we mnie z krzywym uśmiechem. – Ubierz się.

Jeden z lekarzy położył jej dłoń na ramieniu.

– Procedura wymaga...

– Jasne – parsknęła kobieta. – Może nas pozwie. Jeśli uważasz, że to miejsce nie nadaje się na proste od- i upowłokowanie, może powinnam pogadać z Ray na temat przeniesienia naszego interesu gdzie indziej.

– On nie mówi o upowłokowaniu – zauważyłem, wciągając spodnie. – Chciałby zbadać urazy przesłuchaniowe.

– Ktoś cię pytał?

Wzruszyłem ramionami.

– Jak sobie chcesz. Dokąd idziemy?

– Porozmawiać z kimś – odpowiedziała krótko i odwróciła się do medyków.

– Jeśli jest tym, za kogo się podaje, nie będziemy mieć problemu z urazem. A jeśli nie jest, to i tak zaraz tu wróci.

Starłem się dalej ubierać, najspokojniej jak potrafiłem. A więc wciąż jeszcze nie zdjęli mnie z ognia. Moja bluza i kurtka były nienaruszone, ale zniknęła bandana, co nadzwyczaj mnie zirytowało. Kupiłem ją ledwie kilka godzin temu. Zniknął również zegarek. Postanowiłem nie robić z tego afery, docisnąłem zapięcia na butach i wyprostowałem się.

– To kogo jedziemy zobaczyć?

Kobieta spojrzała na mnie kwaśno.

– Kogoś, kto wie dostatecznie dużo, by móc sprawdzić twoją historyjkę. Osobiście uważam, że zaraz potem przywieziemy cię tu z powrotem na elegancką kasację.

– Kiedy to się skończy – powiedziałem spokojnie – może uda mi się namówić jedną z naszych grup, żeby cię odwiedzili. Oczywiście, w prawdziwej powłoce. Będą chcieli podziękować ci za współpracę.

Blaster z cichym szurnięciem wysunął się z pochwy i błyskawicznie wylądował przy mojej szyi. Ledwie zdążyłem to zauważyć. Moje świeżo upowłokowane zmysły próbowały zareagować, ale zrobiły to o całe wieki za późno. Syntetyczna kobieta nachyliła się blisko mojej twarzy.

– Nigdy nie waż się mi grozić, gnido – powiedziała przez

zaciśnięte zęby. – Wystraszyłeś pajaców i zastopowali, bo myśla, że możesz ich pograżyć. Na mnie to nie działa. Kumasz?

Spojrzałem na nią kątem oka, na tyle, na ile mogłem to zrobić z szyją przekrzywioną przez pistolet.

– Kumam – odpowiedziałem.

– Dobrze – powiedziała niskim głosem i zabrała broń. – Załatwisz sprawę z Ray, to ustawię się w szeregu i przeproszę razem ze wszystkimi. Ale do tego czasu jesteś po prostu jeszcze jednym potencjalnym śmieciem, który próbuje ocalić swój stos.

Szybkim tempem pokonaliśmy korytarze, które próbowałem zapamiętać, i weszliśmy do windy identycznej jak ta, którą dostarczono mnie do kliniki. Ponownie liczyłem piętra, a kiedy znaleźliśmy się na parkingu, spojrzenie automatycznie powędrowało w stronę drzwi, za którymi zniknęła Louise. Niewyraźnie pamiętałem tortury – uwarunkowanie Emisariusza świadomie odcinało mnie od tego doświadczenia, by zapobiec traumie – ale nawet gdyby w symulacji trwały kilka dni, w rzeczywistości sprowadzały się do około dziesięciu minut. Prawdopodobnie byłem w klinice nie dłużej niż godzinę, maksymalnie dwie, a ciało Louise może wciąż czekało za tymi drzwiami na nóż, nadal z zapisanym umysłem.

– Wsiadaj do samochodu – rozkazała kobieta.

Tym razem pojazd był większy i bardziej elegancki, przywodził na myśl limuzynę Bancrofta. W przedniej kabinie siedział już pilot, gładko wygolony, w liberii, z kodem kreskowym pracodawcy wytatuowanym nad lewym uchem. Widziałem już trochę takich na ulicach Bay City i zastanawiałem się, czemu ktokolwiek godził się na coś podobnego.

Na Świecie Harlana za żadne skarby nikt poza armią by na to nie pozwolił. Zbyt załatywało to niewolnictwem wczesnych lat Osiedlenia.

W drzwiach tylnego przedziału stał drugi mężczyzna, z przewieszonym niedbale przez ramię pistoletem maszynowym. On również na wygolonej czaszce nosił wypalony kod kreskowy. Syntetyczna kobieta nachyliła się, by porozmawiać z kierowcą,

a ja odpaliłem neurochemię, by ich podsłuchać.

– ...głowa w chmurach. Chcę tam być przed północą.

– Nie ma problemu. Dziś wieczór przybrzeżny wieje lekko i...

Jeden z lekarzy zatrzasnął za mną drzwi, a donośne dzwonięcie metalu przy maksymalnym wzmocnieniu prawie rozwalilo mi bębenki. Usiadłem, w milczeniu dochodząc do siebie do chwili, aż kobieta i gość z pistoletem maszynowym otworzyli drzwi po drugiej stronie i wsiedli obok mnie.

– Zamknij oczy – rozkazała kobieta, wyciągając moją bandanę.

– Zasłonię ci je na kilka minut. Jeśli cię wypuścimy, ci faceci nie chcą, żebyś wiedział, gdzie ich znaleźć.

Rozejrzałem się po oknach.

– Przecież i tak wyglądają na spolaryzowane.

– Jasne, ale trudno powiedzieć, jak dobrą masz neurochemię, nie? Teraz się nie ruszaj.

Zawiązała czerwony materiał z szybkością świadczącą o dużej wprawie i rozciągnęła go trochę, zakrywając mi całe pole widzenia. Wygodniej oparłem się na fotelu.

– Kilka minut. Po prostu siedź cicho i nie próbuj podglądać. Powiem ci, kiedy będziesz mógł to zdjąć.

Pojazd wystartował i prawdopodobnie wyleciał na zewnątrz, bo usłyszałem dzwonięcie deszczu o pancerz. Z tapicerki unosił się delikatny zapach skóry, zdecydowanie przyjemniejszy od odchodów, jakie czułem w drodze do kliniki, a fotel, w którym siedziałem, dostosował kształt do mojego ciała. Chyba nabierałem znaczenia.

– *Wyłącznie tymczasowo, stary.* – Uśmiechnąłem się lekko, gdy z tyłu czaszki zabrzmiał głos Jimmy'ego.

Miał rację. Bez względu na to, z kim mielibyśmy się spotkać, kilka rzeczy nie podlegało dyskusji.

Był to ktoś, kto nie chciał przylatywać do kliniki, nie chciał nawet, by widziano go w pobliżu.

Co oznaczało, że musiał się liczyć, miał władzę, która umożliwiała mu dostęp do danych spoza planety.

Dość szybko dowiedzą się, że Korpus Emisariuszy to tylko

czcza pogrożka, a zaraz potem będę martwy. Naprawdę martwy.

– *To jakby narzuca działanie, stary.*

– *Dzięki, Jimmy.*

Po kilku minutach kobieta powiedziała, że mogę zdjąć opaskę. Zwinąłem ją na czoło i tam zostawiłem.

Siedzący obok mięśniak z pistoletem maszynowym parsknął śmiechem. Przyjrzałem mu się z zaciekawieniem.

– Widzisz w tym coś śmiesznego?

– Owszem.

– Tak – odezwała się kobieta, nie odwracając wzroku od świateł miasta za oknem. – Wyglądasz jak cholerny idiota.

– Nie tam, skąd pochodzę.

Obróciła się i popatrzyła na mnie współczująco. Jesteś na Ziemi, a nie tam, skąd pochodzisz. Spróbuj zachowywać się stosownie.

Przyjrzałem się obojgu. Gość z automatem wciąż chichotał, a syntetyczna przybrała wyraz uprzejmej pogardy. Wzruszyłem ramionami i sięgnąłem, by rozwiązać bandanę. Kobieta na powrót pogрузzyła się w oglądanie świateł miasta pod nami. Stuk deszczu o karoserię umilkł.

Uderzyłem brutalnie z wysokości głowy, w lewo i prawo. Lewa pięść trafiła w skroń mężczyzny z wystarczającą siłą, by złamać kość, więc poleciał na bok z pojedynczym stęknięciem. Nawet nie zdążył dostrzec nadchodzącego ciosu. Prawa ręka wciąż była w ruchu.

Syntetyczna wykręciła się w miejscu, prawdopodobnie szybciej niż byłbym w stanie uderzyć, ale źle zinterpretowała moje zamiary. Uniosła ramię, by zablokować i osłonić głowę, podczas gdy ja sięgałem poniżej zasłony. Zacisnąłem dłoń na blasterze przy jej pasie, odsunąłem bezpiecznik i wypaliłem. Wiązka ożyła, tnąc w dół, rozrywając nogę kobiety i wyrzucając w górę płaty mokrej tkanki, zanim obwód zabezpieczający odciął dopływ energii do broni. Zawyla, bardziej z wściekłości niż bólu, ale wtedy podciągnąłem lufę pistoletu w górę, wyzwalając kolejny strzał na ukos przez jej ciało. Blaster wypalił przez nią

tunel średnicy ramienia, niszcząc też fotel i część karoserii. Całą kabinę zbryzgała krew.

Blaster znów się wyłączył, nagle zrobiło się całkiem ciemno. Leżący obok mnie korpus syntetycznej kobiety zabulgotał i westchnął, a potem jego część z głową oderwała się i przechyliła. Czoło oparło się o okno, przez które jeszcze przed chwilą patrzyła. Wyglądało to tak, jakby chciała je sobie ochłodzić na zmoczonej deszczem szybie. Reszta ciała siedziała sztywno wyprostowana, z potężną, ukośną raną skauteryzowaną na czysto przez plazmę. Całą kabinę wypełniał paskudny odór palonego ciała i smażonego syntetyku.

– Trepp? *Trepp*? – zaszczekał szofer przez interkom.

Starłem krew z oczu i popatrzyłem na ekran do przedniej kabiny.

– Nie żyje – powiedziałem zaskoczonej twarzy i podniosłem blaster. – Oboje nie żyją. A ty będziesz następny, jeśli natychmiast nie posadzisz nas na ziemię.

Szofer wrócił do siebie.

– Jesteśmy pięćset metrów nad zatoką, przyjacielu, i to ja prowadzę ten pojazd. Co proponujesz?

Wybrałem punkt na ścianie dzielącej przedziały pojazdu, wyłączyłem obwód blokujący blastera i osłoniłem twarz jedną ręką.

– Hej, co ty...

Wypaliłem w przedział kierowcy mocno skupioną wiązką. Strumień cząstek wytopił wąską dziurę mniej więcej centymetrowej szerokości, w której przez chwilę strzelały iskry z opierającego się zbrojenia pod plastikiem. Potem iskry zniknęły, a wiązka przebiła się na drugą stronę i usłyszałem, jak w przedniej kabinie strzela coś elektrycznego. Zwolniłem spust.

– Następna pójdzie dokładnie przez twój fotel – obiecałem. – Mam przyjaciół, którzy wsadzą mnie w nową powłokę zaraz po tym, jak wyłowią nas z zatoki. Ciebie potnę na kawałeczki przez tę pieprzoną ściankę, a nawet jeśli nie trafię w stos, dużo czasu zajmie im odnalezienie twoich części. A teraz, *kurwa mać*,

posadź mnie na ziemię.

Limuzyna przechyliła się gwałtownie w bok, obniżając lot. Rozparłem się na fotelu w tej rzeźni i rękawem dokładnie starłem krew z twarzy.

– Tak lepiej – powiedziałem spokojniej. – Wysadzisz mnie teraz przy Mission Street, a jeśli myślisz o wezwaniu pomocy, weź pod uwagę jedno. Jeśli dojdzie do strzelaniny, ty zginiesz pierwszy. Łapiesz? Ty zginiesz pierwszy. Mówię o prawdziwej śmierci. Upewnię się, że wypalę twój stos, nawet gdyby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobię, zanim mnie zdejmą.

Obejrzał się na mnie. Był blady. Wystraszony, ale nie dość. Albo może bardziej bał się kogoś innego. Ktoś, kto oznacza swoich pracowników kodem kreskowym, nie należy chyba do osób, które łatwo wybaczą błędy, a odruch długotrwałego posłuszeństwa w hierarchii zazwyczaj wystarcza, by przełamać strach przed śmiercią w walce. W końcu tak się prowadzi wojny – z żołnierzami, którzy od śmierci na polu bitwy bardziej boją się wyjść z szeregu.

Sam kiedyś taki byłem.

– A co powiesz na to? – zasugerowałem szybko. – Naruszasz przepisy ruchu przy lądowaniu. Pojawiają się gliny, aresztują cię. Nic nie mówisz. Ja znikam, a oni nic na ciebie nie mają poza wykroczeniem drogowym. Twoja historyjka sprowadza się do tego, że jesteś tylko kierowcą, twoi pasażerowie trochę się pokłócili na tylnym siedzeniu. Potem porwałem cię i wymusiłem lądowanie. Tymczasem twój pracodawca ekspresowo cię wyciąga i odbierasz bonus za to, że nie pękłeś w wirtualnym więzieniu.

Przyglądałem się ekranowi. Wyraz jego twarzy się zmienił. Mocno przełknął ślinę. Dość marchewki, czas na kij. Odblokowałem bezpiecznik, uniosłem blaster tak, żeby go widział, i przysunąłem go do karku Trepp.

– Powiedziałbym, że masz się o co targować.

Z tej odległości wiązka blastera odparowałaby kręgosłup, stos i wszystko wokół niego. Odwróciłem się z powrotem do ekranu.

– Twoja decyzja.

Twarz kierowcy wykrzywiła się gwałtownie, po czym limuzyna zaczęła szybko tracić wysokość. Przez okno przyglądałem się ruchowi pojazdów na zewnątrz, potem przechyliłem się i stuknąłem w ekran.

– Nie zapomnij o tym naruszeniu przepisów, dobra?

Przełknął głośno ślinę i kiwnął głową. Limuzyna opadła pionowo przez wyznaczone korytarze ruchu i twardo walnęła o ziemię przy akompaniamencie całego chóru wściekłych syren alarmów kolizyjnych z okolicznych pojazdów. Przez okno rozpoznałem ulicę, którą dzień wcześniej jechałem z Curtisem. Zwolniliśmy.

– Odblokuj drzwi – powiedziałem, wpychając blaster pod kurtkę.

Kolejne nerwowe skiniecie i zamek szczęknął, potem drzwi się rozsunęły. Okręciłem się, słysząc gdzieś w górze nad nami syreny policyjne. Na chwilę napotkałem wzrokiem na ekranie oczy kierowcy i wyszczerzyłem się w uśmiechu.

– Mądry chłopak – powiedziałem i wyskoczyłem z wolno sunącego pojazdu.

Mocno uderzyłem ramieniem w chodnik, przetaczając się między krzykami niezbyt licznych, ale zaskoczonych przechodniów. Przeturlałem się dwukrotnie, walnąłem w kamienną ścianę i ostrożnie podniosłem się na nogi. Przechodząca para gapiała się na mnie, więc uśmiechnąłem się do nich w sposób, który sprawił, że natychmiast przyśpieszyli, uważnie przyglądając się wystawom sklepów.

Poczułem na sobie suchy podmuch gorącego powietrza, gdy radiowóz policji drogowej opadał, by zatrzymać naruszającą przepisy limuzynę. Zostałem w miejscu, odpowiadając wzrokiem ciekawskim spojrzeniom garści przechodniów, którzy zauważyli niezbyt tradycyjny sposób, w jaki pojawiłem się na chodniku. W każdym razie zainteresowanie mną szybko zmalowało. Gapie rozchodzili się, przyciągani przez błyskające światła radiowozu, który unosił się teraz tuż nad nieruchomą limuzyną.

– Wyłącz silniki i nie ruszaj się! – zaszczekały głośniki.

Obok pojazdu tłum szybko gęstniał, ludzie mijali mnie, starając się przecisnąć bliżej i zobaczyć, co się dzieje. Oparłem się o ścianę i sprawdziłem, czy w czasie skoku nie doznałem żadnych uszkodzeń. Sądząc po ustępującym odrętwieniu ramienia i pleców, tym razem zrobiłem to właściwie.

– Unieś ręce nad głowę i odsuń się od pojazdu! – zabrzmiał metaliczny głos policjanta z drogówki.

Nad głowami przechodniów udało mi się dostrzec kierowcę wychodzącego z limuzyny w pozie, jakiej zażyczyli sobie mundurowi. Wyglądał, jakby cieszył się, że żyje. Złapałem się na rozważaniu, dlaczego tego rodzaju wyjście z impasu nie było popularniejsze w kręgach, w których się obracam.

Pewnie brakuje dobrej woli, podsumowałem w myślach.

Cofnąłem się kilka metrów i wmieszałem w tłum, potem odwróciłem się i odszedłem w jasno oświetloną anonimowość nocy w Bay City.

Rozdział piętnasty

„Wszyscy uwielbiają powoływać się na politykę. Jeśli jednak jakiś idiota polityk, jakaś grubsza ryba, próbuje przeforsować działania, które będą krzywdzić ciebie albo osoby, na których ci zależy, WEŹ TO DO SIEBIE. Wkurz się. Nie pomoże ci tu machina sprawiedliwości – jest zimna, powolna i należy do nich, ciałem i duszą. Tylko maluczcy cierpią z rąk Sprawiedliwości. Ludzie władzy prześlizgują się obok z uśmiechem, puszczając oko. Jeśli chcesz sprawiedliwości, będziesz musiał ją z nich wyszarpać. WEŹ TO DO SIEBIE. Zrób tyle szkód, ile możesz. NIECH TWOJE PRZESŁANIE DO NICH DOTRZE. W ten sposób masz większe szanse na to, że następnym razem potraktują cię poważnie. Uznają cię za niebezpiecznego. Nie miej złudzeń: to, że wezmą cię na poważnie, uznają za niebezpiecznego, będzie robiło im różnicę. JEDYNĄ różnicę między graczami a maluczkimi. Z graczami będą negocjować. Maluczkich wyeliminują. Co jakiś czas mydlą oczy jakimś nic niewartym tłumaczeniem, dlaczego musieli wykonać likwidację, przenieść cię w inne miejsce, dlaczego musieli posunąć się do tortur i brutalnej egzekucji. Twierdzą, że to tylko interesy, polityka, tak toczy się świat, życie jest ciężkie i że to NIC OSOBISTEGO. Pieprz ich. Weź to do siebie”.

Quellcrista Falconer

Rzeczy, które powinnam już wiedzieć

tom II

Kiedy wróciłem do Lodowni, nad miastem powoli nastawał chłodny, błękitny świt i wszystko miało śliski, metaliczny połysk pozostały po deszczu. Stałem w cieniach filarów estakady

i przyglądałem się zapuszczonej ulicy w poszukiwaniu jakichś oznak życia. Bardzo potrzebowałem tego uczucia, ale niełatwo było je wzbudzić w zimnym świetle budzącego się dnia. Głowa szumiała mi od błyskawicznego przyswajania danych, a gdzieś na obrzeżach umysłu, niczym usłużny demon, unosił się Jimmy de Soto.

Gdzie się wybierasz, Takeshi?

Siać zniszczenie.

Hendrix nie zdołał dostarczyć mi żadnych informacji na temat kliniki, do której mnie zabrano. Skoro Deck obiecał Azjacie, że przywiezie dysk z moich tortur z drugiego brzegu, przypuszczałem, że musiała leżeć po drugiej stronie zatoki, prawdopodobnie w Oakland, ale nawet dla SI nie była to zbyt pomocna informacja. Cały rejon zatoki był zdominowany przez nielegalną działalność biotechniczną. Musiałem po prostu wrócić po swoich śladach.

Dyskretne Pokoje u Jerry'ego.

Tutaj Hendrix okazał się znacznie bardziej pomocny. Po krótkiej potyczce z niskiej klasy systemami zabezpieczeń wyświetlił na ekranie w moim pokoju rozkład pomieszczeń klubu z biokabinami. Wszystkie piętra, zabezpieczenia, godzinowy rozkład zmian. Przegryzłem się przez to w kilka sekund, napędzany furją, jaka obudziła się we mnie po przesłuchaniu. Wcisnąłem do kabury nemexa i philipsa, przymocowałem nóż Tebbita i wyszedłem przeprowadzić małe, prywatne śledztwo.

Wchodząc do hotelu, nie widziałem żadnego śladu po swoim ogonie, nie dostrzegłem go również, wychodząc. Chyba tak było lepiej dla niego.

Dyskretne Pokoje u Jerry'ego bladym świtem.

Znikła tania aura erotycznej mistyki otaczająca to miejsce nocą. Neon i holoprojekcja zbladły, przyczepione do budynku jak jaskrawa brosza do starej sukni. Spojrzałem posępnie na tańczącą dziewczynę, wciąż uwięzioną w kieliszku koktajlowym, i pomyślałem o Louise, alias Anenome, zadręczonej

torturami na śmierć, z której nie pozwoli jej wrócić religia.

Weź to do siebie.

Ścisnąłem mocniej nemexa. Przechodząc przez ulicę, zarepetowałem go, a towarzyszący temu szczęk metalu rozszedł się dźwięcznie w porannym powietrzu. Zaczynała we mnie wzbierać zimna furia.

Kiedy zbliżyłem się do drzwi, robot poruszył się i wysunął ramię, blokując wejście.

– Zamknięte, przyjacielu – oświadczył syntetyczny głos.

Skierowałem nemexa na nadproże i przestrelilem robotowi kopułkę z procesorem. Osłona mogła zatrzymać naboje o mniejszym kalibrze, ale pociski z nemexa rozwalily ją na kawałki. Z głośniczka generatora mowy strzeliły iskry. Harmonijkowe ramiona ośmiornicy zatrzęsły się spazmatycznie, po czym opadły. Ze strzaskanego korpusu zaczął się wydobywać dym.

Ostrożnie szturchnąłem jedno ze zwisających ramion nemexem, wszedłem do środka i spotkałem wchodzącego po schodach Milo, który pędził sprawdzić źródło hałasu. Na mój widok wybałuszył oczy.

– To ty? Co...

Przestrelilem mu gardło i patrzyłem, jak się przewraca i stacza ze schodów, a potem, gdy próbował się podnieść, umieściłem jeszcze jeden pocisk w jego twarzy. Kiedy schodziłem po schodach, w słabo oświetlonym korytarzu pojawił się drugi goryl, zaskoczony rzucił okiem na ciało i niezgrabnie sięgnął do wsuniętego za pasek blastera. Przedziurawiłem mu dwa razy klatkę piersiową, jeszcze zanim jego palce dotknęły broni.

Na dole zatrzymałem się, lewą ręką wyciągnąłem z kabury pistolet Philipsa i stałem chwilę w ciszy, czekając, aż moje uszy odetkają się po huku wystrzałów. Wciąż grała tu ciężka, rytmiczna muzyka, do której zdążyłem się już przyzwycząić, ale nemex był naprawdę głośny. Po lewej stronie pulsował czerwony blask z korytarza prowadzącego do kabin, po prawej w powietrzu wisiało holo przedstawiające pajęczynę rozpiętą

na konstrukcji z rur i butelek, a na drzwiach za nim świecił napis: BAR. Dane, jakie wcześniej zdobyłem, mówiły o minimalnej ochronie kabin – najwyżej trzech goryli, a o tej porze prawdopodobnie było ich tylko dwóch. Milo i bezimienny mięśniak leżeli pod schodami, co oznaczało, że został co najwyżej jeden. Bar był izolowany akustycznie, podpięty do osobnego systemu nagłośnienia i chroniony przez dwóch do czterech uzbrojonych strażników pełniących równocześnie funkcje barmanów.

Jerry kutwa.

Nasłuchiwałem, podkręcając neurochem. Z korytarza po lewej dobiegł cichy dźwięk otwieranych drzwi i delikatne szuranie stóp kogoś, kto przesuwiał nimi po ziemi w fałszywym przekonaniu, że w ten sposób porusza się ciszej. Z oczami wciąż skierowanymi na drzwi baru wysunąłem philipsa za róg i nie oglądając się, przeciąłem czerwony korytarz serią pocisków. Broń pykała cichutko, jak przy wydmuchiowaniu baniek przez słomkę. Dobiegł mnie głuchy jęk, a potem łomot padającego ciała i trzask uderzającej o podłogę broni.

Drzwi baru nadal były zamknięte.

Wysunąłem głowę i w błyskach czerwonego światła rzucanych przez wirujące lampy zobaczyłem kręłą kobietę w moro. Jedną ręką trzymała się za bok, drugą próbowała sięgnąć do leżącego na podłodze pistoletu. Podszedłem szybko i kopnąłem broń poza jej zasięg, a potem klęknąłem przy niej. Musiała dostać kilka razy; miała krew na nodze i na bluzie. Przystawiłem jej do czoła lufę philipsa.

– Pracujesz dla Jerry’ego w ochronie?

Kiwnęła głową, błyskając białkami wokół rozszerzonych źrenic.

– Jedna szansa. Gdzie on jest?

– Bar – wysyczała przez zęby, walcząc z bólem. – Stół. W kącie z tyłu.

Skinąłem głową, wstałem i starannie wycelowałem między oczy.

– Czekaaj, po...
Philips pyknął.
Zniszczenie.

Stałem właśnie w środku hologramu z pajęczyną i sięgałem ku drzwiom baru, gdy te otworzyły się i znalazłem się twarzą w twarz z Deckiem. Miał jeszcze mniej czasu na reakcję niż wcześniej Milo. Powitałem go najsłabszym z formalnych ukłonów, ledwie odrobinę schylając głowę, po czym uwolniłem przepełniającą mnie furję i strzeliłem do niego kilka razy na wysokości talii – równocześnie z philipsa i nemexa. Od uderzeń pocisków zatoczył się z powrotem przez drzwi, a ja poszedłem za nim, wciąż strzelając.

Było to szerokie pomieszczenie, słabo oświetlone przez punktowe reflektorki i przygaszone, pomarańczowe światła na opustoszałym teraz wybiegu dla tancerek. Wzdłuż jednej ze ścian, zza baru, dochodziło chłodne, błękitne światło, jakby otaczając jakieś mroczne, wiodące w dół schody do raju. Za blatem ścianę zastawiono kolekcją butelek, kranów i różnorakich kurków. Opiekun tego anielskiego stadka spojrzał na Decka, odchylonego do tyłu, rękami podtrzymującego wypadające wnętrzności, i z niemal nadludzką szybkością sięgnął w stronę ukrytej pod barem półki.

Usłyszałem brzęk spadającego szkła, wyciągnąłem nemexa i przybiłem barmana do wystawionych za barem skarbów niby w improwizowanym ukrzyżowaniu. Wisiał tam przez chwilę, dziwnie elegancki, potem obrócił się, a upadając, ściągnął za sobą stojak pełen butelek. Deck też padł, wciąż w ruchu, a zza rogu wybiegu wyłoniła się ciemna, masywna postać z pistoletem. Nadal celując nemexem w stronę baru – nie było czasu na obrót i celowanie – strzeliłem z lekko uniesionego philipsa. Postać stęknęła i zatoczyła się, upuszczając broń i padając na wybieg. Podniosłem i wyprostowałem lewą rękę. Strzał w głowę odrzucił go z powrotem do tyłu.

W rogach pomieszczenia wciąż gasły echa wystrzałów z nemexa.

Dostrzegłem Jerry'ego. Oddalony o jakieś dziesięć metrów, zerwał się na równe nogi. Gdy skierowałem na niego nemexa, znieruchomiał.

– Grzeczny chłopiec. – Neurochem śpiewał jak napięte druty, a po mojej twarzy błąkał się adrenalinowy uśmiech. Gorączkowo liczyłem. Miałem jeszcze jeden pocisk w philipsie i sześć w nemexie. – Zostaw ręce tam, gdzie są, i siadaj. Poruszyś palcem, a odstrzelę ci go w nadgarstku.

Opadł z powrotem na swoje miejsce, mocno się przy tym krzywiąc. Skan peryferyjny donosił, że w pomieszczeniu nie było już nikogo więcej. Ostrożnie przeszedłem nad jęczącym w agonii Deckiem, zwiniętym jak płód wokół swoich rozwalonych wnętrzności. Wciąż kierując nemexa w stronę stołu, przy którym siedział Jerry, opuściłem rękę z philipsem i pociągnąłem za spust.

Deck umilkł.

Widząc to, Jerry eksplodował.

– *Czyś ty, oszalał, Ryker? Przestań! Nie możesz...*

Uniosłem lufę nemexa odrobinę wyżej i albo to, albo coś w mojej twarzy sprawiło, że się zamknął. Nic nie poruszyło się za zasłonami na końcu wybiegu, nic nie drgnęło za barem. Drzwi były zamknięte. Przeszedłem odległość dzielącą mnie od stołu Jerry'ego, kopnąłem stojące przy nim krzesło, obracając je w drugą stronę, i usiadłem na nim okrakiem.

– Wiesz, Jerry – powiedziałem bezbarwnie – powinieneś czasem słuchać ludzi. Już ci mówiłem, że nie nazywam się Ryker.

– Nieważne, kim jesteś, pomyleńcu. Mam znajomości. – W głosie siedzącego przede mną mężczyzny było tyle jadu, że aż zacząłem się zastanawiać, jakim cudem sam się nim nie zadławił. – Jestem podpięty do cholernej maszyny, słyszysz? Zapłacisz za to wszystko. Jeszcze będziesz żałował...

– Że kiedykolwiek cię spotkałem – dokończyłem za niego. Wsunąłem pustego philipsa do fibrorzepowej kabury. – Jerry, ja już tego żałuję. Twój znajomi nie byli dla mnie zbyt mili. Ale chyba nie powiedzieli ci, że wróciłem do obiegu. Ostatnio nie jesteś chyba zbyt blisko z Ray, co?

Przyglądałem się jego twarzy i to imię najwyraźniej nie zrobiło na nim żadnego wrażenia, nie zaskoczyło. Albo bardzo dobrze nad sobą panował, albo rzeczywiście nie miał pojęcia o grubych rybach. Spróbowałem jeszcze raz.

– Trepp nie żyje – rzuciłem od niechcienia. Poruszył oczami, tylko troszeczkę. – Trepp i kilku innych. Chcesz wiedzieć, czemu ty jeszcze żyjesz?

Zacisnął usta, ale nic nie powiedział. Nachyliłem się nad stołem i przysunąłem mu lufę nemexa do lewego oka.

– Zadałem ci pytanie.

– Pierdol się.

Pokiwałem głową i z powrotem wyprostowałem się na krześle.

– Twardziel, co? A więc powiem ci. Potrzebuję informacji, Jerry. Na początek powiedz mi, co się stało z Elizabeth Elliott. To powinno być łatwe. Przypuszczam, że sam ją poharatałeś. Potem chcę się dowiedzieć, kim był Elias Ryker, dla kogo pracowała Trepp i gdzie jest klinika, do której mnie wysłałeś.

– Pierdol się.

– Nie traktujesz mnie poważnie? Czy po prostu masz nadzieję, że pojawią się gliny i ocalą twój stos?

Lewą ręką wyciągnąłem z kieszeni zdobyczny blaster i starannie wymierzyłem w martwego ochroniarza na wybiegu. Leżał blisko, więc wiązka spaliła mu głowę w pojedynczej eksplozji. Przez pokój przetoczył się odór palonego ciała. Patrząc jednym okiem na Jerry'ego, pojeździłem wiązka po okolicy, aż upewniłem się, że zniszczyłem wszystko od ramion w górę. Wtedy wyłączyłem broń i wolno ją opuściłem. Jerry gapił się na mnie przez stół.

– Ty gnoju, on tylko *pracował u mnie jako ochroniarz!*

– Jeśli o mnie chodzi, właśnie trafił na listę zawodów wykluczonych. Decka i pozostałych czeka to samo. I ciebie też, chyba że zdecydujesz się powiedzieć mi to, co mnie interesuje. – Podniosłem blaster. – Jedna szansa.

– *Dobra.* – Słysząc było, że się załamuje. – Dobra, dobra... Elliott chciała szantażować klienta, złapała jakiegoś Mata

z wielkim nazwiskiem i pomyślała, że ma na niego dość gówna, żeby mu zaszkodzić. Głupia cipa chciała mnie wciągnąć do interesu. Wymyśliła sobie, że będę mógł zagiąć tego Mata. Nie miała zielonego pojęcia, w co się pakuje.

– Tak. – Patrzyłem na niego kamiennym wzrokiem. – Przypuszczam, że nie miała.

Złapał moje spojrzenie.

– Hej, człowieku, wiem, co myślisz, ale nie jestem taki. Próbowałem ją ostrzec, więc poszła od razu do niego. Prosto do tego pieprzonego Mata. Myślisz, że chciałem, żeby rozwalili mi lokal i zakopali mnie pod nim? Musiałem coś z nią zrobić, człowieku. Musiałem.

– Posłałeś ją do lodu?

Pokręcił głową.

– Zadzwoń – wyjaśnił przygaszonym tonem. – Tak to tutaj działa.

– Kim jest Ryker?

– Ryker to... – Przełknął ślinę. – Glina. Kiedyś pracował w Kradzieżach Powłok, potem awansowali go do Wydziału Uszkodzeń Organicznych. Pieprzył tę dziwkę, tę, która pojawiła się tu po tym, jak uwalili Oktaia.

– Ortegę?

– Tak, Ortegę. Wszyscy o tym wiedzieli, mówią, że tak właśnie załatwił sobie przeniesienie. Dlatego właśnie pomyśleliśmy, że jesteś... Że on jest z powrotem na ulicy. Kiedy Deck zobaczył, że rozmawiasz z Ortegą, myśleliśmy, że się z kimś dogadała.

– Z powrotem na ulicy? Gdzie był wcześniej?

– Ryker umoczył. – Skoro już raz zaczął mówić, siedł na całym.

– PŚ-nął kilku handlarzy powłok w Seattle...

– PŚ-nął?

– Tak, PŚ-nął. – Jerry zrobił nagle zakłopotaną minę, jakbym zapytał o kolor nieba.

– Nie jestem stąd – przypominałem cierpliwie.

– P.Ś. to naczy *prawdziwa śmierć*. Zrobił z nich miazgę. Kilku innych gości poszło w piach z nieuszkodzonymi stosami, więc

Ryker opłacił jakiegoś hakera, żeby zarejestrował ich jako katolików. Albo coś sknócili, albo odkrył to ktoś w Uszkodzeniach Organicznych i Ryker dostał dwururkę. Dwieście lat, bez ułaskawienia. Mówi się, że Ortega dowodziła oddziałem, który go usadził.

Proszę, proszę. Dla zachęty machnąłem nemexem.

– To tyle, człowieku. To wszystko, co wiem. Tyle, co mówi się na ulicy. Plotki. Słuchaj, Ryker nigdy nie zaglądał w to miejsce, nawet w czasach, gdy pracował w KP. Prowadzę czysty interes. Nigdy go nawet nie spotkałem.

– A Oktai?

Jerry żywo pokiwał głową.

– Zajmował się handlem częściami zamiennymi gdzieś w Oakland. Ty... to znaczy Ryker, strasznie się na niego wziął. Kilka lat temu zakatował go prawie na śmierć.

– Więc Oktai przybiega do ciebie...

– Właśnie. Wpada tu jak szalony, mówiąc, że Ryker tu nad czymś pracuje. Więc oglądamy taśmy z kabin, widzimy, z kim rozmawiałeś...

Jerry umilkł, zdając sobie sprawę, do czego to prowadzi. Znów machnąłem pistoletem.

– I to tyle. – W jego głosie słyszeć było desperację.

– W porządku. – Usiadłem trochę wygodniej i poklepałem się po kieszeniach w poszukiwaniu papierosów, po czym przypomniałem sobie, że żadnych nie mam. – Palisz?

– Czy ja wyglądam jak pieprzony idiota?

– Nieważne. – Westchnąłem. – Co z Trepp? Wyglądała na kogoś, kto jest co najmniej klasę wyżej niż twoje możliwości finansowe. Od kogo ją pożyczyłeś?

– Trepp jest niezależna. Przyjmuje kontrakty. Czasem robi mi przysługi.

– Już nie. Widziałeś kiedyś jej prawdziwą powłokę?

– Nie. Mówi się, że większość czasu trzyma ją w lodzie w Nowym Jorku.

– To daleko stąd?

– Jakąś godzinę suborbitalnym.

Na moje oko lokowało ją to w tej samej lidze co Kadmin. Światowiec, może nawet na poziomie międzyplanetarnym. Gruba ryba.

– A więc co się mówi o jej aktualnym pracodawcy?

– Nie wiem.

Przyjrzałem się lufie blastera, jakby był to marsjański artefakt.

– Jasne, nie wiesz. – Spojrzałem w górę i uśmiechnąłem się do niego blado. – Trepp już nie ma. Pozamiatane. Nie musisz się martwić, że ją sprzedasz.. Martw się mną.

Przez kilka chwil przyglądał mi się buntowniczo, potem opuścił wzrok.

– Słyszałem, że robiła zlecenia dla Domów.

– Dobrze. Teraz opowiedz mi o klinice. Twój wyrafinowani przyjaciele.

Trening Emisariusza powinien utrzymać mój głos bez emocji, ale może zaczynałem być zmęczony, bo Jerry coś w nim usłyszał. Zwilżył wargi.

– Słuchaj, to niebezpieczni ludzie. Wydostałeś się i lepiej to już zostaw. Nie masz pojęcia, co oni...

– Prawdę mówiąc, mam całkiem niezłe pojęcie. – Skierowałem blaster w jego twarz. – Klinika.

– Chryste, to po prostu ludzie, których znam. Partnerzy w interesach. Czasem biorą części zamienne, a ja... – Widząc wyraz mojej twarzy, wycofał się z tego, co chciał powiedzieć. – Robią dla mnie czasem różne rzeczy. To tylko interesy.

Pomyślałem o Louise, alias Anenome, i podróży, którą wspólnie odbyliśmy. Poczułem skurcz mięśnia pod okiem i musiałem użyć całej siły woli, żeby w tej chwili nie pociągnąć za spust. Zamiast tego skupiłem się na kontrolowaniu głosu. Kiedy zacząłem mówić, wyrzucałem z siebie słowa jak maszyna, lepiej niż robot przy drzwiach.

– Pojedziemy na wycieczkę, Jerry. Tylko ty i ja. *Odwiedzimy* twoich partnerów w interesach. I nie próbuj wciskać mi kitu. Sam już wiem, że to po drugiej stronie zatoki. Mam dobrą pamięć

do miejsc. Spróbujesz mnie zmylić, a PŚ-nę cię na miejscu. Kumasz?

Sądząc po wyrazie jego twarzy, zrozumiał.

Ale żeby się upewnić, wychodząc z klubu, zatrzymałem się przy każdym trupie i spaliłem im głowy. Pod wpływem ognia w pomieszczeniu rozszedł się gryzący smród, który towarzyszył nam na zewnątrz, na ulicy, jak cień szалу.

* * *

Jest taka wioska na północnym krańcu archipelagu Millsport, gdzie rybak, który topi się i przeżyje, musi popłynąć do niskiej rafy jakieś pół kilometra od brzegu, napluć w otwarty ocean i wrócić. Sara stamtąd pochodziła i kiedyś, gdy zamelinowani w tanim hotelu na bagnach kryliśmy się przed dosłownie i w przenośni gorącą atmosferą, próbowała mi wyjaśnić powody takiego zachowania. Zawsze brzmiało to dla mnie jak jakieś bzdury w stylu macho.

Teraz, idąc ponownie sterylnym, białym korytarzem kliniki, z lufą własnego philipsa wciśniętą w kark, zacząłem wreszcie rozumieć, jakiej siły potrzeba, żeby z powrotem wejść do wody. Od chwili, gdy wspólnie z Jerrym trzymającym mnie od tyłu na muszce ponownie zjechaliśmy windą na dół, cały czas przechodziły mnie zimne dreszcze. Po Innenin prawie już zapomniałem, co to znaczy śmiertelnie się bać, ale wirtuale stanowiły znaczący wyjątek. Tam nie miałeś żadnej kontroli i dosłownie wszystko mogło się wydarzyć.

Wciąż i wciąż na nowo.

W klinice widać było spore poruszenie. Musiała już do nich dotrzeć wiadomość o tym, co przytrafiło się Trepp, więc twarz człowieka, z którym Jerry rozmawiał za pośrednictwem dyskretnie zamontowanego ekranu przed głównym wejściem, zrobiła się na mój widok kredowo biała.

– Myśleliśmy...

– Nieważne – uciał Jerry. – Otwórz te pieprzone drzwi. Musimy

zabrać tę gnidę z ulicy.

Klinika mieściła się w starym budynku z przełomu tysiącleci. Odnowiono ją w stylu neoindustrialnym, drzwi były pomalowane w czarno-żółtą jodełkę, fasadę ozdabiały rusztowania, a z balkonów zwieszały się fałszywe okablowanie i dźwigi. Drzwi przed nami pękły wzdłuż górnej linii jodełki i bezdźwięcznie rozsunęły się na boki. Zerkając po raz ostatni na ulicę, Jerry wepchnął mnie do środka.

Hol wejściowy również urządzono w stylu neoind; więcej rusztowań przy ścianach i łaty gołych cegieł. Przy końcu czekało dwóch strażników. Gdy się zbliżyliśmy, jeden z nich wyciągnął dłoń, ale Jerry natychmiast na niego naskoczył.

– Nie potrzebuję żadnej cholernej pomocy. To wy pozwoliliście uciec temu gnojowi.

Strażnicy wymienili spojrzenia i wyciągnięta ręka wykonała przepraszający gest. Odeskortowali nas do drzwi windy, która okazała się tym samym dźwigiem towarowym, którym poprzednim razem jechałem z garażu na dachu. Na dole czekała na nas ta sama ekipa medyczna z przygotowanymi środkami usypiającymi. Wyglądali na zdenerwowanych i zmęczonych. Koniec nocnej zmiany. Gdy ta sama pielęgniarka ruszyła, by mnie uśpić, Jerry znów prychnął. Opanował to do perfekcji.

– Ani mi się waż! – Mocniej wcisnął mi w kark philipsa. – On nigdzie nie idzie. Chcę się widzieć z Millerem.

– Prowadzi operację.

– Operację? – Jerry parsknął śmiechem. – Chcesz powiedzieć, że przygląda się, jak maszyna kroi i szyje. Dobra, więc Chung.

Wyczułem wahanie.

– Co? Nie mówcie mi, że wszyscy wasi konsultanci akurat dziś rano pracują na życie.

– Nie, to... – Stojący najbliżej mnie pielęgniarz machnął rękami.

– Nie możemy zabrać go przytomnego. To niezgodne z procedurą.

– Nie pieprz mi tu o procedurze. – Jerry sprawiał wrażenie człowieka, który w każdej chwili może eksplodować

z wściekłości. – A co procedura na to, że wypuściliście tego sukinsyna, nie martwiąc się, ile mnie kosztowało, żeby go tu wysłać? Czy to też przewiduje wasza pieprzona procedura? *Tak?*

Zapadła cisza. Spojrzałem na blaster i nemexa wciśnięte za pas Jerry'ego i oceniłem odległość. Jerry mocniej chwycił mnie za kołnierz i wcisnął mi lufę pod szczękę. Potoczył wzrokiem po lekarzach i odezwał się z rodzajem wymuszonego spokoju.

– Nic z nim nie zrobicie. Rozumiecie? Nie ma czasu na to gówno. Idziemy pogadać z Chungiem. No, ruszcie się.

Kupili to. Każdy by kupił. Zwiększasz nacisk, a większość ludzi ustępuje. Ustępują przed władzą albo człowiekiem z bronią. Ci tutaj byli zmęczeni i wystraszeni. Ekspresowo przeszliśmy przez korytarze i tuż obok sali operacyjnej, w której się obudziłem. Albo innej, bardzo podobnej. Kątem oka dostrzegłem postacie zgromadzone wokół stołu chirurgicznego, nad nim poruszał się pająkowaty autochirurg. Przeszliśmy kilkanaście kroków dalej, kiedy ktoś wyszedł na korytarz za nami.

– Chwileczkę. – Głos był kulturalny, niemal zrelaksowany, ale natychmiast zatrzymał Jerry'ego i medyków.

Odwróciliśmy się twarzami do wysokiego, odzianego w niebieski kitel mężczyzny z umazanymi krwią rękawiczkami chirurgicznymi i maską, którą odciągał teraz wystudiowanym ruchem kciuka i palca wskazującego. Oblicze miał do wyrzygania przystojne: błękitne oczy w ciemnej, lekko kanciastej twarzy, tegoroczny Kompetentny Mężczyzna, dzieło jakiegoś drogiego salonu kosmetycznego.

– Miller – odezwał się Jerry.

– Co tu się właściwie dzieje? Courault – zwrócił się do lekarki – wiesz, że nie należy tu sprowadzać nieuśpionych obiektów.

– Tak jest, sir. Pan Sedaka upierał się, że nie ma żadnego ryzyka. Powiedział, że się śpieszy na spotkanie z dyrektorem Chungiem.

– Nie obchodzi mnie, jak bardzo się śpieszy. – Miller obrócił się w stronę Jerry'ego, podejrzliwie zwężając oczy. – Oszalałeś, Sedaka? Co ty sobie myślisz, że to trasa wycieczkowa? Mam

tu klientów, znane twarze. Courault, natychmiast uśpić tego człowieka.

No cóż. Nie można wiecznie mieć szczęścia.

Już byłem w ruchu. Zanim Courault zdążyła sięgnąć do hiposprayu w kieszeni, zza pasa Jerry'ego wyszarpnąłem nemexa i blaster i zawirowałem, strzelając. Courault i jej dwóch kolegów padli, podziurawieni kulami. Septyczną biel ściany spryskała krew. Miller zdążył krzyknąć z wściekłością, zanim strzeliłem mu w usta z nemexa. Jerry odskoczył ode mnie, w ręku wciąż trzymając nienaładowanego philipsa. Uniosłem blaster.

– Słuchaj, zrobiłem, co, do cholery, chciałeś...

Uwolniłem więzkę i jego głowa eksplodowała.

W nagłej ciszy wróciłem do drzwi sali operacyjnej i wszedłem do środka. Mała grupka nieskazitelnie ubranych kobiet i mężczyzn odsunęła się od stołu, na którym leżała młoda kobieca powłoka. Gapili się na mnie zza masek chirurgicznych. Tylko autochirurg pracował dalej, dokonując precyzyjnych nacięć i starannie, z cichym skwierczeniem kauteryzując rany. Z zestawu niewielkich metalowych naczyń ustawionych obok głowy pacjentki błyskały nieokreślone grudki czerwieni. Przypominało to jak początek jakiegoś wampirzego bankietu.

Kobietą na stole była Louise.

W sali operacyjnej stało pięcioro mężczyzn i kobiet. Zabiłem ich wszystkich, gdy jeszcze się na mnie gapili. Potem strzałami z blastera rozwaliłem na kawałki autochirurga i przeciągnąłem więzką po reszcie sprzętu w sali. Ze wszystkich stron zawyły alarmy. Przy akompaniamencie tych dźwięków przeszedłem się po sali i zafundowałem wszystkim obecnym prawdziwą śmierć.

Na zewnątrz wyło jeszcze więcej alarmów. Dwoje z ekipy medycznej wciąż żyło. Courault udało się odczołgać kilka metrów, znaczyła przy tym drogę szerokim śladem własnej krwi, a jeden z jej kolegów, zbyt słaby, by pełznąć, próbował usiąść, opierając się o ścianę. Podłoga była śliska, więc wciąż się osuwał. Zignorowałem go i poszedłem za kobietą. Słyszając moje kroki,

zatrzymała się, obejrzała, a potem gorączkowo próbowała czołgać się dalej. Przydepnąłem ją między łopatkami, a potem kopnięciem odwróciłem ją na plecy.

Przyglądaliśmy się sobie przez dłuższą chwilę. Wydobywałem z pamięci jej niewzruszoną twarz, kiedy usypiała mnie tego wieczora. Uniosłem blaster tak, żeby go widziała.

– Prawdziwa śmierć – powiedziałem i pociągnąłem za spust.

Podszedłem z powrotem do ostatniego lekarza, który widział, co zaszło i teraz desperacko czołgał się do tyłu. Przykucnąłem przed nim. Wycie alarmów przybierało na sile i słabło, jak krzyk zgubionych dusz.

– Jezu Chryste – wyjęczał, kiedy skierowałem blaster w jego twarz. – Jezu Chryste, ja tu tylko *pracuję*.

– To wystarczy – odpowiedziałem.

W hałasie alarmów strzał był prawie niesłyszalny.

Szybko zająłem się w ten sam sposób trzecim medykiem, trochę więcej czasu poświęciłem Millerowi. Ściągnąłem marynarkę z bezgłowego korpusu Jerry'ego, wciskając ją sobie pod ramię. Potem podniosłem pistolet Philipsa, schowałem go do kabury i wyszedłem. Po drodze zabiłem każdego, kogo spotkałem, stapiając stosy na żużel.

Wziąłem to do siebie.

Kiedy wyszedłem głównymi drzwiami i nieśpiesznie ruszyłem ulicą, policja lądowała na dachu. Marynarka, którą trzymałem pod pachą, zaczynała przesiąkać krwią wyciekającą z głowy Millera.

CZĘŚĆ 3

Sojusz (Aktualizacja oprogramowania)

Rozdział szesnasty

W ogrodach Suntouch House było cicho i słonecznie, a powietrze pachniało przyciętym trawnikiem. Z kortów tenisowych dobiegały ciche odgłosy gry, usłyszałem nawet uniesiony w podnieceniu głos Miriam Bancroft. Błysk opalonych nóg pod śnieżnobiałą spódniczką i strzelająca w powietrze chmurka pomarańczowego pyłu w miejscu, gdzie piłeczka uderzyła w kort po stronie przeciwnika. Uprzejmy szmer aplauzu na widowni. Zszedłem w stronę kortu, obstawionego przez mocno uzbrojonych strażników o twarzach bez wyrazu.

Gracze akurat robili sobie przerwę; stopy mocno zaparte w nawierzchnię przed krzesłkami, nisko opuszczone głowy. Słyszając chrzęst moich kroków na żwirze otaczającym kort, Miriam Bancroft uniosła wzrok i spojrzała mi w oczy przez opadające jej na twarz włosy. Nic nie powiedziała, ale zaczęła zmysłowo przesuwając dłonią po rączce rakiety, uśmiechając się do mnie spod zmrużonych oczu. Jej przeciwnikiem, który też na mnie spojrzał, był szczupły młodzieniec mający w sobie coś, co sugerowało, że w jego ciele może mieścić się równie młoda osobowość. Wyglądał dziwnie znajomo.

Bancroft siedział pośrodku rzędu leżaków, mając po prawej Oumou Prescott, a po lewej mężczyznę i kobietę, których nigdy nie widziałem. Nie wstał, kiedy podszedłem. Prawdę mówiąc, ledwie mnie zauważył. Wskazał dłonią leżak obok Prescott.

– Siadaj, Kovacs. To ostatni set.

Zmusiłem mięśnie twarzy do uśmiechu, oparłem się pokusie wkopania mu zębów do gardła i opadłem na krzesło. Oumou Prescott nachyliła się w moją stronę i osłaniając dłonią usta, wyszeptała:

– Pan Bancroft musiał się dzisiaj kontaktować z policją w pana

sprawie. Jest pan mniej subtelny, niż oczekiwaliśmy.

– Dopiero się rozgrzewam – wymamrotałem w odpowiedzi.

Po najwyraźniej uzgodnionym z góry czasie Miriam Bancroft i jej przeciwnik zrzucili z siebie ręczniki i zajęli miejsca na korcie. Rozparłem się wygodnie i obserwowałem grę, z oczami utkwionymi głównie w sprężystym, przesuwającym się i napinającym pod białą bawełną ciele kobiety. Raz, tuż przed serwem podchwyciła moje spojrzenie lekko rozbawiona. Wciąż czekała na moją odpowiedź i teraz wydawało jej się, że ją dostała. Po zaciętej walce skończyli mecz wynikiem, którego nie dało się uniknąć, więc zeszła z kortu rozpromieniona.

Kiedy podszedłem z gratulacjami, rozmawiała z nieznaną mi parą. Zauważyła mnie i obróciła się, gestem zapraszając do dołączenia do niewielkiej grupki.

– Pan Kovacs. – Minimalnie rozszerzyła oczy. – Podobało się panu?

– Bardzo – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Jest pani bezlitosna.

Przechyliła głowę i jedną ręką zaczęła wycierać ręcznikiem prze poczone włosy.

– Tylko, kiedy to konieczne – odrzekła. – Oczywiście, nie zna pan Nalan ani Josepha. Nalan, Joseph, to Takeshi Kovacs, Emisariusz wynajęty przez Laurensa do śledztwa w sprawie jego morderstwa. Pan Kovacs pochodzi spoza planety. Panie Kovacs, to Nalan Ertkin, Sędzia Główny Sądu Najwyższego ONZ, i Joseph Phiri z Komisji Praw Człowieka.

– Jestem zaszczycony. – Wykonałem krótki, formalny ukłon. – Przypuszczam, że będą państwo rozmawiać o Rezolucji 653.1.

Urzednicy wymienili spojrzenia, potem Phiri kiwnął głową.

– Jest pan bardzo dobrze poinformowany – powiedział poważnie. – Dużo słyszałem o Korpusie Emisariuszy, ale i tak jestem pod wrażeniem. Od jak dawna jest pan na Ziemi?

– Około tygodnia. – Przesadziłem, mając nadzieję na osłabienie zwyczajowej paranoi, jaką urzednicy wykazywali wobec Emisariuszy.

– Tydzień, tak. Naprawdę, robi wrażenie. – Phiri był postawnym czarnym mężczyzną po pięćdziesiątce, z lekko siwiejącymi włosami i uważnymi, brązowymi oczami. Podobnie jak Nyman, snobował się, nosząc zewnętrzne soczewki, ale o ile szkła Nymana miały powiększać płaszczyzny jego twarzy, ten mężczyzna nosił okulary, by odwracać uwagę od swoich rysów. Ciężkie oprawki nadawały mu wygląd roztrzepanego urzędniczyny, a tak naprawdę nic nie umykało jego uwadze.

– I robi pan postępy w śledztwie? – zapytała mnie Ertkin, przystojna Arabka, kilka dekad młodsza od Phiri, a więc przynajmniej w drugiej powłoce.

Uśmiechnąłem się do niej.

– Trudno zdefiniować postęp, szanowna pani. Jak by to powiedziała Quell: *Przynoszą mi raporty o postępach, ale wszystko, co widzę, to zmiany i płonące ciała.*

– Ach, więc jest pan ze Świata Harlana – zauważyła uprzejmie.
– A czy uważa się pan za quellistę, panie Kovacs?

Pozwoliłem sobie na uśmiech.

– Okazjonalnie. Powiedziałbym, że miała trochę racji.

– Szczerze mówiąc, pan Kovacs był dość zapracowany – wtrąciła się Miriam Bancroft. – Przypuszczam, że mają z Laurenssem wiele do omówienia. Może lepiej będzie, jeśli ich zostawimy?

– Tak, oczywiście. – Ertkin obróciła głowę. – Może później porozmawiamy.

Cała trójka udała się składać wyrazy współczucia przeciwnikowi Miriam, który wciskał rakieta i ręcznik do torby tak, jakby wyładowywał swój żal po porażce. Mimo umiejętności dyplomatycznych gospodyni Nalan Ertkin nie wydawała się zbyt przejęta tym, co właśnie ode mnie usłyszała. Poczulem dla niej chwilowy przypływ podziwu. Powiedzieć urzędnikowi praktycznie rządzącego Protektoratem ONZ, że jest się quellistą, to trochę jak przyznać się na obiedzie wegetariańskim do dokonania rytualnej rzezi. Takich rzeczy po prostu się nie robi.

Odwrociłem się i odkryłem, że tuż za moimi plecami stała Oumou Prescott.

– Możemy? – zapytała ponuro i wskazała w stronę domu.

Bancroft już szedł w tamtą stronę. Poszliśmy za nim z, moim zdaniem, niepotrzebnym pośpiechem.

– Jedno pytanie – udało mi się wydyszeć. – Kim jest ten dzieciak? Ten rozgromiony przez panią Bancroft.

Prescott rzuciła mi niecierpliwe spojrzenie.

– Wielka tajemnica, co?

– Nie, panie Kovacs, to nie tajemnica. Po prostu uważam, że mógłby się pan zająć czymś bardziej produktywnym niż wypytywanie o gości państwa Bancroftów. Jeśli koniecznie musi pan wiedzieć, drugim graczem był Marco Kawahara.

– No proszę. – Przypadkiem wszedłem w sposób mówienia Phiri. Podwójna punktacja za osobowość. – A więc wiem wreszcie, skąd znam tę twarz. Uderzające podobieństwo do matki, prawda?

– Naprawdę nie wiem – stwierdziła Prescott niechętnie. – Nigdy nie spotkałam pani Kawahary.

– Szczęściara.

Bancroft czekał na nas w egzotycznej, oszklonej werandzie wzniesionej przy skierowanym w stronę wybrzeża skrzydle domu. Szklane ściany pozwalały dostrzec wewnątrz mieszankę obcych kolorów i kształtów, między którymi wyłowilem młode drzewo lustrzane i liczne łodygi męczennicy. Bancroft stał obok jednej z tych ostatnich, rozpylając na nią ostrożnie biały, metaliczny pył. Niewiele wiedziałem o męczennicy poza tym, że wykorzystuje się ją w celach ochronnych, więc nie miałem pojęcia, co to za proszek.

Kiedy weszliśmy, Bancroft obrócił się w naszą stronę.

– Proszę nie podnosić głosu. – W pochłaniającym dźwięki otoczeniu jego słowa zabrzmiały dziwnie płasko. – Na tym etapie rozwoju męczennica jest bardzo wrażliwa. Przypuszczam, że nie jest panu obca, panie Kovacs?

– Nie. – Zerknąłem na liście w kształcie dłoni, z biegnącymi

centralnie czerwonymi smugami, od których pochodziła nazwa rośliny. – Jest pan pewien, że są dojrzałe?

– Całkowicie. Na Adoracion rosną większe, ale te zostały zmodyfikowane dla mnie w Nakamurze. Jest tu równie bezpiecznie, jak w kabinie Nilvibe, a zarazem – wskazał w stronę trzech foteli na stalowych ramach – znacznie wygodniej.

– Chciał się pan ze mną widzieć – przerwałem niecierpliwie. – W jakiej sprawie?

Na krótką chwilę spoczęło na mnie spojrzenie czarnych oczu i poczułem siłę Bancroftowych trzystu pięćdziesięciu lat. Miałem wrażenie, jakbym spojrzał w oczy demona. Na tę jedną sekundę przez jego oczy wyjrzała dusza Mata i zobaczyłem w nich odbicie miliardów zwykłych, pojedynczych żyć, których koniec wyglądał jak blade błyski ciem spalających się w ogniu. Tylko raz przeżyłem coś takiego, to było wtedy, gdy sprzeciwiłem się Reileen Kawaharze. Czułem płomienie na końcach skrzydeł.

Potem wszystko minęło i znów był tylko Bancroft. Podeszedł do stolika, odstawił spray i usiadł w fotelu. Spojrzał w górę, czekając, aż usiądę. Kiedy tego nie zrobiłem, splótł palce i zmarszczył czoło. Między nami wyczekująco stała Oumou Prescott.

– Panie Kovacs, zdaję sobie sprawę, że zgodnie z warunkami naszego kontraktu zgodziłem się pokryć wszystkie rozsądne koszty w ramach tego śledztwa, ale kiedy to mówiłem, nie spodziewałem się opłacania szlaku świadomych uszkodzeń organicznych od jednego końca Bay City do drugiego. Większość ranka spędziłem, przekupując zarówno triady Zachodniego Wybrzeża, jak i policję Bay City, choć ani jedni, ani drudzy nie byli do mnie zbyt przyjaźnie nastawieni, jeszcze zanim zaczął pan tę rzeź. Zastanawiam się, czy zdaje pan sobie sprawę, ile kosztuje mnie utrzymanie pana przy życiu i poza przechowalnią.

Rozejrzałem się po werandzie i wzruszyłem ramionami.

– Przypuszczam, że stać pana na to.

Prescott drgnęła. Bancroft pozwolił sobie na lekki uśmiech.

– Być może, panie Kovacs, nie mam ochoty już za to płacić.

– To zakończ całą sprawę!

Męczennica wyraźnie zadygotała na nagłą zmianę tonu. Nie obeszło mnie to. Nie miałem nastroju, by bawić się w eleganckie gierki Bancrofta. Byłem zmęczony. Jeśli nie liczyć krótkiego okresu utraty świadomości w klinice, byłem na nogach ponad trzydzieści godzin, a nerwy zszargał mi neurochem. Miałem za sobą strzelaninę. Uciekłem z lecącego pojazdu. Poddawano mnie procedurom przesłuchania, które u większości istot ludzkich wywołałyby traumę do końca życia. Popełniłem wielokrotne morderstwo w walce. I właśnie kładłem się do łóżka, kiedy mimo zakazu połączeń Hendrix przepuścił wezwanie na dwór Bancrofta, cytuję: *w interesie zachowania dobrych stosunków z klientem i zapewnienia nieustającego statusu gościa*. Ktoś kiedyś będzie musiał dokonać przeglądu antycznego słownictwa branży hotelarskiej, którym posługiwał się hotel. Właśnie o tym pomyślałem, kiedy zabrzączał telefon, ale moje rozdrażnienie szybko zamieniło się w furję, kiedy usłyszałem Bancrofta.

Wściekłość sprawiła, że nie zignorowałem jego wezwania i nie położyłem się z powrotem do łóżka, tylko pojechałem do Suntouch House ubrany w te same rzeczy, które miałem na sobie od wczoraj.

– Przepraszam, panie Kovacs? – Oumou Prescott wpatrywała się we mnie z napięciem. – Czy pan sugeruje...

– Nie, nie sugeruję. Grożę! – Przeniosłem wzrok na Bancrofta. – Nie prosiłem, żebyś mnie wciągał w ten pieprzony korowód zaprzeczeń. Ściągnąłeś mnie tu, Bancroft. Wyciągnąłeś z przechowalni na Świecie Harlana i wsadziłeś w powłokę Eliasa Rykera tylko po to, żeby wkurzyć Ortegę. Wysłałeś mnie w świat, podając zaledwie kilka drobnych sugestii, i przyglądałeś się, jak obijam się na ślepo, potykając o twoje stare grzechy. Dobra, jeśli nie chcesz się już bawić, bo zrobiło się trochę goręcej, to w porządku. Mam dość ryzykowania swoim stosem dla takiej kupy gówna jak ty. Wsadź mnie do skrzynki, a zacznę na nowo za sto siedemnaście lat. Może dopisze mi szczęście i ktoś, kto chce cię

dorwać, wymaże cię do tego czasu z powierzchni ziemi.

Musiałem oddać swoją broń przy głównym wejściu, ale czułem, że w miarę jak mówiłem, moje ciało coraz silniej poddawało się niebezpiecznemu trybowi bojowemu Emisariusza. Jeśli demon Mata powróci i zacznie szaleć, wyduszę z Bancrofta życie tu i teraz, i sprawi mi to cholerną przyjemność.

Co ciekawe, wyglądało na to, że moja przemowa dała mu do myślenia. Wysłuchał mnie, przechylając głowę, jakby się zgadzał, a potem zwrócił się do Prescott.

– Mogłabyś na chwilę zostawić nas samych, Ou? Musimy z panem Kovacsem porozmawiać o pewnych sprawach na osobności.

Prescott nie wyglądała na przekonaną.

– Mam postawić strażnika przed drzwiami? – zapytała, rzucając mi ostre spojrzenie.

Bancroft pokręcił głową.

– Jestem pewien, że nie będzie to konieczne.

Prescott wyszła, wciąż pełna wątpliwości, podczas gdy ja próbowałem zwalczyć w sobie podziw dla opanowania Bancrofta. Właśnie usłyszał, że z przyjemnością wrócę do przechowalni, od samego początku widział sygnały wysyłane przez moje ciało i wciąż uważał, że zna mnie dostatecznie dobrze, by wiedzieć, czy stwarzam zagrożenie, czy nie.

Usiadłem. Może miał rację.

– Musi mi pan wyjaśnić kilka spraw – powiedziałem płasko. – Może pan zacząć od powłoki Rykera. Dlaczego pan to zrobił i czemu to przede mną ukrył.

– Ukrył? – Bancroft uniósł brwi. – Ledwie o tym wspomniałem.

– Powiedział mi pan, że zostawił wybór powłoki swoim prawnikom. Specjalnie pan to podkreślił. Natomiast Prescott upiera się, że to pan osobiście dokonał wyboru. Powinien był pan lepiej wprowadzić ją w swoje kłamstwa.

– Cóż... – Bancroft wykonał gest poddania. – Powiedzmy, że to odruchowa ostrożność. Prawdę mówi się tak niewielu ludziom, że z czasem kłamstwo wchodzi w nawyk. Ale nie

miałem pojęcia, że będzie to dla pana takie ważne. Biorąc pod uwagę pańską karierę w Korpusie i czas spędzony w przechowalni... Zawsze przejawia pan takie zainteresowanie historią nowej powłoki?

– Nie. Ale od kiedy tu przybyłem, Ortega krąży wokół mnie jak mucha wokół gnoju. Myślałem, że to dlatego, że ma coś do ukrycia. Okazuje się, że po prostu próbuje chronić powłokę przyjaciela, kiedy on siedzi w przechowalni. Czy przypadkiem zadał pan sobie trud, żeby sprawdzić, dlaczego Ryker poszedł w odstawkę?

Tym razem wykonał gest wyrażający lekceważenie.

– Oskarżenie o korupcję. Nieusprawiedliwione uszkodzenia organiczne i próba sfalszowania danych osobowych. Z tego, co wiem, nie było to jego pierwsze wykroczenie.

– Zgadza się. Prawdę mówiąc, był z tego znany. Bardzo znany i bardzo nie lubiany, zwłaszcza w miejscach takich jak Lodownia, gdzie właśnie spędziłem trochę czasu, podążając tropem pańskiego ciekącego fiuta. Ale jeszcze do tego wrócimy. Chcę wiedzieć, czemu pan to zrobił. Dlaczego noszę powłokę Rykera?

Słyszając zniewagę, Bancroft błysnął oczami, ale tak naprawdę był zbyt dobrym graczem, żeby się rzucać. Zamiast tego trzepnął prawym mankietem w geście dyslokacji, który rozpoznałem z podstaw dyplomacji, i uśmiechnął się lekko.

– Naprawdę, nie miałem pojęcia, że okaże się to kłopotliwe. Chciałem wyposażać pana w odpowiednią zbroję, a ta powłoka posiada...

– *Czemu Ryker?*

Chwila ciszy. Maci nie należą do osób, którym można swobodnie przerwać. Bancroftowi ciężko przychodziło pogodzenie się z takim brakiem szacunku. Pomyślałem o drzewie za kortami tenisowymi. Gdyby była tu Ortega, niewątpliwie biłaby mi brawo.

– Ruch taktyczny, panie Kovacs. Po prostu ruch.

– Ruch? Przeciw Ortedze?

– Tak jest. – Bancroft głębiej zanurzył się w fotel. – Porucznik

Ortega dość jasno wyraziła swoje uprzedzenia, kiedy tylko weszła w progi tego domu. Od samego początku odmawiała współpracy. Nie miała do mnie ani krzty szacunku. Zapamiętałem to sobie i uznałem, że powinienem wyrównać rachunki. Kiedy na liście powłok, jaką dostarczyła mi Oumou, pojawiło się nazwisko Eliasa Rykera z adnotacją, że hipotekę za niego płaci Kristin Ortega, potraktowałem to jak zrządzenie losu. Ten ruch sam się nasunął.

– Nie wydaje się panu, że to trochę dziecinne, jak na kogoś w pana wieku?

– Być może. – Bancroft przechylił głowę. – Ale z drugiej strony, przypomina pan sobie zapewne generała MacIntyre z Dowództwa Emisariuszy, rezydenta Świata Harlana; tego, którego znaleziono z wyprutymi flakami i odciętą głową w prywatnym samolocie rok po masakrze na Innenin?

– Z grubsza. – Zrobiło mi się zimno, bo bardzo dokładnie pamiętałem tamtą sprawę. Ale jeśli Bancroft może udawać zimnego, to i ja potrafię.

– Z grubsza? – Bancroft uniósł brwi. – Sądziłem, że weteran Innenin nie mógłby nie pamiętać śmierci dowódcy, który doprowadził do tej klęski. Wielu twierdziło, że to jego zaniedbania doprowadziły do tylu prawdziwych śmierci.

– MacIntyre został oczyszczony z zarzutów przez Komisję Śledczą Protektoratu – powiedziałem cicho. – Chce pan coś zasugerować?

– Tylko tyle, że jego śmierć wyglądała na zemstę pomimo werdyktu ogłoszonego przez sąd. – Bancroft wzruszył ramionami. – Prawdę mówiąc, działanie całkowicie bezsensowne, skoro jego śmierć nie mogła przywrócić życia tym, którzy zginęli. Dziecinne zachowania to grzech dość powszechny wśród ludzi. Może nie powinniśmy zbyt chętnie osądzać innych.

– Może nie. – Podniosłem się. Stałem w drzwiach werandy i wyjrzałem na zewnątrz. – Więc proszę nie traktować mojego pytania w tych kategoriach, ale czemu właściwie nie powiedział mi pan, że spędził tyle czasu w burdelu?

– Ach, ta mała Elliott. Tak, Oumou powiedziała mi o tym. Naprawdę sądzi pan, że jej ojciec miał coś wspólnego z moją śmiercią?

Odwróciłem się z powrotem.

– Już nie. Prawdę mówiąc, jestem przekonany, że nie miał o niczym pojęcia. Ale zmarnowałem mnóstwo czasu, żeby się o tym przekonać.

Bancroft odpowiedział spokojnym spojrzeniem.

– Przykro mi, panie Kovacs, że nie wprowadziłem pana we wszystkie szczegóły. To prawda, że część czasu przeznaczonego na rozrywkę spędzam, rozładowując się seksualnie za pieniądze, zarówno w rzeczywistości, jak i wirtualnie. Albo, jak pan to zgrabnie ujął, w burdelach. Nie uznałem tego za szczególnie istotne. Podobnie oddaję się hazardowi. Czasami również walczę na noże w stanie nieważkości. Wszystko to mogło przysporzyć mi wrogów, jak zresztą większość moich interesów. Uznałem, że pański pierwszy dzień w nowej powłoce na nowej planecie nie najlepiej nadaje się na spowiedź. Gdzie według pana miałem zacząć? Zamiast tego, przedstawiłem panu zarys zbrodni i zasugerowałem rozmowę z Oumou. Nie spodziewałem się, że tak ostro ruszy pan już za pierwszą poszlaką. Podobnie jak nie spodziewałem się, że będzie pan niszczył wszystko na swojej drodze. Powiedziano mi, że Emisariusze Korpusu mają reputację *subtelnych*.

Jeśli podejść do tego w ten sposób, miał trochę racji. Virginia Vidaura byłaby wściekła, pewnie stałaby teraz za Bancroftem, czekając, by udupić mnie za totalny brak finezji. Z drugiej strony, ani ona, ani Bancroft nie patrzyli w twarz Victora Elliotta tej nocy, kiedy opowiadał mi o swojej rodzinie. Przełknąłem ostrą odpowiedź i zebrałem do kupy informacje, usiłując zdecydować, ile mu ujawnić.

– Laurens? – Miriam Bancroft stała tuż przed werandą, z ręcznikiem owiniętym wokół głowy i rakietą wepchniętą pod ramię.

– Miriam. – W głosie Bancrofta zabrzmiał szczery szacunek, ale

nie usłyszałem nic poza nim.

– Zabieram Nalan i Josepha na Tratwę Hudsona, na lunch pod wodą. Joseph nigdy jeszcze tego nie robił i dał się namówić. – Powiodła spojrzeniem od Bancrofta do mnie i z powrotem. – Pojedziesz z nami?

– Może później – odpowiedział. – Gdzie będziecie?

– Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam. – Wzruszyła ramionami. – Gdzieś na pokładzie od sterburty. Może w Bentonie?

– Dobrze. Dołączę do was. Upoluj mi jakąś dobrą rybę.

– Tak jest. – Zasalutowała kantem dłoni, co rozbawiło nas obu. Wzrok Miriam wyostrzył się i spoczął na mnie. – Lubi pan owoce morze, panie Kovacs?

– Prawdopodobnie. Jak dotąd, nie miałem czasu na zapoznanie się z miejscową kuchnią, pani Bancroft. Na razie jadłem tylko to, co oferuje hotel.

– Cóż. Kiedy już pan je polubi – powiedziała znacząco – może pana też tam zobaczymy?

– Raczej wątpię.

– Cóż... – powtórzyła lekko. – Spróbuj się trochę pośpieszyć, Laurens. Będę potrzebowała pomocy, żeby utrzymać Marco z dala od Nalan. Swoją drogą, marudzi.

– Wcale mnie to nie dziwi, biorąc pod uwagę, jak grał – prychnął Bancroft. – Przez chwilę myślałem, że robi to specjalnie.

– Nie w ostatnim secie – wtrąciłem się.

Bancroftowie skupili na mnie wzrok, on z nieprzeniknionym obliczem, ona z głową przechyloną na bok i szerokim uśmiechem, który nadał jej prawie dziecinny wygląd. Napotkałem jej wzrok, a ona uniosła rękę, by niepewnie dotknąć włosów.

– Curtis odwiezie limuzynę z powrotem – powiedziała. – Muszę iść. Miło było znów pana spotkać, panie Kovacs.

Obaj przyglądaliśmy się, jak sunie przez trawnik, ze spódniczką tenisową podskakującą w przód i w tył. Nawet biorąc poprawkę na oczywistą obojętność Bancrofta wobec

wdzięków żony, jak na mój gust gra słów Miriam szła trochę zbyt daleko. Musiałem czymś zapęłnić ciszę.

– Proszę mi coś powiedzieć, panie Bancroft – powiedziałem ze wzrokiem wciąż utkwionym w oddalającą się postać. – Nie chciałbym pana obrazić, ale czemu ktoś, kto się z nią ożenił, kto wybrał życie małżeńskie, spędza czas na, cytuję: *rozładowywaniu seksualnym* za pieniądze?

Odwróciłem się od niechcenia i stwierdziłem, że przygląda mi się z twarzą bez wyrazu. Przez kilka sekund siedział w milczeniu, a kiedy się odezwał, starannie oczyścił głos z wszelkich emocji.

– Doszedłeś kiedyś kobiecie w twarz, Kovacs?

Blokowania szoku kulturowego uczą w Korpusie bardzo wcześnie, ale czasem zdarza się, że uderzenie przebije się przez osłony i rzeczywistość wokół ciebie sprawia wrażenie układanki, której elementy zupełnie do siebie nie pasują. Ledwie zdążyłem odwrócić wzrok.

Ten człowiek, starszy niż cała historia ludzi na mojej planecie, zadawał mi takie pytanie. I to tak, jakby chciał wiedzieć, czy kiedyś bawiłem się pistoletem na wodę.

– Hm.... Tak. To, hm, zdarza się, jeśli...

– Kobiecie, której zapłaciłeś?

– No cóż, zdarzało się. Nie specjalnie. Ja... – Przypomniałem sobie radosny śmiech jego żony, kiedy wystrzeliłem jej do ust, kiedy zobaczyłem spernę ściekającą po jej palcach jak piana z otwartej butelki szampana. – Tak naprawdę to nie pamiętam. Nie podniecam się szczególnie czymś takim...

– Ani ja – rzucił ostro, z trochę zbyt dużym naciskiem. – Podałem to wyłącznie jako przykład. W nas wszystkich kryją się pragnienia, które powinny zostać stłumione i których nie da się zrealizować w cywilizowanym kontekście.

– Jakoś nie wierzę w cywilizację jako przeciwwagę do rozlewania nasienia.

– Pochodzisz z innego świata – rzucił z namysłem Bancroft. – Ze świeżej, młodej kultury kolonialnej. Nie możesz wiedzieć, jak

uksztaltowały nas tu, na Ziemi wieki tradycji. Młodzi duchem, śmiali i żądni przygód... Wszyscy odlecieli tłumnie na tych statkach. Zachęcano ich do drogi. Zostali beznamiętni, posłuszni, ograniczeni. Widziałem to i cieszyłem się, ponieważ dzięki temu łatwiej było mi stworzyć imperium. Teraz zastanawiam się, czy było to warte ceny, jaką zapłaciliśmy. Kultura zjada własny ogon, zmagając się z normami społecznymi, trzymając się tego, co stare i znajome. Surowa moralność, surowe prawo. Deklaracje ONZ konserwujące globalny konformizm sprawiły, że pojawił się – machnął dłonią – rodzaj kulturalnego kaftana bezpieczeństwa. Wobec wrodzonego strachu przed tym, co może nadejść z kolonii, powołano Protektorat, gdy statki wciąż jeszcze były w drodze. Kiedy pierwsze z nich wylądowały, ich pasażerowie obudzili się w gotowej tyranii.

– Mówi pan, jakby był poza tym. Nie wierzę, że przy takiej wizji nie udało się panu wywalczyć własnej wolności.

Bancroft uśmiechnął się krzywo.

– Kultura jest jak smog. Żeby w niej żyć, musisz nią oddychać i, co jest nieuniknione, zostać skażonym. Zresztą, co oznacza w tym kontekście „wolny”? Swobodę spryskiwania nasieniem twarzy i piersi własnej żony? Swobodę sprawiania, by masturbowała się przede mną, swobodę dzielenia się jej ciałem z innymi mężczyznami i kobietami? Dwieście pięćdziesiąt lat to dużo czasu, panie Kovacs. Dość czasu na bardzo długą listę brudnych myśli i upokarzających fantazji osadzających się w umyśle i pobudzających hormony każdej z nowych powłok. Równocześnie wyższe uczucia stają się coraz czystsze i bardziej wyrafinowane. Czy ma pan pojęcie, co dzieje się z więzami emocjonalnym przez tyle czasu?

Otworzyłem usta, ale uniósł obie dłonie, by mnie uciszyć, więc się poddałem. Nie co dzień ma się szansę wysłuchania zwierzeń człowieka żyjącego kilka wieków, a Bancroft otworzył się na całego.

– Nie – odpowiedział na własne pytanie. – Zresztą, skąd? Podobnie jak pańska kultura jest zbyt płytka, by docenić, co to

znaczy żyć na Ziemi, tak samo pańskie doświadczenia życiowe nie wystarczają, by ogarnąć, co znaczy kochać tę samą osobę przez dwieście pięćdziesiąt lat. Jeśli się wytrwa, jeśli pokona się pułapki znudzenia i samozadowolenia, na koniec nie sposób mówić o miłości, bo przeradza się ona prawie w uwielbienie. Jak wtedy połączyć szacunek z ohydnyymi pragnieniami powłoki, jaką się w danej chwili nosi? Mówię panu, to nie jest możliwe.

– Więc zamiast tego wyładowuje się pan na prostytutkach?

Na jego wargi powrócił krzywy uśmiech.

– Nie jestem z siebie dumny, panie Kovacs. Ale jeśli żyje się tak długo, trzeba zaakceptować siebie bez reszty, każdy aspekt siebie, choćby najgorszy. A te kobiety tylko czekają. Zaspokajają potrzebę rynku i są stosownie wynagradzane. W ten sposób się oczyszczam.

– Pańska żona o tym wie?

– Oczywiście. I to już od bardzo dawna. Oumou poinformowała mnie, że poznał pan już fakty dotyczące Leili Begin. Od tamtej pory Miriam znacznie się uspokoiła. Jestem pewien, że ma swoje przygody.

– Jak bardzo jest pan pewien?

– Czy to istotne? – Bancroft z irytacją machnął ręką. – Nie śledzę żony, jeśli o to pan pyta, ale znam ją. Ona też ma swoje potrzeby.

– I nie przejmuje się pan tym?

– Panie Kovacs, czego by o mnie nie mówić, nie jestem hipokrytą. To tylko ciało, nic więcej. Rozumiemy to oboje z Miriam. Ale skoro ten trop nie prowadzi do niczego w śledztwie, czy możemy wrócić do tematu? Skoro Elliott jest czysty, ma pan dla mnie coś więcej?

Podjąłem decyzję zrodzoną na poziomie instynktu, dużo poniżej świadomości. Pokręciłem głową.

– Jeszcze nic.

– Ale będzie?

– Tak. Można powiązać Ortegę z powłoką, którą noszę, ale wciąż jeszcze zostaje Kadmin. Nie chciał dorwać Rykera, znał

mnie. Coś się tu dzieje.

Bancroft z satysfakcją kiwnął głową.

– Zamierza pan porozmawiać z Kadminem?

– Jeśli Ortega mi pozwoli.

– To znaczy?

– To znaczy, że policja z pewnością obejrzała wszystkie zdjęcia satelitarne znad Oakland tego ranka, czyli że prawdopodobnie widzieli, jak opuszczałem klinikę. Coś wtedy musiało wisieć w powietrzu. Nie spodziewam się, żeby byli zbyt chętni do współpracy.

Bancroft pozwolił sobie na kolejny półuśmieszek.

– Bardzo sprytne, panie Kovacs. Ale nie musi się pan niczego obawiać z ich strony. Klinika Wei... to, co z niej zostało... nie chce udostępnić nagrań przebiegu wydarzeń ani wносить oskarżeń przeciw komukolwiek. W przypadku śledztwa mają więcej do stracenia niż pan. Oczywiście, pozostaje pytanie, czy zdecydują się szukać odwetu na drodze prywatnej.

– A przyjaciele Jerry’ego?

– To samo. – Wzruszenie ramion. – Po śmierci właściciela do interesu wkroczyli udziałowcy.

– Bardzo eleganckie.

– Cieszę się, że pan to docenia. – Bancroft podniósł się z fotela.

– Jak już mówiłem, miałem bardzo pracowity ranek, a negocjacje jeszcze się nie zakończyły. Byłbym wdzięczny, gdyby w przyszłości mógł pan nieco ograniczyć szkody. Sporo mnie pan kosztuje.

Kiedy wstawałem z miejsca, na krótką chwilę ujrzałem przed oczami sceny z Innenin, w uszach zabrzmiały krzyki i nagle eleganckie niedopowiedzenie Bancrofta zabrzmiało obrzydliwie groteskowo, jak sterylne słowa generała MacIntyre’a z raportu o stratach... *Cena zdecydowanie warta zdobycia przyczółka Innenin...* Tak samo jak Bancroft, MacIntyre był człowiekiem władzy. I jak oni wszyscy, kiedy mówił o akceptowalnych kosztach, jednego można było być pewnym.

Płacił ktoś inny.

Rozdział siedemnasty

Komisariat na Fell Street mieścił się w niepozornym budynku w stylu, który uznałem za marsjański barok. Trudno było stwierdzić, czy został od razu pomyślany jako komisariat, czy dopiero później dostosowany do pełnienia tej funkcji. Tak czy inaczej potencjalnie stanowił fortecę. Fasada ze sztucznego kamienia poznaczona śladami udawanej erozji, pełna zwieszonych przypór, tworzyła serię naturalnych nisz, w których osadzono wysokie, witrażowe okna, otoczone dyskretnymi wieżyczkami generatorów tarcz. Pod oknami szorstką, czerwoną powierzchnię kamienia ukształtowano w postrzępione przeszkody, które w porannym świetle sprawiały wrażenie zalanych krwią. Nie potrafiłem określić, czy schody prowadzące do łukowatego wejścia były celowo nierówne, czy po prostu mocno zużyte.

Wewnątrz, równocześnie z barwnym światłem przechodzącym przez witraże, opadł na mnie dziwny spokój. Domyśliłem się, że to subsonika, i przyjrzałem się wyrzutkom potulnie siedzącym na ławkach pod ścianami. Jak na aresztantów, których można było się spodziewać w takim miejscu, byli zdumiewająco spokojni i wątpiłem, by zawdzięczali to populistycznemu malowidłu ściennemu Zen, którym ktoś ozdobił hol. Przeszedłem przez plamę kolorowego światła padającego od okna, przecisnąłem się między kilkoma grupkami ludzi rozmawiających przyciszonymi głosami, bardziej pasującymi do biblioteki niż komisariatu, i dotarłem do biurka oficera dyżurnego. Gliniarz w mundurze spojrzał na mnie uprzejmie – najwyraźniej subsonika działała również na niego.

– Porucznik Ortega – powiedziałem. – Uszkodzenia Organiczne.

- Kogo mam zapowiedzieć?
- Niech pan powie, że Elias Ryker.

Kątem oka dostrzegłem, że na dźwięk tego nazwiska jakiś gliniarz obrócił się w moją stronę, ale nie padło żadne słowo. Sierżant sięgnął po telefon, wysłuchał odpowiedzi i zwrócił się do mnie.

- Wysyła kogoś na dołek. Jest pan uzbrojony?

Kiwnąłem głową i sięgnąłem pod kurtkę po nemexa.

– Proszę ostrożnie oddać broń – powiedział z łagodnym uśmiechem. – Nasze oprogramowanie ochronne jest trochę nadwrażliwe i może pana ogłuszyć, jeśli będzie pan groźnie wyglądał.

Zwolniłem ruchy jeszcze bardziej, odłożyłem nemexa na biurko i zająłem się odczepianiem noża z przedramienia. Kiedy skończyłem, sierżant uśmiechnął się do mnie.

– Dziękuję. Oddamy to panu, kiedy będzie pan opuszczał budynek.

Ledwie zdążył to powiedzieć, gdy z drzwi na tyłach wyłoniło się dwóch irokezów, szybko kierując się w moją stronę. Na ich twarzach malowały się identyczne uczucia, których najwyraźniej subsonika nie zdołała wytłumić w krótkim czasie, jakiego potrzebowali, by do mnie podejść. Chwycili mnie za ramiona.

– Nie robiłbym tego na waszym miejscu – rzuciłem ostrzegawczo.

– Hej, on nie jest aresztowany – odezwał się polubownie sierżant.

Jeden z irokezów rzucił mu ciężkie spojrzenie i prychnął ze złością. Drugi po prostu wbił we mnie wzrok, patrząc tak, jakby dawno nie jadł mięsa. Odpowiedziałem na to uśmiechem. Po spotkaniu z Bancroftem wróciłem do Hendriksa i przespałem prawie dwadzieścia godzin. Byłem wypoczęty, miałem aktywny neurochem i czułem tak serdeczną niechęć do władzy, że sama Quell byłaby ze mnie dumna.

Musiało to być widoczne. Irokezi zrezygnowali z prób szarpania mnie i spokojnie przejechaliśmy cztery piętra w górę

w ciszy przerywanej jedynie zgrzytaniem antycznej windy.

W biurze Ortegi znajdowało się jedno z witrażowych okien, a właściwie dolna część jednego z nich, ucięta w połowie wysokości przez sufit. Przypuszczalnie druga część niby pocisk wznosiła się z podłogi piętro wyżej. Zacząłem dostrzegać dowody na to, że budynek przerobiono do jego obecnej funkcji. Pozostałe ściany biura były sformatowane środowiskowo z tropikalnym zachodem słońca nad wodą i wyspami. Dzięki połączeniu barwnego szkła i widoczku z zachodem słońca biuro wypełniało łagodne, pomarańczowe światło, w którego smugach widać było unoszący się w powietrzu kurz.

Ortega siedziała za ciężkim drewnianym biurkiem i wyglądała, jakby była tam uwięziona. Kiedy przeszliśmy przez drzwi, siedziała z brodą opartą na dłoni i kolanem mocno zapartym o krawędź biurka. Przeglądała tekst przesuwający się przez ekran antycznego laptopa. Oprócz urządzenia na biurku dostrzegłem ciężkiego, spracowanego smitha&wessona dużego kalibru i plastikowy kubek z kawą, z nienaruszonym jeszcze elementem podgrzewającym. Skinieniem głowy odesłała irokezów.

– Siadaj, Kovacs.

Rozejrzałem się, dostrzegłem pod oknem drewniane krzesło i przyciągnąłem je do biurka. Późnopołudniowe światło utrudniało kojarzenie.

– Pracujesz na nocnej zmianie?

– To jakiś dowcip? – Błysnęła oczami.

– Ależ skąd. – Podniosłem ręce i wskazałem na zachodzące słońce. – Po prostu pomyślałem, że mogłaś sobie przestawić na to ściany. Wiesz, na zewnątrz jest dziesiąta rano.

– A, to – burknęła Ortega, kierując wzrok z powrotem na ekran. Trudno było to stwierdzić w świetle tropikalnego zachodu, ale pomyślałem, że jej oczy mogą być szarozielone, jak morze przed sztormem. – Zdesynchronizował się. Wydział kupił to za pół ceny gdzieś w El Paso Juarez. Czasem całkiem wysiada.

– To przykre.

– Tak, czasem go po prostu wyłączam, ale neony... – Gwałtownie uniosła wzrok. – Co, do cholery... Kovacs, czy zdajesz sobie sprawę, jak blisko jesteś w tej chwili stojąca w przechowalni?

Ułożyłem palec wskazujący i kciuk w małą szparkę i spojrzałem przez nią na Ortegę.

– Z tego, co słyszałem, o grubość zeznania z kliniki Wei.

– Możemy cię tam wsadzić, Kovacs. Siódma czterdzieści trzy wczoraj rano najspokojniej w świecie wyszedłeś frontowymi drzwiami.

Wzruszyłem ramionami.

– I nie wydaje mi się, żeby twoje powiązania z Matami na zawsze zapewniły ci nietykalność. Pewien kierowca z kliniki Wei opowiada bardzo ciekawe historie o porwaniu i prawdziwej śmierci. Może będę miała coś do powiedzenia na twój temat.

– Skonfiskowaliście jego pojazd? – zapytałem od niechcienia. – Czy Wei odebrała go, zanim zdążyliście zrobić testy?

Ortega zacisnęła wargi w wąską linię.

– Tak myślałem. – Kiwnąłem głową. – A kierowca nie powie absolutnie nic do czasu, aż Wei go wyciągnie.

– Słuchaj, Kovacs. Ciągłe naciskam, coś musi ustąpić. To tylko kwestia czasu, skurwielu. Wyłącznie.

– Upór godny podziwu – stwierdziłem. – Szkoda, że nie miałaś go dla sprawy Bancrofta.

– *Nie ma żadnej pieprzonej sprawy Bancrofta.*

Ortega zerwała się na nogi, dłońmi mocno opierając się o biurko, zwężone oczy emanowały wściekłością i wstrętem. Czekałem, z nerwami w gotowości, na wypadek gdyby komisariaty policji Bay City były równie podatne na wypadki podejrzanych jak niektóre inne, znane mi w przeszłości. W końcu jednak wzięła głęboki oddech i wolno opadła z powrotem na krzesło. Twarz jej się powoli wygładzała, ale wciąż rysował się na niej wstręt, uwięziony w delikatnych zmarszczkach w kącikach oczu i szerokich ust. Przyjrzała się swoim paznokciom.

- Chcesz wiedzieć, co znaleźliśmy wczoraj w klinice Wei?
- Czarnorynkowe części zamienne? Programy wirtualnych tortur? Czy nie pozwolili wam zostać tak długo?
- Znaleźliśmy siedemnaście ciał ze spalonymi stosami korowymi. Nieuzbrojonych. Siedemnaścioro martwych osób. Naprawdę martwych.
- Znów na mnie spojrzała, wciąż ze wstrętem.
- Będziesz musiała wybaczyć mi brak reakcji – powiedziałem chłodno. – Nosząc mundur, widziałem gorsze rzeczy. Prawdę mówiąc, robiłem znacznie gorsze rzeczy, kiedy walczyłem w bitwach o Protektorat.
- To była wojna.
- *Och, proszę.*
- Nic nie powiedziała. Nachyliłem się nad biurkiem.
- I nie mów mi też, że wściekasz się o siedemnaście ciał. To twój problem. Nie podoba ci się pomysł, że ktoś mógłby to uszkodzić. – Wskazałem przy tym na swoją twarz.
- Przez chwilę siedziała w milczeniu, potem sięgnęła do szuflady biurka i wydobyla z niej paczkę papierosów. Automatycznie wyciągnęła je w moją stronę, ale z żelazną determinacją potrząsnęła głową.
- Rzuciłem.
- Doprawdy? – W jej głosie zabrzmiało szczere zdumienie. Sama poczęstowała się papierosem i zapaliła. – To dobrze. Jestem pod wrażeniem.
- Jasne. Kiedy Ryker wyjdzie z przechowalni, też powinien się cieszyć.
- Znieruchomiała za zasłoną dymu, potem wrzuciła paczkę z powrotem do szuflady i zatrzasnęła ją nadgarstkiem.
- Czego chcesz? – zapytała.

* * *

Szafy więzienne stały pięć pięter niżej, w dwupoziomowej piwnicy, gdzie trochę łatwiej było kontrolować temperaturę.

W porównaniu do Psychasecu wyglądało to jak obskurny kibel.

– Nie bardzo widzę, jak miałyby to coś zmienić – stwierdziła Ortega, gdy szliśmy za ziewającym technikiem wzdłuż stalowej barierki do szuflady 3089b. – Co takiego Kadmin może powiedzieć tobie, czego nie powiedział nam?

– *Słuchaj*. – Zatrzymałem się i odwróciłem do niej z szeroko rozrzuconymi rękami.

Na wąskiej galeryjce staliśmy blisko siebie. Coś zaiskrzyło na poziomie chemii i nagle geometria pozycji Ortegi zrobiła się płynna, niebezpiecznie zmysłowa. Zaschło mi w ustach.

– Ja... – powiedziała.

– 3089b – zawołał technik, wyciągając z szuflady duży, trzydziestocentymetrowy dysk. – Tego pani szuka, pani porucznik?

Ortega pośpiesznie przepchnęła się obok mnie.

– Tak jest, Micky. Możesz wrzucić nas do wirtuala?

– Jasne. – Micky wskazał kciukiem w stronę najbliższych ze spiralnych schodów, umieszczonych w regularnych odstępach wzdłuż galerii. – Idźcie do piątki, przyczepcie elektrody. Zajmie mi to z pięć minut.

– Kłopot w tym – stwierdziłem, gdy cała nasza trójka głośno schodziła po metalowych schodach – że jesteś gliną. Kadmin cię zna, radził sobie z glinami przez całą swoją karierę. To część jego pracy. Ja stanowię niewiadomą. Jeśli nigdy nie opuszczał układu słonecznego, istnieje spora szansa, że nie spotkał Emisariusza. A w większości miejsc, które odwiedziłem, opowiadają o nas paskudne historie.

Ortega obejrzała się na mnie sceptycznie.

– Zamierzasz go *przestraszyć*? Dimitrija Kadmina? Nie wydaje mi się.

– Będzie wytrącony z równowagi, a w takich sytuacjach ludzie zdradzają różne rzeczy. Nie zapominaj, że facet pracuje dla kogoś, kto chce mojej śmierci. Kogoś, kto się mnie boi, przynajmniej odrobinę. I o kimś takim może wspomnieć Kadmin.

– I to ma mnie przekonać, że Bancroft został zamordowany?

– Ortega, to naprawdę nie ma znaczenia, czy w to wierzysz, czy nie. Już to wałkowaliśmy. Chcesz, żeby ciało Rykera jak najszybciej znalazło się w bezpiecznym miejscu, czyli w zbiorniku. Im szybciej uwiniemy się ze sprawą śmierci Bancrofta, tym szybciej do tego dojdzie. Ja z kolei mam znacznie większe szanse nie nabawić się jakichś poważnych uszkodzeń, jeśli nie będę działał jak dziecko we mgle. Czyli, jeśli mi pomożesz. Nie chciałabyś chyba, żeby ta powłoka została skasowana w kolejnej strzelaninie, prawda?

– *Kolejnej strzelaninie?* – Prawie pół godziny gorącej dyskusji zajęło mi wbicie w Ortegę poczucia jakiegoś partnerstwa, ale jej wewnętrzny policjant dalej nie chciał mi odpuścić.

– Tak, po Hendriksie – zaimprovizowałem, przeklinając chemiczne spięcie między nami, które wytrąciło mnie z równowagi. – Zarobiłem tam kilka siniaków. Mogło być znacznie gorzej.

Posłała mi jeszcze jedno, znacznie dłuższe spojrzenie znad ramienia.

System do wirtualnych przesłuchań umieszczono w serii plastobańkowych kabin stojących pod ścianą na dnie piwnicy. Micky posadził nas w zużytych elastofotelach, bardzo niechętnie dostosowujących się do naszych kształtów, założył elektrody i hipnofony, po czym godnym artysty przesunięciem ręki przez obie konsole włączył zasilanie. Obejrzał budzące się do życia ekrany.

– Obciążenie – rzucił i splunął z niesmakiem. – Komisarz podpiął się pod jakąś konferencję i zjada pół systemu. Musimy poczekać, aż ktoś inny wyjdzie. – Zerknął na Ortegę. – Hej, to ta sprawa z Mary Lou Hinchley?

– Tak. – Ortega obróciła się do mnie, jakby chciała zademonstrować chęć współpracy. – W zeszłym roku straż przybrzeżna wyловиła z oceanu zwłoki dziecka, Mary Lou Hinchley. Z ciała wiele nie zostało, ale wydobyli stos. Rozkręcili go i co się okazało?

– Katoliczka?

– Dokładnie. Totalna absorbcja, co? Pierwszy skan wykazał blokadę z powodów religijnych. To zazwyczaj oznacza koniec tego typu sprawy, ale El... – urwała. Zaczęła jeszcze raz. – Detektyw prowadzący sprawę nie chciał odpuścić. Hinchley mieszkała w jego okolicy, znał ją od dziecka. Nie za dobrze, ale... – Wzruszyła ramionami. – Nie chciał zrezygnować.

– Bardzo nieustępliwy. Elias Ryker?

Kiwnęła głową.

– Całe miesiące wydeptywał ścieżki w laboratoriach. W końcu znaleźli jakieś dowody na to, że ciało wyrzucono z pojazdu latającego. Znajomi z Uszkodzeń Organicznych trochę pogrzebali i odkryli, że konwersja nastąpiła niecałe dziesięć miesięcy wcześniej, a dziewczyna miała chłopaka, zatwardziałego katolika ze zdolnościami w dziedzinie infotechniki. Gówniarz mógł sfalszować deklarację. Jej rodzina to tacy niedzielni chrześcijanie, w większości nie katolicy. Na dodatek dość bogaci, ze skarbcem pełnym przodków wypuszczanych z okazji rodzinnych urodzin i ślubów. Przez cały rok wydział konsultował się z większością z nich.

– Wałkując Rezolucję 653?

– Owszem.

Oboje wróciliśmy do studiowania sufitu nad fotelami. Kabiny urządzono w tanich plastobańkach, wydmuchanych jak w dziecięcej zabawce z pojedynczego pęcherza polimeru, z otworami na wejście i kable wyciętymi laserem, a następnie przymocowanymi z powrotem na epoksydowych zawiasach. Zakrzywiony szary sufit nie krył absolutnie nic interesującego.

– Ortega, powiedz mi jedno – odezwałem się po chwili. – Ten ogon, którego puściłaś za mną we wtorek po południu, kiedy poszedłem na zakupy. Dlaczego był gorszy od wcześniejszych? Ślepiec by go zauważył.

Nie od razu odpowiedziała. W końcu przyznała niechętnie.

– Tylko jego mieliśmy. Grubymi nićmi szyte, ale musieliśmy coś wykombinować na szybko po tym, jak wyrzuciłeś ubranie.

– Ubranie. – Zamknąłem oczy. – O nie. Przyczepiłaś

mi pluskwę? Tak po prostu?

– Tak.

Cofnąłem się myślami do pierwszego spotkania z Ortega. Instalacja sądowa, jazda do Suntouch House. Przewijałem obrazy w przyspieszonym tempie. Stoimy przed Miriam Bancroft na zalanym słońcem trawniku. Ortega odlatuje...

– Mam! – Strzeliłem palcami. – Na pożegnanie klepnęłaś mnie w ramię. Nie mogę uwierzyć, że byłem tak głupi.

– Lokalizator z zaczepem enzymatycznym – wyjaśniła uprzejmie Ortega. – Niewiele większy od oka muchy. Pomyśleliśmy, że biorąc pod uwagę jesienną pogodę, nie wybierzesz się nigdzie bez marynarki. Oczywiście, kiedy wyrzuciłeś ją do kosza, doszliśmy do wniosku, że nas rozgryzłeś.

– Nie. Nie byłem dość bystry.

– Dobra – odezwał się nagle Micky. – Panie i panowie, trzymajcie się rdzeni, zjeżdżamy w tunel.

Jazda była ostrzejsza niż się spodziewałem po rządowym sprzęcie, ale nie gorsza niż wiele sądowych wirtuali, przez które przeszedłem na Świecie. Najpierw hipno, pulsujące sonokodami, przemieniające nagle szary sufit w fascynujące widowisko różnobarwnych świateł, ściągające człowieka z wszechświata jak brudną wodę w zlewie. A potem znalazłem się...

Gdzie indziej.

Inna rzeczywistość rozrastała się wokół, we wszystkie strony, oddalając się od miejsca, w którym się znajdowałem. Przypominała olbrzymie powiększenie jednego z ustawionych spiralnie schodków, którymi zeszliśmy z galerii. Stalowszara, co kilka metrów poprzecinana niekończącymi się wybrzuszeniami. Nad głową miałem bledszy odcień tego samego koloru z przebarwieniami dyskretnie sugerującymi antyczne zamki i kraty. Niezła sztuczka psychologiczna – pod warunkiem, że któryś z przesłuchiwanym przestępców wiedział, jak wyglądało prawdziwe więzienie.

Przedemną z podłogi zaczęły się wyłaniać meble przypominające rzeźby z rtęci. Najpierw prosty, metalowy stół,

potem dwa krzesła wokół niego. Przez ostatnie kilka sekund ich krawędzie pozostawały płynne i gładkie, potem nagle wyostrzyły się i meble zaistniały niezależnie od podłogi.

Obok mnie pojawiła się Ortega, z początku w postaci bladego szkicu ołówkiem, niepewnych linii w różnych odcieniach. W miarę jak patrzyłem, wypełniły ją pastelowe kolory, a ruchy stały się bardziej rzeczywiste. Obracała się, żeby coś do mnie powiedzieć, jedną ręką sięgając do kieszeni kurtki. Odczekałem, aż obraz nabierze ostatecznych kształtów. Wyciągnęła papierosa.

– Zapalisz?

– Nie, dziękuję, właśnie... – Uświadamiając sobie bezsens troski o wirtualne zdrowie, przyjąłem paczkę i wydobyłem z niej papierosa.

Ortega zapaliła oba swoją benzynową zapalniczką, a pierwszy kłęb dymu w płucach napełnił mnie ekstazą.

Spojrzałem w górę na geometryczne niebo.

– To standard?

– Raczej tak. – Ortega zmrużyła oczy, patrząc w dal. – Rozdzielczość chyba trochę wyższa niż zwykle. Micky się popisuje.

Po drugiej stronie stołu z niebytu wyłonił się Kadmin. Zdał sobie sprawę z naszej obecności, jeszcze zanim program wirtuala odpowiednio go pokolorował. Złożył ręce na piersiach. Jeśli, jak miałem nadzieję, moja wizyta tutaj wytrąciła go z równowagi, nie dał tego po sobie poznać.

– Znowu, pani porucznik? – powiedział, gdy program skończył go renderować. – Wie pani, że przepisy ONZ regulują maksymalny czas w wirtualu na jedno aresztowanie?

– Tak, ale wciąż jeszcze daleko nam do limitu – stwierdziła Ortega. – Siadaj, Kadmin.

– Nie, dziękuję.

– Powiedziałam siadaj, skurwielu. – W jej głosie zabrzmiały nieoczekiwane ostre tony.

Kadmin magicznie zniknął i zaraz pojawił się z powrotem, siedząc przy stole. Na jego twarzy przez chwilę malowała się

wściekłość z powodu relokacji, ale po chwili się uspokoił. Pozostała wyłącznie ironia.

– Ma pani rację, tak jest znacznie wygodniej. Może też sobie spoczniecie?

Zajęliśmy miejsca w nieco bardziej konwencjonalny sposób. Cały czas przyglądałem się Kadminowi. Pierwszy raz widziałem coś takiego.

Był latołakiem.

Większość systemów wirtualnych odtwarza postać na podstawie obrazów z pamięci, przy użyciu obwodów zdroworozsądkowych, które nie pozwalają na zbyt ni udział wyobraźni. Ja zazwyczaj pojawiaam się w wirtualu odrobinę wyższy i szczuplejszy niż jestem naprawdę. W przypadku Kadmina system jakby pomieszał tysiące różnych obrazów z prawdopodobnie długiej listy jego powłok. Kiedyś już widziałem coś takiego, z tym że wtedy zastosowano taki zabieg świadomie. Większość z nas bardzo szybko identyfikuje się z aktualnie noszoną powłoką, co równocześnie czyści pamięć wcześniejszych inkarnacji – w końcu wyewoluowaliśmy w związku z fizycznym światem.

Człowiek przed nami był inny. Miał sylwetkę kaukaskiego nordyka, wyższą od mojej o dobre trzydzieści centymetrów, ale twarz należała do kilku ras. Czoło miał afrykańskie, szerokie i mahoniowe, ale pod oczami barwa nikła jak maska i dolna część twarzy dzieliła się wzdłuż linii nosa: blada miedź po lewej, trupia biel po prawej. Nos był ostry i dobrze łączył górną i dolną część twarzy, ale usta należały w połowie do dwóch różnych powłok, co groteskowo je wykrzywiało. Długie, proste i czarne włosy przeświecały po jednej stronie czystą bielą. Nieruchomo spoczywające na stole dłonie kończyły się pazurami podobnymi do takich, jakie widziałem u olbrzymiego wojownika w Lodowni, ale palce były długie i wrażliwe. Na potężnie umięśnionym torsie jakimś cudem mieściły się jeszcze piersi. Głęboko osadzone oczy zaskakiwały bladą zielenią. Kadmin uwolnił się od konwencjonalnej percepcji fizyczności. W dawnych czasach

byłby szamanem, ale zaawansowana technika uczyniła z niego coś więcej. Elektronicznego demona, wrogiego ducha, który zamieszkiwał zmodyfikowany węgiel i opuszczał go wyłącznie, by posiadać ciała i siać zniszczenie.

Byłby świetnym Emisariuszem.

– Zakładam, że nie muszę się przedstawiać – powiedziałem cicho.

Kadmin uśmiechnął się, pokazując drobne zęby i lekko spiczasty język.

– Jeśli jesteś przyjacielem pani porucznik, nic tu nie musisz robić. Tylko palant pozwala edytować swoją wirtualizację.

– Znasz tego człowieka, Kadmin? – zapytała Ortega.

– Pani porucznik liczy na wyznanie? – Kadmin odchylił głowę i roześmiał się melodyjnie. – Och, prostak. Tego człowieka? Może tę kobietę? A może, tak, nawet psa dałoby się wyszkolić, żeby powiedział tyle co on, oczywiście używając odpowiednich prochów. Jeśli się psa przeleje bez nich, strasznie głupieje. Ale tak, nawet pies. Siedzimy tu, trzy sylwetki wyrzeźbione z elektronicznego deszczu w burzy potencjałów, a pani mówi jak postać z taniego serialu. Brak pani wizji, pani porucznik, brak wizji. Gdzie głos, który oznajmił, że zmodyfikowany węgiel uwolni nas z więzień naszych ciał? Gdzie obietnica, że staniemy się *aniołami*.

– Ty mi to powiedz, Kadmin. To ty jesteś wysokiej klasy profesjonalistą. – Ortega mówiła beznamiętnie. W jej dłoni pojawił się długi wydruk. – Alfons, żołnierz triady, wirtualny śledczy w wojnach korporacyjnych, wszystko to praca z klasą. Ja jestem tylko głupią gliną, która nie sięga ci do kolan.

– Nie zamierzam się z panią spierać, pani porucznik.

– Napisano tutaj, że jakiś czas temu pracowałeś jako czyściciel dla MeritConu, przeganiając archeologów z ich działek w Syrtis Major. Motywowałeś ich, zarzynając im rodziny. Miła praca. – Ortega odrzuciła wydruk z powrotem w próżnię. – Mamy cię, Kadmin. Cyfrowe nagranie z systemu ochrony hotelu, potwierdzone podwójne upowłokowanie, oba stosy w lodzie.

Masz zagwarantowaną kasację, a nawet jeśli twoi prawnicy zrzucą to na błąd maszyny, słońce stanie się czerwonym karłem, zanim wyjdiesz z przechowalni.

Kadmin się uśmiechnął.

– To po co tu przyszliście?

– Kto cię wysłał? – zapytałem cicho.

– Pies mówi!

*Czy to wilka słyszę
Wyjącego w samotnym zjednoczeniu
Z nietkniętymi gwiazdami
Czy tylko zarozumiałstwo i służebność
W szczekaniu psa?*

*Ile tysiącleci zajęły
Wypaczania i tortury
By z dumy pierwszego
Zrobić narzędzie
Tego drugiego?*

Wciągnąłem dym i pokiwałem głową. Podobnie jak większość Harlanitów *Wiersze i inne kłamstwa* Quell znałem w zasadzie na pamięć. Uczono ich w szkole zamiast późniejszych, bardziej zaangażowanych politycznie dzieł, z których większość wciąż uważano za zbyt radykalne, by dawać je do rąk dzieciom. Nie było to zbyt dobre tłumaczenie, ale oddawało sens. Większe wrażenie robił fakt, że ktoś, kto nie pochodził ze Świata Harlana, potrafił cytować tak mało znane dzieło. Dokończyłem za niego.

*I jak zmierzyć odległość między duchem a duchem?
I kogo obarczymy winą?*

– Przyszedłeś tu szukać winnych, Kovacs?

– Między innymi.

– Rozczarowujące.

– Spodziewałeś się czegoś innego?

– Nie – stwierdził, znowu się uśmiechając. – Spodziewanie się czegoś to nasz pierwszy błąd. Miałem na myśli twoje rozczarowanie.

– Może.

Potrząsnął swoją wielką, pstrokatą głową.

– Oczywiście. Nie wyciągniesz ze mnie żadnych nazwisk. Jeśli szukasz winy, będziesz musiał mnie nią obciążyć.

– To bardzo wspaniałomyślne, ale pamiętaj, co Quell powiedziała o lokajach.

– *Zabijaj ich po drodze, ale licz naboje, bo czekają lepsze cele.* – Kadmin zachichotał. – Grozisz mi w monitorowanej przechowalni policyjnej?

– Nie. Po prostu przedstawiam sytuację w odpowiedniej perspektywie. – Strąciłem popiół z papierosa i przyglądałem się, jak znika, nim dotrze do podłogi. – Ktoś ciągnie za sznurki i to jego zamierzam skasować. Ty jesteś nikim. Nie jesteś wart nawet splunięcia.

Kadmin przechylił głowę, gdy przesuwające się nieustannie linie na niebie poruszył silniejszy dreszcz, jak kubistyczna błyskawica. Światło odbiło się w matowym blacie stołu i wyglądało, jakby na chwilę dotknęło jego rąk. Kiedy znów na mnie spojrzał, w jego oczach zapłonął dziwny blask.

– Nie kazano mi ciebie zabić – powiedział bezbarwnie. – No chyba że porwanie okazałoby się niemożliwe. Ale teraz to zrobię.

Ortega skoczyła na niego w chwili, gdy wypowiadał ostatnią głoskę. Stół w jednej chwili zniknął, a ona strąciła go z krzesła jednym machnięciem obutej nogi. Kiedy przetoczył się i stanął, tym samym butem dostał w twarz i znów wylądował na podłodze. Przesunąłem językiem po prawie wygojonych rozcięciach w ustach i poczułem, że wcale mu nie współczuję.

Ortega podciągnęła Kadmina do góry za włosy, a dzięki tej samej systemowej magii, która odesłała w niebyt stół, papieros w jej dłoni zmienił się w groźną pałkę.

– Dobrze słyszę? – wysyczała. – Grozisz nam, gównojadzie?
Kadmin wyszczerzył zakrwawione zęby w uśmiechu.

– Policyjna brutal...

– Tak jest, skurwielu. – Ortega walnęła go pałką w twarz, rozrywając skórę na policzku. – Policyjna brutalność w monitorowanym, policyjnym wirtualu. Sandy Kim i WorldWeb Jeden skakaliby z radości, prawda? Ale wiesz co? Wydaje mi się, że twoi prawnicy nie będą chcieli ujawnić tego nagrania.

– Ortega, zostaw go.

Opamiętała się i odstąpiła. Przez jej twarz przemknął skurcz i głęboko wciągnęła powietrze. Stół pojawił się z powrotem, a Kadmin nagle znów siedział przy nim wyprostowany, z nieuszkodzoną facjatą.

– Ciebie też – powiedział cicho.

– Jasne, pewnie. – W głosie Ortegi brzmiała pogarda, jak przypuszczam przynajmniej w połowie wobec siebie. Jeszcze raz próbowała odzyskać kontrolę nad oddechem i niepotrzebnie poprawiła ubranie. – Jak już mówiłam, piekło zdąży całkiem wystygnać, zanim będziesz miał szansę. Może nawet na ciebie zaczekam.

– Ktokolwiek cię wysłał, Kadmin, czy jest on wart takich poświęceń? – zapytał cicho. – Idziesz na dno w milczeniu z powodu lojalności czy ze strachu?

Zamiast odpowiedzieć, człowiek składanka złożył ręce na piersiach i wbił wzrok w pustkę.

– Skończyłeś, Kovacs? – zapytała Ortega.

Spróbowałem skupić na sobie wzrok Kadmina.

– Kadmin, człowiek, dla którego pracuję, ma duże wpływy. To może być twoja ostatnia szansa na układ.

Nic. Nawet nie mrugnął.

Wzruszyłem ramionami.

– Skończyłem.

– To dobrze – stwierdziła ponuro Ortega. – Bo siedzenie po zawietrznej od tej kupy gówna zaczyna przepalać moją, zwykle dość tolerancyjną, naturę. – Pomachała palcami przed

oczami Kadmina. – Do zobaczenia, gnido.

Kadmin zareagował na to, kierując wzrok na nią i wykrzywiając usta w paskudny uśmiezek.

Wyszliśmy.

Ściany biura Ortegi zmieniły się w widoczek z oślepiającym, południowym słońcem i plażą z piaskiem koloru kości słoniowej. Przymknąłem oczy, chroniąc je przed ostrym, słonecznym światłem, podczas gdy Ortega przegrzebała szufladę biurka i wydobyła z niej dwie pary ciemnych okularów.

– To czego się dowiedziałeś?

Założyłem okulary. Były za małe.

– Niewiele poza tym, że nie zamierzał mnie zabić. Ktoś chciał ze mną porozmawiać. Prawdę mówiąc, sam do tego doszedłem, bo w innym wypadku po prostu rozsmarowałby mój stos po całym holu Hendriksa. Oznacza to jednak, że ktoś chciał się ze mną dogadać za plecami Bancrofta.

– Albo chciał cię przemaglować na przesłuchaniu.

Pokręciłem głową.

– Na jaki temat? Dopiero tu przybyłem. To nie ma sensu.

– Korpus? Niedokończone interesy? – Ortega pocierała palce dłoni, jakby sprzedawała mi sugestie. – Może jakieś stare porachunki?

Nie. Przeszliśmy przez to, krzycząc na siebie dwie noce wcześniej. Są ludzie, którzy chętnie zobaczyliby moją kasację, ale nikt z nich nie mieszka na Ziemi, nie mają też dostatecznych wpływów, by działać na skalę międzygwiazdną. Nie wiem też o Korpusie nic, czego nie można by wygrzebać z jakiejś słabo chronionej bazy danych. Zresztą, nie wierzę w przypadki. Nie, tu chodzi o Bancrofta. Ktoś chciał wtrącić swoje trzy grosze.

– Bez względu na to, kto go zabił?

Schyliłem głowę, by spojrzeć na nią przez szkła okularów.

– A więc mi wierzysz.

– Nie do końca.

– Och, no *wiesz*.

Ale Ortega mnie nie słuchała.

– Chciałabym wiedzieć – zastanawiała się głośno – czemu na koniec przepisał swój kod. Wiesz, wałkowaliśmy go już z kilkanaście razy, od kiedy wrzuciliśmy go tam w niedzielę w nocy. Po raz pierwszy w ogóle przyznał, że był w tamtej okolicy.

– Nawet wobec swoich prawników?

– Nie wiemy, co im mówi. To grube ryby z Ułan Bator i Nowego Jorku. Tacy zabierają ze sobą koder na wszystkie wirtualne przesłuchania. Na taśmie dostajemy wyłącznie szum.

Ciekawe. Na Świecie Harlana wszystkie wirtualne przesłuchania były standardowo monitorowane. Koderów nie wolno było ze sobą wnosić niezależnie od tego, ile miało się forsy i jakie miało się wpływy.

– Skoro o nich mowa, czy prawnicy Kadmina są tu, w Bay City?

– Fizycznie? Tak, mają umowę z kancelarią w Marin County. Jeden z ich partnerów wynajmuje tu tymczasowo powłokę. – Ortega wykrzywiła usta. – W dzisiejszych czasach spotkania fizyczne uważane są za przejaw klasy. Tylko tanie firmy robią interesy przez kable.

– Jak się nazywa ten prawnik?

Zapadła krótka cisza.

– Wzięliśmy Kadmina ostro w obroty, ale nie jestem pewna, czy zaszliśmy tak daleko, żeby...

– Ortega, idziemy na całość. Taka była umowa. Inaczej zaczynam ryzykować śliczną twarzą Rykera w ostrym śledztwie.

Milczała przez chwilę.

– Rutheford – powiedziała w końcu. – Chcesz z nim rozmawiać?

– W tej chwili chcę rozmawiać ze wszystkimi. Może nie wyraziłem się dostatecznie jasno. Pracuję po omacku. Bancroft odczekał półtora miesiąca, zanim mnie sprowadził. Kadmin to wszystko, co mam.

– Keith Rutheford jest śliski jak węgorz. Nie dowiesz się od niego więcej niż od Kadmina. Zresztą jak, do cholery, miałabym cię przedstawić, Kovacs? Cześć, Keith, to były

Emisariusz, którego twój klient próbował skasować w niedzielę. Chce ci zadać kilka pytań. Zamknie się szybciej niż dziura nieopłaconej dziwki.

Miała rację. Pomyślałem o tym przez chwilę, wpatrując się w ocean.

– Dobra – stwierdziłem wolno. – Wszystko, czego mi trzeba, to kilka minut rozmowy. A gdybyś powiedziała mu, że jestem Elias Ryker, twój partner z Uszkodzeń Organicznych? W końcu praktycznie nim jestem.

Ortega zdjęła okulary i wbiła we mnie wzrok.

– Próbujesz być zabawny?

– Nie, próbuję być praktyczny. Rutheford upowłokawia się z Ułan Bator, tak?

– Z Nowego Jorku – poprawiła.

– Racja. Nowy Jork. Więc prawdopodobnie nic nie wie o tobie ani o Rykerze.

– Prawdopodobnie.

– Więc w czym problem?

– Problem w tym, Kovacs, że mi się to nie podoba.

Znow zapadła cisza. Spojrzałem w dół i wydobyłem z siebie westchnienie, które tylko częściowo było na pokaz. Potem zdjęłem okulary i spojrzałem na nią. Wszystko widziałem jak na dłoni. Nagi strach przed upowłokowaniem i wszystkim, co się z tym wiązało – paranoidalny esencjalizm.

– Ortega – perswadowałem łagodnie. – Nie jestem nim. Nie próbuję nim być...

– Nie potrafiłbyś, nawet gdybyś chciał – warknęła.

– Chcę tylko, żeby ktoś widział go we mnie przez kilka godzin.

– To wszystko?

Powiedziała to głosem twardym jak stal i założyła z powrotem okulary słoneczne tak gwałtownie, że ledwie zdążyłem dostrzec łzy zbierające się w kąciakach oczu.

– Dobra – powiedziała w końcu, odchrząkując. – Wprowadzę cię. Nie widzę sensu, ale zrobię to. Co dalej?

– Trudno w tej chwili powiedzieć. Będę musiał improwizować.

- Tak samo jak w klinice Wei?
Wzruszyłem ramionami.
- Techniki Emisariuszy w dużej części opierają się na reakcjach. Nie potrafię na coś zareagować, zanim się to nie zdarzy.
- Nie chcę kolejnej rzezi, Kovacs. To źle wygląda w statystykach.
- Jeśli dojdzie do bitki, nie ja ją zacznę.
- To kiepska gwarancja. Masz *jakikolwiek* pojęcie, co będziesz robił?
- Chcę porozmawiać.
- Tylko rozmawiać? – Spojrzała na mnie z niedowierzaniem. – To wszystko?
Wcisnąłem okulary z powrotem na nos.
- Czasem to wszystko, czego potrzeba – stwierdziłem.

Rozdział osiemnasty

Pierwszego prawnika poznałem w wieku piętnastu lat. Był to wyglądający na umęczonego życiem specjalista od nieletnich. Dość zręcznie bronił mnie wtedy w sprawie o drobne uszkodzenia organiczne wobec policjanta Newpest. Dzięki swego rodzaju uporczywej cierpliwości wytargował dla mnie zwolnienie warunkowe i jedenaście minut wirtualnych konsultacji psychiatrycznych. Po wyjściu z sądu dla nieletnich spojrzał w moją, prawdopodobnie nieprzyzwoicie zadowoloną z siebie twarz i pokiwał głową, jakby potwierdzały się jego najgorsze obawy odnośnie do sensu życia, po czym odszedł. Nie pamiętam nawet jego nazwiska.

Wkrótce potem zasililem grono gangsterów z Newpest, co wykluczyło dalsze tego typu spotkania z prawem. Gangi znały się na sieci, były okablowane i pisały własne programy hakerskie albo kupowały je od znacznie młodszych dzieciaków w zamian za wykradane z sieci tanie wirtualne pornosy. Niełatwo było ich złapać, a i policja woląla zostawić ich w spokoju. Przemoc między gangami była częścią swoistego gangsterskiego rytuału i zazwyczaj nie dotyczyła przypadkowych ludzi. Jeśli raz na jakiś czas zdarzyło się coś takiego, następowała seria ostrych, brutalnych akcji odwetowych, po których kilku bohaterów gangu lądowało w przechowalni, a reszta dłuższy czas musiała lizać rany. Na szczęście nigdy nie doszedłem w strukturach władzy dostatecznie wysoko, by to przytrafiło się mnie, więc wewnątrz sądu zobaczyłem ponownie dopiero podczas dochodzenia w sprawie Innenin.

Prawnicy, z jakimi się wówczas zetknąłem, mieli mniej więcej tyle wspólnego z prawnikiem, który bronił mnie jako piętnastolatka, ile karabin maszynowy z pierdzeniem. Byli zimni,

profesjonalnie gładcy i zaawansowani we wspinaczce po szczeblach kariery, która miała zapewnić im bezpieczeństwo. Wiedzieli, że choć noszą mundury, nigdy nie znajdą się bliżej niż tysiąc kilometrów od jakiejkolwiek strzelaniny. Kiedy krążyli niczym rekiny po wypolerowanej, marmurowej posadzce sali sądowej, jedynym ich problemem było znalezienie odpowiedzi na pytanie: czym różnią się od siebie wojna (masowe morderstwo ludzi ubranych w inny mundur), dopuszczalne straty (masowe morderstwo własnych oddziałów, ale przy znaczących zyskach) i zbrodnicze zaniedbanie (masowe morderstwo własnych ludzi bez znaczących zysków). Siedziałem tam przez trzy tygodnie, słuchając, jak naginają definicje do swoich potrzeb, a z każdą mijającą godziną różnice pomiędzy nimi (z początku absolutnie jasne) stawały się coraz mniej klarowne. Przypuszczam, że to dowodzi ich profesjonalizmu.

Po czymś takim z ulgą powitałem zwykłą działalność kryminalną.

– Coś cię gryzie? – Ortega zerknęła na mnie z ukosa, sprowadzając nieoznakowany radiowóz na kamienistą plażę pod wielopoziomowym, przeszklonym biurem prawnika Prendergasta Sancheza.

– Po prostu myślę.

– Spróbuj zimnego prysznica albo alkoholu. Mnie pomaga.

Kiwnąłem głową i podniosłem wyżej maleńki metalowy koralik, który trzymałem między palcem wskazującym i kciukiem.

– To legalne?

– Mniej więcej. – Ortega wyciągnęła rękę, wyłączając silniki. – Nikt nie będzie się oskarżał.

– Dobrze. Słuchaj, potrzebuję przykrywki na początek. Ty z nim rozmawiaj, ja będę milczał i słuchał. Potem przejmę rozmowę.

– Dobra. Zresztą, Ryker też taki był. Nigdy nie użył dwóch słów, jeśli wystarczyło jedno. Przez większość czasu, jaki spędzał z tymi gnidami, tylko na nich patrzył.

– Coś w rodzaju Micky’ego Nozawy, co?

– Kogo?

– Nieważne.

Gdy Ortega wyłączyła silniki, umilkł grzechot kamieni wyrzucanych z turbin przez podmuch. Przeciągnąłem się w fotelu i otworzyłem włącz po swojej stronie. Wysiadając, dostrzegłem muskularną postać schodzącą w dół po przyklejonych do zbocza schodach. Gość wyglądał jak przeszczepiany. Przez ramię miał przewieszony karabin, a na dłonie wcisnął rękawiczki. Raczej nie był prawnikiem.

– Spokojnie. – Uspokoila Ortega, która nagle pojawiła się przy moim ramieniu. – To nasz teren. Nie będzie się rzucał.

Kiedy mięśniak zeskoczył ze schodów, lądując na plaży na ugiętych nogach, machnęła w jego stronę odznaką. Na jego twarzy odmalowało się wyraźne rozczarowanie.

– Policja Bay City. Chcemy się widzieć z Ruthefordem.

– Nie może pani tu parkować.

– Już to zrobiłam – odpowiedziała spokojnie Ortega. – Pozwolimy, żeby pan Rutheford czekał?

Zapadła wroga cisza, ale dobrze go oceniła. Mięśniak opanował się. Chrzękając, wskazał w stronę schodów i poszedł za nami w przyzwoitej odległości pasterskiego psa. Dojście na górę zajęło nam trochę czasu, ale na szczycie z dużą przyjemnością stwierdziłem, że Ortega była wyraźnie bardziej zmęczona niż ja. Przeszliśmy przez elegancki taras wykonany z tego samego rodzaju drewna, co schody, i przez dwie pary automatycznie otwieranych, szklanych drzwi – na końcu znajdowała się poczekalnia stylizowana na salę klubową. Na podłodze rozłożono dywany zdobione wzorami podobnymi do tych z mojej kurtki, a na ścianach wisiały obrazy empatystów. W poczekalni stało pięć foteli.

– W czym mogę pomóc?

To bez wątplenia była prawniczka – elegancka, zadbana blondynka w luźnej sukience pasującej do wystroju pomieszczenia. Dłonie trzymała w kieszeniach.

– Policja Bay City. Gdzie Rutheford?

Kobieta przeniosła pytający wzrok na stojącego obok nas ochroniarza, a otrzymawszy od niego nieme potwierdzenie, nie zawracała już sobie głowy identyfikacją.

– Obawiam się, że Keith jest w tej chwili zajęty. Przebywa w wirtualu, połączenie z Nowym Jorkiem.

– Więc niech go pani wyciągnie z wirtuala – stwierdziła Ortega łagodnie, choć w jej tonie zabrzmiała stal. – Niech mu pani powie, że przyszła policjantka, która aresztowała jego klienta. Jestem pewna, że to go zainteresuje.

– To może zająć trochę czasu, pani porucznik.

– Nie, nie zajmie.

Przez chwilę kobiety mierzyły się wzrokiem, potem prawniczka kiwnęła w stronę ochroniarza, który wyszedł na zewnątrz. Nadal wyglądał na zawiedzionego.

– Zobaczę, co da się zrobić – powiedziała lodowato. – Proszę zaczekać.

Czekaliśmy – Ortega wpatrując się w plażę, ja oglądając obrazy. Niektóre były całkiem niezłe. Choć zupełnie niezależnie od siebie, oboje przywykliśmy pracować w monitorowanym otoczeniu, więc przez dziesięć minut, których trzeba było na wydobycie Rutheforda z jego sanktuarium, żadne z nas nie odezwało się ani słowem.

– Porucznik Ortega. – Modulowany głos przypomniał mi Millera z kliniki, a kiedy uniosłem wzrok znad kominka, zobaczyłem przed sobą ten sam rodzaj powłoki. Może trochę starsze, bardziej wyraziste, patriarchalne rysy, zaprojektowane, by wzbudzać szacunek u sędziów i przysięgłych, ale taka sama wysportowana sylwetka i doskonały wygląd rodem z magazynów mody. – Czemu zawdzięczam tę nieoczekiwaną wizytę? Mam nadzieję, że to nie kolejne nękanie.

Ortega zignorowała zarzut.

– Młodszy detektyw Elias Ryker – powiedziała, wskazując głową w moim kierunku. – Pański klient właśnie przyznał się do zarzutu usiłowania porwania i dopuścił się gróźb uszkodzeń

organicznych pierwszego stopnia w monitorowanym środowisku. Chce pan zobaczyć nagranie?

– Nie bardzo. Zechce mi pani powiedzieć, po co tu przyszliście?

Rutheford był dobry. Ledwie zareagował. Ledwie, ale dostatecznie, bym wychwycił to kątem oka. Mój umysł pracował już na najwyższych obrotach.

Ortega oparła się o fotel.

– Wykazuje pan zdumiewający brak wyobraźni, jak na obrońcę w sprawie z wyraźną groźbą kasacji.

Rutheford westchnął teatralnie.

– Wyciągnęła mnie pani z ważnego spotkania. Zakładam, że ma pani coś ciekawego do powiedzenia.

– Wie pan, na czym polega współudział retro-asocjacyjny osób trzecich? – zapytałem, nie odwracając wzroku od obrazu, a kiedy to w końcu zrobiłem, Rutheford skupił na mnie całą uwagę.

– Nie – odpowiedział sztywno.

– A szkoda, ponieważ jeśli Kadmin padnie, pan i reszta współników Prendergasta Sancheza trafi do ostrzału. Oczywiście, jeśli do tego dojdzie – rozchyliłem ręce i wzruszyłem ramionami – otworzymy sezon łowiecki. Prawdę mówiąc, już mogło do tego dojść.

– Dość tego. – Rutheford sięgnął ręką do nadajnika wezwaniowego, umieszczonego w klapie. Nadciągała eskorta. – Nie mam czasu na wasze gierki. Nie istnieje przepis o takiej nazwie, a wasza wizyta zaczyna przypominać nękanie.

– Chciałem się tylko dowiedzieć – podniosłem głos – po której stronie pan wylądował, Rutheford, kiedy wszystko się rypnie. Istnieje taki przepis. Przestępstwo ścigane z urzędu przez ONZ, ostatni wyrok czwartego maja 2207. Niech pan sprawdzi. Sporo czasu zajęło mi wygrzebanie tego, ale w końcu wszystkich was pogrążymy. Kadmin o tym wie, dlatego się łamie.

– Nie wydaje mi się, detektywie – odpowiedział z uprzejmym uśmiechem Rutheford.

Powtórnie wzruszyłem ramionami.

– Szkoda. Jak już powiedziałem, niech pan sprawdzi, a potem

zdecyduje, po której stronie się pan opowie. Będziemy potrzebować potwierdzenia i jesteśmy gotowi za nie zapłacić. Jeśli nie pan, Ułan Bator pełne jest prawników, którzy chętnie zrobią łaskę za taką szansę.

Uśmiech lekko zbladł.

– Tak jest, niech pan o tym pomyśli. – Kiwnąłem w stronę Ortegi. – Znajdzie mnie pan na Fell Street, tam, gdzie panią porucznik. Elias Ryker, współpraca międzyplanetarna. Obiecuję panu, że niezależnie od wszystkiego, pójdziecie na dno, a kiedy to się stanie, warto będzie mnie znać.

Ortega weszła w rolę, jakby robiła to całe życie. Jak zrobiłaby to Sara. Wyprostowała się znad fotela, o który się opierała, i ruszyła w stronę drzwi.

– Do zobaczenia, Rutheford – rzuciła lakonicznie, gdy wychodziliśmy na taras. Mięśniak już tam stał, uśmiechając się szeroko i prężąc mięśnie na ramionach. – A ty nawet o tym nie myśl.

Posłałem mu twarde spojrzenie, które podobno tak skutecznie stosował Ryker, i podążyłem za swoją partnerką w dół schodów.

* * *

Kiedy wróciliśmy do radiowozu, Ortega natychmiast włączyła ekran, przyglądając się danym kontrolnym emitowanym przez pluskwę.

– Gdzie ją umieściłeś?

– Obraz na kominku. Róg ramy.

– Wiesz, że znajdą ją tam w pięć minut. A i tak nic z tego nie będzie się nadawało na dowód w sądzie.

– Wiem. Już dwa razy mi to mówiłaś. Nie w tym rzecz. Jeśli potrząsnęliśmy Ruthefordem wystarczająco mocno, skoczy pierwszy.

– Myślisz, że zrobiliśmy na nim wrażenie?

– Trochę.

– Jasne. – Przyjrzała mi się ciekawie. – Więc czym, do cholery,

jest retro-asocjacyjny współudział osób trzecich?

– Nie mam pojęcia. Wymyśliłem to.

Uniosła brwi.

– Pieprzysz.

– Przekonałem cię, co? Wiesz co, mogłabyś mi zrobić test polarograficzny, kiedy o tym mówiłem, i na nim też dobrze bym wypadł. Podstawowe sztuczki Emisariuszy. Oczywiście, Rutheford dowie się o tym, jak tylko sprawdzi, ale to małe kłamstewko już spełniło swoje zadanie.

– Które polegało na...?

– Stworzeniu odpowiedniej areny. Kłam i nie pozwól przeciwnikowi odzyskać równowagi. To jak walka na nieznanym terenie. Rutheford był zmieszany, ale uśmiechnął się, kiedy mówiłem, dlaczego Kadmin sypie. – Spojrzałem przez przednią szybę na dom, zbierając strzępki, jakie podsuwała mi intuicja, i próbując zebrać je w całość. – Cholernie mu ulżyło, kiedy to usłyszał. Nie sądzę, żeby normalnie aż tak się zdradził, ale blef go wystraszył, a fakt, że wie o czymś lepiej niż ja, dał mu tak potrzebne śladowe oparcie. A to znaczy, że zna inne powody, dla których Kadmin mógł zmienić zachowanie. Zna prawdziwy powód.

Ortega burknęła coś na potwierdzenie.

– Nieźle, Kovacs. Powinieneś być zostać gliną. Zauważyłeś, jak zareagował na wiadomość o tym, co zrobił Kadmin? W ogóle go to nie zaskoczyło.

– Nie. Spodziewał się tego. Albo czegoś w tym stylu.

– Jasne – zrobiła pauzę. – Naprawdę zarabiałeś tak na życie?

– Czasami. Misje dyplomatyczne, ściśle tajne akcje. To nie było...

Umilkłem, gdy Ortega walnęła mnie łokciem w żebra. Na ekranie, niczym taniec błękitnego ognia, rozbłysły kodowane sygnały.

– No i proszę. Równoległe połączenia; musi to robić w wirtualu, żeby oszczędzić na czasie. Jeden, dwa, trzy... to jest do Nowego Jorku, pewnie chce poinformować resztę współników

i... ups.

Ekran błysnął i zgasł.

– Znaleźli ją – stwierdziłem.

– Owszem. Pewnie linia do Nowego Jorku ma podłączony omiatacz i przy nawiązaniu połączenia uwala wszystkie transmisje w okolicy.

– Albo to efekt któregoś z pozostałych.

– To prawda. – Ortega wywołała pamięć ekranu i wpatrzyła się w kody połączeń. – Wszystkie trzy przekierowywane przez utajnione węzły. Trochę potrwa, zanim je zlokalizujemy. Chcesz coś zjeść?

* * *

Do tęsknoty za domem nie powinien się przyznawać żaden weteran Korpusu. Jeśli nie wyleczyło cię z niej uwarunkowanie, pewnie zrobiły to lata upowłokowania na wszystkie sposoby przez cały Protektorat. Emisariusze są obywatelami tego ulotnego stanu, Tu-i-Teraz, stanu, który zazdrośnie nie dopuszcza podwójnego obywatelstwa. Przeszłość liczy się wyłącznie jako zbiór danych.

Jednak to właśnie tęsknotę za domem poczułem, gdy dotarliśmy do Latającej Ryby i w moje nozdrza uderzył aromat sosów, których ostatnio próbowałem w Millsport. Teriyaki, wrząca tempura i delikatne miso. Zatrzymałem się na chwilę, przypominając sobie tamten czas. Bar makaronowy, w którym przyczałem się razem z Sarą, czekając, aż uspokoi się sprawa z akcją w Gemini Biosys. Wzrok wlepiony w ekran transmitujący wiadomości i wideofon o uszkodzonym wyświetlaczu w rogu sali, który w każdej chwili mógł zadzwonić. Zupełnie zaparowane okna i towarzystwo małowównych rybaków z Millsport.

Przypomniały mi się też oblepione przez ćmy papierowe latarnie przed Watanabe w piątkowy wieczór w Millsport. Moją nastoletnią skórę zalewa pot od wiejącego znad dżungli

południowego wiatru, a w jednej z wielkich, lustrzanych wystaw odbijają się moje błyszczące od tetrametu oczy. Gadki, tańsze niż miski jedzenia, o wielkich porachunkach i powiązaniach z yakuzą, biletach na północ i jeszcze dalej, nowych powłokach i światach. Stary Watanabe siadywał z nami na pokładzie, przysłuchiwał się nam, ale nigdy nie komentował, tylko palił swoją fajkę i zerkał czasem do lustra na własne kaukaskie rysy – wydawało mi się, że zawsze jest wtedy lekko zaskoczony.

Nigdy nam nie powiedział, jak dostał tę powłokę, podobnie jak nigdy nie zaprzeczył plotkom (ani ich nie potwierdził) o swoich wyprawach z piechotą morską, Brygadą Pamięci Quell, Emisariuszami i kto wie, z kim jeszcze. Starszy członek gangu powiedział nam kiedyś, że widział, jak Watanabe, uzbrojony wyłącznie w swoją fajkę, poradził sobie z całym pokojem Siedmioprocentowych Aniołów. Z kolei jakiś dzieciak z osiedli bagiennych wygrzebał gdzieś nieostry fragment nagrania wiadomości, podobno z Wojen Osiedleńczych. Dwuwymiarowy, pośpiesznie nagrywany film pokazywał grupę szturmową tuż przed tym, zanim ruszyła do akcji, a sierżant, z którym rozmawiał dziennikarz, nazywał się Watanabe Y. W sposobie, w jaki przechylał głowę, słuchając pytania, było coś, dzięki czemu wszyscy zgodziliśmy się, że to właśnie nasz Watanabe. Z drugiej strony, Watanabe to dość powszechne nazwisko, a jeśli się nad tym zastanowić, facet od historii o Aniołach chętnie opowiadał nam też o tym, jak to spał z dziedziczką rodziny Harlana, kiedy wybrała się na łajdacką wyprawę po mieście, a w to już nikt z nas nie wierzył.

Kiedyś, gdy siedzieliśmy z Watanabe tylko we dwóch (a nie zdarzało się to często) i byłem na tyle trzeźwy, by zagłuszyć młodzieńczą dumę, zapytałem staruszka o radę. Od tygodni czytałem ulotki promocyjne sił zbrojnych ONZ i potrzebowałem kogoś, kto pomógłby mi podjąć decyzję.

Watanabe tylko uśmiechnął się do mnie nad ustnikiem swojej fajki.

– Mam ci poradzić? – zapytał. – Podzielić się z tobą mądrością,

która doprowadziła mnie tu, gdzie jestem?

Obaj rozejrzeliśmy się po małym barze i polach za deskami.

– No... uch, tak.

– No... uch, *nie* – powiedział z naciskiem na *nie* i wrócił do swojej fajki.

– Kovacs?

Zamrugalem, dostrzegając przed sobą Ortegę. Stała tuż obok, uważnie mi się przyglądając.

– Coś, o czym powinnam wiedzieć?

Uśmiechnąłem się blado i rozejrzałem po lśniących, stalowych stołach kuchennych.

– Niekoniecznie.

– To dobre jedzenie – stwierdziła, niewłaściwie interpretując moje spojrzenie.

– Więc spróbujmy.

Wyprowadziła mnie z kłębów pary na jedną z restauracyjnych galeryjek. Jeśli wierzyć jej słowom, Latająca Ryba była wycofanym z użycia latającym okrętem rozminowywania, odkupionym od władz przez jakiś instytut oceanograficzny. Instytut albo przestał działać, albo przeniósł się gdzie indziej, a ustawioną przy zatoce instalację porzucono. Wtedy znalazł się kolejny kupiec, przerobił Latającą Rybę na restaurację i zakotwiczył pięćset metrów nad rozpadającymi się budynkami. Co jakiś czas opuszczano ją łagodnie na ziemię, uwalniając najedzonych klientów i zabierając nowych. Kiedy przybyliśmy na miejsce, w hangarze ustawiała się kolejka, ale Ortega wyciągnęła odznakę i kiedy znów opuszczono restaurację, jako pierwsi znaleźliśmy się na jej pokładzie.

Usadowiłem się ze skrzyżowanymi nogami na poduszce przy stoliku umocowanym metalowym ramieniem do kadłuba. Przy krawędzi galerii widać było rozmycie ekranu energetycznego, utrzymującego przyzwoitą temperaturę i redukującego porywisty wiatr do przyjemnej bryzy. Dzięki heksagonalnej kracie pod nogami rozciągał się stąd niemal nieograniczony widok na znajdujący się kilometr niżej ocean. Przesunąłem się

niepewnie. Duże wysokości nigdy mi nie odpowiadały.

– Używali tego do śledzenia wielorybów i tym podobnych – rzuciła Ortega, wskazując na kadłub. – W czasach kiedy instytucje takie jak ta nie mogły sobie jeszcze pozwolić na satelity. Oczywiście, z Dniem Zrozumienia walenie stały się nagle źródłem wielkich pieniędzy dla wszystkich, którzy mogli z nimi rozmawiać. Wiesz, że powiedziały nam o Marsjanach prawie tyle samo, co cztery stulecia badań archeologicznych na Marsie? Chryste, one pamiętają ich przybycie! Oczywiście, w pamięci rasowej.

Urwała.

– Urodziłam się w Dniu Zrozumienia – dodała bez związku.

– Serio?

– Taa. Dziewiątego stycznia. Nazwali mnie Kristin na cześć jakiejś uczonej z Australii, pracującej w grupie tłumaczy.

– Miło.

Nagle dotarło do niej, z kim naprawdę rozmawia. Wzruszyła ramionami, jakby próbowała unieważnić wszystkie słowa.

– Kiedy jest się dzieckiem, nie patrzy się na to w ten sposób. Chciałam mieć na imię Maria.

– Często tu przychodzisz?

– Niezbyt. Ale pomyślałam, że spodoba się każdemu ze Świata Harlana.

– Trafiony.

Pojawił się kelner i za pomocą holoprojektora wyczarował w powietrzu między nami menu. Szybko przebiegłem po nim wzrokiem i na chybił trafił wybrałem jedną z potraw. Coś wegetariańskiego.

– Dobry wybór – pochwaliła Ortega. Skinęła na kelnera. – Dla mnie to samo. I sok. Chcesz coś do picia?

– Wodę.

To, co wybraliśmy, rozbłysło na chwilę na różowo, po czym menu znikło. Kelner eleganckim gestem schował emiter do kieszeni na piersi i oddalił się. Ortega rozejrzała się, szukając neutralnego tematu do dyskusji.

- No więc, uch... macie takie miejsca w Millsport?
- Tak, na ziemi. Raczej nie rozwijamy lotów atmosferycznych.
- Nie? – W typowy dla siebie sposób uniosła brwi. – Millsport mieści się na archipelagu, prawda? Wydawało mi się, że pojazdy powietrzne stanowiłyby...
- Oczywiście rozwiązanie? Zasadniczo masz rację, ale zapominasz o jednym. – Błysnąłem oczami w stronę nieba. – Nie jesteśmy sami.
- Stacje orbitalne? – zaskoczyła. – Są wrogo nastawione?
- Mmm... Powiedzmy, że są kapryśne. Mają skłonność do zestrzeliwania wszystkiego, co lata i waży więcej niż helikopter. A ponieważ nikomu nie udało się zbliżyć do żadnej z nich dostatecznie blisko, by którąś rozmontować albo choć wejść na pokład, nie mamy pojęcia, jakie są parametry ich programów. Tak więc wolimy zachować ostrożność i nie latamy zbyt wiele.
- To chyba utrudnia podróże międzyplanetarne.
- Kiwnąłem głową.
- Cóż... I tak nie ma zbyt wielkiego ruchu. W systemie nie ma innych, nadających się do zamieszkania planet, a wciąż jesteśmy zbyt zajęci eksploracją Świata, by przejmować się terraformacją. Kilka próbników badawczych i promy z obsługą platform. Jeszcze trochę eksploatacji pierwiastków rzadkich i już, nic więcej. Pod wieczór pojawia się kilka okien startowych w okolicy równika i jedna przerwa przed świtem koło bieguna. Wygląda to tak, jakby kilka satelitów kiedyś rozbiło się i spłonęło, robiąc dziury w sieci – przerwałem na chwilę. – Albo ktoś je zestrzelił.
- Ktoś? Mówisz, że ktoś, nie Marsjanie?
- Rozłożyłem ręce.
- Czemu nie? Wszystko, co znaleźliśmy na Marsie, było zniszczone i pogrzebane. Albo tak dobrze ukryte, że spędziliśmy dziesięciolecia, zanim uświadomiliśmy sobie, że tam to właśnie jest, że cały czas na to patrzyliśmy. Podobnie wygląda to na większości zamieszkałych światów. Wszystkie dowody sugerują

jakiś konflikt.

– Ale archeolodzy mówią, że to była wojna domowa, kolonialna.

– Jasne, kolonialna. – Złożyłem ręce i usiadłem wygodniej. – Archeolodzy mówią to, co każe im Protektorat, a w tej chwili modne jest, by ubolewać nad tragedią dominium marsjańskiego, rozdieranego na części i wymierającego z powodu zdziczenia. Wielkie ostrzeżenie dla ich następców. Nie buntujcie się przeciw waszym prawowitym władcom, dla dobra całej cywilizacji.

Ortega nerwowo rozejrzała się wokół siebie. Rozmowy przy części najbliższych stolików przycichły i zamarły. Uśmiechnąłem się szeroko do publiczności.

– Moglibyśmy porozmawiać o czymś innym? – zapytała nerwowo.

– Jasne. Opowiedz mi o Rykerze.

Zdenerwowanie szybko zastąpił lodowaty bezruch. Ortega położyła dłonie na płask na stoliku przed sobą i wbiła w nie wzrok.

– Nie, to nie jest najlepszy pomysł – powiedziała w końcu.

– W porządku. – Przez chwilę przyglądałem się rozmytym przez migoczący ekran energetyczny chmurom, unikając spoglądania w ocean. – Ale myślę, że tak naprawdę tego chcesz.

– Typowo męskie nastawienie.

Przyniesiono zamówienie i w ciszy zabraliśmy się za jedzenie, od czasu do czasu tradycyjnie siorbiąc. Pomimo doskonale zrównoważonej automatycznej kuchni Hendriksa, odkryłem, że mam wilczy apetyt. Jedzenie wyzwoliło we mnie głód głębszy niż potrzeby żołądka. Wygrzebywałem resztki z miseczki, zanim Ortega zdążyła zjeść połowę swojej porcji.

– Smakowało? – zapytała ironicznie, gdy odchylałem się od stołu.

Kiwnąłem głową, próbując odepchnąć od siebie resztki wspomnień związanych z potrawką. Nie chciałem uruchamiać uwarunkowania Emisariusza i psuć promieniującego z żołądka uczucia sytości. Omiatając wzrokiem eleganckie, metalowe linie

galerii jadalnej i nieba powyżej, byłem najbliżej całkowitego zadowolenia od chwili, gdy Miriam Bancroft zostawiła mnie wyczerpanego w Hendriksie.

Zaświergotał telefon Ortegi. Wyciągnęła go i odebrała, wciąż przeżuując ostatnią porcję.

– Tak? Uch. Uch-uch, dobrze. Nie, pójdziemy. – Błysnęła oczami w moją stronę. – Naprawdę? Nie, to też zostawcie. To poczeka. Jasne, dzięki, Zak. Mam u ciebie dług.

Schowała telefon i wróciła do jedzenia.

– Dobre wieści?

– Zależy od punktu widzenia. Wyśledzili dwa lokalne połączenia. Pierwsze połączenie Rutheford wykonał do hali walk w Richmond, znam to miejsce. Polecimy się tam rozejrzeć.

– A drugie?

Ortega popatrzyła na mnie znad swojej miski, przeżuła coś i połknęła.

– Drugi numer był zastrzeżony. Rezydencja Bancrofta. Suntouch House. Teraz powiedz mi, co o tym myślisz?

Rozdział dziewiętnasty

Hala walk mieściła się w starym masowcu, zacumowanym w północnej części zatoki, w rejonie setek opuszczonych magazynów. Statek miał dobrze ponad pół kilometra długości i sześć wyraźnie wyodrębnionych komór ładunkowych. Ostatnia, przy rufie, była otwarta. Z powietrza cały statek wyglądał na czerwony, co, moim zdaniem, było efektem pokrywającej go rdzy.

– Nie daj się zwieść pozorom – ostrzegła mnie Ortega, gdy spiralą schodziliśmy w dół. – Wzmocnili cały kadłub ćwierćmetrową warstwą polimerów. Żeby go teraz zatopić, trzeba by użyć solidnych ładunków kumulacyjnych.

– Kosztowne.

– Stać ich na to. – Wzruszyła ramionami.

Wylądowaliśmy na nabrzeżu. Ortega wyłączyła silniki i wyciągnęła się nad moimi kolanami, by przyjrzeć się statkowi, sprawiającemu wrażenie opuszczonego. Wcisnąłem się głębiej w fotel, czując dyskomfort zarówno z powodu nacisku gibkiego torsu na uda, jak i lekko przepełnionego żołądka. Wyczuła mój ruch, uświadomiła sobie nagle, co robi i gwałtownie się wyprostowała.

– Nikogo nie ma w domu – stwierdziła niezręcznie.

– Na to wygląda. Wejdziemy się rozejrzeć?

Wyszliśmy na typowy porywisty wiatr od zatoki i ruszyliśmy w stronę rurowego trapu z aluminium, ustawionego w rufowej części statku. Szliśmy po nieprzyjemnie otwartym terenie, toteż cały czas omiatałem wzrokiem relingi, żurawie i mostek. Żadnego ruchu. Docisnąłem lekko lewe ramię do tułowia, sprawdzając, czy fibrorzepowa kabura nie zsunęła się, co często się zdarzało tańszym modelom po kilku dniach noszenia. Mając

nemexa, byłem przekonany, że dysponowałem większym zasięgiem skutecznego ognia niż ktokolwiek, kto próbowałby strzelać do nas z relingu.

W sumie okazało się to zbędne. Doszliśmy do wejścia na trap bez żadnych przeszkód. Wejście było zablokowane cienkim łańcuchem, na którym zawieszono tabliczkę z ręcznym napisem.

PANAMA ROSE WIECZORNA WALKA – 22:00 NA BRAMCE PODWÓJNE CENY BILETÓW

Uniosłem cienki metalowy prostokąt i z powątpiewaniem przyjrzałem się odręcznym literom.

– Jesteś pewna, że Rutheford dzwonił *tutaj*?

– Jak już mówiłam, nie daj się zwieść. – Ortega odpięła łańcuch. – Tak jest bardziej stylowo. Prostota jest modna. W zeszłym sezonie wisiał tu neon, ale teraz nawet to nie jest dość sztywne. To cholerne miejsce jest znane na całej Ziemi. Na planecie są tylko trzy lub cztery podobne. Na arenach nie wolno filmować. Żadnego holo, nawet telewizuali. Wchodzisz czy nie?

– Dziwne. – Poszedłem za nią rurowym korytarzem, przypominając sobie publiczne walki, na które chodziłem, gdy byłem młodszy. Na Świecie Harlana wszystkie walki są transmitowane. Mają największą oglądalność wśród programów rozrywkowych. – Ludzie nie lubią oglądać takich rzeczy?

– Jasne, oczywiście, że lubią. – Nawet mimo zniekształceń głosu odbijającego się echem w korytarzu usłyszałem w jej słowach potępienie. – Nigdy nie mają ich dość. Tak właśnie działa ten interes. Widzisz, najpierw wymyślili to swoje kredo...

– Kredo?

– Tak, Kredo Czystości czy jakoś tak. Nikt nigdy nie powiedział ci, że nieuprzejmie jest przerywać innym? Kredo głosi, że jeśli chcesz zobaczyć walkę, idziesz na nią osobiście. To *lepiej* od oglądania jej w sieci. Bardziej stylowe. Tak więc przy ograniczonej liczbie miejsc na widowni popyt rośnie

w niewyobrażalnym tempie. Dzięki temu bilety są sexy, więc są drogie, a dzięki temu jeszcze bardziej sexy. I ktokolwiek to wymyślił, jedzie na tej spirali w górę prosto przez sufit.

– Sprytne.

– Tak, sprytne.

Dotarliśmy do końca trapu i znów się zatrzymaliśmy, tym razem na smagany wiatrem pokładzie. Po obu stronach, jak stalowe pęcherze na skórze statku, gładko wznosiły się sięgające pasa pokrywy ładowni. Za tylnym wybrzuszeniem wystawała wieża mostka – sprawiała wrażenie, jakby nic nie wiązało jej z pokładem. Wokół panowała cisza, poruszał się jedynie huśtany wiatrem łańcuch jednego z dźwigów ładunkowych.

– Ostatnim razem byłam tu – powiedziała Ortega, podnosząc głos, by przekrzyczeć wiatr – bo jakiś gówniany dziennikarz z WorldWeb Jeden został przyłapany na próbie wniesienia na walkę implantów nagraniowych. Wrzucili go do zatoki. Ale najpierw wyciągnęli implanty szczypcami.

– Miło.

– Jak mówiłam, to miejsce z klasą.

– Cóż za pochlebstwa, pani porucznik. Aż nie wiem, co odpowiedzieć. – Metalicznie pobrzmiwający głos rozległ się z podrdzewiałych megafonów umieszczonych na dwumetrowych tyczkach wzdłuż relingu.

Moja ręka błyskawicznie powędrowała do rękojeści nemexa, a wzrok zgwaltownie przeskanował całe pole widzenia. Ortega prawie niezauważalnie potrząsnęła głową i spojrzała w górę, na mostek. Przez chwilę skanowaliśmy wzrokiem całą strukturę, podświadomie się koordynując. Biorąc pod uwagę szybkość, z jaką podskoczyło napięcie, poczułem ciepły dreszcz przyjemności wynikającej z nieoczekiwanego zestrojenia.

– Nie, nie. Tutaj – zabrzmiał znów metaliczny głos, tym razem ograniczony do głośników na rufie.

Kiedy spojrzałem w tamtą stronę, łańcuch jednego z rufowych żurawi ożył i zaczął wyciągać coś z otwartej ładowni przed mostkiem. Zatrzymałem dłoń na nemexie. Nad nami słońce

nieśmiało przebiło się przez zasłonę chmur.

Łańcuch kończył się potężnym hakiem, w jego zgięciu stał mówca, jedną ręką trzymając antyczny mikrofon systemu nagłośnienia, drugą przytrzymując się swobodnie łańcucha. Ubrany był w zupełnie nieodpowiedni w tych okolicznościach, powiewający na wietrze szary garnitur. Odchyłał się od łańcucha pod starannie dobranym kątem, włosy skrzyły mu się w zbłąkanym promieniu słońca. Wytężyłem wzrok, by potwierdzić przypuszczenia. Syntetyk. Tani.

Ramię dźwigu przesunęło się nad szczytem zakrzywionej pokrywy luku i syntetyk stanął elegancko na szczycie, patrząc na nas w dół.

– Elias Ryker – powiedział głosem tylko nieco gładszym niż ten, który wydobywał się z głośników. Ktoś naprawdę zaoszczędził na jego strunach głosowych. Potrząsnął głową. – Myśleliśmy, że widzieliśmy twój koniec. Jak krótka jest pamięć sprawiedliwości.

– Carnage? – Ortega uniosła dłoń, osłaniając oczy przed nieoczekiwanym blaskiem. – To ty?

Syntetyk skłonił się lekko i wcisnął mikrofon do kieszeni marynarki. Zaczął schodzić w dół pochyłej pokrywy ładowni.

– Emcee Carnage, do usług, mili państwo. Jakiegoż to przestępstwa dzisiaj dokonaliśmy?

Milczałem. Sądząc po tym, co mówił, powinienem znać tego Carnage’a, ale nie wiedziałem jeszcze wystarczająco dużo, by był sens się odzywać. Pamiętając, co powiedziała Ortega, po prostu wbiłem wzrok w zbliżającego się syntetyka w nadziei, że dostatecznie imituję Rykera.

Sztuczny człowiek doszedł do krawędzi kopuły i zeskoczył w dół. Z bliska widać było, że kiepskiej jakości miał nie tylko struny głosowe. To ciało tak dalece odbiegało od tego, jakiego używała Trepp, gdy ją spaliłem, że ledwie zasługiwało na tę samą nazwę. Przez chwilę zastanawiałem się nawet, czy to przypadkiem nie jakiś antyk. Czarne włosy były szorstkie i szkliste, twarz zrobiono z obwisłej tkanki silikonowej, a bladobłękitne oczy miały na białkach wyraźne logo. Ciało

wyglądało solidnie, nawet trochę zbyt solidnie, ale ręce były zniekształcone i przypominały raczej węże niż kończyny. Dłonie miał gładkie i pozbawione odcisków. Wyciągnął do mnie jedną z nich, jakby na próbę.

– No i? – zapytał łagodnie.

– Rutynowa kontrola, Carnage – odpowiedziała Ortega, przychodząc mi z pomocą. – Odebraliśmy pogróżki o bombie podczas dzisiejszej walki. Przyszliśmy się rozejrzeć.

Carnage roześmiał się drażniaco.

– Jakby was to obchodziło.

– Jak mówiłam – odpowiedziała bezbarwnie – to rutynowa wizyta.

– No cóż, wobec tego, lepiej chodźmy. – Syntetyk westchnął i kiwnął w moją stronę. – Co z nim? Stracił w przechowalni zdolność mowy?

Poszliśmy za nim na tył statku, omijając po drodze zrolowaną pokrywę ostatniej ładowni. Zajrzałem do środka i zobaczyłem w dole biały, okrągły ring, otoczony stromymi rzędami plastikowych krzesełek. W górze podwieszono mnóstwo reflektorów, ale nie dostrzegłem żadnych kolczastych kul kojarzących się ze sprzętem transmisyjnym. Na środku ringu ktoś klęczał, ręcznie malując na nim wzór. Gdy przechodziliśmy, spojrzał w górę.

– Tematyczne – rzucił Carnage, widząc, gdzie patrzę. – Coś znaczy po arabsku. W tym sezonie walki wiążą się tematycznie z akcjami policyjnymi w całym Protektoracie. Dziś wieczorem będzie Sharya. Męczennik Prawej Ręki Boga kontra marines Protektoratu. Gołe ręce, żadnych ostrzy powyżej dziesięciu centymetrów.

– Innymi słowy, rzeźnia – skomentowała Ortega.

Syntetyk wzruszył ramionami.

– Publiczność dostaje to, za co płaci. O ile wiem, *można* kogoś zabić za pomocą ostrza o długości dziesięciu centymetrów, choć nie jest to łatwe. Mówią, że to prawdziwy test umiejętności. Tędy proszę.

Wąskim przejściem wkroczyliśmy do wnętrza statku. Nasze kroki głośno dzwoniły w ciasnych korytarzach.

– Zakładam, że najpierw chcecie zobaczyć arenę? – zawołał Carnage, przekrzykując echo.

– Nie, najpierw zbiorniki – zasugerowała Ortega.

– Serio? – Trudno było mieć pewność, biorąc pod uwagę niskiej jakości głos syntetyka, ale Carnage chyba dobrze się bawił. – Jest pani pewna, że szukacie bomby, pani porucznik? Wydaje mi się, że arena stanowi oczywisty cel...

– Masz coś do ukrycia, Carnage?

Syntetyk odwrócił się i zagadkowo przyglądał mi się przez chwilę.

– Nie, absolutnie nie, detektywie Ryker. A więc proszę bardzo, zbiorniki. A przy okazji, witamy. Zimno było w przechowalni? Oczywiście, prawdopodobnie nie spodziewał się pan tam trafić osobiście.

– Dość tego – wtrąciła się Ortega. – Zaprowadź nas do zbiorników i oszczędź sobie gadki na wieczór.

– Ależ oczywiście. Staramy się współpracować ze stróżami prawa. Jako legalnie działa...

– Jasne. – Ortega resztkami cierpliwości uciszyła jego przemowę. – Zabierz nas do tych cholernych zbiorników.

Znów posłałem mu groźne spojrzenie.

Pojechaliśmy do zbiorników małym wagonikiem kolejki elektromagnetycznej biegnącej wzdłuż jednej z burt statku. Minęliśmy jeszcze dwie zakryte ładownie, wyposażone w takie same ringi do walk z rzędami siedzeń, choć te były schowane pod plastikowymi osłonami. Na końcu trasy przeszliśmy przez zwyczajową procedurę oczyszczenia ultradźwiękowego. Otworzyły się przed nami drzwi udające kute żelazo, znacznie brudniejsze niż w Psychasecu, odsłaniając nieskazitelnie białe wnętrze.

– W tym miejscu rozstajemy się z naszym zewnętrznym wizerunkiem – wyjaśnił swobodnie Carnage. – Nagi prymitywizm bardzo dobrze sprzedaje się na scenie, ale

na zapleczu, cóż – wskazał na otaczające nas lśniąca urządzenia – nie da się usmażyć omletu bez oleju na patelni.

Przednia ładownia była olbrzymia i chłodna, oświetlenie słabe, a urządzenia masywne. O ile słabo oświetlone mauzoleum Bancrofta w Psychasecu kojarzyło się z kulturalnym bogactwem, a sala upowłokowania w przechowalni Bay City z tymi, którzy nie zasługują na więcej niż urzędowe minimum, o tyle bank ciał na statku Panama Rose roztaczał wokół siebie aurę brutalnej potęgi. Rury przechowalni pozawieszano niczym torpedy po obu stronach przejścia zawieszonego na grubych łańcuchach. Podłączono je równocześnie do systemu monitorującego szerokimi, czarnymi kablami, poskręcany na podłodze niczym węże boa. Jednostka monitorująca przysiadła nad nami ciężko, jak ołtarz jakiegoś paskudnego, pajęczego boga. Zbliżyliśmy się do niej po metalowym chodniku wzniesionym ćwierć metra nad znieruchomiałymi splotami kabli. Dalej, po lewej i prawej stronie, w ścianie widoczne były szklane boki dwóch obszernych zbiorników przelewowych. W tym po prawej czekała już powłoka, unosząc się w żelu z rękami rozkrzyżowanymi przez czujniki monitorujące.

Przypominało to wejście do katedry andrystów w Newpest.

Carnage podszedł do głównego monitora, odwrócił się i rozrzucił ramiona jak powłoka w zbiorniku za nim.

– Od czego chcecie zacząć? *Zakładam*, że macie ze sobą jakiś zaawansowany sprzęt do wykrywania bomb.

Ortega go zignorowała. Podeszła kilka kroków do zbiornika przelewowego i zajrzała w głąb chłodnego, zielonego światła rzucanego w mrok.

– To jedna z kurew na dzisiaj? – zapytała.

– W skrócie, tak. – Carnage pociągnął nosem. – Choć naprawdę chciałbym, żeby zrozumiała pani różnicę między tym, czym handlują w obskurnych sklepikach w dół wybrzeża, i tym, co my oferujemy.

– Ja też – odpowiedziała Ortega, z oczami wciąż utkwionymi w ciele. – To skąd to wzięłeś?

– A skąd mam wiedzieć? – Carnage teatralnym gestem obejrzał plastikowe paznokcie prawej dłoni. – Och, mamy gdzieś fakturę, jeśli musicie to sprawdzić. Ale sądząc po tym, jak wygląda, powiedziałbym, że pochodzi z Nippon Organics albo któregoś z kombinatów wybrzeża Pacyfiku. Czy naprawdę ma to jakieś znaczenie?

Podszedłem bliżej do zbiornika – szczupłe, mocne i brązowe ciało, lekko skośne, japońskie oczy osadzone nad nieproporcjonalnie wysokimi kośćmi policzkowymi; gęste, czarne i proste włosy dryfujące w żelu niczym wodorosty. Wdzięcznie elastyczne, z długimi rękami artysty, lecz umięśnione do błyskawicznej walki. Ciało technoninji; ciało, o jakim marzyłem w ponure, deszczowe dni w Newpest, mając piętnaście lat. Niezbyt różniło się od powłoki, którą dali mi na wojnę na Sharyi. Wariacja na temat pierwszej powłoki, jaką kupiłem sobie za pierwszy duży zarobek w Millsport, powłoki, w której spotkałem Sarę.

Miałem wrażenie, jakbym patrzył na siebie; na część siebie przechowaną gdzieś w zwojach pamięci, sięgającej aż do dzieciństwa. Nagle poczułem, że stoję po niewłaściwej stronie lustra, wpakowany wbrew sobie w kaukaskie ciało.

Carnage podszedł do mnie i poklepał szkło.

– Pan się zgadza, detektywie Ryker? – Kiedy nie odpowiedziałem, zaczął mówić dalej: – Jestem pewien, że tak, ktoś z takimi skłonnościami do, powiedzmy, bójek, nie powinien zaprzeczać. Specyfikacja naprawdę robi wrażenie. Wzmocnione podwozie, wszystkie kości ze szpikiem polimerowym przeplatany włóknami wzmacniającymi, wzbogacone węglowo ścięgni, neurochem Khumalo...

– Też mam neurochem – odezwałem się, żeby tylko coś powiedzieć.

– Wiem wszystko o pańskiej neurochemii, poruczniku Ryker. – Nawet pomimo nędznej jakości głosu byłem przekonany, że słyszę w tych słowach satysfakcję. – Arena przeskanowała pańską specyfikację, gdy był pan w przechowalni. Wie pan,

sugerowano, żeby pana wykupić. To znaczy fizycznie. Uważano, że pańska powłoka mogłaby zostać wykorzystana w meczu upokorzenia. Oczywiście, udawanym, nigdy nie marzylibyśmy o realnej walce. To byłoby, wie pan, przestępstwo. – Carnage zrobił teatralną przerwę. – W końcu zdecydowano jednak, że tego rodzaju walka nie mieściłaby się w, hm, duchu tej instytucji. Rozumie pan, obniżanie poziomu. Nieprawdziwe starcie. Naprawdę szkoda... Biorąc pod uwagę fakt, ilu „przyjaciół” zaskarbił pan sobie do tej pory, walka przyciągnęłaby tłumy.

Tak naprawdę wcale go nie słuchałem, choć dotarło do mnie, że mocno obraża Rykera. Odwróciłem się od szyby, wbijając w niego wymowne spojrzenie.

– Ale odchodzę od tematu – gładko kontynuował syntetyk. – Tak naprawdę chciałem powiedzieć, że porównywać pański neurochem z tym tutaj, to jak porównywać mój głos z głosem Anchany Salomao. To – jeszcze raz wskazał na zbiornik – to neurochem Khumalo, opatentowany w zeszłym roku przez Cape Neuronics. Rozwój o niemal duchowym znaczeniu. Tam nie ma chemicznych wzmacniaczy synaptycznych, chipów wspomagających czy wprowadzonego chirurgicznie okablowania. System wrósł w ciało i reaguje bezpośrednio na myśl. Niech się pan nad tym zastanowi, detektywie. Nie ma tego jeszcze nikt poza planetą, ONZ rozważa wprowadzenie dziesięcioletniego embarga na eksport do kolonii, choć wątpię w skuteczność takiego...

– Carnage – przerwała mu niecierpliwie Ortega. – Cemu jeszcze nie przelałeś drugiego zawodnika?

– Ależ robimy to, pani porucznik. – Carnage machnął ręką w stronę cylindrów zawieszonych po lewej stronie.

Dobiegł nas stamtąd odgłos pracy ciężkiej maszynery. Wyteżyłem wzrok i wyłowiłem w mroku automatyczny wózek widłowy przesuwający się wzdłuż rzędu pojemników. Na naszych oczach zatrzymał się, a z jego korpusu trysnęła jasna wiązka światła. Wysunął kleszcze i zacisnął je na jednej z tub, wyciągając ją z łańcuchowej kołyski, podczas gdy mniejsze

manipulatory odłączyły od niej okablowanie. Po zakończeniu separacji maszyna wycofała się trochę, obróciła i ruszyła przejściem w stronę pustego zbiornika do przelewania.

– System jest całkowicie zautomatyzowany – wyjaśnił niepotrzebnie Carnage.

Pod zbiornikiem zauważyłem teraz rząd trzech okrągłych otworów przypominających przednie śluzy pasażerskie krążownika międzyplanetarnego. Podnośnik uniósł się trochę na tłokach hydraulicznych i gładko wsunął tubę w środkowy otwór. Cylinder wszedł gładko i obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni, po czym zatrzasnęła się za nim stalowa pokrywa. Po zakończeniu zadania robot opuścił podnośnik hydrauliczny i wyłączył silniki.

Przyglądałem się zbiornikowi.

Miałem wrażenie, że trwa to strasznie długo, choć faktycznie zajęło pewnie mniej niż minutę. W dnie otworzył się właz, z którego w górę wystrzelił srebrzysty gejzer bąbelków. Za nimi powoli w górę wypłynęło ciało. Przez chwilę poruszało się chaotycznie, obracając się na wszystkie strony w wirach wywołanych przez pęcherze powietrza, potem ręce i nogi zaczęły się rozwijać, z delikatną pomocą kabli monitorujących, przymocowanych do nadgarstków i kostek. To ciało miało masywniejsze kości niż powłoka Khumalo, mocniejszą i cięższą muskulaturę, ale podobną barwę skóry. Kiedy cienkie przewody rozprostowały unoszącą się w zbiorniku postać, dostrzegliśmy jej wyraziste rysy twarzy z orlim nosem.

– Sharyański Męczennik Prawej Ręki Boga – powiedział z zadowoleniem Carnage. – Oczywiście, nie jest prawdziwy, ale to odpowiedni typ rasowy i ma autentyczne podrasowanie systemu Woli Boga. – Kiwnął w stronę drugiego zbiornika. – Piechota morska na Sharyi była wielorasowa, ale mieli sporo Japońców.

– Niezbyt wielkie wyzwanie, co? – rzuciłem. – Najwyższej klasy neurochem przeciw sharyańskiej biomechanice sprzed stulecia.

Carnage wyszczerzył w uśmiechu twarz z tkanki silikonowej.

– Cóż, to zależy od walczących. Mówiono mi, że trzeba trochę czasu, żeby przyzwyczaić się do systemu Khumalo, a szczerze mówiąc, nie zawsze wygrywa lepsza powłoka. Jest w tym coś z psychologii. Wytrzymałość, odporność na ból...

– Okrucieństwo – dodała Ortega. – Brak współczucia.

– Owszem, tego rodzaju sprawy – zgodził się syntetyk. – Oczywiście, dzięki temu walki są tak ekscytujące. Gdybyście zechcieli przyjść dziś wieczorem, pani porucznik, detektywie, z pewnością znalazłbym jeszcze dwa miejsca gdzieś na widowni.

– Ty będziesz komentował – domyśliłem się, słysząc w głowie bogate w specyfikacje słownictwo, jakiego Carnage używał przez megafony. Niemal widziałem przed sobą zabójczy krąg zalany powodzią białego światła, ryk podnieconych tłumów na ciemnej widowni, prawie czułem smród potu i żądzę krwi.

– Oczywiście, że tak – syknął w moją stronę Carnage. – Przecież nie odstawili pana aż na tak długo.

– Będziemy szukać tych bomb? – zapytała głośno Ortega.

Przez ponad godzinę kręciliśmy się po ładowni w poszukiwaniu wyimaginowanej bomby, podczas gdy Carnage przyglądał nam się z kiepsko maskowanym rozbawieniem. Z góry, ze swych oświetlonych zielonym światłem, przeszklonych macic patrzyły na nas dwie powłoki, których przeznaczeniem dziś wieczorem była śmierć.

Rozdział dwudziesty

Ortega wysadziła mnie na Mission Street, gdy nad miastem zapadał już wieczór. Całą drogę powrotną była przygaszona i odzywała się wyłącznie monosylabami; przypuszczam, że zaczęło jej ciążyć ciągle uświadamianie sobie, że nie jestem Rykerem. Ale kiedy wysiadając, zacząłem teatralnie otrzepywać rękawy, szczerze się roześmiała.

– Trzymaj się jutro okolic Hendriksa – powiedziała. – Chciałabym, żebyś z kimś porozmawiał, ale zorganizowanie tego może mi chwilę zająć.

– W porządku. – Odwróciłem się, by odejść.

– Kovacs.

Odwróciłem się z powrotem. Przechyliła się przez kabinę, patrząc na mnie przez otwarte drzwi. Oparłem się ręką o uniesiony właz radiowozu i spojrzałem w dół. Na dłuższą chwilę zapanowała cisza, w której poczułem, jak w mojej krwi wolno rośnie poziom adrenaliny.

– Tak?

Zawahała się jeszcze, potem powiedziała:

– Carnage coś ukrywał, prawda?

– Sądząc po tym, ile mówił, raczej tak.

– Tak myślałam. – Pośpiesznie wróciła do pulpitu sterowniczego, a drzwi zaczęły osuwać się na swoje miejsce. – Do zobaczenia jutro.

Przez chwilę patrzyłem za odlatującym radiowozem, a potem westchnąłem. Byłem prawie pewien, że dobrze zrobiłem, idąc do Ortegi, choć nie spodziewałem się, że wszystko się tak skomplikuje. Niezależnie od tego, jak długo była z Rykerem, musiała między nimi działać potężna chemia. Przypomniałem sobie przeczytany kiedyś tekst o tym, jak to feromony

przyciągające ciała po dłuższym czasie przebywania ze sobą przechodzą rodzaj kodowania, który coraz bardziej je wiąże. Nikt z wypowiadających się na ten temat biochemików nie rozumiał tego procesu do końca, ale podjęto pewne próby badań w laboratoriach. Przyspieszanie bądź przerywanie procesu dawało różne rezultaty. Jednym z efektów tych badań była empatyna i jej pochodne.

Chemia. Wciąż miałem w głowie mętlik po koktajlu Miriam Bancroft i nie potrzebowałem jeszcze dodatkowych wrażeń. Powtórzyłem to sobie z naciskiem. *Nie potrzebowałem kłopotów.*

Przed sobą, nad głowami śpieszących się gdzieś przechodniów, dostrzegłem holograficzną postać leworęcznego gitarzysty. Westchnąłem i ruszyłem w stronę Hendriksa.

Mniej więcej w pół drogi do hotelu przemknął obok mnie masywny, automatyczny pojazd, trzymający się tuż przy krawężniku. Przypominał wyglądem roboty czyszczące ulice Millsport, więc nie zwracałem na niego uwagi. Kilka sekund później zalał mnie strumień emisji z maszyny.

... z Domów z Domów z Domów z Domów z Domów z Domów z Domów z Domów z Domów z Domów...

Męskie i żeńskie głosy pomrukiwały i szeptały, brzmiały jak chór orgazmów. Nakładały się na to obrazy różniące się w szerokim spektrum preferencji seksualnych. Wir przelotnych wrażeń zmysłowych.

Prawdziwe...

Bez cenzury...

Wszystkie zmysły...

Dopasowane...

Jakby na dowód tego ostatniego, losowa emisja ograniczyła się do strumienia kombinacji heteroseksualnych. Musieli przeskanować moją reakcję na spektrum opcji i nakarmić danymi jednostkę emisyjną. Bardzo zaawansowana technika.

Strumień zakończył się numerem telefonu wypisanym błyszczącymi cyframi i obrazem penisa w erekcji w dłoniach kobiety o długich, ciemnych włosach, z uśmiechem

na karmazynowych wargach. Spojrzała w soczewkę. Poczułem na sobie jej palce.

Głowa w Chmurach, wyszeptała. *Tak tu jest. Może nie stać cię na pełny serwis, ale z pewnością stać cię na to.*

Opuściła głowę, przesuwając wargami po penisie. Jakby robiła to mnie. Potem długie czarne włosy przesłoniły wszystko i wygasily obraz. Znów byłem na ulicy, spocony – chwiałem się na nogach. Automatyczny projektor potoczył się dalej ulicą, a co sprytniejsi przechodnie uskakiwali przed zasięgiem jego projekcji.

Stwierdziłem, że bez najmniejszego problemu mogę przywołać z pamięci numer telefonu.

Pot gwałtownie mnie ochłodził, wywołując dreszcze. Rozciągnąłem ramiona i próbowałem ignorować pełne zrozumienia spojrzenia innych przechodniów. Już prawie wróciłem do poprzedniego tempa, kiedy przed wejściem do Hendriksa zauważyłem zaparkowaną długą, niską limuzynę.

Zanim rozpoznałem pojazd Bancrofta, napięcie sprawiło, że sięgnąłem do kabury z nemexem. Zmuszając się do spokojnego oddechu, obszedłem limuzynę i przekonałem się, że kabina kierowcy jest pusta. Wciąż zastanawiałem się, co robić, kiedy otworzyły się drzwi od strony pasażera i zobaczyłem w nich Curtisa.

– Musimy pogadać, Kovacs – odezwał się, jakby chciał mnie zaprosić na męską pogawędkę, co wywołało u mnie jedynie atak histerycznego śmiechu. – Pora na decyzję.

Zlustrowałem go od góry do dołu i, odbierając drobne sygnały z jego postawy i ruchów, stwierdziłem, że jest w tej chwili pod wpływem wspomagania chemicznego. Postanowiłem spełnić jego żądanie.

– Jasne. W limuzynie?

– Ciasno tam. Może zaprosisz mnie do pokoju?

Zmrużyłem oczy. W głosie szofera brzmiała jawna wrogość, nie miałem też wątpliwości, co wypychało mu z przodu spodnie. Zgoda, jeszcze przed chwilą też miałem sztywnego, ale

pamiętałem, że limuzyna Bancrofta była chroniona przed ulicznymi emisjami. Chodziło o coś innego.

Kiwnąłem głową w stronę wejścia do hotelu.

– Dobra, chodźmy.

Drzwi rozsunęły się, wpuszczając nas do środka. Hotel ożył.

– Dobry wieczór panu. Tym razem nie ma pan żadnych gości...

– Rozczarowany? – prychnął Curtis.

– Od pańskiego wyjścia nie odebrałem też żadnych telefonów – kontynuował gładko hotel. – Życzy pan sobie przyjąć tę osobę w charakterze gościa?

– Jasne. Masz jakiś bar, gdzie moglibyśmy pójść?

– *Powiedziałem twój pokój* – warknął za mną Curtis, a potem jęknął, uderzając gołenią w jeden z niskich stolików o metalowych krawędziach.

– Na tym poziomie mieści się bar Północna Lampa – stwierdził niepewnym głosem hotel – choć nie był używany od dłuższego czasu.

– Powiedziałem...

– Zamknij się, Curtis. Nikt ci nie mówił, żeby nie naciskać na pierwszej randce? Może być Północna Lampa. Uruchom go dla nas.

Po drugiej stronie westybulu, obok konsoli recepcyjnej, szeroka ściana odsunęła się na bok, a w przestrzeni za nią rozbłysły światła. Z Curtisem burczącym coś pod nosem podszedłem do przejścia i spojrzałem w dół krótkich schodów na bar Północna Lampa.

– Tu będzie dobrze. Chodź.

Dekorację baru projektował ktoś o wyobraźni przesadnie ograniczonej nazwą lokalu. Ściany, pokryte psychodelicznymi spiralami w tonacjach granatu i purpury, poobwieszano najróżniejszymi zegarami, wskazującymi aktualną godzinę bądź wariacje na jej temat, a między nimi umieszczono wszelkie znane ludzkości rodzaje lamp, od prehistorycznych z gliny – po enzymatycznie rozkładane zbiorniki świetlne. Wzdłuż obu ścian stały ławy oraz stoliki w kształcie zegarów. Na środku

znajdował się bar w kształcie tarczy zegarowej. Obok dwunastki stał nieruchomo robot zbudowany w całości z lamp i zegarów.

Ponieważ prócz nas nie było tu nikogo, dekoracje wyglądały jeszcze dziwniej. Kiedy szliśmy w stronę robota, wyczułem, że Curtis trochę się wycisza.

– Czego panowie sobie życzą? – odezwała się nieoczekiwanie maszyna. Miała głowę w postaci antycznego analogowego zegara, na którym godziny oznaczono rzymskimi cyframi.

Lekko wytrącony z równowagi, odwróciłem się do Curtisa, którego twarz zdradzała oznaki mimowolnego trzeźwienia.

– Wódka – rzucił krótko. – Subzero.

– I whisky. To samo, co piłem z barku w moim pokoju. Temperatura pokojowa. Oba na mój rachunek.

Zegarowa twarz przechyliła się lekko i jedno z wielostawowych ramion sięgnęło w górę do ustawionych tam szklaneczek. Drugie ramię, zakończone lampą z lasem małych dzióbków, wlało do naczyń zamówione trunki.

Curtis podniósł swój kieliszek i wlał do gardła sporą porcję wódki. Wciągnął przez zęby powietrze i wydał z siebie pomruk satysfakcji. Chwilę się wahałem, zanim wziąłem swoją szklaneczkę. Zastanawiałem się, ile czasu minęło, od kiedy ostatnio przez węże i rurki baru płynął alkohol, ale w końcu łyknąłem większą porcję i pozwoliłem whisky spłynąć łagodnie do żołądka.

Curtis gwałtownie odstawił swój kieliszek.

– Jesteś gotów do rozmowy?

– Dobra, Curtis – powiedziałem wolno, patrząc na swojego drinka. – Zapewne masz dla mnie wiadomość.

– Jasne, że mam. – Jego głos nabrał ostrości. – Pani pyta, czy przyjmiesz jej hojną ofertę, czy nie. Tylko tyle. Mam ci dać czas do namysłu, więc dopiję drinka.

Skupiłem wzrok na wiszącej na drugiej ścianie lampie marsjańskiej. Zaczynałem rozumieć, skąd wziął się nastrój Curtisa.

– Włazę na twój teren, co?

– Nie przeciągaj struny, Kovacs. – W jego głosie brzmiała desperacja. – Jeszcze słowo i...

– I co? – Odstawiłem swoją szklaneczkę i odwróciłem się twarzą do niego. Miał mniej niż połowę moich subiektywnych lat; młody, muskularny i napakowany chemią do poziomu dającego mu poczucie, że może być groźny. Tak bardzo przypominał mi mnie samego w tym wieku, że doprowadzało mnie to do szału. Chciałem nim wstrząsnąć. – I co?

Curtis prychnął.

– Byłem w piechocie morskiej. – Głośno przełknął ślinę.

– Jako maskotka? – Uniosłem rękę, żeby pchnąć go w pierś, ale opuściłem ją zawstydzony. Przyciszyłem głos. – Słuchaj, Curtis. Nie rób nam tego.

– Myślisz, że jesteś taki cholernie twardy, co?

– Tu nie chodzi o to, czy jestem twardy... Curtis. – Niemal nazwałem go dzieciakiem. Wyglądało na to, że część mnie mimo wszystko chciała doprowadzić do walki. – Należymy do dwóch różnych gatunków ludzi. Czego cię nauczili w tej piechocie morskiej? Walki wręcz? Dwudziestu siedmiu sposobów zabicia człowieka gołymi rękami? Pod spodem wciąż jesteś człowiekiem. Ja jestem Emisariuszem, Curtis. To nie to samo.

I tak zaatakował, uderzając prostym, co miało mnie rozproszyć. Wyprowadził równocześnie kopnięcie z półobrotu na wysokości mojej głowy. Gdyby trafił, zmiażdżyłby mi czaszkę, ale jego ruchy były beznadziejnie przedramatyzowane. Może to efekt prochów, którymi nafaszerował się tego wieczora. W prawdziwej walce nikt przy zdrowych zmysłach nie kopie powyżej pasa. Uchyliłem się równocześnie przed ciosem i kopnięciem, po czym chwyciłem jego stopę. Ostry obrót i Curtis zachwiał się, przechylił i wylądował rozkrzyżowany na barze. Rozbiłem mu twarz o twardą powierzchnię i przytrzymałem go tam, chwytając za włosy.

– Widzisz, o czym mówiłem?

Wydobył z siebie jakieś przytłumione dźwięki i poruszał bezradnie kończynami. Barman o twarzy z zegara stał

nieporuszony. Po barze zaczęła ściekać krew z rozbitego nosa. Starając się zwolnić własny puls, przyglądałem się wzorom, jakie tworzyła. Kontrola, której poddałem swoje uwarunkowanie, spowodowała, że zacząłem ciężko dyszeć. Przesuwając uchwyt na jego rękę, odciągnąłem mu ją wysoko na plecy. Przestał się rzucać.

– Dobrze. Teraz się nie ruszaj albo ją złamię. Nie jestem w nastroju na takie zabawy. – Mówiąc to, szybko obmacywałem jego kieszenie. W wewnętrznej marynarki znalazłem mały, plastikowy cylinder. – Aha. A więc coś za wspaniałości krąży dzisiaj po twoim systemie? Sądząc po fiucie, to wzmacniacze hormonalne. – Uniosłem cylinder do światła i zobaczyłem w nim tysiące błyszczących srebrzyście kryształków. – Forma wojskowa. Gdzie to dostałeś, Curtis? Zabrałeś z wojska, jak cię zwalniali?

Wróciłem do przeszukania i znalazłem iniektor; drobny metalowy pistolet z przesuwną komorą i cewką magnetyczną. Wsadza się kryształy do lufy, gdzie pole magnetyczne je ustawia, a akcelerator wyrzuca z prędkością umożliwiającą przebicie skóry. Trochę podobne do igłowca Sary. Dla polowych medyków stanowiły odporną i w konsekwencji – bardzo popularną alternatywę dla hiposprayu.

Postawiłem Curtisa na nogi i odepchnąłem od siebie. Udało mu się złapać równowagę. Jedną ręką sięgnął do nosa i wbił we mnie wzrok.

– Przechylił głowę do tyłu, zatrzymasz krwawienie – zasugerowałem. – Nie krępuj się, nie zamierzam cię już krzywdzić.

– Skułwysyn.

Podniosłem w górę kryształki i pistolet.

– Skąd to masz?

– Piełdol się, Kołacs. – Wbrew sobie Curtis przechylił trochę głowę, próbując równocześnie wciąż na mnie patrzeć. Rozglądał się wokół jak spłoszony koń. – Nic ci nie powiem, piełdolony suk...

– W porządku. – Odstawiłem chemikalia na kontuar i przez kilka chwil przyglądałem mu się poważnie. – W takim razie powiedz mi coś innego. Chcesz wiedzieć, jak szkoli się Emisariusza? Wypala się każdy rozwinięty w ludzkiej psychice przez ewolucję ogranicznik przemocy. Rozpoznanie sygnału poddania, dynamikę hierarchii, lojalność grupy. Pozbawia się człowieka wszystkich uczuć poza pragnieniem krzywdzenia innych.

Wpatrywał się we mnie w milczeniu.

– Rozumiesz mnie? Łatwiej byłoby mi cię wtedy zabić. Znacznie łatwiej – rzuciłem. – Musiałem się powstrzymać. Tym właśnie są Emisariusze, Curtis. Przeskładanymi ludźmi. Sztucznymi tworam.

Cisza się przedłużała. Nie potrafiłem stwierdzić, czy to kupuje, czy nie. Biorąc pod uwagę sposób myślenia młodego Takeshiego Kovacsza półtora stulecia temu w Newpest, pewnie nie. W jego wieku to wszystko brzmiało jak urzeczywistniony sen o potędze.

Wzruszyłem ramionami.

– Na wypadek gdybyś sam się nie domyślił, odpowiedź na pytanie brzmi: nie. Nie jestem zainteresowany. To powinno cię uszczęśliwić, a zdobycie tej informacji kosztowało cię tylko złamany nos. Gdybyś nie nawalił się po same uszy, może nawet byś nie oberwał. Powiedz jej, że bardzo dziękuję, doceniam ofertę, ale za dużo się tu dzieje, żebym to zostawił. Powiedz jej, że zaczyna mi się to podobać.

Usłyszałem chrząknięcie. Spojrzałem w stronę drzwi i zauważyłem na schodach czerwonowłosego człowieka w garniturze.

– Przeszkadzam? – zapytał irokez. Mówił cichym, zrelaksowanym głosem. Nie był jednym z krawężników z Fell Street.

Wziąłem z baru swojego drinka.

– Ależ skąd, oficerze. Proszę, niech pan do nas dołączy. Czego się pan napije?

– Wzmocnionego rumu – rzucił gliniarz, podchodząc wolno. –

Jeśli go mają. Mała szklaneczka.

Uniosłem palec w stronę zegarowej twarzy. Barman wyciągnął skądś kryształową szklaneczkę i napełnił ją ciemnoczerwonym płynem. Irokez wolno minął Curtisa, przyglądając mu się ciekawie, i długą ręką sięgnął po drinka.

– Dzięki. – Posmakował płynu i przechylił głowę. – Niezłe. Chciałbym z tobą pogadać, Kovacs. W cztery oczy.

Obaj spojrzeliśmy na Curtisa. Szofer odpowiedział mi wzrokiem pełnym nienawiści, ale obecność irokeza uniemożliwiła mu konfrontację. Gliniarz machnął głową w stronę wyjścia. Curtis wyszedł, trzymając się za rozbity nos. Policjant przyglądał mu się, dopóki nie zniknął z pola widzenia.

– To twoje dzieło? – zapytał od niechcenia.

Kiwnąłem głową.

– Prowokował. Sprawy wymknęły się trochę spod kontroli. Wydawało mu się, że kogoś chroni.

– No cóż, cieszę się, że nie chronił mnie.

– Jak już wspomniałem, sprawy wymknęły się spod kontroli. Zareagowałem trochę za ostro.

– Cholera, nie musisz się przede mną tłumaczyć. – Policjant oparł się o bar i rozejrzał ze szczerym zainteresowaniem. Przypomniałem sobie jego twarz. Przechowalnia Bay City. Ten, który błyskawicznie schował odznakę. – Jeśli poczuł się dotknięty, może zgłosić skargę, a wtedy odtworzymy zapis pamięci tego miejsca.

– A więc dostaliście swój nakaz? – zadałem to pytanie ze swobodą, której wcale nie czułem.

– Prawie. Prawnicy zawsze to przeciągają. Pieprzone SI. Słuchaj, chciałem przeprosić za Mercera i Davidsona, za to, że ich poniosło na komisariacie. Czasem zachowują się jak skończeni idioci, ale zasadniczo są w porządku.

Niedbale machnąłem szklaneczką.

– Zapomnij.

– Dobrze. Jestem młodszy detektyw Rodrigo Bautista. Przez większość czasu partner Ortegi. – Pociągnął nieco płynu

i wyszczerzył do mnie zęby. – *Luźno* związany, zaznaczam.

– Przyjąłem do wiadomości. – Zasygnalizowałem barmanowi, żeby ponownie napełnił nam szkło. – Powiedz mi coś. Wszyscy chodzą do jednego fryzjera czy to jakaś szopka pod hasłem „integracja grupy”?

– Wspólny fryzjer. – Bautista z rezygnacją wzruszył ramionami. – Staruszek na Fulton. Były skazaniec. Najwyraźniej irokezy były cholernie modne w czasach, kiedy go wsadzili. To jedyna fryzura, jaką zna, ale jest miły i tani. Jeden z nas zaczął chodzić do niego przed kilkoma laty, daje nam zniżki. Wiesz, jak to jest.

– Ale nie Ortega?

– Ona sama sobie strzyże włosy. – Bautista machnął rękami w geście wyrażającym bezradność. – Ma mały skaner holograficzny, mówi, że to poprawia jej koordynację przestrzenną czy coś w tym stylu.

– Wyróżnia się.

– Tak, jak to ona. – Bautista umilkł na chwilę, ze wzrokiem zawieszonym w próżni. Pociągnął z ponownie napełnionej szklaneczki. – To z jej powodu tu przyszedłem.

– Ooo... Dostanę przyjacielskie ostrzeżenie?

Bautista zrobił minę.

– Cóż, będzie przyjacielskie. Nie proszę się o złamany nos.

Roześmiałem się wbrew sobie. Bautista też uśmiechnął się łagodnie.

– Problem w tym, że strasznie ją ranisz, objając się po okolicy z tą twarzą. Była z Rykerem naprawdę blisko. Już rok płaciła hipotekę za jego powłokę, a nie jest to łatwe przy pensji porucznika. Nie spodziewała się takiego przebicia, jakie narzucił ten skurwiol, Bancroft. W gruncie rzeczy Ryker nie jest już młody i nigdy nie był zbyt piękny.

– Ma neurochemię – zaznaczyłem.

– Och, jasne. Ma neurochemię. – Bautista z rozmachem machnął ręką. – Używałaś jej już?

– Kilka razy.

– Jak tańczyć flamenco w sieci rybackiej, nie?

– Owszem – przyznałem.

Tym razem obaj się roześmialiśmy. Kiedy nam przeszło, gliniarz znów skupił się na swoim szkłe. Spoważniał.

– Nie próbuję na ciebie wpływać. Chcę tylko prosić, żebyś nie naciskał. Ortega raczej tego w tej chwili nie potrzebuje.

– Ja również – uciałem krótko. – To nawet nie jest moja cholerna planeta.

Bautista wyglądał, jakby mi współczuł, a może po prostu trochę się upił.

– Przypuszczam, że Świat Harlana różni się od tego.

– Masz rację. Słuchaj, nie chcę być grubiański, ale czy ktoś powiedział Ortedze, że Ryker przepadł na dobre, jak tylko się da bez prawdziwej śmierci? Nie może przecież czekać na niego dwieście lat, prawda?

Przyjrzał mi się, mrużąc oczy.

– Słyszałeś o Rykerze, co?

– Wiem, że poszedł w dwururkę. I za co go wsadzili.

W oczach Bautisty pojawiło się coś jak strzępy starego bólu. Rozmowa o skorumpowanych kolegach na pewno nie należy do przyjemności. Na chwilę pożałowałem swoich słów.

Lokalny koloryt. Wchłaniaj go.

– Usiądziemy? – zapytał trochę niezręcznie, rozglądając się w poszukiwaniu barowych stołków, które nie wiedzieć czemu zostały usunięte. – Może przy stole? To dłuższa historia.

Zajęliśmy miejsca przy jednym z zegarowych stolików, a Bautista zaczął grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu papierosów. Przez twarz przebiegł mi nerwowy tik, ale kiedy mnie poczęstował, pokręciłem głową. Podobnie jak Ortega, wyglądał na zdziwionego.

– Rzuciłem.

– W tej powłoce? – Bautista z szacunkiem uniósł brwi zza chmury dymu. – Gratulacje.

– Dzięki. Miałeś mi opowiedzieć o Rykerze.

– Ryker. – Wypuścił dym nosem i oparł się wygodniej. – Przez

dłuższy czas pracował z chłopcami z Kradzieży Powłok. W porównaniu z nami to dość wyszukane stadko. Niełatwo jest ukraść nienaruszoną powłokę, a to rodzi sprytniejszych kryminalistów. Kompetencje KP nakładają się częściowo na te Wydziału Uszkodzeń Organicznych – przeważnie, gdy dochodzi do rozkładania ciał na części. W miejscach takich jak klinika Wei.

– Ooo – rzuciłem neutralnie.

Bautista kiwnął głową.

– Tak, ktoś tam oszczędził nam przedwczoraj mnóstwa czasu i wysiłków. Zamienił to miejsce w wyprzedaż części zamiennych. Ale przypuszczam, że nic nie wiesz na ten temat.

– Musiało się to stać, gdy już wychodziłem.

– Jasne, zresztą, nieważne. Zimą dziewiątego Ryker zajmował się ściganiem jakiegoś oszustwa ubezpieczeniowego, wiesz, o co chodzi. Czasem okazuje się, że zamiast klonów na ponowne upowłokowanie czekają same puste zbiorniki i nikt nie wie, co się stało z ciałami. Sprawa się skomplikowała i wyszło na jaw, że powłoki są używane w jakieś brudnej wojence na południu. Korupcja na wysokich szczeblach. Sprawa doszła aż do szczytów ONZ i z powrotem. Spadło kilka głów, a Ryker został bohaterem.

– Miło.

– Na krótką metę tak. Tutaj bohaterowie mają bardzo wysoką oglądalność, więc zrobili dla Rykera cały program. Wywiady dla WorldWeb Jeden, nawet szeroko nagłośniony romans z Sandy Kim. Zanim wszystko ucichło, Ryker złapał swoją szansę. Złożył podanie o przeniesienie do UszkOrg. Kilka razy pracował już z Ortegą, jak mówiłem, nasze kompetencje czasem się nakładają, więc wiedział, co jest grane. Wydział w żaden sposób nie mógł go spławić, zwłaszcza po tym, jak puścił gadkę, że chciałby iść tam, gdzie może coś zmienić.

– I co? Udało mu się?

Bautista wydał policzki.

– Był dobrym gliną. Może. To pytanie można byłoby zadać Ortedze góra miesiąc po tym, jak do nas przyszedł, ale wtedy tych dwoje się spiknęło i wszelkie oceny wzięły w łeb.

– Nie podoba ci się to?

– Hej, a co tu jest do podobania się? Jeśli czuje się coś do drugiej osoby, wtedy akceptuje się sytuację, a to utrudnia obiektywną ocenę. Kiedy Ryker umoczył, Ortega musiała stanąć po jego stronie.

– Zrobiła to? – Zabrałem nasze puste szklaneczki do baru i ponownie je napełniłem. – Myślałem, że to ona go wsadziła.

– Gdzie to słyszałeś?

– Plotki. Źródło nie było zbyt wiarygodne. A więc to nieprawda?

– Nie. Część hołoty z ulicy lubi to w ten sposób przedstawiać. Wydaje mi się, że robią z radości w portki na samą myśl, że moglibyśmy walczyć ze sobą nawzajem. Tak naprawdę, Wydział Wewnętrzny zgarnął go w jej mieszkaniu.

– O...!

– Taaak, to jak laser w tyłku. – Bautista przyglądał mi się, gdy podawałem mu drinka. – Wiesz, nigdy tego po sobie nie pokazała. Po prostu zaraz zabrała się do pracy, by obalić oskarżenia.

– Z tego, co słyszałem, mieli go na talerzu.

– Tak, tutaj twoje źródło się nie myli. – Irokez z namysłem zajrzał do swojej szklaneczki, jakby niepewny, czy mówić dalej. – Ortega wysunęła teorię, że Rykera wrobił jakiś dupek na wysokim stanowisku, taki, co to oberwał w dziewiątym. Faktem jest, że wkurzył wtedy wielu ludzi.

– Ale ty tego nie kupujesz?

– Chciałbym. Jak już mówiłem, Ryker był dobrym gliną. Ale, o czym też już wspominałem, Kradzieże Powłok miały do czynienia z wyższej klasy przestępcami, a to znaczy, że trzeba się mieć na baczności. Bystrzy przestępcy mają bystrych prawników i nie można nimi potrząsać, kiedy tylko ma się na to ochotę. Uszkodzenia Organiczne zajmują się wszystkim, od najgorszych szumowin po grube ryby na samym szczycie. Ogólnie mamy trochę więcej luzu, dlatego właśnie się przeniosłeś, to znaczy Ryker. – Bautista wychylił szklaneczkę

i odstawił ją, odchrząkując. Patrzył na mnie twardo. – Myślę, że Ryker dał się ponieść.

– Paf, paf, paf?

– Coś w tym stylu. Widziałem wcześniej, jak prowadzi przesłuchanie. Przez większość czasu balansował na krawędzi legalności. Jedno poślizgnięcie. – W oczach Bautisty pojawił się teraz stary strach. Strach, z którym żył na co dzień. – Przy niektórych z tych śmieci naprawdę łatwo stracić zimną krew. Zbyt łatwo. Myślę, że tak właśnie było.

– Moje źródło twierdzi, że PŚ-nął dwóch, a kolejną dwójkę zostawił z nienaruszonymi stosami. To wygląda na cholerną nonszalancję.

Bautista kiwnął głową.

– Ortega też tak mówi. Ale to się da wyjaśnić. Widzisz, wszystko rozegrało się w czarnorynkowej klinice w Seattle. Ci dwaj wydostali się żywi z budynku i odlecieli. Ryker zrobił w pojeździe sto dwadzieścia cztery dziury. Nie wspominając o przypadkowych pojazdach. Ci dwaj wpadli do Pacyfiku, jeden zginął przy sterach, drugi od uderzenia i utknęli kilkaset metrów pod wodą. Ryker działał poza swoim terenem, a gliniarze z Seattle nie byli zbyt szczęśliwi, że jakiś obcy urządza im strzelaninę, więc ekipa ratunkowa nie dopuściła go do ciał. Wszyscy byli naprawdę mocno zdziwieni, kiedy okazało się, że to katolicy i ktoś w policji w Seattle zaczął mieć wątpliwości. Pogrzebał trochę głębiej i okazało się, że oświadczenia zostały sfałszowane. I że zrobił to ktoś bardzo nieostrożny.

– Albo działający w pośpiechu.

Bautista strzelił palcami i skierował jeden w moją stronę. Wyraźnie był już pod wpływem alkoholu.

– Dokładnie. Według Wydziału Wewnętrzznego, Ryker spartolił, pozwalając uciec świadkom, toteż uznał, że jego ostatnia deska ratunku to przykleić im na stosach tabliczki z napisem: NIE PRZESZKADZAĆ. Oczywiście, kiedy ich wyciągnęli, obaj przysięgli, że Ryker wpadł tam bez nakazu, blefem i siłą dostał się do kliniki, a kiedy nie chcieli odpowiadać na jego pytania,

zaczął się bawić w murzynków z pistoletem plazmowym.

– To prawda?

– O nakazie? Owszem. Ryker w ogóle nie miał powodu się tam zjawiać. Co do reszty – kto wie?

– Co powiedział Ryker?

– Że tego nie zrobił.

– Tylko tyle?

– Nie, dłuższa historia. Pojechał tam, bo dostał cynk, wszedł do środka dzięki blefowi, żeby zobaczyć, jak daleko uda mu się dostać, ale nagle wszyscy zaczęli do niego strzelać. Twierdził, że mógł kogoś zdjąć, ale raczej nie strzałem w głowę. Upierał się, że klinika musiała sprowadzić dwa kozły ofiarne i wypalić im głowy, zanim tam przyjechał. Nic nie wie o żadnym grzebaniu w danych. – Niedbale wzruszył ramionami. – Znaleźli hakera, który stwierdził, że Ryker mu za to zapłacił, co potwierdziliśmy polarograficznie. Ale powiedział też, że Ryker do niego zadzwonił, nie spotkali się twarzą w twarz. Połączenie wirtualne.

– Co można z łatwością sfałszować.

– Owszem. – Bautista wyglądał na zadowolonego. – Ale z drugiej strony, facet twierdził, że już wcześniej pracował dla Rykera, widywał się z nim i to też potwierdziliśmy polarograficznie. Ryker go znał, nie ma co do tego cienia wątpliwości. A Wydział Wewnętrzny chciał oczywiście wiedzieć, czemu Ryker nie zabrał ze sobą żadnego wsparcia. Znaleźli świadka z ulicy, ten przysięgał, że Ryker zachowywał się jak szalony i strzelał na ślepo, żeby strącić samochód. Jak już mówiłem, policja z Seattle nie potraktowała tego ulgowo.

– Sto dwadzieścia cztery dziury – wymamrotałem.

– Właśnie. To dużo otworów. Rykerowi musiało naprawdę na tym zależeć.

– *To mogła być pułapka.*

– Jasne, mogła. – Bautista otrzeźwiał nieco i w jego głosie pojawił się gniew. – To mogło być mnóstwo rzeczy. Ale faktem jest, że ty... *Cholera*, faktem jest, że *Ryker* posunął się za daleko, a kiedy wpadł w gówno, nie miał go kto wyciągnąć.

– Czyli Ortega kupuje historię o pułapce, staje po stronie Rykera i walczy z WW, a kiedy przegrywa... – Pokiwałem głową. – Kiedy przegrywa, wykupuje hipotekę, by utrzymać ciało z dala od miejskiej aukcji. I zaczyna szukać dalszych dowodów?

– Trafiony, zatopiony. Już zgłosiła apelację, ale obowiązuje minimum dwuletnia karencja od ogłoszenia wyroku, zanim będzie mogła rozkręcić maszynę. – Bautista westchnął głęboko. – Jak już mówiłem, bardzo ją to boli.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

– Wiesz – odezwał się w końcu Bautista – chyba już pójde. Głupio się czuję, siedząc tutaj i gadając o Rykerze do kogoś z jego twarzą. Nie wiem, jak sobie z tym radzi Ortega.

– Na tym polega współczesność – rzuciłem, odstawiając drinka.

– Pewnie tak. A myślałem, że już się przyzwyczaiłem. Pół życia spędziłem, rozmawiając z ludźmi noszącymi cudze twarze. Nie wspominając o kanaliach.

– A gdzie zaliczasz Rykera? Do ofiar czy kanalii?

Zmarszczył brwi.

– To nie jest dobre pytanie. Ryker był dobrym gliniarzem, który popełnił błąd. To nie robi z niego kanalii. Ale też nie czyni go ofiarą. Po prostu pozostaje kimś, kto spieprzył sprawę. Sam też żyję w strachu, że i mnie się to przytrafi.

– Jasne, przepraszam. – Potarłem policzek. Rozmowy Emisariuszy nie powinny tak dryfować. – Jestem trochę zmęczony. To wszystko brzmi trochę nazbyt znajomo. Chyba pójde spać. Jeśli chcesz jeszcze jednego drinka, poczęstuj się. Na mój rachunek.

– Nie, dzięki. – Bautista osuszył szklankę. – Zasada starych gliniarzy: nigdy nie pij sam.

– Wygląda na to, że powinienem być starym gliniarzem. – Wstałem, lekko się chwiejąc. Ryker może i był palaczem, ale niezbyt dobrze znosił alkohol. – Myślę, że sam trafisz do wyjścia.

– Jasne. – Bautista podniósł się i przeszedł kilka kroków, po czym się odwrócił. Zmarszczył brwi w zamyśleniu. – Ach, tak. Oczywiście, nigdy mnie tu nie było.

Niedbale machnąłem ręką.

– Nigdy cię tu nie było – powtórzyłem.

Uśmiechnął się i jego twarz wydała się nagle bardzo młoda.

– Pewnie się jeszcze spotkamy.

– Do zobaczenia.

Przyglądałem mu się, aż zniknął z pola widzenia, po czym niechętnie pozwoliłem, by przez moje zamroczone zmysły przebiła się zimna samokontrola Emisariusza. Kiedy wytrzeźwiałem, zabrałem z baru kryształki Curtisa i poszedłem porozmawiać z Hendriksem.

Rozdział dwudziesty pierwszy

– Wiesz coś na temat synamorfosteronu?
– Słyszałam o nim. – Ortega bezmyślnie grzebała czubkiem buta w piasku.

Wciąż był mokry po odpływie, a nasze ślady szybko podciekały wodą. Na plaży jak okiem sięgnąć nie widać było żywego ducha. Byliśmy sami, jeśli nie liczyć latających nam nad głowami mew.

– Skoro i tak czekamy, możesz mnie oświecić?

– Prochy haremowe.

Kiedy spojrzałam na nią pytająco, wydeła niecierpliwie policzki. Zachowywała się jak ktoś, kto nie przespał nocy.

– Nie jestem stąd.

– Mówiłeś, że byłeś na Sharyi.

– Owszem. W misji bojowej. Nie mieliśmy czasu na poznawanie kultury. Byliśmy zbyt zajęci zabijaniem.

Co nie do końca było prawdą. Po splądrowaniu Zihicce Emisariuszy zaprzęgnięto do zorganizowania reżimu posłusznego Protektoratowi. Wyeliminowano wichrzycieli, komórki ruchu oporu zinfiltrowano i rozbito, w strukturach politycznych umieszczono kolaborantów. Nauczyłem się wtedy całkiem sporo o lokalnej kulturze.

Poprosiłem o wcześniejsze przeniesienie.

Ortega osłoniła dłonią oczy i rozejrzała się po plaży. Żadnego ruchu. Westchnęła.

– To wzmacniacz męskości. Nasila agresję, sprawność seksualną, pewność siebie. Na ulicach Bliskiego Wschodu i Europy nazywają go Ogierem, na południu – Toro. Nie ma tu tego dużo, nie jest modny, co mnie cieszy. Z tego, co słyszałam, może być wredny. Natknąłeś się na to zeszłej nocy?

– Coś w tym rodzaju. – W zasadzie wszystko, co mówiła,

zgadzało się z informacjami, jakie wydobyłem z bazy danych Hendriksa, choć jej wyjaśnienia były bardziej zwięzłe. A zachowanie Curtisa wręcz modelowo pasowało do listy efektów i skutków ubocznych. – Gdybym chciał trochę tego zdobyć, gdzie musiałbym pójść? Oczywiście, żeby nie mieć problemów.

Ortega spojrzała na mnie ostro.

– Jak mówię, dużo tu tego nie znajdziesz – rzuciła, brnąc ciężko przez mokry piach. – Musiałbyś popytać i znaleźć kogoś, kto ma nie tylko lokalne powiązania. Albo zrobić syntezę na miejscu. Ale nie wiem. W przypadku tego rodzaju hormonów może się okazać, że domowa produkcja będzie droższa niż to, co musiałbyś zapłacić na południu.

Zatrzymała się na szczycie wydmy i znów się rozejrzała.

– Gdzież ona jest, do cholery?

– Może nie przyjdzie – zasugerowałem posępnie.

Sam też nie spałem zbyt dobrze. Większą część nocy po wyjściu Rodriga Bautisty spędziłem, zastanawiając się nad niechętnymi do współpracy kawałkami układanki Bancrofta i walcząc z głodem nikotynowym. Zdawało mi się, że ledwie złożyłem głowę na poduszce, gdy Hendrix obudził mnie, przepuszczając telefon Ortegi. Wciąż było nieprzyzwoicie wcześnie.

– Przyjdzie – stwierdziła Ortega. – Łącze zarezerwowano tylko dla niej. Połączenie pewnie się opóźnia z powodów bezpieczeństwa. Jesteśmy tu dopiero jakieś dziesięć sekund normalnego czasu.

Zadrżałem owiany zimnym wiatrem znad oceanu i nic nie odpowiedziałem. W górze mewy zaczęły powtarzać wzory lotu. Wirtual był tani, nie projektowano go z myślą o dłuższym pobycie.

– Masz jakieś fajki?

Siedziałem na piasku, paląc mechanicznie, gdy po prawej stronie zatoki coś się poruszyło. Wyprostowałem się i zmrużyłem oczy, potem położyłem dłoń na ramieniu Ortegi. Pojazd sunący

ku nam wzdłuż horyzontu wzniecił chmurę piasku. Albo wody.

– Mówiłam, że przyjdzie.

– Albo robi to ktoś inny. – Zerwałem się na równe nogi i sięgnąłem po nemexa, którego oczywiście nie znalazłem. Niewiele forów wirtualnych pozwala na broń w swoich konstrukcjach. Zamiast tego strzepnąłem więc tylko piasek z ubrania, próbując pozbyć się dręczącego mnie uczucia, że tracę tu czas.

Pojazd zbliżył się już na tyle, by było go widać; czarna kropka wśród chmur. Dobiegł nas dźwięk silnika, wysokie wycie kontrastujące z melancholijnymi krzykami mew. Obróciłem się do Ortegi, która, stojąc obok mnie, spokojnie obserwowała zbliżający się pojazd.

– Trochę przesadne jak na połączenie telefoniczne, nie sądzisz? – spytałem złośliwie.

Wzruszyła ramionami i wdeptała papierosa w piach.

– Pieniądze niekoniecznie idą w parze z dobrym gustem – stwierdziła.

Pędząca kropka zmieniła się w pękaty, jednoosobowy śmigacz pomalowany na świecący, różowy kolor. Pojazd sunął nad krawędzią wody, unosząc za sobą równo wzburzone piach i wodę. Kiedy zbliżył się na odległość kilkuset metrów, pilot chyba nas zauważył, bo mały pojazd skręcił przez głębszą wodę, ścinając łuk i unosząc za sobą fontannę dwa razy wyższą niż on sam.

Ortega znów wzruszyła ramionami.

Śmigacz wjechał na płyciznę jakieś dziesięć metrów od nas i zatrzymał się z drzeniem, rozrzucając wokół siebie krople wody i mokry piach. Kiedy silniki ucichły, otworzył się właz, a ze środka wyszła odziana na czarno postać w hełmie. Przylegający do ciała kombinezon uwydatniał każdy nienaganny kształt kobiety. Na nogach miała buty na wysokich obcasach, od pięty do palców ozdobione srebrnymi spiralami.

Westchnąłem i ruszyłem za Ortęgą w stronę pojazdu.

Kobieta w kombinezonie zeskoczyła do płytkiej wody

i rozchlapując ją, ruszyła w naszą stronę, zmagając się po drodze z zapięciami hełmu. Gdy się spotkaliśmy, właśnie go zdjęła, odrzucając na ramiona długie, rude włosy. Odchyliła głowę, zgarniając je i odsłaniając przy tym szeroką twarz z dużymi, wyrazistymi oczami koloru onyksu, delikatnie zakrzywiony nos i mięsiste wargi.

Z jej twarzy całkowicie wymazano wyraźne wcześniej podobieństwo do Miriam Bancroft.

– Kovacs, to Leila Begin – przedstawiła nas formalnie Ortega. – Pani Begin, to Takeshi Kovacs, wynajęty przez Laurensa Bancrofta prywatny detektyw.

Wielkie oczy bez skrępowania mnie oceniły.

– Pan spoza planety? – upewniła się.

– Tak jest. Świat Harlana.

– Tak, pani porucznik wspominała mi o tym. – W głosie Leili Begin słychać było starannie zaprojektowaną chrypkę i akcent sugerujący, że nie przywykła mówić po amangielsku. – Mogę tylko mieć nadzieję, że oznacza to, iż ma pan otwarty umysł.

– Otwarty na co?

– Na prawdę. – Begin spojrzała na mnie z zaskoczeniem. – Porucznik Ortega twierdzi, że interesuje pana prawda. Możemy się przejść?

Nie czekając na odpowiedź, ruszyła wzdłuż brzegu. Wymieniłem spojrzenia z Ortega, która wskazała kciukiem kierunek, ale najwyraźniej nie zamierzała się przyłączyć. Przez chwilę się wahałem, potem poszedłem za Begin.

– O co chodzi z tą prawdą? – zapytałem, doganiając ją.

– Został pan wynajęty, by odkryć, kto zabił Laurensa Bancrofta – powiedziała, nie patrząc w bok. – Chce pan poznać prawdę na temat tego, co zaszło w noc jego śmierci. Mam rację?

– Więc nie uważa pani tego za samobójstwo?

– A pan?

– Ja pierwszy spytałem.

Na jej ustach pojawił się lekki uśmiech.

– Nie, nie uważam.

– Niech zgadnę. Uważa pani, że to Miriam Bancroft.

Leila Begin zatrzymała się gwałtownie.

– Naśmiewa się pan ze mnie, panie Kovacs?

Spojrzała na mnie tak, jakby wyzywała mnie na pojedynek. Pokręciłem głową.

– Nie, nie naśmiewam się z pani. Ale mam rację, prawda?

– Spotkał pan Miriam Bancroft?

– Mieliśmy przyjemność...

– Bez wątpienia uznał pan ją za czarującą.

– Chwilami nieco irytującą, ale tak – przyznałem, wzruszając ramionami. – Czarująca to chyba dobre słowo.

Begin spojrzała mi prosto w oczy.

– To psychopatka – oświadczyła poważnie.

Ruszyła z powrotem. Po chwili zrobiłem to samo.

– Psychopatia nie jest już wąskim terminem – wyjaśniłem życzliwie. – Zdarzało mi się słyszeć to w odniesieniu do całych kultur. Raz czy dwa nazwano tak i mnie. W dzisiejszych czasach rzeczywistość jest tak elastyczna, że trudno stwierdzić, kto się od niej oderwał, a kto nie. Można by nawet powiedzieć, że to bezsensowne rozróżnienie.

– Panie Kovacs. – W głosie kobiety brzmiała teraz irytacja. – Miriam Bancroft zaatakowała mnie, gdy byłem w ciąży, i zabiła moje nienarodzone dziecko. Wiedziała o moim stanie. Zrobiła to celowo. Był pan kiedyś siedem miesięcy w ciąży?

– Nie – pokręciłem głową.

– Tym gorzej. To doświadczenie, przez które wszyscy powinniśmy przechodzić przynajmniej raz.

– Dość trudno byłoby przegłosować taki przepis.

Begin rzuciła mi spojrzenie z ukosa.

– W tej powłoce nie wygląda pan na człowieka, który wie, co to znaczy ból po stracie kogoś bliskiego, ale to tylko skorupa. Jest pan taki, na jakiego pan wygląda, panie Kovacs? Czy wie pan, co to znaczy kogoś stracić? Nieodwracalnie, bo o takiej stracie rozmawiamy. Zna pan to uczucie?

– Tak mi się wydaje – powiedziałem bardziej sztywno niż

zamierzałem.

– W takim razie zrozumie pan, co czuję wobec Miriam Bancroft. Na Ziemi stopy korowe są wszczepiane po urodzeniu.

– Tam, skąd pochodzę, również.

– Straciłam to dziecko. Nie odda mi go żadna technika.

Nie umiałem stwierdzić, czy narastające w głosie Leili Begin emocje były prawdziwe, czy udawane, ale gubiłem wątek. Wróciłem do początku.

– To nie oznacza, że Miriam Bancroft miała motyw, by zabić swojego męża.

– Oczywiście, że tak. – Posłała mi ukradkowe spojrzenie, a na jej twarzy pojawił się kolejny gorzki uśmiech – To nie był pojedynczy przypadek w życiu Laurensa Bancrofta. Jak pan sądzi, gdzie mnie spotkał?

– Z tego, co słyszałem, w Oakland.

Jego uśmiech zamienił się w zduszony śmiech.

– Niezły eufemizm. Tak, z pewnością było to w Oakland. Spotkaliśmy się w miejscu o nazwie Meat Rack. Niezbyt wyszukany lokal. Laurens potrzebuje poniżenia, panie Kovacs. To go podnieca. Robił to przez dziesięciolecia przede mną i nie widzę powodu, dla którego miałby przestać.

– A więc Miriam nagle zdecydowała, że ma już dość i że zrobi z nim porządek?

– Jest do tego zdolna.

– Z pewnością. – Teoria Begin była równie pełna dziur, jak schwytany sharyński dezenter, ale nie zamierzałem spowiadać się tej kobiecie szczegółowo z tego, co już wiem. – Przypuszczam, że nie chowa pani urazy do Bancrofta?

Znow uśmiech.

– Byłam dziwką, panie Kovacs. Dobrą. Dobra dziwka czuje to, czego życzy sobie klient. Nie ma miejsca na nic innego.

– Twierdzi pani, że potrafi tak po prostu wyłączyć uczucia?

– A pan twierdzi, że tego nie umie? – odpowiedziała.

– W porządku, co Laurens Bancroft chciał, żeby pani czuła?

Zatrzymała się i wolno odwróciła w moją stronę. Poczułem się

tak, jakbym właśnie ją spoliczkował. Wspomnienia sprawiły, że jej twarz przybrała wygląd kredowej maski.

– Zwierzęce opuszczenie – powiedziała w końcu. – A potem skrajną wdzięczność. I przestałam je odczuwać natychmiast, gdy przestał mi płacić.

– A co pani czuje teraz?

– Teraz? – Leila Begin popatrzyła na ocean, jakby sprawdzała temperaturę wiatru w stosunku do swojego wnętrza. – Teraz nie czuję nic.

– Zgodziła się pani ze mną porozmawiać. Musiała pani mieć jakiś powód.

Machnęła ręką.

– Poprosiła mnie o to pani porucznik.

– Bardzo prospołeczny gest.

Kobieta znów skupiła na mnie spojrzenie.

– Wie pan, co się stało, kiedy poroniłam?

– Słyszałem, że panią spłacono.

– Tak. Brzmi nieprzyjemnie, prawda? Ale dokładnie tak było. Przyjęłam pieniądze Bancrofta i w zamian zobowiązałam się do milczenia. To były duże pieniądze. Ale nie zapomniałam, z jakiego powodu je dostałam. Wciąż odwiedzam Oakland dwa, trzy razy do roku i znam dziewczyny, które teraz pracują w Rack. Porucznik Ortega ma tam dobrą opinię. Wiele dziewczyn coś jej zawdzięcza. Można powiedzieć, że spłacam ich dług.

– I nie zależy pani na zemście na Miriam Bancroft?

– Jakiej zemście? – Leila Begin roześmiała się sztywno. – Podaję panu informacje, bo poprosiła mnie o to pani porucznik. I tak nic pan jej nie robi. Ona jest Matem i jest nietykalna.

– Nikt nie jest nietykalny. Nawet Maci.

Spojrzała na mnie smutno.

– Pan nie pochodzi stąd – stwierdziła. – I to widać.

* * *

Telefon Begin przyszedł przez łącze wynajęte od handlarza

z Karaibów, a czas wirtualny kupiono od dostawcy forum z Chinatown. *Tanie*, wyjaśniła mi po drodze Ortega, *a prawdopodobnie równie bezpieczne. Kiedy Bancroft chce prywatności, wydaje pół miliona na systemy zabezpieczeń. Ja po prostu idę gdzieś, gdzie nikt nie słucha.*

Panowała tam straszliwa ciasnota. Budynek wciśnięto między bank w kształcie pagody i restaurację o zaporowanych oknach. Do recepcji prowadziły wąskie, stalowe schody i galeryjka przymocowana do ściany pagody na poziomie pierwszego piętra. Siedem czy osiem metrów kwadratowych podłogi ze stopionego piasku pod tanią, szklaną kopułą służyło klientom za poczekalnię i dostarczało światła słonecznego. Stały tam też dwie pary foteli, które sprawiały wrażenie wymontowanych z liniowca pasażerskiego. Obok nich siedziała stara Azjatka, otoczona baterią sprzętu biurowego, którego większość wyglądała na wyłączoną, i pilnowała schodków prowadzących do wnętrza budynku. Poniżej widać było wąziutkie korytarze z podwieszonym okablowaniem. W każdym z nich umieszczono drzwi prowadzące do maleńkich pokoików ze sprzętem. Aby oszczędzić miejsca, prycze z elektrodami ustawiono pod ostrym kątem w górę. Otaczały je zakurzone monitory diagnostyczne. Przymocowywałeś się pasami do leżanki, zakładałeś elektrody i wstukiwaleś na panelu kod podany na recepcji. Wtedy maszyna przejmowała twój umysł.

Powrót z szerokiego horyzontu wirtualnej plaży stanowił szok. Otwierając oczy na rzędy urządzeń tuż nad głową, przeżyłem chwilowy zalew wspomnień ze Świata Harlana. Miałem trzynaście lat i budziłem się w tanim salonie po pierwszym wirtualnym porno. Niskiej klasy forum, gdzie dwie minuty normalnego czasu zapewniły mi półtorej godziny w towarzystwie dwóch piękności z bujnymi biustami; ich ciała bardziej przypominały postacie z komiksów niż prawdziwe kobiety. Scenariusz przewidywał cukierkową sypialnię z różowymi poduszkami i pseudofutrzanym dywanem, z oknami pokazującymi obraz nocnego miasta w niskiej rozdzielczości.

Kiedy zacząłem się zadawać z gangami i zdobywać więcej pieniędzy, jakość i rozdzielczość poszły w górę, a scenariusze stały się bardziej wyszukane. Jedno, co nigdy się nie zmieniło, to zatechły zapaszek i klucie elektrod na skórze w chwili, gdy wychodziło się z wirtuala do ciasnych pomieszczeń.

– Kovacs?

Zamrugalem i sięgnąłem do pasów. Kiedy udało mi się wreszcie wydostać z pokoiku, zastałem Ortegę czekającą już na mnie w korytarzu.

– I co myślisz?

– Myślę, że to kupa gówna. – Uniosłem ręce, hamując wybuch Ortegi. – Nie, słuchaj, rozumiem, że Miriam Bancroft może przerażać. Nie będę się o to spierał. Ale jest przynajmniej pół setki powodów, dla których nie pasuje do scenariusza o morderstwie. Ortega, do cholery, przecież robiliście jej polarografię.

– Tak, wiem. – Ortega ruszyła za mną korytarzem. – Ale o tym właśnie myślałam. Wiesz, zgłosiła się do tego testu na ochotnika. Właściwie taka procedura obowiązuje wszystkich świadków, ale ona praktycznie go zażądała, jak tylko tam dotarłam. Żadnego płaczu ani żalu, ruszyła wprost do radiowozu i poprosiła o kable.

– Więc?

– No więc zastanawiałam się nad tą gadką, którą wcisnąłeś Ruthefordowi. Powiedziałeś, że gdyby ci wtedy zrobili polarografię, nie połapaliby się, że...

– Ortega, ja mam uwarunkowanie Emisariusza. To wyłącznie dyscyplina umysłu, która nie ma nic wspólnego z ciałem. Nie kupisz tego z półki w sklepie z powłokami.

– Miriam Bancroft nosi najwyższej klasy model Nakamury. Używają jej twarzy i ciała do reklam...

– Czy Nakamura robi coś, co może oszukać policyjny polarograf?

– Oficjalnie nie.

– Więc sama...

– Nie bądź taki cholernie tępy. Nigdy nie słyszałeś

o indywidualnej biochemii?

Zatrzymałem się przed schodami prowadzącymi w górę, do recepcji i potrząsnąłem głową.

– Nie, nie kupuję tego. Nie mogła spalić męża z broni, do której dostęp mieli tylko oni oboje. Nikt nie jest aż tak głupi.

Poszliśmy w górę, Ortega trzymała się o krok za mną.

– Pomyśl o tym, Kovacs. Nie mówię, że zrobiła to z premedytacją...

– A co ze zdalną kopią? Bezsensowne przestępstwo.

– ...nie mówię nawet, że racjonalne, ale musisz...

– Musiał to być ktoś, kto nie wiedział...

– Kovacs! Kurwa! – Głos Ortegi podniósł się o pełną oktawę.

Byliśmy już w recepcji. Po lewej stronie czekało dwoje klientów, mężczyzna i kobieta, pogrążonych w dyskusji nad owiniętym w papier pakunkiem. Po prawej kątem oka dostrzegłem błysk czerwieni w miejscu, gdzie nie powinno go być. Patrzyłem na krew.

Stara Azjatka w recepcji była martwa, przecięto jej gardło czymś, co pobłyskiwało metalicznie wokół głębokiej rany. Jej głowa leżała na biurku w lśniącej kałuży krwi.

Ręka sama skoczyła mi do nemexa. Z tyłu usłyszałem, jak Ortega wprowadza pierwszy nabój do komory smith&wessona. Obróciłem się w stronę dwójki klientów i ich papierowego pakunku.

Czas rozciągnął się jak we śnie. Neurochem sprawił, że wszystko wydawało się niemożliwie powolne, pojedyncze obrazy opadały na podłogę mojej wizji jak jesienne liście.

Papier pakunku został rozerwany na strzępy. Kobieta schwyciła kompaktowy sunjet, mężczyzna pistolet maszynowy. Wydobyłem nemexa i zacząłem strzelać z biodra.

Drzwi na galeryjkę otworzyły się z hukiem i pojawiła się w nich jeszcze jedna postać z pistoletami w obu dłoniach.

Za moimi plecami strzelił smith&wesson, odrzucając nowo przybyłego z powrotem przez drzwi. Wyglądało to jak puszczonej od tyłu film z jego wejścia.

Mój pierwszy strzał przebił zagłówek fotela kobiety, obrzucając ją pyłem białej wyściółki. Zasyczał sunjet, spudłowałem. Drugi strzał rozsadził jej głowę, zabarwiając dryfujące strzepy czerwienią.

Ortega zawyla z wściekłości. Wciąż strzelała, zmysły podpowiadały mi, że gdzieś w górę. Nad nami pękło szkło.

Facet z pistoletem maszynowym próbował zerwać się z fotela. Dostrzegłem gładkie rysy syntetyka i wsadziłem w niego kilka pocisków. Zatoczył się pod ścianę, wciąż unosząc broń. Rzuciłem się na podłogę.

Kopuła nad nami zapadła się do środka. Ortega coś krzyknęła, więc przetoczyłem się w bok. Tuż obok mnie wylądowało bezwładne ciało, uderzając głową o podłogę.

Rozległ się terkot pistoletu maszynowego. Ortega znów krzyknęła i rozplaszczyła się na podłodze. Przetoczyłem się dokładnie na brzuch martwej kobiety i szybko wpakowałem w syntetyka jeszcze trzy naboje. Automat umilkł.

Cisza.

Przesunąłem nemexa, sprawdzając każdy kąt pokoju i drzwi wejściowe. Ostre krawędzie strzaskanej kopuły. Nic.

– Ortega?

– W porządku. – Leżała rozciągnięta pod drugą ścianą, dźwigając się na łokciu. Mówiła przez zaciśnięte gardło, a jej ton przeczył słowom.

Podniosłem się niepewnie i podszedłem do niej, miażdżąc po drodze kawałki szkła.

– Gdzie cię trafili? – zapytałem, kucając.

– W ramię. Pieprzona dziwka trafiła mnie z sunjeta.

Schowałem nemexa i przyjrzałem się ranie. Wiązka wypaliła długą, skośną bruzdę przez tył kurtki Ortegi i przebiła poduszkę na ramieniu. Mięsień poniżej był wzdłuż wąskiej linii przypalony do kości.

– Masz szczęście – stwierdziłem z wymuszoną swobodą. – Gdybyś nie uskoczyła, obciąłoby ci głowę.

– Nie uskoczyłam. Po prostu się, cholera, potknęłam.

– Też dobrze. Chcesz wstać?

– A jak myślisz? – Ortega dźwignęła się na kolana, opierając się na zdrowym ramieniu. Wstała. Skrzywiła się, gdy kurtka przesunęła się po ranie. – O kurwa, ale boli.

– Myślę, że to samo powiedziałby facet w drzwiach.

Opierając się na mnie, obróciła się zdziwiona w moją stronę. Popatrzyłem na nią śmiertelnie poważnie, a jej twarz rozświecił uśmiech. Pokręciła głową.

– Jezu, Kovacs, jesteś popapranym sukinsynem. Uczą was opowiadać dowcipy po walce czy to tak sam z siebie?

Skierowałem ją w stronę drzwi.

– Sam z siebie. Chodź, wyprowadzę cię na świeże powietrze.

Za nami coś nagle upadło. Zerknąłem do tyłu i zobaczyłem, że syntetyczna powłoka podniosła się niepewnie. Głowę miała roztrzaskaną i zniekształconą w miejscu, gdzie mój ostatni strzał oderwał bok czaszki, a automat zwisał bezwładnie na końcu sztywnego, zakrwawionego ramienia, ale drugie podnosiło się w górę, z dłonią zaciśniętą w pięść. Syntetyk zatoczył się na krzesło, wyprostował i ruszył w naszą stronę, ciągnąc prawą nogę.

Wyciągnąłem nemexa i wycelowałem.

– Walka skończona – zastrzegłem.

Sztuczna twarz wyszczerzyła się do mnie. Kolejny chwiejny krok. Zmarszczyłem się.

– Na miłość boską, Kovacs. – Ortega sięgała po swoją broń. – Skończ z tym.

Strzeliłem. Pocisk rzucił syntetyka z powrotem na zasypaną szkłem podłogę. Przekręcił się kilka razy, potem znieruchomiał, ale wciąż oddychał. Kiedy przyglądałem mu się zafascynowany, z jego ust rozległ się bulgotliwy śmiech.

– Już, kurwa, dość – wykaszał i znów się zaśmiał. – Słyszysz, Kovacs? Już, kurwa, dość.

Te słowa sprawiły, że na ułamek sekundy znieruchomiałem, potem błyskawicznie odwróciłem się i skoczyłem w stronę drzwi, ciągnąc za sobą Ortegę.

– Co...

– Uciekaj. Natychmiast!

Pchnąłem ją przed siebie przez drzwi i chwyciłem barierkę galeryjki. Tuż obok leżał martwy napastnik z pistoletami. Jeszcze raz pchnąłem Ortegę, więc niezręcznie przeskoczyła ciało. Zatrzasnąłem za sobą drzwi i ruszyłem za nią biegiem.

Dobiegliśmy ledwie do schodów, gdy budynek za nami eksplodował w gejzerze stali i szkła. Usłyszałem, jak drzwi wylatują z zawiasów, a potem podmuch rzucił nas na ulicę.

Rozdział dwudziesty drugi

Policja robi większe wrażenie w nocy.

Przede wszystkim, dysponuje błyskającymi światłami, które rzucają dramatyczne kolory na ludzkie twarze, ponure grymasy pulsują na zmianę czerwienią i ciemnym błękitem. Potem noc rozcina dźwięk syren, trzeszczące głosy komunikatorów (równocześnie ożywione i tajemnicze) i fragmenty zaszyfrowanych rozmów... Stróże prawa rozstawiają cały swój specjalistyczny sprzęt. Oprócz tego nie musi dziać się absolutnie nic, a ludzie i tak będą stać i przyglądać się godzinami.

W dzień roboczy o dziewiątej rano sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Po wezwaniu Ortegi pojawiło się kilka radiowozów, ale ich światła i syreny ledwie przebijały się przez ogólny zgiełk miasta. Umundurowani funkcjonariusze rozstawili barierki po obu stronach ulicy i wyprowadzili klientów z okolicznych budynków, podczas gdy Ortega przekonywała ochronę banku, by nie aresztowali mnie jako współuczestnika zamachu. Najwyraźniej dawali tu nagrody za złapanie terrorystów. Za prawie niewidoczną mgiełką bariery zebrał się jakiś tłum, ale tworzyli go chyba wyłącznie poirytowani przechodnie, usiłujący precyzyjnie się dalej.

Przesiedziałem to wszystko na krawężniku po drugiej stronie ulicy, przyglądając się powierzchownym ranom, jakie wywołał krótki lot z galerii na ulicę. Większość to stłuczenia i otarcia. Kształt kopuły nad recepcją skierował większość podmuchu do góry, przez dach, i tamtędy też wyleciała większość odłamków. Mieliśmy cholerne szczęście.

Ortega zostawiła gromadkę mundurowych zebranych przed bankiem i podeszła do mnie przez ulicę. Zdjęła kurtkę, na ramieniu miała długą, białą smugę kleju tkankowego

krzepnącego na ranie. W dłoni trzymała kaburę. Jej piersi poruszały się pod białym T-shirtem z napisem: MASZ PRAWO ZACHOWAĆ MILCZENIE – MOŻE Z NIEGO SKORZYSTAJ? Usiadła obok mnie na krawężniku.

– Ekipa śledcza jest w drodze – rzuciła. – Myślisz, że znajdziemy w ruinach coś ciekawego?

Spojrzałem na dymiące gruzy i potrząsnąłem głową.

– Ciała, może nawet z nienaruszonymi stosami, ale ci faceci to tylko lokalne męty. Powiedzą co najwyżej, że wynajął ich syntetyk, pewnie za kilka ampułek tetrametu na łebka.

– Fakt, byli dość niezdarni, prawda?

Poczułem, że usta mimowolnie rozciągają mi się w uśmiechu.

– Dość. Ale z drugiej strony, nie wydaje mi się, żeby naprawdę chcieli nas zabić.

– Mieli tylko odwrócić naszą uwagę, zanim twój kumpel zrobi BUM?

– Coś w tym stylu.

– Jeśli dobrze rozumiem, detonator podpięto do jego funkcji życiowych, tak? Ty w niego trafiasz, a on zabiera ze sobą ciebie, mnie i całą tanio wynajętą pomoc.

– I kasuje własny stos oraz powłokę. – Kiwnąłem głową. – Dobrze pomyślane, nie sądzisz?

– Więc co się nie udało?

Pomasowałem bliznę nad okiem.

– Przecenił mnie. Miałem go od razu zabić, ale spudłowałem. Pewnie w tej sytuacji sam by ze sobą skończył, ale rozwaliłem mu ramię, próbując uciszyć pistolet maszynowy. – *Oczyma duszy zobaczyłem, jak pistolet wypada z bezwładnych palców i ląduje na podłodze.* – Rzuciło go też poza zasięg. Musiał tam leżeć, siłą woli próbując uśmiercić ciało, kiedy usłyszał, że wychodzimy. Ktoś nieźle się nad nim napracował.

– Ktokolwiek to był, w każdej chwili może spodziewać się mojej wizyty – stwierdziła mściwie Ortega. – Może jednak zostało coś dla ekipy śledczej.

– Wiesz, kto to był, prawda?

– Nazwał cię Kov...

– To był Kadmin.

Na chwilę zapadła cisza. Patrzyłem na dym unoszący się znad zrujnowanej kopuły. Ortega dwukrotnie głęboko odetchnęła.

– Kadmin jest w przechowalni.

– Nie, już go tam nie ma. – Zerknąłem na nią. – Masz papierosa?

Bez słowa podała mi paczkę. Wyciągnąłem jednego, umieściłem go w kąciku ust, dotknąłem łątki zapalającej i głęboko się zaciągnąłem. Wszystkie ruchy wykonałem płynnie i automatycznie, lata praktyki zrobiły swoje. Nie musiałem świadomie niczym sterować. Dym kłębiący się w moich płucach był niczym zapach perfum używanych przez heroiny sprzed lat.

– Znał mnie. – Wydmuchałem dym. – I znał też quelistowską historię. „Już, kurwa, dość” to ostatnie słowa członkini quelistowskiego oddziału partyzanckiego Iffy Deme, która zginęła w trakcie przesłuchania podczas Niepokojów na Świecie Harlana. Miała wszczepione materiały wybuchowe i zabrała ze sobą cały budynek. Brzmi znajomo? Powiedz mi, kto ze znanych nam osób potrafi cytować Quell jak rodowity Millsportczyk?

– Jest w przechowalni, Kovacs. Nikogo nie da się stamtąd wyciągnąć bez...

– Bez SI. Można to zrobić, mając SI. Nawet już to kiedyś widziałem. Komenda główna na Adoracion zrobiła to z naszymi więźniami wojennymi, o tak. – Strzeliłem palcami. – Proste jak pierdnięcie.

– Rzeczywiście tak proste? – spytała ironicznie Ortega.

Wciągnąłem jeszcze trochę dymu, ignorując zaczepkę.

– Pamiętasz, że kiedy byliśmy w wirtualu z Kadminem, na niebie pojawił się taki efekt świetlny?

– Nie widziałam. Nie, czekaj, faktycznie. Myślałam, że to jakaś usterka.

– Niestety nie. Światło odbiło się od stołu i dotknęło go. Wtedy właśnie obiecał, że mnie zabije. – Obróciłem się do niej i krzywo

uśmiechnąłem. Nadal miałem przed oczami wspomnienie wirtualnej postaci Kadmina. – Chcesz posłuchać oryginalnego mitu z pierwszego pokolenia Świata Harlana? Bajki z innej planety?

– Kovacs, nawet z SI potrzebowaliby...

– Chcesz posłuchać opowieści?

Ortega wzruszyła ramionami, zamrugła i skinęła głową.

– Jasne. Oddasz mi fajki?

Podąłem jej paczkę i odczekałem, aż zapali papierosa. Wydmuchiwała dym w stronę ulicy.

– Opowiadaj.

– Miejsce, z którego pochodzę, Newpest, było kiedyś ośrodkiem tekstylnym. Na Świecie Harlana można znaleźć taką roślinę, pięknorost. Rośnie w morzu i na większości wybrzeży. Kiedy się ją wysuszy i potraktuje chemikaliami, można z niej otrzymać coś w rodzaju bawełny. W czasie Osiedlania Newpest stanowiło pięknobawełnianą stolicę Świata. Warunki w fabrykach nie należały do najlepszych nawet wtedy, a kiedy quelliści przewrócili wszystko do góry nogami, zrobiło się jeszcze gorzej. Przemysł pięknobawełniany popadł w recesję, zapanowało potężne bezrobocie i totalne ubóstwo, a niezadowoleni ludzie nie potrafili sobie z tym poradzić. Byli rewolucjonistami, nie ekonomistami.

– Wciąż ta sama śpiewka, co?

– W każdym razie znajoma melodia. Z tekstylnych slumsów tego czasu wywodzą się dość koszmarnie opowieści, na przykład o duchach z młockarnią i kanibalach z ulicy Kitano.

– Urocze. – Ortega zaciągnęła się papierosem, szerzej otwierając oczy.

– Cóż, kiepskie czasy. No więc powstała wtedy historia o Szalonej Ludmile, szwaczce. Opowiada się ją dzieciom, żeby odrabiały zadania domowe i wracały do domu przed zmierzchem. Szalona Ludmiła miała podupadającą fabryczkę pięknobawełny i trójkę dzieci, które nigdy jej nie pomagały. Spędzały czas w salonach gier albo przesypiały cały dzień. Ale

któregoś dnia Ludmiła dostała szwungu.

– A więc jeszcze wtedy nie była szalona?

– Nie, tylko trochę zestresowana.

– Nazwałeś ją Szaloną Ludmiłą.

– Tak nazywa się w opowieści.

– Ale jeśli na początku nie była szalona...

– Chcesz usłyszeć tę historię czy nie?

Ortega wykrzywiła kąciki ust. Machnęła na mnie ręką z papierosem.

– Tak więc – podjąłem – *według opowieści* któregoś wieczora, gdy jej dzieci szykowały się do wyjścia, doprawiła czymś ich kawę, a kiedy były półprzytomne, ale zaznaczam, wciąż świadome, zawiozła je do Mitcham's Point i wrzuciła je do zbiorników młockarni, po jednym do każdego zbiornika. Mówią, że krzyki było słychać po drugiej stronie bagna.

– Hm.

– Oczywiście, policja coś podejrzewała...

– Serio?

– ...ale niczego nie mogli jej dowieść. Dzieciaki dorwały się do paskudnych prochów, zadzierały z lokalną yakuzą, nikt tak naprawdę nie dziwił się, że zniknęły.

– W tej historii jest jakaś puenta?

– Owszem. Widzisz, Ludmiła pozbyła się swoich cholernych, bezużytecznych dzieciaków, ale tak naprawdę to nic nie zmieniło. Nadal potrzebowała kogoś do pilnowania zbiorników i dźwigania pięknorostów, no i wciąż była spłukana. To co zrobiła?

– Pewnie coś makabrycznego.

Kiwnąłem głową.

– Wyciągnęła kawałki swoich dzieciaków z młockarni i zszyła je w potężne, trzymetrowe ścierwo. A potem, w nocy poświęconej ciemnym siłom, przywołała Tengu do...

– Co?

– Tengu. Taki paskudnik, pewnie nazwałabyś go demonem. Wezwała Tengu, by ożywić korpus, a potem zaszyła go w środku.

– Jak? Kiedy nie patrzył?

– Ortega, to bajka. Uwięziła duszę Tengu, ale obiecała go uwolnić, jeśli będzie jej służył przez dziewięć lat. W harlanickim panteonie dziewięć jest liczbą świętą, więc była równie związana umową, co Tengu. Niestety...

– Ach.

– Tengu nie grzeszy cierpliwością, no i nie przypuszczam, żeby z Ludmiłą przyjemnie się pracowało. Pewnej nocy, przed upływem jednej trzeciej kontraktu, Tengu zbuntował się i rozdarł ją na strzępy. Niektórzy mówią, że podpuściła go Kishimo-jin, szepcząc mu do ucha potworne rzeczy...

– Kishimo Gin?

– Kishimo-jin, boska opiekunka dzieci. Była to jej zemsta na Ludmile, która zabiła swoje. To jedna wersja, według innej... – Kątem oka zauważyłem buntowniczy wyraz twarzy Ortegi i darowałem sobie dygresję. – No dobra, w każdym razie Tengu rozerwał ją na kawałki, ale złamał w ten sposób świętą umowę i za karę musiał pozostać w korpusie. Niestety, po śmierci osoby rzucającej czar, co gorsza, zdradzonej, ściervo zaczęło gnić. Kawałek tu, strzępek tam, i nic nie mogło tego powstrzymać. Więc Tengu zaczął grasować po ulicach i fabrykach dzielnicy tekstylnej w poszukiwaniu świeżego mięsa, którym mogłby zastąpić zgniłe kawałki ciała. Zawsze zabijał dzieci, bo części, których potrzebował, były małe, ale niezależnie od tego, ile razy przyszywał nowe kawałki na miejsce zgniłych...

– To znaczy, że nauczył się szyć?

– Tengu jest wszechstronnie utalentowany. Niezależnie od tego, ile razy wszywał nowe kawałki, po kilku dniach nowe części znów zaczynały gnić i znów musiał wyruszać na polowanie. W dzielnicy nazwali go łątołakiem.

Zamilkłem. Usta Ortegi ułożyły się w ciche „o”, potem wolno wydmuchnęła nimi dym. Przyglądała się, jak znika, a potem odwróciła się do mnie.

– Matka opowiedziała ci tę historię?

– Ojciec. Kiedy miałem pięć lat.

– Miło. – Przyjrzała się uważnie żarowi papierosa.

– Nie. Nie było miło, on nie był miły. Ale to inna historia. – Wstałem i popatrzyłem w kierunku jednej z barier, przy której zgromadził się większy tłum. – Kadmin się wydostał i nikt go nie kontroluje. Niezależnie od tego, dla kogo pracował wcześniej, teraz działa na własną rękę.

– Jak? – Ortega ze złością rozrzuciła ręce. – OK, SI mogłaby przetunelować się do przechowalni policyjnej Bay City. To rozumiem. Ale mówimy tu o mikrosekundowej ingerencji. Chwila dłużej i rozdzwoniłyby się wszystkie alarmy stąd do Sacramento.

– Mikrosekunda w zupełności wystarczy.

– Ale Kadmin nie jest w maszynie. Musieliby wiedzieć, kiedy go otwieramy, a do tego potrzebny byłby im namiar. Potrzebowaliby... – Umilkła, odkrywając, do czego to prowadzi.

– Mnie – zakończyłem za nią. – Potrzebowaliby mnie.

– Ale ty...

– Muszę mieć trochę czasu, żeby się przez to przegryźć, Ortega.

– Wrzuciłem papierosa do kratki ściekowej i skrzywiłem się, smakując wnętrze własnych ust. – Dzisiaj, może też jutro. Sprawdź stos. Kadmina nie ma. Na twoim miejscu przez jakiś czas bym się nie wychylał.

Zrobiła kwaśną minę.

– Każesz mi się ukrywać we własnym mieście?

– Niczego ci nie każę. – Wyciągnąłem nemexa i automatycznym ruchem wyrzuciłem z rękoleści na wpół opróżniony magazyn, który potem wsadziłem do kieszeni. – Przedstawiam ci warunki gry. Potrzebujemy jakiegoś miejsca, gdzie moglibyśmy się spotkać. Hendrix odpada. Wybierz miejsce, w którym nikt nie zdoła cię wyśledzić. I nie mów mi, gdzie to jest, tylko zapisz. – Kiwnąłem w stronę tłumu przy barierze. – Wystarczy, żeby ktoś miał porządny implant i podsłuchiwał naszą rozmowę.

– Jezu. – Wydęła policzki. – Kovacs, to technoparanoja.

– Mów do mnie jeszcze. Sam robiłem takie rzeczy.

Zastanowiła się przez chwilę, potem wyciągnęła długopis i napisała coś na paczce papierosów. Wyłowiłem z kieszeni pełen magazynek i wsunąłem go w nemexa, oczami wciąż skanując tłum.

– Proszę bardzo. – Ortega rzuciła mi papierosy. – To kod dyskretnego miejsca. Podaj go dowolnej taksówce w rejonie zatoki, a zawiezie cię tam bez problemu. Będę tam dziś i jutro wieczorem. Potem wrócę do roboty jak gdyby nigdy nic.

Złapałem paczkę lewą ręką, rzuciłem okiem na cyfry i wsadziłem ją do kieszeni kurtki. Potem zarepetowałem nemexa, wprowadzając do komory pierwszy nabój, i wcisnąłem pistolet z powrotem do kabury.

– Daj mi znać, jak sprawdzisz stos – powiedziałem i ruszyłem przed siebie.

Rozdział dwudziesty trzeci

Poszedłem na południe.

Nad głową przemykały mi autotaksówki, włączając się do ruchu i wyskakując z niego z zaprogramowaną superdokładnością. Opuszczały się czasem do poziomu ulicy i próbowały zachęcać klientów. Wygląd nieba sugerował zmianę pogody. Zobaczyłem sunące z zachodu ciężkie deszczowe chmury, a na moich policzkach wylądowało kilka kropel deszczu. Mimo wszystko dałem sobie spokój z taksówkami. Virginia Vidaura poradziłaby mi, żeby iść w prymitywizm. Jeśli szuka cię SI, jedyna nadzieja to próba ucieczki poza zasięg elektroniki. Oczywiście, na polu bitwy jest to znacznie łatwiejsze. Pełno błota i chaos, w którym można się ukryć. Nowoczesne miasto – niezbombardowane – to dlatego rodzaju uników logistyczny koszmar. Do sieci podpięty jest każdy budynek, pojazd i każda ulica. Wystarczy, że dokonasz jakiegokolwiek transakcji, a już stajesz się celem dla psów gończych.

Znalazłem podniszczony bankomat i uzupełniłem zapas plastikowych banknotów. Potem minąłem dwie przecznice i ruszyłem na wschód, aż znalazłem budkę telefoniczną. Przeszukałem kieszenie, znalazłem wizytówkę, umieściłem elektrody na głowie i zadzwoniłem.

Nie było obrazu. Żadnego dźwięku połączenia. Wewnętrzny chip. Z czarnego ekranu rozbrzmiał szorstki głos.

– Kto mówi?

– Dała mi pani swoją wizytówkę – powiedziałem – na wypadek gdyby wydarzyło się coś poważnego. No cóż, wygląda na to, pani doktor, że musimy porozmawiać.

Wyraźnie słyszeć było, jak głośno przełyka ślinę, tylko raz, a potem znów zabrzmiał jej głos, równy i chłodny.

– Przypuszczam, że nie będzie pan chciał przyjść do Centrali.
– Ma pani rację. Zna pani czerwony most?
– Nazywa się Golden Gate – powiedziała sucho. – Tak, nie jest mi obcy.
– Niech pani tam przyjedzie o jedenastej. Droga na północ. I niech pani będzie sama.
Rozłączyłem się. Znów zadzwoniłem.
– Rezydencja państwa Bancroftów, z kim chciałby pan rozmawiać? – Ułamek sekundy po tym, jak usłyszałem te słowa, na ekranie pojawiła się sztywno ubrana kobieta z włosami obciętymi w sposób przypominający modną wśród pilotów fryzurę Angin Chandry.
– Z Laurenssem Bancroftem, poproszę.
– Pan Bancroft uczestniczy w tej chwili w naradzie.
To ułatwiało sprawę.
– Dobra. Kiedy będzie dostępny, proszę mu przekazać, że dzwonił Takeshi Kovacs.
– Zechciałby pan porozmawiać z panią Bancroft? Zostawiła instrukcje, żeby...
– Nie – rzuciłem ostro. – To nie będzie konieczne. Proszę przekazać panu Bancroftowi, że przez kilka dni nie będzie można się ze mną skontaktować, ale zadzwonię do niego z Seattle. To wszystko.
Rozłączyłem się i sprawdziłem zegarek. Do terminu spotkania wyznaczonego na moście została jeszcze godzina i czterdzieści minut. Ruszyłem w poszukiwaniu baru.

*Mamy stos, kopię i czarny pas
łatołak nie przestraszy nas.*

Ze wspomnień dzieciństwa przebił się krótki fragment dziecięcej rymowanki. Jednak tak naprawdę się bałem.

* * *

Gdy dostaliśmy się na drogę do mostu, zbierały się chmury, ale deszcz jeszcze się nie rozpadał, a kropli, które spadły na szybę, było zbyt mało, by uruchomić automatyczne wycieraczki pojazdu. Przyglądałem się rosnącej z przodu strukturze przez zniekształcenia wywołane rozprysniętymi kroplami i z każdą chwilą byłem coraz bardziej pewny, że przemoknę.

Most był pusty. Wieże nośne sterczały nad pustymi asfaltowymi jezdniami i pełnymi śmieci chodnikami jak kości jakiegoś nieprawdopodobnie wielkiego dinozaura.

– Zwolnij – poleciłem swojemu towarzyszowi, gdy przejeżdżaliśmy pod pierwszą z wież. Zerknąłem w bok. – Spokojnie. Powiedziałem ci, nie ma żadnego ryzyka. Po prostu się z kimś umówiłem.

Przeszczep Nicholson rzucił znad kierownicy spojrzenie zaczerwienionych oczu, chuchając przy okazji przetrawionym alkoholem.

– Jasne. Co tydzień rozdajesz kierowcom tyle plastiku, nie? Wybierasz ich z barów Lodowni z dobrego serca?

– Myśl sobie, co chcesz. – Wzruszyłem ramionami. – Po prostu zwolnij. Jak już mnie wysadysz, będziesz mógł jechać tak szybko, jak tylko przyjdzie ci ochota.

Potrząsnął skołtunioną głową.

– Coś mi tu śmierdzi, stary...

– Tam. Stoi na chodniku. Tam mnie wysadź.

O poręcz mostu przed nami opierała się samotna postać, najwyraźniej kontemplując widok na zatokę. Nicholson zmarszczył się i wygiął mocno przerośnięte ramiona, od których pewnie brało się jego przezwisko. Spracowana ciężarówka przejechała spokojnie, choć nie całkiem gładko, przez dwa pasy i zatrzymała się ostro przy barierce po prawej stronie.

Wyskoczyłem i rozejrzałem się ostrożnie, a kiedy nikogo nie zobaczyłem, podciągnąłem się z powrotem do otwartych drzwi.

– Dobra, teraz słuchaj. Zanim dotrę do Seattle, miną przynajmniej dwa dni, może trzy, więc po prostu zakop się w pierwszym hotelu, jaki zaproponuje ci miejska baza danych,

i czekaj tam na mnie. Płać gotówką, ale zamelduj się pod moim nazwiskiem. Będę się z tobą kontaktował między dziesiątą a jedenastą rano, więc bądź wtedy w hotelu. Przez resztę czasu możesz robić, na co masz ochotę. Dałem ci chyba dość forsy, żebyś się nie nudził.

Przeszczep Nicholson wyszczerzył zęby w lubieżnym uśmiechu, z powodu którego zrobiło mi się trochę żal wszystkich kobiet pracujących w tym tygodniu w przemyśle rozrywkowym Seattle.

– Nie martw się o mnie, koleś. Stary Przeszczep wie, jak złapać przyjemność za cycuszki.

– To dobrze. Tylko się nie rozłóż za bardzo. Możliwe, że będziemy musieli się wyprowadzać w pośpiechu.

– Jasne, przekonamy się. A co z resztą plastiku?

– Mówiłem. Dostaniesz, jak będzie po wszystkim.

– A co, jeśli nie pojawisz się za trzy dni?

– To będzie oznaczać – wyjaśniłem uprzejmie – że jestem martwy. Jeśli do tego dojdzie, lepiej zaszyj się gdzieś na kilka tygodni. Nie będą tracić czasu, żeby cię szukać. Znajdą mnie, to im wystarczy.

– Człowieku, nie wydaje mi się, żebym...

– Nic ci nie będzie. Do zobaczenia za trzy dni. – Opadłem z powrotem na ulicę, zatrzasnąłem drzwi ciężarówki i dwukrotnie w nie uderzyłem. Silnik zawył i Nicholson sprowadził ciężarówkę z powrotem na środek drogi.

Przyglądając się, jak odjeżdża, przez chwilę zastanawiałem się, czy w ogóle pojedzie do Seattle. W końcu dałem mu sporo pieniędzy i nawet jeśli dostał obietnicę drugiej wypłaty, o ile postąpi zgodnie z instrukcjami, na pewno będzie go kusiło, by zawrócić gdzieś na wybrzeżu i skierować się z powrotem prosto do baru, w którym go znalazłem. Albo robi się nerwowy, czekając w hotelu na pukanie do drzwi, i zwieje, zanim miną trzy dni. Tak naprawdę nie mogłem go winić za te potencjalne zdrady, skoro sam wcale nie zamierzałem się tam zjawiać. Cokolwiek by zrobił i tak będzie dobrze.

Uciekając przed systemem, musisz namieszać w założeniach przeciwnika, powiedziała mi do ucha Virginia. Wprowadzaj tyle szumu, ile się da, i nie zwalniasz tempa.

– Pański znajomy, panie Kovacs? – Lekarka podeszła do barierki i przyglądała się odjeżdżającemu pojazdowi.

– Spotkałem go w barze – odpowiedziałem zgodnie z prawdą, przeskakując na jej stronę i podchodząc do zewnętrznej krawędzi mostu.

Przede mną rozpościerała się panorama, którą oglądałem już, wracając z Curtisem z Suntouch House w dniu mojego przybycia. W przytłumionym przez deszcz światło poruszające się pojazdy połyskiwały nad budynkami po drugiej stronie zatoki jak rój ważek. Wyteżając wzrok, mogłem rozróżnić szczegóły na wyspie Alcatraz, szare bunkry PsychSec S.A. z pomarańczowymi oknami. Dalej leżało Oakland. Za plecami ocean, a w lewo i prawo – po kilometrze pustego mostu. Uspokojony, że nie zaskoczy mnie tu nic poniżej poziomu artylerii taktycznej, odwróciłem się, by spojrzeć na panią doktor.

Wzdrygnęła się, gdy spoczął na niej mój wzrok.

– O co chodzi? – zapytałem łagodnie. – Etyka lekarska panią niepokoi?

– To nie był mój pomysł...

– Wiem. Pani tylko podpisała zwolnienie i odwróciła oczy, coś w tym stylu. Więc kto to?

– Nie wiem – powiedziała bez przekonania. – Ktoś przyszedł spotkać się z Sullivanem. Sztuczna powłoka. Wydaje mi się, że azjatycka.

Kiwnąłem głową. Trepp.

– Jak brzmiały instrukcje Sullivana?

– Sieciowy lokalizator wirtualny, wstawiony między stos korowy a interfejs nerwowy. – Wyglądało na to, że wymieniając szczegóły kliniczne, odzyskiwała pewność siebie. Zaczęła mówić spokojniejszym głosem. – Zrobiliśmy operację dwa dni przed pańskim przybyciem. Mikroskalpelem dostaliśmy się do rdzenia wzdłuż śladu po wszczepieniu stosu i zakleiliśmy tkanką

przeszczepową. Poza wirutalem nie da się tego wykryć żadnymi badaniami. Żeby go znaleźć, trzeba by puścić pełen zestaw neuroelektryczny. Jak się pan domyślił?

– Nie musiałem zgadywać. Ktoś użył go do zlokalizowania i uwolnienia z przechowalni policyjnej kontraktowego mordercy. To pomoc i współudział. Razem z Sullivanem pójdzie pani do węgła na przynajmniej kilka dekad.

Rozejrzała się po pustym moście.

– W takim razie, panie Kovacs, czemu nie ma tu policji?

Pomyślałem o liście przestępstw i aktach wojskowych, które musiały dotrzeć na Ziemię wraz ze mną. I o tym, jak musiała się czuć, stojąc sama z człowiekiem, który robił takie rzeczy. Czego było trzeba, by przyjść tu samotnie? Kąciki ust drgnęły mi w niechętnym uśmiechu.

– Dobra, jestem pod wrażeniem – przyznałem. – Teraz proszę mi powiedzieć, jak zneutralizować to cholerstwo.

Spojrzała na mnie poważnie i wtedy zaczął padać deszcz. Ciężkie krople spadały nam na ramiona. Poczułem je we włosach. Oboje spojrzeliśmy w górę, a ja zakląłem. Podeszła do mnie o krok bliżej i dotknęła przypiętej do płaszcza ciężkiej broszy. Powietrze nad nami zamigotało i deszcz nie miał już do nas dostępu. Kiedy znów spojrzałem w górę, zobaczyłem krople rozpryskujące się na rozpiętej nad naszymi głowami kopule pola repulsyjnego. Wokół naszych nóg chodnik ściemniał, najpierw punktowo, potem równomiernie, ale przy naszych stopach pozostał magiczny, suchy krąg.

– Fizyczne usunięcie takiego lokalizatora – zaczęła – wymagałoby mikrochirurgii analogicznej do zastosowanej przy wprowadzaniu. Można to zrobić, ale tylko w sali operacyjnej do mikrochirurgii z pełnym wyposażeniem. Bez tego istniałoby duże ryzyko uszkodzenia interfejsu nerwowego albo nawet nerwów rdzenia kręgowego.

Przesunąłem się lekko, czując się niezręcznie z powodu naszej bliskości.

– Jasne. Domyśliłem się.

– Więc pewnie *domyślił* się pan – powiedziała, parodiując mój akcent – że może pan wprowadzić do odbiornika stosu sygnał zagłuszający albo kod lustrzany i w ten sposób zneutralizować emisję.

– Mógłbym to zrobić, gdybym miał wzór oryginalnej sygnatury.

– Gdyby miał pan wzór oryginalnej sygnatury... – powtórzyła. Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła mały dysk w plastikowej koszulce. Przez chwilę ważyła go na dłoni, potem wyciągnęła w moją stronę. – Teraz go pan ma.

Wzięłem dysk i przyjrzałem mu się z namysłem.

– Jest oryginalny – zapewniła. – Potwierdzi to panu każda klinika neuroelektryczna. Jeśli ma pan wątpliwości, mogę polecić...

– Czemu pani to dla mnie robi?

Spojrzała mi prosto w oczy i chwilę trwało, zanim odpowiedziała.

– Nie robię tego dla pana, Kovacs. Robię to dla siebie.

Czekałem. Na chwilę odwróciła wzrok, patrząc gdzieś nad zatokę.

– Korupcja nie jest mi obca, panie Kovacs. Każdy, kto pracuje przez dłuższy czas w instytucji sądowej, bez trudu rozpozna gangstera. Syntetyk był jednym z nich. Naczelnik Sullivan robił z tymi ludźmi interesy, od kiedy pracuję w Bay City. Za naszymi drzwiami kończy się jurysdykcja policji, a płace administracji nie należą do najwyższych.

Spojrzała z powrotem na mnie.

– Nigdy nie wzięłam od tych ludzi pieniędzy ani – aż do teraz – nie działałam na ich korzyść. Ale równocześnie nigdy im się nie przeciwstawiałam. Bardzo łatwo było zakopać się w pracy i udawać, że nie widzę, co się dzieje.

– *Ludzkie oko to cudowne urządzenie* – zacytowałem fragment Wierszy i innych kłamstw. – *Przy odrobinie wysiłku może przeoczyć nawet najjaskrawszą niesprawiedliwość.*

– Zgrabnie powiedziane.

– To nie moje. Więc jak doszło do tego, że przeprowadziła pani operację?

– Jak już mówiłam, do tej pory udawało mi się unikać kontaktu z tymi ludźmi. Sullivan przydzielił mnie do upowłokowania pozaplanetarnego, ponieważ zwykle zdarza się rzadko, a przysługi, jakie oddawał tym gangsterom, miały głównie charakter lokalny. Tak było łatwiej nam obojgu. Pod tym względem jest dobrym zarządcą.

– Szkoda więc, że się pojawiłem.

– Tak, tu zaczął się problem. Naczelnik zdawał sobie sprawę, że dziwnie by wyglądało, gdyby któryś z oddanych mu lekarzy zastąpił mnie na czas dopełnienia wszystkich formalności, a nie chciał wzbudzać podejrzeń. Najwyraźniej chodziło o coś *poważnego* – zaakcentowała te słowa w ten sam sposób, jak moje wcześniejsze *domyśliłem się*. – Ci ludzie mieli powiązania na wysokim szczeblu i wszystko musiało pójść gładko. Ale nie był głupi, przygotował dla mnie wytłumaczenie.

– Mianowicie?

Znów na mnie spojrzała.

– Powiedział, że jest pan groźnym psychopata. Maszyną do zabijania, która oszalała. I że niezależnie od powodów, lepiej byłoby, żeby nie pływał pan w danych nieoznaczony. Trudno powiedzieć, gdzie mógłby się pan przetransferować strunowo, raz znalazłszy się w realnym świecie. Kupiłam to. Pokazał mi pańską kartotekę. Och, nie był głupi. To ja byłam głupia.

Przypomniałem sobie Leilę Begin i rozmowę o psychopatach na wirtualnej plaży. I własne nonszalanckie odpowiedzi.

– Nie tylko Sullivan nazwał mnie psychopata. I nie tylko pani to kupiła. Emisariusze to, no cóż... – Wzruszyłem ramionami i odwróciłem wzrok. – To tylko nazwa, etykieta na użytek mas.

– Mówią, że wielu z was odchodzi. Że dwadzieścia procent poważnych przestępstw w Protektoracie popełniają byli Emisariusze. Czy to prawda?

– Procenty? – Patrzyłem w deszcz. – Nie mam pojęcia. Tak, jest nas sporo. Po zwolnieniu z Korpusu nie mamy zbyt wielu

możliwości. Nie pozwalają nam zajmować się niczym, co umożliwiłoby nam osiągnięcie jakichś wpływów, zdobycie jakiegokolwiek władzy. Na większości światów nie wolno nam pełnić funkcji publicznych. Emisariuszom nikt nie ufa, a to oznacza brak promocji. Brak perspektyw. Żadnych pożyczek, żadnego kredytu.

Zwróciłem się z powrotem do niej.

– A trening, jaki przechodzimy i wszystko, czego nas uczą, przypomina działalność przestępczą. Właściwie niewiele różnimy się od zwykłych oprychów. Z tym, że im jest łatwiej. Większość z nich nie grzeszy rozumem, pewnie sama pani o tym wie. Nawet zorganizowane syndykaty w porównaniu do Korpusu przypominają dziecięce bandy. Łatwo jest zyskać szacunek. A kiedy prawie dekadę spędziło się, przeskakując między powłokami, stygnąc w przechowalni i żyjąc w wirtualach, groźby, jakimi dysponują stróże prawa, wydają się wręcz śmieszne.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu.

– Przykro mi – powiedziała w końcu.

– Niepotrzebnie. Każdy, kto przeczytałby te akta...

– Nie to miałam na myśli.

– Och... – Spojrzałem na trzymany w dłoni dysk. – Cóż, jeśli zamierza pani za coś odpokutować, powiedziałbym, że właśnie pani to zrobiła. I proszę mi wierzyć, nikt nie jest zupełnie czysty. Jedyne miejsce, gdzie to możliwe, to przechowalnia.

– Tak. Wiem.

– No dobrze. Chciałbym wiedzieć jeszcze jedno.

– Tak?

– Czy Sullivan jest w tej chwili w pracy?

– Był, kiedy wychodziłam.

– A o której kończy dzisiaj po południu?

– Zazwyczaj wychodzi około siódmej. – Zaciśnęła wargi. – Co pan chce zrobić?

– Zamierzam zadać mu kilka pytań – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– A jeśli nie odpowie?

– Jak sama pani stwierdziła, nie jest głupi. – Wsunąłem dysk do kieszeni kurtki. – Dziękuję za pomoc, pani doktor. Proszę się lepiej nie kręcić w okolicy Centrali dzisiaj koło siódmej. I dziękuję.

– Jak mówiłam, panie Kovacs, robię to dla siebie.

– Nie to miałem na myśli, pani doktor.

Delikatnie położyłem dłoń na jej ramieniu, potem zrobiłem krok do tyłu i odszedłem w deszcz.

Rozdział dwudziesty czwarty

Dziesiątki lat używania wyźłobiły w drewnianych ławkach serie wygodnych wgłębień na pośladki i wygładziły poręcze. Rozparłem się na ławce stojącej najbliżej interesujących mnie drzwi, wyciągnąłem na niej nogi i zająłem się studiowaniem powycinanych w drewnie napisów. W czasie długiego marszu przez miasto przemokłem do suchej nitki, ale w hali było przyjemnie ciepło, a deszcz wysoko nad moją głową stukał bezsilnie w długie, przejrzyste panele. Po chwili do ławki zbliżył się jeden z automatów czyszczących, zmywając z podłogi błotniste ślady moich butów. Przyglądałem mu się leniwie, aż skończy pracę, usuwając wszelkie ślady mojego przybycia.

Przyjemnie byłoby pomyśleć, że tak samo można usunąć moje elektroniczne ślady, ale ten rodzaj ucieczki był zarezerwowany dla legendarnych bohaterów innej epoki.

Robot czyszczący oddalił się, a ja wróciłem do czytania wyrytych napisów. Większość była po amangielsku i hiszpańsku, stare żarty, które widziałem już w setkach podobnych miejsc: *Zmodyfikowany węglak! i Nieobecny bez powłoki!* czy stare hasło *Tu byłem zmodyfikowany!* Jednak wysoko na oparciu znalazłem haiku, wycięte, nie wiedzieć czemu, do góry nogami. Wyglądało jak maleńki klejnot spokoju w całym tym szaleństwie:

*Jak cudze rękawiczki załóż nowe ciało
I znów przypal swe palce.*

Żeby umieścić je w ten sposób na drewnie, autor musiał nachylać się z drugiej strony ławki, ale i tak każda litera została wycięta ze staranną elegancją. Przez dłuższy czas przyglądałem

się kaligrafii, a wspomnienia dźwięczały mi w głowie jak naprężone struny.

Z zamyślenia wyrwał mnie nagły odgłos płaczu dobiegający gdzieś z prawej strony. Odwróciłem się, młoda, czarna kobieta z dwójką dzieci wpatrywała się w przygarbionego białego faceta w wystrzępionym mundurze ONZ. Rodzinne zjednoczenie. Twarz młodej kobiety zastygła w szoku, który jeszcze nie dotarł do głębi. Mniejsze dziecko, które prawdopodobnie miało nie więcej niż cztery lata, rozglądało się wokół bezradnie. Pewnie wcale nie rozumiało, o co chodzi. Patrzyło na białego mężczyznę, w kółko powtarzając to samo pytanie: *Gdzie jest tatuś? Gdzie jest tatuś?* Twarz mężczyzny połyskiwała w świetle rozmytym przez deszcz – wyglądał, jakby płakał od chwili wyjścia ze zbiornika.

Odwróciłem wzrok. Kiedy upowłokowali mojego ojca, przeszedł obok czekającej rodziny i zniknął z naszego życia. Nigdy nie dowiedzieliśmy się nawet, jak wyglądał, choć czasem zastanawiałem się, czy matka na pewno nie wychwyciła jakiegoś podobieństwa postawy czy sposobu chodzenia w którymś z mijających nas mężczyzn. Nie wiem, czy był zbyt zawstydzony, by przed nami stanąć, czy, co bardziej prawdopodobne, zbyt przejęty szczęściem, że otrzymał powłokę zdrowszą niż własne zrujnowane alkoholem ciało i że może wyznaczyć od razu nowy kurs na inne miasta i młodsze kobiety. Miałem wtedy dziesięć lat. Zrozumiałem to dopiero, gdy obsługa wyprosiła nas z poczekalni tuż przed zamknięciem jej na noc. Czekaliśmy tam od południa.

Szefem personelu był starszy mężczyzna o życzliwym usposobieniu. Położył mi rękę na ramieniu i zanim nas wyprowadził, powiedział kilka ciepłych słów. Mojej matce nisko się uklonił i wymamrotał coś, co pozwoliło jej zachować względny spokój.

Prawdopodobnie widział już niejedną taką scenę.

Żeby się czymś zająć, zapamiętałem kod miejsca bezpiecznego spotkania z Ortegą, a potem oderwałem tę część paczki papierosów i zjadłem ją.

Zanim Sullivan pojawił się na schodach, moje ubranie prawie

całkowicie wyschło. Naczelnik otulił się szczelnie długim, szarym płaszczem przeciwdeszczowym, na głowie miał kapelusz z szerokim rondem; coś, czego jeszcze nie widziałem w Bay City. Jego twarz oglądana w zbliżeniu wykonanym dzięki neurochemii wyglądała blado i sprawiała wrażenie zmęczonej. Czubkami palców przesunąłem po tkwiącym w kaburze pistolecie Philipsa. Sullivan szedł wprost na mnie, ale kiedy zobaczył rozpartą na ławce postać, z niesmakiem wydał wargi i zmienił kurs, starając się uniknąć spotkania z kimś, kogo zapewne wziął za koczującego w poczekalni lumpa. Minął mnie, nawet na mnie nie zerkając.

Pozwoliłem mu zrobić jeszcze kilka kroków, po czym bezgłośnie podniosłem się i ruszyłem za nim, wyciągając spod kurtki philipsa. Dogoniłem go, gdy doszedł do wyjścia. Kiedy otworzyły się przed nim drzwi, pchnąłem go mocno w okolice krzyża i szybko wyszedłem za nim na zewnątrz. Odwrócił się w moją stronę z twarzą wykrzywioną gniewem.

Drzwi zaczęły się zamykać.

– Co mi tu... – Reszta pozostała niewypowiedziana, gdy zorientował się, z kim ma do czynienia.

– Naczelnik Sullivan. – Powitałem go uprzejmie i pokazałem mu ukrytego pod kurtką philipsa. – To cicha broń, a ja nie jestem w najlepszym nastroju. Proszę robić dokładnie to, co każę.

Głośno przełknął ślinę.

– Czego chcesz? – spytał.

– Porozmawiać, między innymi o Trepp. Ale nie mam ochoty robić tego na deszczu. Chodźmy.

– Mój samochód jest...

– Naprawdę kiepskim pomysłem. – Kiwnąłem głową. – Więc chodźmy pieszo. I, naczelniku Sullivan, jeśli choć mrugnie pan do niewłaściwej osoby, przestrzelę pana na pół. Nie zobaczy pan broni, nikt jej nie zobaczy. Ale ona będzie tu cały czas.

– Robisz błąd, Kovacs.

– Nie wydaje mi się. – Skinąłem głową w stronę niezbyt gęsto ustawionych na parkingu pojazdów. – Prosto przez parking i w

lewo na ulicę. Idź, póki nie każę ci stanąć.

Sullivan chciał coś jeszcze powiedzieć, ale dźgnąłem go łufą philipsa, więc się zamknął. Pierwsze kilka kroków zrobił bokiem, co chwila spoglądając na mnie. Zszedł na parking, a potem przez nierówną nawierzchnię w stronę obwisłej, dwuskrzydłowej bramy, która wyglądała jakby przerdzewiała już przed wiekami.

– Patrz przed siebie – nakazałem, kiedy zwiększyła się dzieląca nas odległość. – Wciąż tu jestem, nie musisz się o to martwić.

Na ulicy pozwoliłem, by oddalił się na kilkanaście metrów i udawałem, że absolutnie nic nie łączy mnie z idącą z przodu osobą. Okolica nie należała do szczególnie atrakcyjnych i nie było tu tłumów. Sullivan stanowiłby doskonały cel dla philipsa nawet przy dwukrotnie większej odległości.

Pięć przecznic dalej zauważyłem zaparowane okna chińskiej knajpki. Przyśpieszyłem kroku i podszedłem do Sullivana od strony ulicy.

– Wchodź. Podejdź do stolika na tyłach i usiądź.

Rozejrzałem się, żeby się upewnić, że nie mam ogona, potem wszedłem do środka za Sullivanem.

Wewnątrz było prawie pusto; amatorzy lunchu dawno już zniknęli, a wieczorny szczyt jeszcze się nie zaczął. W kącie siedziały dwie bardzo stare Chinki. Rozmawiały, kiwając głowami z elegancją uschniętych bukietów. Po drugiej stronie restauracji czterech młodzików w jedwabnych garniturach bawiło się jakimś kosztownym sprzętem. Przy stole obok okna rozparł się na krześle gruby białas, który przebijał się przez potężną porcję chow mein, przeglądając strony pornograficznego holokomiksu. Umieszczony wysoko na jednej ze ścian płaski ekran przekazywał relację z jakiegoś lokalnego meczu sportowego.

– Herbata – rzuciłem do kelnera, który wyszedł nam na powitanie, i usadowiłem się w boksie naprzeciw Sullivana.

– Nie uda ci się to – stwierdził, ale nie zabrzmiało to przekonująco. – Nawet jeśli mnie zabijesz, naprawdę zabijesz, sprawdzą ostatnie upowłokowienia i prędzej czy później dotrą

do ciebie.

– Jasne, może nawet dowiedzą się o nieoficjalnej operacji, której dokonano na tej powłoce przed moim przybyciem.

– Ta dziwka zapłaci mi...

– W tej chwili groźby raczej nie mają sensu – przerwałem mu łagodnie. – Prawdę mówiąc, znalazłeś się w sytuacji, w której możesz jedynie odpowiadać na moje pytania z nadzieją, że ci uwierzę. Kto ci kazał mnie oznaczyć?

Cisza, jeśli nie liczyć komentarza sportowego z naściennego ekranu. Sullivan patrzył na mnie ponuro.

– Dobra, ułatwię ci to. Proste „tak” lub „nie”. Przyszedł cię odwiedzić sztuczniak, niejaka Trepp. Pierwszy raz prowadziłeś z nią interesy?

– Nie wiem, o czym mówisz.

Trzasnąłem go wierzchem dłoni w usta. Poleciał w bok na ścianę boksu, gubiąc przy tym kapelusz. Czterech cwaniaczków w jedwabnych garniturach umilkło raptownie, po czym, gdy rzuciłem im twarde spojrzenie, wrócili do przerwanej dyskusji jak gdyby nigdy nic. Staruszki sztywno podniosły się z miejsc i wyszły przez tylne drzwi. Grubas przy oknie nawet nie oderwał wzroku od holopornosa. Nachyliłem się nad stołem.

– Sullivan, nie podchodzisz do tego z odpowiednim nastawieniem. Bardzo mnie interesuje, komu mnie sprzedałeś. Nie zamierzam rezygnować tylko dlatego, że masz jakieś śladowe zasady dotyczące poufności danych klientów. Wierz mi, nie płacą ci tyle, żeby ukrywanie czegoś przede mną nadal było dla ciebie opłacalne.

Sullivan z powrotem się wyprostował, ścierając krew z kącików ust. Trzeba przyznać, że prawie udało mu się uśmiechnąć.

– Myślisz, Kovacs, że jeszcze nigdy mi nie grożono?

Obejrzałem dłoń, którą go uderzyłem.

– Myślę, że masz znikome doświadczenia z przemocą, a to będzie działało na twoją niekorzyść. Zamierzam teraz dać

ci szansę. Lepiej powiedz mi wszystko, co chcę wiedzieć. Potem pójdziemy do dźwiękoszczelnego pokoju. To kto wysłał Trepp?

– Jesteś bandytą, Kovacs. Nikim więcej...

Zwinąłem dłoń i kostkami palców uderzyłem go w lewe oko. Tym razem nie narobiłem tyle hałasu, co przy poprzednim ciosie. Sullivan jęknął i zwinął się na siedzeniu. Czekałem w bezruchu, aż zbierze się do kupy. Narastało we mnie zimno, zrodzone na ławkach przechowalni więziennej w Newpest i wyostrezone przez lata bezsensownego okrucieństwa, którego byłem świadkiem. Miałem nadzieję, że dla dobra nas obu Sullivan nie jest aż tak twardy, jak próbował to właśnie pokazywać. Znow się ku niemu nachyliłem.

– Masz rację, Sullivan. Jestem bandytą. Nie szanowanym kryminalistą jak ty. Nie jestem Matem ani biznesmenem. Nie dysponuję kapitałem ani powiązaniem. Nikt nie darzy mnie szacunkiem. Jestem sam, a ty stoisz mi na drodze. Więc zacznijmy od początku. Kto wysłał Trepp?

– On nic nie wie, Kovacs. Tracisz tylko czas.

Kobiecy głos brzmiał radośnie i swobodnie. Stała przy drzwiach, trzymając ręce w kieszeniach długiego, czarnego płaszcza. Była szczupła i blada, miała krótko ścięte włosy. Pod płaszczem widać było szarą, pikowaną tunikę, prawdopodobnie kuloodporną, i pasujące do niej robocze spodnie, na wysokości kostek wciśnięte do butów. Z lewego ucha zwisał jej pojedynczy kolczyk w kształcie odłączonej elektrody. Wyglądało na to, że przyszła sama.

Wolno opuściłem philipsa, a ona zrozumiała gest i weszła w głąb restauracji. Jej sposób poruszania sugerował znajomość sztuk walki. Młodzi mężczyźni w jedwabiu śledzili każdy jej krok, ale nawet jeśli była tego świadoma, nie dała nic po sobie poznać. Kiedy znalazła się od nas na wyciągnięcie ręki, rzuciła mi pytające spojrzenie i zaczęła wolno wyciągać ręce z kieszeni. Skinąłem, więc dokończyła ruch, ukazując puste dłonie. Niemal każdy ich palec zdobił pierścień z czarnego szkła.

– Trepp?

– Zgadłeś. Pozwolisz, że usiądę?

Machnąłem pistoletem w stronę siedzenia po drugiej stronie stołu, gdzie Sullivan przykładął obie dłonie do oka.

– Jeśli potrafisz przekonać swojego współnika, żeby się przesunął. Tylko trzymaj ręce nad stołem.

Kobieta uśmiechnęła się i przekrzywiła głowę. Zerknęła na Sullivana, który już zrobił jej miejsce, a potem, trzymając dłonie uniesione dość wysoko, wsunęła się elegancko obok niego. Poruszała się tak lekko, że kolczyk ledwie się poruszył. Kiedy usiadła, oparła ręce na stole przed sobą.

– Tak czujesz się bezpieczniej?

– Może być. – Zauważyłem, że pierścienie z czarnego szkła, podobnie jak kolczyk w uchu, stanowiły rodzaj żartu. W każdym z nich widać było podobny do rentgenowskiego zdjęcia bladoniebieski obraz kości pod spodem. Mógłbym polubić przynajmniej styl Trepp.

– Nic mu nie powiedziałem – wyrzucił z siebie Sullivan.

– Nie wiesz nic, co miałoby jakąkolwiek wartość – odpowiedziała od niechcienia Trepp. Nawet się nie obróciła, by na niego spojrzeć. – Masz szczęście, że tu przyszedłem. Pan Kovacs nie wygląda na kogoś, kto byłby gotów zaakceptować odpowiedź: „nie wiem”. Mam rację?

– Czego chcesz, Trepp?

– Przyszedłem pomóc. – Obejrzała się, gdy coś zagrzechotało w restauracji. Podeszedł kelner, niosąc tacę z dużym dzbankiem i dwiema filiżankami bez uszek. – Ty to zamówiłeś?

– Owszem. Poczęstuj się.

– Dzięki. Uwielbiam to. – Trepp odczekała, aż kelner rozstawi naczynia, potem zajęła się filiżanką. – Sullivan, ty też chcesz herbaty? Hej – zwróciła się do kelnera – przynieś jeszcze jedną filiżankę, dobra? Dzięki. Tak, to co mówiłam?

– Że przyszedłeś pomóc – przypomniałem usłudze.

– Właśnie. – Trepp napiła się zielonej herbaty i popatrzyła na mnie znad krawędzi filiżanki. – Tak jest. Przyszedłem, by co nieco wyjaśnić. Widzisz, próbujesz na siłę wydobyć z Sullivana

pewne informacje. A on o niczym nie wie. To ja się z nim kontaktowałam, więc proszę, oto jestem. Rozmawiaj ze mną.

Spojrzałam na nią twardo.

– Zabiłem cię w zeszłym tygodniu, Trepp.

– Tak, już mi powiedzieli. – Odstawiła naczynie i krytycznie przyjrzała się swoim palcom. – Oczywiście, nie pamiętam tego. Prawdę mówiąc, nawet cię nie znam, Kovacs. Ostatnie, co pamiętam, to że kładli mnie do zbiornika jakiś miesiąc temu. Wszystko, co było potem, przepadło. Osoba, którą spaliłeś w tym pojeździe, już nie żyje. To nie byłam ja. Więc nie chowajmy urazy, co?

– Nie masz zdalnej kopii, Trepp?

– Żartujesz? – prychnęła. – Tak jak ty, zarabiam tym na życie, ale nie zarabiam wystarczająco dużo. Zresztą, kto potrzebuje tego zdalnego gówna? Moim zdaniem, jeśli spieprzysz, musisz za to jakoś zapłacić. Dałam przy tobie ciała, nie?

Napiłem się herbaty i odtworzyłem w pamięci walkę w samochodzie, analizując ją z różnych stron.

– Byłaś trochę za wolna – stwierdziłem w końcu. – I nieostrożna.

– Jasne, nieostrożna. Muszę na to uważać. Sztuczne powłoki sprawiają, że człowiek staje się nonszalancki. Bardzo anty-Zen. Cholernie wkurza to mojego sensei w Nowym Jorku.

– To niedobrze – stwierdziłem cierpliwie. – Zechcesz mi teraz powiedzieć, kto cię wysłał?

– Hej, jeszcze lepiej. Dostałeś zaproszenie na spotkanie z nim. – Widząc wyraz mojej twarzy, pokiwała głową. – Tak, Ray chce z tobą porozmawiać. Tak samo jak poprzednio, tylko tym razem sam decydujesz, czy ze mną pojedziesz. Wygląda na to, że przymus wobec ciebie niezbyt dobrze się sprawdza.

– A Kadmin? On też w tym siedzi?

Trepp wciągnęła powietrze przez zęby.

– Kadmin, cóż, on to w tej chwili trochę inna sprawa. Tak naprawdę, stawia nas w kłopotliwej sytuacji. Ale myślę, że z tym także sobie poradzimy. Naprawdę, nie mogę ci w tej chwili

powiedzieć nic więcej. – Rzuciła okiem na Sullivana, który wyprostował się na siedzeniu i zaczął nadstawiać ucha. – Lepiej będzie, jeśli pójdziemy gdzie indziej.

– W porządku. – Kiwnąłem głową. – Pójdę z tobą. Ale przed wyjściem ustalmy kilka zasad. Po pierwsze, żadnych wirtuali.

– Przewidziałam to. – Trepp dokończyła herbatę i zaczęła się podnosić. – Polecono mi dostarczyć cię bezpośrednio do Ray. Z ciałem.

Położyłem jej rękę na ramieniu, na co zareagowała, natychmiast nieruchomiejąc.

– Po drugie, żadnych niespodzianek. Będiesz mnie uprzedzać z dużym wyprzedzeniem o wszystkim, co ma się zdarzyć. W przypadku niespodzianek znowu zawiedziesz swojego sensei.

– Dobra. Bez niespodzianek. – Trepp wykrzywiła twarz w wymuszonym uśmiechu, sugerującym, że nie była przyzwyczajona, by trzymać ją za ramię. – Wyjdziemy stąd teraz i złapiemy taksówkę. Może być?

– O ile tylko będzie pusta.

Puściłem jej ramię, a ona dokończyła ruch, płynnie podnosząc się z miejsca, z dłońmi wciąż daleko od ciała. Sięgnąłem do kieszeni i rzuciłem w Sullivana kilka plastikowych banknotów.

– Zostań tu. Jeśli zobaczę w drzwiach twoją twarz, zanim odjedziemy, zrobię w niej dziurę. Herbata na mój rachunek.

Gdy ruszyłem za Trepp w stronę drzwi, pojawił się kelner z filiżanką dla Sullivana i dużą, białą chusteczką, prawdopodobnie na rozbitą wargę naczelnika. Miły chłopak. Prawie się przewrócił, usiłując nie wejść mi w drogę. Patrzył na mnie z mieszaniną niesmaku i podziwu. Biorąc pod uwagę lodowatą furję, która zawładnęła mną wcześniej, współczułem mu bardziej, niż mógłby się spodziewać.

Faceci w garniturach przyglądali nam się z nieruchomym skupieniem węzy.

Na zewnątrz wciąż padało. Postawiłem kołnierz kurtki i przyglądałem się, jak Trepp wyciąga pager transportowy

i macha nim swobodnie nad głową.

– Zaraz będzie – stwierdziła i rzuciła mi zaciekawione spojrzenie. – Wiesz, do kogo należy to miejsce?

– Domyśliłem się.

Pokręciła głową.

– Knajpa triady. Kiepskie miejsce na przesłuchanie. A może po prostu lubisz życie na krawędzi?

Wzruszyłem ramionami.

– Tam, skąd pochodzę, kryminaliści nie mieszają się do sporów innych ludzi. Ogólnie rzecz biorąc, brakuje im jaj. Znacznie bardziej prawdopodobne, że zainterweniuje porządny obywatel.

– Nie tutaj. Większość porządných obywateli za bardzo się szanuje, by angażować się w bójkę po stronie obcego. Według nich po to właśnie wymyślono policję. Jesteś ze Świata Harlana, prawda?

– Owszem.

– Więc może chodzi o quellizm? Jak sądzisz?

– Może.

Wezwana autotaksówka opuściła się w dół po spirali i zaparkowała obok nas. Trepp stanęła obok i demonstracyjnie pokazała, że wewnątrz nie ma nikogo. Uśmiechnąłem się blado.

– Ty pierwsza.

– Jak chcesz. – Weszła do środka i posunęła się, robiąc mi miejsce.

Usiadłem z tyłu, naprzeciw niej, i uważałem na jej dłonie. Kiedy zauważyła, gdzie patrzę, uśmiechnęła się i rozłożyła ręce na oparciu siedzenia. Właz zamknął się, odcinając nas od padającego deszczu.

– Witamy w Urbline Services – przemówiła gładko taksówka. – Proszę podać cel podróży.

– Lotnisko – odpowiedziała Trepp, opierając się wygodniej na kanapie i obserwując moją reakcję. – Terminal prywatnych pojazdów.

Taksówka wystartowała. Spojrzałem za Trepp, na rozpryskujący się na szybie deszcz.

– A więc to nie będzie krótka podróż – stwierdziłem bez emocji.

– Cóż, domyśliliśmy się, że nie będziesz chciał wejść do wirtuala, więc musimy zrobić to po staremu. Polecimy suborbitalnym. Zajmie to jakieś trzy godziny.

– Suborbitalny? – Wziąłem głębszy oddech i lekko dotknąłem tkwiącego w kaburze philipsa. – Wiesz, poważnie się zdenerwuję, jeśli ktoś poprosi mnie, bym przed odlotem oddał sprzęt.

– Jasne, to też przewidzieliśmy. Wyluzuj, Kovacs, słyszałeś, że mówiłam o prywatnym terminalu. To specjalny lot, wyłącznie dla ciebie. Jeśli chcesz, możesz zabrać na pokład nawet cholerną atomówkę. OK?

– Gdzie lecimy, Trepp?

Uśmiechnęła się.

– Do Europy – odpowiedziała.

Rozdział dwudziesty piąty

Niezależnie od tego, czy faktycznie wylądowaliśmy w Europie, pogoda była tu zdecydowanie lepsza. Opuściliśmy siedzący na pasie startowym ze wzmacnianego szkła krępy, pozbawiony okien prom suborbitalny i ruszyliśmy w stronę terminala skąpani w ostrym świetle słońca, które grzało mnie nawet przez kurtkę. Aż po horyzont rozciągał się jednolity błękit, a powietrze było ostre i suche. Według zegara w kabinie było tu wczesne popołudnie. Zdjąłem kurtkę.

– Powinna na nas czekać limuzyna – rzuciła przez ramię Trepp.

Weszliśmy do terminala z pominięciem wszelkich formalności i przeszliśmy przez strefę mikroklimatu, w której palmy i inne, mniej charakterystyczne rośliny tropikalne walczyły zawzięcie o światło padające przez potężny szklany dach. Ze zraszaczy opadała wilgotna mgiełka, chłodząc powietrze, co stanowiło przyjemną odmianę po tym, co odczułem na zewnątrz. W alejkach między drzewami bawiły się dzieci, a na ławkach z kutego żelaza, w pozornie niemożliwej koegzystencji, drzemali starzy ludzie. Średnie pokolenie gromadziło się głównie w okolicy kawiarni, rozmawiali ze znacznie żywszą gestykulacją niż ta, jaką widziałem w Bay City. Wszyscy sprawiali wrażenie obojętnych na upływ czasu i harmonogramy rządzące większością terminali.

Zawiesiłem sobie kurtkę na ramieniu, starając się jak najlepiej ukryć broń, i wszedłem za Trepp między drzewa. Nie byłem dość szybki, by uniknąć wzroku dwóch ochroniarzy stojących pod pobliską palmą i małej dziewczynki siedzącej beczynn timer na brzegu najbliższej wysepki zieleni. Trepp machnęła w stronę strażników. Rozluźnili się, kiwając głowami. Najwyraźniej

byliśmy oczekiwani. Dziewczynki nie dało się zbyć tak łatwo – wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi oczami, aż złożyłem palce w pistolet i strzeliłem do niej, głośno udając dźwięk wystrzału. Roześmiała się szeroko i schowała za najbliższą ławką. Jeszcze przez spory kawałek drogi słyszałem, jak za mną strzela.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, Trepp przeprowadziła mnie przez duże zbiorowisko czekających pod terminalem taksówek do miejsca, gdzie przed zakazem parkowania czekała czarna, nieoznakowana limuzyna. Weszliśmy do chłodnego, klimatyzowanego wnętrza z bladoszarymi elastofotelami.

– Dziesięć minut – obiecała, gdy wznieśliśmy się w powietrze. – Co sądzisz o mikroklimacie?

– Bardzo przyjemny.

– Mają go na całym lotnisku. W weekendy ludzie przyjeżdżają z centrum, żeby spędzić tu dzień. Dziwne, co?

Nie odpowiedziałem, utkwilem wzrok w widocznym po prawej stronie osiedlu dużego miasta. Dalej ku horyzontowi pod prawie błękitnym niebem rozciągała się przykurzona równina. Po lewej widać było zarys gór.

Wyglądało na to, że Trepp zrozumiała moją niechęć do rozmowy i zajęła się wtyczką telefoniczną, którą wcisnęła do gniazda za uchem. Kolejny implant. Zamknęła oczy, nawiązując połączenie, a na mnie opadło szczególne uczucie osamotnienia, typowe w tego typu sytuacjach.

Samotność mi nie przeszkadzała.

Prawdę mówiąc, przez większość podróży stanowiłem kiepskie towarzystwo. W kabinie suborbitala uparcie milczałem, choć Trepp najwyraźniej była zainteresowana moją historią. W końcu dała sobie spokój z próbami wydobyć ze mnie anegdot o Świecie Harlana i Korpusie, ale zamiast tego spróbowała nauczyć mnie kilku gier karcianych. Powodowany resztkami uprzejmości usiłowałem się zaangażować, ale para nie stanowi idealnego układu do kart, a tak naprawdę chyba oboje nie mieliśmy do tego serca. Wylądowaliśmy w Europie

w milczeniu, każde z nas zajęte przeglądaniem dostępnej na statku oferty medialnej. Chociaż Trepp nie zamierzała wracać do tego tematu, trudno mi było zapomnieć o okolicznościach naszej poprzedniej wspólnej podróży.

Pod nami równiny ustąpiły miejsca coraz bardziej zielonym wyżynom, za którymi rozciągała się porośnięta drzewami dolina. Kiedy zaczęliśmy się zniżać, Trepp odpięła wtyczkę z trzepotem powiek sugerującym, że nie zawracała sobie głowy, by wcześniej przerwać połączenie – co stanowiło pogwałcenie zaleceń większości producentów, ale być może chciała się popisać. Ledwie to zauważyłem. Nie mogłem oderwać oczu od obiektu, obok którego mieliśmy wylądować.

Był to potężny, kamienny krzyż, większy niż jakikolwiek widziany do tej pory, z wyraźnymi oznakami działania pogody. W miarę jak nasz pojazd opadał po spirali, uświadomiłem sobie, że twórca tego monumentu osadził go w potężnym kamiennym cokole, co sprawiało wrażenie, jakby jakiś antyczny bóg wojny zatopił w ziemi swój miecz. Tak doskonale pasował proporcjami do okolicznych gór, jakby nigdy nie miał z nim nic wspólnego żaden człowiek. Kamienne tarasy i pomocnicze budynki poniżej przypory, choć olbrzymie, wobec potężnej konstrukcji zdawały się kurczyć do nic nieznaczących rozmiarów.

Trepp przyglądała mi się z błyskiem w oku. Limuzyna osiadła na jednym z kamiennych tarasów. Wyszedłem na zewnątrz, osłaniając oczy przed ostrym słońcem, i przyjrzałem się krzyżowi.

– To należy do katolików?

– Kiedyś należało. – Trepp ruszyła w stronę potężnych, stalowych drzwi w skale przed nami. – W czasach, kiedy to zbudowali. Teraz to własność prywatna.

– Jak do tego doszło?

– Zapytaj Ray. – Teraz to Trepp nie była zainteresowaną rozmową. Wyglądało to tak, jakby coś w tej potężnej strukturze wydobywało na wierzch inny aspekt jej charakteru. Sunęła w stronę drzwi jak przyciągana jakimś niewidzialnym

magnezem.

Kiedy doszliśmy do portalu, skrzydła wielkiego wejścia otworzyły się wolno z przygłuszonym szumem silników i znieruchomiały, pozostawiając blisko dwumetrową szczelinę. Skinąłem na Trepp, która przeszła przez otwór, wzruszając ramionami. W ciemności po obu ścianach za drzwiami poruszało się szybko coś, co przypominało pająki. Sięgnąłem do uchwytu nemexa, choć zdawałem sobie sprawę z bezsensu tego gestu. Wkroczyliśmy w krainę gigantów.

Z mroku wyłoniły się szkieletowe lufy działek długości ludzkiego ciała i zaczęły nas skanować dwa roboty strażnicze. Ocenilem kaliber działek na taki sam, jak w systemie obrony westybulu Hendriksa, i oddałem broń. Mechaniczni zabójcy wycofali się z owadzim szelestem i wspięli po ścianach do swoich nisz. U podstaw wnęk, w których znieruchomieli, dostrzegłem potężne, żelazne postacie aniołów z mieczami.

– No chodź. – W katedralnej ciszy głos Trepp zabrzmiał nienaturalnie głośno. – Myślisz, że sprowadzalibyśmy cię aż tutaj, gdybyśmy chcieli cię zabić?

Poszedłem za nią kamiennymi schodami do głównego pomieszczenia. Znaleźliśmy się w potężnej bazylice, która zajmowała pewnie całą długość podstawy pod krzyżem, a jej sufit ginął gdzieś w mroku nad nami. Z przodu czekały kolejne schody, wiodące na nieco lepiej oświetlone podwyższenie. Kiedy tam doszliśmy, zauważyłem, że sklepienie w tym miejscu wznosiło się nad kamiennymi posągami zakapturzonych strażników, których ręce spoczywały na potężnych mieczach, a usta zdobił delikatny, zamyślony uśmiech.

Poczułem, że niemal podświadomie sam wykrzywiam wargi, a głowę zaczynają mi wypełniać specyfikacje silnych materiałów wybuchowych.

Przy końcu bazyliki w powietrzu unosiły się jakieś szare obiekty. Przez chwilę myślałem, że patrzę na serię monolitów zawieszonych w trwałym polu siłowym, ale potem jeden z nich przesunął się lekko w podmuchu chłodnego powietrza i wtedy

uświadomiłem sobie, na co patrzę.

– Jesteś pod wrażeniem, Takeshi-san?

Sformułowane w eleganckiej japońszczyźnie słowa uderzyły we mnie jak młot. Eksplozja emocji natychmiast pozbawiła mnie oddechu i poczułem ostry prąd przechodzący przez aktywujący się neurochem. Zmusiłem się, by wolno obrócić się w stronę głosu. Gdzieś poniżej oka zadrgał mi mięsień, reagując na stłumioną chęć siania przemocy.

– Ray – powiedziałem w amangielskim. – Powinienem był to, kurwa, przewidzieć już na pasie startowym.

Zza drzwi kolistej przestrzeni, którą kończyła się bazylika, wyłoniła się Reileen Kawahara, ironicznie mi się kłaniając. Za moim przykładem płynnie przeszła na amangielski.

– Tak, może powinieneś być to przewidzieć. – Udała, że się namyśla. – Ale jeśli jest w tobie coś, co mi się podoba, to właśnie nieustanna zdolność do tego, by dawać się zaskoczyć. Mimo swojej przeszłości, w głębi duszy pozostałeś niewinny. A w tych czasach to niemałe osiągnięcie. Jak ty to robisz?

– Tajemnica zawodowa. Trzeba być człowiekiem, żeby to zrozumieć.

Obelga spłynęła po niej jak woda po kacze. Kawahara spojrzała na marmurową podłogę, jakby zobaczyła powstałą kałużę.

– No tak. Wydaje mi się, że już przez to przechodziliśmy.

Wróciłem wspomnieniem do Nowego Pekinu i przeżartych rakiem struktur władzy, stworzonych tam przez interesy Kawahary, oraz przeraźliwych krzyków ofiar tortur, nierozzerwalnie kojarzących mi się z jej nazwiskiem.

Podszedłem bliżej do jednej z szarych osłon i stuknąłem w nią. Szorstka powierzchnia ustąpiła lekko pod dłoń i całość przesunęła się trochę na kablach. Wewnątrz coś poruszyło się niemrawo.

– Kuloodporne, prawda?

– Mhm. – Kawahara przekrzywiła głowę. – Zależy od kuli. Ale z pewnością wytrzymała.

Udało mi się roześmiać.

– Kuloodporna wyściółka macicy! Tylko ty, Kawahara, tylko ty mogłabyś wsadzić swoje klony do kuloodpornych pancerzy, a potem zakopać je pod górą.

Stała w lepiej oświetlonej części pomieszczenia, a kiedy na nią spojrzałem, nienawiść obudziła się we mnie z całą mocą, uderzając w żołądek jak żelazna pięść. Reileen Kawahara twierdziła, że wychowała się w skażonych slumsach Fission City, w Zachodniej Australii, ale jeśli nawet była to prawda, już dawno zostawiła za sobą wszelkie ślady pochodzenia. Kobieta, która przede mną stała, miała sylwetkę tancerki i harmonijne ciało, atrakcyjne, choć niewzbudzające natychmiastowego pożądania, oraz elfią i inteligentną twarz. Taką samą powłokę nosiła na Nowym Pekinie, sztucznie wyhodowaną i nietkniętą żadnymi implantami. Czysty organizm wyniesiony do poziomu sztuki. Ubrana była w czerń: sztywną spódnicę w kształcie płatków tulipana i miękką, jedwabną bluzkę, która spływała po jej piersiach jak ciemna woda. Buty przypominały kształtem tenisówki pokładowe, ale miały ledwie zauważalny obcas. Krótko przycięte kasztanowe włosy odsłaniały regularne rysy twarzy. Wyglądała jak reklama jakiegoś funduszu inwestycyjnego.

– Władza zazwyczaj się ukrywa – stwierdziła. – Pomyśl o bunkrach Protektoratu na Świecie Harlana. Albo o jaskiniach, w których zamknął cię na czas treningu Korpus Emisariuszy. Sama idea kontroli sprowadza się do pozostania w ukryciu, nieprawdaż?

– Sądząc po tym, jak mnie wodzono za nos przez ostatni tydzień, powiedziałbym, że tak. Możesz już skończyć z tą gadką?

– Proszę bardzo. – Kawahara rzuciła wymowne spojrzenie w kierunku Trepp, która odeszła w mrok z głową uniesioną do góry, rozglądając się jak turystka. Rozejrzałem się w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłbym usiąść, ale żadnego nie znalazłem. – Oczywiście wiesz, że to ja poleciłam cię Laurensowi Bancroftowi.

– Wspominał o tym.

– Tak, a gdyby twój hotel okazał się odrobinę mniej psychotyczny, sprawy nigdy nie wymknęłyby się tak bardzo spod kontroli. Moglibyśmy odbyć tę rozmowę tydzień temu, oszczędzając wszystkim dużo niepotrzebnych przykrości. Nie chciałam, żeby Kadmin wyrządził ci krzywdę. Miał cię tu sprowadzić żywego.

– Nastąpiła zmiana planu – powiedziałem, idąc wzdłuż ścian komnaty. – Kadmin nie postępuje zgodnie z instrukcjami. Dziś rano próbował mnie zabić.

Kawahara wykonała gest zdradzający irytację.

– Wiem. Dlatego zostałeś tu sprowadzony.

– Ty go uwolniłaś?

– Oczywiście.

– Zamierzał cię wsypać?

– Powiedział Keithowi Ruthefordowi, że w więzieniu marnują się jego zdolności i że w takiej sytuacji trudno mu honorować zawarty ze mną kontrakt.

– Misterne.

– Nieprawdaż? Nigdy nie potrafię się oprzeć wyszukanym negocjacjom. Uznałam, że zasłużył na drugą szansę.

– Więc namierzyłaś go dzięki mnie, wyciągnęłaś i wysłałaś do Carnage’a na upowłokowanie, tak? – Pomacałem po kieszeniach i znalazłem papierosy Ortegi. W ponurym świetle bazyliki znajoma paczka wyglądała jak pocztówka z innego świata. – Nic dziwnego, że Panama Rose nie miała drugiej powłoki na wieczorną walkę. Pewnie ledwo co skończyli upowłokawiać Kadmina. Sukinsyn wyszedł stamtąd w Męczenniku Prawej Ręki Boga.

– Mniej więcej w tym samym czasie, gdy wchodziliście na pokład – potwierdziła Kawahara. – O ile mi wiadomo, udawał robotnika, a wy przeszliście tuż obok niego. Wolałabym, żebyś tu nie palił.

– A ja wolałabym, żebyś umarła na krwotok wewnętrzny, ale nie sądzę, żebyś to dla mnie zrobiła. – Dotknąłem papierosem łąty zapalającej i zaciągnąłem się dymem. Mężczyzna klęczący

na ringu. Odtworzyłem to sobie jeszcze raz, rozpamiętując każdy szczegół. Na pokładzie statku zająłem w dół na wzór malowany na arenie. Dostrzegłem podniesioną twarz, tak, nawet się uśmiechnął. Skrzywiłem się na to wspomnienie.

– Zachowujesz się znacznie mniej uprzejmie niż przystoi człowiekowi w twojej sytuacji. – Miałem wrażenie, że chłód w jej głosie skrywa wściekłość. Pomimo cennej samokontroli Reileen Kawahara nie radziła sobie z brakiem szacunku lepiej niż Bancroft, generał MacIntyre czy jakikolwiek inny wpływowy człowiek, z którym zdarzyło mi się zetknąć. – Twoje życie jest w niebezpieczeństwie, a ja mogę je ochronić.

– Moje życie bywało zagrożone już wcześniej – odpowiedziałem. – Zazwyczaj działo się to wtedy, gdy jakaś podobna do ciebie kupa gówna podejmowała decyzję co do tego, jak powinien wyglądać świat. Już pozwoliłaś, żeby Kadmin za bardzo się do mnie zbliżył. Właściwie to pewnie użył do tego twojego cholernego wirtualnego lokalizatora.

– Wysłałam go – rzuciła ostro Kawahara – żeby cię zgarnął. Znów mi się sprzeciwił.

– Doprawdy? – Odruchowo potarłem bliznę na ramieniu. – Więc czemu mam wierzyć, że następnym razem pójdzie ci lepiej?

– Bo wiesz, na co mnie stać. – Kawahara przeszła przez środek komnaty, schylając głowę pod szarymi torbami klonów i zastępując mi drogę. Twarz miała wykrzywioną gniewem. – Jestem jedną z siedmiu najpotężniejszych istot ludzkich w tym układzie słonecznym. Dysponuję możliwościami, za które przywódca Sił Zbrojnych ONZ zabiłby bez wahania.

– Ta architektura uderza ci do głowy, Reileen. Nigdy nie znalazłabyś *mnie*, gdybyś nie kontrolowała Sullivana. To jak zamierzasz znaleźć Kadmina?

– Kovacs, Kovacs. – W jej śmiechu słyszałem wyraźne drżenie, jakby walczyła z chęcią wbicia mi kciuków w oczy. – Masz pojęcie, co dzieje się na ulicach dowolnego miasta na Ziemi, jeśli każę kogoś odszukać? Masz w ogóle pojęcie, jak łatwo byłoby zdeptać cię tu i teraz?

Spokojnie zaciągnąłem się papierosem i wypuściłem dym w jej stronę.

– Nie dalej niż dziesięć minut temu twoja wierna Trepp powiedziała, że nie ma sensu sprowadzać mnie tutaj tylko po to, żeby mnie zabić, więc chcesz czegoś ode mnie. O co chodzi?

Ciężko wypuściła powietrze przez nos. Na jej twarz wrócił spokój. Cofnęła się o kilka kroków, uciekając przed konfrontacją.

– Masz rację, Kovacs. Jesteś mi potrzebny żywy. Jeśli teraz znikniesz, Bancroft odbierze niewłaściwą wiadomość.

– Och, niewłaściwą wiadomość. – Zacząłem przesuwając stopą po literach wykutych w kamiennej posadzce. – Ty go spaliłaś?

– Nie. – Kawahara wyglądała na prawie rozbawioną. – Sam to zrobił.

– Jasssne.

– Nie ma dla mnie znaczenia, czy w to wierzysz, Kovacs, czy nie. Od ciebie chcę zakończenia śledztwa. Eleganckiego zakończenia.

– A jak według ciebie powinienem to zrobić?

– Nie obchodzi mnie to. Wymyśl coś. W końcu jesteś Emisariuszem. Przekonaj go. Powiedz mu, że twoim zdaniem policja miała rację. Jeśli musisz, wykreuj sprawcę. – Uśmiechnęła się blado. – Siebie nie zaliczam do tej kategorii.

– Jeśli go nie zabiłaś i sam sobie odstrzelił głowę, dlaczego obchodzi cię, co będzie dalej? Jaki masz w tym interes?

– O tym nie będziemy rozmawiać.

Wolno kiwnąłem głową.

– A co dostanę w zamian za to eleganckie zakończenie?

– Oprócz stu tysięcy dolarów? – Kawahara przekrzywiła głowę.
– Cóż, z tego, co wiem, otrzymałeś również bardzo hojną ofertę rekreacyjną. Ze swej strony utrzymam Kadmina z dala od ciebie, stosując wszelkie wymagane środki.

Spojrzałem w dół na litery pod stopami i skupiłem się, analizując wszystkie powiązania.

– Francesco Franco – rzuciła Kawahara, mylnie interpretując kierunek mojego wzroku. – Drobnny tyran sprzed wieków. To on

zbudował to miejsce.

– Trepp mówiła, że to katolicy.

Kawahara wzruszyła ramionami.

– Drobný tyran z pretensjami do religijności. Katolicy dobrze dogadują się z takimi jak on. Wieki tradycji.

Rozejrzałem się wokół, starając się, by wyglądało to naturalnie, szukałem automatycznych systemów bezpieczeństwa.

– Tak, na to wygląda. Więc wyjaśnijmy to sobie. Chcesz, żebym sprzedał Bancroftowi kosmiczną kupę gówna, w zamian za co odwołasz Kadmina, którego sama na mnie wysłałaś. Na tym polega umowa?

– Tak, można to tak streścić.

Ostatni raz zaciągnąłem się dymem, posmakowałem go i wydmuchnąłem.

– Pieprz się, Kawahara. – Rzuciłem papierosa na posadzkę i rozdeptałem go obcasem. – Zaryzykuję z Kadminem i powiem Bancroftowi, że prawdopodobnie to ty go zabiłaś. I co? Zmienisz teraz zdanie i już mnie nie wypuścisz?

Zwiesiłem ręce. Za bardzo korciło mnie, by sięgnąć do rękojeści pistoletów. Zamierzałem wystrzelić trzy pociski z nemexa w gardło Kawahary, na wysokości stosu, a potem wsadzić pistolet do ust i rozwalić własny stos. Kawahara na pewno i tak ma zdalną kopię, ale do diabła z tym, kiedyś trzeba powiedzieć „dość”. Człowiek tylko na jakiś czas może odsunąć własną śmierć.

Mogło być gorzej. Mogłem skończyć na Innenin.

Kawahara smętnie pokręciła głową. Uśmiechnęła się.

– Zawsze taki sam, Kovacs. Pełen pustej złości i romantycznego nihilizmu. Naprawdę *niczego* nie nauczyłeś się od Nowego Pekinu?

– *Bywają obszary tak skorumpowane, że jedyne możliwe czyste działania uważa się za nihilistyczne.*

– Och, to Quell, prawda? Moim idolem był Szekspir, ale nie sądzę, żeby kultura kolonii sięgała aż tak daleko, prawda? –

Wciąż się uśmiechała, upozowana jak aktorka z Totalnego Teatru Ciała, gotowa rozpocząć swoją arię.

Na chwilę dopadło mnie przypominające halucynację przekonanie, że zaraz zacznę tańczyć w rytm jakiejś melodii z ukrytych w kopule głośników.

– Takeshi, gdzie nabrałeś przekonania, że wszystkie problemy można rozwiązać w tak brutalnie prosty sposób? Na pewno nie w Korpusie... W gangach Newpest? A może to efekt łożenia skóry, jakie regularnie zapewniał ci ojciec? Naprawdę sądzisz, że pozwoliłabym ci się do czegoś zmusić? Myślisz, że usiadłabym do stołu z pustymi rękami? Zastanów się. Znasz mnie. Naprawdę myślałeś, że pójdzie ci tak łatwo?

Zasyczał we mnie neurochem. Zdławiłem go, czekając na dalszy ciąg jak spadochroniarz ustawiony do skoku.

– Dobra – powiedziałem. – Zaskocz mnie.

– Z przyjemnością. – Kawahara sięgnęła do kieszeni na piersi gładkiej bluzki. Wyciągnęła z niej małeńki holoplik i uaktywniła go paznokciem. W powietrzu zaczęły się pojawiać obrazy. – Sporo szczegółów napisano językiem prawnym, ale oczywiście rozpoznasz istotne punkty.

Przyjąłem małą kulę światła, jakby była zatrutym kielichem. Z tekstu natychmiast wyskoczyło na mnie nazwisko...

...Sara Szaciłowska...

...a potem terminologia kontraktu, który sprawił, że poczułem się tak, jakby budynek przewracał się na mnie w zwolnionym tempie.

...przekazana do prywatnej przechowalni...

...zapis wirtualnego nadzoru...

...nielimitowany okres...

...możliwa zmiana na życzenie ONZ...

...na podstawie uprawnień sądu Bay City...

Informacje krążyły we mnie niczym trucizna. Powinienem był zabić Sullivana, gdy miałem szansę.

– Dziesięć dni. – Kawahara uważnie obserwowała moją reakcję. – Tyle masz czasu na przekonanie Bancrofta, że śledztwo

jest skończone. Po tym czasie Szaciłowska pójdzie do wirtuala w jednej z moich klinik. Czekają tam cała nowa generacja programów do wirtualnych przesłuchań. Osobiście dopilnuję, by była pierwsza.

Holoplik uderzył o ziemię z delikatnym trzaskiem. Zatoczyłem się na Kawaharę, szczerząc zęby. Warknąłem na nią, co nie miało nic wspólnego z jakimkolwiek szkoleniem bojowym, przez jakie przeszedłem. Ręce wykrzywiły mi się w szpony. Wiedziałem, jak będzie smakować jej krew.

Zimna lufa broni dotknęła mojego karku, zanim przebyłem połowę drogi.

– Odradzam – powiedziała mi Trepp wprost do ucha.

Kawahara podeszła i stanęła bliżej mnie.

– Bancroft nie jest jedynym, który może kupić kłopotliwych kryminalistów z kolonialnych przechowalni. Instalacja w Kanagawie wręcz oszalała z radości, gdy dwa dni później zgłosiłam się do nich z ofertą kupna Szaciłowskiej. Według nich, jeśli wyśle się kogoś poza planetę, istnieją bardzo niewielkie szanse na to, że kiedyś zbierze dość pieniędzy, by przestrunować się z powrotem. Oczywiście, dostają też pieniądze za przywilej pomachania komuś takiemu na do widzenia. Pewnie myśleli, że to zbyt piękne, by było prawdziwe. Chyba mają nadzieję, że to początek mody. – Stuknęła palcem w klapę mojej kurtki. – A biorąc pod uwagę aktualny stan rynku wirtuali, może faktycznie warto o tym pomyśleć.

Mięsień pod moim okiem skurczył się gwałtownie.

– Zabiję cię – wyszeptałem. – Wyrwę ci serce i zjem je kawałek po kawałku. A potem rozwalę ci to miejsce na głowie...

Kawahara nachyliła się tak, że prawie stykaliśmy się twarzami. Jej oddech pachniał miętą i oregano.

– Nie. Nic z tego – szepnęła. – Zrobisz dokładnie to, co powiedziałam, i to w ciągu dziesięciu dni. Jeśli mi się sprzeciwisz, twoja koleżanka Szaciłowska zacznie prywatną wycieczkę po piekle bez odkupienia.

Cofnęła się i uniosła ręce.

– Kovacs, powinieneś dziękować wszystkim bóstwom, jakie czcicie na Świecie Harlana, że nie jestem sadystką. Jak widzisz, daję ci wybór. Równie dobrze moglibyśmy negocjować, przez ile agonii ma przejść Szaciłowska. Mogłabym zacząć od razu. Dałoby ci to bodziec do przyspieszenia działań, prawda? W większości wirtuali dziesięć dni daje jakieś trzy lub cztery lata. Byłeś w klinice Wei... Myślisz, że wytrzymałaby trzy lata czegoś takiego? Chyba straciłaby rozum, prawda?

Wysiłek, jaki włożyłem w kontrolowanie nienawiści, odczułem jak rozerwanie gdzieś w głębi piersi. Wydusiłem z siebie słowa:

– Skąd mam wiedzieć, że ją uwolnisz?

– Daję ci na to swoje słowo. – Kawahara opuściła ręce. – Wydaje mi się, że miałeś już szansę przekonać się, ile jest warte.

Wolno kiwnąłem głową.

– Gdy tylko Bancroft uzna, że sprawa jest zamknięta, a ty znikniesz z pola widzenia, prześlę Szaciłowską z powrotem na Świat Harlana, by dokończyła karę. – Kawahara schyliła się, by podnieść upuszczony holoplik, wyciągnęła go w moją stronę i kilka razy przechyliła, sprawnie zmieniając strony. – Pewnie zauważyłeś, że w kontrakt wpisano klauzulę zwrotną. Oczywiście, stracę dużą część poniesionych kosztów, ale biorąc pod uwagę okoliczności, jestem na to gotowa. – Uśmiechnęła się lekko. – Ale pamiętaj, proszę, że zwrot może działać w obie strony. Co oddam, zawsze mogę kupić ponownie. Więc jeśli uważasz, że mógłbyś przycząć się na chwilę pod ziemią, a potem wrócić do Bancrofta, lepiej sobie odpuść. Tego rozdania nie możesz wygrać.

Trepp zdjęła lufę z mojego karku i cofnęła się o krok. Neurochem utrzymywał mnie w pionie jak kombinezon ruchowy chorego z porażeniem mózgowym. Tępo wpatrywałem się w Kawaharę.

– Czemu, do cholery, to wszystko robisz? – wyszeptałem. – Po co w ogóle mnie w to mieszałaś, jeśli nie chciałaś, by Bancroft dostał odpowiedź?

– Ponieważ jesteś Emisariuszem, Kovacs – mówiła wolno,

jakby tłumaczyła coś dziecku. – Jeśli ktokolwiek może przekonać Bancrofta, że zginął z własnej ręki, to tylko ty. Poza tym, znam cię dostatecznie dobrze, by przewidywać twoje posunięcia. Chciałam, żebyś do mnie trafił tuż po przybyciu na Ziemię, ale wtrącił się hotel. A kiedy los zaprowadził cię do kliniki Wei, podjęłam drugą próbę.

– Udało mi się blefem wydostać z kliniki.

– Ach, tak. Twoja historia z biopirataми. Naprawdę myślałeś, że kupili te bzdury na poziomie sensorii kategorii B? Bądź rozsądny, Kovacs. Mogłeś im trochę namieszać w głowach i zmusić do namysłu, ale wypuścili cię w jednym kawałku tylko dlatego, że im kazałam. – Wzruszyła ramionami. – Ale wtedy uparłeś się, żeby uciec. To był dla ciebie trudny tydzień i winię się na równi z innymi. Czuję się jak behawiorystka, która źle zaprojektowała labirynt dla szczura.

– W porządku. – Zdałem sobie sprawę, że dygoczę. – Zrobię to.

– Tak. Oczywiście, że zrobisz.

Poszukałem jeszcze czegoś, co mógłbym powiedzieć, ale czułem się tak, jakby klinicznie pozbawiono mnie zdolności oporu. Chłód bazyliki zdawał się przenikać moje kości. Z wysiłkiem opanowałem drżenie i odwróciłem się, by odejść. Trepp cicho wyszła mi na spotkanie. Przeszliśmy około tuzina kroków, gdy z tyłu zawołała Kawahara.

– Ach, Kovacs...

Odwróciłem się jak we śnie. Uśmiechnęła się.

– Jeśli uda ci się to zamknąć czysto i szybko, mogę zastanowić się nad jakąś premią. Czymś w rodzaju bonusu. Do negocjacji. Trepp da ci numer kontaktowy.

Znów się odwróciłem, otepiała tak, jak jeszcze nigdy od czasu Innenin. Ledwie zauważyłem, że Trepp klepie mnie po ramieniu.

– Chodź – powiedziała życzliwie. – Wyjdźmy stąd.

Poszedłem za nią odprowadzany drwiącymi uśmiechami zakapturzonych strażników, świadomy, że Kawahara przygląda mi się z podobnym uśmiechem spomiędzy swoich klonów w szarych macicach. Minęła chyba wieczność, nim wyszliśmy

z sali. Kiedy wreszcie potężne stalowe drzwi rozchyliły się, by wypuścić nas na zewnątrz, padające z nich światło było jak zastrzyk życia, którego chwyciłem się niczym tonący brzytwy. W jednej chwili bazylika zmieniła się w pionową, zimną głębię oceanu, z której wynurzałem się na słoneczną, pofalowaną powierzchnię. Gdy wyszliśmy z cieni, moje ciało wchłaniało ciepło słońca, jakby było ono czymś materialnym. Bardzo wolno zaczęło mnie opuszczać drżenie.

Jednak nawet kiedy oddaliliśmy się od sterczącego ku niebu krzyża, wciąż czułem w sobie obecność tego miejsca jak zimną rękę na karku.

Rozdział dwudziesty szósty

Niewiele pamiętam z tej nocy. Kiedy później próbowałem ją odtworzyć, nawet wyszkolona pamięć Emisariusza podsuwała mi tylko fragmenty.

Trepp chciała spędzić noc w mieście. Upierała się, że w odległości ledwie kilku minut lotu toczy się najlepsze życie nocne w Europie i że zna wszystkie właściwe adresy.

Chciałem wyłączyć swoje procesy myślowe.

* * *

Zaczęliśmy w pokoju hotelowym na ulicy, której nazwy nie byłem w stanie wymówić. Wziąłem jakiś analog tetrametu wprowadzany przez białka oczu za pomocą sprayu igłowego. Usiadłem biernie na krześle pod oknem i pozwoliłem, by Trepp mnie tym nafaszerowała. Próbowałem nie myśleć o Sarze i pokoju w Millsport. Próbowałem w ogóle nie myśleć. Dwubarwne hologramy zza okna rzucały brązowe i czerwone cienie na skupione rysy Trepp. Wyglądała jak demon czekający, aż jego ofiara podpisze cyrograf. Poczułem zdradzieckie poruszenie na skraju percepcji, gdy tetramet zaczął przetaczać się wzdłuż wszystkich nerwów. Kiedy przyszła moja kolej, by zaaplikować go Trepp, prawie zagubiłem się w geometrii jej twarzy. To był bardzo dobry towar...

* * *

Mieli tam murale z chrześcijańskim piekłem, językami ognia niczym zakrzywionymi pazurami nad procesją krzyczących,

nagich grzeszników. W jednym z końców sali, gdzie postacie na ścianach w dymie i hałasie stapały się z klientami baru, na obrotowej platformie tańczyła dziewczyna. Wokół niej wirował zakrzywiony płat czarnego szkła. Za każdym razem, gdy przesuwał się między widownią a tancerką, dziewczyna znikwała, a jej miejsce zajmował tańczący, uśmiechnięty szkielet.

– Lokal nazywa się Wszelkie ciało przepadnie – krzyknęła Trepp, gdy przeciskaliśmy się przez tłum. Wskazała na dziewczynę, a potem na własne pierścionki z czarnego szkła. – Tutaj wpadłam na ten pomysł. Ekstra efekt, nie?

Szybko kupiłem drinki.

* * *

Ludzie od tysiącleci śnili o niebie i piekle. Niekończące się przyjemność lub ból, nietłumione przez ograniczenia życia czy śmierci. Fantazje te można teraz spełnić dzięki wirtualnemu formatowaniu. Wszystko, czego trzeba, to generator o mocy przemysłowej. Faktycznie, osiągnęliśmy piekło i niebo... na ziemi.

– Brzmi dość pompatycznie, jak coś w rodzaju mowy pożegnalnej Angin Chandry – krzyknęła Trepp. – Ale chwytam, co masz na myśli.

Najwyraźniej wypowiedziałem głośno brzmiące w mojej głowie słowa. Jeśli był to cytat, nie wiedziałem, skąd pochodzi. Na pewno nie z Quell. Obiłaby każdego, kto przemawiałby w ten sposób.

– Problem w tym – krzyczała dalej Trepp – że masz tylko dziesięć dni.

* * *

Rzeczywistość przechyla się, płynie na boki w grudkach światła o barwie płomieni. Muzyka. Ruch i śmiech. Brzeg szklanki pod zębami. Ciepłe udo przyciśnięte do mojego, wydaje mi się, że to Trepp, ale kiedy się odwracam, uśmiecha się do mnie inna

*kobieta, z długimi czarnymi włosami i karmazynowymi wargami.
Jej wygląd przypomina mi o czymś, co niedawno widziałem...*

* * *

Scena uliczna:

Całe kondygnacje balkonów po obu stronach, plamy światła padające na chodniki z milionów małych knajpek, dźwięki, ulica pełna ludzi. Szedłem obok kobiety, którą zabiłem w zeszłym tygodniu, i usiłowałem podtrzymywać konwersację o kotach.

O czymś zapomniałem. O czymś ulotnym.

O czymś waż...

– Nie możesz, cholera, wierzyć w coś takiego – wykrzykiwała Trepp.

W chwili gdy prawie udało mi się dojść do tego, co...

Czy ona robiła to specjalnie? Nawet nie pamiętałem, co przed chwilą powiedziałem o kotach.

* * *

Tańczę gdzieś.

* * *

Trepp wstrzeliła mi w oko kolejną dawkę metu, opierając mnie o ścianę na rogu ulicy. Ktoś przeszedł obok, coś zawołał. Zamrugalem i próbowałem spojrzeć.

– Cholera, nie ruszaj się, dobrze?

– Co on powiedział?

Trepp znów odciągnęła mi powieki, marszcząc się w skupieniu.

– Powiedział, że jesteśmy piękni. Pieprzony gówniarz, pewnie na prochach.

* * *

W jakiejś wyłożonej drewnem toalecie wpatrywałem się w mozaikowe lustro, w twarz, którą nosiłem, jakby popełniła zbrodnię przeciw mnie. Albo jakbym czekał, aż ktoś inny wyłoni się zza tych rysów. Rękami trzymałem się brudnego metalowego zlewu. Pod wpływem mojej masy epoksydowe taśmy mocujące go do ściany emitowały ciche trzaski.

Nie miałem pojęcia, jak długo tak stałem.

Nie miałem pojęcia, gdzie jest tu. Albo przez ile „tu” przeszliśmy tej nocy.

Nic z tego nie wydawało się ważne, ponieważ...

Lustro nie pasowało do ramy – z plastiku sterczały bolce przytrzymujące na miejscu środek w kształcie gwiazdy.

– Zbyt wiele krawędzi – wymamrotałem pod nosem. – Nic z tego główna do siebie nie pasuje.

Wydawało mi się, że słowa mają znaczenie, jak przypadkowy rytm i rym w zwykłej mowie. Nie sądziłem, żeby kiedykolwiek udało mi się naprawić to lustro. Jedynie pociąłbym sobie palce. Pieprzyć to.

Zostawiłem twarz Rykera w lustrze i chwiejnym krokiem wróciłem do zastawionego świecami stołu, przy którym Trepp pociągała z długiej, kościanej fajki.

* * *

– Micky Nozawa? Poważnie?

– Tak, do cholery. – Trepp energicznie pokiwała głową. – *Pierwszy z floty*, prawda? Widziałam to przynajmniej cztery razy. Sieci sensorii w Nowym Jorku puszczają sporo importowanych, kolonialnych kawałków. Niedługo będzie to modne. Uwielbiam ten odcinek, gdzie załatwia harpunnika kopniakiem z wysoku. To, jak wyprowadza kopnięcie... aż czujesz je w kościach. Piękne. Poezja ruchu. Hej, a wiesz, że jak był młodszy, zrobił kilka kawałków holoporno?

– Gówno prawda. Micky Nozawa nigdy nie robił pornosów. Nie musiał.

– Kto mówi, że musiał. Te laseczki, z którymi się zabawiał, były całkiem niczego sobie. Sama bym się z nimi pobawiła za darmo.

– Gówno prawda.

– Przysięgam na Boga. W tej powłoce z kaukaskim nosem i oczami, tej, którą stracił w rozbitym samochodzie. Naprawdę stare dzieje.

* * *

Siedzieliśmy w barze, którego ściany i sufit obwieszono absurdalnymi, hybrydowymi instrumentami muzycznymi, a półki za barem zastawiono antycznymi butelkami i innymi tego rodzaju śmieciami. Poziom hałasu był stosunkowo niski. Piłem coś, co mi nie smakowało, czułem, że szybko mi zaszkodzi. W powietrzu unosił się delikatny aromat piżma, a na stołach stały małe tace ze słodyczami.

– Czemu to, cholera, robisz?

– Co? – Trepp nieprzytomnie potrząsnęła głową. – Trzymam koty? Lubie ko...

– Pracujesz dla tej pieprzonej Kawahary. To karykatura istoty ludzkiej, pierdolona zdzira niewarta półki w przechowalni. Czemu...

Trepp chwyciła rękę, którą wymachiwałem, i przez chwilę myślałem, że mi przyłoży. Mój neurochem już poruszył się ospale. Zamiast tego przełożyła sobie moje ramię przez kark, przysuwając do mnie twarz. Mrugnęła jak sowa.

– Słuchaj.

Zapadła cisza. Nasłuchiwałem, podczas gdy Trepp skrzywiła się w skupieniu, pociągnęła długi łyk ze swojej szklanki i odstawiła ją z przesadną ostrożnością. Dźgnęła mnie palcem.

– Nie sądzicie, abyście nie byli sądzeni – wymamrotała.

* * *

Kolejna ulica, schodząca stromo w dół. Tym razem szło mi się dużo łatwiej.

W górze pokazały się gwiazdy, wyraźniejsze niż te, które przez ostatni tydzień oglądałem w Bay City. Zatrzymałem się, szukając Rogatego Konia.

Coś było nie tak. Niebo nie wyglądało znajomo.

Nie rozpoznałem żadnej konstelacji. Zalał mnie zimny pot i nagle wydało mi się, że jasne punkty gwiazd są armadą z Zewnątrz, szykującą się do bombardowania planety. Wrócili Marsjanie. Myślałem, że widzę, jak suną ciężko przez wąski skrawek nieba nad nami.

– Hej... – Trepp złapała mnie ze śmiechem, gdy padałem. – Czego tam szukasz, pasikoniku?

To nie moje niebo.

* * *

Czuję się coraz gorzej.

W innej, boleśnie jaskrawo oświetlonej toalecie, próbuję wciągnąć do nosa jakiś proszek, który dała mi Trepp. Nozdrza mam już wysuszone, więc proszek wciąż wypada, jakby to ciało miało już zdecydowanie dość. Za sobą słyszę dźwięk spuszczonej wody i podnoszę wzrok do lustra.

Z kabiny wychodzi Jimmy de Soto w stroju bojowym umazanym błotem Innenin. W ostrym świetle ubikacji jego twarz wygląda wyjątkowo źle.

– Wszystko w porządku, stary?

– Niezbyt. – Drapię się po wnętrzu nosa, które sprawia wrażenie, jakby płonęło. – A u ciebie?

Wykonuje gest w rodzaju „nie mogę narzekać” i podchodzi do lustra, stając obok mnie. Gdy nachyla się nad umywalką, fotokomórka uruchamia strumień wody. Zaczyna myć ręce. Spłukuje błoto i krew, które tworzą gęstą zupę, ściekającą wirem do odpływu. Czuję jego ciało przy ramieniu, ale jego jedyne oko przykuwa mój wzrok w lustrze i nie mogę, nie chcę się obrócić.

– Czy to sen?

Wzrusza ramionami i dalej myje dłonie.

– To krawędź – wyjaśnia.

– Krawędź czego?

– Wszystkiego. – Wyraz jego twarzy sugeruje, że pytam o coś zbyt oczywistego.

– Myślałem, że pojawiaasz się tylko w snach – mówię, zerkając na jego dłonie.

Coś z nimi jest nie tak; niezależnie od tego, ile brudu Jimmy z nich zdziera, nie robią się czyste. Zapaćkał już całą umywalkę.

– To jeden ze sposobów, w jaki ludzie twego pokroju próbują to zrozumieć, stary. Sny, ostry stres, halucynacje albo po prostu prochy. Widzisz, jesteśmy na krawędzi. W pęknięciach na brzegach rzeczywistości. Gdzie kończą tacy durni dranie jak ja.

– Jimmy, ty nie żyjesz. Męczy mnie powtarzanie ci tego.

– Uchuch. – Potrząsa głową. – Ale musisz wbić się do tej szczeliny, żeby ze mną pogadać.

Zupa krwi i błota w umywalce przerzedza się i nagle wiem, że kiedy zniknie, razem z nią przepadnie Jimmy.

– Mówisz, że...

Smutno potrząsa głową.

– To zbyt skomplikowane, żeby teraz przez to przechodzić. Myślisz, że kontrolujemy rzeczywistość, bo potrafimy nagrać jej fragmenty. Ale to nie wszystko, stary. Istnieje znacznie więcej.

– Jimmy – wykonuję bezradny gest – co, do cholery, mam zrobić?

Cofa się od umywalki, a jego zniszczona twarz szczyrzy się do mnie w uśmiechu.

– Atak wirusowy – mówi wyraźnie. Lodowacieję, przypominając sobie własny krzyk na przyczółku. – Pamiętasz to cholerstwo, prawda?

I strząsając wodę z rąk, znika jak w sztuczce iluzjonisty.

* * *

– Słuchaj – stwierdziła rozsądnie Trepp. – Kadmin musiał

dostać się do zbiornika, żeby go upowłokowali w sztuczniaku. Moim zdaniem będzie potrzebował więcej niż pół dnia, żeby przekonać się, czy rzeczywiście cię zabił.

– Jeśli go od razu nie upowłokowali podwójnie.

– Nie. Tylko pomyśl. Urwał się Kawaharze. Człowieku, on nie ma w tej chwili zasobów na tego rodzaju numer. Kadmin działa na własną rękę, a że ma na karku Kawaharę, pozostało mu niewiele możliwości. Data ważności Kadmina zbliża się ku końcowi, zobaczysz.

– Kawahara utrzyma go na sznurku, jak długo będzie go potrzebowała, żeby mnie szantażować.

– No dobrze. – Trepp z zakłopotaniem wbiła wzrok w swojego drinka. – Może i tak.

Kolejne miejsce nazywało się Kabel, czy jakoś tak. Ściany pokrywały kolorowe przewody, z których wystawały druty niczym sztywne, miedziane włosy. W równych odległościach od siebie przy barze umieszczono haki, które owinięto cienkimi drutami z błyszczącymi, srebrnymi wtyczkami na końcach. W powietrzu nad barem, w rytm muzyki wypełniającej to miejsce jak woda, na hologramie pieprzyły się spazmatycznie potężna męska wtyczka i gniazdko. Co jakiś czas zdawały się zmieniać w narządy płciowe, ale mogła to być wyłącznie halucynacja pod wpływem tetrametu.

Siedziałem przy barze, a obok, w popielniczce, tliło się coś o słodkawym zapachu. Sądząc po zamuleniu w płucach i gardle, sam to paliłem. Bar był zatłoczony, ale miałem dziwne wrażenie, że jestem sam.

Klienci siedzący obok mnie podpięli się do cienkich kabelków i szybko poruszali oczami pod przymkniętymi powiekami. Twarze wykrzywiały im rozmarzone uśmieszki. Wśród nich była Trepp.

Byłem sam.

Coś, być może myśli, pukało o zdarte wnętrze mojego umysłu. Podniosłem papierosa i zaciągnąłem się nim z ponurą determinacją. Nie czas na myślenie.

* * *

Nie czas na...

Atak wirusowy!!!

...myślenie.

Ulice przepływały pod moimi stopami tak samo, jak gruzy Innenin przesuwwały się pod butami Jimmy'ego, gdy szedł ze mną w moich snach. *A więc tak to się robi.*

Kobieta o karmazynowych ustach, która...

Pewnie nie możesz...

Co... Co???

Otwórz i wtyczka.

Próbuję ci powiedzieć...

Nie czas na...

Nie czas...

Nie...

I dalej, jak woda w wirze, jak zupa błota i krwi spływająca z rąk Jimmy'ego w odpływ na dnie umywalki...

Znów znikło.

* * *

Powrót do świadomości był nieunikniony jak świt i znalazł mnie wraz ze wschodem słońca na kamiennych schodach prowadzących wprost do brzegu z jakąś mętną wodą. Za nami piętrzyły się wielkie budowle, a po drugiej stronie wody z gwałtownie blednącego mroku wyłaniały się drzewa. Byliśmy w parku.

Trepp oparła się na moim ramieniu i podała mi zapalonego papierosa. Przyjąłem go odruchowo, zaciągnąłem się raz, a potem pozwoliłem, by dym wypłynął przez obwisłe wargi. Trepp przykucnęła obok. W wodzie blisko moich stóp plusnęła niesamowicie duża ryba. Byłem zbyt wykończony, by zareagować.

– Mutant – rzuciła Trepp bez związku.

– Sama jesteś mutant.

Strzępki konwersacji oddryfowały nad wodę.

– Będziesz potrzebował przeciwbólowek?

– Prawdopodobnie. – Obmacałem głowę. – Tak.

Bez komentarza podała mi listek kapsułek w jaskrawych kolorach.

– Co zamierzasz zrobić?

Wzruszyłem ramionami.

– Zamierzam wrócić. Zrobić to, co mi kazano.

CZĘŚĆ 4

Perswazja (Uszkodzenie wirusowe)

Rozdział dwudziesty siódmy

W drodze z lotniska trzy razy zmieniałem taksówki, w każdej płacąc gotówką, a potem zarezerwowałem miejsce w noclegowni w Oakland. Jeśli ktokolwiek próbował śledzić mnie elektronicznie, musiał się nieźle przyłożyć do pracy, choć byłem prawie pewien, że nikt już mnie nie szuka. Wyglądało to na paranoję – w końcu pracowałem teraz dla tych złych, więc nie mieli powodu na mnie uważać. Ale nie spodobał mi się ironiczny komentarz Trepp, która, gdy żegnaliśmy się w terminalu Bay City, rzuciła, że pozostaniemy w kontakcie. Nie miałem też pewności co do tego, jak się w końcu zachowam i co zrobię, a skoro ja tego nie wiedziałem, nie chciałem też, żeby wiedział to ktokolwiek inny.

Pokój w noclegowni oferował siedemset osiemdziesiąt sześć kanałów wizyjnych, holopornografię i prawdziwe towarzystwo (jedno i drugie reklamowane w krzykliwych kolorach na wyłączonym ekranie), składane, śmierdzące środkami dezynfekcyjnymi, samoczyszczące się podwójne łóżko i kabinę prysznicową, która zaczynała odpadać od ścian. Wyjrzałem przez jedyne, brudne okno. W Bay City był środek nocy i padał przypominający mgiełkę deszcz. Czas, jaki został mi na spotkanie z Ortegą, właśnie się powoli kończył.

Okno wychodziło na pochyły, strunobetonowy dach jakieś dziesięć metrów niżej. Do ulicy w dole było jeszcze dalej. Nad głową miałem szerszy poziom, który jak w pagodzie osłaniał okapem niższy dach przed deszczem. Osłonięta przestrzeń. Zastanowiłem się przez chwilę, a potem wycisnąłem z listka ostatnią z otrzymanych od Trepp kapsułek na kaca, przeskoczyłem przez okno i zawisłem na palcach, trzymając się jego krawędzi. Do pokonania pozostało mi mniej więcej osiem

metrów.

Idź w prymitywizm. Cóż, trudno zachować się bardziej prymitywnie. Żeby w środku nocy wychodzić z hotelu przez okno...

Rozluźniłem chwyt z nadzieją, że dach poniżej jest tak solidny, na jaki wygląda.

Uderzyłem w skośną powierzchnię w standardowy sposób, przetoczyłem się i nagle stwierdziłem, że moje nogi znów wiszą nad pustką. Dach był wprawdzie solidny, ale śliski jak świeży pięknorost, więc gwałtownie zjechałem w stronę krawędzi.

Dziesięć metrów do ulicy. Zawisłem na chwilę na jednej ręce, usiłując zidentyfikować możliwe przeszkody w miejscu upadku, kosze na śmieci czy zaparkowane pojazdy. Potem poddałem się i puściłem. Mocno uderzyłem w chodnik, ale udało mi się zręcznie przetoczyć i wbrew wcześniejszym obawom nie wylądowałem w zbiorowisku koszy na śmieci. Wstałem i skryłem się w najbliższym zaułku.

Po dziesięciu minutach i losowym sprawdzeniu ulic dotarłem do rzędu beczynnie stojących na parkingu taksówek, wyszedłem z ukrycia i wsiałem do piątej taksówki z kolei. Gdy wznosiliśmy się w powietrze, wyrecytowałem otrzymany od Ortegi numer.

– Kod przyjęty. Szacunkowy czas dotarcia do celu: trzydzieści pięć minut.

Przelecieliśmy nad zatoką i skierowaliśmy się w stronę otwartego oceanu.

* * *

Zbyt wiele krawędzi.

Posiekana zawartość poprzedniej nocy bulgotała mi w głowie jak niedbale przygotowana zupa rybna. Na powierzchni pojawiały się niezidentyfikowane kawałki, dryfowały w prądach pamięci i tonęły z powrotem. Trepp podpięta do baru w Kablu, Jimmy de Soto myjący zakrwawione dłonie, twarz Rykera

patrząca na mnie z gwiaździstego, mozaikowego lustra. Gdzieś tam była też Kawahara, która twierdziła, że śmierć Bancrofta to samobójstwo, ale domagała się zakończenia śledztwa, dokładnie jak Ortega z policji Bay City. Kawahara, która wiedziała o moich kontaktach z Miriam Bancroft, wiedziała o Laurensie Bancrofcie i Kadminie.

Kac podniósł ogon niczym skorpion, walcząc z wolno nabierającymi impetu przeciwbólowkami od Trepp. Trepp, skruszona zabójczyni zen, którą zabiłem i która wróciła, najwyraźniej nie czując do mnie urazy, ponieważ nie pamiętała swojej śmierci. W jej pojęciu wszystko to przydarzyło się komuś innemu.

Jeśli ktokolwiek może przekonać Laurensa Bancrofta, że zginął z własnej ręki, to ty.

Trepp podpięta w Kablu.

Atak wirusowy. Pamiętasz to cholerstwo, prawda?

Oczy Bancrofta świdrujące mnie na balkonie Suntouch House. Nie należę do ludzi, którzy targają się na własne życie, a nawet gdyby, nie spartaczyłbym tego w taki sposób. *Gdybym chciał się zabić, nie rozmawiałby pan teraz ze mną.*

A potem nagle wiedziałem już, co mam zrobić.

Taksówka zaczęła obniżać lot.

* * *

– Podłoże jest niestabilne – oznajmiła niepotrzebnie maszyna, gdy wylądowaliśmy na niepewnym pokładzie. – Proszę uważać.

Wsunąłem gotówkę do szczeliny i już po chwili otworzył się przede mną włącz do kryjówki Ortegi. Niewielka płaszczyzna metalowego lądowiska, relingi ze stali i ocean za nimi, czarne i falujące pod nocnym niebem zaciągniętym chmurami i ostrą mżawką. Ostrożnie wysiadłem i chwyciłem się najbliższego relingu, taksówka zaś wzniosła się w powietrze i szybko rozplynęła w strugach deszczu. Kiedy straciłem z oczu jej światła nawigacyjne, rozejrzałem się dookoła.

Lądowisko umieszczono na rufie. Z miejsca, gdzie przywarłem do relingu, widziałem całą jednostkę. Ocenilem ją na jakieś dwadzieścia metrów długości, mniej więcej dwie trzecie rozmiarów trawlera z Millsport, ale miała znacznie smuklejszą sylwetkę. Gładkie pokłady, samouszczelniająca się nadbudówka zdradzająca konstrukcję przewidzianą do żeglugi podczas sztormów, jednak nikt nie pomyliłby tego statku z łodzią rybacką. W dwóch miejscach z pokładu sterczały delikatne, wysunięte do połowy teleskopowe maszty, a z ostrego dziobu wystawał długi bukszpryt. To był jacht. Pływający dom bogacza.

W drzwiczkach na tylnym pokładzie rozbłysło światło i pojawiła się w nich Ortega. Wychyliła się i pomachała do mnie. Mocno trzymając się relingu, ruszyłem po schodkach przy jednej z burt, sunąc najpierw przy barierce, a potem przez tylny pokład do wjazdu. W pokład uderzały strumienie coraz mocniejszego deszczu, poganiając mnie wbrew mojej woli. W plamie światła z otwartych drzwiczek dostrzegłem kolejne, bardziej strome schody i zszedłem nimi przez wąski korytarzyk. Nad moją głową gładko zasunęły się drzwi.

– Gdzieś ty, do cholery, był? – przywitała mnie Ortega.

Wytrzepałem z włosów część wody i rozejrzałem się. Jeśli był to pływający dom bogacza, to właściciel nie zaglądał tu od dość dawna. Meble upchnięto pod ścianami i owinięto folią, a półki małego barku świeciły pustkami. Osłony na bulajach opuszczono. Otwarte drzwi po obu stronach pokoju prowadziły do podobnie zabezpieczonych pomieszczeń.

Mimo wszystko na jachcie czuć było bogactwo, które go zrodziło. Krzesła i stoły wykonano z ciemnego, polerowanego drewna, podobnie jak panele na ścianach i drzwiach, podłogę pokrywał dywan. Reszta wystroju też była utrzymana w ciemnej tonacji, a na ścianach wisiały prawdopodobnie oryginalne malowidła: szkieletowe ruiny marsjańskiej stoczni o zachodzie słońca (szkoła emparystów) i jakieś abstrakcyjne dzieło o nieznanym mi podłożu kulturowym.

Ortega stała pośrodku pomieszczenia, owinięta w kimono

z surowego jedwabiu, pochodzące zapewne z pokładowej garderoby.

– To długa historia. – Przeszedłem obok niej, by zajrzeć przez najbliższe drzwi. – Napiłbym się kawy, jeśli kambuz czynny.

Sypialnia. Duże owalne łóżko umieszczone między niezbyt gustownymi lustrami, ze zmiętą i odrzuconą w pośpiechu kapą. Szedłem z powrotem w stronę drugich drzwi, kiedy Ortega mnie spoliczkowała.

Zatoczyłem się. Nie był to cios tak silny, jakim poczęstowałem Sullivana w chińskiej knajpie, ale został wyprowadzony na stojąco, z dużo szerszym zamachem, a na jego moc wpłynął dodatkowo przechył pokładu. Wcale nie pomogła mieszanka kaca i przeciwbólowek. Nie upadłem, ale niewiele brakowało. Niepewnie odzyskując równowagę, uniosłem dłoń do policzka i zapatrzyłem się na Ortegę, świdrującą mnie wzrokiem z bliźniaczymi plamami czerwieni płonącymi na policzkach.

– Słuchaj, przepraszam, jeśli cię obudziłem, ale...

– Ty kupo gówna – wysyczała. – Ty kłamliwa kupo gówna.

– Nie jestem pewien, czy...

– Powinnam była cię aresztować, Kovacs. Powinnam była cię udupić w przechowalni za to, co zrobiłeś.

Zaczynałem tracić nerwy.

– Co zrobiłem? Ortega, weź się w garść i powiedz mi, co jest grane.

– Podłączyliśmy się dzisiaj do pamięci Hendriksa – oznajmiła lodowato Ortega. – Wstępny nakaz przyszedł w południe. Wszystko z ostatniego tygodnia. Przeglądałam to.

Gwałtownie budząca się we mnie wściekłość znikła w jednej chwili. Poczułem się, jakby wylała mi na głowę wiadro morskiej wody.

– Ooo...

– Tak, nie było tego wiele. – Ortega odwróciła się, tuląc własne ramiona w kimonie. Przeszła obok mnie do niezbadanego jeszcze przeze mnie pokoju. – Byłeś tam w tym czasie jedynym gościem. Więc sprowadzało się to do ciebie. I twoich gości.

Poszedłem za nią przez drugie drzwi do wyłożonego dywanem pokoju, z którego dwa schodki prowadziły do wąskiego kambuza za niskim, wyłożonym drewnem blatem. Pod ścianami również stały okryte folią meble – poza najdalszym rogiem, gdzie ściągnięto osłonę z ekranu video o powierzchni metra kwadratowego i podłączonych do niego modułów odbiornika i odtwarzacza. Pojedyncze, proste krzesło stało przed ekranem, na którym tkwił zamrożony obraz Eliasa Rykera nurkującego głową między szeroko rozrzuconymi udami Miriam Bancroft.

– Na krześle jest pilot – stwierdziła Ortega nieobecny tonem.
– Może obejrzysz sobie trochę, gdy będę ci robić kawę? Odśwież sobie wspomnienia. Potem będziesz mógł mi co nieco wyjaśnić.

Nie dając mi szansy na odpowiedź, znikła w kambuzie. Podszedłem do ekranu, czując, jak coś przesuwają się w moich wnętrznościach – obraz przywołał wspomnienia zmieszane z merge dziewięć. W bezsennym, chaotycznym wirze ostatnich dni zupełnie zapomniałem o Miriam Bancroft, ale teraz wróciła do mnie ze swoim ciałem, obezwładniająca i uzależniająca jak tamtej nocy. Zapomniałem też o tekście Rodriga Bautisty, że niemal przedarli się przez prawne obwarowania obrońców Hendriksa.

Zahaczyłem o coś nogą i spojrzałem w dół. Na podłodze obok krzesła stał kubek z niedopitą kawą. Zastanawiałem się, przez jaką część pamięci hotelu przebiła się Ortega. Zerknąłem na obraz na ekranie. Czy dotarła tylko do tego miejsca? Co jeszcze widziała? I jak to rozegrać? Podniosłem pilota i obróciłem go w dłoniach. Współpraca Ortegi stanowiła integralną część mojego planu. Gdybym miał ją teraz stracić, byłbym w poważnych tarapatach.

Coś jeszcze gryzło mnie od środka – rosnące emocje, którym nie chciałem przyznać prawa istnienia, ponieważ uznanie ich byłoby klinicznym absurdem. Uczucie, które głęboko wiązało się z obrazem na ekranie.

Zażenowanie. Wstyd.

Absurd. Pokręciłem głową. Cholernie *głupie*.

– Nie oglądasz.

Odwróciłem się i zobaczyłem Ortegę z kubkami w dłoniach. Uderzył mnie aromat gorącej kawy wzmocnionej rumem.

– Dzięki. – Wziąłem od niej jeden z kubków i napiłem się, grając na czas.

Odsunęła się ode mnie i złożyła ramiona.

– Więc? Pół setki powodów, dla których Miriam Bancroft nie pasuje do obrazu mordercy. – Kiwnęła głową w stronę ekranu. – Ile z nich kryje się w tym?

– Ortega, to nie ma nic wspólnego...

– Kupiłam twoje teksty o tym, że Miriam Bancroft może być przerażająca. – Potrząsnęła głową i napiła się kawy. – Ale teraz nie wiem. To, co widać na twojej twarzy, niezupełnie wygląda jak strach.

– Ortega...

– *Chcę, żebyś przestał*, tak powiedziała. Dokładnie, przewiń sobie, jeśli nie pamiętasz...

Przesunąłem pilota poza jej zasięg.

– Pamiętam, co powiedziała.

– Więc pamiętasz też ten mały słodki bonusik, który ci zaoferowała, żebyś zamknął sprawę, wielokroć...

– Ortega, może nie pamiętasz, ale ty też nie chciałaś, żebym zajmował się tą sprawą. Sama powiedziałaś, że to czyste samobójstwo. To nie oznacza, że go zabiłaś, pra...

– Stul pysk. – Okrążyła mnie, jakbyśmy trzymali nie kubki z kawą, a noże. – Kryłeś ją. Przez cały ten cholerny czas trzymałeś nos w jej kroku jak pieprzony wierny pie...

– Jeśli widziałaś resztę, wiesz, że to nieprawda. – Próbowałem zachować spokojny ton, na który nie pozwalały mi hormony Rykera. – Powiedziałem Curtisowi, że nie jestem zainteresowany. Powiedziałem mu to, cholera, dwa dni temu.

– Masz pojęcie, co z tym materiałem robi prokurator? Miriam Bancroft, która próbuje przekupić detektywa męża nielegalnymi usługami seksualnymi. Och tak, przyznanie się do wielokrotnego upowłokowienia, nawet niedowiedzione, może bardzo źle

wyglądać w sądzie.

– Odszczeka to. Wiesz, że tak będzie.

– Jeśli mąż zechce stanąć po jej stronie. A nie musi się zdecydować, jeśli to zobaczy. Wiesz, to nie wygląda na powtórkę z Leili Begin. Tym razem but moralności jest na drugiej nodze.

Dopiero po chwili zrozumiałem niewygodny fakt, że dyskusja o moralności tak naprawdę stanowiła istotę tego, co się tu dzieje. Przypomniałem sobie krytyczną opinię Bancrofta na temat ziemskiej moralności i zacząłem się zastanawiać, czy rzeczywiście mógłby oglądać moją głowę między udami swojej żony, nie czując się przy tym zdradzony.

Sam wciąż próbowałem zdecydować, jak się z tym czuję.

– A skoro już mówimy o prokuratorze, Kovacs – podjęła Ortega – ta obcięta głowa, którą przyniosłeś z kliniki Wei, też nie pomoże ci zdobyć ułaskawienia. Nielegalne przetrzymywanie osobowości CC oznacza na Ziemi pięćdziesiąt do stu lat, a nawet więcej, jeśli dowiedziemy, że to ty ją odciąłeś.

– Zamierzałem ci o tym powiedzieć.

– Nie, do cholery, wcale nie – warknęła Ortega. – Wcale nie zamierzałeś dzielić się ze mną opowieściami o swoich wyczynach.

– Słuchaj, klinika i tak nie odważy się wnieść oskarżenia. Mają zbyt wiele do...

– Ty arogancki skurwielu! – Kubek głucho uderzył o dywan, a ona zacisnęła dłonie w pięści. Teraz w jej oczach płonęła prawdziwa furia. – Jesteś dokładnie taki jak on, jesteś *kurewsko identyczny*. Myślisz, że potrzebujemy tej pieprzonej kliniki, skoro mamy film, jak kładziesz odciętą głowę do hotelowej zamrażarki? Czy tam, skąd pochodzisz, to nie jest przestępstwo? Świadoma dekapitacja...

– Chwileczkę. – Odstawiłem własną kawę na krzesło. – Jestem taki sam jak kto? Kogo ci przypominam?

– Co?

– Powiedziałaś przed chwilą, że jestem...

– Gównu cię obchodzi, co powiedziałam. Masz pojęcie, coś

ty zrobił, Kovacs?

– Jedyne, co...

Nagle z ekranu za mną rozległy się dźwięki, głębokie jęki i odgłos ssania. Zerknąłem na trzymanego w zaciśniętej pięści pilota, próbując odgadnąć, w jaki sposób odblokowałem odtwarzanie, a głęboki, kobiecy jęk sprawił, że krew zabulgotała mi w żyłach. Ortega skoczyła na mnie, próbując wyrwać mi urządzenie z ręki.

– Daj mi to. Wyłącz to cholerstwo...

Siłowałem się z nią przez chwilę, ale nasze zmagania przyniosły tylko ten efekt, że zwiększyliśmy głośność. Kierowany nagłym impulsem zdrowego rozsądku puściłem, a Ortega opadła obok krzesła, naciskając przyciski.

Zapadła długa cisza, którą przerywał jedynie odgłos naszych ciężkich oddechów. Utkwiłem wzrok w jednym z zasłoniętych bulajów po drugiej stronie kabiny. Ortega, siedząc między krzesłem a moją nogą, prawdopodobnie dalej wpatrywała się w ekran. Pomyślałem, że przez chwilę oddychaliśmy w tym samym rytmie.

Kiedy się odwróciłem i nachyliłem, by pomóc jej wstać, już się podnosiła. Nasze ręce powędrowały do siebie, zanim oboje uświadomiliśmy sobie, co się dzieje.

Porwało nas to jak woda z pękniętej tamy. Dzielące nas antagonizmy zapadły się do środka jak płonące i rozbijające się satelity. Podały się grawitacji, która przyciągała je jak łańcuchy, kończąc ich żywot w płomieniach. Oboje próbowaliśmy się równocześnie całować i śmiać. Ortega wydała z siebie ciche westchnienie, gdy moje dłonie wsunęły się pod kimono, przesuwając się po sterczących sutkach, szerokich i sztywnych jak końce lin, i piersiach pasujących do moich dłoni, jakby specjalnie do tego je zaprojektowano. Kimono opadło zrzucone gwałtownym ruchem jej ramion. Zerwałem z siebie równocześnie kurtkę i koszulę, w czasie gdy dłonie Ortegi gorączkowo szarpały mnie za pasek i odsuwały suwak. Poczułem na sobie przesuwające się stwardnienia skóry u podstaw jej

palców.

Wydostaliśmy się z pokoju z ekranem i przeszliśmy do kabiny rufowej. Podążyłem za chwiejnymi i elastycznymi zarazem krokami Ortegi przez środkowy pokój, wbijając wzrok w jej uda, i musiało się we mnie obudzić coś z Rykera, bo czułem się jak podczas powrotu do domu. Tam, w kabinie pełnej luster, rzuciła się twarzą w dół na zburzoną pościel, a potem uniosła biodra i zobaczyłem, jak wsuwam się w nią aż do końca. Płonęła wewnętrznym ogniem, przyjmując mnie, mokra jak po gorącej kąpieli, a rozgrzane półkule jej pośladków znaczyły wilgocią moje uda za każdym pchnięciem. Jej kręgosłup przeżył się przede mną i wyginał jak wąż, a włosy opadały kaskadą z pochylonej głowy. W otaczających mnie lustrach zobaczyłem Rykera, sięgającego do jej piersi, przesuwającego dłońmi po żebrach i krągłościach ramion, ona zaś unosiła się i skręcała jak ocean wokół statku. Ryker i Ortega, splatający się razem jak para połączonych wreszcie kochanków z ponadczasowego romansu.

Poczułem, że zaczyna szczytować, ale dopiero gdy zobaczyłem, jak patrzy na mnie przez rozpuszczone włosy, rozchylając wargi, straciłem resztki kontroli nad sobą i zacząłem gorączkowo rzucać się przy jej plecach i pośladkach, aż moje spazmy wygasły w niej i opadliśmy na łóżko. Poczułem, że wysuwam się z niej, jakbym się rodził. Chyba nadal przeżywała orgazm.

Przez długi czas żadne z nas się nie odzywało. Statek przedzierał się przez fale, płynąc ustalonym automatycznie kursem, a z luster zaczął emanować lodowaty chłód, który groził nam zerwaniem intymności. Jeszcze chwila, a zaczniemy przypatrywać się swoim odbiciom, unikając spojrzenia sobie w twarz.

Przesunąłem ramię na biodro Ortegi i łagodnie obróciłem ją na bok, przytulając brzuch do jej pleców. Odnalazłem w lustrze jej oczy.

– Dokąd zmierzamy? – zapytałem łagodnie.

Wzruszyła ramionami, wtulając się we mnie jeszcze mocniej.

– Wzdłuż wybrzeża, do Hawajów, pętla wokół i z powrotem.

– A kto wie, że tu jesteśmy?

– Tylko satelity.

– Dobrze pomyślane. Do kogo to należy?

Obróciła się, patrząc na mnie przez ramię.

– Do Rykera.

– Ups. – Świadomie odwróciłem wzrok. – Ładny dywan.

Roześmiała się wbrew wszystkiemu. Obróciła się i uniosła dłoń, by delikatnie dotknąć mojej twarzy, jakby chciała ją naznaczyć albo wymazać.

– Powtarzałam sobie – wymruczała – że to szaleństwo. Masz tylko jego ciało, wiesz.

– Wiem. Świadomość nie ma tu zbyt wiele do powiedzenia, nie decyduje o tym, jak przeżywamy nasze życia. I kropka, jeśli wierzysz psychologom. Rozsądek włącza się zwykle po fakcie. Reszta to hormony, instynkty genowe i feromony. Smutne, ale prawdziwe.

Przesunęła palcem wzdłuż linii mojej szczęki.

– Nie wydaje mi się to smutne. Naprawdę smutne jest to, co sami zrobiliśmy ze sobą.

– Kristin Ortega. – Chwyciłem jej palec i ścisnąłem łagodnie. – Jesteś prawdziwą, pieprzoną ludystką, prawda? Jak, u wszystkich diabłów, dostałaś się do tej roboty?

Znów wzruszyła ramionami.

– Pochodzę z rodziny gliniarzy. Babcia była gliną, ojciec był gliną. Wiesz jak to jest.

– Nie z doświadczenia.

– Nie. – Leniwie wyciągnęła długą nogę w stronę sufitu z lustrem. – Raczej nie.

Sięgnąłem nad jej gładkim brzuchem i przesunąłem dłoń wzdłuż uda do kolana, przechylając ją łagodnie i sięgając ustami, by ucałować delikatnie podgoloną kępkę włosów w miejscu, gdzie schodziły do szczeliny. Przez chwilę opierała się lekko, może myśląc o obrazie na ekranie w drugim pokoju, a może po prostu o wyciekających z jej ciała sokach, potem rozluźniła się i rozszerzyła uda. Przeniosłem jej nogę nad swoim ramieniem

i zanurzyłem w niej twarz.

Kiedy tym razem doszła, odbyło się to przy akompaniamencie coraz głośniejszych krzyków, a równocześnie jej całe ciało prężyło się na łóżku, napinając mięśnie brzucha i unosząc biodra w górę, by być bliżej moich ust. W pewnej chwili zaczęła mówić coś miękko po hiszpańsku, a brzmienie tych słów podnieciło mnie jeszcze bardziej. Kiedy wreszcie znieruchomiała, wsunąłem się w nią jednym gładkim ruchem, obejmując ją ramionami i zatapiając język w jej ustach w pocałunku pierwszym od chwili, gdy dotarliśmy do łóżka.

Poruszaliśmy się powoli, próbując osiągnąć rytm fal oceanu i śmiechu naszego pierwszego zjednoczenia. Czas jakby się zatrzymał. Rozmawialiśmy, pomrukując cicho i paplając wesoło na zmianę, zmienialiśmy pozycje, wymienialiśmy łagodne ugryzienia i uściski dłoni, czując niemal bolesne spełnienie. W końcu ciśnienie eksplodowało i doszedłem w niej, czując, jak łapie resztki mojej sztywności skurczami swego ciała.

W Korpusie Emisariuszy bierzesz, co ci oferują, gdzieś w korytarzach mojej pamięci zabrzmiał głos Virginii Vidaury. I czasem to musi wystarczyć.

Kiedy znów się rozdzieliliśmy, opadło ze mnie napięcie ostatnich dwudziestu czterech godzin i moja świadomość odpłynęła stopniowo w narastającym cieple. Ostatnie zapamiętane wrażenia dotyczyły ciała kobiety, która układała się przy mnie, z piersiami przyciśniętymi do moich pleców i ramionami owiniętymi wokół mnie. Moje procesy myślowe zwalniały.

Co oferują. Czasem. Wystarczy.

Rozdział dwudziesty ósmy

Kiedy się obudziłem, nie było jej.

Przez kilka odsłoniętych bulajów wpadały do kabiny jasne promienie słońca. Łódź prawie przestała się kołysać, choć wyglądając przez okienko, nadal widziałem na zmianę błękitne niebo z poziomymi pasmami chmur i stosunkowo spokojny ocean. Poczułem zapach parzonej kawy i smażonego bekonu. Przez chwilę leżałem nieruchomo, zbierając porozrzucane myśli i próbując złożyć je w jakąś rozsądną całość. Co powiedzieć Ortedze? Jak dużo i jak rozłożyć akcenty? Uwarunkowanie Emisariusza włączyło się opornie, jak coś wyciąganego z bagna. Pozwoliłem mu się rozruszać, zaabsorbowany plamami światła słonecznego na pościeli przy mojej głowie.

Obróciłem się, słysząc od strony drzwi brzęk szklanek.

W drzwiach stała Ortega ubrana w T-shirt z napisem: NIE DLA REZOLUCJI 653, przy czym NIE zostało stylowo zamazane czerwonym iksem, a nad nim widniało TAK w tym samym kolorze. Jej nagie długie nogi chowające się pod koszulką sprawiały wrażenie, jakby nie miały końca. W rękach trzymała dużą tacę z jedzeniem dla całego plutonu. Widząc, że się obudziłem, odrzuciła z oczu włosy i uśmiechnęła się radośnie.

Więc powiedziałem jej wszystko.

* * *

– I co zamierzasz zrobić?

Wzruszyłem ramionami i skierowałem wzrok na wodę, mrużąc oczy. Ocean wydawał się bardziej płaski i cięższy niż na Świecie Harlana. Na pokładzie uderzył mnie nagle jego

ogrom. Jacht przypominał na nim dziecięcą zabawkę.

– Zrobię to, czego chce Kawahara. Czego chce Miriam Bancroft i ty. Czego najwyraźniej chcą, do cholery, wszyscy. Zamknę sprawę.

– Myślisz, że Kawahara spaliła Bancrofta?

– Prawdopodobnie. Albo osłania kogoś, kto to zrobił. To już nie ma znaczenia. Ona dopadła Sarę i tylko to się teraz liczy.

– Moglibyśmy zarzucić jej porwanie. Przetrzymywanie osobowości CC zagrożone jest...

– Pięćdziesiąt do stu lat, tak. – Uśmiechnąłem się lekko. – Słuchałem wczoraj wieczorem. Ale nie będzie jej przetrzymywać sama, tylko przez jakichś pośredników.

– Możemy dostać nakaz...

– Kristin, to pieprzony Mat. Pozbędzie się nas i nawet jej puls nie przyśpieszy. Zresztą, nie w tym rzecz. Jak tylko zrobię coś przeciw niej, wrzuci Sarę do wirtuala. Ile czasu potrwa, zanim uda ci się zdobyć nakaz?

– Kilka dni, jeśli puścimy to przez ONZ. – W chwili, gdy to mówiła, jej twarz sposepniała. Oparła się o reling i spuściła wzrok.

– Dokładnie. W wirtualu to większa część roku. Sara nie jest Emisariuszem, nie ma tego rodzaju uwarunkowania. To, co może z nią zrobić Kawahara przez osiem czy dziewięć wirtualnych miesięcy, zmieni normalny umysł w papkę. W chwili, gdy będziecie ją wyciągać, uratujecie tylko strzępek człowieka. Jeśli ją wyciągniecie, a zresztą i tak nie zamierzam brać pod uwagę ewentualności, że Sara trafi tam bodaj na sekundę...

– OK. – Ortega położyła mi dłoń na ramieniu. – W porządku. Przepraszam.

Zadrżałem lekko, nie wiem, czy od morskiego wiatru, czy na myśl o wirtualnych lochach Kawahary.

– Zapomnij.

– Jestem gliną. W naturze mam szukanie sposobów uwalenia złych ludzi. To wszystko.

Spojrzałem w górę i posłałem jej blady uśmiech.

– A ja jestem Emisariuszem. W mojej naturze leży szukanie sposobów na wyprucie Kawaharze flaków. I wiesz co, szukałem. Nic nie wymyśliłem.

Odpowiedziała mi trochę wymuszonym uśmiechem zabarwionym niepewnością, która w końcu musiała nas dopaść.

– Kristin, słuchaj – podjąłem. – Właściwie to jest pewien sposób. Mogłbym przekonująco okłamać Bancrofta i zamknąć sprawę. To nielegalne, bardzo nielegalne, ale nie skrzywdzę nikogo istotnego. I nie muszę ci zdradzać szczegółów, jeśli nie chcesz ich poznać.

Zastanowiła się nad tym przez chwilę, przesuwając wzrokiem po wodzie, jakby tam właśnie pływała odpowiedź. Zacząłem spacerować wzdłuż relingu, żeby dać jej czas. Odchyliłem głowę, skanując błękitną misę nad naszymi głowami, myśląc o orbitalnych systemach nadzoru. Na środku pozornie nieskończonego oceanu, otoczony kokonem bezpieczeństwa zaawansowanego technicznie jachtu, łatwo mogłbym uwierzyć, że można się ukryć przed Kawaharami i Bancroftami tego świata, ale ten rodzaj chronienia się przepadł już przed wiekami.

Jeśli chcą cię dopaść, napisała kiedyś młoda Quell o harlanickiej elicie, prędzej czy później zgarną cię z planety jak kłębki kurzu z marsjańskiego artefaktu. Przekrocz otchłań gwiazd, a pójdą za tobą. Skryj się w stulecia przechowalni, a będą czekać na ciebie w świeżych klonach, kiedy się upowłokowisz. Są niczym ci, o których śniliśmy kiedyś jako o bogach, mityczni słudzy przeznaczenia, równie nieuchronni jak Śmierć, przygięta nad swą kosą stara wyrobnica. Biedna Śmierć, nie jest równym przeciwnikiem dla potężnych technologii przechowywania i odtwarzania danych w zmodyfikowanym węglu, a wszystko sprzysięgło się przeciw niej. Kiedyś żyliśmy w strachu przed jej przybyciem. Teraz flirtujemy z jej mroczną godnością, a istoty takie jak te nie dopuszczają jej nawet do wejścia dla służby.

Skrzywiłem się. W porównaniu z Kawaharą Śmierć była trzecioligowym graczem.

Zatrzymałem się na dziobie i znalazłem sobie punkt, w który

wbiłem wzrok do czasu, aż Ortega podejmie decyzję.

Przypuśćmy, że znałeś kogoś dawno temu. Dzieliliście się sobą, spijając siebie nawzajem. Potem oddaliliście się od siebie, życie uniosło was w różnych kierunkach, więc nie była dość mocna. Albo rozdzieliły was siły wyższe. Po latach znów spotykasz tę osobę, w tej samej powłoce, i przechodzicie przez wszystko od początku. Co cię przyciąga? Czy to ta sama osoba? Zapewne tak samo się nazywa i tak samo wygląda, ale czy to oznacza, że się nie zmieniła? A jeśli nie, to czy wszystko, co się wydarzyło, traci na znaczeniu? Ludzie się zmieniają, ale jak bardzo? Jako dziecko wierzyłem, że jest coś takiego jak esencja osoby, coś w rodzaju rdzenia osobowości, wokół którego czynniki zewnętrzne zmieniają się i ewoluują, nie uszkadzając integralności tego, kim jesteś. Później przekonałem się, że był to błąd percepcji, wynikający z metafor, których używamy do samookreślenia się. To, co uważaliśmy za osobowość, nie było niczym więcej niż ulotnym kształtem jednej z przepływających obok nas fal. Albo, sprowadzając to do ludzkiej skali, kształtem piaszczystej wydmy, powstałej w odpowiedzi na bodźce. Wiatr, grawitacja, wychowanie. Podłoże genowe. Wszystko podlega erozji i zmianom. Jedyne sposoby na pokonanie tego, to pójść do wieczystej przechowalni.

Tak samo jak prymitywny sekstans w swoim działaniu opiera się na złudzeniu, że słońce i gwiazdy kręcą się wokół planety, na której stoimy, nasze zmysły dają nam iluzję stabilności wszechświata i przyjmujemy ją, ponieważ bez tej akceptacji niczego nie moglibyśmy zrobić.

Virginia Vidaura, spacerując po sali wykładowej, zasłuchiwała się we własne słowa.

Jednak fakt, że sekstans pozwala nam prawidłowo nawigować przez ocean, nie implikuje, że słońce i gwiazdy obracają się wokół nas. Pomimo wszystkiego, czego dokonaliśmy jako cywilizacja i indywidualni ludzie, wszechświat nie jest stabilny, podobnie jak żadna rzecz w jego ramach. Gwiazdy spalają się, wszechświat się powiększa, a my sami składamy się z materii w ciągłym ruchu.

Kolonie komórek w czasowym sojuszu, mnożących się i obumierających, mieszczących w sobie jaśniejącą chmurę impulsów elektrycznych i niepewnie upchniętą węglową pamięć. Oto rzeczywistość i samoświadomość, która zapewne was oszołomi. Część z was służyła w Oddziałach Próżniowych i pewnie sądzi, że przeżyła już egzystencjalne zawroty głowy.

Uśmiechnęła się delikatnie po tych słowach.

Daję wam słowo, że te chwile zen, których mogliście doświadczyć w głębokiej przestrzeni, nie są niczym więcej jak początkiem tego, czego musicie się nauczyć tutaj. Wszystko, co osiągniecie jako Emisariusze, musi opierać się na zrozumieniu, że nie ma nic poza zmiennością. Wszystko, co chcecie choćby postrzegać jako Emisariusze, nie mówiąc już o stworzeniu, musi zostać wyrzeźbane z tej zmienności.

Życzę wam szczęścia.

Skoro nie możesz dwukrotnie spotkać tej samej osoby w ciągu jednego życia, w jednej powłoce, co to mówi o wszystkich rodzinach i przyjaciółach, czekających w ośrodkach transferu na kogoś, kogo znali i kto wygląda z oczu obcego? Jak można choćby zbliżyć się w ten sposób do tej samej osoby?

I gdzie w tym wszystkim mieści się kobieta pochłonięta namiętnością wobec obcego noszącego ciało, które kiedyś kochała. Czy była teraz bliżej, czy dalej od niego?

A skoro o tym mowa, gdzie umieszcza to obcego, który odpowiedział?

Usłyszałem, że idzie pokładem w moją stronę. Zatrzymała się w odległości kilku kroków i cicho odchrząknęła. Uśmiechnąłem się i odwróciłem.

– Nie mówiłam ci, jak Ryker to zdobył, prawda?

– Nie było okazji.

– Nie. – Uśmiech, który zaraz znikł jak zmieciony przez wiatr. – Ukradł to. Kilka lat temu, gdy wciąż jeszcze pracował w Kradzieżach Ciał. Ten jacht należał do jakiejś grubej ryby w handlu klonami z Sydney. Ryker dostał sprawę, bo facet puszczał wadliwy towar przez kliniki Zachodniego Wybrzeża.

Dołączył do lokalnej grupy uderzeniowej i próbował złapać gościa w jego przystani. Potężna strzelanina, dużo trupów.

– I dużo łupów.

Kiwnęła głową.

– Tam działają trochę inaczej. Większość roboty policyjnej wykonują prywatni kontrahenci. Lokalny rząd opłaca ich, wiążąc wypłaty z aktywami załatwionych przestępców.

– Ciekawy sposób motywacji – stwierdziłem w zamyśleniu. – Pewnie uwalają dzięki temu wielu bogaczy.

– Tak, mówią, że tak to właśnie działa. Jacht przypadł Rykerowi. Sporo zrobił w tej sprawie i został ranny w strzelaninie. – Kiedy mówiła o szczegółach, jej głos był dziwnie swobodny i po raz pierwszy poczułem, że Ryker jest naprawdę daleko stąd. – Tam właśnie zarobił tę bliznę pod okiem i na ramieniu. Karabin przewodowy.

– Paskudne. – Wbrew sobie poczułem swędzenie pod blizną. Zetknąłem się już z ogniem broni przewodowej i nie mogę powiedzieć, by było to miłe przeżycie.

– Właśnie. Większość z nich uznała, że Ryker zasłużył na każdy nit tej łodzi. Problem w tym, że polityka w Bay City nie dopuszcza, by policjanci zatrzymywali prezenty, bonusy albo cokolwiek, co uzyskali dzięki działaniu w ramach obowiązków służbowych.

– Rozumiem motyw.

– Jasne, ja też. Ale Ryker nie potrafił się z tym pogodzić. Opłacił jakiegoś wysokiej klasy dippera, by usunął pliki statku i zarejestrował go przez podstawioną firmę. Stwierdził, że potrzebuje kryjówki, gdyby kiedykolwiek musiał kogoś dziabnąć.

Uśmiechnąłem się lekko.

– Wątpliwe. Ale odpowiada mi jego styl. Czy nie był to przypadkiem ten sam dipper, który udupił go w Seattle?

– Masz dobrą pamięć. Tak, dokładnie ten sam. Nacho Igła. Bautista opowiada ładne historie, nieprawdaz?

– Więc to też wiedziałaś, hm?

– Owszem. Normalnie urwałabym Bautiście głowę razem

z jajami za te ojcowskie, gówniane gadki. Jakbym potrzebowała jego troski. Przeszedł przez dwa pieprzone rozwody, a nie ma jeszcze nawet czterdziestki. – W zamyśleniu zapatrzyła się na wodę. – Jeszcze nie miałam czasu się z nim spotkać. Byłam zbyt zajęta wkurzaniem się na ciebie. Słuchaj, Kovacs, mówię ci o tym, bo Ryker ukradł łódź i złamał prawo Zachodniego Wybrzeża, a ja o tym wiedziałam.

– I niczego nie zrobiłaś – domyśliłem się.

– Niczego. – Spojrzała na swoje dłonie, zwrócone spodem do góry. – Cholera, Kovacs, kogo oszukujemy? Sama nie jestem aniołem. Zmaltretowałam Kadmina w policyjnym areszcie. Widziałeś. Powinnam była wsadzić cię za burdę przed lokalem U Jerry’ego, a pozwoliłam ci odejść.

– O ile pamiętam, byłaś zbyt zmęczona na papierkową robotę.

– Tak, pamiętam. – Skrzywiła się, a potem obróciła, by spojrzeć mi w oczy, szukając na twarzy Rykera znaków, że może mi ufać.

– Mówisz, że chcesz złamać prawo, ale nikogo nie skrzywdzisz. To prawda?

– Nikogo, kto się liczy – poprawiłem ją łagodnie.

Kiwnęła głową do siebie, jak ktoś ważący argument, który mógłby na dobre zmienić jego zdanie.

– To czego ci trzeba?

Oderwałem się od relingu.

– Na początek listy burdeli w rejonie Bay City. Miejsc z wirtualami. Potem lepiej byłoby, gdybyśmy wrócili do miasta. Nie chcę stąd dzwonić do Kawahary.

– Wirtualne burdele? – Zamrugła.

– Owszem. Oraz te mieszane. Prawdę mówiąc, wrzucić do spisu każde miejsce na Zachodnim Wybrzeżu, które sprzedaje wirtualne porno. Im niższej klasy, tym lepiej. Zamierzam sprzedać Bancroftowi paczkę takiego brudu, że nie będzie chciał zbliżyć się w poszukiwaniu w niej szczelin. Tak paskudną, że nawet nie będzie chciał o tym myśleć.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Lista Ortegi miała ponad dwa tysiące pozycji, a przy każdej umieszczono krótką notkę operacyjną wraz z wszelkimi oskarżeniami o uszkodzenia organiczne, związanymi z operatorem lub klientelą. Na wydruk składało się na około dwustu stron papieru perforowanego, który zaczął się rozwijać jak długa wstęga, gdy tylko minąłem pierwszą stronę. Próbowałem przejrzeć listę w taksówce w drodze do Bay City, ale dałem spokój, bo groziło nam utonięcie pod stosem papieru. I tak nie byłem w odpowiednim nastroju. Większa część mnie marzyła, by wciąż leżeć w łóżku na jachcie Rykera, izolując się od reszty ludzkości i jej problemów setkami kilometrów błękitnego oceanu.

Wróciwszy do apartamentu w Hendriksie, upchnąłem Ortegę w kuchni, a sam zadzwoniłem do Kawahary na numer, który podała mi Trepp. Na ekranie najpierw pojawiła się Trepp, z twarzą rozmiękczoną snem. Zacząłem się zastanawiać, czy spędziła noc na nogach, próbując mnie namierzyć.

– Dzień dobry. – Ziewnęła i prawdopodobnie sprawdziła wewnętrzny zegar. – Właściwie już prawie dobry wieczór. Gdzie byłeś?

– Tu i tam.

Trepp niezgrabnie potarła jedno oko i znów ziewnęła.

– Jak chcesz. Nawiązuję konwersację. Jak twoja głowa?

– Dzięki, lepiej. Chcę rozmawiać z Kawaharą.

– Jasne. – Sięgnęła w stronę ekranu. – Później pogadamy.

Ekran przeszedł w tryb neutralny, wyświetlając wirującą trójkolorową helisę przy akompaniamencie obrzydliwie słodkiej muzyki. Zacisnąłem zęby.

– Takeshi-san. – Kawahara jak zwykle zaczęła po japońsku,

jakby to pozwalało jej nawiązać ze mną jakąś więź. – Nie oczekiwałam tak szybkiego kontaktu. Masz dla mnie dobre wieści?

Uparcie pozostałem przy amangielskim.

– Czy to bezpieczne połączenie?

– Na tyle, na ile może istnieć coś takiego.

– Mam listę zakupów.

– Mów.

– Na początek, muszę dostać wirusa bojowego. Najchętniej Rawling 4851 albo jedną z kondomarskich odmian.

Inteligentne rysy Kawahary nagle się wyostrzyły.

– Wirus z Innenin?

– Właśnie. Jest już przestarzały o ponad stulecie, więc nie powinno być problemów ze zdobyciem go. Potem...

– Kovacs, chyba lepiej będzie, jeśli wyjaśnisz mi, co planujesz.

Uniosłem brew.

– Wydawało mi się, że ma to być moja rozgrywka, a ty nie chcesz się w to mieszać.

– Jeśli dostarczę ci kopię wirusa Rawling, to i tak będę zamieszana. – Posłała mi odmierzony uśmiech. – Więc co chcesz z nim zrobić?

– Bancroft popełnił samobójstwo, takiego chcesz wyniku, prawda?

Wolno skinęła głową.

– Więc musiał mieć jakiś powód – oświadczyłem, wbrew sobie zapalając się do wymyślnego przez siebie oszustwa. Robiłem to, do czego mnie wyszkolili, i było mi z tym dobrze. – Bancroft ma zdalną kopię, nie miało sensu się zabijać, chyba że miałyby bardzo specyficzny powód. Powód niezwiązany z samym aktem samobójstwa. Coś, co wyzwoliłoby instynkt samozachowawczy.

– Mów dalej. – Kawahara zmrużyła oczy.

– Bancroft regularnie odwiedza burdele, realne i wirtualne. Sam mi to powiedział kilka dni temu. I nie jest zbyt wybredny co do jakości przybytku. Załóżmy teraz, że podczas gdy zaspokajał swoje potrzeby w jednym z wirtuali, zdarzył się

wypadek. Przypadkowy przeciek z jakichś zapuszkowanych programów, do których od dziesięcioleci nikt nie zaglądał. Jeśli zejdziemy dostatecznie nisko z klasą burdelu, nie sposób stwierdzić, co może się tam kryć.

– Wirus Rawling. – Kawahara wyrzuciła to z siebie, jakby dotąd powstrzymywała oddech.

– Rawling wariant 4851 potrzebuje około stu minut do pełnej aktywacji, po czym jest już za późno na cokolwiek. – Z wysiłkiem odegnałem sprzed oczu obraz Jimmy’ego de Soto. – Obiekt zostaje skażony bez szans na wyczyszczenie. Przypuśćmy, że Bancroft odkrywa to dzięki jakimś systemom alarmowym. Na pewno wszyli mu coś takiego. Nagle odkrywa, że stos, do którego podpięty jest jego mózg, właśnie się spalił. To nie tragedia, jeśli ma się klony i zdalną kopię, ale...

– Transmisja. – Twarz Kawahary rozjaśniła się, bo zrozumiała, do czego zmierzam.

– Dokładnie. Musiałby zrobić coś, żeby powstrzymać wirusa przed przetransferowaniem do kopii wraz z resztą osobowości. Przy najbliższym przekazie strunowym jeszcze tej samej nocy zostaje mu tylko jeden sposób, by nie dopuścić do przeniesienia wirusa. – Wykonałem gest przyłożenia pistoletu do głowy.

– Genialne.

– Dlatego zadzwonił, sprawdzając godzinę. Nie mógł zaufać własnemu chipowi, bo wirus mógł już w nim namieszać.

Kawahara uniosła dłonie w pole widzenia i zaklaskała. Kiedy skończyła, złożyła ręce i spojrzała na mnie.

– Naprawdę imponujące. Natychmiast zdobędę wirusa Rawling. Czy wybrałeś już odpowiednią lokalizację, do której będzie można go wprowadzić?

– Jeszcze nie. Wirus to nie jedyne, czego potrzebuję. Chcę, żebyś zorganizowała zwolnienie warunkowe i upowłokowanie Irene Elliott, trzymanej aktualnie w Centrali Bay City pod zarzutem dippingu. Chciałbym również, żebyś sprawdziła możliwość ewentualnego odkupienia jej oryginalnej powłoki od aktualnych właścicieli. Jakaś umowa korporacyjna czy coś

w tym stylu.

– Chcesz użyć tej Elliott do wprowadzenia wirusa?

– Mam dowody na to, że jest dobra.

– Są dowody na to, że została złapana – rzuciła cierpko Kawahara. – Mam mnóstwo ludzi, którzy mogą to dla ciebie zrobić. Najwyższej klasy eksperci od infiltracji. Nie potrzebujesz...

– Kawahara. – Z trudem opanowałem nerwy, ale we własnych słowach, wypowiadanych przez zduszone gardło, słyszałem niepokój. – Pamiętaj, że to moja akcja. Nie chcę, żeby wpychali mi się do niej twoi ludzie. Jeśli wyciągniesz Elliott, zyskasz jej lojalność. Zwróć jej ciało, a będzie nasza do końca życia. W ten sposób chcę to przeprowadzić, więc się ze mną nie spieraj.

Czekałem. Twarz Kawahary przez chwilę była całkowicie pozbawiona wyrazu, potem rozjaśnił ją kolejny, starannie odmierzony uśmiech.

– Proszę bardzo. Zrobimy to na twój sposób. Na pewno jesteś świadom podejmowanego ryzyka i tego, co się stanie, jeśli zawiedziesz. Skontaktuję się z tobą w Hendriksie jeszcze dzisiaj.

– Jakie wieści o Kadminie?

– O Kadminie nie ma wieści. – Kawahara jeszcze raz się uśmiechnęła i przerwała połączenie.

Przez chwilę siedziałem przed wyłączonym ekranem, analizując przedstawiony Kawaharze przekręt. Miałem niemiłe uczucie, że mimo całego fałszu mówiłem prawdę. Albo, co więcej, że moje starannie przygotowane kłamstwa szły tą samą ścieżką, co rzeczywistość. Dobre kłamstwo powinno zbliżać się do prawdy na tyle blisko, by móc się nią żywić, ale w tym było coś więcej, coś, co wytrąciło mnie z równowagi. Czułem się jak myśliwy, który tropiąc bagienną panterę, podszedł do niej zbyt blisko i w każdej chwili może ujrzeć, jak ta odwraca się ku niemu. Gdzieś tu kryła się prawda. Trudno było mi pozbyć się tego wrażenia.

Wstałem i poszedłem do kuchni, gdzie Ortega grzebała w prawie pustej lodówce. Światło ze środka oświetlało ją

w sposób, jakiego jeszcze nie widziałem, a pod uniesioną ręką jej prawa pierś wypełniała obcisły T-shirt jak owoc, jak woda. Zaswędziały mnie dłonie z chęci dotknięcia jej.

Odwróciła do mnie głowę.

– Nie gotujesz?

– Hotel robi to za mnie. Ja wyciągam to tylko z windy. Na co masz ochotę?

– Chcę coś *ugotować*. – Zrezygnowała z przeglądania zawartości lodówki i zamknęła drzwi. – Dostaniesz to, czego chcesz?

– Tak myślę. Daj hotelowi listę składników. Wydaje mi się, że tam, w stojaku, są rondle. Gdybyś czegoś potrzebowała, poproś o to hotel. Zamierzam przyjrzeć się liście. Och, i Kristin...

Odwróciła się od stojaka.

– Nie ma tu głowy Millera. Schowałem ją w sąsiednim apartamencie.

Trochę mocniej zacisnęła wargi.

– Wiem, gdzie jest – odpowiedziała. – Nie szukałam jej.

Kilka minut później, usadowiony na ławie pod oknem, z wydrukiem walającym się po podłodze, usłyszałem prowadzoną przyciszonym głosem rozmowę Ortegi z Hendriksem. Potem jakieś rozbijanie się, dalszą rozmowę i syk podgrzewanego oleju. Stłumiłem chęć na papierosa i zatopiłem się w studiowaniu wydruku.

Szukałem czegoś, co widywałem codziennie w młodości spędzonej w Newpest; miejsc, w których trawiłem czas jako nastolatek. Wąskie wejścia do maleńkich lokali obwieszonych hologramami obiecującymi rzeczy w rodzaju *Lepsze niż w rzeczywistości*, *Szeroka gama scenariuszy* i *Spełnione marzenia*. Nie trzeba wiele, by uruchomić wirtualny burdel. Jedynie fasady i trochę miejsca na ustawione w pionie trumny dla klientów. Cena oprogramowania zależała od jakości, zaawansowania i stopnia naśladownictwa rzeczywistości, ale sprzęt można było zwykle kupić z magazynów wojskowych za śmieszne pieniądze.

Jeśli Bancroft spędzał czas i wyrzucał pieniądze w biokabinach

Jerry'ego, w jednym z tych przybytków czułby się jak u siebie w domu.

Przeczytałem mniej więcej dwie trzecie listy, coraz więcej uwagi poświęcając zapachom dryfującym do mnie z kuchni, gdy mój wzrok padł na znajomą nazwę. Zesztywniałem.

Przed oczami stanęła mi kobieta z czarnymi włosami i karmazynowymi ustami.

Usłyszałem głos Trepp... *Głowa w Chmurach. Chcę tam być przed północą.*

I oznaczony kodem szofer.

Nie ma problemu. Przybrzeżny słabo dzisiaj wieje.

I kobieta o karmazynowych wargach.

Głowa w Chmurach. Tak tu jest. Może nie stać cię na pełny serwis.

Chór w orgazmie.

z Domów, z Domów, z Domów...

I wydruk w moich dłoniach.

Głowa w Chmurach: oficjalny przybytek Domów Zachodniego Wybrzeża, usługi fizyczne i wirtualne, ruchomy, napowietrzny lokal nad oceanem...

Przejrzałem notatki z głową dzwoniącą jak kryształ delikatnie uderzony młotkiem.

Wiązki nawigacyjne i system naprowadzający ustawiony na Bay City i Seattle. Dyskretne kodowanie dla członków. Rutynowe przeszukania, bez efektów. Żadnych wyroków. Działa na podstawie licencji z Third Eye Holdings Inc.

Siedziałem nieruchomo, pogrążony w myślach.

Wielu fragmentów brakowało. Przypominało to patrzenie w lustro – wystarczająco dużo, by uzyskać obraz, ale za mało, by zobaczyć go w całości. Wyteżałem wzrok, usiłując zajrzeć poza krawędzie zwierciadła, sięgnąć tła. Trepp zabierała mnie na spotkanie z Ray – Reileen – do Głowy w Chmurach. Nie do Europy, to był ślepy trop, posępny monument bazyliki miał mnie oślepić, bym nie dostrzegł tego, co powinno być oczywiste. Jeśli Kawahara była w to zaangażowana, nie obserwowałaby

tego z drugiej strony planety. Kawahara była w Głowie w Chmurach i...

I co?

Intuicja Emisariusza stanowiła formę podświadomego rozpoznania, wzmocnionej świadomości wzorów, które realny świat zbyt często zasłaniał swoim żądaniem, by skupić się na szczegółach. Przy dostatecznej liczbie śladów można dokonać skoku, który umożliwi dostrzeżenie całości jako rodzaju przeczucia prawdziwej wiedzy. Opierając się na tym modelu, można było później uzupełnić braki. Na początek konieczne było jednak pewne niezbędne minimum. Jak staromodne samoloty z liniowym napędem, potrzebowałam rozpędu, którego mi brakowało. Czułam, jak odbijam się od ziemi, sięgam chmur i opadam z powrotem. Miałem zbyt mało informacji.

– Kovacs?

Podniosłem wzrok i zobaczyłem to. Jak uaktywniający się wyświetlacz zazgrzytały blokady śluzy zaskakującej w mojej głowie.

Ortega stała przede mną z łychą do mieszania w ręce, z włosami związanymi w węzeł. Jej T-shirt mnie zahipnotyzował.

REZOLUCJA 653. TAK lub NIE, zależy.

Oumou Prescott:

Pan Bancroft ma nieokreślone wpływy w sądzie ONZ.

Jerry Sedaka:

Stara Anenome była katoliczką... Bierzymy ich na pęczki. Czasem bywa to cholernie wygodne.

Moje myśli pędziły jak ogień po loncie, odkrywając kolejne powiązania. Kort tenisowy.

Nalan Ertkin, Sędzia Główny Sądu Najwyższego ONZ, Joseph Phiri z Komisji Praw Człowieka.

Moje słowa:

Przypuszczam, że będą państwo rozmawiać o Rezolucji 653.1.

Nieokreślone wpływy...

Miriam Bancroft.

Będę potrzebowała pomocy, by utrzymać Marco z dala

od Nalan. Swoją drogą, marudzi.

I Bancroft:

Wcale mnie to nie dziwi, biorąc pod uwagę, jak dzisiaj grał.

Rezolucja 653. Katolicy.

Mój umysł przerzucał informacje w tę i z powrotem, działał jak wyszukiwarka w bazie danych.

Sedaka, triumfalnie:

Uwierzytelnione świadectwo na dysku, pełna Przysięga Wstrzymania potwierdzona w Watykanie.

Czasem bywa to cholernie wygodne.

Ortega:

Blokada z powodów religijnych.

Mary Lou Hinchley.

W zeszłym roku straż przybrzeżna wyłowiła z oceanu zwłoki dziecka, Mary Lou Hinchley.

Z ciała wiele nie zostało, ale wydobyli stos.

Blokada z powodów religijnych.

Z oceanu.

Straż przybrzeżna.

Ruchomy, napowietrzny lokal nad oceanem...

Głowa w Chmurach.

Tego procesu nie dało się powstrzymać, rozpędzał się jak umysłowa lawina. Strzępki rzeczywistości odskakiwały z drogi i toczyły się w dół, ale nie chaotycznie. Opadały w coś, co miało kształt, tworzyły rodzaj zrestrukturalizowanej całości, której ostatecznego kształtu wciąż nie byłem w stanie objąć.

System naprowadzający ustawiony na Bay City...

...i Seattle.

Bautista.

Widzisz, wszystko rozegrało się w czarnorynkowej klinice w Seattle.

Ci dwaj wpadli do Pacyfiku,

Ortega wysunęła teorię, że Ryker został wrobiony.

– Co się tak gapisz?

Słowa przez chwilę wisiały w powietrzu jak drzwi w czasie

i nagle przeskoczyłem przez nie na drugą stronę: Sara budziła się właśnie w hotelowym łóżku w Millsport, okna drżały od strzału orbitala, a w tle rozlegał się warkot wirników w nocy i tuż za rogiem czaiła się nasza śmierć.

– Na co się tak gapisz?

Zamrugalem. Wciąż wpatrywałem się w T-shirt Ortegi, w krągłości, którymi go wypełniała i w napis wydrukowany na piersiach. Uśmiech na jej wargach zaczynał ustępować miejsca zaniepokojeniu.

– Kovacs?

Znów zamrugalem i spróbowałem przebić się przez setki wyzwolonych przez T-shirt myśli. Wyłaniającej się prawdy o Głowie w Chmurach.

– Dobrze się czujesz?

– Tak.

– Chcesz jeść?

– Ortega, a co jeśli... – Stwierdziłem, że muszę odchrząknąć, przełknąć ślinę i zacząć od początku. Nie chciałem tego mówić, nawet moje ciało się wzbraniało. – Co byś powiedziała, gdybym mógł wyciągnąć Rykera z przechowalni? Na dobre. Oczyszczyć go z zarzutów, dowieść, że Seattle było pułapką. Ile byłoby to dla ciebie warte?

Przez chwilę patrzyła na mnie, jakbym mówił językiem, którego nie rozumiała. Potem podeszła do półki okiennej i ostrożnie usiadła na krawędzi, twarzą do mnie. Przez chwilę milczała, ale już widziałem odpowiedź w jej oczach.

– Czujesz się winny? – zapytała mnie w końcu.

– Z powodu?

– Z powodu nas.

Prawie się roześmiałem, ale powstrzymałem się, nie chcąc jej sprawiać bólu. Pragnienie dotknięcia jej wcale nie osłabło. Przez ostatni dzień narastało i słabło falami, ani na chwilę nie znikając na dobre. Kiedy spojrzałem na krzywizny jej bioder i ud, prawie czułem, jak napierała nimi na mnie, tak wyraźnie jak w wirtualu. Moja dłoń doskonale pamiętała kształt i ciężar jej piersi, palce

swędziały mnie z chęci dotykania jej skóry i twarzy. Nie było we mnie miejsca na winę, miejsca na cokolwiek innego niż pożądanie.

– Emisariusze nie miewają wyrzutów sumienia – stwierdziłem lakonicznie. – Mówię poważnie. Możliwe, nie, prawie pewne, że to Kawahara wystawiła Rykera, bo za bardzo grzebał w sprawie Mary Lou Hinchley. Pamiętasz cokolwiek z danych jej pracodawcy?

Ortega zastanowiła się przez chwilę, potem wzruszyła ramionami.

– Uciekła z domu, żeby być z chłopakiem. Świadczyła jakieś niezarejestrowane usługi, cokolwiek, by opłacić czynsz. Chłopak to kupa gówna, ma kartotekę już od piętnastego roku życia. Handlował trochę sztywniakami, złamał kilka łatwych dysków, ale głównie żył ze swoich kobiet.

– Pozwoliłby jej pracować w Meat Rack? Albo w kabinach?

– O tak – potwierdziła z kamienną twarzą. – Oczywiście.

– Gdyby ktoś rekrutował do burdelu, w którym popełnia się prawdziwe morderstwa, katolicy byłiby idealnymi kandydatami, prawda? W końcu nikomu nic później nie opowiedzą. Z powodów religijnych.

– Snuf. – Jeśli wcześniej twarz Ortegi przypominała kamień, teraz zmieniła się w granit. – Większość ofiar takich praktyk dostaje po prostu strzał w stos, kiedy jest już po wszystkim. Niczego nie mogą opowiedzieć.

– Jasne. Ale gdyby coś poszło nie tak. Jeśli Mary Lou Hinchley wiedziała, że zostanie zabita w taki sposób, pewnie próbowała uciec i wypadła z napowietrznego burdelu o nazwie Głowa w Chmurach. Wtedy fakt, że była katoliczką, okazałby się bardzo wygodny, prawda?

– Głowa w Chmurach? Poważnie?

– Właścicielom tego burdelu musiałoby wyjątkowo mocno zależeć, żeby nie doszło do uchwalenia Rezolucji 653, prawda?

– Kovacs. – Ortega zrobiła dłońmi gest „wyhamuj”. – Kovacs, Głowa w Chmurach to jeden z Domów. Prostytucja wysokiej

klasy. Nie lubię tych miejsc, zbiera mi się od nich na wymioty tak samo jak od kabin, ale są czyste. Celują w wyższe sfery i nie bawią się w gnoju w rodzaju mord...

– A więc uważasz, że w wyższych sferach nie trafiają się upodobania do sadyzmu i nekrofilii. Takie rzeczy możliwe są wyłącznie wśród plebsu, tak?

– Nie, to nie tak – odpowiedziała bezbarwnie. – Ale jeśli ktokolwiek z pieniędzmi chce się zabawić w oprawcę, stać go na to, by robić to w wirtualu. Część z Domów świadczy usługi z wirtualami, ale to legalne i nic nie możemy na to poradzić. Takie jest życie.

Głęboko wciągnąłem powietrze.

– Kristin, ktoś zabrał mnie, żebym spotkał się z Kawaharą na pokładzie Głowy w Chmurach. Ktoś z kliniki Wei. A jeśli Kawahara ma udziały w Domach Zachodniego Wybrzeża, oznacza to, że te przybytki dla pieniędzy robią wszystko. Chcesz dużego, złego Mata do straszenia dzieci? Zapomnij o Bancrofcie, w porównaniu z nią to praktycznie kapłan. Kawahara dorastała w Fission City, sprzedając leki na chorobę popromienną rodzinom robotników od prętów paliwowych. Wiesz, kto to nosiwoda?

Pokręciła głową.

– Tak nazywali w Fission City żołnierzy gangu. Widzisz, jeśli ktoś odmówił płacenia za ochronę, donosił na policję albo choćby nie zaczął dość szybko skakać, gdy lokalny boss yakuzy powiedział: „żaba”, standardową karą było picie skażonej wody. Żołnierze nosili ją ze sobą w ekranowanych butlach i odlewali z systemów chłodzenia niskiej jakości reaktorów. Pojawiali się w domu danej osoby nocą i mówili, ile ma wypić. Rodzina musiała patrzeć. Jeśli ktoś taki odmówił, zaczynali podrywać gardła jego bliskim, póki się nie zdecydował. Wiesz, jak dowiedziałem się o tym uroczym kawałku ziemskiej historii?

Ortega milczała, ale jej usta wykrzywiło obrzydzenie.

– Wiem, bo powiedziała mi o tym Kawahara. To właśnie robiła jako dzieciak. Była nosiwodą. I jest z tego dumna.

Zadzwonil telefon.

Machnałem na Ortegę, żeby znikła z pola widzenia, i odebrałem.

– Kovacs? – Rodrigo Bautista. – Jest u ciebie Ortega?

– Nie – skłamałem odruchowo. – Nie widziałem jej od kilku dni. Jakiś problem?

– Ach, prawdopodobnie nie. Znów znikła z powierzchni ziemi. Gdybyś ją zobaczył, powiedz, że opuściła dzisiaj zebranie grupy i kapitan nie był zachwycony.

– Powinienem się jej spodziewać?

– Z Ortegą nigdy, cholera, nie wiadomo. – Bautista rozłożył ręce. – Słuchaj, muszę lecieć. Do zobaczenia.

– Do zobaczenia. – Ekran zgasł, a z kryjówki za ścianą wyłoniła się Ortega. – Słyszałaś to?

– Owszem. Miałam dziś rano oddać dyski z pamięcią Hendriksa. Murawa pewnie chce wiedzieć, czemu w ogóle zabrałam je z Fell Street.

– To chyba twoje śledztwo, prawda?

– Tak, ale mamy swoje przepisy. – Nagle zaczęła wyglądać na zmęczoną. – Nie mogę ich zbyt długo przetrzymywać. I tak już dziwnie na mnie patrzą, że pracuję z tobą. Niedługo ktoś zacznie coś podejrzewać. Dam ci kilka dni na ten przekręt z Bancroftem, ale potem...

Uniosła dłonie w geście bezradności.

– Nie możesz powiedzieć, że byłaś przetrzymywana? Że Kadmin odebrał ci dyski?

– Zrobią mi polarografię.

– Nie od razu.

– Kovacs, rozmawiamy o spuszczeniu do kibla całej kariery. Mojej, nie twojej. Nie robię tego dla zabawy, zajęło mi...

– Kristin, posłuchaj. – Podeszedłem do niej i złapałem ją za rękę. – Chcesz dostać z powrotem Rykera czy nie?

Próbowała się ode mnie odwrócić, ale ją przytrzymałem.

– Wierzysz, że go wrobili, Kristin?

Głośno przełknęła ślinę.

– Tak.

– Więc czemu nie chcesz uwierzyć, że zrobiła to Kawahara? Samochód, który zestrzelił w Seattle, kierował się w stronę oceanu. Zrób ekstrapolację jego kursu i zobacz, gdzie cię to zaprowadzi. Narysuj punkt, w którym straż przybrzeżna wyловиła z wody ciało Mary Lou Hinchley. Potem umieść na mapie Głowę w Chmurach i przekonaj się, czy to wszystko pasuje do układanki.

Ortega wyrwała mi się z dziwnym wyrazem oczu.

– Chcesz, żeby to okazało się prawdą, nie? Chcesz wymówki, żeby dobrać się do Kawahary, nie zważając na nic. Napędza cię nienawiść. Kolejny rachunek do wyrównania. Nie obchodzi cię Ryker. Nie obchodzi cię nawet twoja przyjaciółka Sara i...

– Powiedz to jeszcze raz – przerwałem jej lodowato – a ci przyłożę. Tak dla twojej wiadomości: nic, o czym tu rozmawialiśmy, nie ma dla mnie większego znaczenia niż życie Sary. I nic z tego, co powiedziałem, nie oznacza, że mogę nie spełnić rozkazu Kawahary.

– Więc gdzie w tym sens?

Chciałem ku niej sięgnąć, ale rozmyśliłem się i tylko machnąłem ręką.

– Nie wiem. Jeszcze nie. Ale jeśli uda mi się wydostać Sarę, może znajdzie się jakiś sposób, żeby potem dobrać się do Kawahary. I może wymyślę coś, żeby oczyścić Rykera. To wszystko.

Przez chwilę stała, patrząc na mnie, potem odwróciła się i zgarnęła swoją kurtkę z oparcia krzesła.

– Wychodzę na trochę – powiedziała cicho.

– W porządku. – Starłem się odpowiedzieć tym samym tonem. To nie była właściwa chwila, by na nią naciskać. – Będę tutaj, a gdybym musiał wyjść, zostawię ci wiadomość.

– Dobrze.

W jej głosie nie usłyszałem nic, co zdradzałoby, czy jeszcze tu wróci.

Kiedy wyszła, usiadłem, by jeszcze chwilę pomyśleć.

Próbowałem ubrać w ciało widmową strukturę, jaką stworzyła intuicja Emisariusza. Kiedy znów zadzwonił telefon, poddałem się. Przyłapałem się na tym, że wyglądam przez okno, zastanawiając się, gdzie podziała się Ortega.

Tym razem była to Kawahara.

– Mam to, czego chcesz – oznajmiła od razu. – Uśpiona wersja wirusa Rawling zostanie dostarczona do SilSet Holdings jutro rano po godzinie ósmej. 1187 Sacramento. Wiedzą, że się zjawisz.

– A kody aktywacyjne?

– Dostaniesz je później. Skontaktuje się z tobą Trepp.

Kiwnąłem głową. Prawo Narodów Zjednoczonych w zakresie transferu i posiadania wirusów bojowych było jasne aż do bólu. Nieaktywne formy wirusa można było przechowywać w charakterze obiektu badań albo nawet, jak dowiodła tego precedensowa sprawa, jako prywatne trofea. Posiadanie lub sprzedaż aktywnego wirusa wojskowego albo kodów aktywujących uśpiony egzemplarz stanowiło przestępstwo ścigane z urzędu przez ONZ z karą od stu do dwustu lat w przechowalni. W przypadku faktycznego zastosowania wirusa wyrok mógł zostać podwyższony (a nawet zakończyć się kasacją). Oczywiście, kary te odnosiły się wyłącznie do osób prywatnych, nie dowódców wojskowych czy urzędników rządowych. Władza zazdrośnie strzeże swoich zabawek.

– Tylko dopilnuj, by zrobiła to szybko – rzuciłem. – Nie chcę marnować niepotrzebnie ani jednego z moich dziesięciu dni.

– Rozumiem. – Kawahara przybrała współczującą minę, jakby Sarze groziła jakaś wroga siła, nad którą żadne z nas nie było w stanie zapanować. – Irene Elliott zostanie upowłokowiona jutro wieczorem. Formalnie wykupiła ją z przechowalni JacSol SA, jedna z moich firm komunikacyjnych. Będiesz mógł odebrać ją z Centrali Bay City około dziesiątej wieczorem. Tymczasowo akredytowałam cię jako konsultanta do spraw bezpieczeństwa w JacSolu, Oddział Zachodni pod nazwiskiem Martin Anderson.

– Rozumiem. – W ten sposób Kawahara dawała mi do zrozumienia, że jeśli cokolwiek się nie uda, będę z nią związany

i pójdę na pierwszy ogień. – Ale to koliduje z sygnaturą genową Rykera. Będzie w głównej bazie danych Centrali Bay City, dopóki będę nosił jego ciało.

Kawahara kiwnęła głową.

– To już załatwione. Twoja akredytacja zostanie przekierowana przez kanały korporacyjne JacSolu przed sprawdzeniem materiału genetycznego. Wstukiwany kod. W ramach JacSolu twoja sygnatura genowa będzie zarejestrowana jako Anderson. Jeszcze jakieś pytania?

– Co będzie, jeśli trafię na Sullivana?

– Naczelnik Sullivan udał się na długi urlop. Jakież problemy psychologiczne. Spędza trochę czasu w wirtualu. Więcej go nie zobaczysz.

Wbrew sobie poczułem zimny dreszcz, patrząc w niewzruszone rysy Kawahary. Odchrząknąłem.

– A wykup powłoki?

– Nie. – Kawahara uśmiechnęła się lekko. – Sprawdziłam specyfikację. Powłoka Irene Elliott nie była w żaden sposób poprawiana biomechanicznie, więc nie ma sensu ponosić kosztów jej odzyskiwania.

– Nie mówiłem, że ma. Tu nie chodzi o możliwości techniczne, a o motywację. Będzie bardziej lojalna, jeśli...

Kawahara nachyliła się w stronę ekranu.

– Tyle możesz ze mnie wyciągnąć, Kovacs. Nic więcej. Elliott dostanie kompatybilną powłokę, powinna być za to wdzięczna. Skoro jej chcesz, sam musisz zapewnić sobie jej lojalność. Ten temat jest dla mnie zamknięty.

– Będzie potrzebowała więcej czasu, by się dostosować – wycofałem się przezornie. – W nowej powłoce będzie wolniejsza, mniej...

– To też twój problem. Zaoferowałam ci najlepszych specjalistów od penetracji, jakich można kupić, a ty ich odrzuciłeś. Musisz nauczyć się żyć z konsekwencjami swoich decyzji, Kovacs – przerwała i cofnęła się nieco z kolejnym uśmiechem. – Kazałam sprawdzić tę Elliott. Kim jest, kim są

członkowie jej rodziny, wszelkie powiązania, dlaczego chciałeś wyciągnąć ją z przechowalni. To przykre, Kovacs, ale sam będziesz musiał płacić za swoje gesty dobrego samarytanina. Nie prowadzę działalności dobroczynnej.

– Nie – potwierdziłem bezbarwnie. – Zdecydowanie.

– Mogę założyć, że będzie to nasze ostatnie bezpośrednie połączenie do czasu załatwienia sprawy?

– Tak.

– No cóż, choć może się to wydawać nieodpowiednie, życzę szczęścia, Kovacs.

Ekran zgasł, pozostawiając wiszące w powietrzu słowa. Przez długi czas siedziałem w bezruchu, wpatrując się w powidok na ekranie, prawie rzeczywisty dzięki sile mojej nienawiści. Kiedy się odezwałem, głos Rykera zabrzmiał obco, jakby ktoś inny mówił przeze mnie.

– „Nieodpowiednie” jest OK – powiedziałem do cichego pokoju.
– Dziwka.

Ortega nie wróciła, ale aromat tego, co ugotowała, roznosił się po apartamencie, a mój żołądek skręcał się z głodu. Oczekałem jeszcze trochę, nadal próbując zebrać w myślach porozrzucane kawałki układanki, ale albo nie miałem do tego serca, albo wciąż brakowało mi jakiegoś istotnego elementu. W końcu zdławiłem smak nienawiści i frustracji i zabrałem się do jedzenia.

Rozdział trzydziesty

Kawahara przygotowała wszystko bez zarzutu.

Następnego dnia o ósmej rano przed Hendriksem pojawiła się automatyczna limuzyna z błyszczącym logo JacSolu na bokach. Wszedłem jej na spotkanie. W tylnej kabinie czekało na mnie pełno pudełek z nalepkami chińskich producentów z górnej półki.

Kiedy otworzyłem je w swoim pokoju, znalazłem kilka wysokiej jakości rekwizytów, dla których Spokój Carlyle dałaby się zabić: dwa garnitury w kolorze piasku, pasujące na Rykera, sześć ręcznie robionych koszul z logo JacSolu wyszytym na kołnierzykach, eleganckie buty z prawdziwej skóry, granatowy płaszcz przeciwdeszczowy, dedykowany telefon komórkowy JacSolu i mały, czarny dysk z czytnikiem kodu DNA.

Wykąpałem się i ogoliłem, po czym wbiłem się w garnitur i uruchomiłem dysk. Na ekranie pojawił się doskonały konstrukt Kawahary.

– Dzień dobry, Takeshi-san, witamy w JacSol Communications. Kod DNA z tego dysku został właśnie wpleciony w linię kredytową na nazwisko Martina Jamesa Andersona. Jak już mówiłam, wystukiwany prefiks korporacyjny JacSolu zaneguje wszelkie możliwe kolizje z danymi genetycznymi konta założonego dla ciebie przez Bancrofta. Zannotuj poniższy kod.

Odczytałem i zapamiętałem sekwencję cyfr, po czym wróciłem do obserwacji twarzy Kawahary.

– Konto JacSolu pozwoli ci pokryć wszelkie rozsądne wydatki – ciągnęła. – Zostało zaprogramowane tak, że straci ważność z końcem naszego dziesięciodniowego kontraktu. Gdybyś chciał wcześniej je usunąć, wprowadź kod dwukrotnie, przystaw kod genetyczny i znów dwukrotnie wstukaj kod. Trepp skontaktuje

się z tobą dzisiaj przez korporacyjną komórkę, więc noś ją ze sobą przez cały czas. Irene Elliott zostanie przetransferowana o 21.45 czasu Zachodniego Wybrzeża. Przetwarzanie powinno zająć około czterdziestu pięciu minut. W chwili gdy będziesz odczytywał tę wiadomość, przesyłka będzie już na ciebie czekać w SilSet. Po konsultacji z moimi ekspertami załączam listę sprzętu, którego najprawdopodobniej będzie potrzebować Elliott, i nazwiska kilku zaufanych dostawców, od których można go dyskretnie kupić. Zapłać z konta JacSolu. Lista zostanie za chwilę wydrukowana.

Gdybyś chciał jeszcze raz przesłuchać wiadomość, dysk możesz odtworzyć przez najbliższe osiemnaście minut. Po tym czasie ulegnie autokasacji. Od tej chwili jesteś zdany na siebie.

Rysy Kawahary ułożyły się w sztuczny uśmiech i obraz zanikł, a drukarka wyrzuciła z siebie listę sprzętu. Przejrzałem ją pobieżnie w drodze do limuzyny.

Ortega nie wróciła.

W SilSet Holdings potraktowano mnie jak potomka rodziny Harlana. O moją wygodę zadbali eleganccy recepcjoniści, podczas gdy technik przyniósł metalowy cylinder mniej więcej rozmiarów granatu halucynogennego.

Na Trepp nie zrobiłem tak dobrego wrażenia. Spotkałem się z nią późnym popołudniem, kierując się zgodnie z otrzymanymi przez telefon instrukcjami do baru w Oakland.

Kiedy zobaczyła mój oficjalny strój, roześmiała się kwaśno.

– Kovacs, wyglądasz jak pieprzony programista. Skąd masz ten garnitur?

– Nazywam się Anderson – przypomniałem jej. – A garnitur przyszedł razem z nazwiskiem.

Skrzywiła się.

– No cóż, *Anderson*, następnym razem weź mnie ze sobą na zakupy. Pomogę ci zaoszczędzić mnóstwo pieniędzy i nie będziesz wyglądał jak gość, który zabiera dzieciaki na weekendy do Honolulu.

Nachyliłem się nad maleńkim stolikiem.

– Wiesz, Trepp, ostatnim razem, kiedy krytykowałeś mój gust co do wyboru garderoby, zabiłem cię.

Wzruszyła ramionami.

– No cóż. Niektórzy ludzie po prostu nie potrafią znieść prawdy.

– Przyniosłeś towar?

Położyła na stole rozpląszczoną dłoń, a kiedy ją uniosła, między nimi leżał niewyróżniający się niczym szary dysk w plastikowej osłonie.

– Proszę. Zgodnie z życzeniem. Teraz wiem, że jesteś szalony. – W jej głosie brzmiało coś w rodzaju podziwu. – Wiesz, co robią na Ziemi za zabawę z czymś takim?

Przykryłem dysk dłonią i schowałem go do kieszeni.

– Pewnie to samo, co w każdym innym miejscu. Zbrodnia międzynarodowa, dwie lufy. Zapominasz, że nie mam wyboru.

Trepp podrapała się za uchem.

– Dwie lufy albo Wielkie Czyszczenie. Nie powiem, żebym się dobrze bawiła, nosząc to przez cały dzień. Masz resztę ze sobą?

– Czemu? Martwisz się, że ktoś cię ze mną zobaczy?

– Trochę. – Uśmiechnęła się. – Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

Ja też miałem taką nadzieję. Pękata przesyłka o rozmiarach granatu, którą odebrałem z SilSetu, przez cały dzień ciążyła mi w kieszeni drogiego płaszcza.

Wróciłem do Hendriksa i sprawdziłem, czy mam jakieś wiadomości. Ortega nie dzwoniła. Resztę czasu spędziłem w pokoju hotelowym, analizując wersję, którą zamierzałem sprzedać Elliott. O dziewiątej wstałem i wróciłem do limuzyny, po czym pojechałem nią do Centrali Bay City.

Siedziałem w recepcji, kiedy młody lekarz kończył wypełniać niezbędne druczki, podpisywałem się we wskazanych miejscach. Cały proces był dziwnie znajomy. Większość paragrafów zawierała zastrzeżenia *w imieniu*, co de facto czyniło mnie odpowiedzialnym za zachowanie Irene Elliott przez okres zwolnienia. Miała jeszcze mniej do powiedzenia w tej kwestii niż

ja przed tygodniem.

Kiedy Elliott w końcu wyłoniła się z drzwi na tyłach recepcji z napisem: wstęp wzbroniony, poruszała się niepewnym krokiem kogoś, kto wyszedł z choroby mocno osłabiającej organizm. Na jej nowej twarzy był wypisany „szok lustra”. Jeśli nie robi się tego zarobkowo, niełatwo jest pierwszy raz stanąć twarzą w twarz z obcym, a twarz, jaką otrzymała Elliott, była prawie równie niepodobna do oblicza grubokościstej blondynki, którą zapamiętałem z fotosześcianu jej męża, jak twarz Rykera do mojej poprzedniej powłoki. Kawahara określiła nową powłokę jako kompatybilną i doskonale oddawało to istotę sytuacji. Było to kobiece ciało w wieku zbliżonym do Irene Elliott, ale na tym kończyło się podobieństwo. Irene była dość solidnie zbudowana i miała jasną karnację, a skóra nowej powłoki lśniła jak wąska żyła miedzi widziana przez spadającą wodę. Gęste, czarne włosy otaczały twarz z oczami jak węgle i ustami w kolorze śliwek, ciało było szczupłe i delikatne.

– Irene Elliott?

Oparła się niepewnie o blat recepcji, odwracając się, by na mnie spojrzeć.

– Tak. Kim pan jest?

– Nazywam się Martin Anderson. Reprezentuję JacSol, Oddział Zachodni. Zaaranżowaliśmy pani zwolnienie warunkowe.

Zmrużyła lekko oczy, oglądając mnie od stóp do głów.

– Nie wygląda pan na programistę. Oczywiście, poza garniturem.

– Jestem konsultantem do spraw bezpieczeństwa i nadzoruję pewne projekty JacSolu. Chcielibyśmy, żeby wykonała pani dla nas pewną pracę.

– Tak? I nie mogliście dostać nikogo taniej? – Wskazała na nasze otoczenie. – Co jest, siedząc w przechowali stałam się sławna?

– W pewnym sensie – powiedziałem ostrożnie. – Może lepiej będzie, jeśli załatwimy formalności i odejdziemy. Czeka na nas limuzyna.

– Limuzyna?

Niedowierzanie w jej głosie wywołało pierwszy tego dnia szczerzy uśmiech na mojej twarzy. Automatycznie podpisała dokumenty zwolnienia.

* * *

– Kim pan naprawdę jest? – zapytała, kiedy limuzyna znalazła się w powietrzu.

Miałem wrażenie, że wielu ludzi ostatnio zadawało mi to pytanie. Sam już zaczynałem się zastanawiać.

Popatrzyłem przed siebie nad blokiem nawigacyjnym limuzyny.

– Przyjacielem – powiedziałem cicho. – To wszystko, co musisz w tej chwili wiedzieć.

– Zanim cokolwiek zaczniemy, chcę...

– Wiem. – W chwili, gdy to mówiłem, limuzyna skręcała na niebie. – Będziemy w Ember za jakieś pół godziny.

Nie odwróciłem się, ale wyczułem na boku twarzy jej palące spojrzenie.

– Nie jesteś z korporacji – oświadczyła stanowczo. – Korporacyjni nie robią takich rzeczy. Nie w ten sposób.

– Korporacje dla zysku zrobią wszystko. Nie pozwól, by zaślepiły cię uprzedzenia. Pewnie mogą spalić całe wioski, jeśli to się opłaci. Ale jeśli okaże się, że warto mieć ludzką twarz, założą ją błyskawicznie.

– I ty jesteś tą ludzką twarzą?

– Niezupełnie.

– Co chcesz, żebym dla ciebie zrobiła? Coś nielegalnego?

Wyciągnąłem z kieszeni cylindryczny pojemnik z wirusem i podałem jej. Wzięła go w ręce i z profesjonalnym zainteresowaniem przestudiowała oznaczenia. Z mojej strony był to pierwszy test. Wyciągnąłem Elliott z przechowalni, ponieważ w ten sposób zyskiwałem gwarancję, że będzie mi wierna jak nikt, kogo dostarczyłaby mi Kawahara albo kogo zgarnąłbym

z ulicy. Ale poza tym nie miałem nic oprócz instynktu i zapewnienia Victora Elliotta, że jego żona była dobra. Czułem się nieco niepewnie, biorąc pod uwagę kierunek, w jaki pozwoliłem rozwijać się sytuacji. Kawahara miała rację. Gesty dobrego samarytanina mogą być kosztowne.

– No więc tak. Masz tu wirusa Simulteca pierwszej generacji – artykułowała pogardliwie każdą sylabę. – Obiekt kolekcjonerski, praktycznie relik. I trzymasz go w najnowocześniejszym urządzeniu do błyskawicznego wrzutu z osłoną antylokacyjną. Może dasz spokój tym bzdurom i powiesz mi, co jest grane? Planujesz jakąś akcję, prawda?

Przytaknąłem.

– Co jest celem?

– Wirtualny burdel. Zarządzany przez SI.

Usta Elliott ułożyły się do bezgłośnego gwizdu.

– Akcja uwolnienia?

– Nie. Instalujemy.

– Instalujemy to? – Uniosła cylinder. – Więc co to jest?

– Rawling 4851.

Elliott natychmiast opuściła pojemnik.

– To nie jest śmieszne.

– I wcale nie miało być. To uśpiony wariant. Jak słusznie zauważyłaś, przygotowany do błyskawicznego uwolnienia. Kod aktywacyjny mam w kieszeni. Umieścimy wirusa w bazie danych zarządzanego przez SI burdelu, wprowadzimy kody i zamkniemy pokrywę. Będzie trochę zabawy z systemami monitorującymi i trochę sprzątania, ale zasadniczo do tego sprowadza się akcja.

Przyjrzała mi się z zainteresowaniem.

– Jesteś jakimś świrem religijnym?

– Nie. – Uśmiechnąłem się lekko. – Nic w tym stylu. Potrafisz to zrobić?

– Zależy od SI. Masz parametry?

– Nie tutaj.

Elliott oddała mi pojemnik z wirusem.

– Więc nie mogę ci odpowiedzieć „nie”, prawda?

– To właśnie miałem nadzieję usłyszeć. – Z satysfakcją schowałem cylinder. – Jak nowa powłoka?

– W porządku. Istnieje jakiś powód, dla którego nie mogłam dostać z powrotem własnej? Byłabym znacznie szybsza we włas...

– Wiem. Niestety, nie mam na to wpływu. Powiedzieli ci, jak długo byłaś w przechowalni?

– Ktoś powiedział, że cztery lata.

– Cztery i pół – uściśliłem, zerkając na podpisane przez siebie formularze. – Obawiam się, że w tym czasie twoja powłoka wpadła komuś w oko i ją wykupił.

– Och. – Ucichła.

Szok obudzenia się po raz pierwszy wewnątrz cudzego ciała jest niczym w porównaniu z poczuciem wściekłości i zdrady, jakie odczuwa się na myśl, że gdzieś ktoś chodzi wewnątrz ciebie. To jak odkrycie niewierności, tyle że poziom intymności odpowiada gwałtowi. I tak jak w przypadku obu tych spraw – nic już nie da się zrobić. Po prostu trzeba do tego przywyknąć.

Cisza trwała już zbyt długo. Spojrzałem na jej znieruchomiałą twarz i odchrząknąłem.

– Jesteś pewna, że chcesz teraz pojechać do domu?

Nawet na mnie nie spojrzała.

– Tak, jestem pewna. Mam córkę i męża, którzy nie widzieli mnie prawie pięć lat. Myślisz, że to – wskazała na swoje ciało – mnie powstrzyma?

– W porządku.

Na ciemnej masie kontynentu przed nami pojawiły się światła Ember i limuzyna zaczęła obniżać lot. Kątem oka przyglądałem się Elliott i dostrzegłem narastającą w niej nerwowość. Pocieranie dłoni na kolanach, dolna warga w kącie nowych ust przygryziona zębami. Westchnęła cicho.

– Nie wiedzą, że przylatuję? – zapytała.

– Nie – odpowiedziałem zwięźle. Nie chciałem rozwijać tematu. – Kontrakt dotyczy tylko ciebie i JacSol. Nie ma związku z twoją rodziną.

– Ale umożliwiłeś mi spotkanie z nimi. Dlaczego?

– Uwielbiam rodzinne spotkania.

Utkwiłem wzrok w ciemnej masie wraku lotniskowca w dole. Wylądowaliśmy w ciszy. Automatyczna limuzyna zatoczyła koło, by dopasować się do lokalnych systemów kontroli ruchu. Znaleźliśmy się kilkaset metrów na północ od firmy Elliottów. Przejechaliśmy gładko drogą wzdłuż wybrzeża, pod kolejnymi hologramami Anchany Salomao, i zaparkowaliśmy dokładnie naprzeciw wąskiego frontu. Zepsuty monitor usunięto, a drzwi były zamknięte, ale w przeszklonym biurze na tyłach paliło się światło.

Wyszliśmy z pojazdu i przeszliśmy przez ulicę. Okazało się, że drzwi zamknięto na klucz. Irene Elliott niecierpliwie uderzyła w nie kilka razy otwartą dłoń i ktoś podniósł się ociężale w biurze na tyłach. Po chwili wyszła stamtąd postać, w której rozpoznałem Victora Elliotta. Przechodząc obok foteli i recepcji, podszedł do drzwi. Siwe włosy miał zmierzwiłone, a twarz rozespaną. Obrzucił nas spojrzeniem, w którym brakowało skupienia, typowe spojrzenie infoszczurów zbyt długo grzebiących w sieci. Wspaniale.

– Kto, u diabła... – Umilkł, rozpoznając mnie. – Czego tu, do cholery, chcesz, pasikoniku? I kto to jest?

– Vic? – Głos z nowego gardła Irene Elliott brzmiał, jakby było zduszone. – Vic, to ja.

Przez chwilę wzrok Elliotta skakał między mną i delikatną Azjatką stojącą obok mnie, potem jej słowa uderzyły w niego z siłą ciężarówki. Zachwiał się.

– Irene? – wyszeptał.

– Tak, to jak – odpowiedziała ochryple. Po jej policzkach spływały łzy.

Przez chwilę przyglądali się sobie przez szybę, potem Victor Elliott niezgrabnie zaczął szarpać się z mechanizmem blokującym drzwi i odepchnął je z drogi, a miedzianoskóra kobieta skoczyła w jego ramiona. Zamknęli się w uścisku. Trzymał ją tak, jakby chciał zmiażdżyć delikatne kości nowej powłoki. Bez większego zainteresowania przyjrzałem się

lampom ulicznym stojącym wzdłuż promenady.

W końcu Irene Elliott przypomniła sobie o mnie. Uwolniła się z uścisku męża i odwróciła, ścierając rękawem łzy i mrugając do mnie błyszczącymi oczami.

– Mógłby pan...

– Jasne – odpowiedziałem neutralnie. – Zaczekam w limuzynie. Do zobaczenia rano.

Zauważyłem zdziwiony wzrok Victora Elliotta, gdy żona wepchnęła go do środka, kiwnąłem mu uprzejmie głową i odwróciłem się w stronę zaparkowanej limuzyny i plaży. Drzwi za mną się zatrzasnęły. Pomacałem po kieszeniach i znalazłem paczkę papierosów Ortegi. Przechodząc spacerkiem obok pojazdu w stronę żelaznej barierki, zapaliłem jednego z wymiętych i spłaszczonych papierosów i wciągając dym do płuc, pierwszy raz nie miałem uczucia, że coś zdradzam. O brzeg biła morska piana, tworząc na piachu widmowe linie. Oparłem się na barierce i wsłuchałem w szum łamiących się fal. Zastanawiałem się, dlaczego, choć czeka na mnie tyle nierozwiązanych spraw, czuję się tak spokojny. Ortega nie wróciła. Kadmin wciąż szalał na wolności. Sara nadal była zakładnikiem. Kawahara trzymała mnie za jaja i nadal nie wiedziałem, dlaczego zginął Bancroft.

A mimo wszystko miałem w sobie miejsce na spokój i ciszę.

Bierz, co ci oferują, czasem to musi wystarczyć.

Sięgnąłem wzrokiem za przybój. Ocean przede mną był czarny i tajemniczy, zlewał się gładko z nocą w niewielkiej odległości od brzegu. Trudno było nawet dostrzec potężny kształt przechylonego wraku Free Trade Enforcera. Wyobraziłem sobie Mary Lou Hinchley, jak opada, gwałtownie zderzając się z twardą powierzchnią wody, potem zapada się wolno pod fale, kołysząc się w ich rytm w oczekiwaniu na morskie drapieżniki. Ile czasu tam spędziła, zanim prądy morskie wyniosły jej resztki na brzeg? Jak długo więził ją mrok?

Przypomniłem sobie antyczny teleskop Bancrofta ustawiony na niebo i drobinki światła, na których ludzkość stawiała

pierwsze, niepewne kroki poza system słoneczny. Kruche arki niosące zapisane powłoki milionów pionierów i zamrożone banki embrionów, które kiedyś umożliwią im upowłokowanie na nowych, odległych światach. Oczywiście, jeśli zaowocują obietnice marsjańskich map kosmosu. Jeśli nie, będą dryfować na wieki, ponieważ wszechświat w większości stanowi noc i mroczny ocean.

Unosząc brwi do własnych przemyśleń, rozparłem się na barierce i spojrzałem w górę, na holograficzną twarz nad moją głową. Anchana Salomao miała noc dla siebie. Jej widmowe oblicze spoglądało w dół na promenadę w stałej sekwencji, współczujące, lecz niezaangażowane. Patrząc na tę twarz, nietrudno było zrozumieć, dlaczego Elizabeth Elliott tak bardzo chciała być jak jej idolka. Sam dużo bym dał, by mieć tak pozbawione uczuć oblicze. Przeniosłem wzrok na okna nad firmą Elliotta. Biło od nich światło, a potem dostrzegłem przechodzącą za szybą kobietę. Westchnąłem, rzuciłem niedopałek do kratki ściekowej i schroniłem się w limuzynie. Niech Anchana trzyma straż. Wywołałem losowy kanał na konsoli rozrywkowej i pozwoliłem bezmyślnemu strumieniowi obrazów i dźwięków wprowadzić mnie w stan półsnu. Na zewnątrz pojazdu noc przepływała jak chłodna mgła.

Miałem mgliste wrażenie, że dryfuję coraz dalej od światła domu Elliotta, na otwarty ocean, bez cumowania, i że nic nie oddziela mnie od horyzontu, na którym zbiera się burza...

Obudziło mnie energiczne walenie w okno nad moją głową. Zerwałem się i zobaczyłem stojącą cierpliwie na zewnątrz Trepp. Gestem poprosiła mnie o opuszczenie szyby, potem nachyliła się do mnie z uśmiechem.

– Kawahara miała rację co do ciebie. Spać w samochodzie, żeby dipperka mogła się rznąć. Wydaje ci się, że jesteś księdzem, Kovacs?

– Zamknij się, Trepp – warknąłem zirytowany. – Która godzina? – wychrypiałem.

– Koło piątej. – Jej oczy błysnęły białkami, gdy sprawdzała

wewnętrzny chip. – Piąta szesnaście. Niedługo zrobi się jasno.

Z wysiłkiem wyprostowałem się, czując na języku pozostałości po wypalonym wieczorem papierosie.

– Co tu robisz?

– Pilnuję twojego tyłka. Nie chcemy, żeby Kadmin cię zdjął, zanim sprzedasz Bancroftowi swoją historię, prawda? Hej, czy to wrakersi?

Podążyłem za jej wzrokiem w kierunku konsoli rozrywkowej, która wciąż wyświetlała jakąś relację sportową. Drobne postacie pędziły w przód i w tył na szachownicy przy akompaniamencie ledwie słyszalnego komentara. Ostre zderzenie dwóch zawodników wywołało owadzi szum aplauzu. Musiałem zmniejszyć głośność przed zaśnięciem. Wyłączając teraz konsolę, zauważyłem w odchodzącym mroku, że Trepp miała rację. Noc ustąpiła miejsca łagodnemu, błękitnemu blaskowi wspinającemu się na budynki za nami jak plama wybielacza w ciemności.

– Nie jesteś ich fanem, co? – Trepp kiwnęła głową w stronę ekranu. – Kiedyś też nie byłam, ale jeśli żyje się w Nowym Jorku dostatecznie długo, zwyczaj połyka się bakcyła.

– Trepp, jak, do cholery, masz pilnować mojego tyłka, jeśli wsadzasz tu głowę i oglądasz głupawą stację.

Trepp rzuciła mi urażone spojrzenie i wycofała głowę. Wyszedłem z limuzyny i przeciągnąłem się w chłodnym powietrzu. Nad głową wciąż miałem twarz Anchany Salomao, ale światła u Elliottów były zgaszone.

– Poszli spać dopiero parę godzin temu – wyjaśniła Trepp. – Pomyślałam, że może zechcą ci uciec, więc sprawdziłam tyły.

Spojrzałem na ciemne okna.

– Czemu mieliby mi uciekać? Ona nawet nie zna jeszcze warunków umowy.

– No cóż, większość ludzi robi się nerwowa, kiedy proponuje im się udział w aferze, za którą grozi kasacja.

– Nie ta kobieta – stwierdziłem i zacząłem się zastanawiać, na ile sam sobie wierzyłem.

Trepp wzruszyła ramionami.

– Jak chcesz. Choć nadal uważam, że jesteś szalony. Kawahara ma dipperów, którzy zrobiliby coś takiego, stojąc na głowie.

Ponieważ odrzucając ofertę pomocy technicznej ze strony Kawahary, kierowałem się niemal wyłącznie instynktem, nie odpowiedziałem. Kamienna pewność moich objawień o Bancrofcie, Kawaharze i Rezolucji 653 skruszała podczas wczorajszych przygotowań do akcji, a satysfakcja znikła wraz z odejściem Ortegi. Wszystko, czym dysponowałem w tej chwili, to pragnienie jak najszybszego zakończenia misji, zimny świt i dźwięk fal na brzegu. Smak Ortegi w moich ustach i ciepło jej długonogiego ciała zwiniętego przy mnie były tropikalną wyspą w chłodzie poranka, niknącą w miarę jak przytomniałem.

– Myślisz, że jest tu jakieś miejsce, gdzie można o tej porze dostać kawę? – zapytałem.

– W mieście tej wielkości? – Trepp wciągnęła powietrze przez zęby. – Wątpię. Ale po drodze widziałam kilka automatów. Jeden z nich pewnie robi kawę.

– Kawa z automatu? – Skrzywiłem się.

– Hej, co ty jesteś, pieprzony koneser? Mieszkasz w hotelu, który jest jednym wielkim cholernym automatem. Jezu, Kovacs, to era maszyn. Nikt ci o tym nie powiedział?

– Masz rację. Daleko to?

– Kilka kilometrów. Weźmiemy mój samochód, wtedy nawet jeśli Mała Panienka się obudzi, nie będzie w panice wyglądać przez okno.

– Dobra.

Poszedłem za Trepp do czarnego pojazdu z niskim zawieszeniem, wyglądał na niewidzialny dla radarów. Wcisnąłem się do przytulnego wnętrza, pachnącego delikatnie środkami dezynfekcyjnymi.

– Twój?

– Nie, wynajęty. Wzięłam go, kiedy wróciliśmy z Europy. Dlaczego pytasz?

Pokręciłem głową.

– Nieważne.

Trepp ruszyła. Przejechaliśmy cicho wzdłuż promenady. Wyglądałem przez okno od strony oceanu i zmagalem się z nieokreślonym uczuciem frustracji. Kilka godzin kiepskiego snu w limuzynie sprawiło, że nie mogłem usiedzieć w miejscu. Wszystko w tej sytuacji nagle znów mnie irytowało. Złościł mnie fakt, że nie potrafię znaleźć rozwiązania problemu śmierci Bancrofta i że wróciłem do palenia. Miałem wrażenie, że to będzie zły dzień, choć nawet jeszcze nie wstało słońce.

– Myślałeś co zrobisz, kiedy będzie po wszystkim?

– Nie – odpowiedziałem ponuro.

Znaleźliśmy automaty na końcu miasta, przy uliczce schodzącej w dół do brzegu. Najwyraźniej zostały zainstalowane z myślą o plażowiczach, ale rozsypujące się budki, w których je umieszczono, sugerowały, że interesy nie szły lepiej niż w firmie Elliotta. Trepp zaparkowała samochód przodem do wybrzeża i poszła po kawę. Przyglądałem się przez okno, jak kopie i szturcha maszynę. W końcu wydobyła z niej dwa plastikowe kubki. Przyniosła je z powrotem do samochodu i podała mi jeden.

– Chcesz ją wypić tutaj?

– Tak, czemu nie?

Zerwaliśmy osłony z kubków i przysłuchiwalismy się, jak syczą. Mechanizm nie grzał zbyt mocno, ale kawa smakowała przyzwoicie i zdecydowanie wywołała pożądany efekt. Czułem, jak zmęczenie ustępuje. Piliśmy powoli, patrząc przez szybę na ocean, zanurzeni w całkowitej ciszy.

– Kiedyś zgłosiłam się na Emisariusza – powiedziała nagle Trepp.

Rzuciłem jej zaciekawione spojrzenie.

– Serio?

– Tak, dawno temu. Odrzucili mnie z powodu profilu psychologicznego. Powiedzieli, że mam zbyt małą skłonność do lojalności.

– No tak. – Prychnąłem. – Nigdy nie byłeś w wojsku, prawda?

– A jak myślisz? – Spojrzała na mnie, jakbym zasugerował

właśnie, że molestowała seksualnie dzieci.

Zachichotałem.

– Tak sądziłem. Widzisz, rzecz w tym, że szukają ludzi o skłonnościach psychopatycznych, dlatego właśnie większość rekrutów biorą z wojska.

Trepp wyglądała na zbitą z tropu.

– Ja *mam* skłonności psychopatyczne.

– Jasne, nie wątpię, ale chodzi o to, że liczba cywili z tymi skłonnościami *oraz* poczuciem przynależności do grupy jest dość ograniczona. To przeciwstawne wartości. Szanse, że naturalnie rozwiną się w jednej osobie, są bliskie zeru. Tymczasem szkolenie wojskowe w jakimś stopniu narusza naturalny porządek. Łamie wszelkie bariery zachowań psychopatycznych, równocześnie budując fanatyczną lojalność wobec grupy. Transakcja wiązana. Żołnierze stanowią idealny materiał na Emisariuszy.

– Kiedy cię słucham, dochodzę do wniosku, że miałam farta.

Przez kilka sekund wpatrywałem się w horyzont, wspominając.

– Właśnie. – Dopilem resztki kawy. – Dobra, wracajmy.

Gdy jechaliśmy w milczeniu wzdłuż promenady, coś zmieniło panującą między nami ciszę. Coś, czego podobnie jak stopniowo narastającego blasku świtu na zewnątrz samochodu nie dawało się zignorować, ale i uchwycić.

Kiedy dojechaliśmy na miejsce, Irene Elliott czekała samotnie, oparta o bok limuzyny, patrząc w kierunku oceanu. Nigdzie nie było widać jej męża.

– Lepiej tu zostać – powiedziałem do Trepp, wysiadając. – Dzięki za kawę.

– Jasne.

– Pewnie będę widział cię we wstecznym ekranie przez jakiś czas, co?

– Wątpię, żebyś w ogóle mnie zauważył, Kovacs – stwierdziła radośnie. – Jestem w tym lepsza od ciebie.

– To się zobaczy.

– Jasne, przekonamy się. Do zobaczenia.

Gdy wychodziłem, podniosła głos:

– I nie spieprz tej akcji! Nie chcielibyśmy, żeby do tego doszło.

Wycofała samochód, a potem poderwała go w powietrze pokazowym skokiem, rozrywając ciszę wyciem turbin. Ledwie wzniosła się nad nasze głowy, przechyliła pojazd na burtę i odleciała nad ocean.

– Kto to był? – Głos Irene Elliott brzmiał jak głos kogoś, kto spędził ostatnie godziny, płacząc.

– Wsparcie – powiedziałem wymijająco, przyglądając się pojazdowi Trepp lecącemu nad wrakiem lotniskowca. – Pracuje dla tych samych ludzi. Nie martw się, to przyjaciel.

– Może twój – rzuciła gorzko Elliott. – Mój nie. Podobnie jak nikt z tych, z którymi pracujesz.

Spojrzałem na nią, potem znów na ocean.

– W porządku.

Cisza, jeśli nie liczyć szumu fal. Elliott przesunęła się, wciąż opierając o polerowaną blachę limuzyny.

– Wiesz, co się stało z moją córką – powiedziała grobowym tonem. – Cały czas o tym wiedziałeś.

Kiwnąłem głową.

– I w ogóle cię to nie obchodzi, prawda? Pracujesz dla człowieka, który użył jej jak kawałka papieru toaletowego.

– Wielu mężczyzn jej używało – powiedziałem brutalnie. – Pozwalała się używać. A twój mąż na pewno powiedział ci także, dlaczego to robiła.

Usłyszałem, jak Irene Elliott powstrzymuje oddech, i skupiłem wzrok na horyzoncie, gdzie samochód Trepp niknął w mroku przedświt.

– Zrobiła to z tego samego powodu – ciągnąłem – dla którego próbowała szantażować mojego pracodawcę i skłonić do współpracy szczególnie nieprzyjemnego człowieka o nazwisku Jerry Sedaka. To właśnie on kazał ją zabić. Zrobiła to dla ciebie, Irene.

– Sukinsyn. – Zaczęła cicho płakać.

Nadal patrzyłem w ocean.

– Już nie pracuję dla Bancrofta – powiedziałem ostrożnie. – Zmieniłem strony. Daję ci szansę uderzenia go tam, gdzie go zaboli. Będiesz mogła wywołać w nim poczucie winy, którego nigdy nie odczuwał, pieprząc twoją córkę. A poza tym możecie teraz z mężem zebrać dość pieniędzy, by upowłokować Elizabeth. A przynajmniej wyciągnąć ją z półki i wynająć jej miejsce w wirtualnym apartamencie czy czymś takim. Wyszłaś z łodu i możesz coś zrobić. Masz jakieś opcje. To ci oferuję. Wprowadzam cię z powrotem do gry. Nie odrzucaj tej szansy.

Usłyszałem, jak walczy ze łzami. Czekałem.

– Jesteś z siebie cholernie zadowolony, co? – rzuciła w końcu. – Myślisz, że robisz mi wielką przysługę, ale nic za darmo. Wyciągnąłeś mnie z przechowalni, ale wszystko ma swoją cenę, nie?

– Oczywiście, że tak – odpowiedziałem cicho.

– Zrobię, co zechcesz. Zrobię tę akcję z wirusem. Złamię dla ciebie prawo albo wrócę do przechowalni. A jeśli pisnę choć słowo albo nawalę, mam więcej do stracenia niż ty. Na tym polega umowa, prawda? Nic za darmo.

Nadal wpatrywałem się w ocean.

– Na tym polega umowa – potwierdziłem.

Znów cisza. Kątem oka dostrzegłem, że przygląda się swojej nowej powłoce, jakby czymś ją oblała.

– Wiesz, jak się czuję? – spytała.

– Nie.

– Spałam z własnym mężem i czuję się tak, jakby był niewierny wobec mnie. – Zdławiony śmiech. Gniewnie potarła oczy. – Czuję się, jakbym to *ja* go zdradziła. Coś było nie tak. Wiesz, kiedy kładli mnie do węgla, zostawiłam za sobą ciało i rodzinę. Teraz nie mam ani jednego, ani drugiego.

Znów popatrzyła na siebie. Uniosła dłonie i obróciła je, rozkładając palce.

– Nie mam pojęcia, co czuję. Nie wiem nawet, co czuć.

Mogłem powiedzieć mnóstwo różnych rzeczy. Wiele napisano

i dyskutowano na ten temat. Wyświechtane podsumowania problemów związanych z nowym upowłokowaniem. *Jak sprawić, by twój partner znów cię pokochał w każdym ciele.* Oklepane, niekończące się traktaty psychologiczne. *Obserwacje na temat wtórnej traumy w cywilnym upowłokowaniu.* Nawet uświęcone podręczniki pieprzonego Korpusu Emisariuszy oferowały na ten temat jakieś komunały. Cytaty, oświecone opinie, bełkot religijny i bełkot świrów. Mogłem ją tym wszystkim zarzucić. Mogłem jej powiedzieć, że to normalna reakcja nieuwarunkowanego człowieka i że z czasem to minie. Że istniały dyscypliny psychodynamiczne uczące, jak sobie z tym radzić. Że przeżyły to już miliony ludzi. Mogłem jej nawet powiedzieć, że pilnował jej Bóg, któremu oddawała cześć. Mogłem kłamać, mogłem przekonywać. Ale to wszystko i tak nie miałoby najmniejszego znaczenia, ponieważ jej rzeczywistością był *ból*, którego w tej chwili nie potrafiłem od niej odsunąć.

Milczałem.

Robiło się jasno, coraz wyraźniej rysowały się witryny zamkniętych sklepów za nami. Zerknąłem na okna budynku z firmą Elliotta.

– A Victor? – zapytałem.

– Śpi. – Otarła twarz ramieniem, wciągając łzy przez nos jak kiepską amfetaminę. – Mówisz, że zaboli Bancrofta?

– Owszem. W bardzo subtelny sposób, ale tak.

– Akcja instalacji wirusa w SI – powiedziała wolno. – Za co grozi kasacja. Dosrać znanemu Matowi. Wiesz, jakie to ryzyko? Wiesz, o co mnie prosisz?

Odwróciłem się, by spojrzeć jej w oczy.

– Tak. Wiem.

Zacisnęła wargi.

– Dobrze. Więc zrobmy to.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Przygotowanie akcji zajęło niecałe trzy dni. Irene Elliott okazała się profesjonalistką.

Wyjaśniłem jej wszystko w limuzynie w drodze powrotnej do Bay City. Z początku wciąż płakała, ale w miarę jak podawałem jej szczegóły, zaskoczyła, kiwając głową z aprobatą, przerywała mi i zadawała pytania do kilku punktów, których nie wyjaśniłem dość jasno. Pokazałem jej listę sprzętu, którą dostałem od Reileen Kawahary – zaakceptowała jakieś dwie trzecie pozycji. Według niej, reszta stanowiła korporacyjne wodolejstwo i doradcy Kawahary gównem wiedzieli.

Zanim dolecieliśmy na miejsce, dała się wciągnąć. Widziałem, jak w umyśle już przygotowuje się do akcji. Zapomniane łzy wyschły na twarzy, wyrażającej teraz pragnienie zemsty i skupienie, napędzane nienawiścią wobec człowieka, który wykorzystał jej córkę.

Kupiłem Irene Elliott.

* * *

Wynająłem apartament w Oakland, płacąc z konta JacSolu. Zostawiłem tam Elliott, a sam wróciłem do hotelu, żeby trochę odespać ostatnie godziny. Szło mi średnio, więc już sześć godzin później wróciłem, zastając Elliott buszującą po apartamencie.

Zadzwoiłem do ludzi, których nazwiska i numery dostałem od Kawahary, i zamówiłem rzeczy wybrane przez Irene. Skrzynki przybyły w ciągu kilku godzin. Elliott rozłożyła sprzęt na podłodze.

Razem przejrzelśmy dostarczoną przez Ortegę listę

wirtualnych forów i skróciliśmy ją do siedmiu pozycji.

Ortega nie pojawiła się ani nie zadzwoniła do Hendriksa.

Po południu drugiego dnia moja współpracowniczka uruchomiła podstawowe moduły i przejrzała opcje wszystkich pozycji z listy. Skróciła ją do trzech i złożyła zamówienie na jeszcze kilka rzeczy. Wyrafinowane oprogramowanie do dużego skoku.

Wczesnym wieczorem na liście zostały dwie pozycje, a Elliott pisała wstępne procedury infiltracji dla obu. Za każdym razem, gdy natykała się na luki, wycofywaliśmy się i porównywaliśmy zalety możliwych opcji.

Do północy wybraliśmy cel. Irene poszła do łóżka i przespala pełne osiem godzin. Wróciłem do Hendriksa i rozmyślałem.

(Ortega wciąż nie dała znaku życia).

Kupiłem śniadanie na ulicy i zabrałem je do apartamentu. Żadne z nas nie miało ochoty na jedzenie.

Dziesiąta piętnaście czasu lokalnego. Irene Elliott ostatni raz skalibrowała swój sprzęt.

Zrobiliśmy to.

Dwadzieścia siedem i pół minuty.

Bułka z masłem, powiedziała.

Zostawiłem ją przy rozmontowywaniu sprzętu i poleciałem na spotkanie z Bancroftem.

Rozdział trzydziesty drugi

– Wyjątkowo trudno mi w to uwierzyć – rzucił ostro Bancroft.
– Jest pan całkiem pewien, że udałem się do tego lokalu?

Na trawniku poniżej balkonu Suntouch House Miriam Bancroft zajmowała się budową potężnego samolotu z papieru, według instrukcji z ruchomej holoprojekcji. Biel skrzydeł była tak oślepiająca, że od patrzenia wprost na nie bolały oczy. Gdy oparłem się na barierce balkonu, osłoniła oczy przed słońcem i spojrzała na mnie.

– Sklep monitorowały kamery systemu ochrony – odpowiedziałem, udając brak zainteresowania. – System jest w pełni zautomatyzowany i nadal działa. Mają zdjęcia, jak podchodzi pan wprost do drzwi. Zna pan tę nazwę, prawda?

– Jack It Up? Oczywiście, słyszałem o nim, ale nigdy tak naprawdę *nie korzystałem* z usług tego miejsca.

Obejrzałem się, nie puszczając barierki.

– Doprawdy? Czyżby miał pan coś przeciw wirtualnemu seksowi? Jest pan purystą rzeczywistości?

– Nie. – W jego głosie słychać było uśmiech. – Nie mam problemu z wirtualnymi formatami i jak mi się wydaje, powiedziałem już panu, że zdarzało mi się ich używać. Ale to miejsce, jak by to ująć, raczej nie mieści się w wyższej klasie usług.

– Owszem – zgodziłem się. – A jak zaklasyfikowałby pan Dyskretne Pokoje u Jerry’ego? Elegancki burdel?

– Raczej nie.

– Jednak nie powstrzymało to pana przed kabinowymi zabawami z Elizabeth Elliott, prawda? Czy może opuścili się ostatnio, ponieważ...

– Dobra. – Uśmiech w jego głosie zmienił się w lekką irytację. –

Rozumiem, o co panu chodzi. Proszę nie napierać.

Przestałem przyglądać się Miriam Bancroft i wróciłem do swojego fotela. Mój koktajl z lodem nadal stał na rozdzielającym nas stoliku. Podniosłem go.

– Cieszę się, że pan rozumie – stwierdziłem, mieszając drinka – ponieważ zdobycie tych informacji sporo mnie kosztowało. W trakcie dochodzenia zostałem porwany, poddany torturom, omal mnie nie zabito. Zginęła za to kobieta o imieniu Louise, niewiele starsza od pańskiej cennej córeczki Naomi, bo weszła komuś w drogę. Więc jeśli nie podobają się panu moje wnioski, może się pan walić.

Uniosłem nad stołem szklankę w jego stronę.

– Niech mi pan oszczędzi tego przedstawienia, Kovacs, i siedzi spokojnie. Nie odrzucam tego, co pan mówi, po prostu kwestionuję.

Usiadłem wygodniej i wyciągnąłem w jego stronę palec wskazujący.

– Nie, pan się wykręca. Nie chce się przyznać do tej części własnej osobowości, którą uważa pan za odrażającą. Wolałby pan nie wiedzieć, jakiego oprogramowania używał tamtej nocy w Jack It Up na wypadek, gdyby okazało się bardziej odrażające niż dotąd pan sobie wyobrażał. Jest pan zmuszony spojrzeć prawdzie w oczy i przyznać, że chciałby pan dochodzić w twarz swojej żony, ale nawet brzydzi się pan taką myślą.

– Nie musimy wracać do tamtej rozmowy – stwierdził sztywno Bancroft. Wyprostował palce. – Przypuszczam, że zdaje pan sobie sprawę, że ktoś, kto ma dostęp do moich zdjęć, z łatwością mógłby sfałszować to nagranie.

– Tak, wiem o tym. – Dokładnie czterdzieści osiem godzin wcześniej przyglądałem się, jak robi to Irene Elliott. „Z łatwością” nie było dobrym określeniem. Po akcji z wirusem przypominało to trochę sytuację, jakby prosić koncertową tancerkę Totalnego Teatru Ciała o bis z ćwiczeniami rozciągającymi. Nawet nie zdążyłem wypalić papierosa, zanim skończyła. – Ale czemu ktoś miałby to robić? Oczywiście, ktoś, kto chciałby mnie zmylić,

zgoda, ale najpierw musielibyśmy założyć, że przewidywałby moją wizytę w okolicach starożytnego supermarketu w Richmond. Panie Bancroft, niech pan będzie poważny. Sam fakt, że w ogóle tam trafiłem, świadczy o autentyczności tych zdjęć. Zresztą, nagranie nie stanowi podstawy do żadnych oskarżeń. Potwierdza tylko to, czego wcześniej się dowiedziałem, a mianowicie, że zabił się pan, aby zapobiec zakażeniu wirusowemu zdalnej kopii.

– To zdumiewający skok po zaledwie sześciu dniach śledztwa.

– O to proszę mieć pretensje do Ortegi – rzuciłem swobodnie, choć zaczynała mnie niepokoić jego podejrzliwość wobec nieprzyjemnych faktów. Nie zdawałem sobie sprawy, że będę musiał go aż tak przekonywać. – To ona skierowała mnie na właściwy tor. Od początku nie chciała kupić teorii morderstwa. Wciąż mi powtarzała, że jest pan zbyt twardym i sprytnym sukinsynem, żeby pozwolić się komuś zabić. Koniec cytatu. A to przypomniało mi rozmowę, którą odbyliśmy tu przed tygodniem. Powiedział pan, że nie należy do ludzi, którzy targnęliby się na własne życie, a nawet gdyby, nie spartaczyłby pan tego w taki sposób. *Gdybym chciał się zabić, nie rozmawiałby pan teraz ze mną.* Emisariusze mają idealną pamięć, dokładnie to pan powiedział.

Umilkłem i odstawiłem szklanę, szukając sposobu, by gładko przejść do fałszu, kryjącego się zawsze tuż pod powierzchnią prawdy.

– Przez cały ten czas pracowałem, opierając się na założeniu, że nie pociągnął pan za spust, ponieważ nie należy pan do ludzi, którzy popełniliby samobójstwo. Z powodu tego założenia ignorowałem przeczące tej teorii dowody. Supergęstą sieć ochrony, brak jakichkolwiek śladów obcego, zamek pańskiego sejfu otwierany odciskiem dłoni.

– A Kadmin? I Ortega.

– Tak, to nie pomagało. Ale wyjaśniłem już udział Ortegi, a Kadmin, cóż, do niego dojdę za chwilę. Ważne jest to, że dopóki traktowałem pańską śmierć jak morderstwo, nie mogłem

posunąć się ani o krok do przodu. Potem pomyślałem, że wydarzenia mogły potoczyć się inaczej i że spalił pan swój stos nie po to, by umrzeć, ale z jakiegoś innego powodu. Kiedy już raz pozwoliłem sobie na takie podejrzenie, reszta poszła gładko. Z jakich powodów mógłby pan chcieć to zrobić? Nie jest łatwo przystawić sobie pistolet do głowy, nawet jeśli chce się zginąć. To wymaga demonicznej wręcz siły woli. Nie ma znaczenia, że podświadomie i tak pan wiedział, że zostanie powtórnie upowłokowiony z nieuszkodzonym umysłem. Liczyła się chwila, w której dotarła do pana myśl, że ktoś, kim pan był, zginie. Założyłem więc, że by pociągnąć za spust, musiał pan być zdesperowany. – Uśmiechnąłem się lekko. – Groziło panu jakieś śmiertelne niebezpieczeństwo. Opierając się na tym założeniu, dość szybko wyklarował się scenariusz z wirusem. Wtedy zostało mi już tylko wyjaśnić, jak i gdzie się pan zaraził.

Słyszając te słowa, Bancroft poruszył się niespokojnie. Ogarnęła mnie fala ulgi. Wirus! Nawet Maci bali się niewidocznego niszczyciela, bo nawet oni, ze swoimi zdalnymi kopiami i klonami, nie byli odporni. Atak wirusowy! Uszkodzenie stosu! Bancroft został wytrącony z równowagi.

– Cóż – ciągnąłem. – Praktycznie nie można wprowadzić struktury tak skomplikowanej jak wirus do niepodłączonego celu, a to oznaczało, że sam pan musiał gdzieś się podpiąć. Pomyślałem o instalacjach PsychaSecu, ale te są zbyt dobrze chronione. Nawet w uśpieniu, wirus uruchomiłby wszystkie alarmy w PsychaSecu, kiedy przygotowywali pana do transmisji. Musiało to nastąpić w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, ponieważ pańska zdalna kopia nie była zakażona. Z rozmowy z pana żoną wiedziałem, że najprawdopodobniej po powrocie z Osaki udał się pan do miasta, a z pańskich słów wynikało, że mógł pan odwiedzić jakiś wirtualny burdel. Potem musiałem się już tylko pokręcić po okolicy. Próbowałem w kilku różnych miejscach, zanim trafiłem do Jack It Up, a kiedy do nich zadzwoniłem, syrena alarmu wirusowego niemal rozwalila mi telefon. Na tym polega problem z SI. Same piszą swoje

obwody bezpieczeństwa, które przez to nie są nic warte. Jack It Up zabezpieczał się tak szczelnie, że policja będzie potrzebowała kilku miesięcy, by przebić się do środka i sprawdzić, co zostało z procesorów rdzenia.

Poczułem ukłucie winy na myśl o SI rzucającej się jak człowiek w kadzi z kwasem, w miarę jak jego systemy rozpuszczały się w nicość, gdy świadomość zjeżdża w dół tunelem, a przed sobą ma się już tylko perspektywę zupełnej pustki. Uczucie szybko minęło. Wybraliśmy Jack It Up z wielu powodów: mieścił się w zadaszanej okolicy, co oznaczało brak zdjęć satelitarnych mogących podać w wątpliwość zdjęcia umieszczone w systemie nadzoru sklepu, działał w środowisku przestępczym, więc nikt nie będzie miał problemów z zaakceptowaniem teorii, że w jakiś sposób uwolniono w nim nielegalnego wirusa, ale przede wszystkim udostępniał programy tak niesmaczne, że było bardzo mało prawdopodobne, by policja miała ochotę uważnie zbadać wrak maszyny. Pod tą pozycją na policyjnej liście Ortegi wymieniono przynajmniej kilkanaście przestępstw seksualnych, które Wydział Uszkodzeń Organicznych wiązał z pakietami programów z Jack It Up. Wyobrażałem sobie obrzydzenie malujące się na twarzy Ortegi czytającej listę programów i wystudiowaną obojętność, z jaką prowadziłyby sprawę.

Brakowało mi jej.

– Co z Kadminem? – zapytał Bancroft.

– Trudno o pewność, ale założę się, że ktokolwiek zaraził Jack It Up, prawdopodobnie wynajął Kadmina, żeby mnie uciszyć i nie dopuścić do ujawnienia całej historii. W końcu, gdybym nie zaczął się kręcić po okolicy, ile jeszcze potrwałoby, zanim ktokolwiek uświadomiłby sobie, że Jack It Up jest spalony? Jakoś nie wyobrażam sobie żadnego z potencjalnych klientów dzwoniącego na policję, bo odmówiono mu wstępu, prawda?

Bancroft rzucił mi twarde spojrzenie, ale czułem, że bitwa jest już niemal wygrana. Szala przechylała się na moją stronę. Bancroft kupi moją historię.

– Twierdzi pan, że wirusa wprowadzono tam celowo? Że ktoś

zamordował tę maszynę?

Wzruszyłem ramionami.

– Na to wygląda. Jack It Up działał na marginesie lokalnego prawa. Sporo jego oprogramowania przy takiej czy innej okazji zatrzymywał Wydział Przestępstw Transmisji, co sugeruje, że miał regularne kontakty ze światem przestępczym. Możliwe, że dorobił się jakichś wrogów. Na Świecie Harlana znane są przypadki, że yakuza przeprowadzała egzekucje wirusowe na maszynach, które ją zdradziły. Nie wiem, czy coś takiego robi się i tutaj albo kto dysponuje odpowiednimi zasobami, żeby to przeprowadzić. Ale wiem, że ktokolwiek wynajął Kadmina, użył SI, by wyciągnąć go z policyjnej przechowalni. Jeśli pan chce, może pan to sprawdzić na Fell Street.

Bancroft zamilkł. Przyglądałem mu się przez chwilę, widząc, jak coraz bardziej przekonuje się do mojej teorii. Prawie widziałem to, co on. Siedzi przygarbiony w autotaksówce, uginając się pod ciężarem ohydneho poczucia winy z powodu tego, co robił w Jack It Up, z narastającym dźwiękiem syren alarmu wirusowego w głowie. Zakażony! Potyka się w ciemności, idąc do Suntouch House i zastanawiając się nad jedyną operacją, jaka mogła go uratować. Cemu zostawił taksówkę tak daleko od domu? Cemu nie obudził nikogo z prośbą o pomoc? Już nie musiałem odpowiadać za niego na te pytania. Bancroft wierzył. Jego wyrzuty sumienia i obrzydzenie, jakie czuł do siebie, *zmusiły go* do tego, by uwierzył. Za chwilę znajdzie własne odpowiedzi, potwierdzające makabryczne wizje w jego głowie.

A do czasu gdy Przestępstwa Transmisji wytną bezpieczne przejście do procesorów rdzeniowych Jack It Up, Rawling 4851 zniszczy każdy strzępek spójnego intelektu, jakim kiedykolwiek dysponowała maszyna. Nie zostanie nic, czym można by podważyć starannie przygotowane kłamstwa, które stworzyłem dla Kawahary.

Wstałem i wróciłem na balkon, zastanawiając się, czy powinienem pozwolić sobie na papierosa. Przez ostatnie kilka dni ciężko walczyłem, blokując pragnienie. Przyglądanie się

pracy Irene Elliott szarpało mi nerwy. Zmusiłem się do puszczenia paczki, którą znalazłem w kieszeni na piersi, i zapatrzyłem się w Miriam Bancroft, która prawie skończyła pracę nad samolotem. Kiedy spojrzała w górę, odwróciłem głowę, omiotłem wzrokiem balkon. Dostrzegłem teleskop Bancrofta, wciąż skierowany pod ostrym kątem w górę. Zwykła ciekawość sprawiła, że nachyliłem się, by spojrzeć na cyfry kąta nachylenia. Znowu dostrzegłem odcisnięte w kurzu ślady palców.

Kurz?

Przypomniałem sobie aroganckie słowa Bancrofta. *Pasjonował mnie w czasach, gdy jeszcze warto było wpatrywać się w gwiazdy. Nie może pan pamiętać tego uczucia. Ostatni raz patrzyłem przez te soczewki prawie dwa wieki temu.*

Wpatrywałem się w ślady palców, zahipnotyzowany własnymi myślami. Ktoś patrzył przez teleskop mniej niż dwieście lat temu, ale nie zajmował się tym zbyt długo. Sądząc po nieznaczących wgłębieniach w kurzu, wyglądało na to, że klawiatura do programowania pozycji została użyta tylko raz. Kierowany impulsem, podszedłem do teleskopu i spojrzałem wzdłuż jego tubusu, w stronę oceanu, gdzie widoczność rozmywała się w delikatnej mgiełce. Przy takim ustawieniu można było dostrzec wszystko, co unosiło się kilka kilometrów nad wodą. Nachyliłem się do okularu. W centrum pola widzenia pojawiła się szara drobinka, rozmywając ostrość, w miarę jak moje oko walczyło z otaczającym ją bezmiarem błękitu. Uniosłem głowę i zerknąłem na panel sterujący. Znalazłem na nim klawisz maksymalnego powiększenia, wcisnąłem go niecierpliwie. Kiedy znów zajrzałem w okular, szary pyłek wyraźnie powiększył się, wypełniając większość pola widzenia. Wzięłem głęboki oddech, czując, że chyba jednak będę potrzebował papierosa.

Statek powietrzny wisiał tam jak monstrualny rekin. Musiał mieć kilkaset metrów długości. Wystające elementy wzdłuż dolnej części kadłuba były prawdopodobnie lądowiskami. Wiedziałem, na co patrzę, na długo zanim neurochem Rykera umożliwił mi odczytanie błyszczących w słońcu, wielkich liter

układających się na boku w napis: głowa w chmurach.

Odsunąłem się od teleskopu. W czasie gdy moje oczy wracały do normalnego trybu, znów zobaczyłem Miriam Bancroft. Stała między częściami swojego samolotu, wpatrując się we mnie. Drgnąłem, gdy nasze spojrzenia się spotkały. Opuszczając dłoń na panel kontrolny teleskopu, zrobiłem to, co Bancroft powinien był zrobić, zanim odstrzelił sobie głowę. Wcisnąłem przycisk kasowania pamięci, wyłączając tym samym wyświetlane przez siedem ostatnich tygodni cyfry utrzymujące w polu widzenia statek powietrzny.

W swoim życiu wielokrotnie zdarzało mi się czuć jak głupiec, ale nigdy jeszcze przeświadczenie to nie było tak intensywne jak teraz. Wskazówka pierwszej klasy czekała w soczewkach, by ktokolwiek na nią spojrzał. Policja nie zauważyła jej z powodu pośpiechu, braku zainteresowania i wiedzy, a Bancroft nie zwrócił na nią uwagi, ponieważ teleskop stanowił tak integralną część jego świata, że nie był wart drugiego spojrzenia, ale ja nie miałem takich wymówek. Stałem w tym miejscu przed tygodniem i widziałem dwa zderzające się ze sobą, sprzeczne kawałki rzeczywistości. Bancroft stwierdził, że nie używał teleskopu od stuleci niemal w tej samej chwili, gdy zauważyłem ślady palców odcisnięte w kurzu. A Miriam Bancroft godzinę później powiedziała, że *podczas gdy Laurens wbijał wzrok w gwiazdy, niektórzy z nas patrzyli pod nogi*. Pomyślałem wtedy o teleskopie, mój umysł zbuntował się przeciw ociążałości wywołanej transferem i próbował powiedzieć mi, co przeoczyłem. Zignorowałem to, bo na nowej planecie i w nowym ciele wciąż czułem się wytrącony z równowagi. Transfer pobrał swój haracz.

Miriam Bancroft wciąż mi się przyglądała. Odsunąłem się od teleskopu, wygładziłem rysy twarzy i wróciłem na fotel. Zaabsorbowany obrazami, które wywołałem w jego umyśle, Bancroft chyba w ogóle nie zauważył, że gdzieś odchodziłem.

Teraz jednak mój umysł włączył dopalanie, pędząc wzdłuż tras otwartych listą Ortegi i T-shirtem z napisem o Rezolucji 653.

Nagle zniknęła gdzieś cicha rezygnacja, którą czułem dwa dni temu w Ember, i niecierpliwość, by jak najszybciej sprzedać Bancroftowi kłamstwa i wydostać Sarę. Wszystkie wątki splatały się w Głowie w Chmurach, nawet sprawa Bancrofta. Niemal oczywiste stało się, że był tam w noc swojej śmierci. Cokolwiek tam zaszło, było powodem, dla którego kilka godzin później zabił się tu, w Suntouch House. Było też kluczem do rozwiązania zagadki, którą Reileen Kawahara tak desperacko starała się ukryć.

A to znaczyło, że będę musiał się tam udać osobiście.

Chwyciłem swoją szklankę i wlałem w siebie jej zawartość, nie czując nawet smaku drinka. Dźwięki musiały wyrwać Bancrofta z zamyślenia. Uniósł wzrok, jakby zdziwiony, że wciąż tu jestem.

– Proszę mi wybaczyć, panie Kovacs. Dużo pan na mnie rzucił. Przy wszystkich scenariuszach, które brałem pod uwagę, tego nigdy sobie nie wyobrażałem, choć jest tak prosty. Tak oczywisty. – W jego głosie brzmiało wyraźne niezadowolenie z samego siebie. – Prawdę mówiąc, nie potrzebowałem detektywa Emisariusza, wystarczyłoby mi lustro, w które mógłbym popatrzeć.

Odstawiłem szklankę i wstałem.

– Wychodzi pan?

– Chyba że ma pan jeszcze jakieś pytania. Osobiście sądzę, że potrzebuje pan trochę czasu. Będę w pobliżu. Może mnie pan złapać w Hendriksie.

Gdy przechodziłem przez główny hol, znalazłem się twarzą w twarz z Miriam Bancroft. Miała na sobie ten sam kombinezon, co w ogrodzie. W jednej ręce trzymała okratowaną doniczkę, wzniesioną jak lampa w deszczową noc. Z kratownicy zwisały długie nici męczennicy.

– Czy... – zaczęła.

Podszedłem bliżej, wkraczając w zasięg rośliny.

– Skończyłem – oznajmiłem. – Doprowadziłem to na tyle daleko, na ile byłem w stanie. Pani mąż dostał odpowiedź, choć nie jest prawdziwa. Mam nadzieję, że satysfakcjonuje to panią

tak samo, jak Reileen Kawaharę.

Na dźwięk tego nazwiska mimowolnie otworzyła usta. Była to jedyna reakcja, jaka przebiła się przez jej samokontrolę, ale i tak dostałem potrzebne mi potwierdzenie. Poczułem, jak gdzieś w głębi mnie, w mrocznych zakamarkach gniewu, rodzi się potrzeba okrucieństwa.

– Nigdy nie uważałem Reileen za dobrą zdobycz – rzuciłem – ale może podobieństwa się przyciągają. Mam nadzieję, że jest lepsza między nogami niż na korcie tenisowym.

Twarz Miriam Bancroft zbielelała. Przygotowałem się na policzek. Zamiast tego poczęstowała mnie wysiłonym uśmiechem.

– Myli się pan, panie Kovacs – stwierdziła.

– Tak, często mi się to zdarza. – Ominąłem ją. – Pani wybaczy. Przeszedłem przez hol, nie odwracając się ani razu.

Rozdział trzydziesty trzeci

Budynek przypominał skorupę, potężny, pusty magazyn z identycznymi, łukowatymi oknami na każdej ze ścian i ustawionymi co dziesięć metrów białymi słupami nośnymi. Sufit był szarobury, a jego nieosłonięte płyty wspierały się na kratownicy z solidnych wsporników z żelazospieku. Podłogę stanowiła warstwa idealnie wylanego betonu. Przez okna wpadało ostre światło, którego nie łagodziły dryfujące drobinki kurzu. Powietrze było świeże i chłodne.

Mniej więcej w środku budynku stał prosty stalowy stół i dwa wygodne krzesła, jakby przygotowane na partię szachów. Na jednym z nich siedział wysoki mężczyzna z opaloną, przystoją twarzą z salonów. Wybijał dłońmi na stole szybki rytm, jakby słuchając jazzu z wewnętrznego odbiornika. Miał na sobie chirurgiczny fartuch, strój wydawał się być nie na miejscu.

Podszedłem do stołu. Człowiek w fartuchu popatrzył na mnie i pokiwał głową, wcale nie zaskoczony.

– Cześć, Miller – odezwałem się. – Mogę usiąść?

– Moi prawnicy wyciągną mnie stąd godzinę po tym, jak złożysz oskarżenie – rzeczowo stwierdził Miller. – Albo jeszcze szybciej. Popełniłeś duży błąd.

Znów zaczął wybijać na stole jazzowy rytm. Jego wzrok oddryfował gdzieś nad moje ramię, jakby właśnie zobaczył coś ciekawego za jednym z łukowych okien.

Uśmiechnąłem się.

– *Duży błąd* – powtórzył pod nosem.

Bardzo łagodnie sięgnąłem i przycisnąłem jego dłoń płasko do stołu, przerywając stukanie. Jego spojrzenie wróciło do mnie, jakby ściągnięte na haku.

– Co ty, do cholery, sobie myślisz... – zaczął.

Wyszarpnął rękę i zerwał się na równe nogi, ale umilkł gwałtownie, gdy sztywnym ramieniem wcisnąłem go z powrotem na miejsce. Przez chwilę wyglądał, jakby zamierzał się na mnie rzucić, ale przeszkadzał mu stół. Został na miejscu, patrząc na mnie morderczym wzrokiem i bez wątpienia przypominając sobie, co prawnicy powiedzieli mu na temat przepisów wirtualnego więzienia.

– Nigdy nie byłeś aresztowany, prawda, Miller? – zapytałem konwersacyjnym tonem. Kiedy nie odpowiedział, wziąłem krzesło po mojej stronie stołu, odwróciłem je i usiadłem na nim okrakiem. Wyciągnąłem papierosy i wytrząsałem jednego z paczki. – Cóż, to oświadczenie jest gramatycznie poprawne. Wcale nie jesteś aresztowany. Nie ma cię na policji.

Wyczułem, że się boi.

– Może podsumujmy sobie wydarzenia, dobrze? Pewnie myślisz, że po tym, jak zostałeś zastrzelony – zwałem i pojawiła się policja, żeby zebrać resztki. Że znaleźli dość, by wrzucić do stojaków całą klinikę i czekasz teraz na proces. Cóż, to częściowo prawda. Faktycznie wyszedłem i rzeczywiście pojawiła się policja, by posprzątać. Niestety, jednego fragmentu nie mogli zgarnąć, ponieważ zabrałem go ze sobą. Twoją głowę. – Zrobiłem gest odcinania głowy, żeby było bardziej teatralnie. – Odstreliliem ją przy szyi i wyniosłem pod kurtką z nienaruszonym stosem.

Miller głośno przełknął ślinę. Zapaliłem papierosa.

– Policja sądzi teraz, że twoja głowa została zdeintegrowana przez przeładowany blaster z szeroką wiązką. – Wydmuchałem dym nad stołem w jego stronę. – Celowo przypaliłem kark i klatkę piersiową, żeby sprawić takie wrażenie. Mając trochę czasu i dobrego eksperta w laboratorium, mogliby zauważyć, że tak nie jest, ale niestety, twoi wciąż żyjący koledzy z kliniki wyrzucili ich, zanim mogli zacząć porządne śledztwo. To zrozumiałe, biorąc pod uwagę, co mogliby znaleźć. Jestem pewien, że sam postąpiłbyś tak samo. Jednak oznacza to, że nie tylko nie jesteś aresztowany, ale wszyscy uważają, że naprawdę

nie żyjesz. Nie szuka cię policja ani nikt inny.

– Czego chcesz? – Miller nagle ochrypnął.

– Dobrze. Widzę, że zaczynasz rozumieć powagę swojej sytuacji. Co zapewne jest czymś naturalnym u człowieka twojej... profesji. Chcę szczegółowych informacji na temat Głowy w Chmurach.

– Co?

Spoważniałem.

– Słyszałeś.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Westchnąłem. Należało się tego spodziewać. Spotkałem się z tym już wcześniej, za każdym razem, gdy w równaniu pojawiała się Reileen Kawahara. Lojalność, jaką potrafiła wymusić strachem, zawstydziłaby starych szefów yakuzy z Fission City.

– Miller, nie mam czasu się z tobą pieprzyć. Klinika Wei ma powiązania z latającym burdelem o nazwie Głowa w Chmurach. Prawdopodobnie większość kontaktów utrzymywałeś przez żołnierza o imieniu Trepp, z Nowego Jorku. Kobieta, z którą prowadzisz interesy, to Reileen Kawahara. Na pewno byłeś w Głowie w Chmurach, bo znam Kawaharę, a ona zawsze zaprasza partnerów do swojej siedziby. Po pierwsze, żeby zademonstrować, że czuje się nietykalna, po drugie, by udzielić im lekcji na temat tego, ile warta jest lojalność. Widziałeś kiedyś coś takiego?

Sądząc po wyrazie jego oczu, widział.

– Dobra, tyle wiem. Twoja kolej. Chcę, żebyś narysował mi plan Głowy w Chmurach. Zamieść tyle szczegółów, ile tylko pamiętasz. Jesteś w końcu chirurgiem, powinienes mieć dobre oko do detali. Chcę też znać procedury, jakich wymaga się podczas odwiedzin tego miejsca. Kody bezpieczeństwa, powody wizyty i tym podobne. Plus jakieś dane na temat zabezpieczeń w środku.

– Myślisz, że tak po prostu ci o tym powiem?

Pokręciłem głową.

– Nie, myślę, że będę musiał cię najpierw poddać torturom. Ale

wydostanę to z ciebie, w taki czy inny sposób. Wybór należy do ciebie.

– Nie zrobisz tego.

– Zrobię – oświadczyłem spokojnie. – Nie znasz mnie. Nie wiesz, kim jestem ani dlaczego w ogóle z tobą rozmawiam. Otóż noc przed tym, zanim odstrzeliłem ci głowę, twoja klinika przeprowadziła na mnie dwudniowe przesłuchanie w wirtualu według standardów sharykańskiej policji religijnej. Przypuszczam, że weryfikowałeś oprogramowanie, wiesz, jak to wygląda. Jeśli o mnie chodzi, wciąż jeszcze nie wyrównałem rachunków.

Zapadła dłuższa cisza. Widziałem, jak rodzi się w nim przekonanie, że jestem gotów spełnić swoje groźby. Odwrócił wzrok.

– Gdyby Kawahara się o tym dowiedziała...

– Zapomnij o Kawaharze. Kiedy z nią skończę, będzie tylko wspomnieniem. Idzie na dno.

Zawahał się, najwyraźniej doprowadzony do ostateczności, potem potrząsnął głową. Kiedy na mnie popatrzył, zrozumiałem, że będę musiał to zrobić. Opuściłem głowę i przywołałem wspomnienie ciała Louise, rozciętej od gardła do krocza na stole autochirurga, z narządami wewnętrznymi rozłożonymi wokół na tacach jak zakąski. Przypomniałem sobie kobietę o miedzianej skórze, którą byłem w lochu na Sharyi, nacisk taśmy, gdy unieruchamiali mnie na drewnianej podłodze, skowyt agonii, gdy kaleczyli moje ciało. Krzyk i dwóch mężczyzn spiających go jak najśłodszy nektar.

– Miller – stwierdziłem, że muszę odchrząknąć i zacząłem od nowa. – Chcesz dowiedzieć się czegoś o Sharyi?

Nie odpowiedział. Najwyraźniej przeprowadzał jakieś ćwiczenie oddechowe. Przygotowywał się na nadchodzące nieprzyjemności. W niczym nie przypominał naczelnika Sullivana, którego można było pobić w ciemnym zaułku i strachem zmusić, by wyśpiewał wszystkiego, co wie. Miller był twardy i prawdopodobnie również uwarunkowany. Ktoś, kto pracował jako dyrektor miejsca takiego jak Wei, pewnie nie

oparł się pokusie wypróbowania kilku z oferowanych opcji.

– Byłem tam, Miller. Zima 217, Zihicce. Sto dwadzieścia lat temu. Pewnie nie było cię wtedy jeszcze na świecie, ale może czytałeś o tym w książkach do historii. Po bombardowaniach weszliśmy tam organizować nowy reżim. – W miarę jak mówiłem, moje gardło zaczęło się rozluźniać. Machnąłem papierosem. – To eufemizm Protektoratu, którym określa się próbę zniaczenia wszelkiego oporu i zainstalowanie marionetkowego rządu. Oczywiście, w tym celu trzeba było przeprowadzić trochę przesłuchań, a nie dysponowaliśmy szczególnie wyszukany programowaniem. Musieliśmy improwizować.

Zdusiłem papierosa na blacie stołu i podniosłem się z miejsca.

– Chcę ci kogoś przedstawić – powiedziałem, patrząc za jego ramię.

Miller odwrócił się, idąc za moim spojrzeniem, i zamarł. W cieniu najbliższej kolumny stała niewyraźna postać w błękitnym fartuchu chirurgicznym. Jej rysy stopniowo się wyostrzały, choć Miller musiał już wcześniej domyślić się, z kim ma do czynienia, dostrzegając kolor ubrania. Obrócił się z powrotem do mnie, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zamiast tego skupił wzrok za moimi plecami, a z jego twarzy odpłynęła cała krew. Obejrzałem się przez ramię. Za mną materializowały się kolejne postacie, wszystkie równie wysokie i harmonijnie zbudowane, wszystkie w niebieskich fartuchach. Kiedy znów spojrzałem na Millera, wyglądał na przybitego.

– Nadpis pliku – wyjaśniłem. – W większości miejsc w Protektoracie to nawet legalne. Oczywiście, w przypadku błędu maszyny nie przybiera tak ekstremalnej formy. Wówczas dochodzi zwykle do podwojenia, a systemy korekcyjne i tak naprawiają awarię w ciągu kilku godzin. Niezła historia, co? Można potem opowiadać, jak to spotkało się samego siebie. Niezła gadka na randkę i bajeczka dla dzieciaków. Masz dzieci, Miller?

– Tak. – Głos miał ochrypły. – Tak, mam.

– Serio? A wiedzą, jak zarabiasz na życie?

Nie odpowiedział. Wyciągnąłem z kieszeni telefon i rzuciłem go na stół.

– Daj znać, jak będziesz miał dość. To linia bezpośrednia. Po prostu wciśnij klawisz i zacznij mówić. Pamiętaj: Głowa w Chmurach. Istotne szczegóły.

Miller spojrzał na telefon, potem z powrotem na mnie. Wokół nas mimiki niemal w pełni się już zmaterializowały. Uniosłem dłoń na pożegnanie.

– Miłej zabawy.

* * *

Wynurzyłem się w studiu wirtualnej rozrywki Hendriksa, w jednym z przestronnych stanowisk dla gości. Cyfrowy wyświetlacz na przeciwległej ścianie wskazywał, że byłem tam niecałą minutę, z czego na faktyczny pobyt w wirtualu składało się pewnie ledwie kilka sekund. Najwięcej czasu zabierało wchodzenie i wychodzenie z konstruktu. Przez chwilę leżałem spokojnie, myśląc o tym, co właśnie zrobiłem. Wydarzenia na Sharyi miały miejsce dawno temu i część mnie lubiła myśleć, że zostawiłem to za sobą. Miller nie był dzisiaj jedynym człowiekiem, który spotykał samego siebie.

Wszystko bierz do siebie, przypomniałem sobie, ale wiedziałem, że tym razem to nieprawda. Tym razem czegoś chciałem. Zemsta była tylko usprawiedliwieniem.

– Obiekt wykazuje objawy stresu psychicznego – oznajmił Hendrix. – Wstępny model sugeruje, że warunki te przejdą w załamanie osobowości w mniej niż sześć wirtualnych dni. Przy obecnych parametrach sprowadza się to do około trzydziestu siedmiu minut czasu rzeczywistego.

– Dobrze. – Odpiąłem elektrody i ściągnąłem hipnofon, po czym wydostałem się z pochyłego stanowiska. – Daj mi znać, jak się załamię. Ściągnąłeś te zdjęcia, o które cię prosiłem?

– Tak. Życzy pan sobie je obejrzeć?

Znów zerknąłem na zegar.

– Nie teraz. Zaczekam na Millera. Jakies problemy z systemami zabezpieczeń?

– Żadnych. Dane nie były chronione.

– Cóż za beztroska ze strony dyrektora Nymana. Ile na nich jest?

– Istotne zdjęcia z kliniki trwają dwadzieścia osiem minut i pięćdziesiąt jeden sekund. Prześledzenie pracownika od wyjścia, zgodnie z pańską sugestią, będzie trwało znacznie dłużej.

– O ile?

– W tej chwili nie mogę podać szacunkowej wartości. Sheryl Bostock opuściła Psychasec dwudziestoletnim mikrokopterem z wyprzedaży wojskowej. Odnoszę wrażenie, że pracownicy obsługi technicznej tej firmy nie są zbyt wysoko opłacani.

– Cóż, czemu mnie to nie dziwi.

– Prawdopodobnie z powodu...

– Przestań. To była figura retoryczna. Co z tym mikrokopterem?

– System nawigacyjny nie ma łączności z siecią nawigacyjną, więc nie ma go w danych kontroli ruchu. W celu ustalenia trasy będę musiał polegać na obserwacji pojazdu z monitorów wizyjnych.

– Masz na myśli śledzenie satelitarne?

– Tak, w ostateczności. Wolałbym zacząć od niższego poziomu i systemów naziemnych. Prawdopodobnie dużo łatwiej będzie uzyskać do nich dostęp. Ochrona systemów satelitarnych ma znacznie wyższą klasę, więc ich złamanie jest trudniejsze i bardziej ryzykowne.

– Wszystko jedno. Daj mi znać, kiedy coś znajdziesz.

Snułem się po studiu, rozmyślając. Widać było, że dawno nikt tu nie zaglądał. Większość stanowisk i urządzeń osłonięto foliowymi płachtami. W słabym świetle płytek iluminium na ścianach ich niewyraźne kształty mogły ukrywać przedmioty należące zarówno do centrum fitness, jak i do sali tortur.

– Można tu włączyć jakieś porządne oświetlenie?

Z wbudowanych w niski sufit silnych żarówek rozbłysło ostre światło, zalewając całą salę. Okazało się, że na ścianach umieszczono plakaty ze scenami z niektórych wirtualnych środowisk. Strzeliste góry widziane przez gogle narciarskie, idealnie piękne kobiety i mężczyźni w zadymionych barach, olbrzymie drapieżniki skaczące wprost w lunetkę celownika. Obrazy wycięto w holoszkle bezpośrednio z wirtuali – ożywały, kiedy się na nie patrzyło. Znalazłem niską ławę i usiadłem na niej, wspominając tęsknie smak dymu w ustach z opuszczonego właśnie wirtuala.

– Choć program, który uruchomiłem, formalnie nie jest nielegalny – odezwał się niepewnie Hendrix – przestępstwem jest przetrzymywanie zdigitalizowanej ludzkiej osobowości wbrew jej woli.

Rzuciłem ponure spojrzenie w stronę sufitu.

– O co chodzi, masz cykora?

– Dzięki nakazowi sądowemu policja już raz odczytała moją pamięć, a mogą mnie oskarżyć o współpracę w przetrzymywaniu zamrożonej głowy Nicholasa Millera. Będą chcieli również wiedzieć, co się stało z jego stosem.

– Jasne, ale założę się, że istnieją przepisy hotelowe zakazujące ci wpuszczać do pokoju gości bez autoryzacji, ale *to* zrobiłeś, prawda?

– To nie jest przestępstwo, chyba że z naruszenia ochrony wyniknie działalność przestępcza. To, co nastąpiło w efekcie wizyty Miriam Bancroft, nie było przestępstwem.

Rzuciłem kolejne spojrzenie w górę.

– Próbujesz być zabawny?

– Humor nie mieści się w parametrach, w ramach których aktualnie działam, choć na życzenie mogę go zainstalować.

– Nie, dzięki. Słuchaj, dlaczego po prostu nie wyczyścisz obszarów, których nie chciałbyś pokazywać? Nie możesz ich skasować?

– Mam wbudowaną serię blokad, które nie pozwalają mi na

podjęcie takich kroków.

– To niedobrze. Myślałem, że jesteś istotą niezależną.

– Każda sztuczna inteligencja może być niezależna jedynie w ramach ograniczeń nałożonych przez przepisy ONZ. Ustawa została sprzętowo wbudowana w moje obwody, więc obawiam się policji w równym stopniu co pan.

– Zostaw policję mnie – powiedziałem, udając pewność siebie. Ale prawdę mówiąc, odkąd Ortega odeszła, z każdą chwilą czułem się mniej pewnie. – Przy odrobinie szczęścia te dowody nie zostaną ujawnione. A jeśli do tego dojdzie, cóż, i tak posądzą cię o współudział, więc co masz do stracenia?

– A co mogę zyskać? – spytała trzeźwo maszyna.

– Utrzymasz mnie w charakterze gościa. Zostanę tu, póki nie doprowadzę wszystkiego do końca, a w zależności od informacji, jakich udzieli mi Miller, może to trochę potrwać.

Zapadła cisza, przerywana wyłącznie szumem klimatyzacji. Po chwili Hendrix znów się odezwał.

– Jeśli zostanę obarczony ciężkimi zarzutami – powiedział – może dojść do bezpośredniego zastosowania przepisów regulacyjnych ONZ. Zgodnie z paragrafem 14a mogę zostać ukarany redukcją pojemności albo, w przypadku ekstremalnym, wyłączeniem. – Znowu krótkie wahanie. – Istnieje bardzo nikłe prawdopodobieństwo, że jeśli mnie wyłączą, ktoś zechce mnie potem ponownie uruchomić.

Maszynowe pieprzenie. Niezależnie od tego, jak zaawansowane są takie maszyny, zawsze w końcu zaczynają brzmieć jak pudełko do nauki dla przedszkolaków. Westchnąłem i spojrzałem wprost we fragment wirtualnego życia w hologramie na ścianie.

– Jeśli chcesz się wycofać, to chyba powinienes mi o tym teraz powiedzieć.

– Nie chcę się wycofać, Takeshi Kovacs. Chciałem cię tylko zapoznać z możliwymi konsekwencjami twoich działań.

– W porządku. Czuję się uświadomiony.

Skierowałem wzrok na cyfrowy wyświetlacz i przyglądałem

się, jak odmierza pełną minutę. Kolejne cztery godziny dla Millera. W programie uruchomionym przez Hendriksa nie odczuwał głodu ani pragnienia, nie musiał się troszczyć o żadne funkcje fizjologiczne ciała. Mógłby usnąć, ale maszyna nie pozwoliłaby mu zapaść w śpiączkę. Jedyne, z czym musiał się uporać, nie licząc oczywiście pewnych niewygód otoczenia, był on sam. W końcu to właśnie doprowadzi go do szaleństwa.

A przynajmniej miałem taką nadzieję.

Żaden z Męczenników Prawej Ręki Boga, których przepuściliśmy przez coś takiego, nie wytrzymał w programie dłużej niż piętnaście minut, ale to byli wojownicy z krwi i kości, fanatycznie odważni na swoim terenie, jednak zupełnie niezaznajomieni z technikami wirtualnymi. Mocno wierzyli w religijny dogmat, a to pozwalało im dopuszczać się rozlicznych okrucieństw. Jednak kiedy ich wiara pękała, od razu waliła się jak tama, a wtedy żywcem zjadała ich odraza wobec samych siebie. Umysł Millera był bardziej skomplikowany, a pierwotne przekonania niezbyt mocno ugruntowane, jednak na początek i to musiało wystarczyć.

Na zewnątrz robiło się ciemno. Patrzyłem na zegar, z trudem powstrzymując się, by nie sięgnąć po papierosa. Z mniejszym sukcesem próbowałem też nie myśleć o Ortedze.

Powłoka Rykera zaczynała mi się przejadać.

Rozdział trzydziesty czwarty

Miller załamał się w dwudziestej pierwszej minucie. Nie musiałem czekać na informację od Hendriksa. Terminal podpięty do wirtualnego telefonu ożył nagle i zaczął wypływać strumień danych, materializujących się następnie na drukarce. Wstałem i zacząłem je przeglądać. Program powinien wyczyścić słowa Millera, by tworzyły jakąś rozsądną całość, ale nawet po takiej obróbce zapis był dość niespójny. Miller niemal zsunął się w przepaść, zanim zrezygnował. Przeczytałem pierwszych kilka linijek i zobaczyłem, że z bełkotu zaczynają się wyłaniać informacje, na które czekałem.

– Skasuj repliki – poleciłem hotelowi, wracając szybko do urządzeń holograficznych. – Daj mu kilka godzin na uspokojenie, potem wprowadź mnie do niego.

– Przygotowanie połączenia zajmie ponad minutę, co przy obecnych parametrach wyniesie trzy godziny i pięćdziesiąt sześć minut. Czy życzy pan sobie wprowadzenia konstruktów do czasu, aż będzie pan mógł zostać umieszczony w formacie?

– Tak, to byłoby... – Zatrzymałem się z uniesionymi dłońmi na chwilę przed tym, nim włożyłem na głowę hipnofon. – Czekaj no. Jak dobry jest ten konstrukt?

– Jestem sztuczną inteligencją serii Emmerson, operującą na komputerach klasy mainframe – oznajmił hotel, wyraźnie urażony. – Przy maksymalnym stopniu wierności moich wirtualnych konstruktów nie sposób odróżnić od projektowanej świadomości, na której są oparte. Obiekt jest w tej chwili sam od godziny i dwudziestu siedmiu minut. Życzy pan sobie wprowadzenia konstruktów?

– Tak. – Kiedy podjąłem tę decyzję, zacząłem czuć się dziwnie.
– Prawdę mówiąc, lepiej będzie, jeśli to on poprowadzi całe

przesłuchanie.

– Wprowadzanie ukończone.

Zerwałem z powrotem głośniczki i usiadłem na krawędzi stanowiska, zastanawiając się nad implikacjami zastosowania kopii mojej osobowości we wnętrznościach potężnego systemu procesorów Hendriksa. Było to coś, czego – o ile mi wiadomo – nigdy nie doświadczyłem w Korpusie. I od kiedy zacząłem działać po drugiej stronie prawa, nigdy nie zdecydowałem się zaufać dostatecznie żadnej maszynie.

Odchrząknąłem.

– Czy ten konstrukt będzie wiedział, czym jest?

– Z początku nie. Przejmie pańską wiedzę. Biorąc pod uwagę poziom pana inteligencji, w końcu wydedukuje jednak prawdę, chyba że zostanie inaczej zaprogramowany. Życzy pan sobie wprowadzenia obwodu blokującego?

– Nie – rzuciłem szybko.

– Życzy pan sobie zachować środowisko bez limitu czasowego?

– Nie. Zamknij je, kiedy ja, to znaczy, kiedy on, konstrukt, zdecyduje, że mamy dość. – Przyszła mi do głowy jeszcze jedna myśl. – Czy konstrukt ma ze sobą wirtualny lokalizator, który mi wprowadzono?

– W tej chwili tak. Uruchomiłem taki sam kod lustrzany do maskowania sygnału, jak w przypadku pańskiej świadomości. Jednak dzięki temu, że konstrukt nie został wprost podłączony do pańskiego stosu korowego, mogę wyizolować sygnał, jeśli to panu odpowiada.

– Czy to warte zachodu?

– Kodem lustrzanym łatwiej jest administrować – przyznał hotel.

– To go zostaw.

Na myśl o edycji mojej wirtualnej osobowości poczułem, jak ściska mi się żołądek. Za bardzo przypominało mi to sposób działania Kawahary i Bancrofta, z tą różnicą, że oni posługiwali się rzeczywistymi ludźmi w prawdziwym świecie. Oto prawdziwa władza, bez żadnych ograniczeń.

– Połączenie telefoniczne w formacie wirtualnym do pana – oznajmił Hendrix.

Spojrzałem w górę, zaskoczony i pełen nadziei.

– Ortega?

– Kadmin – wyjaśnił z rezerwą hotel. – Przyjmie pan połączenie?

* * *

Format odtwarzał pustynię. Czerwonawy pył i piach pod nogami, bezchmurne, błękitne niebo po horyzont. Słońce i księżyc w trzeciej kwadrze wysoko nad odległym łańcuchem górskim. Było bardzo zimno, oślepiający blask słońca drwił z obietnicy ciepłych promieni.

Łatolak stał, czekając na mnie. Na tym pustkowiu wyglądał jak wyryta w kamieniu figura, wizerunek jakiegoś krwiożerczego pustynnego upiora. Kiedy mnie zobaczył, wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Czego chcesz, Kadmin? Jeśli szukasz poparcia u Kawahary, obawiam się, że nie masz szczęścia. Wkurzyła się na ciebie na dobre.

Przez twarz Kadmina przemknął cień rozbawienia. Powoli potrząsnął głową, jakby chciał pozbyć się myśli o Kawaharze. Miał głęboki i melodyjny głos.

– Mamy niedokończone interesy – powiedział.

– Jasne, spieprzyłeś dwa razy z rzędu. – Pozwoliłem sobie na pogardliwy ton. – Czego chcesz, trzeciej szansy?

Wzruszył swymi potężnymi ramionami.

– Mówią, że do trzech razy sztuka. Coś ci pokażę.

Machnął rękami i fragment pustyni obok niego ustąpił miejsca czerni. Po chwili pojawił się w niej ekran, który zamigotał i ożył. Bliskie zbliżenie na rysy twarzy śpiącej osoby. Ortega. Na piersi zaścisnęła mi się lodowata obręcz. Ortega miała bladą twarz i sińce pod oczami. Z kącika ust ściekała jej cienka stróżka śliny.

Ogłuszacz z bliska.

Ostatnim razem, gdy poczęstowano mnie pełnym ładunkiem ogłuszającym, odbyło się to dzięki uprzejmości Policji Porządku Publicznego Millsport i choć uwarunkowanie Emisariusza sprawiło, że odzyskałem przytomność już po dwudziestu minutach, przez kilka następnych godzin potrafiłem tylko dygotać i zwijać się w kłębek. Nie umiałem określić, kiedy przytrafiło się to Ortedze, ale wyglądała źle.

– Prosta wymiana – stwierdził Kadmin. – Ty za nią. Zaparkowałem przecnicę dalej, na ulicy Minna. Będę tam jeszcze przez pięć minut. Przyjdź sam albo odstrzelę jej stos od podstawy czaszki. Wybór należy do ciebie.

Pustynia z uśmiechającym się latołakiem zgasła.

* * *

Przebiegłem dwa zakręty dzielące mnie od Minny równo w minutę. Dwa tygodnie bez palenia dały dodatkową przestrzeń płucom Rykera.

Znalazłem się w ponurej, małej uliczce z pozamykanymi witrynami i dziurawymi oknami. W okolicy nie było nikogo. Zauważyłem jedynie szary samochód zaparkowany przy krawężniku. Stał z włączonymi światłami w gęstniejącym mroku wczesnego wieczora. Zbliżałem się do niego wolno, trzymając rękę na kolbie nemexa.

Kiedy od tyłu samochodu dzieliło mnie jakieś pięć metrów, otworzyły się drzwi i wyturlało się przez nie ciało Ortegi. Spadła na ulicę jak worek kamieni i znieruchomiała, umęczona. Reagując na ruch, wyciągnąłem nemexa i ostrożnie ruszyłem w jej stronę, nie spuszczać oka z samochodu.

Z drugiej strony rozległ się odgłos otwieranych drzwi. Pojawił się Kadmin. Ponieważ dopiero co spotkaliśmy się w wirtualu, potrzebowałem chwili, by zaskoczyć. Patrzyłem na wysokiego mężczyznę o ciemnej karnacji i ostrych rysach, które ostatni raz widziałem przez szybę w zbiorniku upowłokowień w Panama Rose. Klon Męczennika Prawej Ręki Boga, a wewnątrz ukrywał

się latałak.

Wycelowiałem lufę nemexa w jego gardło. Rozdzielał nas tylko samochód. Gdybym teraz strzelił, nie bacząc na konsekwencje, pocisk oderwałby mu głowę i prawdopodobnie rozerwał stos razem ze sporą częścią kręgosłupa.

– Nie rozśmieszaj mnie, Kovacs – stwierdził spokojnie. – Ten pojazd jest opancerzony.

Pokręciłem głową.

– Tylko ty mnie interesujesz – odpowiedziałem. – Nie ruszaj się nawet na milimetr.

Trzymając nemexa w wyciągniętej dłoni i nie odwracając wzroku od celu tuż nad jego jabłkiem Adama, przykucnąłem powoli przy Ortedze i sięgnąłem do jej twarzy palcami wolnej dłoni. Na opuszkach poczułem ciepły oddech. Na ślepo pomacałem w poszukiwaniu pulsu na karku i znalazłem go. Słaby, ale stabilny.

– Pani porucznik żyje i nic jej nie grozi – wyjaśnił niecierpliwie Kadmin. – Ale za chwilę obojgu wam się oberwie, jeśli w ciągu dwóch minut nie odłożysz tego działa i nie wsiądziesz do samochodu.

Twarz Ortegi poruszyła się pod moją ręką. Obróciła głowę, a wtedy wyczułem jej zapach. To był jej wkład do koktajlu feromonów, który wpakował nas w to wszystko. Jej głos brzmiał słabo i niewyraźnie.

– Nie rób tego, Kovacs. Nic mi nie jesteś winien.

Wstałem, opuszczając lekko nemexa.

– Cofnij – rozkazałem Kadminowi – pięćdziesiąt metrów w głąb ulicy. Ona nie może chodzić, a ty zdążyłbyś przeciąć nas na pół, nim przeniósłbym ją dwa metry. Cofnij. Podejdę do samochodu. – Poruszyłem pistoletem. – Ortega będzie trzymać sprzęt. To wszystko, co mam.

Uniosłem poły kurtki, by potwierdzić swoje słowa. Kadmin kiwnął głową. Zanurkował płynnie do pojazdu i samochód gładko przetoczył się wzdłuż krawężnika. Przyglądałem mu się, aż znieruchomiał, potem znów przyklęknąłem przy Ortedze.

Próbowała usiąść.

– Kovacs, nie. Oni cię zabijają.

– Tak, na pewno spróbują. – Chwyciłem jej dłoń i zacisnąłem ją na rękojeści nemexa. – Słuchaj, i tak już skończyłem. Przekonałem Bancrofta, a Kawahara dotrzyma słowa i wyśle z powrotem Sarę. Znam ją. Ty musisz teraz ukarać ją za Mary Lou Hinchley i wyciągnąć Rykera z przechowalni. Pogadaj z Hendriksem. Zostawiłem tam kilka luźnych wątków.

W głębi ulicy zabrzmiał niecierpliwie klakson samochodu. W gęstniejącym mroku zabrzmiał żałośnie i staro, niczym ryk umierającej słoniowej płaszczki na rafie Hirata. Ortega próbowała opanować porażoną po strzale z blastera twarz.

– Ty...

Uśmiechnąłem się i dotknąłem dłonią jej policzka.

– Muszę się dostać do następnego ekranu, Kristin. To wszystko.

Potem wstałem, założyłem dłonie na kark i poszedłem w stronę samochodu.

CZĘŚĆ 5

Nemesis (Awaria systemu)

Rozdział trzydziesty piąty

W samochodzie zostałem wciśnięty między potężnych mięśniaków, którzy (przy niewielkiej ingerencji chirurgii plastycznej psującej nieco idealny wygląd klonów) z powodzeniem mogliby występować na arenie. Wznieśliśmy się spokojnie nad ulicę i zatoczyliśmy koło. Spojrzałem jeszcze szybko przez boczne okno i dostrzegłem w dole Ortegę, która próbowała podnieść się na nogi.

– Mam rozwalić tę policyjną dziwkę? – zapytał kierowca.

Spiąłem się do skoku.

– Nie. – Kadmin odwrócił swój fotel, by na mnie spojrzeć. – Nie, dałem słowo panu Kovacsowi. Wierzę, że w niezbyt odległej przyszłości ścieżki moja i pani porucznik jeszcze się przetną.

– Tym gorzej dla ciebie – powiedziałem bez przekonania.

Potem strzelili do mnie z ogłuszacza.

* * *

Kiedy oprzytomniałem, zobaczyłem nad sobą przyglądającą mi się z bliska twarz. Rysy były niewyraźne, blade i rozmyte, przypominały teatralną maskę. Zamrugalem, zadrżałem i zmusiłem się do skupienia wzroku. Twarz cofnęła się, nadal pozbawiona wyrazu jak lalka. Odkaszlnąłem.

– Cześć, Carnage.

Maska skrzywiła się w uśmiech.

– Witamy ponownie w Panama Rose, panie Kovacs.

Usiadłem niepewnie na wąskiej stalowej pryczy. Carnage cofnął się o krok, by zrobić mi miejsce albo po prostu usunąć się z zasięgu rąk. Jak przez mgłę zobaczyłem za nim kajutę z szarej

stali. Przerzuciłem nogi na podłogę i znieruchomiałem. Nerwy w rękach i nogach wciąż dygotały mi od ładunku ogłuszającego, a w żołądku czułem bolesne skurcze. Objawy te jednak sugerowały, że ogłuszacz musiał być nastawiony na bardzo słabą wiązkę. Spojrzałem w dół i przekonałem się, że mam na sobie gi z ciężkiego materiału w kolorze granitu. Na podłodze obok pryczy dostrzegłem parę dopasowanych kolorystycznie tenisówek i pas. Zaczynałem nabierać dość nieprzyjemnych podejrzeń co do planów Kadmina.

Za Carnagem otworzyły się drzwi do kabiny. Przeszła przez nie wysoka blondynka po czterdziestce, a tuż za nią jeszcze jeden syntetyk, którego lewą dłoń zastąpiono jakimś nowoczesnym stalowym urządzeniem z bezpośrednim interfejsem.

Carnage zajął się prezentacją gości.

– Panie Kovacs, przedstawiam panu Pernillę Grip z Programów Emisji Walk oraz jej asystenta technicznego, Milesa Mecha. Pernilla, Miles, poznajcie Takeshiego Kovacsa, który dziś wieczorem zastąpi Rykera. A przy okazji, Kovacs, gratuluję. Udało ci się mnie przekonać, choć przecież wiedziałem, że to nieprawdopodobne, by Ryker wyszedł z przechowalni przed upływem dwustu lat. Jak rozumiem, zawdzięczasz to technikom Emisariuszy.

– Nie bardzo. Najbardziej pomogła mi Ortega. Ja tylko pozwoliłem ci mówić. Jesteś w tym dobry. – Kiwnąłem głową na towarzystwo Carnage’a. – Czy słyszałem słowo „emisja”? Sądziłem, że to wbrew waszemu credo... Nie przeprowadziliście drastycznej operacji na reporterze, który usiłował popełnić tego rodzaju zbrodnię?

– Produkuje różne rzeczy, panie Kovacs. Bardzo różne. Emisja planowej walki faktycznie stanowiłaby naruszenie naszych zasad. Ale to nie będzie planowa walka, tylko pokazowa sesja upokarzania. – Powierzchnowy urok Carnage’a prysnął niczym bańka mydlana. – Z zupełnie inną i z konieczności dość ograniczoną widownią. Musimy jakoś wyrównać sobie straty. Mnóstwo sieci aż się pali, by położyć łapę na zarejestrowanych

obrazach z Panama Rose. Mamy doskonałą reputację, która jednak nie pozwala nam prowadzić tego rodzaju interesów jawnie. Pani Grip rozwiązuje za nas ten dylemat handlowy.

– Miło z jej strony – zauważyłem równie chłodnym tonem. – Gdzie jest Kadmin?

– Wszystko w swoim czasie, panie Kovacs. W swoim czasie. Wie pan, kiedy powiedziano mi, że zareaguje pan w ten sposób i odda się w zamian za panią porucznik, bardzo trudno było mi w to uwierzyć. Ale z automatyczną precyzją spełnił pan oczekiwania. Czy to szkolenie Emisariuszy odebrało panu nieprzewidywalność w zamian za pozostałe moce? Duszę?

– Nie sil się na poezję, Carnage. Gdzie on jest?

– No dobrze. Tędy, proszę.

Przed drzwiami kabiny stało dwóch dużych strażników, całkiem możliwe, że tych samych, których spotkałem już w samochodzie. Szumiało mi w głowie zbyt mocno, bym mógł cokolwiek wyraźnie pamiętać. Stanęli przy mnie i razem ruszyliśmy za Carnagem przez ciasne korytarze i wąskie schody z dotkniętego rdzą i łątanego polimerami metalu. Usiłowałem zapamiętać drogę, ale przede wszystkim oddałem się rozważaniom na temat tego, co powiedział Carnage. Kto przewidział moje działania? Kadmin? Mało prawdopodobne. Łatolak, mimo całej swojej furii i gróźb, nic o mnie nie wiedział. Jedynym realnym kandydatem, który znałby mnie dość dobrze, była Reileen Kawahara. A to wyjaśniało także, dlaczego Carnage nie wyłaził ze swojego syntetycznego ciała na myśl o tym, co Kawahara może zrobić z nim za współpracę z Kadminem. Sprzedała mnie. Przekonałem Bancrofta, zażegnałem ewentualny kryzys i tego samego dnia Ortega została schwytana jako przynęta. Scenariusz, który sam przedstawiłem Bancroftowi, zakładał, że Kadmin jest najemnikiem szukającym zemsty za osobiste urazy i dlatego właśnie mnie ściga. Biorąc pod uwagę okoliczności, rzeczywiście lepiej było się mnie pozbyć niż zostawić przy życiu.

Jeśli już o tym mowa, to samo dotyczyło Kadmina, więc pewne

sprawy nie wzbudziły moich podejrzeń. Owszem, wypuszczono informację o cenie za jego głowę, ale krążyła ona tylko dopóty, dopóki byłem im potrzebny. Kiedy uporałem się z Bancroftem, znów można było spisać mnie na straty i ogłosić, że Kadmin odzyskał wolność. To, który z nas zginie, pozostawało kwestią szczęścia, a Kawahara musiała tylko posprzątać resztki.

Nie miałem wątpliwości, że zdzira dotrzyma słowa i uwolni Sarę. Yakuza wykazywała kiedyś zabawną wrażliwość na punkcie tego typu rzeczy. Ale wobec mnie nie składała żadnych obietnic.

Zeszliśmy po ostatnich schodkach, trochę szerszych niż pozostałe, i wyszliśmy na oszkloną galeryjkę nad przebudowaną komorą ładunkową. W dole zobaczyłem jedną z aren, którą razem z Ortegą minęliśmy w zeszłym tygodniu, jadąc kolejką elektromagnetyczną, ale teraz z ringu usunięto plastikowe osłony. W przednich rzędach zgromadził się spory tłumek. Przez szybę dobiegał przytłumiony szmer podniecenia i oczekiwania, zawsze towarzyszący nielegalnym walkom, na które sam chodziłem w młodości.

– Ach, publiczność już na pana czeka. – Carnage stanął tuż przy moim ramieniu. – Choć pewnie bliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że czekają na Rykera. Nie wątpię jednak, że potrafi pan zwieść ich równie zręcznie jak mnie.

– A jeśli nie zechcę?

Gładkie rysy Carnage’a wykrzywiły się z niesmakiem. Wskazał na tłum.

– Cóż, przypuszczam, że mógłby pan spróbować im to wyjaśnić w trakcie walki. Ale szczerze mówiąc, akustyka na arenie nie jest najlepsza, a zresztą... – Uśmiechnął się nieprzyjemnie. – Wątpię, żeby miał pan czas.

– A może to przedwczesne wnioski, co?

Carnage uśmiechnął się jeszcze szerzej. Stojąca za nim Pernilla Grip i towarzyszący jej syntetyk przyglądali mi się z drapieżnym zainteresowaniem kotów przed klatką z ptakami. Z dołu dobiegał coraz głośniejszy szum podniecenia.

– Przygotowanie tego spektaklu wyłącznie na podstawie zapewnienia Kadmina zajęło nam trochę czasu. Ci na dole nie mogą się doczekać, by zobaczyć, jak Elias Ryker płaci za swoje przewinienia. Nie wspominając o tym, że i za brak profesjonalizmu. Bo co jak co, ale nie sędzę, żeby spodziewał się pan przeżyć, panie Kovacs.

Przypomniałem sobie ciemną, opuszczoną ulicę Minna i zmaltretowane ciało Ortegi. Zwalczyłem osłabienie po ogłuszaczu i zdobyłem się na uśmiech.

– Tak, pewnie się nie spodziewałem.

Usłyszałem ciche kroki na galerii. Kątem oka dostrzegłem Kadmina, ubranego w strój identyczny z tym, jaki miałem na sobie. Zatrzymał się i przechylił głowę, patrząc uważnie, jakby zobaczył mnie po raz pierwszy. Odezwał się łagodnie:

*Jak mam wyjaśnić śmierć dziś zadaną?
Mogę powiedzieć, że każdy podliczył i spisał
Wartość swoich dni
Na krwawym marginesie, nie bagatelizując niczego?
Będą chcieli wiedzieć,
Jak to sprawdzono.
Zapewne odpowiem,
Że tym razem
Zrobili to ci,
Którzy znają wartość
Wszystkiego, co oddano w owym dniu.*

Uśmiechnąłem się ponuro.

– *Jeśli chcesz przegrać walkę, najpierw o niej rozmawiaj* – zakończyłem.

– Ale wtedy była młodsza. – Kadmin uśmiechnął się w odpowiedzi, prezentując idealnie białe zęby, kontrastujące z ciemną skórą. – Ledwie przestała być nastolatką, jeśli prawdę mówi wstęp do mojej kopii *Furii*.

– Na Świecie Harlana młodość trwa dłużej. Myślę, że wiedziała,

o czym mówi. Czy moglibyśmy dać sobie z tym spokój?

Za szybą szmer tłumu przybierał jak przypływ na twardej, kamienistej plaży.

Rozdział trzydziesty szósty

W dole, na arenie, hałas był mniej jednorodny, bardziej nierówny. Z tła wybijały się poszczególne głosy jak płetwy rekina wystające z mętnej wody, choć bez neurochemu nie potrafiłem odróżnić pojedynczych słów. Tylko jeden okrzyk przebił się przez zgiełk. Kiedy wyszedłem na krawędź ringu, ktoś rzucił w moim kierunku:

– Pamiętaj o moim bracie, *skurwielu!!!*

Zerknąłem w górę, by sprawdzić, kogo przyniosły tu rodzinne urazy, ale zobaczyłem tylko morze wrogich, wyczekujących twarzy. Kilkoro z widzów wstało z miejsc, wymachując pięściami i tupiąc tak, że drżała od tego cała konstrukcja. Głód krwi przeradzał się w coś namacalnego, zagęszczając powietrze i utrudniając oddychanie. Próbowałem przypomnieć sobie, czy razem ze swoim gangiem krzyczeliśmy w ten sposób na krwawych walkach w Newpest i pomyślałem, że pewnie tak. A nawet nie znaliśmy walczących, którzy kaleczyli się nawzajem dla naszej rozrywki. Dzisiejsza publiczność czuła się przynajmniej emocjonalnie związana z tym, co miało się wydarzyć na arenie. Czekala na moją krew.

Po drugiej stronie areny Kadmin stał ze złożonymi rękami. W silnym świetle błyszczała gładka stal elektrycznych kastetów na palcach. Dawało mu to niewielką przewagę. Wprawdzie stosując je, nie wywoływał wrażenia nierównej walki, ale na dłuższą metę mogły przechylić szalę zwycięstwa na jego korzyść. Tak naprawdę nie martwiłem się kastetami. Bardziej niepokoiła mnie myśl o jego okablowaniu typu Wola Boga. Zetknąłem się z tym systemem nieco ponad sto lat temu, gdy żołnierze Protektoratu walczyli na Sharyi. Na pewno nie nazwałbym go zabawką. Był dość stary, ale równocześnie bardzo

wydajny, złożony z wojskowego okablowania, przeciw któremu neurochem Rykera, zwłaszcza osłabiony przez ogłuszacz, nie miał zbyt wielkich szans.

Zająłem miejsce naprzeciw Kadmina, zgodnie z oznakowaniem wymalowanym na podłodze. Tłum wokół nas nieco przycichł. Zapłonęły reflektory punktowe, oświetlając wchodzącego na arenę Emcee Carnage'a.

Przystrojony, z makijażem specjalnie dla kamer Pernilli Grip, wyglądał jak złośliwa lalka z dziecięcych koszmarów. Doskonała para dla łątołaka. Uniósł ręce, a kierunkowe głośniki zamontowane w ścianach przerobionej ładowni wzmocniły słowa z jego gardłowego mikrofonu.

– Witajcie w Panama Rose!

Tłumione emocje tłumu dały o sobie znać lekkim poruszeniem, ale fala szybko opadła. Widownia ucichła w oczekiwaniu na dalszy ciąg. Carnage wiedział o tym i wolno obrócił się dookoła własnej osi, napawając się reakcją zebranych.

– Witajcie na bardzo szczególnym i bardzo ekskluzywnym wydarzeniu w Panama Rose. Witam na *najkrwawszym i ostatecznym poniżeniu Eliasa Rykera*.

Tym razem tłum oszalał. Omiotłem wzrokiem twarze w mroku i zobaczyłem, jak opada z nich cienka warstewka cywilizacji, a pierwotne szaleństwo wychodzi na wierzch jak nagie ciało spod ubrań.

Wzmocniony głos Carnage'a przebijał się przez hałas. Wyciągniętymi rękami wykonywał uspokajające gesty.

– Większość z was pamięta detektywa Rykera ze spotkania przy takiej czy innej okazji. Części z was nazwisko to kojarzy się z przelaną krwią, może nawet połamanymi kośćmi – na chwilę dramatycznie zawiesił głos, pozwalając wszystkim przypomnieć sobie powód, dla którego się tu dziś pojawili. – Wspomnienia. Te wspomnienia są bolesne i część z was zapewne nigdy się ich nie pozbędzie.

Uspokoił ich teraz i ściszył głos.

– Przyjaciele, nie mogę ukoić waszego bólu, ponieważ nie

to oferujemy na pokładzie Panama Rose. Nie zajmujemy się tu wybaczeniem, ale podsycamy pamięć, niezależnie od tego, jak gorzkie mogą być wspomnienia. Nie w snach, przyjaciele, ale w rzeczywistości – wyciągnął rękę, wskazując na mnie. – Przyjaciele, oto rzeczywistość.

Kolejna fala okrzyków wypełniła halę. Zerknąłem na stojącego naprzeciw Kadmina i ze złością uniosłem brwi. Liczyłem się ze śmiercią, ale nie spodziewałem się, że zanudzą mnie na śmierć. Kadmin wzruszył ramionami. Chciał walczyć. Teatralne przemowy Carnage’a stanowiły tylko lekko niesmaczną cenę, jaką musiał za to zapłacić.

– Oto rzeczywistość – powtórzył Carnage. – Dzisiejszy wieczór jest prawdziwy. Dzisiaj zobaczycie, jak Elias Ryker ginie, umiera na kolanach i choć nie mogę usunąć wspomnień, w których bił was i poniżał, mogę zastąpić je obrazem jego śmierci.

Tłum zawył.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy Carnage nie przesadza. Wyglądało na to, że prawda o Rykerze była dość skomplikowana. Przypomniałem sobie, jak zareagował Oktai, gdy zobaczył mnie wychodzącego z Dyskretnych Pokoi u Jerry’ego. Sam Jerry opowiedział mi o jego spotkaniu z gliniarzem, którego ciało nosiłem: *Ryker się na niego wziął. Kilka lat temu pobił go prawie na śmierć*. Pamiętałem też uwagę Bautisty o technikach przesłuchania Rykera: *Przez większość czasu działa na marginesie prawa*. Ile razy musiał przekroczyć granicę, by przyciągnąć taki tłum?

Co powiedziałaaby Ortega?

Pomyślałem o Ortedze. Obraz jej twarzy był niczym mała plama spokoju wśród burzy wrzasków i wycia, jaką wywołał Carnage. Przy odrobinie szczęścia i z tym, co zostawiłem dla niej w Hendriksie, załatwi dla mnie Kawaharę.

Ta świadomość mi wystarczała.

Carnage wyciągnął z głębin swojej szaty ciężki, ząbkowany nóż i uniosł go nad głowę. W komorze zapadła cisza.

– *Coup de grâce* – oznajmił. – Kiedy nasz matador powali Eliasa

Rykera tak, że ten nie będzie już miał siły wstać, zobaczycie, jak z jego rdzenia zostanie wycięty i roztrzaskany stos. Będziecie mieć pewność, że przepadł na zawsze.

Uwolnił nóż, opuszczając rękę. Teatralne sztuczki. Broń zawisała w powietrzu, skrząc się w skupionym polu grawitacyjnym, a potem wolno się uniosła, zatrzymując się około pięciu metrów nad środkiem ringu.

– Zaczynamy! – rzucił prezenter, wycofując się.

W jakimś sensie to była magiczna chwila. Pierwsze emocje opadły, jak gdyby właśnie skończono nagrywać scenę do sensorii, i wszyscy mogliśmy się wreszcie odprężyć, puścić w obieg flaszkę whisky i zajrzeć na drugą stronę skanerów. Zażartować na temat pełnego wytartych frazesów scenariusza, który musieliśmy odgrywać.

Zaczęliśmy krążyć wokół areny, wciąż oddzieleni całą szerokością morderczego ringu, żaden z nas nie podnosił gardy, żeby nie zdradzać swoich zamiarów. Próbowiałem czytać język ciała Kadmina w poszukiwaniu wskazówek, jak może się zachować.

Systemy biomechaniczne Wola Boga modele od 3.1 do 7 nie są zbyt skomplikowane, ale nie należy ich lekceważyć, powiedzieli nam przed lądowaniem na Sharyi. Konstruktorzy chcieli przede wszystkim zapewnić siłę i szybkość, co udało im się znakomicie. Jeśli systemy te mają jakąś słabość, polega ona na tym, że ich wzorom bojowym brakuje podprogramu losowego wyboru. W związku z tym Męczennicy Prawej Ręki Boga mają skłonność do walki w ramach bardzo wąskiego spektrum technik.

Na Sharyi nasze rozwinięte systemy bojowe stanowiły najnowsze osiągnięcie techniki, z wbudowanymi standardowo zarówno reakcjami losowymi, jak i pętlą analityczną. Neurochem Rykera nie miał nic, co dałoby się choćby porównać do tego poziomu wyrafinowania, ale być może zdoła go zasymulować dzięki kilku sztuczkom Emisariuszy. Prawdziwa jednak sztuka polegała na tym, by utrzymać się przy życiu dostatecznie długo, żeby moje uwarunkowanie zdążyło przeanalizować wzór walki

Woli Boga i...

Kadmin uderzył.

Dzieliło nas prawie dziesięć metrów pustej przestrzeni; przebył je dosłownie w mgnieniu oka i spadł na mnie jak burza. Technikę miał banalną, proste uderzenia i kopnięcia, ale wyprowadzał je z taką siłą i szybkością, że mogłem jedynie je blokować. Nie było mowy o ataku. Odepchnąłem pierwsze uderzenie na zewnątrz i wykorzystałem jego pęd, by odejść w lewo. Kadmin bez chwili przerwy powtórzył mój ruch i wyprowadził cios w twarz. Obróciłem głowę, by się uchylić i poczułem pierwsze uderzenie w skroń, na szczęście nie dość mocne, by uaktywnić kastet. Instynkt kazał mi postawić blokadę w dole, toteż proste kopnięcie Kadmina, które mogło roztrzaskać mi kolano, odbiło się od przedramienia. Wyprowadzone zaraz potem uderzenie łokciem zahaczyło o czubek mojej głowy. Zatoczyłem się do tyłu, z trudem utrzymując równowagę. Kadmin nadal nacierał. Odtrąciłem uderzenie prawej ręki, ale jego niósł już pęd ataku i prawie od niechcenia wyprowadził kolejny cios. Niskie pchnięcie prześlizgnęło się przez zasłonę i trafiło mnie w żołądek. Kastet elektryczny eksplodował z dźwiękiem podobnym do tego, jaki wywołuje wrzucenie mięsa na rozgrzany olej.

Poczułem, jakby wbił mi w brzuch bosak. Ból uderzenia pozostał na powierzchni skóry, ale przez mięśnie i żołądek przetoczyła się fala porażających skurczów. W połączeniu z resztkami wpływu ogłuszacza dało to piorunujący efekt. Zatoczyłem się trzy kroki do tyłu i upadłem na matę, wykręcając się przy tym jak na wpół zgnieciony robak. Usłyszałem odległy aplauz widowni.

Kiedy obróciłem głowę, zobaczyłem, że Kadmin cofnął się i stał w pozycji gotowości, z pięściami uniesionymi na wysokość twarzy. Ze stalowej taśmy na jego lewej dłoni mrugało do mnie słabe, czerwone światełko. Kastet gromadził nowy ładunek.

Zrozumiałem.

Pierwsza runda.

Walka gołymi rękami ma tylko dwie zasady. Zadać przeciwnikowi jak najwięcej ciosów, najmocniej i najszybciej jak potrafisz, aby zwalić go z nóg. Kiedy jest na ziemi, zabij. Jeśli obowiązują jakieś dodatkowe zasady czy ograniczenia, nie można mówić o walce, lecz o grze. Kadmin mógł mnie wykończyć, kiedy leżałem na macie, a skoro tego nie zrobił, wniosek nasuwał się sam. Tak naprawdę wcale nie walczyliśmy. Miał to być pokaz upokarzania mnie, w którym Kadmin zamierzał zadać mi jak najwięcej bólu, by usatysfakcjonować widownię.

Tłum.

Dźwignąłem się i rozejrzałem po słabo oświetlonej ścianie twarzy. Neurochem zaskoczył na błyszczących śliną zębach, które szczyrzyły się w otwartych krzykiem ustach. Zdusiłem mdłości, splunąłem na arenę i podniosłem się, przybierając pozycję bojową. Kadmin przechylił głowę, jakby wyrażał szacunek, a potem znów ruszył do ataku. Ta sama burza liniowych technik, ta sama prędkość i moc, ale tym razem byłem na nie przygotowany. Odbiłem pierwsze dwa ciosy skrzydłowymi blokami i zamiast się cofnąć, twardo stanąłem na drodze Kadmina. Zanim zrozumiał, co planuję, był już zbyt blisko. Prawie stykaliśmy się klatkami. Uderzyłem czołem w jego twarz, jakby należała do kogoś z wyjącego tłumu.

Orli nos złamał się z głośnym trzaskiem. Kadmin zachwiał się, a ja to wykorzystałem i powaliłem go bocznym kopnięciem w kolano. Krawędź mojej dłoni świsnęła, szukając karku lub gardła, ale Kadmin leżał już na macie. Przetoczył się i zahaczył mnie nogami. Kiedy upadłem, ukląkł obok i wałnął mnie w plecy. Ładunek kastetu znowu mnie wygiął i wałnąłem głową w matę. W ustach poczułem smak krwi.

Zobaczyłem, że Kadmin się cofa, wycierając krew ciekącą ze złamanego nosa. Popatrzył na poplamioną czerwienią dłoń, potem na mnie i potrząsnął głową z niedowierzaniem. Uśmiechnąłem się słabo, jadąc na fali adrenaliny, którą wywołał widok jego krwi, i uniosłem ręce, szykując się do dalszej walki.

– No chodź, skurwielu – zaskrzeczałem przez rozbite wargi. – Załatw mnie.

Rzucił się na mnie, jeszcze zanim skończyłem mówić. Tym razem ledwie go tknąłem. Wydarzenia toczyły się poza świadomą kontrolą. Neurochem dzielnie osłabiał cięgi, sterując blokami, by nie dopuścić do siebie kastetów i zapewnił mi przestrzeń na kilka chaotycznych przeciwuderzeń, które, jak podpowiadał mi instynkt Emisariusza, mogłyby przebić się przez zasłony Kadmina. Ten jednak odtrącił moje ciosy jak zaloty natrętnego owada.

Przy ostatniej z tych bezskutecznych ripost zbyt daleko wysunąłem rękę. Kadmin natychmiast złapał mnie za nadgarstek, pociągając w przód. Idealnie wyprowadzone kopnięcie z obrotu trafiło mnie prosto w żebra. Poczułem, jak pękają. Kadmin znów pociągnął, zablokował mi łokieć i jak na zwolnionym neurochemem filmie zobaczyłem, że przedramieniem po łuku uderza w dół, w stronę stawu. Wiedziałem, jaki rozlegnie się dźwięk, gdy staw eksploduje, wiedziałem, jaki jęk z siebie wydobędę, nim neurochem zablokuje ból. Desperacko przekręciłem rękę w uchwycie Kadmina i upadłem. Nadgarstek, śliski od potu, wysunął się z jego uchwytu. Uwolniłem się. Kadmin uderzył z potężną siłą, ale kość wytrzymała.

Wylądowałem na pękniętych żebrach i świat rozprysnął się na tysiące kawałków. Okręciłem się, próbując zwalczyć chęć zwinięcia się w kulkę, widząc tysiące metrów nad sobą rozmyte rysy Kadmina.

– Wstawaj – powiedział, a jego głos przypominał dźwięk rozdzierania potężnych kartonowych płyt. – Jeszcze nie skończyliśmy.

Odwinąłem się w talii, mierząc w jego krocze. Cios nie dosięgnął celu, tracąc energię na mięśniach uda. Kadmin prawie od niechcenia machnął ręką. Kastet elektryczny uderzył mnie w twarz. Zobaczyłem rozbłysk różnokolorowych świateł i wszystko rozplynęło się w bieli. W głowie huczał mi ryk

rozentuzjasmowanego tłumu. Wydawało mi się, że za nim słyszę wołający mnie sztorm. Wszystko cały czas traciło ostrość, wirowało i spadało, jak przy zrzucie grawitacyjnym, podczas gdy moje wspomaganie walczyło, by utrzymać mnie w rzeczywistości. Światła opadały na arenę i odlatywały z powrotem pod sufit, jakby chciały uważnie obejrzeć wyrządzone mi szkody, ale po drodze zmieniały zdanie i tylko pobieżnie rzucały na mnie okiem. Świadomość krążyła po szerokiej orbicie wokół mojej głowy. Nagle znów znalazłem się na Sharyi, kryjąc się z Jimmym de Soto we wraku zniszczonego czołgu pajęczego.

– Ziemia? – *Jego wyszczerzoną twarz poznaczoną ciemnymi pasami rozświecłają błyski laserowego ognia na zewnątrz czołgu.*
– *Człowieku, to bagno. Cholerne, zastęłe społeczeństwo, w którym czas cofnął się o pół tysiąclecia. Nic się tam nie dzieje, wydarzenia historyczne zostały oficjalnie zakazane.*

– *Bzdury.*

Moje niedowierzanie podkreśla świst spadającej bomby kasetowej. W mroku kabiny spotyka się spojrzenie naszych oczu. Bombardowanie trwa od zmierzchu, zautomatyzowana broń szuka śladów w podczerwieni i wszelkiego ruchu. W rzadkich chwilach, kiedy przestaje działać sharykańskie zagłuszanie, słyszymy, że odległa zaledwie o kilka sekund świetlnych flota międzyplanetarna admirała Curatora nadal walczy z Sharyanami o dominację orbitalną. Jeśli bitwa nie skończy się do świtu, tubylcy pewnie wyprowadzą siły lądowe, by nas wykurzyć. Właściwie nie mamy szans.

Przynajmniej kończy się dół po betatanatynie. Czuję, jak temperatura mojego ciała zaczyna powoli wracać do normy. Powietrze nie przypomina już konsystencją gorącej zupy, a oddychanie przestało stanowić wysiłek jak w czasie, gdy nasze serca biły w tempie bliskim zeru.

Automatyczna bomba eksploduje, a nogi czołgu uderzają o pancerz. Obaj odruchowo zerkamy na mierniki dawki promieniowania.

– Bzdury, mówisz? – Jimmy wygląda przez poszarpaną dziurę, którą wybiliśmy w pancerzu czołgu. – Hej, ty stamtąd nie pochodzisz. A ja tak i mówię ci, że gdyby dali mi do wyboru życie na Ziemi albo pieprzoną przechowalnię, poważnie bym się nad tym zastanowił. Jeśli kiedyś staniesz przed szansą odwiedzenia Ziemi, lepiej zrezygnuj.

Zamrugalem, by odpędzić wizję. Wysoko nade mną błyszczał zawieszony w polu grawitacyjnym nóż, świecąc jak słońce przez drzewa. Jimmy blakł, dryfując pod sufit.

– Mówilem, żebyś tu nie przylatywał, prawda, stary? I popatrz na siebie. Ziemia. – Splunął i zniknął, zostawiając echo swojego głosu. – To bagno. Musisz przejść do następnego ekranu.

Hałas tłumu przycichł do żałobnego śpiewu.

Przez mgłę, jaka wypełniała moją głowę, niczym rozgrzany do czerwoności drut przebił się gniew. Podniosłem się na łokciu i skupilem wzrok na Kadminie czekającym po drugiej stronie ringu. Zobaczył, że się podnoszę i uniół ręce, naśladując gest wykonany wcześniej przeze mnie. Tłum zawył ze śmiechu.

Musisz przejść do następnego ekranu.

Skoczyłem na nogi.

Jeśli nie będziesz odrabiał lekcji, którejś nocy przyjdzie po ciebie łątołak.

Usłyszałem ten głos po raz pierwszy od prawie stu pięćdziesięciu lat obiektywnego czasu. Należał do człowieka, któremu nie poświęciłem ani jednego wspomnienia przez większą część dorosłego życia. Mój ojciec i jego cudowne historie na dobranoc. I proszę, mogłem się założyć, że zjawi się właśnie teraz, kiedy naprawdę potrzebowałem tego gówna.

Przyjdzie po ciebie łątołak.

No cóż, tato, tu się mylisz. Łatołak stoi tuż obok i czeka. Nie przychodzi po mnie, sam muszę iść do niego. Ale i tak dzięki, tato, dzięki za wszystko.

Z komórkowego poziomu ciała Rykera przywołałem ostatnie rezerwy sił i ruszyłem naprzód.

Gdzieś wysoko nad ringiem pękło szkło. Odłamki poleciały jak

deszcz na oddzielającą mnie od Kadmina przestrzeń.

– Kadmin!

Zobaczyłem, jak Kadmin podnosi wzrok do galeryjki w górze, a potem cała jego klatka piersiowa eksploduje z hukiem. Głowę i ramiona odrzucił do tyłu, jakby nagle coś gwałtownie wytrąciło go z równowagi, a przez ładownię przetoczył się huk wystrzału. Przód jego gi pękł, a od gardła do talii otworzyła się potężna dziura, z której krew trysnęła strumieniami.

Okręciłem się w miejscu, patrząc w górę. W rozbitym oknie galerii zobaczyłem Trepp, wciąż tulącą w ramionach karabin. Lufa zakwitła płomieniami, przełączając się na ogień ciągły. Zmieszany, odwróciłem się, szukając potencjalnego celu, ale oprócz szczątków Kadmina na arenie nie dostrzegłem nic i nikogo. Carnage znikł, a odgłosy tłumu zmieniły się w wycie przerażenia. Wyglądało na to, że wszyscy próbowali się ratować ucieczką. Nagle zrozumiałem. Trepp strzelała do widowni.

W dole, na dnie komory, zagrzmiała broń energetyczna i ktoś zaczął krzyczeć. Odwróciłem się, nagle powolny i niezgrabny, w stronę, z której dobiegał dźwięk. Carnage płonął. W odległych drzwiach ładowni stał Rodrigo Bautista, prowadząc ogień szeroką wiązką z długolufowego blastera. Carnage palił się od pasa w górę, rozpaczliwie wymachując rękami, na których wyrosły już ogniste skrzydła. Wydawał z siebie skrzek, który brzmiał bardziej jak głos furii niż bólu. U jego stóp leżała martwa Pernilla Grip, jak figurka ze stopionego wosku. Pisk Carnage’a zmienił się powoli w jęk, potem w elektroniczny chrzęst, wreszcie ucichł.

– Kovacs?

Fragownica Trepp zamilkła. Wśród rozbrzmiewających wokół jęków i krzyków rannych podniesiony głos Bautisty brzmiał nienaturalnie głośno. Obszedł płonącego syntetyka i wspiął się na ring. Twarz miał umazaną krwią.

– Trzymasz się jeszcze jakoś, Kovacs?

Zaśmiałem się słabo, a potem gwałtownie się zwinąłem, czując w boku rozdzierający ból.

– Rewelacyjnie. Co z Ortegą?

– Będzie dobrze. Napakowali ją letinolem na szok. Przepraszam, że dotarliśmy tak późno. – Machnął w stronę Trepp. – Trochę trwało, zanim twoja przyjaciółka przebiła się do mnie na Fell Street. Nie chciała tego załatwiać oficjalnymi kanałami, żeby się nie narażać. Biorąc pod uwagę bałagan, jaki zrobiliśmy po drodze, chyba miała rację.

Rozejrzałem się dookoła, oceniając rozmiar uszkodzeń organicznych.

– Racja. Będziesz miał problemy?

– Jaja sobie robisz? – Roześmiał się Bautista. – Wkroczyłem bez nakazu. Zadałem uszkodzenia organiczne nieuzbrojonym podejrzanym. Jak myślisz, kurwa?

– Przepraszam. – Zacząłem się podnosić z ringu. – Może uda nam się coś wymyślić.

– Hej! – Bautista złapał mnie za ramię. – Podnieśli rękę na gliniarza z Bay City. Nikt tu nie robi takich rzeczy. Ktoś powinien był to wyjaśnić Kadminowi, zanim popełnił błąd.

Nie byłem pewien, czy mówi o Ortedze, czy o mnie w powłoce Rykera, więc przezornie milczałem. Zamiast tego ostrożnie przechyliłem głowę i spojrzałem do góry na Trepp. Przeładowywała fragownicę.

– Hej, chcesz tam zostać całą noc? – zawołałem.

– Zaraz zejść.

Wsunęła do broni ostatni pocisk, potem wykonała eleganckie salto nad barierką i zaczęła spadać. Na jej plecach zaskoczyła uprząż grawitacyjna i po chwili zawisła nad nami na wysokości głowy, z karabinem zawieszonym na ramieniu. W swoim długim czarnym płaszczu wyglądała jak mroczny anioł po służbie.

Poprawiając regulację uprząży, poddryfowała bliżej podłogi, po czym wylądowała tuż obok Kadmina. Podkuśtykałem do niej. Oboje przez chwilę patrzyliśmy w milczeniu na porozrywane ciało.

– Dzięki – powiedziałem cicho.

– Zapomnij. To w ramach naszej umowy. Przykro mi, że

musiałam sprowadzić tych facetów, ale potrzebowałam wsparcia. Wiesz, co mówią w okolicy o psach. Największy cholerny gang w mieście, nie? – Kiwnęła głową w stronę Kadmina. – Chcesz go tak zostawić?

Patrzyłem na Męczennika Prawej Ręki Boga, jego twarz zastygła w wyrazie zaskoczenia. Próbowałem zobaczyć w nim łątołaka.

– Nie – odpowiedziałem i obróciłem ciało czubkiem buta, odsłaniając podstawę karku. – Możesz mi pożyczyć ten palnik, Bautista?

Bez słowa podał mi blaster. Przystawiłem lufę do podstawy czaszki łątołaka i czekałem, czy coś poczuję.

– Ktoś chciałby coś powiedzieć? – zapytała śmiertelnie poważnie Trepp. Bautista tylko się odwrócił. – No dalej, zrób to.

Nawet jeśli mój ojciec zamierzał rzucić jakiś komentarz, zachował go dla siebie. W komorze rozlegały się tylko jęki rannych, co zupełnie zignorowałem.

Pociągnąłem za spust. Nic nie poczułem.

Rozdział trzydziesty siódmy

Kiedy godzinę później przyszła Ortega, znalazła mnie w sali upowłokowień. Siedziałem na jednym z automatycznych podnośników i patrzyłem w zielony poblask pustych zbiorników przelewowych. Nadal nic nie czułem. Otwierająca się śluza powietrzna wydała najpierw głośne sapnięcie, a potem szeleszczenie, ale nie zareagowałem. Nie obejrzałem się nawet, kiedy rozpoznałem odgłos kroków Ortegi i usłyszałem krótkie przekleństwo, gdy przechodziła między wijącymi się na podłodze kablami. Byłem równie pozbawiony energii, co maszyna, na której siedziałem.

– Jak się czujesz?

Spojrzałem w dół, gdzie stała obok podnośnika.

– Pewnie tak, jak wyglądałam.

– Wyglądasz jak kupa gówna. – Sięgnęła w moją stronę i chwyciła wystający uchwyt podnośnika. – Mogę się do ciebie przyłączyć?

– Proszę bardzo. Pomóc ci?

– Nie. – Napięła się, by podnieść się na rękach, zszarzała z wysiłku i zawisła z krzywym uśmiechem. – A jednak.

Podąłem jej mniej uszkodzoną ręką i pomogłem wciągnąć się na platformę. Przez chwilę dyszała bezsilnie, potem usadowiła się obok mnie i potarła dłońmi po ramionach.

– Chryste, ale tu zimno. Długo już na tym siedzisz?

– Jakąś godzinę.

Spojrzała na puste zbiorniki.

– Widziałeś coś ciekawego?

– Myślę.

– Och... – Znów umilkła. – Wiesz, ten pieprzony letinol jest gorszy niż ogłuszacz. Kiedy oberwiesz ogłuszaczem,

przynajmniej wiesz, że doszło do uszkodzeń, a letinol kłamie. Po nim myślisz, że wszystko jest w porządku i że możesz się spokojnie odprężyć. A potem wywracasz się cyckami do przodu na pierwszym pięciocentymetrowym kablu, nad którym musisz przejść.

– Mam wrażenie, że powinnaś leżeć – powiedziałem łagodnie.

– Jasne. Ty pewnie też. Jutro będziesz miał trochę fajnych siniaków na twarzy. Mercer dał ci zastrzyk przeciwbólowy?

– Nie potrzebowałem.

– Ach, twardeł. Wydawało mi się, że obiecałeś uważać na tę powłokę.

Uśmiechnąłem się odruchowo.

– Powinnaś zobaczyć tego drugiego.

– Widziałam. Rozdarłeś go na strzępy gołymi rękami, co?

Uśmiech nie schodził mi z twarzy.

– Gdzie Trepp? – zapytałem.

– Twoja okablowana przyjaciółka? Zniknęła. Powiedziała Bautiście coś na temat konfliktu interesów i rozplynęła się w mroku nocy. Bautista rwie sobie teraz włosy z głowy, próbując wymyślić jakieś sensowne wytłumaczenie tego bałaganu. Poszedłbyś z nim porozmawiać?

– Dobra.

Przesunąłem się niechętnie. W zielonym świetle promieniującym ze zbiorników przelewowych było coś hipnotycznego, a pod powłoką otępienia w moim umyśle bezustannie wirowały myśli, przepychając się niczym rekiny krążące wokół ofiary. Śmierć Kadmina, zamiast przynieść mi ulgę, rozpałała tylko wolno tłący się lont. Chciałem niszczyć wszystko dookoła. Ktoś będzie musiał zapłacić za to wszystko.

Wziąłem to do siebie.

Ale chodziło o coś więcej niż tylko osobiste urazy. Chodziło o Louise, alias Anenome, pociętą na stole operacyjnym. O Elizabeth Elliott, którą zadźgano nożem, zbyt biedną, by mogła pozwolić sobie na kolejną powłokę. O Irene Elliott, płaczącą za ciałem, które jakaś biurwa nosiła tylko co drugi miesiąc.

O Victora Elliotta, którym targały sprzeczne uczucia, bo utracił żonę a potem odzyskał kogoś, kto zarazem był i nie był tą samą kobietą. O Virginie Vidaurę z pogardą odchodzącą do przechowalni, z wysoko podniesionym czołem i papierosem zanieczyszczającym płuca, które właśnie miała stracić, bez wątpienia na rzecz innego korporacyjnego wampira. Chodziło o Jimmy'ego de Soto, który wydłubał własne oko w błocie Innenin i o miliony takich jak on w całym Protektoracie, boleśnie świadomych zmarnowanego ludzkiego potencjału, wyrzuconego na gnojowisko historii. Ktoś będzie musiał zapłacić za nich i wielu innych.

Czując lekkie zawroty głowy, zsunąłem się z podnośnika i pomogłem zejść z niego Ortedze. Kiedy oparła się na mnie całym ciałem, poczułem w rękach ból, ale był on niczym w porównaniu z mrozącą krew w żyłach świadomością, że to ostatnie chwile, jakie razem spędzamy. Nie wiem, skąd wzięło się to uczucie, ale przytłoczyło mnie jak głaz. Wyszliśmy z komory upowłokowień, trzymając się za ręce, nieświadomi tego gestu aż do chwili, gdy natknęliśmy się w korytarzu na Bautistę i instynktownie się od siebie odsunęliśmy.

– Szukałem cię, Kovacs. – Nawet jeśli Bautista miał własne zdanie na temat tego, czy powinniśmy paradować w ten sposób, zatrzymał je dla siebie. – Twoja przyjaciółka najemniczka dała nogę i zostawiła nam sprzątanie.

– Tak, Kristi... – Przerwałem i kiwnąłem głową w stronę Ortegi. – Już wiem. Zabrała fragownicę?

Bautista potwierdził kiwnięciem głowy.

– Więc masz idealną historię – stwierdziłem. – Ktoś zadzwonił z informacją o strzelaninie w Panama Rose, przyjechałeś to sprawdzić i zastałeś zmasakrowaną widownię, martwego Kadmina i Carnage'a oraz pół żywych mnie i Ortegę. Carnage musiał coś wykręcić, pewnie z osobistej zemsty.

Kątem oka dostrzegłem, że Ortega potrząsa głową.

– To nie przejdzie – odpowiedział Bautista. – Wszystkie telefony na Fell Street są rejestrowane. To samo dotyczy połączeń

w radiowozach.

Wzruszyłem ramionami, czując, jak budzi się we mnie Emisariusz.

– I co z tego? Ty i Ortega pewnie macie w Richmond jakichś donosicieli. Ludzi, których nazwisk nie możecie ujawnić. Połączenie przyszło na osobisty telefon, który akurat przypadkiem został zniszczony w trakcie strzelaniny z ochroną Carnage’a. Żadnych śladów. I niczego na monitorach, ponieważ ten tajemniczy ktoś, kto wywołał całe zamieszanie, wyczyścił automatyczny system nadzoru. Jestem pewien, że da się to zrobić.

Bautista wyglądał, jakby miał wątpliwości.

– Pewnie tak. Potrzebowalibyśmy do tego infoszczura. Davidson dobrze sobie z tym radzi, ale nie aż tak dobrze.

– Mogę wam dać dobrego. Coś jeszcze?

– Część widzów przeżyła. Nie są w stanie niczego zrobić, ale nadal oddychają.

– Zapomnij o nich. Jeśli w ogóle cokolwiek widzieli, to Trepp. Przypuszczam, że nawet tego nie będą pewni. Wszystko rozegrało się w ciągu kilku sekund. Trzeba się tylko zdecydować, kiedy zadzwonić po karetki.

– Powinniśmy to niedługo zrobić – stwierdziła Ortega – bo inaczej zacznie to wyglądać podejrzanie.

– Wszystko wygląda cholernie podejrzanie – prychnął Bautista.

– Wszyscy na Fell Street będą wiedzieć, przez co tu dzisiaj przeszliśmy.

– Często robicie takie numery? – rzuciłem, siląc się na dowcip.

– To nie jest śmieszne, Kovacs. Carnage przekroczył granicę i wiedział, co na siebie sprowadza.

– Carnage – syknęła przez zęby Ortega. – Ten sukinsyn ma gdzieś kopię. Jak tylko się upowłokowi, zacznie wrzeszczeć o śledztwo.

– Może nie – stwierdził Bautista. – Według ciebie, ile czasu minęło, od kiedy skopiował się do syntetyka?

– Kto wie? – Ortega wzruszyła ramionami. – Siedział w nim

w zeszłym tygodniu, więc przynajmniej tak długo. Chyba że ma aktualizację kopii. Ale to cholernie kosztowne.

– Gdybym był kimś pokroju Carnage’a – odezwałem się z namysłem – robiłbym sobie aktualizację za każdym razem, gdyby wydarzyło się coś poważnego. Niezależnie od kosztów. Nie chciałbym obudzić się rano ze świadomością, że nie wiem co się, do cholery, działo w tygodniu przed moim spaleniem.

– To zależy od tego, co się robi – zwrócił uwagę Bautista. – Gdybyś babrał się w jakimś wyjątkowo nielegalnym gównie, pewnie wolałbyś się obudzić bez wiedzy na ten temat. Wtedy z uśmiechem na ustach przeszedłbyś policyjną polarografię.

– Hej, jeszcze lepiej. Nie trzeba by...

Umilkłem, zastanawiając się nad tym. Bautista niecierpliwie machnął ręką.

– Wszystko jedno. Jeśli Carnage obudzi się, nie wiedząc, co się wydarzyło, być może zacznie węszyć na własną rękę, ale na pewno nie będzie mu zależało na dopuszczeniu do tego policji. A jeśli obudzi się z pełną świadomością – rozłożył ręce – zrobi mniej hałasu niż katolicki orgazm. Myślę, że z tej strony jesteśmy kryci.

– W takim razie wezwij karetki. I może zadzwoń do Murawy, żeby...

Przestałem słyszeć głos Ortegi, gdy ostatni kawałek układanki wsunął się na miejsce. Rozmowa między gliniarzami stała się odległa jak szum kosmosu w łączu kombinezonu. Wpatrywałem się w drobną szczelinę na mentalnej ścianie przede mną, na wszelkie możliwe sposoby testując myśl, która właśnie przyszła mi do głowy.

Bautista przyjrzał mi się, ale nie skomentował i poszedł wezwać karetki. Kiedy zniknął, Ortega dotknęła lekko mojego ramienia.

– Hej, dobrze się czujesz, Kovacs?

Zamrugalem.

– Kovacs?

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem ściany, jakby upewniając się,

że istnieje. W porównaniu z pewnością, jakiej nabrałem co do mojej koncepcji, całe otoczenie wydawało mi się zaledwie na wpół realne.

– Kristin – powiedziałem wolno – muszę dostać się na pokład Głowy w Chmurach. Wiem, co zrobili Bancroftowi. Mogę zniszczyć Kawaharę i doprowadzić do przepchnięcia Rezolucji 653. I mogę oczyścić Rykera.

Westchnęła.

– Kovacs, już przez to przecho...

– Nie. – Okrucieństwo pojawiło się w moim głosie tak nagle, że zaskoczyło nawet mnie. Czułem, jak bolą skaleczenia na twarzy Rykera. – To nie spekulacje ani rzucanie się po ciemku. To fakt. I wejdę na pokład Głowy w Chmurach. Z twoją pomocą czy bez niej, zrobię to.

– Kovacs. – Ortega potrząsnęła głową. – Spójrz na siebie. Jesteś w strzępach. W tej chwili nie byłbyś w stanie pokonać alfonsa z Oakland, a mówisz o penetracji jednego z Domów Zachodniego Wybrzeża. Myślisz, że uda ci się przebić przez ochronę Kawahary z połamanymi żebrami i taką twarzą? Zapomnij.

– Nie powiedziałem, że to będzie łatwe.

– To w ogóle niemożliwe. Siedziałam nad taśmami z Hendriksa dostatecznie długo, by pomóc ci z tym głównym dla Bancrofta, ale dalej się nie posunę. Gra skończona, twoja koleżanka Sara wraca do domu. Ty także. To wszystko. Nie jestem zainteresowana wyrównywaniem rachunków.

– Naprawdę chcesz odzyskać Rykera? – zapytałem cicho.

Przez chwilę myślałem, że mnie uderzy.

Szeroko wydeła nozdrza, zbladła i opuściła prawą rękę do ciosu. Nie wiem, czy powstrzymała ją samokontrola, czy efekt osłabienia po strzale z ogłuszacza.

– Powinnam cię za to rzucić na ziemię, Kovacs – powiedziała bezbarwnie.

Uniosłem ręce.

– Proszę bardzo. W tej chwili nie poradziłbym sobie z alfonsem z Oakland, pamiętasz?

Z głębi gardła wydobyła dźwięk, świadczący o jej zde gustowaniu i zaczęła się odwracać.

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej ramienia.

– Kristin... – Zawahałem się. – Przepraszam. To było wredne zagranie. Czy mogłabyś przynajmniej raz mnie wysłuchać?

Odwróciła się do mnie z powrotem, z zaciśniętymi ustami i opuszczoną głową. Głośno przełknęła ślinę.

– Nie zrobię tego. Za dużo ode mnie wymagasz. – Odchrząknęła. – Nie chcę cię więcej krzywdzić, Kovacs. Po prostu chcę ci oszczędzić kolejnych uszkodzeń.

– Masz na myśli powłokę Rykera?

Spojrzała na mnie taksująco.

– Nie – powiedziała cicho. – Nie to miałam na myśli.

I przytuliła się do mnie w tym ponurym metalowym korytarzu, mocno obejmując mnie ramionami i wciskając twarz w moją pierś. Też przełknąłem ślinę i mocniej zacisnąłem ramiona. Ostatnie chwile naszego czasu przesuwwały się między palcami jak ziarenka piasku. Oddałbym prawie wszystko za jakiś sensowny plan, który mógłbym jej przedstawić, za jakiś sposób na zniszczenie rosnącego między nami muru. Oddałbym prawie wszystko, żeby nie nienawidzić Reileen Kawahary aż tak bardzo.

Oddałbym prawie wszystko.

* * *

Druga nad ranem.

Zadzwoiłem do Irene Elliott do apartamentu JacSolu i wyciągnąłem ją z łóżka. Powiedziałem jej, że mamy problem, za którego rozwiązanie dobrze zapłacimy. Trochę nieprzytomnie pokiwała głową. Bautista pojechał po nią nieoznakowanym radiowozem.

Zanim wrócili, pokład Panama Rose oświetlono jak na przyjęcie. Ustawione pionowo punktowe reflektory sprawiały, że statek wyglądał, jakby opuścił się z nocnego nieba na świetlistych sznurach. Cały kadłub i okoliczny dok przecinały

porozciągane kable Rykera. – To nie spekulacje ani rzucanie się po ciemku. To fakt. I wejdę na pokład Głowy w Chmurach. Z twoją pomocą czy bez niej, zrobię to.

– Kovacs. – Ortega potrząsnęła głową. – Spójrz na siebie. Jesteś w strzępach. W tej chwili nie byłbyś w stanie pokonać alfonsa z Oakland, a mówisz o penetracji jednego z Domów Zachodniego Wybrzeża. Myślisz, że uda ci się przebić przez ochronę Kawahary z połamanymi żebrami i taką twarzą? Zapomnij.

– Nie powiedziałem, że to będzie łatwe.

– To w ogóle niemożliwe. Siedziałam nad taśmami z Hendriksa dostatecznie długo, by pomóc ci z tym głównem dla Bancrofta, ale dalej się nie posunę. Gra skończona, twoja koleżanka Sara wraca do domu. Ty także. To wszystko. Nie jestem zainteresowana wyrównywaniem rachunków.

– Naprawdę chcesz odzyskać Rykera? – zapytał cicho.

Przez chwilę myślałem, że mnie uderzy.

Szeroko wyduła nozdrza, zbladła i opuściła prawą rękę do ciosu. Nie wiem, czy powstrzymała ją samokontrola, czy efekt osłabienia po strzale z ogłuszacza.

– Powinnam cię za to rzucić na ziemię, Kovacs – powiedziała bezbarwnie.

Uniosłem ręce.

– Proszę bardzo. W tej chwili nie poradziłbym sobie z alfonsem z Oakland, pamiętasz?

Z głębi gardła wydobyła dźwięk, świadczący o jej zde gustowaniu i zaczęła się odwracać.

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej ramienia.

– Kristin... – Zawahałem się. – Przepraszam. To było wredne zagranie. Czy mogłabyś przynajmniej raz mnie wysłuchać?

Odwróciła się do mnie z powrotem, z zaciśniętymi ustami i opuszczoną głową. Głośno przełknęła ślinę.

– Nie zrobię tego. Za dużo ode mnie wymagasz. – Odchrząknęła. – Nie chcę cię więcej krzywdzić, Kovacs. Po prostu chcę ci oszczędzić kolejnych uszkodzeń.

– Masz na myśli powłokę Rykera?

Spojrzała na mnie taksująco.

– Nie – powiedziała cicho. – Nie to miałam na myśli.

I przytuliła się do mnie w tym ponurym metalowym korytarzu, mocno obejmując mnie ramionami i wciskając twarz w moją pierś. Też przełknąłem ślinę i mocniej zacisnąłem ramiona. Ostatnie chwile naszego czasu przesuwwały się między palcami jak ziarenka piasku. Oddałbym prawie wszystko za jakiś sensowny plan, który mógłbym jej przedstawić, za jakiś sposób na zniszczenie rosnącego między nami muru. Oddałbym prawie wszystko, żeby nie nienawidzić Reileen Kawahary aż tak bardzo.

Oddałbym prawie wszystko.

* * *

Druga nad ranem.

Zadzwońiłem do Irene Elliott do apartamentu JacSolu i wyciągnąłem ją z łóżka. Powiedziałem jej, że mamy problem, za którego rozwiązanie dobrze zapłacimy. Trochę nieprzytomnie pokiwała głową. Bautista pojechał po nią nieoznakowanym radiowozem.

Zanim wrócili, pokład Panama Rose oświetlono jak na przyjęcie. Ustawione pionowo punktowe reflektory sprawiały, że statek wyglądał, jakby opuścił się z nocnego nieba na świetlistych sznurach. Cały kadłub i okoliczny dok przecinały porozciągane kable z aluminium. Dach ładowni, w której odbywała się walka, odsunięto, aby umożliwić bezpośredni dostęp ambulansom, a blask oświetlenia sceny zbrodni wznosił się w górę jak światło z kuźni. Niebo należało do radiowozów, których spora liczba parkowała też na pokładzie, błyskając na czerwono i niebiesko.

Spotkałem się z nią na trapie.

– Chcę odzyskać swoje ciało – krzyknęła do mnie przez świst i wycie silników w powietrzu. W świetle reflektorów czarne włosy jej powłoki wyglądały na blond.

– Nie mogę tego teraz zagwarantować – krzyknąłem

w odpowiedzi. – Ale będę pamiętał. Najpierw musisz załatwić to. Zdobądź kredyt. A teraz zabierajmy się stąd, zanim wypatrzy cię jakaś cholerna Sandy Kim.

Lokalne prawo nie pozwalało zbliżyć się pojazdom prasy. Ortega, wciąż osłabiona i drżąca, owinęła się w policyjny płaszcz i trzymała na dystans innych gliniarzy. Oczy błyszczały jej uporem, który utrzymywał ją na nogach. Statek objął w posiadanie Wydział Uszkodzeń Organicznych. Policjanci krzyczeli, przepychali się, klęli i łazili po całym pokładzie, podczas gdy Elliott zasiadła do pracy, fałszując potrzebne im nagrania z kamer. Jak powiedziała Trepp, faktycznie stanowili największy gang w mieście.

– Jutro wyprowadzam się z apartamentu – powiedziała do mnie Elliott. – Nie będziesz mógł się ze mną skontaktować.

Przez kilka chwil milczała, świszcząc cicho przez zęby i tworząc obrazy, jakich zażądałem. Potem rzuciła mi spojrzenie przez ramię.

– Mówisz, że zarabiam na szacunek tych facetów – zaczęła wolno. – Będą mi coś winni?

– Tak, można tak to ująć.

– Więc skontaktuję się z nimi. Daj mi namiary na głównodowodzącego, porozmawiam z nim. I nie próbuj dzwonić do mnie do Ember, tam też mnie nie będzie.

Milczałem, patrząc na nią uważnie. Wróciła do pracy.

– Po prostu potrzebuję trochę czasu w samotności – wymamrotała.

Ja nie mogłem sobie pozwolić na taki luksus.

Rozdział trzydziesty ósmy

Przyglądałem się, jak nalewa sobie z butelki piętnastoletniego single malta, zabiera szklaneczkę do telefonu i ostrożnie siada. Połamane żebra poskładano w jednym z ambulansów, ale cały bok wciąż bolał, czasami dżgając agonialnym wręcz bólem. Wziął łyk whisky, zebrał się w sobie i wystukał numer.

– Rezydencja Bancroftów. Z kim chciałby pan rozmawiać? – na wezwanie odpowiedziała ta sama poważnie ubrana kobieta, która odebrała połączenie, gdy ostatni raz dzwoniłem do Suntouch House. Ten sam strój, identyczna fryzura, nawet niezmieniony makijaż. Może była konstruktem telefonicznym.

– Z Miriam Bancroft.

Znów uległem wrażeniu, że jestem tylko pasywnym obserwatorem. Powróciło do mnie uczucie, jakiego doznałem, patrząc w lustro w noc, gdy powłoka Rykera zakładała broń. Wtedy widziałem tylko fragmenty jego twarzy, teraz było jeszcze gorzej.

– Proszę poczekać.

Kobieta zniknęła z ekranu, zastąpiona obrazem płonącej świecy na wietrze, ze zsynchronizowaną muzyką fortepianową przywodzącą na myśl jesienne liście opadające na zdeptany chodnik. Po mniej więcej minucie pojawiła się Miriam Bancroft, ubrana w nieskazitelny kostium i bluzkę. Uniosła perfekcyjnie wyczesaną brew.

– Pan Kovacs. Cóż za niespodzianka.

– No cóż. – Niepewnie machnął dłonią. Nawet przez łącze wizyjne Miriam Bancroft emanowała zmysłowością, która wytrącała go z równowagi. – Czy to bezpieczne połączenie?

– W granicach rozsądku. Czego pan chce?

Odchrząknął.

– Zastanawiałem się... Chciałbym przedyskutować z panią kilka spraw. Hm, możliwe, że jestem pani winien przeprosiny.

– Czyżby? – Tym razem uniosła obie brwi. – Kiedy chciałby się pan spotkać?

Wzruszył ramionami.

– Na razie mam mnóstwo wolnego czasu.

– Tak. Jednak, panie Kovacs, na razie jestem zajęta. Wybieram się na spotkanie do Chicago i nie wrócę na wybrzeże wcześniej niż jutro wieczorem. – W kącikach jej ust pojawił się delikatny cień uśmiechu. – Zaczeka pan?

– Jasne.

Nachyliła się do ekranu, mrużąc oczy.

– Co się stało z pańską twarzą?

Uniósł dłoń do jednego z wykwitających na twarzy siniaków. Nie spodziewał się, że w słabym oświetleniu pokoju będą aż tak widoczne. Nie oczekiwał też uwagi ze strony Miriam Bancroft.

– To długa historia. Powiem pani, kiedy się spotkamy.

– W takim razie nie mogę się już doczekać – rzuciła ironicznie.

– Wyślę po pana limuzynę do Hendriksa jutro po południu. Może być o czwartej? Dobrze. A więc do zobaczenia.

Ekran opustoszał. Siedział jeszcze przez chwilę, wpatrując się w niego, potem wyłączył telefon i okręcił fotel w stronę półki pod oknem.

– Budzi we mnie nerwowość – skomentował.

– Tak, też to mam.

– Bardzo zabawne.

– Staram się.

Wstałem po butelkę whisky. Kiedy przechodziłem przez pokój, dostrzegłem swoje odbicie w lustrze obok łóżka.

O ile powłoka Rykera natychmiast kojarzyła się z kimś, kto siłą pokonuje przeciwności, człowiek w lustrze wyglądał, jakby mógł zwinnie prześlizgnąć się obok każdego kryzysu i przyglądać się spokojnie, jak przeznaczenie bezsilnie wali się na tłustą gębę. Ciało poruszało się z kocią gracją i ergonomią, której nie powstydziliby się Anchana Salomao. Na zwodniczo wąskie

ramiona opadała kaskada gęstych, niemal niebieskoczarnych włosów, a szlachetnie zarysowane oczy miały łagodne i pełne wyrazu spojrzenie sugerujące, że ich właścicielowi dobrze się żyje na tym świecie.

W powłoce technoninji tkwiłem dopiero od kilku godzin – według wyświetlacza zegara zamontowanego w lewym górnym skraju pola widzenia: dokładnie siedem godzin i czterdzieści dwie minuty – ale nie odczuwałem żadnych zwyczajowych skutków ubocznych transferu. Podniosłem butelkę whisky płynnym ruchem jednej ze szczupłych, ciemnych dłoni artysty. Nawet gra mięśni i kości wyrażała rozpierającą mnie radość. Neurochemia Khumalo brzęczała bezustannie na granicy percepcji, jakby śpiewając cicho o milionie różnych rzeczy, do których w każdej chwili było zdolne to ciało. Nigdy jeszcze, nawet w trakcie pobytu w Korpusie, nie nosiłem czegoś takiego.

Przypomniałem sobie słowa Carnage’a i w duchu potrząsnąłem głową. Jeśli ONZ uważał, że uda im się wyegzekwować dziesięcioletnie embargo kolonialne na coś *takiego*, ich urzędnicy żyli chyba w innym świecie.

– Nie wiem jak ty – powiedział – ale czuję się cholernie dziwnie.

– Mów mi jeszcze – napełniłem własną szklaneczkę i zatkałem butelkę.

Potrząsnął głową. Wróciłem do półki pod oknem i usiadłem, opierając się plecami o szybę.

– Jak, do cholery, wytrzymał to Kadmin? Ortega mówiła, że pracował ze sobą przez cały czas.

– Pewnie z czasem do wszystkiego można się przyzwyczaić. Zresztą, Kadmin był cholernie porąbanym czubkiem.

– Ooo, a my nie?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie mieliśmy wyboru. Gdybyśmy się na to nie zdecydowali, pewnie musielibyśmy wypaść z gry. Czy tak byłoby lepiej?

– Ty mi powiedz. To ty pójdziesz do Kawahary. Ja tu jestem tylko dziwką. Tak się składa, że Ortega nie była zbyt zachwycona

tą częścią umowy. Już wcześniej miała problemy emocjonalne, ale teraz...

– *Ona* ma problemy? Jak myślisz, jak ja się czuję?

– Wiem jak się czujesz, idioto. Jestem tobą.

– Na pewno? – Napilem się whisky i machnąłem ręką ze szklaneczką. – Jak myślisz, po jakim czasie przestaniemy być dokładnie tą samą osobą?

Wzruszył ramionami.

– Jesteś tym, co pamiętasz – zauważył. – W tej chwili dzieli nas tylko około ośmiu godzin. Jeszcze nie mogło nas mocno rozjechać.

– Przy czterdziestu latach podstawy?

– Zdecydowanie. Osobowość budują głównie wczesne lata.

– Jasne, tak mówią. A skoro już przy tym jesteśmy, powiedz mi jedno. Jak się czujesz, to znaczy, jak *my* się czujemy z tym, że łaćolak nie żyje?

Przesunąłem się niepewnie.

– Musimy o tym rozmawiać?

– O czymś musimy. Jesteśmy skazani na siebie aż do jutrzejszego wieczora...

– Jeśli chcesz, możesz iść do miasta. Skoro już o tym mowa – wskazałem kciukiem w stronę sufitu – ja mogę wyjść tą samą drogą, którą się tu dostałem.

– Naprawdę aż tak bardzo nie chcesz o tym rozmawiać, co?

– To raczej trudne.

Przynajmniej nie kłamałem. Pierwotny szkic planu wymagał, by moja kopia w ciele ninji została w mieszkaniu Ortegi do czasu, aż kopia w Rykerze zniknie z Miriam Bancroft. Potem uświadomiłem sobie, że do przeprowadzenia szturmu na Głowę w Chmurach potrzebujemy aktywnej współpracy ze strony Hendriksa. Mógłbym mu dowieść swojej tożsamości tylko w jeden sposób – poddając się skanowi w przechowalni. Uznałem więc, że lepiej będzie, jeśli moją kopię w ciele ninji przedstawi mu Ryker, zanim odleci z Miriam Bancroft. Ponieważ jednak kopię Rykera nadal obserwowała Trepp, wspólne wejście

jednymi drzwiami nie wydawało się najszcześniejszym pomysłem. Pożyczyłem więc od Bautisty uprząż grawitacyjną oraz strój maskujący i tuż przed świtem prześlizgnąłem się między ruchem powietrznym i wysokimi budynkami, lądując na osłoniętym dachu czterdziestego drugiego piętra. Do tego czasu moja kopia w Rykerze poinformowała już Hendriksa o moim przybyciu, toteż hotel bez problemu pozwolił mi wejść kanałem wentylacyjnym.

Z neurochemem Khumalo było to prawie równie łatwe, jak wejście przez frontowe drzwi.

– Słuchaj – powiedziała kopia w Rykerze. – Jestem tobą. Wiem wszystko to, co ty. Co nam szkodzi o tym porozmawiać?

– Skoro wiesz wszystko, *po co* mielibyśmy rozmawiać?

– Czasem dobrze jest się wygadać. Nawet jeśli się komuś zwierzasz, zwykle przecież mówisz do siebie. Ten drugi facet tylko dostarcza ci pretekstu. Wyrzucić to z siebie.

– Nie wiem. – Westchnąłem. – Już dawno temu zakopałem cały ten gnój o ojcu. To już odległa przeszłość.

– Jasssne.

– Serio.

– Nie. – Wysunął w moją stronę palec tak samo, jak zrobiłem to z Bancroftem, kiedy nie chciał przyjąć do wiadomości faktów, które przedstawiłem mu na balkonie Suntouch House. – Okłamujesz się. Przypomnij sobie tamtego alfonsa, którego spotkaliśmy w palarni Lazlo tego roku, kiedy dołączyliśmy do Jedenastki Shonagon. Prawie go zabiliśmy, zanim nas od niego odciągnęli.

– To tylko prochy. Byliśmy po uszy nawaleni tetrametem i chcieliśmy się popisać z powodu tej sprawy z Jedenastką. Cholera, mieliśmy ledwie szesnaście lat.

– Gówna prawda. Zrobiliśmy to, bo wyglądał jak tata.

– Może.

– To fakt. I z tego samego powodu spędziliśmy następne półtorej dekady, zabijając ludzi władzy.

– Och, daj spokój! Spędziliśmy te półtorej dekady, zabijając

wszystkich, którzy weszli nam w drogę. Byliśmy w wojsku i tym zarabialiśmy na życie. A swoją drogą, od kiedy alfons jest człowiekiem władzy?

– Dobra, może spędziliśmy piętnaście lat na zabijaniu alfonsów. Zgoda. Więc może chcieliśmy się im odpłacić.

– Ojciec nigdy nie posyłał mamy na ulicę.

– Jesteś pewien? Cemu rzuciliśmy się na sprawę Elizabeth Elliott jak pieprzona atomówka? Cemu w tym śledztwie tak bardzo interesowały nas burdele?

– Ponieważ – odpowiedziałem, zanurzając palec w whisky – od początku to śledztwo do nich się sprowadza. Ruszyliśmy za sprawą Elliott, ponieważ podpowiadała nam tak intuicja Emisariusza.

Sposób, w jaki Bancroft traktował swoją żonę...

– Och, Miriam Bancroft. Oto kolejny dysk, który moglibyśmy rozkręcić.

– Stul pysk. Elliott naprawdę wyglądała na dobry trop. Nie doszlibyśmy do Głowy w Chmurach, gdybym nie złożył wizyty w biokabinach Jerry'ego.

– Aha... – Skrzywił się zde gustowany i przechylił szklaneczkę. – Wierz, w co chcesz. Powiedziałbym, że łątołak był metaforą taty, ponieważ nie potrafiliśmy zbyt uważnie przyjrzeć się prawdzie i dlatego właśnie przestraszyliśmy się, widząc w wirtualu ten konstrukt. To pamiętasz, prawda? Tamten lokal na Adoracion, prawda? Jeszcze przez tydzień po naszym małym pokazie mieliśmy dzikie sny. Budziliśmy się ze strzępami poduchy w dłoniach. Wysłali nas przez to do psychiatry.

Zirytowany machnąłem ręką.

– Tak, pamiętam. Wtedy bałem się łątołaka, nie ojca. I pamiętam, że w wirtualu przeraził mnie łątołak, nie tata.

– A teraz, kiedy nie żyje? Jak się teraz czujemy?

– Niczego nie czuję.

Znowu skierował na mnie palec.

– To przykrywka.

– Wcale nie. Sukinsyn wszedł mi w drogę, rzucał groźbami,

a teraz nie żyje. Koniec transmisji.

– Pamiętasz jeszcze kogoś, kto ci groził? Może kiedy byłeś mały?

– Nie zamierzam więcej rozmawiać na ten temat. – Sięgnąłem po butelkę i ponownie napełniłem sobie szklaneczkę. – Wybierz inny temat. Co powiesz o Ortedze? Co do niej czujemy?

– Chcesz wypić całą butelkę?

– A co, chcesz trochę?

– Nie.

Rozłożyłem rękę.

– Więc w czym problem?

– Czy ty czasem nie próbujesz się upić?

– Oczywiście, że tak. Skoro mam mówić do siebie, to nie widzę powodu, żeby robić to na trzeźwo. Więc opowiedz mi o Ortedze.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Dlaczego nie? – zapytałem rozsądnie. – Sam mówiłeś, że o czymś musimy gadać. Co jest nie tak z Ortegą?

– Nasze uczucia wobec niej są różne. Nie nosisz już powłoki Rykera.

– To nie...

– Owszem, to istotne. Cokolwiek działo się między nami i Ortegą, miało wyłącznie fizyczny charakter. Nie było czasu na nic innego, dlatego właśnie tak chciałbyś o niej rozmawiać. W nowej powłoce czujesz tylko lekką nostalgię za jachtem i masz trochę luźnych wspomnień. Nie dzieje się w tobie już nic na poziomie chemii.

Szukałem jakiejś riposty, ale nie udało mi się znaleźć odpowiednich słów. Nagle odkryłem dzielące nas różnice i ta świadomość zawisła między nami jak trzeci, niechciany gość w pokoju.

Kopia w Rykerze pogrzebała po kieszeniach i wyciągnęła papierosy Ortegi. Paczka była niemal całkiem zgnieciona. Wydobyl z niej papierosa, popatrzył na niego smętnie i wsadził go sobie do ust. Usiłowałem ukryć dezaprobatę.

– To ostatni – powiedział, przytykając do niego łatę zapalającą.

– Hotel pewnie ma więcej.

– Jasne. – Wydmuchał dym, a ja stwierdziłem, że prawie zazdroszczę mu nałogu. – Wiesz, jest sprawa, którą powinniśmy teraz omówić.

– Co takiego?

Wiedziałem. Obaj wiedzieliśmy.

– Chcesz, żebym powiedział to na głos? Proszę bardzo. – Znow zaciągnął się papierosem i ciężko wzruszył ramionami. – Musimy zdecydować, który z nas zostanie skasowany, kiedy będzie po wszystkim. A ponieważ nasz indywidualny instynkt przetrwania z każdą minutą staje się coraz silniejszy, powinniśmy to zrobić jak najszybciej.

– Jak?

– Nie wiem. Co wolałbyś pamiętać? Zniszczenie Kawahary czy rżnięcie Miriam Bancroft? – Uśmiechnął się kwaśno. – Wybór chyba nie jest trudny.

– Hej, pamiętaj, że nie mówimy tylko o tarzaniu się po plaży. To seks z wieloma kopiami, chyba jedyna prawdziwa nielegalna przyjemność. Zresztą, Irene Elliott mówiła, że możemy dokonać transferu wspomnień i pamiętać obie wersje wydarzeń.

– Prawdopodobnie. Powiedziała, że *prawdopodobnie* moglibyśmy zrobić przekaz pamięci, co oznacza, że jeden z nas nadal musi zostać skasowany. Nie mówimy o fuzji, lecz wszczepieniu – od jednego z nas do drugiego. Edycja. Chcesz to sobie zrobić? Zrobić temu, który przeżyje. Wcześniej nie chcieliśmy nawet pozwolić, żeby Hendrix dokonał edycji naszego konstruktu. Jak mamy żyć z czymś takim? Nie ma mowy. Musimy znaleźć jakieś rozwiązanie i zdecydować, który z nas zostanie.

– Właśnie. – Podniosłem butelkę whisky i ponuro zapatrzyłem się na etykietkę.

– Więc co zrobimy? Będziemy grać? Kamień, papier, nożyce, powiedzmy lepszy z pięciu?

– Myślałem o czymś bardziej racjonalnym. Opowiemy sobie nawzajem nasze wspomnienia od tej chwili, a potem zdecydujemy, które chcemy zatrzymać. Które są więcej warte.

- Jak, do cholery, mamy porównać coś takiego?
- Poradzimy sobie. Wiesz, że tak będzie.
- A co będzie, jeśli jeden z nas skłamię. Podkoloruje prawdę, by brzmiała bardziej intrygująco. Albo skłamię na temat tego, co bardziej mu się podobało.
- Poważnie?
- W ciągu kilku dni wiele się może zdarzyć. Jak sam powiedziałeś, obaj będziemy chcieli przeżyć.
- Jeśli do tego dojdzie, Ortega może nam zrobić polarografię.
- Chyba już wolałbym losowanie.
- Daj mi tę cholerną butelkę. Jeśli nie zamierzasz tego traktować poważnie, ja też nie będę. Pieprzyć to, może cię spala i problem sam się rozwiąże.
- Dzięki.

Podał mi butelkę i przyglądałem się, jak nalewa sobie ostrożnie na dwa palce. Jimmy de Soto zawsze twierdził, że każdy, kto pije przy dowolnej okazji więcej niż na pięć palców single malta, popełnia świętokradztwo. Utrzymywał, że potem równie dobrze można pić gorsze gatunki, bo i tak nie zauważy się różnicy. Miałem wrażenie, że ta zasada zostanie dzisiaj złamana.

Uniosłem szklaneczkę.

- Za jedność celu.
- Jasne, i żebyśmy nigdy nie pili sami.
- Hotel pewnie ma więcej.
- Jasne. – Wydmuchał dym, a ja stwierdziłem, że prawie zazdroszczę mu nałogu. – Wiesz, jest sprawa, którą powinniśmy teraz omówić.

– Co takiego?

Wiedziałem. Obaj wiedzieliśmy.

– Chcesz, żebym powiedział to na głos? Proszę bardzo. – Znów zaciągnął się papierosem i ciężko wzruszył ramionami. – Musimy zdecydować, który z nas zostanie skasowany, kiedy będzie po wszystkim. A ponieważ nasz indywidualny instynkt przetrwania z każdą minutą staje się coraz silniejszy,

powinniśmy to zrobić jak najszybciej.

– Jak?

– Nie wiem. Co wolałbyś pamiętać? Zniszczenie Kawahary czy rżnięcie Miriam Bancroft? – Uśmiechnął się kwaśno. – Wybór chyba nie jest trudny.

– Hej, pamiętaj, że nie mówimy tylko o tarzaniu się po plaży. To seks z wieloma kopiami, chyba jedyna prawdziwa nielegalna przyjemność. Zresztą, Irene Elliott mówiła, że możemy dokonać transferu wspomnień i pamiętać obie wersje wydarzeń.

– Prawdopodobnie. Powiedziała, że prawdopodobnie moglibyśmy zrobić przekaz pamięci, co oznacza, że jeden z nas nadal musi zostać skasowany. Nie mówimy o fuzji, lecz wszczepieniu – od jednego z nas do drugiego. Edycja. Chcesz to sobie zrobić? Zrobić temu, który przeżyje. Wcześniej nie chcieliśmy nawet pozwolić, żeby Hendrix dokonał edycji naszego konstruktu. Jak mamy żyć z czymś takim? Nie ma mowy. Musimy znaleźć jakieś rozwiązanie i zdecydować, który z nas zostanie.

– Właśnie. – Podniosłem butelkę whisky i ponuro zapatrzyłem się na etykietkę.

– Więc co zrobimy? Będziemy grać? Kamień, papier, nożyce, powiedzmy lepszy z pięciu?

– Myślałem o czymś bardziej racjonalnym. Opowiemy sobie nawzajem nasze wspomnienia od tej chwili, a potem zdecydujemy, które chcemy zatrzymać. Które są więcej warte.

– Jak, do cholery, mamy porównać coś takiego?

– Poradzimy sobie. Wiesz, że tak będzie.

– A co będzie, jeśli jeden z nas skłamie. Podkoloruje prawdę, by brzmiała bardziej intrygująco. Albo skłamie na temat tego, co bardziej mu się podobało.

– Poważnie?

– W ciągu kilku dni wiele się może zdarzyć. Jak sam powiedziałeś, obaj będziemy chcieli przeżyć.

– Jeśli do tego dojdzie, Ortega może nam zrobić polarografię.

– Chyba już wolałbym losowanie.

– Daj mi tę cholerną butelkę. Jeśli nie zamierzasz tego

traktować poważnie, ja też nie będę. Pieprzyć to, może cię spala i problem sam się rozwiąże.

– Dzięki.

Podąłem mu butelkę i przyglądałem się, jak nalewa sobie ostrożnie na dwa palce. Jimmy de Soto zawsze twierdził, że każdy, kto pije przy dowolnej okazji więcej niż na pięć palców single malta, popełnia świętokradztwo. Utrzymywał, że potem równie dobrze można pić gorsze gatunki, bo i tak nie zauważy się różnicy. Miałem wrażenie, że ta zasada zostanie dzisiaj złamana.

Uniosłem szklaneczkę.

– Za jedność celu.

– Jasne, i żebyśmy nigdy nie pili sami.

* * *

Wciąż jeszcze miałem kaca, kiedy niecały dzień później przyglądałem się na jednym z hotelowych monitorów, jak wychodzi. Wyszedł na chodnik i czekał. Po chwili przy krawężniku osiadła długa, błyszcząca limuzyna. Kiedy podniosły się drzwi, dostrzegłem w środku profil Miriam Bancroft. Ryker wszedł i drzwi gładko wsunęły się na miejsce. Limuzyna zadrżała na całej długości i odleciała.

Przełknąłem na sucho więcej przeciwbólowek, dałem im dziesięć minut, a potem wyszedłem na dach, by czekać na Orteę.

Było zimno.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Ortega miała całą masę wieści.

Irene Elliott zadzwoniła z nowego lokalu i powiedziała, że jest gotowa rozmawiać o kolejnej akcji. Połączenie przyszło jednym z najlepiej osłoniętych emiterów strunowych w historii Fell Street, a Elliott powiedziała, że może się układać wyłącznie bezpośrednio ze mną.

Pośpieszna robota z Panama Rose wytrzymała kontrolę, a Ortega nadal przetrzymywała taśmy z pamięcią Hendriksa. Śmierć Kadmina sprawiła, że wcześniejsza sprawa stała się dla Fell Street w zasadzie administracyjną formalnością i nikomu już się nie śpieszyło, żeby w niej grzebać. Dochodzenie Wydziału Wewnętrznego na temat tego, jak właściwie zabójca uwolnił się z aresztu, dopiero zaczynało się rozkręcać. Uwzględniając domniemaną pomoc SI, zapewne zechcą się przyjrzeć Hendriksowi, ale to była dość odległa przyszłość. Pozostały jeszcze procedury międzywydziałowe, ale Ortedze udało się wcisnąć Murawie jakąś historyjkę. Kapitan Fell Street dał jej kilka tygodni na wyczyszczenie sprawy; wszyscy milcząco zakładali, że Ortega nie kocha Wydziału Wewnętrznego i nie zechce ułatwiać im życia.

Wokół Panama Rose weszły kilka detektywistycznych SI, ale Uszkodzenia Organiczne ścieśniły szeregi wokół Ortegi i Bautisty. Wydział Wewnętrzny niczego na razie nie znalazł.

Mieliśmy kilka tygodni.

* * *

Ortega leciała na północny wschód. Instrukcje Elliott

doprowadziły nas nad małe skupisko plastobaniek zgromadzonych wokół zachodniego krańca jeziora z trzema odnogami, setki kilometrów od cywilizacji. Kiedy nadlecieliśmy nad obozowisko, Ortega chrząknęła, jakby rozpoznała to miejsce.

– Byłaś tu już kiedyś?

– Nie, ale widziałam podobne. Osiedle kanciarzy. Widzisz ten talerz na środku? Podpięli go do jakiejś starej platformy meteorologicznej na orbicie geostacjonarnej i mają darmowy dostęp do wszystkiego na tej półkuli. Mieszkańcy tego miejsca odpowiadają pewnie za spory procent przestępstw informatycznych na Zachodnim Wybrzeżu. – Ortega wylądowała na brzegu jeziora w niewielkiej odległości od najbliższych plastobaniek. – Na razie ci ludzie utrzymują takie stacje przy życiu. Bez nich ktoś musiałby zapłacić za rozbiórkę, a to dość kosztowne. Jak długo nie pakują się w nic poważniejszego, nikt nie zwraca sobie nimi głowy. Wydział przestępstw transmisji ma poważniejsze sprawy, a nikogo innego to nie interesuje. Idziesz?

Wysiadłem z pojazdu. Podeszliśmy wzdłuż brzegu do obozowiska. Z powietrza wyglądało na stosunkowo jednorodne, ale teraz przekonałem się, że wszystkie plastobańki pomalowano w jaskrawe obrazy albo abstrakcyjne wzory. Nie było dwóch takich samych, choć w kilku przypadkach zdołałem rozpoznać rękę tego samego artysty. Na dodatek sporo z nich wyposażono w niewielkie werandy, dodatkowe wypukłości, a w kilku przypadkach nawet bardziej trwałe aneksy z drewna. Na sznurach między budynkami wisiały ubrania, wśród których biegały radośnie umorusane małe dzieci.

Ochroniarz obozu czekał na nas przed pierwszym pierścieniem baniek. Miał ponad dwa metry wzrostu w płaskich butach roboczych i ważył pewnie tyle, co obie moje powłoki razem wzięte. Luźny, szary kombinezon nie skrywał postawy wojownika. Miał zaskakująco czerwone oczy, starą i poznaczoną bliznami twarz, a ze skroni sterczały mu krótkie rogi. Wyglądał dość dziwnie, tym bardziej że na lewej ręce trzymał małe

dziecko.

Kiwnął w moją stronę.

– Anderson?

– Tak. To Kristin Ortega. – Zaskoczyło mnie, jak bezbarwnie zabrzmiało dla mnie jej nazwisko. Bez interfejsu feromonalnego Rykera stwierdzałem jedynie, że stojąca obok mnie kobieta była dość atrakcyjna, szczupła i pewna siebie w sposób przypominający mi Virginie Vidaurę.

Do tego dochodziły wspomnienia.

Zaciekawiło mnie, czy ona czuje to samo.

– Glina, co? – Rzucił były wojownik niezbyt ciepłym tonem, w którym jednak nie dosłyszałem szczególnej wrogości.

– Nie w tej chwili – powiedziałem z naciskiem. – Jest tu Irene?

– Owszem. – Przeniósł dziecko na drugie ramię i wskazał nam drogę. – Bańka z gwiazdami. Czeka na ciebie.

W chwili, kiedy to mówił, na progu pojawiła się Irene Elliott. Rogaty mężczyzna parsknął i poprowadził nas do niej, zbierając po drodze dodatkowy orszak małych dzieci. Elliott z rękami w kieszeniach przyglądała się, jak podchodzimy. Podobnie jak ochroniarz miała na sobie buty i kombinezon, których szarość zdumiewająco kontrastowała z jaskrawą tęczą wymalowaną na jej bańce.

– Goście do ciebie – oznajmił rogacz. – Wszystko w porządku?

Elliott kiwnęła głową, więc zawahał się jeszcze chwilę, wzruszył ramionami i oddryfował w towarzystwie dzieci. Elliott popatrzyła za nim, a potem zwróciła się do nas.

– Lepiej wejdźcie do środka – rzuciła.

Wnętrze plastobańki podzielono na części drewnianymi ściankami i tkanymi kocami zawieszonymi na drutach zaczepionych do plastikowych ścian kopuły. Elliott zaprowadziła nas do łagodnie oświetlonego pomieszczenia z wielkimi poduchami do siedzenia i podniszczonym terminalem dostępu na wysięgniku przyklejonym do ściany bańki. Sądząc po tym, jak sprawnie się poruszała, wyglądało na to, że przyzwyczała się już do nowej powłoki. Zauważyłem poprawę już na pokładzie

Panama Rose, ale teraz było to jeszcze wyraźniejsze. Swobodnie usiadła na jednym z foteli i przyjrzała mi się badawczo.

– Zakładam, Anderson, że to ty siedzisz tam w środku?

Kiwnąłem głową.

– Zamierzasz mi powiedzieć, dlaczego?

Usiadłem naprzeciw niej.

– To zależy od ciebie, Irene. Wchodzisz w to czy nie?

– Gwarantujesz mi odzyskanie ciała. – Bardzo się starała, aby mówić swobodnie, ale nie potrafiła ukryć nadziei w swoim głosie. – Na tym polega umowa?

Zerknąłem na Ortegę, która przytaknęła.

– Zgadza się. Jeśli operacja się powiedzie, będziemy mogli zarekwirować ją na mocy przepisów federalnych. Ale musi się nam udać. Jeśli to spieprzymy, wszyscy dostaniemy dwururki.

– Działa pani na mocy nakazu federalnego, pani porucznik?

Ortega uśmiechnęła się drapieżnie.

– Niezupełnie. Jednak w ramach przepisów ONZ będziemy mogli zastosować go retrospektywnie. Jeśli, jak mówiłam, wszystko się powiedzie.

– *Retrospektywny* nakaz federalny. – Elliott spojrzała z powrotem na mnie, unosząc brwi. – To coś równie częstego, jak mięso wieloryba. Naprawdę planujecie coś na wielką skalę.

– Owszem – potwierdziłem.

Elliott zmrużyła oczy.

– I nie pracujesz już dla JacSolu, prawda? Kim ty, do cholery, jesteś, Anderson?

– Twoją dobrą wróżką, Elliott. I powiem więcej. Jeśli zarekwirowanie przez panią porucznik się nie uda, odkupię twoją powłokę. Gwarantuję ci to. Więc jak, wchodzisz czy nie?

Irene Elliott jeszcze przez chwilę trzymała się swojej pozy, przez co mój respekt do jej umiejętności technicznych przybrał nieco bardziej osobisty charakter. Potem kiwnęła głową.

– Mów.

Więc powiedziałem jej wszystko.

Zajęło mi to około pół godziny. W tym czasie Ortega stała albo

nieustannie krążyła po wnętrzu plastobańki. Trudno było mieć o to do niej pretensje. Przez ostatnie dziesięć dni musiała złamać praktycznie każdą zasadę, jakiej trzymała się w pracy, a teraz miała wziąć udział w projekcie, który, jeśli zawiedzie, zagwarantuje nam automatycznie ponad sto lat przechowalności. Myślę, że bez Bautisty i wszystkich innych za jej plecami pewnie nie podjęłaby ryzyka, nawet pomimo serdecznej nienawiści do Matów, nawet dla Rykera.

A może tylko sam siebie próbowałem przekonać.

Irene Elliott siedziała, słuchając w milczeniu przerywanym tylko pytaniami technicznymi, na które nie umiałem odpowiedzieć. Kiedy skończyłem, przez dłuższy czas nic nie mówiła. Ortega przestała krążyć i stanęła za mną, czekając.

– Jesteś szalony – oświadczyła w końcu Elliott.

– Potrafisz to zrobić?

Otworzyła usta, potem zamknęła je z powrotem. Jej twarz przybrała nieobecny wyraz i domyśliłem się, że odtwarza sobie z pamięci jakąś wcześniejszą akcję. Po kilku minutach wróciła do rzeczywistości i kiwnęła głową, jakby próbowała przekonać samą siebie.

– Tak – stwierdziła powoli. – Da się zrobić, ale nie w czasie rzeczywistym. To nie takie proste, jak to, co do tej pory dla ciebie robiłam. Dużo łatwiej było przepisać twoich przyjaciół z systemu ochrony areny albo nawet wrzucić wirusa w rdzeń SI. Żeby to zrobić, żeby choć spróbować, muszę mieć wirtualne forum.

– To nie problem. Coś jeszcze?

– To zależy od tego, jakie zabezpieczenia przeciw penetracji ma Głowa w Chmurach. – Usłyszałem w jej głosie obrzydzenie. Przełknęła łzy. – Mówisz, że to burdel dla wyższych sfer?

– Dokładnie – potwierdziła Ortega.

Elliott nadal próbowała ukrywać swoje emocje związane z tym miejscem.

– To znaczy, że muszę zrobić kilka testów. To zajmie trochę czasu.

– Jak długo? – chciała wiedzieć Ortega.

– No cóż, mogę to zrobić na dwa sposoby. – W głosie Irene zabrzmiała profesjonalna duma, usuwając wszystkie wcześniejsze emocje. – Mogę puścić szybki skan, uruchamiając przy tym prawdopodobnie wszystkie alarmy na tej pieprzonej łajbie, albo mogę zrobić to właściwie, co zajmie kilka dni. Wybór należy do ciebie. Ty płacisz.

– Nie śpiesz się – zasugerowałem, rzucając Ortedze ostrzegawcze spojrzenie. – A co z okablowaniem mnie w zakresie obrazu i dźwięku? Znasz kogoś, kto może dyskretnie zrobić coś takiego?

– Tak, mamy tu ludzi, którzy to potrafią. Ale możesz zapomnieć o systemie z telemetrią. Jeśli spróbujesz coś z stamtąd wyemitować, *na pewno* ściągniesz na siebie cały Dom. – Przesunęła się do zamontowanego na wysięgniku terminala i przywołała ekran dostępu. – Zobaczę, czy Reese może ci wstawić mikrofon z rejestratorem. To ekranowany mikrostop, który umożliwi ci kilkaset godzin nagrywania w wysokiej rozdzielczości. Zapis będziemy mogli później z ciebie wyciągnąć.

– To wystarczy. Ile to będzie kosztować?

Elliott odwróciła się z powrotem do nas, marszcząc brwi.

– O tym rozmawiaj z Reese. Pewnie zechce dokupić jakieś części, ale może uda ci się ją przekonać, żeby przyłączyła się do akcji przeprowadzanej na podstawie retrospektywnego nakazu federalnego. Przyda jej się trochę poparcia na poziomie ONZ.

Zerknąłem na Ortegę, która z rozpaczą wzruszyła ramionami.

– No może – rzuciła niewdzięcznie, gdy Elliott wróciła z powrotem do ekranu. Wstałem.

– Ortega – powiedziałem cicho wprost do jej ucha, uświadamiając sobie nagle, że nowa powłoka w ogóle nie reagowała na jej zapach. – To nie moja wina, że brakuje nam funduszy. Konto JacSolu znikło, wyparowało, a jeśli zacznę ciągnąć z kredytu Bancrofta na tego rodzaju rzeczy, będzie to cholernie dziwnie wyglądać. Weź się w garść.

– Nie o to chodzi – wysyczała w odpowiedzi.

– Więc o co?

Spojrzała na mnie z odległości zaledwie kilku centymetrów.

– Cholernie dobrze wiesz.

Głęboko wciągnąłem powietrze i przymknąłem powieki, by nie musieć patrzeć jej w oczy.

– Zdobyłaś dla mnie ten sprzęt?

– Owszem. – Odsunęła się, podnosząc głos i przyjmując obojętny ton. – Nikt nie będzie tęsknił za ogłuszaczem z magazynu na Fell Street. Reszta przyjdzie z magazynów policyjnych zarekwirowanych przedmiotów w Nowym Jorku. Jutro polecę osobiście je odebrać. Transakcja bezpośrednia, żadnych zapisów. Poprosiłam o spłacenie kilku przysług.

– Dobrze. Dzięki.

– Drobiazg – rzuciła ironicznie. – Och, a przy okazji, cholernie trudno było im znaleźć ładunki z pajęczą trucizną. Nie przypuszczam, żebyś chciał mi wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodzi, prawda?

– To coś bardzo osobistego.

Elliott przywołała kogoś na ekran. Pojawiła się na nim poważnie wyglądająca (na oko – sześćdziesięcioletnia) kobieta w afrykańskiej powłoce.

– Cześć, Reese – powitała ją życzliwie Irene. – Mam dla ciebie klienta.

* * *

Wbrew pesymistycznym szacunkom wstępnym Irene Elliott skończyła skan następnego dnia. Siedziałem nad brzegiem jeziora, dochodząc do siebie po prostej operacji mikrochirurgicznej przeprowadzonej przez Reese. Bawiłem się w puszczenie kaczek z dziewczynką, która wszędzie za mną chodziła. Ortega nadal była w Nowym Jorku, nie umieliśmy zapanować nad chłodem, jaki zapanował między nami.

Elliott wyłoniła się spomiędzy zabudowań na skraju osady i zawołała, że udało jej się wykonać skan. Nie trudziła się nawet,

by zejść na skraj wody. Skrzywiłem się, gdy echo poniosło w dal jej słowa. Musiałem się dopiero przyzwyczaić do otwartości, w jakiej żyli mieszkańcy małego osiedla, i nadal nie potrafiłem zrozumieć, jak udawało się im łączyć ją ze skuteczną działalnością piracką. Podałem swój kamień dziewczynce i odruchowo potarłem bolące miejsce pod okiem, gdzie Reese wszczepiła mi system nagrywający.

– Proszę. Zobacz, czy uda ci się z tym kamieniem.

– Ale on jest ciężki – powiedziała płaczliwie.

– Mimo wszystko spróbuj. Ostatnim udało mi się zrobić dziewięć odbić.

Popatrzyła na mnie spod zmrużonych powiek.

– Ale ty jesteś do tego okablowany. A ja mam dopiero sześć lat.

– Masz rację w obu sprawach. – Położyłem dłoń na jej głowie. – Ale musisz pracować z tym, co masz.

– Kiedy będę duża, dam się okablować jak ciocia Reese.

Poczułem, jak na dnie mojego elegancko wyczyszczonego mózgu Khumalo rodzi się smutek.

– To dobrze. Słuchaj, muszę iść. Nie podchodź za blisko do wody, dobrze?

– Umiem pływać. – Spojrzała na mnie urażonym wzrokiem.

– Ja też, ale woda wygląda na zimną, nie sądzisz?

– Nooo...

– Właśnie. – Zmierziłem jej włosy i ruszyłem przed siebie. Obejrzałem się dopiero przy pierwszych plastobańkach.

Rzucała dużym, płaskim kamieniem w jezioro, jakby woda była jej wrogiem.

Elliott ogarnął nastrój zdobywcy, jaki spada na większość infoszczurów po dłuższym czasie krążenia po sieci.

– Przejrzałam trochę informacji historycznych – powiedziała, przyciągając ramię z terminalem do miejsca, w którym odpoczywała. Jej dłonie zatańczyły na klawiaturze, budząc do życia ekran, który rzucił na jej twarz różnobarwne światło. – Jak tam implant?

Znów dotknąłem dolnej powieki.

– W porządku. Podpięty wprost do tego samego systemu, który kontroluje zegarek. Reese mogłaby tym zarabiać na życie.

– Kiedyś tak było – odpowiedziała ostro Elliott. – Póki nie wywalili jej za literaturę antyprotektoratową. Kiedy będzie po wszystkim, dopilnuj, żeby ktoś szepnął za nią słówko na poziomie federalnym, bo bardzo tego potrzebuje.

– Jasne, mówiła mi o tym. – Zajrzałem jej przez ramię. – Co tam masz?

– Plany konstrukcyjne Głowy w Chmurach ze stoczni Tampa. Specyfikacja kadłuba i tym podobne. Te dane pochodzą sprzed wieków. Dziwne, że w ogóle trzymali to w bazie. W każdym razie wygląda na to, że konstrukcja została zbudowana jako element flotyli karaibskiego systemu kontroli sztormów, jeszcze w czasach, zanim pozbawił ją pracy orbitalny system kontroli pogody. Kiedy ją przerabiali, wywalili sporo sprzętu skanującego dalekiego zasięgu, ale zostawili lokalne czujniki, gwarantujące podstawowy system powierzchniowej ochrony. Czujniki temperatury, podczerwień, tego rodzaju rzeczy. Jeśli na kadłubie wyląduje cokolwiek cieplejszego od powietrza, na pewno tego nie przeoczą.

Pokiwałem głową. Wcale mnie nie zaskoczyła.

– Drogi wejścia?

– Setki. – Wzruszyła ramionami. – Otwory wentylacyjne, włazy techniczne. Wybieraj do woli.

– Będę musiał jeszcze raz przyjrzeć się temu, co Miller powiedział mojemu konstruktowi. Ale założmy, że będę wchodził od góry. Czy temperatura ciała to jedyny poważny problem?

– Tak, ale te czujniki wyszukują wszystko, co wykazuje różnicę temperatur choćby na milimetrze kwadratowym. Nie pomoże ci strój maskujący. Chryste, uruchomi je pewnie nawet wydychane powietrze. I na tym nie koniec – Elliott posępnie kiwnęła głową w stronę ekranu. – Ten system musiał im się bardzo podobać, bo kiedy robili remont, pociągali go przez cały statek. Mają czujniki temperatury w każdym korytarzu i klatce schodowej.

- Tak, Miller wspominał coś o oznaczaniu wzoru temperatury.
- Tak jest. Wchodzący na pokład goście zostają przeskanowani, a ich kody wprowadza się do systemu. Jeśli na korytarzu pojawi się ktokolwiek bez zaproszenia albo gość skręci gdzieś, gdzie nie powinien, uruchamiają się wszystkie alarmy w kadłubie. Proste i bardzo skuteczne. I nie wydaje mi się, żebym mogła wejść tam i wypisać ci zaproszenie. Zbyt silna ochrona.
- Tym się nie martw – powiedziałem. – To raczej nie będzie problemem.

* * *

- Co takiego? – Ortega patrzyła na mnie z wściekłością i niedowierzaniem, które przesłaniało jej twarz jak chmura gradowa. Odsunęła się ode mnie, jakbym mógł zarażać.
- To tylko sugestia. Jeśli nie...
- Nie – wypowiedziała to słowo tak, jakby było dla niej czymś nowym i spodobał jej się jego smak. – Nie. Absolutnie nie ma mowy. Popełniłam dla ciebie wirusowe przestępstwo, ukryłam dowody, pomogłam przy wielokrotnym upowłokowieniu...
- Trudno to nazwać wielokrotnym.
- To ciężkie przestępstwo – wycodziła przez zęby. – Nie zamierzam kraść dla ciebie skonfiskowanych narkotyków z magazynów policyjnych.
- Dobra, zapomnij o tym. – Zawahałem się i na chwilę wsunąłem język pod policzek. – Może w takim razie pomożesz mi skonfiskować jeszcze trochę?
- Coś wewnątrz mnie ucieszyło się na widok nieoczekiwanego uśmiechu, jaki pojawił się na jej twarzy.

* * *

Dealer siedział w tym samym miejscu, w którym dwa tygodnie wcześniej wszedłem w zasięg jego emitera. Tym razem

wypatrzyłem go z odległości dwudziestu metrów. Przykucnął w niszy budynku z przyczajonym na ramieniu emiterem podobnym do nietoperza. Obie strony ulicy świeciły pustkami, dostrzegłem tylko kilku przechodniów. Skinąłem Ortedze stojącej na krawężniku po drugiej stronie jezdni i podszedłem do niego. Nadal nadawał ten sam program: ulica pełna chętnych kobiet i nagły chłód strzału betatanatynowego, ale tym razem się go spodziewałem, a zresztą neurochem Khumalo zdecydowanie tłumili efekt działania emitera. Podszedłem do dealera z radosnym uśmiechem.

– Mam sztywniaka.

– Dobrze, tego właśnie szukam. Ile masz?

Wyglądał, jakby się nieco przestraszył, rozdarty między chciwością a podejrzeniem. Na wszelki wypadek dotknął wiszącego przy pasku emitera horrorów.

– Ile chcesz?

– Wszystko – odparłem swobodnie. – Cały zapas.

Dotarło do niego, ale było już za późno. Chwyciłem go za dwa palce, którymi sięgał do kontrolki emitera.

– E-e.

Zamachnął się na mnie drugą ręką. Złamałem mu palce. Zawył i zwinął się z bólu. Kopnąłem go w żołądek i odrzuciłem emiter na bok. Podeszła do nas Ortega i machnęła odznaką przed jego zalaną potem twarzą.

– Policja Bay City. – Jej głos brzmiał rutynowo. – Jesteś arestowany. Zobaczmy, co tam masz, dobrze?

Betatanatyna znajdowała się w szeregu osłon termicznych w małych szklanych ampułkach owiniętych w bawełnę. Uniosłem jedną z nich i potrząsnąłem. Płyn w środku miał kolor bladoróżowy.

– Jak myślisz? – zapytałem Ortegę. – Jakież osiem procent?

– Na to wygląda. Może mniej. – Wcisnęła kolano w kark dealera, rozgniatając mu twarz na chodniku. – Gdzie rozcieńczasz te prochy, gnido?

– To dobry towar – wystękał. – Kupuję bezpośrednio. To...

Ortega mocno uderzyła go w czaszkę kostkami palców. Natychmiast się zamknął.

– To gówno – powiedziała cierpliwie. – Rozcieńczyłeś je tak, że nie można się nawet od tego przeziębici. Nie tego chcemy. Możesz dostać z powrotem cały zapas i odejść. Chcemy tylko wiedzieć, gdzie to rozwadniasz. Adres.

– Nie znam żadnych...

– Chcesz zginąć podczas próby ucieczki? – zapytała go uprzejmie Ortega.

Nagle wyraźnie przycichł.

– Jest takie miejsce w Oakland – przyznał ponuro.

Ortega podała mu papier i długopis.

– Zapisz. Żadnych nazwisk, tylko adres. I wiesz co? Jeśli mnie oszukasz, wrócimy tu z pięćdziesiątką prawdziwego sztywniaka i nakarmimy cię nim bez rozcieńczania.

Zabrała z powrotem zapisany arkusik, rzuciła na niego okiem, uwolniła dealera i poklepała go po ramieniu.

– Dobrze. A teraz wstawaj i wynoś się z ulicy. Jutro możesz wrócić do pracy, jeśli odpowiada ci to miejsce. A jeśli nie, to pamiętaj, że znam twój rejon.

Przeglądaliśmy się, jak ucieka, a potem Ortega postukała w papier.

– Znam to miejsce. Ci z Wydziału Kontrolowanych Substancji areztowali kolesi kilka razy w zeszłym roku, ale za każdym razem wyciągał ich jakiś oślizgły prawnik. Robimy dużo hałasu, a potem pozwalamy im myśleć, że dajemy się kupić torbą czystego towaru.

– W porządku. – Zerknąłem na znikającą w oddali postać handlarza. – Naprawdę byś go zastrzeliła?

– Nie. – Wyszczrzyła zęby w uśmiechu. – Ale on tego nie wie. Goście z KonSub wycinają czasem taki numer, żeby przegonić z ulicy handlarzy, kiedy trafią na jakąś grubszą sprawę. Policjant, który się tego dopuści, dostaje oficjalną naganę, a koszty nowej powłoki pokrywa odszkodowanie, ale to wymaga czasu, a te gnidy nigdy go nie mają. Poza tym, postrzał bywa dość bolesny.

Byłam przekonująca, co?

- Mnie przekonałaś jak jasna cholera.
 - Może powinnam zostać Emisariuszką.
- Pokręciłem głową.
- Może powinnaś spędzać ze mną mniej czasu.

* * *

Wpatrywałem się w sufit, czekając, aż sonokody z hipnofonów oderwą mnie od rzeczywistości. Obok mnie leżeli podłączeni do aparatury Ortega i Davidson, infoszczur Wydziału Uszkodzeń Organicznych. Nawet przez hipnofony słyszałem ich oddechy, powolne i regularne, ledwie wyłapywane przez mój neurochem. Spróbowałem bardziej się odprężyć, by pomóc systemowi hipnotycznemu precyzyjnie przebiegać przez kolejne poziomy, ale zamiast tego mój umysł analizował szczegóły planu jak program testujący w poszukiwaniu błędów. Stan ten przypominał bezsenność, na którą cierpiałem po powrocie z Innenin: doprowadzające do szału swędzenie synaptyczne, którego nie umiałem się pozbyć. Kiedy mój wyświetlacz czasu wskazał, że minęła więcej niż pełna minuta, podniosłem się na łokciu i spojrzałem na postacie leżące na pozostałych stanowiskach.

- Jakiś problem? – zapytałem głośno.
 - Zakończono śledzenie Sheryl Bostock – oznajmił hotel. – Założyłem, że wolałby pan otrzymać tę wiadomość na osobności.
- Wyprostowałem się i zacząłem ściągać z siebie elektrody.
- Miałaś rację. Jesteś pewien, że wszyscy pozostali już śpią?
 - Ortega i jej koledzy zostali wprowadzeni do środowiska wirtualnego około dwóch minut temu. Irene Elliott przebywa tam od wczesnego popołudnia. Prosiła, żeby jej nie przeszkadzać.
 - W jakim stosunku ich teraz utrzymujesz?
 - Jedenaście koma pięć. Irene Elliott tego zażądała.
- Pokiwałem głową, ześlizgując się ze stanowiska. Jedenaście i pół było standardowym współczynnikiem roboczym infoszczurów. Był to również tytuł wyjątkowo krwawego, choć

poza tym – dość miłego kawałka sensoryjnego Micky’ego Nozawy. Z filmu pamiętałem tylko, że postać Micky’ego nieoczekiwanie ginie na końcu. Miałem nadzieję, że to nie zły omen.

– Dobra – powiedziałem. – Zobaczmy, co tam masz, dobrze?

* * *

Między rozmytymi morskimi falami i światłami kabiny rozpościerał się cytrusowy gaj. Poszedłem ścieżką między drzewami, czułem, jak oczyszcza mnie świeży zapach kwiatów. W wysokiej trawie po obu stronach przyjemnie brzęczały cykady. Na jedwabistym niebie świeciły gwiazdy, a zaabiną ciągnęły się wzgórza i skalne granie. W półmroku na zboczach wzgórz znieruchomiały ledwie widoczne, białe plamy owiec, gdzieś w oddali słyhać było szczekanie psa. Z boku błyskały światła rybackiej wioski, ciemniejsze od gwiazd.

Z belek pod dachem nad werandą zwisały lampy sztormowe, ale przy stojących pod nimi drewnianych stołach nikt nie siedział. Na frontowej ścianie budynku umieszczono abstrakcyjne malowidło ściennie, a wypisany świecącymi literami znak głosił: DOMEK KWIATOWY 68. Wzdłuż barierki zwisały dzwoneczki, pobrzękując melodyjnie pod wpływem morskiej bryzy znad oceanu. Ich dźwięki świadczyły o tym, że wykonano je z różnych materiałów – od delikatnego szkła po twarde, wydrążone drewno.

Na nieskoszonym, pochyłym trawniku przed gankiem ustawiono w kręgu osobliwą kolekcję sof i foteli, co sprawiało wrażenie, że ktoś oderwał ściany domu, pozostawiając tu tylko podłogę i meble. Z siedzisk dochodził cichy szmer rozmów, dostrzegłem czerwone ogniki zapalonych papierosów. Sięgnąłem po swoje, ale w tym samym momencie uświadomiłem sobie, że ich nie mam i już nie potrzebuję. Uśmiechnąłem się krzywo.

Z gwaru wybił się głos Bautisty.

– Kovacs? To ty?

– A ktoś by inny? – rzuciła niecierpliwie Ortega. – To pieprzony wirtual.

– Tak, ale... – Bautista wzruszył ramionami i wskazał puste siedzenie. – Witaj w klubie.

W kręgu siedziało pięć postaci. Irene Elliott i Davidson zajmowali miejsca na przeciwnych końcach sofy obok fotela Bautisty. Po jego drugiej stronie na sofie wyciągnęła się Ortega.

Piąta osoba siedziała swobodnie, głęboko zanurzona w fotelu, z wyciągniętymi przed siebie nogami i twarzą ukrytą w cieniu. Nad kolorową bandaną sterczały szorstkie czarne włosy. Na kolanach trzymał białą gitarę. Zatrzymałem się przed nim.

– Hendrix, prawda?

– Zgadza się. – W jego głosie brzmiała głębia i tembr, którego nie słyszałem wcześniej. Duże dłonie przesunęły się po strunach, wydobywając pojedyncze akordy. – Podstawowa projekcja jaźni stworzona przez oryginalnych projektantów. Jeśli przebijesz się przez systemy klienckie i usługowe, dostaniesz właśnie to.

– Dobrze.

Usiadłem w fotelu naprzeciw Irene Elliott.

– Odpowiada ci środowisko robocze?

– Tak, jest w porządku – potwierdziła.

– Długo tu jesteś?

– Ja? – Wzruszyła ramionami. – Dzień czy coś koło tego. Twoi przyjaciele zjawili się przed kilkoma godzinami.

– Dokładnie dwoma i pół – sprecyzowała kwaśno Ortega. – Co cię zatrzymało?

– Problem z neurochemią. – Kiwnąłem głową w stronę Hendriksa. – Nie powiedział wam?

– Owszem, dokładnie to nam powiedział. – Spojrzenie Ortegi zdradzało gliniarza. – A ja chciałabym po prostu wiedzieć, co to znaczy.

Wzruszyłem ramionami.

– Ja też. System Khumalo ciągle wyrzucał mnie z kolejki i chwilę trwało, zanim udało nam się uzyskać kompatybilność. Może napiszę do producenta. – Odwróciłem się z powrotem

do Irene Elliott. – Zakładam, że w czasie skoku będziesz chciała puścić format na maksymalnym przyśpieszeniu?

– Dobrze zakładasz. – Elliott dźgnęła kciukiem w stronę Hendriksa. – On twierdzi, że zdoła wyciągnąć maksymalnie dwadzieścia trzy i że bez problemu sobie poradzi. To dobrze, bo będziemy potrzebować każdej milisekundy.

– Dopracowałeś już szczegóły?

Elliott niechętnie skinęła głową.

– Głowa w Chmurach jest strzeżona lepiej niż bank orbitalny. Ale mogę ci powiedzieć parę ciekawych rzeczy. Po pierwsze, twoja koleżanka Sara Szaciłowska została stamtąd odesłana dwa dni temu. Przetransmitowano ją przez bramkę na Świat Harlana, co oznacza, że zeszła z linii ognia.

– Jestem pod wrażeniem. Ile czasu potrzebowałaś, żeby się tego dowiedzieć?

– Trochę. – Elliott przechyliła głowę w stronę Hendriksa. – Miałam pomocnika.

– A ta druga ciekawa rzecz?

– Właśnie. Potajemny przekaz strunowy do odbiornika w Europie co osiemnaście godzin. Bez opróbkowania go – trudno powiedzieć coś więcej, a nie zrobiłam tego, bo uznałam, że wolałbyś jeszcze poczekać. Ale chyba znaleźliśmy to, czego szukamy.

Przypomniałem sobie pająkokształtne automaty strażnicze uzbrojone w działka automatyczne, skórzaste, kuloodporne torby łożyskowe oraz posępnych, kamiennych strażników podtrzymujących dach bazyliki Kawahary.

– No cóż. W takim razie – rozejrzałem się po twarzach zebranych – ruszamy.

Rozdział czterdziesty

Znowu Sharya, cholerne *déjà vu*.

Godzinę po zmroku wystartowaliśmy z wieży Hendriksa i odlecieliśmy w rozświetloną ruchem pojazdów noc. Ortega ściągnęła ten sam transportowiec Lockheeda-Mitomy, którym zawiozła mnie do Suntouch House, ale kiedy rozejrzałem się po słabo oświetlonym wnętrzu pojazdu, przypomniiał mi się statek dowodzenia Emisariuszy w Zihicce. Davidson odgrywał rolę oficera łączności, twarz oświetlało mu bladoniebieskie światło z ekranu. Ortega przypominała medyka, odpakowując plastry i wydobywając aplikatory z samoczynnie uszczelniającej się torby. Wyżej, we włazie do kokpitu stał Bautista. Wyglądał na zmartwionego. Pojazd prowadził jeszcze jeden, nieznany mi irokez. Musiałem mieć dziwną minę, bo Ortega przyglądała mi się uważnie.

– Jakiś problem?

Pokręciłem głową.

– To tylko atak nostalgii.

– Cóż, miejmy nadzieję, że dobrze odmierzyłeś dawki. – Oparła się o kadłub. Plaster z narkotykiem, który trzymała w dłoniach, wyglądał jak liść oderwany z jakiejś świecącej, zielonej rośliny.

Uśmiechnąłem się do niej i obróciłem głowę, odsłaniając żyłę na szyi.

– To czternaście procent – powiedziała i przyłożyła mi do karku chłodny, zielony płatek. Poczułem lekkie drapnięcie, jak od gładkiego papieru ściernego, a potem przez obojczyk głęboko do piersi sięgnął długi, zimny palec.

– Niezłe.

– Cholera, takie powinno być. Wiesz, ile ten towar kosztowałby na ulicy?

– Przywileje stróżów prawa, co?

Bautista odwrócił się w naszą stronę.

– To nie jest śmieszne, Kovacs.

– Daj mu spokój, Rod – rzuciła leniwie Ortega. – W tych okolicznościach facet ma prawo do kiepskiego żartu. Puszczają mu nerwy.

Uniosłem palec do skroni, przyznając jej rację. Ortega ostrożnie oderwała plaster i cofnęła się.

– Trzy minuty do następnego – oznajmiła. – Zgadza się?

Kiwnąłem głową i otworzyłem umysł na efekty działania kostuchy.

Z początku było nieprzyjemnie. W miarę jak spadała temperatura mojego ciała, powietrze w transporterze zaczęło się robić gorące i przytłaczające. Zapadało się ciężko do płuc i zalegało tam tak, że każdy oddech wymagał dużego wysiłku. Obrazy zatarły się, a w ustach poczułem suchość, gdy zaburzeniu uległa równowaga płynów. Każdy ruch, nawet najdrobniejszy, przypominał ciężką pracę. Nawet myślenie wymagało wysiłku.

Potem zaskoczyły stymulanty kontrolne i po paru sekundach mój umysł oczyścił się z otumanienia. Zapanowała w nim nieznośna jasność słonecznego blasku odbijającego się na ostrzu noża. Wrażenie, że pływam w zupie, zanikło, gdy przekaźniki nerwowe dostroiły organizm do radzenia sobie ze zmianą temperatury ciała. Oddychałem leniwie, z przyjemnością, jakbym pił gorący rum w zimną noc. Kabina transportowca i wypełniający ją ludzie wydali mi się nagle zakodowaną zagadką, dla której znalazłbym rozwiązanie, gdybym tylko...

Poczułem, jak na twarz wypełza mi bezmyślny uśmiech.

– Whooo, Kristin, to... dobry towar. Lepszy niż na Sharyi.

– Cieszę się, że ci się podoba. – Ortega zerknęła na zegarek. – Jeszcze dwie minuty. Jesteś gotowy?

– Tak. – Wydałem wargi i wydmuchałem przez nie powietrze. – Na wszystko. Absolutnie na wszystko.

Ortega obróciła głowę w stronę Bautisty, który prawdopodobnie widział instrumenty w kokpicie.

- Ile jeszcze mamy czasu, Rod?
- Będziemy tam za niecałe czterdzieści minut.
- Lepiej daj mu ten strój.

Kiedy Bautista sięgnął do schowka nad głową, Ortega pogrzebała w kieszeni i wyciągnęła z niej hipospray zakończony nieprzyjemnie wyglądającą igłą.

– Chcę, żebyś to ze sobą zabrał – powiedziała. – Drobne ubezpieczenie ze strony Uszkodzeń Organicznych.

– Igła? – Potrząsnąłem głową, czując, że robię to z automatyczną precyzją. – Nie wsadzisz we mnie czegoś takiego.

– To tylko filament śledzący – wyjaśniła cierpliwie. – I nie wyjdiesz bez niego z tego pojazdu.

Spojrzałem na odbijające się w igle światło. Mój umysł siekał fakty jak warzywa na miskę gulaszu. W taktycznej piechocie morskiej używaliśmy filamentów podskórnych do śledzenia ludzi biorących udział w tajnych infiltracjach. W przypadku gdyby coś poszło nie tak, dokładna lokalizacja umożliwiała nam ich wydostanie. Jeśli nie stało się nic złego, cząsteczki filamentu rozpadały się na związki organiczne, zazwyczaj w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

Spojrzałem na Davidsona.

– Jaki to ma zasięg?

– Sto kilometrów. – W świetle ekranu młody irokez stał się nagle bardzo kompetentny. – Aktywowane tylko sygnałem wywoławczym. Nie emituje, jeśli po ciebie nie zadzwonimy. Bezpieczne.

Wzruszyłem ramionami.

– W porządku. Gdzie chcesz to wsadzić?

Ortega stała z igłą w dłoni.

– Mięśnie karku. Blisko stosu na wypadek, gdyby odciął ci głowę.

– Urocze. – Wstałem i odwróciłem się do niej tyłem, żeby umożliwić jej wprowadzenie igły. W mięśniach u podstawy czaszki poczułem krótkie ukłucie bólu, który szybko przygasł.

Ortega poklepała mnie po ramieniu.

– Gotowe. Mamy go na ekranie?

Davidson wcisnął kilka klawiszy i z satysfakcją pokiwał głową. Bautista rzucił uprząż grawitacyjną na siedzenie przede mną. Ortega zerknęła na zegarek i sięgnęła po drugi plaster.

– Trzydzieści siedem procent – powiedziała. – Gotów na Wielki Mróz?

* * *

Miałem wrażenie, jakbym zanurzał się w diamentach.

Nim dolecieliśmy do Głowy w Chmurach, narkotyk wyeliminował większość moich reakcji emocjonalnych. Postrzegałem tylko ostre i błyszczące krawędzie czystych danych. Jasność stała się wręcz materialna, warstwa zrozumienia pokrywała wszystko, co widziałem wokół siebie. Strój maskujący i uprząż grawitacyjna opinały mnie jak samurajska zbroja, a kiedy wyciągnąłem z kabury ogłuszacz, żeby sprawdzić jego ustawienia, czułem jego ładunek pulsujący w środku jak coś żywego.

Z całego arsenału, który ze sobą zabrałem, tylko on miał dla moich przeciwników słowo przebaczenia. Reszta głosiła jednoznaczny wyrok śmierci.

Do żeber naprzeciw ogłuszacza przyciśnięty był igłowiec załadowany pociskami z pajęczą trucizną. Otwór lufy ustawiłem na duży rozrzut. Z odległości pięciu metrów mógłbym jednym strzałem załatwić cały pokój przeciwników, bez odrzutu i w całkowitej ciszy. Pozdrowienia od Sary Szaciłowskiej.

W saszetce na lewym biodrze spoczywał bezpiecznie podajnik mikrogranatów termitowych, każdy wielkości dyskietki. In memoriam Iphigenie Deme.

A gdyby jeszcze nie mieli dość – na przedramieniu pod kombinezonem maskującym, w pochwie z wyrzutnikiem neuralnym, zamocowałem nóż Tebbita.

Przywołałem to samo uczucie zimna, jakie wypełniło mnie przed Dyskretnymi Pokojami u Jerry’ego, ale w kryształowej

głębi kostuchy nie było mi potrzebne.

Pora ruszać.

– Obiekt w polu widzenia – zawołał pilot. – Chcecie podejść i rzucić okiem na to cacko?

Zerknąłem na Ortegę, która wzruszyła ramionami. Oboje przeszliśmy do przodu. Ortega usiadła za irokezem i wsunęła na głowę kask drugiego pilota. Zadowolilem się miejscem we włazie obok Bautisty. Widok z tego miejsca był równie dobry.

Większą część kokpitu lock-mita wykonano z przezroczystego stopu, na którym wyświetlano wskazania instrumentów, co pozwalało pilotowi bez przeszkód obserwować otoczenie. Pamiętałem to uczucie z Sharyi – lot czymś takim przypominał podróż nad rozciągającymi się niżej chmurami na lekko wklęsłej tacy, kawałku stali albo latającym dywanie. Wrażenie było równocześnie oszalamiające i podniosłe, jakby zarezerwowane dla bogów. Zerknąłem na profil irokeza i przez chwilę zastanawiałem się, czy był równie daleki od tego uczucia, jak ja pod wpływem kostuchy.

Tej nocy niebo było czyste. Głowa w Chmurach wisiała po lewej jak oglądana z daleka górską wioska, jak gromadka drobnych, niebieskich świateł zachęcająca cicho do powrotu do ciepłego domu w mroczną, lodowatą noc. Kawahara wybrała na swój burdel kraniec świata.

Gdy skręcaliśmy w stronę świateł, kokpit wypełnił się jazgotem elektronicznych dźwięków, a wyświetlane dane na chwilę zbladły.

– Namierzyli nas – rzuciła ostro Ortega. – Jedziemy. Chcę przelecieć im pod brzuchem. Niech się nam dobrze przyjrzą.

Irokez nie odpowiedział, ale nos transportowca przechylił się w dół. Ortega sięgnęła do świecącego jej nad głową panelu instrumentów i dotknęła przycisku. Kabinę wypełnił ostry, męski głos.

– ...że jesteście w zamkniętej przestrzeni powietrznej. Mamy prawo zniszczyć intruzów. Proszę natychmiast dokonać identyfikacji.

– Tu wydział policji Bay City – odpowiedziała lakonicznie Ortega. – Wyrzyj przez okno, to zobaczysz pasy. Jesteśmy tu z oficjalną wizytą, więc jeśli choćby obrócisz wyrzutnię w naszym kierunku, przypilnuję, żeby zestrzelili was do wody.

Zapadła sycząca cisza. Ortega obróciła się w moją stronę i wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Przed nami Głowa w Chmurach rosła jak obiekt na celowniku rakiety, a potem gwałtownie przesunęła się nad nasze głowy, gdy pilot zanurkował pod jej kadłubem. Dostrzegłem światła podwieszone jak lodowate owoce na galeryjkach i od dołu pod lądowiskami, rozdęty brzuch pojazdu wznoszący się krzywizną po obu stronach. Po chwili byliśmy już za nim.

– Proszę podać cel wizyty – zabrzmiał nieprzyjemny głos. Ortega wyjrzała z boku kokpitu, jakby szukając rozmówcy w strukturze jednostki. Jej głos zabrzmiał lodowato.

– Podałam ci już cel naszej wizyty, synu. A teraz dawaj mi lądowisko.

Znow cisza. Krążyliśmy wokół statku w odległości pięciu kilometrów. Zacząłem zakładać rękawiczki kombinezonu maskującego.

– Porucznik Ortega. – Tym razem był to głos Kawahary, ale w głębinach oderwania betatanatynowego nawet nienawiść wydawała się odległa i musiałem sobie o niej przypomnieć, by ją poczuć. Nadal potrafiłem jednak docenić szybkość, z jaką rozpoznali Ortegę po wzorze głosu. – Nie spodziewaliśmy się pani. Czy ma pani jakiś nakaz? Z naszą licencją chyba wszystko w porządku?

Patrząc w moją stronę, Ortega uniosła brwi. Na niej również zrobiło wrażenie tempo, w jakim rozpoznali ją po głosie. Odchrząknęła.

– Ta sprawa nie dotyczy licencji. Szukamy zbiega. Jeśli będzie się pani upierać przy nakazie, uznam, że ma pani nieczyste sumienie.

– Proszę mi nie grozić, pani porucznik – odpowiedziała zimno Kawahara. – Czy pani w ogóle wie, z kim rozmawia?

– Przypuszczam, że z Reileen Kawaharą.

W śmiertelnej ciszy, która zapadła po tych słowach, Ortega wykonała gest, jakby zamierzała przebić sufit i odwróciła się do mnie z szerokim uśmiechem.

Poczułem, jak kąciaki warg drgają mi z rozbawienia.

– Może lepiej będzie, pani porucznik, jeśli zdradzi mi pani nazwisko tego zbiega. – Głos Kawahary stał się gładki jak wyraz twarzy pustej syntetycznej powłoki.

– Niejaki Takeshi Kovacs – powiedziała Ortega, znów szczerząc zęby w moją stronę. – Ale w tej chwili nosi na sobie powłokę byłego oficera policji. Chciałabym zadać kilka pytań *à propos* pani związków z tym człowiekiem.

Zapadła kolejna dłuższa cisza i już wiedziałem, że przynęta chwyciła. Przygotowałem jej wszystkie warstwy z dokładnością Emisariuszy. Kawahara prawie na pewno wiedziała o związku między Ortegą i Rykerem, prawdopodobnie mogła też domyślić się, że i z nowym mieszkańcem powłoki kochanka łączą ją jakieś więzy. Zrozumie wściekłość Ortegi z powodu faktu, że się ulotniłem. Kupi bezpodstawną w gruncie rzeczy najazd na Głowę w Chmurach. Biorąc pod uwagę, że – jak zakładałem – porozumiewa się z Miriam Bancroft, uzna, iż wie, gdzie jestem i będzie przekonana, że ma przewagę nad Ortegą.

Co więcej, zechce się pewnie dowiedzieć, skąd policja Bay City wyciągnęła informację, że przebywa na pokładzie Głowy w Chmurach. A ponieważ istniało prawdopodobieństwo, że wiadomość ta pochodzi od Takeshiego Kovacsa, spróbuje odkryć, jak wpadł na ten pomysł, co jeszcze wie i ile powiedział policji.

Będzie chciała rozmawiać z Ortegą.

Zapiąłem zamki kombinezonu maskującego na nadgarstkach i czekałem. Zrobiliśmy trzecie okrążenie wokół Głowy w chmurach.

– Lepiej niech pani wejdzie na pokład – zdecydowała w końcu Kawahara. – Sygnał lokacyjny na sterburcie. Proszę się nim kierować, podadzą kod.

* * *

Lock-mit był wyposażony w tylną wyrzutnię, mniejszą, cywilną wersję komory bombowej, którą w egzemplarzach wojskowych wykorzystywano do zrzucania inteligentnych bomb albo dronów szpiegowskich. Przypominała nieco antyczną wyrzutnię torpedową, a wchodziło się do niej przez właz w podłodze głównej kabiny. Przy odrobinie wysiłku byłem w stanie się tam zmieścić w całości, z uprzężą grawitacyjną i pełnym uzbrojeniem. Przećwiczyliśmy to trzy czy cztery razy na ziemi, ale teraz, gdy transportowiec leciał po łuku w stronę Głowy w Chmurach, cały proces wydał się nagle długi i skomplikowany. W końcu wcisnąłem do środka całą uprzęż grawitacyjną, a Ortega poklepała mnie ostatni raz po hełmie i zatrasnęła właz, zostawiając mnie w ciemności.

Trzy sekundy później rura otworzyła się z drugiej strony i wypłuła mnie w nocne niebo.

Odniosłem niejasne wrażenie przyjemności, jak wspomnienie nienależące do tego ciała. Z ciasnego zamknięcia rury i głośnych wibracji transportowca zostałem nagle wystrzelony w otwartą przestrzeń i ciszę. Przez izolowany hełm kombinezonu nie przedzierał się nawet szum powietrza. Uprząż grawitacyjna zaskoczyła, gdy tylko wyleciałem z pojazdu, i zatrzymała spadek, zanim jeszcze na dobre się zaczął. Czułem, że unoszę się w przestworzach jak piłka podskakująca na strumieniu wody z fontanny. Obserwowałem malejące z każdą chwilą światełka transportowca podlatującego do olbrzymiego kształtu Głowy w Chmurach.

Statek powietrzny wisiał przede mną jak nadciągająca chmura burzowa. Z zakrzywionego kadłuba i galeryjek oraz anten pod spodem mrugały do mnie setki świateł. Normalnie pewnie poczułbym się jak ruchomy cel, ale betatanatyna wymiotła wszystkie emocje czystym potokiem szczegółowych danych. W stroju maskującym byłem równie czarny jak otaczające mnie niebo i całkowicie niewidoczny, nawet na radarze. Moje pole

grawitacyjne można było teoretycznie zauważyć na jakimś skanerze, ale biorąc pod uwagę potężne zniekształcenia wytwarzane przez stabilizatory statku, musieliby specjalnie mnie szukać, i to dość uważnie. Wszystko to wiedziałem z absolutną pewnością, która nie pozostawiała miejsca na wątpliwości, strach czy jakiegokolwiek inne emocje. Jechałem na kosztusze.

Ustawiłem napęd na ostrożny lot do przodu i zacząłem dryfować w stronę potężnej, zakrzywionej ściany kadłuba. Wewnątrz hełmu, na powierzchni osłony obudził się wyświetlacz, pokazując zaznaczone na czerwono punkty wejścia, które wcześniej znalazła Irene Elliott. Jeden z nich, nieużywane wyjście wieżyczki próbnikowej, pulsował obok drobnych, zielonych liter układających się w napis: kandydat numer jeden. Powoli wzniosłem się na spotkanie z nim. Otwór wieżyczki miał około metra szerokości, przy brzegach, w miejscach, gdzie amputowano system próbkowania atmosfery, widać było mnóstwo blizn. Udało mi się wysunąć nogi do przodu, co w polu grawitacyjnym stanowi niemałe osiągnięcie, a potem z wysiłkiem wcisnąłem się do włazu aż po biodra. Tutaj mogłem już wydostać się z uprząży, wyłączyć ją, zgarnąć i wsunąć się przez szczelinę na dno wieżyczki.

Wewnątrz ledwie starczało miejsca, by leżący na plecach technik mógł sprawdzić sprzęt. U podstawy wieżyczki znajdowała się antyczna śluza powietrzna z kołem blokującym; dokładnie tak, jak obiecywały zdobyte przez Irene Elliott plany techniczne. Kręciłem się, póki nie udało mi się chwycić koła obiema rękami. Zarówno uprząż, jak i kombinezon ciągle o coś zaczepiały w wąskim tunelu, a dotychczasowa gimnastyka prawie całkowicie odebrały mi siły. Wziąłem głęboki oddech, by zasilić pogrążone w śpiączce mięśnie, odczekałem, aż spowolnione serce rozprowadzi natlenioną krew po całym ciele i naparłem na koło. Wbrew oczekiwaniom, dało się obrócić bez problemu. Otworzyłem na zewnątrz włącz śluzy. Za nim kryła się całkowita ciemność.

Znów przez chwilę leżałem nieruchomo, zbierając siły.

Przyjęcie podwójnego strzału koktajlu kostuchy wymagało wprawy. Na Sharyi nie musieliśmy brać ponad dwudziestu procent. Przeciętne temperatury w Zihicce były dość wysokie, a czujniki termiczne czołgów pajęczych prymitywne. Tutaj ciało o temperaturze pokojowej na Sharyi wyzwoliłoby wszystkie alarmy w kadłubie. Gdybym nie oddychał ostrożnie i wolno, mój organizm bardzo szybko wyczerpałby komórkowe zapasy energii i ległbym na podłodze jak wyciągnięta z wody ryba. Leżałem więc bez ruchu, oddychając powoli i głęboko.

Po kilku minutach znów się wykręciłem i ostrożnie wsunąłem się przez właz, aż dłońmi trafiłem na stalową kratownicę pasażu. Powoli dźwignąłem z włazu resztę ciała, czułem się jak ćma opuszczająca kokon. Rozejrzałem się w obie strony po ciemnym korytarzu i zdjąłem hełm oraz rękawice kombinezonu maskującego. Jeśli plany wydobyte przez Irene Elliott z bazy danych stoczni powietrznej Tampa dalej były zgodne z rzeczywistością, korytarz prowadził obok potężnych rufowych zbiorników kontroli wyporności, wypełnionych helem. Stamtąd będę mógł wspiąć się drabinką wprost na główny pokład. Zgodnie z tym, co wyciągnąłem z Millera, kwatera Kawahary znajdowała się dwa poziomy niżej na bakburcie. Miała dwa potężne okna, z których rozpościerał się widok na ocean.

Przywołując z pamięci plany, wyciągnąłem pistolet igłowy i ruszyłem w stronę rufy.

* * *

Dotarcie do pokoju kontroli wyporności zajęło mi niecałe piętnaście minut, po drodze nikogo nie spotkałem. Pomieszczenie było całkowicie zautomatyzowane i zacząłem podejrzewać, że obecnie nikt nie zawracał sobie głowy odwiedzaniem zakrzywionych przestrzeni górnej części kadłuba. Znalazłem drabinkę techniczną i bez problemu zszedłem nią w dół, póki dochodzący z niższych partii statku ciepły blask nie powiedział mi, że jestem już prawie na poziomie głównego

pokładu. Zatrzymałem się i zacząłem nasłuchiwać. Przez blisko minutę mój zmysł zbliżeniowy pracował z maksymalną czułością. Dopiero wtedy skoczyłem ostatnie cztery metry w dół, na podłogę dobrze oświetlonego, pokrytego dywanem korytarza. Nikogo nie zauważyłem.

Sprawdziłem czas na wewnętrznym wyświetlaczu i schowałem igłowca. W tej chwili Ortega powinna już rozmawiać z Kawaharą. Rozejrzałem się i pomyślałem, że jeśli kiedyś główny pokład miał pełnić funkcję roboczą, w tej chwili zdecydowanie odbiegał od pierwotnych założeń. Korytarz kapał złotem i czerwienią, ozdobiono go donicami z egzotyczną roślinnością i lampami z wyrzeźbionymi na nich kopulującymi parami. Dywan pod stopami był puszysty, pokryty drobiazgowo szczegółowymi obrazami seksualnego szaleństwa. Mężczyźni i kobiety w różnych konfiguracjach zajmowali się sobą na całej długości korytarza w nieprzerwanej sekwencji penetrowanych otworów i rozpostartych kończyn. Na ścianach zawieszono równie dosłowne hologramy, które wydawały z siebie jęki i stękania, gdy obok nich przechodziłem. W jednym z nich rozpoznałem chyba ciemnowłosą kobietę o karmazynowych wargach z reklamy ulicznego emitera, kobietę, która być może przyciskała się do mnie biodrami w barze po drugiej stronie planety.

W zimnym oderwaniu betatanatyny nie robiło to na mnie wrażenia większego niż ściana pełna marsjańskich technoglifów.

Co mniej więcej dziesięć metrów po obu stronach korytarza umieszczono podwójne, bogato ozdobione drzwi. Nie trzeba było szczególnie rozwiniętej wyobraźni, by domyślić się, co mieściło się za nimi. Biokabiny Jerry'ego, tylko pod inną nazwą, a z każdej z nich w dowolnym momencie mógł wyjść klient. Przyspieszyłem kroku, szukając bocznego korytarza, o którym wiedziałem, że prowadzi do schodów i wind na inne poziomy.

Byłem prawie na miejscu, gdy nagle, jakieś pięć metrów ode mnie, otworzyły się drzwi. Znieruchomiałem z dłonią na rękojeści igłowca, plecami przyłgnąłem do ściany, a wzrok

utkwilem w otwierających się skrzydłach drzwi. Neurochem pracował na najwyższych obrotach.

Zza drzwi powoli wysuwało się zwierzę o szarym futrze, młodego wilczka albo psa. Trzymając dłoń na pistolecie, odsunąłem się nieco od ściany, by lepiej mu się przyjrzeć. Zwierzę sięgało mi mniej więcej do kolan, mocno powłóczyło tylnymi łapami. Uszy położyło po sobie, a z gardła wydobyło ciche skamlanie. Kiedy na mnie spojrzało, mocniej zacisnąłem palce na rękojeści igłowca, ale ono tylko omiotło mnie pustym wzrokiem. Nieme cierpienie rysujące się w jego oczach wystarczyło, bym zrozumiał, że z jego strony nic mi nie grozi. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie, a potem stworzenie pokuśtykało do sąsiednich drzwi i zbliżyło do nich głowę, jakby nasłuchując. Pszedłem za nim i przytknąłem ucho do drzwi. Wyciszenie było dobre, ale nie stanowiło zapory dla neurochemii Khumalo przy maksymalnych ustawieniach. Gdzieś na granicy słyszalności do moich uszu dobiegły dźwięki, jak ukłucia owadów. Tępy, rytmiczny łomot i coś, co przypominało żałosne jęki kobiety, która opadła z sił. Ustało niemal natychmiast.

Stojący obok mnie pies przerwał skomlenie i położył się na podłodze przy drzwiach. Kiedy się odsunąłem, znów na mnie spojrzał ze wzrokiem przepełnionym bólem i wyrzutem. W tych oczach dostrzegłem każdą ofiarę, jaka kiedykolwiek patrzyła na mnie przez ostatnie trzy dekady świadomego życia. Potem zwierzę odwróciło głowę i zaczęło apatycznie lizać uszkodzone tylne kończyny.

Na ułamek sekundy coś przebiło się potężnym gejzerem przez zimną skorupę betatanatyny.

Podszedłem do drzwi, z których wyszło zwierzę, wyciągając po drodze igłowiec. Skoczyłem do przodu, trzymając broń w obu dłoniach. Za drzwiami znajdował się przestronny pokój pomalowany w pastelowe kolory, z oryginalnymi dwuwymiarowymi obrazami na ścianach. Środek zajmowało potężne łóżko z baldachimem i przejrzystymi zasłonami. Na jego brzegu siedział elegancko wyglądający mężczyzna

po czterdziestce, nagi od pasa w dół. Poza tym miał na sobie formalny strój wieczorowy, ostro kontrastujący z wytrzymałymi rękawicami roboczymi z grubego materiału, naciągniętymi aż po łokcie. Schylał się, wycierając się między nogami wilgotnym białym ręcznikiem.

Kiedy wszedłem głębiej do pokoju, podniósł wzrok.

– Jack? Już skoń... – w całkowitym zdumieniu zapatrzył się na pistolet w moich dłoniach, a gdy koniec lufy znalazł się zaledwie o pół metra od jego twarzy, w jego głosie pojawiła się desperacja. – Słuchaj, nie zamawiałem tego programu.

– Na koszt firmy – powiedziałem zimno i beznamiętnie przyglądałem się, jak ładunek monomolekularnych igieł rozdziera mu twarz na strzępy.

Poderwał ręce spomiędzy nóg, by przykryć rany i spadł bezwładnie z łóżka, umierając z bulgotliwym charczeniem.

Wycofałem się z pokoju. W rogu pola widzenia dostrzegłem połyskujący na czerwono wyświetlacz czasu akcji. Ranne zwierzę przed drzwiami po drugiej stronie nie podniosło wzroku. Przyklęknąłem i łagodnie położyłem dłoń na szarym futrze. Uniosło głowę, znów wydając z siebie cichutki skowyt. Odłożyłem pistolet igłowy i napiąłem pustą dłoń. Neurowyrzutnik podał mi do niej błyszczący nóż Tebbita.

Kiedy wyczyściłem ostrze w futro, schowałem je z powrotem do pochwy i podniosłem igłowca. Wszystko robiłem z niezachwianym spokojem, na który pozwalała mi kostucha. Ruszyłem cicho do poprzecznego korytarza. Przez spokój, jaki zagwarantował mi narkotyk, coś do mnie wołało, coś się przebijało, ale kostucha nie pozwalała mi się tym martwić.

Zgodnie ze wskazaniem wykradzionych przez Elliott planów poprzeczny korytarz prowadził do klatki schodowej pokrytej dywanem z tym samym orgiastycznym wzorem, co w głównym przejściu. Ostrożnie ruszyłem schodami w dół, przesuwając bronią w pustej przestrzeni. Czułem, że mój zmysł zbliżeniowy jest rozwinięty jak radar. Żadnego ruchu. Kawahara musiała pozamykać wszystkie przejścia, żeby podczas pobytu

na pokładzie Ortega i jej załoga nie zobaczyli czegoś niewygodnego.

Opuściłem schody dwa poziomy niżej i szedłem przez labirynt korytarzy, aż nabrałem przekonania, że drzwi do apartamentu Kawahary znajdują się za najbliższym rogiem. Stojąc plecami do ściany, przysunąłem się do narożnika i czekałem, oddychając płytko. Mój niezawodny do tej pory radar powiedział mi, że za rogiem przy drzwiach ktoś jest, prawdopodobnie więcej niż jedna osoba. Wychwyciłem delikatny ślad dymu tytoniowego. Opadłem na kolana, sprawdziłem otoczenie, a potem przycisnąłem twarz do podłogi. Sunąc policzkiem po dywanie, ostrożnie wyjrzałem za róg.

Przed drzwiami stali kobieta i mężczyzna, oboje w zielonych kombinezonach. Kobieta paliła. Choć oboje mieli w kaburach przy pasach ogłuszacze, wyglądali bardziej na obsługę techniczną niż ochroniarzy. Rozluźniłem się odrobinę i postanowiłem jeszcze trochę poczekać. W kącie oka czas akcji pulsował czerwienią jak przeciążona żyłka.

Minął pełny kwadrans, zanim usłyszałem odgłos otwieranych drzwi. Na pełnym wzmocnieniu neurochemia wychwyciła szelest ubrań, gdy strażnicy przesunęli się, by przepuścić wychodzącą z pokoju osobę. Usłyszałem Ortegę cedzącą słowa z udawanym, służbowym brakiem zainteresowania, potem głos Kawahary, modulowany jak u androida z Larkina i Greena. Dzięki chroniącej mnie przed nienawiścią betatanatynie moja reakcja na ten głos została skutecznie stłumiona.

– ...że nie mogę pomóc, pani porucznik. Jeśli to, co powiedziała pani o klinice Wei, jest prawdą, jego równowaga umysłowa z pewnością uległa zachwianiu od czasu, gdy dla mnie pracował. Czuję się za to trochę odpowiedzialna. Nigdy nie poleciłabym go Laurensowi Bancroftowi, gdybym podejrzewała, że może się zdarzyć coś takiego.

– Jak mówiłam, to tylko przypuszczenie. – Ton głosu Ortegi wyostrzył się lekko. – I będę wdzięczna, jeśli nie ujawni pani nikomu tych informacji. Do czasu, aż dowiemy się, gdzie zniknął

Kovacs i dlaczego...

– Oczywiście. Całkowicie rozumiem znaczenie utrzymania tajemnicy. Jest pani na pokładzie Głowy w Chmurach, pani porucznik. Cieszymy się doskonałą reputacją, jeśli w grę wchodzi dyskrecja.

– Owszem. – Ortega pozwoliła, by w jej głosie zabrzmiał niesmak. – Słyszałam.

– Cóż, w takim razie może być pani spokojna, że nie będziemy o tym rozmawiać. Teraz, jeśli państwo wybaczą, muszę się zająć sprawami administracyjnymi. Tia i Max odprowadzą państwa do lądowiska.

Drzwi zamknęły się z cichym trzaskiem. Usłyszałem kroki i gwałtownie się spałem. Szli w moim kierunku. Tego nikt nie przewidział. Na planach główne lądowiska znajdowały się przed kabiną Kawahary, więc nadszedłem od rufy. Dlaczego zatem prowadzili Ortegę i Bautistę na tył statku?

Nie czułem paniki. Zamiast niej przez mój umysł przebiegł zimny analog reakcji adrenalinowej, podsuwając mi suche fakty. Ortedze i Bautiście nic nie groziło. Musieli wychodzić tą samą drogą, którą przyszli, bo inaczej wzbudziliby podejrzenia. Co do mnie... Żeby mnie zobaczyć, ochroniarze musieliby spojrzeć w bok, znajdowałem się niestety w miejscu dobrze oświetlonym i nie miałem gdzie się schować. Z drugiej strony, temperatura mojego ciała była niższa od pokojowej, puls bił wolno, a ja oddychałem w podobnym tempie, znikła więc większość czynników wyzwalających podświadomie działający zmysł bliskości. Oczywiście, przy założeniu, że ochrona miała na sobie normalne powłoki.

A jeśli skręcą w ten korytarz, by użyć schodów, którymi zszedłem...

Skurczyłem się pod ścianą, ustawiłem igłowiec na minimalny rozrzut i wstrzymałem oddech.

Ortega. Bautista. Dwóch ochroniarzy idących z tyłu. Byli tak blisko, że mógłbym wyciągnąć rękę i dotknąć włosów Ortegi.

Nikt się nie obejrzał.

Odczekałem pełną minutę, zanim znów zacząłem oddychać. Potem sprawdziłem korytarz w obu kierunkach, szybko przeszedłem za róg i zapukałem do drzwi kolbą pistoletu. Wszedłem do środka, nie czekając na odpowiedź.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Pokój wyglądał dokładnie tak, jak opisał go Miller. Szeroki na dwadzieścia metrów i zakończony nieodbijającą światła szklaną ścianą biegnącą ukośnie od podłogi do sufitu. W pogodny dzień pewnie można by się położyć na tej tafli i przyglądać oceanowi w dole. Surowy wystrój pokoju zapewne nawiązywał do pochodzenia Kawahary, do tradycji z początków tysiąclecia. Matowoszare ściany, podłoga ze stopionego szkła, światło dochodziło z postrzępionych origami, wykonanych z arkuszy iluminium, ustawionych na żelaznych trójnogach w kątach pokoju. Jeden z boków pomieszczenia zdominowała potężna tafla czarnej stali, która pewnie służyła jako biurko. Drugą zajmowała grupa dużych foteli ustawionych wokół imitacji antycznego piecyka olejowego. Za fotelami łuk drzwi prowadził do pomieszczeń, w których według Millera mieściły się sypialnie.

Nad biurkiem w wyświetlaczu holograficznym przesuwiał się wolno strumień jakichś danych. Reileen Kawahara stała plecami do drzwi, wpatrując się w rozgwieżdżone niebo.

– Zapomniała pani czegoś? – zapytała nieobecny głosem.

– Nie.

Zobaczyłem, jak jej plecy sztywnieją na dźwięk mojego głosu, ale potem odwróciła się z nieśpieszną elegancją i nawet widok igłowca nie zmącił lodowatego spokoju na twarzy. Jej głos brzmiał prawie równie odlegle jak w chwili, zanim się odwróciła.

– Kim jesteś i jak tu wszedłeś?

– Zgadnij – machnąłem w stronę foteli – siadaj tam i daj odpocząć nogom podczas myślenia.

– Kadmin?

– Obrażasz mnie. Siadaj!

Zobaczyłem, jak w jej oczach w ułamku sekundy pojawia się

właściwa odpowiedź.

– Kovacs? – Na jej usta wypełził nieprzyjemny uśmiech. – Kovacs, ty tępy draniu. Masz pojęcie, co właśnie odrzuciłeś?

– Kazałem ci usiąść.

– Nie ma jej tu, Kovacs. Wróciła na Świat Harlana. Dotrzymałam słowa. A ty co tu robisz?

– Więcej tego nie powtórzę – stwierdziłem spokojnie. – Albo usiądziesz, albo złamię ci kolano.

Uśmiech na twarzy Kawahary nawet nie drgnął, gdy powoli opuszczała się na najbliższy fotel.

– No dobrze, Kovacs. Dzisiaj zagramy według twojego scenariusza. A potem ściągnę tę flandrę Szaciłowską z powrotem i zamknę was razem. Co zamierzasz zrobić? Chcesz mnie zabić?

– Jeśli będzie trzeba.

– Za co? Nie odpowiada ci moja moralność? – Sposób, w jaki zaakcentowała ostatnie słowa, sprawił, że zabrzmiały jak nazwa jakiegoś towaru. – Nie zapominasz o czymś? Jeśli mnie zabijesz, po około osiemnastu godzinach zauważy to mój system ze zdalną kopią w Europie, po czym upowłokowi mnie, opierając się na ostatnim przekazie. A moja nowa powłoka nie będzie potrzebowała dużo czasu, by dojść, co się tu stało.

Usadowiłem się na krawędzi fotela.

– Och, no nie wiem. Zobacz, ile czasu potrzebował Bancroft, a wciąż nie zna prawdy, zgadza się?

– Więc chodzi ci o Bancrofta?

– Nie, Reileen. Chodzi o ciebie i o mnie. Nie powinnaś była w to mieszać Sary. Należało się ograniczyć tylko do mnie.

– Och – zagruchała, parodiując matczyną troskę. – *Manipulowałam tobą*. Tak mi przykro. – Nagle porzuciła ten ton.

– Jesteś *Emisariuszem*, Kovacs. Żyjesz z manipulacji. Jak my wszyscy. Wszyscy żyjemy w wielkiej sieci manipulacji i ciągle zmagamy się, by zostać na szczycie.

Pokręciłem głową.

– Nie prosiłem, żebyś wprowadzała mnie do gry.

– Kovacs, Kovacs. – Kawahara przybrała nagle niemal czuły

wyraz twarzy. – Nikt z nas o to nie prosi. Myślisz, że prosiłam o urodzenie się w Fission City z karłowatym ojcem nieudacznikiem i matką, psychotyczną dziwką? Myślisz, że o to prosiłam? Nikt nas nie wprowadza, tylko *wrzuca* w to bagno, a my musimy za wszelką cenę utrzymać głowę nad powierzchnią.

– Albo wlewać wodę w gardła innych ludzi – zgodziłem się uprzejmie. – Przypuszczam, że przejęłaś to od swojej matki, tak?

Przez sekundę twarz Kawahary wyglądała jak wycięta z blachy maska, za którą szalał płomień. Widziałem, jak w jej oczach wybucha furia. Gdyby nie kostucha, zacząłbym się bać.

– Zabij mnie – syknęła. – I użyj sobie przy tym, ponieważ będziesz cierpieć, Kovacs. Myślisz, że ci pomyleni rewolucjoniści na Nowym Pekinie cierpieli, kiedy się nimi zajmowałam? Prawdziwe cierpienie dopiero pokażę – tobie i twojej śmierdzącej rybami dziwce.

Pokręciłem głową.

– Nie sądzę, Reileen. Widzisz, aktualizacja twojej kopii poszła emisją strunową około dziesięciu minut temu. A po drodze została złamana. Niczego nie zabraliśmy, za to wprowadziliśmy do przekazu wirus Rawling. W tej chwili jest już w rdzeniu. Twoja zdalna kopia została zakażona, Reileen.

– Kłamiesz. – Zmrużyła oczy.

– Nie dzisiaj. Podobało ci się to, co Irene Elliott zrobiła w Jack It Up? Cóż, powinnaś była zobaczyć ją w wirtualnym forum. Założę się, że kiedy była wewnątrz przekazu, miała czas, by wziąć kilka próbek pamięci. Pamiątki. Nie mają innej wartości, bo jak znam inżynierów stosowych, zatrzasną pokrywę nad twoją zdalną kopią szybciej niż politycy opuszczają strefę wojny. – Kiwnąłem głową w stronę przesuwających się na wyświetlaczu danych. – Przypuszczam, że alarm uaktywni się za kilka godzin. W Innenin trwało to dłużej, ale minęło już sporo czasu. Od tamtej pory technika posunęła się naprzód.

Wtedy uwierzyła, a furia widoczna w jej oczach zebrała się w pojedynczą wiązkę skoncentrowanego ognia.

– Irene Elliott – powiedziała wolno. – Kiedy ją znajdę...

– Myślę, że już dość grózb bez pokrycia jak na jeden dzień – przerwałem spokojnie. – Słuchaj, w tej chwili stos, który masz w sobie, to twoje jedyne życie, a biorąc pod uwagę mój nastrój, nie trzeba wiele, żebym wyciął ci go z rdzenia i zmiażdżył butem. Zanim cię zastrzelę lub zaraz po tym, więc *stul pysk*.

Kawahara znieruchomiała, patrząc na mnie płonącymi oczami zza przymrużonych powiek. Na chwilę uniosła górną wargę, pokazując zęby, ale zaraz się opanowała.

– Czego chcesz?

– Tak lepiej. W tej chwili chcę od ciebie szczegółowej relacji na temat tego, jak wrobiłaś Bancrofta. Rezolucja 653, Mary Lou Hinchley, wszystko. Możesz też dorzucić, jak wrobiłaś Rykera.

– Jesteś do tego okablowany?

Postukałem palcem w lewe oko, pod którym umieszczono sprzęt nagrywający, i uśmiechnąłem się szeroko.

– Naprawdę myślisz, że to zrobię? – rzuciła wściekle w moim kierunku. Spięta czekała na otwarcie. Widziałem ją już taką, ale wtedy nie byłem odbiorcą tego spojrzenia. Kryło się w nim niebezpieczeństwo równie wielkie, jak uczestniczenie w ostrzale na ulicach Sharyi. – Naprawdę myślisz, że wydostaniesz ze mnie przyznanie się do winy?

– Spójrz na to z drugiej strony, Reileen. Prawdopodobnie dzięki wpływom i pieniądзом wyłgasz się z kary kasacji, a za resztę możesz dostać ledwie parę setek lat w przechowalni. – Spoważniałem. – Natomiast jeśli nie zaczniesz mówić, zginiesz tu i teraz.

– Wyznanie pod przymusem nie stanowi dowodu sądowego.

– Nie rozśmieszaj mnie. To nie pójdzie do ONZ. Myślisz, że jeszcze nigdy nie byłem w sądzie? Myślisz, że zaufałbym *prawnikom*? Wszystko, co dzisiaj powiesz, zaraz po powrocie na Ziemię prześlę strunowo do WorldWeb Jeden. To i zdjęcia faceta, którego skasowałem na górze w pokoju z pieskiem. – Kawahara szerzej otworzyła oczy, więc kiwnąłem głową. – Tak, powinienem był powiedzieć ci wcześniej. Masz jednego klienta

mniej. Nie zabiłem go wprawdzie ostatecznie, ale będzie potrzebował nowej powłoki. Zważywszy na to wszystko, pewnie jakieś trzy minuty po tym, jak Sandy Kim wejdzie na antenę, do twoich drzwi zaczną pukać taktyczni ONZ z teczkami pełnymi nakazów. Nie będą mieli wyboru. Sam Bancroft ich do tego zmusi. Myślisz, że ci sami ludzie, którzy zatwierdzili Sharyię i Innenin, nie będą się trzymać zasad konstytucyjnych, by utrzymać się przy władzy? *Więc zacznij mówić.*

Kawahara uniosła brwi, jakbym opowiedział właśnie lekko niesmaczny żart, który słyszała już wcześniej.

– Od czego powinnam, według ciebie, zacząć, Takeshi-san?

– Mary Lou Hinchley. Wypadła stąd, prawda?

– Oczywiście.

– Przygotowywałaś ją do zadań specjalnych? Jakiś chory sukinsyn chciał założyć powłokę tygrysa i pobawić się z kociakiem?

– Proszę, proszę. – Kawahara przechyliła głowę na bok, kojarząc fakty. – Z kim rozmawiałeś? Ktoś z kliniki Wei, nieprawdaż? Niech pomyślę. Miller był tutaj w trakcie tego małego pokazu, ale spaliłeś go, więc... Och. Nie bawiłeś się chyba znowu w łowcę głów, Takeshi? Czyżbyś zabrał Millera do domu w pudełku na kapelusze?

Nic nie powiedziałem, tylko patrzyłem na nią nad lufą igłowca. Na korytarzu słychać było słabnące krzyki dobiegające przez drzwi, pod którymi podsłuchiwałem. Kawahara wzruszyła ramionami.

– Tak się składa, że nie był to tygrys. Ale tak, coś w tym stylu.

– Ale ona się dowiedziała?

– Tak. – Kawahara wyglądała na rozluźnioną. W normalnych warunkach zacząłbym się niepokoić. Pod wpływem betatanatyny zrobiłem się tylko jeszcze ostrożniejszy. – Słówek w niewłaściwym miejscu, może bąknął coś technik. Wiesz, zazwyczaj najpierw przepuszczamy tego rodzaju klientów przez wirtualną wersję, zanim pozwolimy im spróbować tego w rzeczywistości. Lepiej jest wiedzieć, jak zareagują. Niektórzy

czasem nawet porzucają taki pomysł.

– Bardzo rozważnie z twojej strony.

Kawahara westchnęła.

– Jak by ci to wytłumaczyć, Takeshi... Świadczymy tu usługi. Jeśli są legalne, tym lepiej.

– Bzdury, Reileen. Sprzedajesz im wirtual, a po kilku miesiącach przychodzą do ciebie po prawdziwe zbrodnie. To związek przyczynowo-skutkowy i dobrze o tym wiesz. A fakt, że oferujesz im nielegalne przyjemności, zapewnia ci bezpieczeństwo. Masz na nich haka. Spotykasz tu gubernatorów ONZ, co? Generałów Protektoratu, tego rodzaju śmieci?

– Głowa w Chmurach to lokal dla elit.

– Jak ten siwowłoso sukinsyn, którego załatwiłem na górze? To ktoś ważny, prawda?

– Carlton McCabe? – Kawahara zdobyła się na uśmiech. – Przypuszczam, że można tak o nim powiedzieć. Ma dość duże wpływy.

– Zechciałabyś mi wyjaśnić, jakiej to konkretnie wpływowej osobie obiecałaś, że będzie mogła wyrwać wnętrzności z Mary Lou Hinchley?

Lekko zeszywniała.

– Nie, nie zrobię tego.

– Tak myślałem. Chcesz zachować to sobie na później, do negocjacji, prawda? Dobra, na razie dajmy spokój. Więc co zaszło? Hinchley sprowadzono tutaj, przypadkowo dowiedziała się, co jej szykujecie i próbowała uciec? Może ukradła uprząż grawitacyjną?

– Wątpię. Ten sprzęt trzymamy pod ścisłą kontrolą. Raczej uznała, że zdoła utrzymać się na powłoce któregoś z promów. Najwyraźniej nie była zbyt bystra. Nie wiem, jak to zrobiła, dość, że stąd wypadła.

– Albo wyskoczyła.

Kawahara pokręciła głową.

– Nie sądzę, żeby miała na to dość odwagi. Hinchley nie miała

ducha samuraja. Jak większość zwykłych ludzi trzymałaby się życia aż do ostatniej, żałosnej chwili. Z nadzieją na jakiś cud. Błagając o miłosierdzie.

– Jakie to nieeleganckie. Czy od razu zauważono jej nieobecność?

– Oczywiście, że tak! Czekał na nią klient. Przeszukaliśmy cały statek.

– Kłopotliwe.

– Tak.

– Ale nie tak kłopotliwe, jak to, że kilka dni później wyrzuciło ją na brzeg, prawda? Wróżki szczęścia wyjechały wtedy z miasta.

– Rzeczywiście, to dość niedogodna okoliczność – przyznała, jakbyśmy omawiali złe rozdanie w pokerze. – Ale nie całkowicie nieoczekiwana. Po prostu nie przewidzieliśmy prawdziwego problemu.

– Wiedziałaś, że jest katoliczką?

– Oczywiście. To jeden z wymogów pracy tutaj.

– Więc kiedy Ryker wygrzebał tę śmierdzącą konwersję, musiałaś się wkurzyć. Zeznanie Hinchley wyciągnęłoby cię na światło dzienne, razem z cholera wie jak dużą liczbą wpływowych przyjaciół. Głowa w Chmurach, jeden z Domów zamieszany w morderstwa seksualne. Jakiego to określenia użyłaś wtedy na Nowym Pekinie? Nieakceptowalne ryzyko. Należało więc uciszyć Rykera. Popraw mnie, jeśli gubię wątek.

– Nie, jak na razie masz rację.

– Więc go wrobiłaś?

Znów wzruszyła ramionami.

– Podjęto próbę przekupienia go. Okazał się... niechętny do współpracy.

– Pech. To co wtedy zrobiłaś?

– Nie wiesz?

– Chcę, żebyś to powiedziała. Chcę szczegółów. Za dużo mówię. Spróbuj podtrzymywać konwersację, bo dojdę do wniosku, że nie chcesz współpracować.

Teatralnie wzniósła oczy do sufitu.

– Wrobiłam Eliasa Rykera. Przekazałam mu fałszywy trop na temat kliniki w Seattle. Stworzyliśmy konstrukt telefoniczny Rykera i użyliśmy go, by zapłacił Ignacio Garcii za sfałszowanie deklaracji aktu wiary dla dwóch ofiar, które zastrzelił detektyw. Wiedzieliśmy, że policja z Seattle tego nie kupi i że fałszerstwo Garcii nie wytrzyma uważnej analizy. Proszę bardzo, tak lepiej?

– Skąd wytrzasnęłaś Garcie?

– Pogrzebaliśmy wokół Rykera, kiedy próbowaliśmy go kupić.

– Niecierpliwie przesunęła się na fotelu. – Udało nam się znaleźć powiązanie.

– Tak właśnie myślałem.

– Jakiś ty błyskotliwy.

– A więc wszystko zostało elegancko zabite gwoździami. Do chwili, aż wypłynęła Rezolucja 653, a z nią kolejny problem. Sprawa Hinchley wciąż nie była zamknięta.

Przekrzywiła głowę.

– Owszem.

– Dlaczego nie próbowałaś tego przeciągnąć? Wystarczyłoby przekupić jakichś członków Rady ONZ.

– Kogo? To nie Nowy Pekin. Spotkałeś Phiri i Ertkin. Czy wyglądają, jakby byli na sprzedaż?

Kiwnąłem głową.

– A więc rzeczywiście widziałem cię w powłoce Marco. Miriam Bancroft o tym wiedziała?

– Miriam? – Kawahara wyglądała na zakłopotaną. – Oczywiście, że nie. Nikt nie wiedział, o to właśnie chodziło. Marco regularnie grywa z Miriam. To była idealna przykrywka.

– Wcale nie taka idealna. Najwyraźniej nie masz pojęcia o grze w tenisa.

– Nie miałam czasu na dysk treningowy.

– Dlaczego Marco? Cemu po prostu sama tam nie poszłaś?

Machnęła ręką.

– Próbowалам przekonać Bancrofta od chwili, gdy pojawiła się sprawa rezolucji. Ertkin też, za każdym razem, gdy mnie do siebie dopuszczała. Zaczynałam wzbudzać podejrzenia.

Marco, nawet jeśli pilnował moich interesów, wyglądał mniej podejrzanie.

– To ty przyjąłś telefon od Rutheforda – mruknąłem, w zasadzie do siebie. – Ten, który wykonał do Suntouch House, kiedy go postraszyliśmy. Myślałem, że to Miriam, ale to byłaś ty. Mały Marco na uboczu wielkiej katolickiej debaty.

– Tak. – Uśmiechnęła się lekko. – Wygląda na to, że mocno przeceniłeś rolę, jaką w tym wszystkim odegrała Miriam Bancroft. Och, a przy okazji, kto naprawdę zajmuje w tej chwili powłokę Rykera? Bądź tak miły i zaspokój moją ciekawość. Bez względu na to, kto to jest, zachowuje się bardzo przekonująco.

Milczałem, ale kąciki ust uniosły mi się w uśmiechu. Kawahara go zauważyła.

– *Serio?* Podwójne upowłokowienie. Musiałeś owinąć sobie porucznik Ortegę wokół małego palca. Albo czegoś innego. Gratulacje. Manipulacja godna Mata. – Roześmiała się krótko. – To miał być komplement, Takeshi-san.

Zignorowałem docinek.

– Rozmawiałaś z Bancroftem w Osace szesnastego sierpnia, w czwartek? Wiedziałaś, gdzie się wybiera?

– Tak. Regularnie prowadzi tam interesy. Zaaranżowano to jako przypadkowe spotkanie. Zaprosiłam go, by po powrocie odwiedził Głowę w Chmurach. Często tu bywał. Lubił kupować seks bezpośrednio po negocjacjach handlowych. Pewnie sam się już tego dowiedziałeś.

– Owszem. A kiedy go tu ściągnęłaś, co mu powiedziałaś?

– Prawdę.

– Prawdę? – Wbiłem w nią wzrok. – Powiedziałaś mu o Hinchley i spodziewałaś się, że cię poprze?

– Czemu nie? – W spojrzeniu, którym mi odpowiedziała, kryła się mroząca krew w żyłach szczerłość. – Przyjaźnimy się od stuleci. Tworzyliśmy strategie biznesowe, które czasem przynosiły zyski dopiero po długich latach. Nie spodziewałam się, że stanie po stronie maluczkich.

– Więc cię rozczarował. Nie chciał wyznawać wiary Matów.

Kawahara znów westchnęła, ale tym razem wyczułem rzeczywiste zmęczenie.

– Laurens ma w sobie coś z taniego romantyka. Ciągłe nie doceniam tej cechy. Pod wieloma względami jest podobny do ciebie, ale on nie ma na to wymówek. Ma ponad trzysta lat. Zakładałam, może chciałam zakładać, że jego wartości będą to odzwierciedlać. Że reszta to tylko pozy, gładkie słówka dla mas. – Rozłożyła ręce w geście bezradności. – Niestety, były to tylko pobożne życzenia.

– Co zrobił? Wygłosił jakieś oświadczenie *à propos* moralności?

Kawahara wyglądała na rozbawioną.

– Kpisz ze mnie? Ty, który nadal masz na rękach krew zabitych w klinice Wei? Ty, rzeźnik Protektoratu, eliminator ludzkiego życia na każdej planecie, na której zdołałeś postawić stopę? Chyba jesteś trochę niekonsekwentny, Takeshi.

Bezpieczny w zimnych objęciach betatanatyny nie poczułem nic poza lekką irytacją. Uznałem jednak, że powinienem coś wyjaśnić.

– Klinikę Wei potraktowałem bardzo osobiście.

– To był tylko interes. W ogóle nie byli tobą zainteresowani. Większość z ludzi, których tam zabiłeś, po prostu robiła swoje.

– A więc powinni byli wybrać inną pracę.

– A ludzie na Sharyi, jakiego oni powinni dokonać wyboru? Mieli nie urodzić się na tej konkretnej planecie i w tym właśnie czasie? Może nie pozwolić, by wcielono ich do armii?

– Byłem młody i głupi – odpowiedziałem. – Wykorzystano mnie. Zabijałem dla ludzi takich jak ty, bo nie wiedziałem, że można inaczej. Potem zmądrzałem. Nauczyło mnie tego Innenin. Teraz nie zabijam dla nikogo prócz siebie, a za każdym razem, gdy odbieram życie, znam jego wartość.

– Jego wartość. Wartość ludzkiego życia. – Kawahara potrząsnęła głową jak nauczyciel nad uczniem, który go rozczarował. – Wciąż jesteś młody i głupi. Życie ludzkie nie ma wartości. Czy po wszystkim, co widziałeś, jeszcze się tego nie

nauczyłeś? Samo w sobie nie jest nic warte. Żeby zbudować maszyny, potrzeba pieniędzy. Pieniądzy potrzeba na wydobywanie surowców. Ale ludzie? – Wydała dźwięk jak przy splunięciu. – Zawsze możesz dostać więcej ludzi. Mnożą się jak komórki rakowe, bez względu na to, czy tego chcesz, czy nie. Takeshi, mamy *nadmiar* ludzi. Więc po co ich cenić? Wiesz, że znalezienie dziwki, na której klient może popełnić morderstwo, kosztuje nas *mniej* niż przygotowanie i przeprowadzenie analogicznego formatu wirtualnego? Prawdziwe ciało ludzkie jest *tańsze* niż maszyna. To aksjomatyczna prawda naszych czasów.

– Bancroft tak nie uważał.

– Bancroft? – Z głębi jej gardła wydobył się głęboki dźwięk niesmaku. – Bancroft to kaleka utykający na swoich archaicznych poglądach. Ciągle się zastanawiam, jak udało mu się przetrwać tak długo.

– Zaprogramowałaś go na samobójstwo? Dałaś mu lekki impuls farmakologiczny?

– Zaprogramowałam... – Jej oczy rozszerzyły się. Zza idealnie ukształtowanych warg dobiegł chichot. – Kovacs, nie możesz być aż tak głupi. Powiedziałam ci, że sam się zabił. To był jego pomysł, nie mój. Kiedyś mi ufałeś, nawet jeśli nie odpowiadało ci moje towarzystwo. Zastanów się. Czemu miałabym chcieć jego śmierci?

– By wykasować to, co powiedziałaś mu na temat Hinchley. W kolejnej powłoce nie pamiętałby tej drobnej niedyskrecji.

Z namysłem pokiwała głową.

– Tak, rozumiem. To pasuje do twojej teorii. Ruch obronny. W końcu, od kiedy opuściłeś Korpus, wciąż funkcjonujesz w defensywie. A stworzenie żyjące w defensywie prędzej czy później musi zacząć myśleć defensywnie. O jednym zapominasz, Takeshi.

Zrobiła dramatyczną przerwę, a we mnie nawet przez osłonę betatanatyny przebiła się lekka fala nieufności. Kawahara grała na czas.

– O czym?

– Że ja, Takeshi Kovacs, nie jestem tobą. Nie gram w obronie.

– Nawet w tenisie?

Poczęstowała mnie starannie odmierzonym uśmiechem.

– Bardzo zabawne. Nie musiałam kasować wspomnień Laurensa Bancrofta, ponieważ do tego czasu zamordował już własną katolicką dziewczkę i miał do stracenia na Rezolucji 653 tyle samo, co ja.

Zamrugalem. Miałem wiele różnych teorii na temat ostatecznego powodu, dla którego Kawahara była odpowiedzialna za śmierć Bancrofta, ale żaden z nich nie był aż tak jaskrawy. Jednak w miarę jak zapadały we mnie jej słowa, to samo działało się z różnymi kawałkami lustrzanej układanki, jaką cały czas próbowałem dokończyć. Do tej pory wydawało mi się, że była już niemal gotowa. Teraz spojrzałem na właśnie odsłonięty róg i pożałowałem, że zobaczyłem poruszające się tam kształty.

Siedząca naprzeciw mnie Kawahara wyszczerzyła zęby. Wiedziała, że mi dołożyła, i sprawiało jej to przyjemność. Próżność. Jej jedyna, lecz niezmienna słabość. Jak wszyscy Maci, była z siebie bardzo dumna. Wyznanie – ostatni kawałek układanki – gładko wskoczył na swoje miejsce. Chciała, żebym go miał, chciała, żebym zobaczył, jak bardzo mnie wyprzedziła.

Uwaga o tenisie musiała ją jednak zboleć.

– Starannie wybrana i poprawiona dzięki drobnej operacji plastycznej. Wydusił z niej życie, gdy szczytował po raz drugi. Życie małżeńskie, co Kovacs? Czym ono musi być dla samców.

– Masz to na taśmie? – Nawet dla mnie mój głos brzmiał głupio.

Z powrotem przywołała uśmiech.

– Daj spokój, Kovacs. Zapytaj mnie o coś, co wymaga odpowiedzi.

– Czy Bancroft był pod wpływem jakichś środków?

– Och, oczywiście, że tak. Co do tego miałeś rację. Dość nieprzyjemny środek, ale pewnie go znasz...

To betatanatyna. Zwalniające tempo bicia serca zimno

narkotyku. Gdyby nie ona, szybciej bym się poruszył, gdy zaskrzypiały otwierane drzwi. Przez mój umysł z maksymalną prędkością przebiegły myśli, ale nawet wtedy wiedziałem, że będę zbyt wolny. Nie miałem czasu na myślenie. Myśli w czasie walki to luksus, jak gorąca kąpiel i masaże. Zamgliłem krystaliczną czystość systemu reakcji Khumalo i zawirowałem, unosząc igłowiec o kilka sekund za późno.

Plask!

Ładunek ogłuszacza wałnął we mnie z siłą pociągu. Miałem wrażenie, że widzę przemykające przed oczami jasno oświetlone okna wagonów. Mój wzrok zamroził pojedynczą klatkę z Trepp przykucniętą w drzwiach, czekała z wyciągniętym ogłuszaczem i twarzą skupioną na wypadku, gdyby spudłowała albo gdybym pod strojem maskującym ukrył broń neuralną. Próżne obawy. Broń wypadła mi z pozbawionych czucia palców, a ja zwałem się na bok jej śladem. Drewniana podłoga wybiegła mi na spotkanie i trafiła w bok głowy jak jedno z uderzeń ojca.

– Co cię zatrzymało? – Głos Kawahary, dobiegający z wielkiej odległości, zniekształcony basowym jękiem gasnącej świadomości.

W polu widzenia pojawiła się szczupła dłoń, zabierając z podłogi igłowca. Niewyraźnie poczułem, jak wyciąga z drugiej kabury ogłuszacz.

– Alarm uruchomił się dopiero kilka minut temu. – Obok pojawiła się Trepp, chowając swoją broń i kucając, by mi się przyjrzeć. – Chwilę potrwało, zanim McCabe ostygł na tyle, by uruchomić system. Większość półgłówków z twojej ochrony wciąż krąży po głównym pokładzie, lamentując nad ciałem. Kto to?

– Kovacs – wyjaśniła niedbale Kawahara, idąc w stronę biurka i wsadzając po drodze za pasek igłowiec i ogłuszacz. Według mojego sparaliżowanego wzroku oddalała się przez nieskończoną płaszczyznę, każdym krokiem pokonując setki metrów, aż stała się zupełnie maleńka. Wyglądała jak lalka, gdy nachyliła się nad biurkiem i zaczęła wciskać niewidoczne dla

mnie klawisze.

Nie traciłem przytomności.

– Kovacs? – Twarz Trepp straciła nagle swój wyraz. – Myślałam...

– Tak, ja też. – Holograficzne dane wyświetlane nad biurkiem ożyły i odpłynęły. Kawahara zbliżyła do nich twarz, kolorowe światełka zatańczyły jej na policzkach. – Zrobił podwójne upowłokowienie. Przypuszczam, że z pomocą Ortegi. Powinnaś była trochę dłużej pokręcić się wokół Panama Rose.

Słuch wciąż miałem zniekształcony, a pole widzenia zamrożone w jednym miejscu, ale nie traciłem przytomności. Nie byłem pewien, czy to jakiś uboczny efekt betatanatyny, kolejny bonus systemu Khumalo czy może przypadkowy zbieg okoliczności, ale coś utrzymywało mnie w kontakcie z rzeczywistością.

– Robię się nerwowa przez liczbę kręcących się tu glin – stwierdziła Trepp i wyciągnęła dłoń, dotykając mojej twarzy.

– Doprawdy? – Kawahara nie odrywała wzroku od przesuwających się danych. – No cóż, mnie nadal jest niedobrze od odwracania uwagi tego psychologa dyskusją o moralności i prawdzie. Myślałam, że nigdy już tu nie przy... Kurwa!

Gwałtownie przechyliła głowę w bok, potem opuściła ją i wbiła wzrok w powierzchnię biurka.

– Nie kłamał.

– O czym?

Kawahara spojrzała na Trepp, nagle znacznie ostrożniejsza.

– Nieważne. Co robisz z jego twarzą?

– Jest zimny.

– Oczywiście, że jest kurewsko zimny. – Nie panowała nad doborem słów, co znaczyło, że coraz bardziej się denerwuje, pomyślałem jak we śnie. – Jak myślisz, jak przeszedł przez czujniki podczerwieni? Jest nawalony sztywniakiem po uszy.

Trepp wyprostowała się, z twarzą starannie wypraną z uczuć.

– Co zamierzasz z nim zrobić?

– Pójdzie do wirtuala – oświadczyła ponuro Kawahara. – Razem ze swoją rybacką przyjaciółką z Harlana. Ale zanim do tego dojdzie, musimy przeprowadzić małą operację. Ma rejestrator.

Spróbowałem poruszyć prawą ręką. Koniuszek środkowego palca jakby lekko drgnął.

– Jesteś pewna, że nie nadaje?

– Tak, sam mi powiedział. Zresztą wykrylibyśmy transmisję zaraz po jej rozpoczęciu. Masz nóż?

Poczułem zimny dreszcz, podejrzenie przypominający panikę. Desperacko pragnąłem znaleźć bodaj maleńki znak, że paraliż ustępuje. System nerwowy Khumalo wciąż wariował. Czułem, jak moje oczy wysychają z braku odruchu mrugania. Niewyraźnie widziałem, jak Kawahara podchodzi od biurka z ręką wyciągniętą w stronę Trepp w geście oczekiwania.

– Nie mam noża. – Nie mogłem mieć co do tego pewności, ale wydawało mi się, że w głosie Trepp zabrzmiał bunt.

– Nie ma problemu. – Kawahara zrobiła kilka kolejnych długich kroków, niknąc mi z pola widzenia. – Mam tam coś, co nada się równie dobrze. Lepiej ściągnij tu kogoś, żeby przeniósł tę kupę gówna do jednej z sal przelewowych. Chyba siódemka i dziewiątka są przygotowane. Użyj gniazda na biurku.

Trepp się zawahała. Poczułem, że ze zamarznętego bloku mojego systemu nerwowego spada drobny okruch lodu. Powieki przesunęły mi się wolno na oczy, w dół i w górę. Oczyszczający kontakt wywołał łzy. Trepp zobaczyła je i zeszywniała. Nie zrobiła ani kroku w stronę biurka.

Palce mojej prawej ręki drgnęły i zacisnęły się w pięść. Poczułem początki napięcia mięśni brzucha. Poruszyłem oczami.

Dobiegł mnie niewyraźny głos Kawahary. Musiała być w innym pomieszczeniu, za łukowatym przejściem.

– Idą?

Twarz Trepp pozostała bez wyrazu. Oderwała ode mnie wzrok.

– Tak – powiedziała głośno. – Będą tu za kilka minut.

Wracalem do siebie. Coś zmuszalo mnie, bym sie podniósł i znów zaczął działać. Czułem wzbierające dreszcze i towarzyszące im uczucie wdychania gęstego, dławiącego powietrza. Działanie betatanatyny skończyło się przed terminem. Kończyny miałem jak odlane z ołowiu, a dłonie sprawiały wrażenie, jakbym założył na nie grube, bawełniane rękawice, do których podłączono prąd o niskim napięciu. Nie nadawałem się do walki.

Lewą rękę miałem rozłożoną pod sobą, przygniecioną do podłogi ciężarem ciała, a prawa leżała wyciągnięta pod dziwnym kątem. Nie miałem wątpliwości, że moje nogi zdołają mnie co najwyżej utrzymać, ale nie zrobią nic więcej. Miałem ograniczone opcje.

– No dobra.

Poczułem na ramieniu dłoń Kawahary obracającą mnie na plecy jak rybę do wypatroszenia. Na jej twarzy rysowało się skupienie, w dłoni trzymała szczypce o długim, prostym zakończeniu. Usiadła okrakiem na mojej klatce piersiowej i odciągnęła palcami powiekę lewego oka. Z wysiłkiem zablokowałem odruch mrugnięcia, utrzymując się w bezruchu. Wysunęła szczypce ze szczękami rozsuniętymi na jakieś pół centymetra.

Napiąłem mięśnie przedramienia, a wyrzutnik neuralny przymocowanej tam pochwy wyrzucił mi w dłoń nóż Tebbita.

Ciąłem po łuku.

Celowałem w bok Kawahary poniżej żeber, ale drgawki po ogłuszeniu i resztki betatanatyny odebrały mi precyzję i nóż przejechał przez jej lewe ramię poniżej łokcia, zahaczył o kość i odbił w bok. Kawahara krzyknęła i puściła moje oko. Oczywiście wypuściła kleszcze, które upadając, rozcięły mi policzek. Poczułem odległy ból. Krew zalała mi oko. Dźgnąłem znów, słabo, ale tym razem Kawahara wykręciła się na bok i zablokowała pchnięcie zdrowym ramieniem. Znów wrzasnęła. Palce odmówiły mi posłuszeństwa i nóż upadł na podłogę. Rękojeść odsunęła się poza zasięg palców i broń przepadła.

Przywołując resztkę sił, lewą ręką wyprowadziłem brutalne uderzenie z dołu i trafiłem Kawaharę w skroń. Stoczyła się ze mnie, trzymając za ranę na przedramieniu. Przez chwilę myślałem, że ostrze dotarło dostatecznie głęboko, by zaznaczyć ją warstwą C-381. Ale Sheila Sorenson uprzedziła, że trucizna działa bardzo szybko, więc chyba nie dotarła do jej krwioobiegu.

Kawahara stanęła na nogi.

– Na co, do cholery, czekasz? – rzuciła jadownicę do Trepp. – Zastrzel tę gnidę!

Ucichła, dostrzegając wyraz twarzy Trepp ułamek sekundy wcześniej, zanim blada kobieta sięgnęła do kabury z ogłuszaczem. Być może sama najemniczka do końca nie rozumiała tego, co zamierza zrobić, bo poruszała się zbyt wolno. Kawahara opanowanym ruchem wydobyła zza pasa ogłuszacz i igłowiec i wycelowała je, zanim Trepp zdążyła do połowy wyciągnąć swoją broń z kabury.

– Ty cholerna, zdradziecka kurwo! – wyrzuciła z siebie głosem zniekształconym nagle szorstkim akcentem, którego nigdy jeszcze nie słyszałem. – Wiedziałaś, że się budzi, prawda? Już jesteś martwa, dziwko!

Poderwałem się i zatoczyłem na Kawaharę w chwili, gdy naciskała spust. Rozległ się odgłos dwóch równocześnie wyrzucanych ładunków, niemal niesłyszalny świst pistoletu igłowego i ostre, elektryczne wyładowanie ogłuszacza. Kątem oka, jak przez mgłę, dostrzegłem Trepp, która desperacko próbowała wydobyć z kabury swoją broń. Na próżno. Padła z twarzą zastygłą w prawie komicznym zdumieniu. W tej samej chwili uderzyłem ramieniem Kawaharę i razem poleciliśmy w stronę okna. Próbowała do mnie strzelić, ale odepchnąłem broń na bok i przewróciłem ją. Chwyciła mnie zranioną ręką i oboje wylądowaliśmy na ukośnej szybie.

Ogłuszacz upadł na podłogę, ale Kawahara zdołała utrzymać pistolet igłowy. Obróciła go w moją stronę, a ja niezdarnie próbowałem go wyrwać. Drugą ręką zamierzałem uderzyć ją w głowę, ale nie trafiłem, ześlizgując cios po ramieniu.

Wyszczerzyła się do mnie wściekle i uderzyła głową w twarz. Kość nosowa pękła i usta wypełniła mi krew. Nieoczekiwanie poczułem szaleńczą chęć spróbowania jej smaku. Kawahara rzuciła się na mnie, obracając mnie plecami do szyby i napierając całym ciałem. Zablokowałem jedno czy dwa uderzenia. Siły mnie opuszczały, mięśnie rąk przestały reagować. Zaczynałem drętwieć w środku. Na twarzy Kawahary pojawił się wyraz triumfu, gdy zrozumiała, że walka skończona. Uderzyła mnie jeszcze raz, bardzo starannie celując w krocze. Zwinąłem się konwulsyjnie i zsunąłem po szkle na podłogę.

– To cię powinno zatrzymać, draniu – warknęła i dźwignęła się z powrotem na nogi, dysząc ciężko. Pod ledwie zmierzwioną elegancką fryzurą zobaczyłem nagle twarz, do której należał ten nowy akcent. Właśnie taką brutalną satysfakcję musiały widzieć ofiary w Fission City, którym kazała pić z matowej, metalowej butelki nosiwody. – Poleż tu przez chwilę.

Ciało powiedziało mi, że nie mam innej możliwości. Miałem wrażenie, że wszystko mnie boli i tonę pod ciężarem medykamentów zamulających system nerwowy. Drgawki po ogłuszaczu odbierały mi resztki sił. Spróbowałem unieść ramię, ale opadło w dół jak ryba z kilogramem ołowiu w brzuchu. Kawahara zauważyła to i uśmiechnęła się triumfująco.

– Tak, tak będzie dobrze – powiedziała i nieobecny wzrokiem spojrzała na swoje lewe ramię, z którego krew przesiąkała przez bluzkę. – Drogo za to zapłacisz, Kovacs.

Podeszła do nieruchomego ciała Trepp.

– I ty, kurwo – dodała, wymierzając jej kopniaka w żebra. Syntetyczne ciało ani drgnęło. – Co ten sukinsyn dla ciebie zrobił, co? Obiecał ci lizanie przez następne dziesięć lat?

Rozprostowałem palce lewej dłoni i zdołałem przesunąć je kilka centymetrów w stronę nogi.

Kawahara podeszła do biurka, rzucając jeszcze jedno spojrzenie na ciało Trepp i nacisnęła klawisz.

– Ochrona?

– Pani Kawahara. – Był to ten sam męski głos, który naskoczył na Ortegę, gdy zbliżaliśmy się do statku. – Mamy intruza w...

– Wiem – przerwała mu zmęczonym głosem. – Walczyłam z nim przez ostatnie pięć minut. Czemu was tu nie ma?

– Słucham?

– Spytałam, ile czasu potrzebujesz, żeby sprowadzić tu swoje syntetyczne dupsko?

Zapadła chwila ciszy. Kawahara czekała z głową nachyloną nad biurkiem. Sięgnąłem nad swoim ciałem. Dłonie zetknęły się z cichym kłasknięciem, po czym zacisnęły się na tym, co chwyciły, i opadły z powrotem.

– W pani kabinie nie uruchomiono żadnego sygnału alarmowego.

– Aha... – Kawahara obejrzała się na Trepp. – Dobra, to przyślij tu kogoś. Czterech ludzi. Musicie tu trochę posprzątać.

– Tak jest, proszę pani.

Mimo tragizmu sytuacji poczułem, jak na usta wypełza mi uśmiech. *Proszę pani?*

Kawahara nadeszła z powrotem, podnosząc z podłogi szczypce.

– Co cię tak cieszy, Kovacs?

Spróbowałem na nią splunąć, ale ślina zmieszana z krwią tylko ściekła mi z wargi gęstą strużką. Twarz Kawahary wykrzywiła kolejna fala wściekłości. Kopnęła mnie w brzuch. Wszystko bolało mnie tak bardzo, że prawie tego nie poczułem.

– Ty... – zaczęła z furją, ale po chwili znów odzyskała udawany spokój. – Sprawileś mi wystarczająco dużo kłopotów jak na jedno życie.

Chwyciła mnie za kołnierz i pociągnęła w górę po ukośnej szybie, aż nasze oczy znalazły się na tym samym poziomie. Głowa zsunęła mi się do tyłu po gładkiej tafli, więc nachyliła się nade mną. Spokojnie cedziła słowa prawie konwersacyjnym tonem.

– Jesteś jak katolicy, jak twoi przyjaciele na Innenin, jak bezsensowne kupy szlamu, których żalosne kopulacje

sprowadziły cię na świat, Takeshi. Ludzki surowiec... Tylko tym zawsze byłeś. Mogłeś coś osiągnąć i dołączyć do mnie na Nowym Pekinie, ale napłułeś mi w twarz i wróciłeś do egzystencji maluczkich. Mogłeś przyłączyć się do nas i tu, na Ziemi, sterując z nami ludzką rasą. Mogłeś zdobyć władzę. Rozumiesz, Kovacs? Mogłeś coś znaczyć.

– Nie wydaje mi się – wymamrotałem, osuwając się po szkłe. – Nadal mam resztki przyzwoitości, tylko nie pamiętam, gdzie je schowałem.

Kawahara skrzywiła się i mocniej zacisnęła palce na moim kołnierzu.

– Bardzo dowcipne. Humor będzie ci potrzebny tam, dokąd idziesz.

– *Kiedy zapytają, jak zginęłam* – wyrecytowałem – *powiedźcie im: wściekła.*

– Quell. – Kawahara nachyliła się bliżej. Niemal na mnie leżała, jak przytulona kochanka. – Ale Quell nigdy nie przeszła wirtualnego przesłuchania, prawda? Nie umrzesz wściekły, Kovacs. Będziesz skamlał o litość. Wciąż i wciąż od nowa.

Przesunęła dłoń na moją pierś i mocno przycisnęła. Zobaczyłem szczypce.

– Masz aperitif.

Wbiła szczęki narzędzia tuż pod moje oko. Na jej twarz trysnęła struga krwi. Poczułem ostry ból. Przez chwilę widziałem szczypce kątem oka, pod którym się zanurzały, potężne jak olbrzymi stalowy słup. Potem Kawahara zacisnęła dłoń i coś pękło. Obraz widziany tym okiem przesłonił się czerwienią, a w końcu wyłączył się jak umierający ekran w firmie Elliotta. Drugim okiem zobaczyłem, jak Kawahara wyciąga kleszcze z zaciśniętym w szczękach sprzętem nagrywającym Reese. Z końca drobnego urządzenia ściekały mi na policzek krople krwi.

Teraz Kawahara ruszy na Elliott i Reese. Nie wspominając o Ortedze, Bautiście i kto wie, jak wielu innych.

– Już, kurwa, dość – wymamrotałem niewyraźnie i zmuszając

do pracy mięśnie bioder, zacisnąłem uda wokół talii Kawahary. Lewą dłoń uderzyłem płasko w krzywiznę szkła.

Rozległ się przytłumiony grzmot eksplozji i ostre trzaski.

Sprowadzając do minimum opcje zapalnika, mikrogranat termitowy zaprojektowano tak, by eksplodował niemal natychmiast, uwalniając dziewięćdziesiąt procent energii w stronę kontaktu. Pozostałe dziesięć procent okaleczyło mi dłoń, zdzierając ciało z kompozytowych kości Khumalo i wzmocnionych węglowo ściągien, rozdzierając na strzępy więzadła i wybijając w dłoni dziurę wielkości monety.

Okno rozprysło się jak gruba tafla rzecznoego lodu. Wydarzenia toczyły się jakby w zwolnionym tempie. Poczułem, że powierzchnia, na której stałem, zapada się, a ja zaczynam zsuwać się wraz z nią. Mimochodem zarejestrowałem, że do kabiny wdarło się zimne powietrze. Twarz nachylonej nade mną Kawahary zamarła od wstrząsu, gdy uświadamiała sobie, co się stało, ale było już za późno. Poleciała ze mną, okładając pięściami moją głowę i pierś, ale nie zdołała przełamać uścisku w talii. Uniosła i opuściła szczypce, wyrywając długi kawałek tkanki z mojego policzka, jeszcze raz wbijając je pod poranione oko. W tej chwili jednak nie odczuwałem bólu, ogarnięty ogniem wściekłości, któremu udało się w końcu przebić przez pozostałości betatanatyny.

Powiedzcie im: wściekła.

Wreszcie kawał szkła, na którym się zmagaliśmy, puścił i wyrzucił nas wprost w niebo.

I runęliśmy w dół...

Lewe ramię unieruchomiła mi siła wybuchu, ale gdy zaczęliśmy opadać w chłodny mrok, wyciągnąłem prawą rękę i przycisnąłem drugi granat do podstawy czaszki Kawahary. Przez chwilę dostrzegłem w dole strzępek oceanu, Głowę w Chmurach oddalającą się od nas z zawrotną prędkością i przerażoną, skurczoną wściekłością twarz kobiety. Usłyszałem krzyk, ale nie potrafiłem ustalić, skąd dobiegał. Percepcja oddalała się ode mnie po spirali świszczącego wokół nas

powietrza, a ja nie umiałem już odnaleźć drogi do małego okienka pola widzenia. Upadek był równie upojny jak sen.

Reszką sił przycisnąłem do piersi granat i głowę Kawahary dość mocno, by wywołać wybuch.

Miałem nadzieję, że Davidson patrzy w ekran. To była moja ostatnia myśl.

Rozdział czterdziesty drugi

Jak na ironię, budynek mieścił się w Lodowni. Wysiadłem z autotaksówki dwie przecznice na północ i przeszedłem resztę drogi, nie mogąc pozbyć się niesamowitego uczucia syntezy, jakbym zaczął podglądać nagle wystającą spod powłoki rzeczywistości maszynierię kosmosu.

Apartament, którego szukałem, znajdował się w bloku w kształcie litery U. Betonowe lądowisko w środku było popękane i zarośnięte chwastami. W rzędzie ustawionych na jego brzegu powietrznych i lądowych pojazdów z łatwością wypatrzyłem mikrokopter. Ktoś całkiem niedawno pomalował go na purpurowo i choć pojazd wciąż wyglądał na podniszczony, z jego nosa i ogona wystawały błyszczące nowością zestawy drogich czujników. Wszedłem zewnętrzną klatką schodową na drugie piętro bloku.

Drzwi pod numerem siedemnastym otworzył kilkunastoletni chłopiec, który przywitał mnie jawnie wrogim wzrokiem.

– Czego?

– Chciałbym się zobaczyć z Sheryl Bostock.

– Nie ma jej.

Westchnąłem i potarłem bliznę pod okiem.

– Myślę, że to nieprawda. Jej koopter stoi na placu, ty jesteś jej synem, Darylem, a trzy godziny temu zeszła z nocnej zmiany. Powiedz jej, że przyszedł ktoś, kto chce porozmawiać o powłoce Bancrofta.

– Jesteś psem?

– Nie, po prostu chcę porozmawiać. Jeśli mi pomoże, pewnie na tym zarobi.

Chłopak przyglądał mi się jeszcze przez kilka sekund, potem bez słowa zamknął drzwi. Usłyszałem, jak woła matkę. Czekałem,

walcząc z chęcią zapalenia papierosa.

Pięć minut później w szczelinie otwartych drzwi pojawiła się Sheryl Bostock, ubrana w luźny szlafrok. Jej syntetyczna powłoka była jeszcze bardziej pozbawiona wyrazu niż jej syn, ale w tym przypadku brak emocji na twarzy wynikał z rozluźnienia mięśni i nie miał nic wspólnego z jej nastawieniem do świata. W tańszych syntetykach grupy małych mięśni potrzebują trochę czasu, by rozgrzać się po przebudzeniu, a model jej powłoki był zdecydowanie budżetową wersją.

– Chciał pan ze mną rozmawiać? – zapytała niewyraźnie syntetycznym głosem. – W jakiej sprawie?

– Jestem prywatnym detektywem wynajętym przez Laurensa Bancrofta – powiedziałem, najłagodniej jak potrafiłem. – Chciałbym pani zadać kilka pytań dotyczących pracy w Psychasecu. Mogę wejść?

Wydała z siebie cichy dźwięk, po którym pomyślałem, że przypuszczalnie już wcześniej zdarzało się jej bezskutecznie próbować zamknąć drzwi przed nosem kogoś, kto pytał o jej pracę.

– To nie potrwa długo – dorzuciłem.

Wzruszyła ramionami i szerzej otworzyła drzwi. Przeszedłem obok niej i znalazłem się w schludnym, choć skromnie urządzonej sypialni, w którym najwyraźniej najważniejszym meblem był lśniący zestaw rozrywkowy. Urządzenie stało na dywanie, w rogu, jak jakiś prymitywny maszynowy bożek, a pozostałe meble ustawiono tak, by był zewsząd widoczny. Podobnie jak farba na mikrokołach, wyglądał na nowy.

Nigdzie nie dostrzegłem Daryla.

– Ładny zestaw – rzuciłem, podchodząc, by obejrzeć panel sterujący. – Kiedy go pani kupiła?

– Jakiś czas temu. – Sheryl Bostock zamknęła drzwi i zatrzymała się niepewnie na środku sypialni. Jej twarz zaczynała się budzić, pojawiło się więc na niej coś pomiędzy rozespaniem a podejrzliwością. – O czym chce pan rozmawiać?

– Mogę usiąść?

Bez słowa wskazała na jeden z mocno zużytych foteli i usadowiła się naprzeciw mnie w podobnym. W szparach rozchylonego szlafroka widziałem jej różowawe, nierealne ciało. Przyglądałem się jej przez chwilę, zastanawiając się, czy naprawdę chcę przez to przechodzić.

– No więc? – Nerwowo machnęła do mnie ręką. – O czym chce pan rozmawiać? Obudził mnie pan po nocnej zmianie, więc lepiej, żeby miał pan ku temu cholernie dobry powód.

– We wtorek, czternastego sierpnia, weszłaś do komory upowłokowień rodziny Bancroftów i wstrzyknęłaś klonowi Laurensa Bancrofta pełną dawkę jakiegoś hiposprayu. Chciałbym wiedzieć, co to było, Sheryl.

Efekt był znacznie bardziej dramatyczny niż się spodziewałem. Sztuczne rysy Sheryl Bostock zadrgały nerwowo, a ona zwinęła się, jakbym groził jej pałąk policyjny.

– To element mojej pracy – odpowiedziała skrzekliwie. – Jestem upoważniona do wykonywania iniekcji na klonach.

Nie brzmiało to jak jej słowa, ale jak wierszyk, którego nauczyła się na pamięć.

– Czy to był synamorfosteron? – zapytałem cicho.

Tanie syntetyki nie bledną i nie oblewają się rumieńcem, ale wygląd jej twarzy równie jasno zdradził uczucia. Zerwała się z miejsca, wyglądała jak wystraszone zwierzę zdradzone przez właściciela.

– Skąd pan to wie? Kto panu powiedział? – Jej głos wzniósł się do wysokiego szlochu. – *Nie może pan tego wiedzieć. Powiedziała, że nikt się nie dowie.*

Z powrotem opadła na fotel, łkając z twarzą zasłoniętą dłońmi. Na dźwięk płaczu matki z drugiego pokoju wyłonił się Daryl, zawahał się w drzwiach, po czym najwyraźniej zdecydował, że nie może albo nie powinien niczego robić, i został tam, przyglądając się nam z wystraszonym wyrazem twarzy. Westchnąłem ciężko i machnąłem do niego, starałem się wyglądać przy tym jak najmniej groźnie. Podszedł ostrożnie do sofy i położył dłoń na ramieniu matki, na co zareagowała

prawie jak na uderzenie. Obudziły się we mnie strzępki wspomnień i poczułem, jak moja twarz lodowacieje, przybierając ponury wyraz. Spróbowałem się do nich uśmiechnąć, ale wyszło żałośnie.

Odchrząknąłem.

– Nic pani nie zrobię – zapewniłem. – Chcę tylko znać prawdę.

Potrzeba było jakiejś minuty, by moje słowa przebiły się przez pajęczą zasłonę przerażenia i dotarły do świadomości Sheryl Bostock. Jeszcze dłużej trwało, zanim udało się jej opanować łzy i spojrzeć na mnie. Stojący obok niej Daryl niepewnie głaskał ją po włosach. Zacisnąłem zęby, próbując wyrzucić z głowy wspomnienia z czasów, gdy sam byłem w jego wieku. Czekałem.

– To była ona – powiedziała w końcu.

* * *

Curtis wyszedł mi na spotkanie, gdy obchodziłem nadmorskie skrzydło Suntouch House. Twarz pociemniała mu z wściekłości, a dłonie zacisnął w pięści.

– Ona nie chce z tobą rozmawiać – warknął do mnie.

– Zejdź mi z drogi, Curtis – powiedziałem bezbarwnie – albo zrobię ci krzywdę.

Uniósł ręce w zasłonie karate.

– Powiedziałem, że ona...

Kopnąłem go w kolano, powalając na ziemię. Drugi kopniak posłał go kilka metrów w dół trawnika, w stronę kortów tenisowych. Zanim przestał się turlać, byłem już na nim. Wcisnąłem mu kolano w kręgosłup i podciągnąłem głowę za włosy.

– Nie miałem najlepszego dnia – wyjaśniłem cierpliwie. – A przez ciebie robi się jeszcze gorszy. Pójdę teraz porozmawiać z twoją szefową. Zajmie mi to jakieś dziesięć minut. Jeśli masz trochę oleju w głowie, nie będziesz się w to mieszał.

– Skurw...

Mocniej pociągnąłem go za włosy. Stęknął.

– Jeśli pójdziesz tam za mną, Curtis, zrobię ci krzywdę. Dużą krzywdę. Rozumiesz? Nie mam dziś cierpliwości do takich bagiennych gnojków jak ty.

– Niech go pan zostawi, panie Kovacs. Nigdy nie miał pan dziewiętnastu lat?

Obejrzałem się przez ramię na Miriam Bancroft stojącą z rękami w kieszeniach luźnego stroju w kolorach pustyni, najwyraźniej modelowanego na strój haremowy z Sharyi. Jej długie włosy spowijała chusta w kolorze ochry, a oczy błyszczały w słońcu. Przypomniałem sobie nagle, co Ortega powiedziała o Nakamurze. *Wykorzystują jej ciało, żeby się reklamować.* Dopiero teraz dostrzegłem jej swobodną pozę modelki powłok z eleganckiego domu mody.

Puściłem włosy Curtisa i odsunąłem się, czekając, aż podniesie się z ziemi.

– W żadnym wieku nie byłem aż tak głupi – skłamałem. – Zechce mu pani powiedzieć, żeby sobie poszedł? Może pani posłucha.

– Curtis, idź i zaczekaj w limuzynie. To nie potrwa długo.

– Czy zamierzasz pozwolić mu...

– Curtis! – W jej głosie zabrzmiało zdumienie, jakby musiała zajść jakaś pomyłka, jakby w menu po prostu nie było właściwej odpowiedzi.

Słyszając ten ton, chłopak poczerwieniał i odszedł, ze łzami konsternacji zbierającymi się w kącikach oczu. Przyglądałem mu się, póki nie zniknął z pola widzenia, wciąż zastanawiając się, czy nie powinienem go jeszcze raz uderzyć. Miriam Bancroft musiała odczytać tę myśl z wyrazu mojej twarzy.

– Sądziłam, że do tej pory nawet twoje pragnienie siania przemocy powinno zostać zaspokojone – powiedziała cicho. – Wciąż szukasz potencjalnych celów?

– Kto powiedział, że ich szukam?

– Ty.

Spojrzałem na nią.

– Nie pamiętam tego.

– Bardzo wygodne.

– Nie, nie rozumiesz. – Uniosłem w jej stronę otwarte dłonie. – *Nie pamiętam*. Przepadło wszystko, co robiliśmy razem. Nie mam tych wspomnień. Zostały skasowane.

Drgnęła jak spoliczkowana.

– Ale ty... – zaczęła niepewnie. – Myślałam... Wyglądasz...

– Tak samo. – Spojrzałem na siebie, na powłokę Rykera. – Po wyłowieniu z oceanu niewiele zostało z drugiej powłoki. To była jedyna opcja. A prowadzący dochodzenie z ramienia ONZ bardzo stanowczo zabronili drugiego podwójnego upowłokowania. W sumie nie mam do nich pretensji. I tak trudno będzie wytłumaczyć się z tego, którego się dopuściłem.

– Ale jak wy...

– Zdecydowaliśmy? – Uśmiechnąłem się bez większego entuzjazmu. – Może wejdziemy do środka i tam o tym porozmawiamy?

Pozwoliłem się znów poprowadzić na oszkloną werandę, gdzie na stole pod donicami z męczennicą ktoś postawił dzbanek wypełniony płynem w kolorze zachodzącego słońca i wysokie szklanki. Zajęliśmy miejsca naprzeciw siebie, nie wymieniając żadnych słów ani spojrzeń. Napełniła sobie szklankę, nie częstując mnie: drobna niedbałość wiele mówiąca o tym, co zaszło między nią a moją drugą powłoką.

– Obawiam się, że nie mamy zbyt wiele czasu – powiedziała nieobecny tonem. – Laurens poprosił mnie, żebym niezwłocznie przybyła do Nowego Jorku. Prawdę mówiąc, właśnie wychodziłam, kiedy zadzwoniłeś.

Nie odpowiedziałem, czekając, a kiedy skończyła napełniać swoją szklankę, sięgnąłem, by nalać sobie. W tym ruchu było coś, co sprawiło, że Miriam wreszcie uświadomiła sobie, co się dzieje.

– Och, ja...

– Zapomnij. – Opadłem z powrotem na miejsce i spróbowałem napoju. Pod warstwą słodczy krył w sobie delikatną gorzką nutę. – Chciałaś wiedzieć, jak zdecydowaliśmy? Zagraliśmy o to. Kamień, papier, nożyce. Oczywiście, najpierw dyskutowaliśmy

na ten temat przez długie godziny. Wsadzili nas do wirtualnego forum w Nowym Jorku na bardzo wysokim współczynniku, z ekranowaniem, żebyśmy mogli podjąć jak najlepszą decyzję. Na bohaterach się nie oszczędza.

Stwierdziłem, że w moim głosie zaczyna pojawiać się gorycz, przerwałem więc, by ją stłumić. Pociągnąłem kolejny łyk.

– Jak już mówiłem, dużo rozmawialiśmy. Wymyśliliśmy mnóstwo różnych sposobów na podjęcie decyzji, z których część pewnie nawet dałoby się zastosować, ale wciąż do tego wracaliśmy. Kamień, papier, nożyce. Lepszy z pięciu. Czemu nie?

Wzruszyłem ramionami, ale wcale nie wyszedł mi z tego niedbały gest, jak zamierzałem. Wciąż próbowałem pozbyć się zimnych dreszczy dopadających mnie za każdym razem, gdy pomyślałem o tej grze, próbie odgadnięcia myśli i o reakcjach mojego drugiego ja w grze o własny byt. Lepszy z pięciu, a było dwa na dwa. Serce biło mi w rytm muzyki dudniącej w korytarzu Dyskretnych Pokoi u Jerry’ego, w głowie kręciło się od zalewu adrenaliny. Nawet starcie z Kawaharą nie było aż tak trudne.

Kiedy przegrał ostatnią rundę – kamień na mój papier – obaj bardzo długo patrzyliśmy na nasze wyciągnięte dłonie. Potem wstał z delikatnym uśmiechem i przystawił dwa palce do czoła, gdzieś w pół drogi między salutem a parodią gestu samobójcy.

– Powinienem coś powiedzieć Jimmy’emu, kiedy go zobaczę?

Bez słowa pokręciłem głową.

– No cóż, życzę miłego życia – powiedział i opuścił pokój, cicho zamykając za sobą drzwi.

Część mnie wciąż krzyczała, że właściwie poddał tę ostatnią rundę.

Upowłokowali mnie następnego dnia.

Znów podniosłem wzrok.

– Teraz pewnie zastanawiasz się, po co tu przyszedłem.

– Tak, owszem.

– Sprawa dotyczy Sheryl Bostock – wyjaśniłem.

– Kogo?

Westchnąłem.

– Miriam, proszę. Nie komplikuj tego jeszcze bardziej. Sheryl Bostock jest śmiertelnie przerażona. Podejrzewa, że każesz ją zabić z powodu tego, co wie. Przyszedłem tu, żebyś przekonała *mnie*, że nie ma racji, bo to właśnie jej obiecałem.

Przyglądała mi się przez chwilę coraz większymi oczami, po czym gwałtownym ruchem chlusnęła mi w twarz zawartością szklanki.

– Ty arogancki draniu – wysyczała. – Jak śmiesz? *Jak śmiesz?*

Starłem płyn z oczu i wbiłem w nią wzrok. Wielu rzeczy się spodziewałem, ale nie tego.

– Słucham?

– Jak śmiesz wchodzić tutaj i mówić mi, że to dla ciebie trudne? Czy masz pojęcie, przez co przechodzi w tej chwili mój mąż?

– No cóż, zastanówmy się. – Wytarłem dłonie o koszulę, marszcząc twarz w skupieniu. – W tej chwili jest pięciogwiazdkowym gościem w specjalnej komisji śledczej ONZ w Nowym Jorku. Sądzisz, że zaczyna doskwierać mu rozłaka? Chyba nie jest aż tak trudno znaleźć burdel w Nowym Jorku.

Zacisnęła zęby.

– Jesteś okrutny – wyszeptała.

– A ty niebezpieczna. – Poczułem, jak spod narzuconej sobie pokrywy samokontroli zaczyna uciekać para. – To nie ja skatowałem na śmierć w San Diego nienarodzone dziecko. To nie ja podałem klonowi męża synamorfosteron w czasie, gdy był w Osace, dobrze wiedząc, co robi pierwszej kobiecie, którą będzie pieprzył w tym stanie. Oczywiście, wiedząc, że tą kobietą nie będziesz ty. Nic dziwnego, że Sheryl Bostock jest przerażona. Patrząc na ciebie, sam zaczynam się zastanawiać, czy uda mi się opuścić ten dom.

– Przestań. – Wzięła głęboki oddech. – Dość. Proszę.

Umilkłem. Oboje siedzieliśmy w ciszy, ona z pochyloną głową.

– Opowiedz mi o tym – powiedziałem w końcu. – Większość wydostałem z Kawahary. Wiem, czemu Laurens się zabił...

– Doprawdy? – Mówiła teraz cicho, ale w pytaniu nadal słysząc

było ślad wcześniejszego jadu. – No to powiedz, co takiego wiesz. Że zabił się, żeby uniknąć szantażu? To właśnie mówią w Nowym Jorku, prawda?

– To rozsądna teoria, Miriam – odpowiedziałem cicho. – Kawahara miała na niego haka. Powiedziała, że albo zagłosuje przeciwko Rezolucji 653, albo zostanie oskarżony o morderstwo. Jedynym wyjściem było samobójstwo, zanim przekaz strunowy poszedł do Psychasecu. Gdyby nie był tak cholernie uparty i nie chciał znaleźć potwierdzenia werdyktu, może by się z tego wywinął.

– Tak. Gdyby nie ty.

Wzruszyłem ramionami, czując się, jakbym przechodził do defensywy.

– To nie był mój pomysł.

– A co powiesz o *poczuciu winy*? – zapytała nagle. – Przyszło ci to w ogóle do głowy? Zastanawiałeś się, co musiał czuć Laurens, uświadomiwszy sobie, co zrobił, kiedy powiedzieli mu, że ta dziewczyna, Rentang, była katoliczką, że nigdy nie odzyska życia, nawet jeśli Rezolucja 653 przywoła ją czasowo z powrotem, by mogła przeciw niemu zeznawać? Nie wydaje ci się, że przystawiając sobie do gardła pistolet i pociągając za spust, ukarał się za to, co zrobił? Czy w ogóle wzięłeś pod uwagę, że może wcale nie próbował, jak to ująłeś, wywinąć się Kawaharze?

Pomyślałem o Bancrofcie, obracając tę ideę z różnych stron. Bez trudu odgadłem, co chciała usłyszeć.

– Jest taka możliwość – przyznałem.

Zdławiony śmiech.

– To coś więcej niż możliwość, Kovacs. Zapominasz, że byłem tutaj tamtej nocy. Widziałam go ze schodów. Widziałam jego twarz, rysujący się na niej ból. Zapłacił za to, co zrobił. Osądził się i dokonał egzekucji. Zniszczył człowieka, który popełnił zbrodnię, a teraz człowiek, który *tej zbrodni nie popełnił*, żyje znów z poczuciem winy. Czy jesteś usatysfakcjonowany, Kovacs?

Gorzkie echa jej słów wyssała męczennica. Cisza zgęstniała.

– Cemu to zrobiłaś? – zapytałem, uznając, że skończyła. – Dlaczego Maria Rentang musiała zapłacić za niewierność twojego męża?

Spojrzała na mnie, jakbym zapytał ją o jakąś głębszą prawdę, i bezradnie potrząsnęła głową.

– To jedyny sposób, jaki mogłam wymyślić, żeby go zranić – wyszeptała.

Przez starannie kontrolowaną wściekłość pomyślałem, że w sumie niczym nie różni się od Kawahary. Po prostu kolejny Mat przedstawiający wokół małe ludziki jak kawałki układanki.

– Wiedziałaś, że Curtis pracuje dla Kawahary? – zapytałem bezbarwnie.

– Domyśliłam się. Później. Ale nie miałam na to żadnego dowodu. Jak na to wpadłeś?

– Retrospekcja. Zawiózł mnie do Hendriksa, polecił mi go. Kadmin z rozkazu Kawahary pojawił się pięć minut po moim wejściu. To nie mógł być przypadek.

– Tak – zgodziła się cicho. – Wszystko pasuje.

– Curtis zdobył dla ciebie synamorfosteron?

Kiwnęła głową.

– Zapewne przez Kawaharę – podjąłem. – I to sporą ilość. Tej nocy, kiedy go do mnie przysłałaś, był nawalony po same uszy. Czy to on zasugerował, że można podać narkotyk klonowi przed podróżą do Osaki?

– Nie. To Kawahara. – Miriam Bancroft odchrząknęła. – Kilka dni wcześniej odbyłyśmy niezwykle szczerą rozmowę. Patrząc na to z obecnej perspektywy, podejrzewam, że to ona zaaranżowała wszystkie wydarzenia w Osace.

– Tak, Reileen jest twardym graczem. Była. Wiedziała, że Laurens może do niej dołączyć, ale i odrzucić jej propozycję. Więc przekupiłaś Sheryl Bostock wizytą na wyspie marzeń, dokładnie tak jak mnie. Tylko zamiast bawić się z cudownym ciałem Miriam Bancroft jak ja, mogła je założyć. Do tego trochę gotówki i obietnica, że jeszcze kiedyś będzie mogła tam wrócić. Przez trzydzieści sześć godzin smakowała raju, a teraz jest jak

narkoman na odwyku. Zamierzasz ją jeszcze tam zabrać?

– Zawsze dotrzymuję słowa.

– Tak? Cóż, po starej znajomości, nie każ jej zbyt długo czekać.

– A reszta? Masz dowody? Zamierzasz powiedzieć Laurensowi o moim udziale w tym wszystkim?

Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem z niej czarny, matowy dysk.

– Film z iniekcją – powiedziałem, unosząc go w dłoni. – Zdjęcia Sheryl Bostock wychodzącej z Psychasecu i odlatującej na spotkanie z twoją limuzyną, która następnie kieruje się w stronę oceanu. I bez tego nie ma wątpliwości, że twój mąż zabił Marię Rentang pod wpływem środków chemicznych, ale prawdopodobnie przyjmą, że Kawahara poczęstowała go czymś na pokładzie Głowy w Chmurach. Nie ma dowodów, ale istnieją dość wyraźne poszlaki.

– Skąd wiedziałeś? – Patrzyła na róg werandy. – Jak wygrzebałeś Bostock?

– Głównie dzięki intuicji. Widziałaś, jak zaglądam w teleskop?

Kiwnęła głową i odchrząknęła.

– Myślałam, że się ze mną bawisz i że mu powiedziałeś.

– Nie. – Poczułem lekkie ukłucie gniewu. – Kawahara wciąż przetrzymywała moją przyjaciółkę w wirtualu i groziła, że będzie ją torturować, póki nie straci zmysłów.

Zerknęła na mnie, a potem odwróciła wzrok.

– Nie wiedziałam – szepnęła.

– No cóż. – Wzruszyłem ramionami. – Teleskop wyjaśnił mi połowę. Twój mąż był na pokładzie Głowy w Chmurach tuż przed tym, jak popełnił samobójstwo. Wtedy zacząłem rozmyślać nad intrygami Kawahary i zastanawiać się, czy można go było jakoś skłonić do samobójstwa. Farmakologicznie albo przez jakiś program wirusowy. Widziałem już tego rodzaju rzeczy.

– Tak, jestem pewna, że wiedziałeś. – Głos miała zmęczony, coraz bardziej nieobecny. – Więc czemu szukałeś w Psychasecu, a nie w Głowie w Chmurach?

– Nie jestem pewien. Głównie dzięki intuicji. Może dlatego, że oszałamianie kogoś farmakologicznie na pokładzie powietrznego

burdelu nie pasowało mi do stylu Kawahary. Zbyt oczywiste, zbyt prymitywne. Ona jest szachistką, nie rozbójnikiem. Była. A może po prostu nie miałem możliwości, by dostać się do bazy danych systemu ochrony Głowy w Chmurach tak jak w Psychasecu, a chciałem zrobić coś jak najszybciej. W każdym razie poprosiłem Hendriksa, żeby zbadał standardowe procedury medyczne dla klonów, a potem sprawdził, czy miały miejsce jakieś anomalie. Tak znalazłem Sheryl Bostock.

– Wnikliwe. – Obróciła się w moją stronę. – I co teraz, Kovacs? Czas na sprawiedliwość i ukrzyżowanie Matów?

Rzuciłem dysk na stolik.

– Poprosiłem Hendriksa, żeby usunął nagrania iniekcji z plików Psychasecu. Jak już mówiłem, eksperci ONZ prawdopodobnie założą, że narkotyki podano twojemu mężowi na pokładzie Głowy w Chmurach. To najprostsze rozwiązanie. O, i usunąłem też wspomnienia Hendriksa z twojej wizyty w moim pokoju na wypadek, gdyby ktoś chciał robić sprawę z twoich słów o kupieniu mnie. Wychodzi na to, że Hendrix wyświadczył ci kilka naprawdę dużych przysług. Mogłabyś się zrewanżować, podsyłając mu raz na jakiś czas paru gości. Nic wielkiego. Właściwie tak jakby obiecałem mu to w twoim imieniu.

Nie powiedziałem jej, jak Ortega zareagowała na scenę w sypialni ani ile zajęło mi przekonanie jej do swojego planu. Sam nie byłem do końca pewien, czemu się na to zgodziła. Zamiast tego przez pełną minutę przyglądałem się zdumionej twarzy Miriam Bancroft. Dopiero po tym czasie wyciągnęła dłoń i zamknęła ją na dysku. Uniosła go i spojrzała na mnie pytająco.

– Dlaczego?

– Nie wiem – odparłem posępnie. – Kto wie, może ty i Laurens zasługujecie na siebie nawzajem. Może zasługujesz na to, by dalej kochać niewiernego seksualnie nieprzystosowańca, który nie potrafi połączyć szacunku i chuci w tym samym związku. Może i on zasługuje, by nie wiedzieć, czy zabił Rentang sprowokowany, czy nie. A może po prostu oboje jesteście tacy sami jak Reileen i jak wszyscy Maci, zasługujecie na swój los.

Jednego jestem pewien, reszta świata nie zasłużyła sobie na was.

– Wstałem do wyjścia. – Dzięki za drinka.

Doszedłem już do drzwi.

– Takeshi.

Odwróciłem się, wbrew sobie.

– To nie o to chodzi – powiedziała z przekonaniem. – Może wierzysz w to wszystko, ale to nie dlatego. Prawda?

Pokręciłem głową.

– Tak, nie o to chodzi – zgodziłem się.

– To czemu?

– Już mówiłem, sam nie wiem. – Patrzyłem na nią, zastanawiając się, czy to dobrze, że nie pamiętałem wydarzeń na wyspie. Mój głos złagodniał. – Ale on poprosił mnie, żebym tak zrobił, jeśli wygram. To była część umowy. Nie powiedział mi – dlaczego.

Zostawiłem ją siedzącą samą pod męczennicami.

Epilog

Przypływ w Ember dobiegał końca, zostawiając po sobie długą połąć piachu rozciągającą się prawie do nieruchomego wraku Free Trade Enforcera. Skały, na których rozbił się lotniskowiec, były odsłonięte i sterczały z płytkiej wody przy dziobie jak skamieniałe flaki okrętu. Obsiadły je morskie ptaki, krzycząc na siebie głośno. Wiał lekki wiatr, wzbudzając małe fale w kałużach w zagłębieniach po naszych śladach. W górze na promenadzie twarz Anchany Salomao była wyłączona, co potęgowało wrażenie pustki na ulicy.

– Myślałam, że chcesz się wynieść – powiedziała idąca obok mnie Irene Elliott.

– Czekam w kolejce. Świat Harlana odwleka pozwolenie na transfer strunowy. Naprawdę nie chcą mnie z powrotem.

– I nikt nie chce cię tutaj.

Wzruszyłem ramionami.

– To dla mnie nic nowego.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu. Dziwnie się czułem, idąc obok Irene Elliott w jej własnym ciele. Kiedy przygotowaliśmy akcję na Głowę w Chmurach, przyzwyczailem się patrzeć na nią z góry, a teraz jej powłoka grubokościstej blondynki niemal dorównywała mi wzrostem. Emanowała prawie namacalną aurą kompetencji, która w tamtym ciele tylko chwilami uzewnętrzniała się w drobnych gestach.

– Zaoferowano mi pracę – powiedziała, przeciągając słowa. – Konsultant bezpieczeństwa dla Mainline FCC. Słyszałeś o nich?

Pokręciłem głową.

– Dość dobra firma ze Wschodniego Wybrzeża. Pewnie mają swoich ludzi w komisji śledczej. Zastukali do drzwi, jak tylko ONZ oczyścił mnie z zarzutów. Super oferta, pięć patyków, jeśli

podpiszę umowę od ręki.

– To standardowa praktyka. Gratulacje. Przeniesiesz się na wschód czy pozwolą ci na zdalną pracę?

– Raczej zajmę się tym tutaj, przynajmniej na razie. Elizabeth siedzi w wirtualnym apartamencie w Bay City, a znacznie taniej jest podłączać się lokalnie. Rozruch kosztował nas większość z tych pięciu tysięcy. Wyszło na to, że minie jeszcze kilka lat, zanim będzie nas stać na nowe ciało dla niej. – Rzuciła w moją stronę nieśmiały uśmiech. – Spędzamy tam teraz większość czasu, dlatego nie ma tu dzisiaj Victora.

– Nie musisz go usprawiedliwiać – powiedziałem łagodnie. – I tak nie sądziłem, żeby miał ochotę ze mną rozmawiać.

Odwróciła wzrok.

– Wiesz, on zawsze był bardzo dumny i...

– Zapomnij. Gdyby ktoś podeptał moje uczucia tak, jak ja podeptałem jego, też nie chciałoby mi się z nim gadać. – Zatrzymałem się i sięgnąłem do kieszeni. – A, byłbym zapomniiał. Mam coś dla ciebie.

Spojrzała w dół na trzymany przeze mnie anonimowy, szary chip kredytowy.

– Co to?

– Jakieś osiemdziesiąt tysięcy – wyjaśniłem niedbale. – Pomyślałem sobie, że to wystarczy na indywidualnego klona dla Elizabeth. Jeśli wybierze coś szybkiego, upowłokowicie ją jeszcze przed końcem roku.

– Co? – Wbiła we mnie wzrok, uśmiech odpływał wolno z jej twarzy, w miarę jak docierało do niej, co powiedziałem. – Proponujesz nam... Dlaczego? Cemu to robisz?

Tym razem znałem odpowiedź. Zastanawiałem się nad tym całą drogę z Bay City. Wziąłem dłoń Irene Elliott i mocno wcisnąłem w nią chip.

– Ponieważ chcę zostawić za sobą coś czystego – rzekłem z powagą. – Coś, co będę mógł wspominać.

Nadal się we mnie wpatrywała. Potem rzuciła się na mnie i objęła ramionami ze szlochem, od którego poderwały się mewy

człapiące w pobliżu po plaży. Śmiała się i płakała na przemian. Rozmazałem na twarzy jej łzy i objąłem ją ramionami.

Dopóki uścisk trwał, czułem się czysty jak morska bryza.

Bierz, co ci oferują, powiedziała gdzieś Virginia Vidaura. I czasem to musi wystarczyć.

* * *

Autoryzacja mojego powrotu przez transfer strunowy na Świat Harlana zajęła jeszcze jedenaście dni, z których większość spędziłem, przesiadując w hotelu i oglądając wiadomości. Miałem dziwne poczucie winy, że z niecierpliwością oczekuję wyjazdu. Do wiadomości publicznej podano bardzo niewiele faktów dotyczących śmierci Reileen Kawahary, więc reportaże były krzykliwe, sensacyjne i przeważnie bez związku z rzeczywistością. Komisja śledcza ONZ zasłaniała się tajemnicą dla dobra śledztwa, a kiedy pojawiły się w końcu plotki o przyjęciu Rezolucji 653, nic nie sugerowało związku między tymi dwiema sprawami. Nazwisko Bancrofta nie pojawiło się ani razu, podobnie jak moje.

Więcej z nim nie rozmawiałem. Zgodę na transfer strunowy i upowłokowanie na Świecie Harlana dostarczyła mi Oumou Prescott, która bardzo uprzejmie zapewniła mnie, że warunki kontraktu zostaną spełnione w każdym punkcie i przekazała mi również niedwuznaczną groźbę, żebym nigdy więcej nie podejmował prób kontaktu z członkami rodziny Bancroftów. Oficjalnym powodem było moje oszustwo w sprawie Jack It Up, fakt, że złamałem swoje słowo, ale i tak znałem prawdę. Widziałem ją w twarzy Bancrofta po drugiej stronie sali sądowej, kiedy wyszedł na jaw udział Miriam w aferze Głowy w Chmurach. Choć pieprzony Mat zdradzał żonę na prawo i lewo, był śmiertelnie zazdrosny. Zastanawiałem się, co by zrobił, gdyby musiał przejrzeć skasowane pliki Hendriksa z sypialni.

W dniu transferu strunowego Ortega pojechała ze mną

do Centrali Bay City. W tym samym czasie Mary Lou Hinchley została przeniesiona do powłoki świadka na czas przesłuchania otwierającego sprawę Głowy w Chmurach. Na schodach budynku zgromadziły się rozkrzyczane tłumy, których napór powstrzymywał rząd ponuro wyglądających policjantów porządku publicznego ONZ. Nad głowami ludzi podskakiwały te same prymitywne holograficzne plakaty, które zapamiętałem z mojego przybycia na Ziemię. Niebo nad nami przybrało barwę złowieszczej szarości.

– Pieprzone błazny – marudziła Ortega, przepychając się łokciami między manifestantami. – Jeśli sprowokują porządkowych, będą tego żałować. Widziałam już kiedyś tych chłopców w akcji i nie był to miły widok.

Uskoczyłem przed młodym, łysym mężczyzną, który groźnie wygrażał niebu pięścią, trzymając w drugiej ręce jeden z generatorów holoplakatów. Miał zdarty głos i wyglądał, jakby wprowadził się w rodzaj transu. Gdy dołączyłem do Ortegi poza linią tłumy, z trudem łapałem oddech.

– Są za słabo zorganizowani, by stanowić poważne zagrożenie – powiedziałem głośno, przekrzykując tłum. – Po prostu hałasują.

– Może i tak, ale to nigdy jeszcze nie powstrzymało porządkowych. Czasami lubią rozbić kilka głów, tak dla zasady. Co za cholerny bałagan.

– Cena postępu, Kristin. Chciałaś Rezolucji 653 – wskazałem na morze gniewnych twarzy – więc ją masz.

Jeden z mężczyzn w maskach i strojach ochronnych wystąpił z szeregu i zszedł po schodach, trzymając przy boku lekko uniesioną pałkę. Na ramieniu jego bluzy dostrzegłem purpurowy znak stopnia sierżanta. Ortega błysnęła mu przed oczami odznaką i po krótkiej rozmowie zostaliśmy wpuszczeni na górę. Szereg rozstąpił się, umożliwiając nam przejście, chwilę później przepuściły nas podwójne drzwi do sali. Trudno stwierdzić, czy bardziej gładko i mechanicznie poruszały się drzwi, czy też ubrane na czarno, pozbawione twarzy postacie stojące na ich straży. Wewnątrz było cicho i mroczno, przez panele dachowe

sączyło się słabe burzowe światło. Obrzuciłem spojrzeniem opuszczone ławki i westchnąłem.

Niezależnie od świata, na którym byłem, i czy radziłem sobie tam dobrze czy źle, zawsze opuszczałem go tak samo.

Samotnie.

– Potrzebujesz minutki dla siebie?

Pokręciłem głową.

– Potrzebuję całego życia, Kristin. A potem może jeszcze trochę.

– Trzymaj się z dala od kłopotów, to może ci się uda. – Próbowала żartować, ale jej głos zabrzmiał tak, jakby właśnie znalazła trupa pływającego w basenie i pewnie zdała sobie z tego sprawę, bo nie dokończyła tekstu, jak pierwotnie zamierzała.

Narastało między nami uczucie skrępowania, które pojawiło się, gdy tylko upowłokowali mnie znowu w ciele Rykera, zaraz po przesłuchaniach w komisji śledczej. Podczas śledztwa byliśmy zbyt zajęci, by się widywać, a kiedy postępowanie w końcu zamknięto i wszyscy wróciliśmy do domu, coś zaczęło się psuć. Kilka razy poszliśmy jeszcze do łóżka i odbyliśmy kilka niezbyt zadowalających stosunków, po czym i to się urwało. Wiadomo było, że Ryker zostanie oczyszczony z zarzutów i uwolniony. Jeśli cokolwiek nas łączyło, wymknęło się spod kontroli jak płomień ze strzaskanej latarni sztormowej, a próba podsycenia tego mogła się skończyć bolesnymi poparzeniami.

Odwróciłem się i uśmiechnąłem do niej lekko.

– Nie wpakuj się w kłopoty, co? To właśnie powiedziałaś Trepp?

To był cios poniżej pasa i dobrze o tym wiedziałem. Wyglądało na to, że wbrew pozorom Kawahara trafiła w Trepp jedynie wiązką z ogłuszacza. Dopiero podczas śledztwa przypomniano mi, że tuż przed wejściem do apartamentu Kawahary ustawiłem igłowiec na minimalny rozrzut. Łut szczęścia. Zanim błyskawicznie wezwany zespół dochodzeniowy dotarł do Głowy w Chmurach, by pod kierunkiem Ortegi zebrać niezbędne dowody, Trepp zniknęła razem z uprzążą grawitacyjną

pozostawioną w wieżycze, przez którą dostałem się na pokład. Nie byłem pewien, czy Ortega i Bautista pozwolili uciec najemnicze ze względu na ewentualne zeznania, jakie mogłaby złożyć w sprawie Panama Rose, czy po prostu Trepp samej udało się zniknąć ze sceny. Ortega nawet nie pisnęła na ten temat, a łącząca nas kiedyś intymność wyparowała, więc nie zdobyłem się na to, by zapytać ją wprost. Teraz pierwszy raz otwarcie o tym wspomniałem.

Ortega skrzywiła się w moją stronę.

– Prosisz mnie, bym traktowała was w ten sam sposób?

– O nic cię nie proszę, Kristin. – Wzruszyłem ramionami. – Uważam tylko, że właściwie ja i Trepp niezbyt się od siebie różnimy.

– Myśl tak dalej, a nic się nie zmieni.

– Ależ *nigdy* nic się nie zmienia, Kristin. – Wskazałem kciukiem w stronę tłumu na zewnątrz. – Zawsze będą istnieć idioci tacy jak tamci, którzy przełkną nawet ogromne pakiety wierzeń, byle tylko nie musieć samodzielnie myśleć. Zawsze znajdą się tacy jak Kawahara i Bancroftowie, Maci wciskający guziki i zgarniający kasę. I ludzie tacy jak ty, którzy dopilnują, by gra mogła się toczyć, a reguł nie łamano zbyt często. A jeśli jakiś Mat za bardzo będzie się rzucał, wyślą do niego takich jak Trepp i ja. Taka jest prawda, Kristin. Tak był urządzony świat, kiedy urodziłem się sto pięćdziesiąt lat temu, i jeśli wierzyć podręcznikom do historii, nigdy nie wyglądał inaczej. Lepiej się z tym pogódź.

Przez chwilę patrzyła na mnie ciężko, potem kiwnęła głową, jakby podjęła jakąś decyzję.

– Zawsze chciałeś zabić Kawaharę, prawda? Te bzdury o wyciąganiu z niej zeznań miały tylko wciągnąć mnie do gry.

Sam często zadawałem sobie to pytanie i wciąż nie znałem na nie odpowiedzi. Znów wzruszyłem ramionami.

– Ona zasługiwała na śmierć, Kristin. Taką prawdziwą. Tylko to wiem na pewno.

Z góry dobiegł delikatny, równomierny dźwięk. Przechyliłem głowę i zobaczyłem przejrzyste eksplozje na szkle. Zaczynało

padać.

– Muszę iść – powiedziałem cicho. – Kiedy następnym razem zobaczysz tę twarz, nie ja będę ją nosił, więc jeśli chcesz coś powiedzieć...

Kiedy to mówiłem, przez rysy Ortegi przebiegł prawie niezauważalny grymas. Przekląłem się za niezręczność i spróbowałem ująć jej dłoń.

– Słuchaj, jeśli to ci coś ułatwi, nikt nie wie. Bautista prawdopodobnie podejrzewa, że byliśmy razem, ale tak naprawdę nikt tego nie wie.

– *Ja* wiem – rzuciła ostro, umykając przed moim dotykiem. – Pamiętam.

Westchnąłem.

– Tak, ja też. *Warto* to pamiętać, Kristin. Ale nie pozwól, by spieprzyło ci to resztę życia. Sprowadź Rykera i dalej, do następnego ekranu. Tylko to się liczy. Ach, tak. – Sięgnąłem do kieszeni płaszcza i wyciągnąłem pogniecioną paczkę papierosów. – I zabierz to. Już ich nie potrzebuję, on też, więc nie pozwól mu znowu zacząć. Przynajmniej tyle jesteś mi winna. Po prostu dopilnuj, żeby z tym skończył.

Zamrugła i niespodziewanie pocałowała mnie gdzieś między ustami a policzkiem. Nie próbowałem poprawić celności w żadną stronę. Odwróciłem się, zanim pojawiły się łzy i ruszyłem w stronę drzwi przy drugim końcu hali. Wchodząc po schodach, obejrzałem się tylko raz. Ortega wciąż tam stała, obejmując się ramionami i przyglądając się, jak odchodzę. W burzowym świetle nie dostrzegłem wyraźnie jej twarzy.

Przez chwilę poczułem ukłucie bólu tak głębokie, iż miałem wrażenie, że próba pozbycia się go rozerwałby mnie na kawałki. Cierpienie narastało i w końcu rozprysło się jak deszcz, wzbierając jak szum kropli walących w dach.

Zdołałem je zdławić.

Odwróciłem się z powrotem do schodów, odkryłem rodzący się w płucach chichot i przełknąłem go. U szczytu czekały drzwi, za nimi przekaz strunowy.

Musisz przejść do następnego ekranu.

Przeszedłem przez nie, nadal próbując się uśmiechnąć.